PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY PIERWSZY. — TOM LXXXIII.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1904.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1904.

W PRZEDSIONKU FILOZOFII RELIGII.

(ZARYS WSTĘPU).

I

Co to jest filozofia religii? — Czy wstęp do niej, jako całość dla siebie, ma racyę bytu? Czy filozofia religii, jako nauka odrębna, ma racyę bytu? — Kilka rysów z dziejów filozofii religii: czasy przed Kantem; stanowisko Kanta: idealizm transcendentalny po Kancie; pozytywizm Comte'a; agnostycyzm religijny Spencera; nowokantyzm i neochrystyanizm. Stanowisko tych kierunków względem filozofii religii. — Niemożliwość wyłączenia rozumowych podstaw religii z badań filozoficznych.

Co to jest religia? W czem tkwi jej istota i przedmiotowa wartość?

Zdawałoby się, że odpowiedź na te pytania łatwa. Lecz skoro tylko w sposób trochę inny postawimy tę samą kwestyę, łatwość odpowiedzi znacznie zmaleje. Kiedy np. zapytamy: »Skąd bierze początek zjawisko psychiczne, które się w potocznej mowie religią nazywa?« — albo: »Co sądził o greckiej religii ludowej Sokrates, Plato, Arystoteles, Euhemeros, i jakie były ich własne zapatrywania religijne? Co sądził o kulcie bogów hinduskich Budda (Gautama)? Czy przekonania religijne egipskich kapłanów i brahmańskich filozofów zgadzały się z religijną wiarą ludową? Jakie stanowisko zajmowali gnostycy i neoplatonicy wobec dogmatów chrześcijaństwa? Co sądził o religii Kant, co Schleiermacher, co Hegel, co Comte, co Spencer, co A. Cieszkowski?« —: to pytanie w czem tkwi istota i przedmiotowa wartość religii, staje się po

prostu zawiłem, gdyż wyraz religia przyjmuje w tych pytaniach rozmaite odcienie znaczeń.

Takie zaś wyjaśnienia ogólne, jak np. «zapatrywania religijne Sokratesa, kapłanów egipskich, Buddy, różniły się znacznie od religijnej wiary ludowej« — albo takie szczegóły: — «ateista sam nie ma żadnej religii, a religię drugich uważa za błąd rozumu; panteista uważa świat (wszystkość) za Boga; agnostyk religijny mniema, że poznanie bóstwa i jakiejkolwiek próby jego określenia nie odpowiadają zdolnościom rozumu naszego; niektórzy z antropologów uważają religię za pewien psychopatyczny objaw, do pewnego stopnia konieczny; chrześcijanie wierzą we fakt objawienia nadprzyrodzonego« —: takie, mówię, wyjaśnienia nie tylko kwestyi, »co to jest religia i w czem tkwi jej wartość istotna«, nie rozwiązują, ale ją na razie zaciemniają raczej.

A jednak nauka nie powinna odstraszać się trudnościami, bo jej właściwem zadaniem trudności rozwikływać i pojęcia wyjaśniać. Otóż właśnie naukę, której zadaniem jest pojęcie religii wyświetlić i dać krytyczny pogląd na genezę i wartość zjawisk religijnych nazywamy filozofią religii.

Wobec tego, że niniejsza praca usiłuje podać zarys wstępu do tej nauki, nasuwa się pytanie, czy wstępy do nauk wogóle jako całości dla siebie, mają naukową racyę bytu. Rzeczywiście takie wstępy istnieją, jako osobne dzieła w naszych i obcych literaturach, że wymienię tu tylko Wstępy do filozofii Wundta, ks. Morawskiego, Struvego i Wstęp do socyologii Spencera.

Zasadniczo zaś mają takie wstępy prawo bytu, o ile służą do wyjaśnienia pojęć w zakresie pewnej gałęzi wiedzy, czyto podając ogólne kierunki i wyniki jej badań, czy też wskazując jej zadania i metody, jako wytyczny program w pewnych nowych warunkach, czy wreszcie broniąc racyi bytu danej nauki i oznaczając jej stosunek do innych nauk.

Niniejszy wstęp do filozofii religii usiłuje podać w głównych zarysach zadania filozofii religii w obecnych warunkach i określić jej stosunek do innych nauk — a temsamem uzasadnić racyę bytu filozofii religii, jako nauki odrębnej.

Nauka dwiema drogami dąży do zdobycia prawdy: drogą różniczkowania i łączenia. Różniczkowanie prowadzi do specyalizacyi nauk, łączenie zaś w całość do krytycznego poglądu na wyniki nauk szczególnych — do filozofii nauk. Obydwie drogi są wyrazem potrzeb umysłu ludzkiego. Stąd filozofia religii, której zadaniem stwierdzać różność pojęć religijnych i sprowadzać je do jednolitej naukowej syntezy, jest nie mniej potrzebną, jak np. filozofia nauk przyrodniczych, filozofia etyki i prawa. Może kilka rysów z dziejów tej nauki dokładniej wyjaśni jej potrzebę.

Badania nad rozumowemi podstawami religii znajdujemy szczególnie we filozofii greckiej. To nigdy nie przedawnione pytanie: »czy i o ile można pogodzić rozum z religią?« stawiali sobie najznakomitsi myśliciele starożytni i nowsi. Najdawniejsze zabytki piśmienne egipskie, asyryjskie, żydowskie, perskie, indyjskie, chińskie zawierają, oprócz literatury czysto religijnej, także dokumenty, które możemy słusznie zaliczyć do filozofii religii.

Cywilizacya chrześcijańska stykając się od początku z życiem umysłowem Greków i Rzymian, jedne pierwiastki jego w siebie wchłania, na inne zaś reaguje. Najdzielniejsi pisarze kościelni pierwszych wieków albo piszą po grecku swe dzieła, albo przynajmniej znają grecką literaturę, piękną i naukową, i posługują się nią w apologii i polemice. Patrystyce łacińskiej i greckiej nie obcą jest filozofia Platona. Tertulian, Laktancyusz, Arnobiusz i św. Augustyn posługują się np. we walce przeciwko wierze w bóstwa pogańskie t. zw. euhemeryzmem [1].

Wieki średnie, poznawszy za pośrednictwem Arabów filozofię Arystotelesa, zaczęły, obok teologii pozytywnej i mistycznej, uprawiać także filozofię religii, jako odrębną część metafizyki czyli nauki o najogólniejszych zasadach bytu. We wiekach nowszych nazwał Bacon z Werulamu filozofię religi w swoim podziale nauk t e o l o g i ą n a t u r a l n ą. Zajmują się nią tacy myśliciele jak Descartes i Leibniz (pod nazwą t e o d y c e i).

[1] Euhemeros (koło roku 300 przed Chr.), filozof grecki, opowiada, że w świątyni pewnej wyspy znalazł nazwy królów, znane w Grecyi jako imiona bogów; stąd wnosił, że kult bogów jest tylko kultem pamiętnych ludzi.

Kant, twórca idealizmu transcendentalnego, wprowadził filozofię religii na zupełnie odmienne tory. Określiwszy w swej »Krytyce czystego rozumu» granice naszego poznania, zakwestyonował na tej podstawie znaczenie zasady przyczynowości. Zasada przyczynowości jest, jego zdaniem, tylko podmiotową formą rozumu naszego, stosowaną do zjawisk. Chcieć upatrywać związek między zjawiskami doświadczalnemi, a pierwszą ich przyczyną, Bogiem, to znaczy stosować zasadę przyczynowości poza granicami naszego poznania. W ten sposób usiłował zadać teodycei dotychczasowej cios śmiertelny. Przeczył też, jakoby można poznać istnienie Boga »czystym rozumem« i na tej zasadzie, że teodycea nie zdoła rozumowo wyjaśnić sprzeczności, jakie nasuwa idea Boga dobrego i niepokonalny fakt zła na świecie [1]). Wreszcie poddaje krytyce chrześcijaństwo, jako religię pozytywną, i odmawia jego dogmatom wszelkiego znaczenia wobec rozumu [2]). Natomiast usiłuje ocalić ideę Boga jedynie na podstawie etyki jako postulat »praktycznego rozumu«. Etyka z ideą Boga, nieśmiertelności duszy i wolności woli ludzkiej stanowią wedle Kanta jedyną religię rozumną *(Vernunftreligion* [3]*)*.

Taki rozdział »czystego rozumu«, który niszczy religię, od »rozumu praktycznego«, który ratuje pewne jej szczątki, mógłby liczyć na trwałą wartość praktyczną chyba w takim razie, gdyby człowiek oddany nauce, a człowiek uznający potrzebę pozytywnej wiary religijnej nie stanowił nigdy jednej i tej samej osoby, ale tylko dwie teoretyczne abstrakcye.

Więc nie dziw, że późniejsi przedstawiciele idealizmu transcendentalnego starają się wniesioną przez Kanta sprzeczność między religią a rozumem w inny sposób naprawić. Oto Schleiermacher i Hegel twierdzą, że nauka i religia to wyniki dwu różnych władz tej samej duszy. Pierwszy z nich czyni religię po-

---

[1] I. Kant: *Ueber das Misslingen aller philosophischen Versuche in der Theodicee* (wyd. lipskie Hartensteina 1839), t. VI, str. 140 n.

[2] I. Kant: *Religion innerhalb der blossen Vernunft,* t. VI, w ostatnich zwłaszcza rozdziałach.

[3] Obydwie wyżej cyt. rozprawy *passim.* Nadto: *Grundlegung zur Metaphysik der Sitten,* t. V, str. 73 n., 243 n., 245 n.

trzebą uczucia, a drugi wynikiem wyobraźni. Wynalazek ten stał się poniekąd więcej popularnym, niż filozofia religii Kanta. Naprawdę jednak rozum krytyczny nigdyby się tem nie pocieszył, gdyby miał ciągle stwierdzać, że uczucie lub fantazya podsuwają mu mrzonki, których on przyjąć nie może.

Trudności, płynące z teoryi poznania Kanta, przeciął jednym zamachem Comte, ojciec pozytywizmu nowoczesnego. Odrzucił stanowczo wszelką metafizykę i filozofię, a temsamem i filozofię religii. Nauka wogóle zna, wedle niego, jedynie nauki pozytywne i ich encyklopedyę; stąd nauka, która nie sięga poza obserwacyę zjawisk i po za prawa, które niemi rządzą, nic wiedzieć nie może o Bogu pozaświatowym. Jedynym przedmiotem kultu w religii pozytywnej Comte'a — jest ludzkość (kult wielkich ludzi).

Spencer, niedawno zmarły filozof angielski, pojmuje pozytywizm nieco idealniej. Przedewszystkiem nie odrzuca on filozofii, jak Comte, ale dąży w swej »filozofii syntetycznej« do ogólnego poglądu na świat. We filozofii religii zajmuje stanowisko pośrednie między pozytywizmem a idealizmem transcendentalnym. Siła rządząca zjawiskami przyrody jest, jego zdaniem, absolutnie niepoznawalną. Niepoznawalność Najwyższej Istoty wszechrzeczy, czyli t. zw. agnostycyzm religijny, jest dla Spencera podstawą poglądu, że pomiędzy nauką a religią niema i nie może być sprzeczności, gdyż wiara religijna i jej przedmiot leży całkowicie poza sferą naukową. Spencer nie chce, żeby filozofia zajmowała się reformą wierzeń religijnych; stwierdza jednak, że ona faktycznie je reformuje i siłą konsekwencyi doprowadza do *minimum*. Najwyższą Siłę Niepoznawalną oczyszcza twórca filozofii »syntetycznej« z wszelkiego antropomorfizmu i metafizyki tak doskonale, iż o niej nic powiedzieć nie możemy, czy jest materyą, czy wszystkością, czy nawet bytem realnym. Jedynym dogmatem, jaki z tych oczyszczeń został przy życiu, jest wiara w »coś Niepoznawalnego« [1]).

Pokrewne, ale nieco odmienne, stanowisko, łączące pozytywizm

---

[1] *Epitome der synthetischen Philosophie H. Spencer's.* (Wydał z przedmową samego Spencera i z jego aprobatą J. H. Collins). Tłum. z 5 wydania angielskiego J. V. Carus. Lipsk 1900, str. 1—8, 14—17.

z krytyką i teoryą poznania Kanta, zajmuje kierunek filozoficzny, nowokantyzmem zwany. Ma on sporo zwolenników w Niemczech (Zeller, Zurück zu Kant! 1862), Francyi, Anglii i u nas, w Warszawie zwłaszcza. Nowokantyści ogłaszają teoryę filozofa królewieckiego we formie na pozór ponętniejszej. Wedle nich, prawdziwa krytyka rozumu wszystko burzy, żadnych nie dając odpowiedzi stanowczych ni ostatecznych; jedynie etyka stoi na straży ideałów. Ale nauka nie tylko etykę toleruje, ona ma miejsce i dla filozofii metafizycznej i dla religii. Etyka, metafizyka, religia bronią właśnie tych ideałów, których nauka obronić nie może. Metafizyka jest w stosunku do filozofii twórczem jej uzupełnieniem, poezyą nauki: etyka i religia stanowią dla duszy pociechę, której dać nie zdołają zimne i bezlitosne wyniki ścisłych badań. Rozumie się samo przez się, że religia i jej uzasadnienie naukowe leży, wedle nowokantyzmu, poza obrębem nauki pozytywnej.

Neochrystyanizm francuski, broniący w sprawie religii prymatu woli przed rozumem i skłaniający się temsamem ku Kantowi, sądzi, że najlepiej służy religii i chrześcijaństwu, jeżeli za normę oceny religii kładzie jej wartość etyczną, a rezygnuje z rozumowych dowodów na istność Bożą. Woluntaryzm jednak nowochrześcijański nie może uchodzić za stanowisko naukowe we filozofii religii. »Trzeba zacząć od życia religijnego, doświadczać na sobie wpływu religii, a poznanie religijne samo przyjdzie« — oto nawoływanie woluntarystycznych publicystów i apologetów francuskich, bardzo słuszne zresztą, o ile stwierdza, że fantazya, uczucie i wola nieraz wpływają na rozum ujemnie. Ale błąd tkwi w tem, że się tu miesza dwa odrębne pojęcia: nadprzyrodzoną wiarę i rozumowe podstawy tej wiary. Do tych ostatnich, jako zasada pierwsza, należy istność Boża, względem której należy zająć koniecznie pewne naukowe stanowisko. Za pomocą samego uczucia ani samej tylko woli nie rozwiązuje się problemów naukowych, jak się ich nie rozwiązuje za pomocą teoryi poznania, która przeczy wszelkiej przedmiotowości rozumowego poznania. Ze skrajnego krytycyzmu płynie albo skrajny sceptycyzm i solipsyzm, obracający się w kole ciągłych sprzeczności, albo też siłą reakcyi, skrajny

pozytywizm, opierający się apriorystycznie na nienaukowej podstawie naiwnego dogmatyzmu.

To też filozofia religii staje się równie niemożliwą w nowokantyzmie, jak jest niemożliwą w pozytywizmie Comte'a i agnostycyzmie Spencera, chociaż w rzeczywistości — mimo swoje programy — wszystkie te kierunki filozoficzne uprawiają filozofię religii. Czynią to jednak w sposób dziwnie niekonsekwentny: oświadczając w teoryi, że nie chcą religii naruszać ani nawet się nią zajmować, faktycznie obalają wszystkie jej podstawy, punkty wyjścia i punkty oparcia. Nie mówić jednak o religii nie mogły. I nie dziw. Jest ona zjawiskiem tak powszechnem, że go nauka milczeniem pominąć nie może [1]) — a tak tajemniczem, że, mimo pewne przejściowe niepowodzenia, umysł ludzki, nie rezygnujący nigdy z kwestyi na pozór dla siebie nieprzystępnych, z tem większem wytężeniem pójdzie na przebój we walce o te najżywotniejsze prawdy!

II.

Nowoczesne prądy religijne w życiu i literaturze. — Zjawiska religijne przedmiotem badań nauk pozytywnych. — Wobec nowych warunków nowe zadania filozofii religii: jej porównawczy i krytyczny charakter. — Prowizoryczna definicya religii, jako punkt wyjścia.

Do najważniejszych problemów naukowych, które filozofia XIX wieku przekazała do rozwiązania początkom wieku XX, należy bez wątpienia kwestya religii. Dowodem tego religijne prądy współczesne w życiu, literaturze pięknej, publicystyce i badaniach nauk pozytywnych, rozbierających wierzenia i kulty ludów historycznych i pierwotnych. Wystarczy pobieżny rzut oka na te objawy.

W Anglii, Płn. St. Zjednoczonych, Niemczech i Francyi zwłaszcza, garnie się znaczna liczba zwątpiałych umysłów raczej do wschodnich mistycyzmów, aniżeli pod skrzydła zimnego, bezlito-

---

[1] Słusznie zwraca na to uwagę Wundt: *Einleitung in die Philosophie*. Lipsk 1901, str. 9.

snego ateizmu. Znajdziesz tam wyznawców Buddy i wszelakich »religii etycznych«, wyznawców brahmańskiego panteizmu, hinduskich i egipskich mistyczno-ezoterycznych okultyzmów, spirytyzmu i satanizmu, zwolenników kultu Wotana i całej germańskiej i praaryjskiej mitologii. Tołstoizm, panteizm Hegla, kult »Chrystusa etycznego« lub kult wielkich ludzi w panteonach narodowych — co kto woli — choćby »eleutherya« i »eleusis« u nas — ze swymi ślubami i wyznaniem wiary przypominającem towianizm — oto szereg, dorywczo naszkicowany, najnowszych kierunków, które są wyrazem jakiegoś niespokojnego szamotania się i krzyku duszy ludzkiej, szukającej odpowiedzi na zagadnienia stare jak ludzkość, a jednak zawsze nowe i aktualne [1].

Ale i nauki pozytywne, jak historya kultury z archeologią, antropologia z etnografią i lingwistyka porównawcza, chcą zabrać w sprawie religii głos decydujący. Egiptologia i asyrologia, filologia perska i sanskrycka, mitologia grecka, skandynawska, celtycka i litewska tyle tajemnic wydarły z łona przeszłości, etnografia tyle już nagromadziła materyałów obserwacyjnych z życia umysłowego ludów zwanych pierwotnymi; nauki biologiczne wogóle, a w szczególności antropologia, tyle już wydały hipotetycznych poglądów na początek życia w przyrodzie, iż nie dziw, że cały szereg badaczy zabrał się do naukowej analizy tych faktów, obserwacyi i hipotez, by stworzyć — jeśli nie pewny, to w każdym razie jak najbardziej prawdopodobny — pogląd na psychologiczną genezę i przedmiotową wartość religii.

Filozofia religii musi zająć wobec tych badań pozytywnych jakieś ściśle określone stanowisko czyli oznaczyć dokładnie swój stosunek do nauk, które się trudnią obserwacyą zjawisk religijnych, konstatują rozmaite formy wierzeń i kultów w ich rozwoju i zmianach dziejowych i porównywają między sobą krytycznie wszystkie formy mitów, wierzeń i kultów religijnych od najniższych aż do najwyższych.

Św. Tomasz z Akwinu († 1274), pisząc swą *Summa contra Gentiles*, uskarża się (rozdz. II), że nie znając zasad innych wie-

[1] Cf. M. Zdziechowski: »Szkice literackie«. Warszawa 1900.

rzeń, nie może w szczególności odpowiedzieć na zarzuty, jakieby się w nich mieściły przeciwko prawdzie, jak to czynili pisarze kościelni i apologeci chrześcijaństwa w pierwszych jego wiekach, którzy albo sami pochodzili z pogan, albo wśród pogan żyli i od nich otrzymali wykształcenie naukowe. Stwierdza też, że daleko łatwiej może się porozumieć chrześcijanin z żydem, a katolik z heretykiem, z których pierwszy uznaje powagę ksiąg świętych Starego, a drugi Nowego Zakonu, niż z mahometaninem i poganami, którzy nie uznają wcale powagi Pisma św.: trzeba więc w dysputcie z tymi ostatnimi wejść na drogę rozumu naturalnego (t. j. nie znającego objawienia nadprzyrodzonego), a droga ta w rzeczach wiary wcale nie jest łatwą [1]. To użalanie się wielkiego myśliciela na niedostateczność środków dla prowadzenia naukowych badań względem wierzeń pogańskich może choć w części wyjaśni stanowisko naukowe przesadnie okrzyczanej scholastyki średniowiecznej, która w zakresie filozofii religii z samej natury położenia swego w zbyt ciasnem — jak na nasze pojęcie — obracała się kole. Dowody na istnienie Pierwszej Przyczyny wszechrzeczy, dedukcyjne wyprowadzenie Jej właściwości, możliwość i fakt objawienia nadprzyrodzonego — oto właściwie cały zakres ówczesnej filozofii religii, pozbawionej szerokich podstaw historycznych, etnograficznych i porównawczych. Ale nie należy zapominać o tem, że na polu spekulacyi filozoficznej zawdzięczamy scholastyce wyniki o wartości trwałej. A że na polu badań pozytywnych nie wiele zdziałała, to już chyba wypływa z warunków czasu i położenia, w jakich się obracało średniowiecze. Trudnoż ją winić za to, że nie wyprzedziła swej epoki. Pamiętajmy, że scholastyce średniowiecznej musiały wystarczyć, nie zawsze krytyczne, odpisy i tłumaczenia łacińskie pisarzy pierwszych wieków Kościoła, żyjącego w odmiennych zupełnie stosunkach, dla których zrozumienia średniowiecznej nauce we wielu punktach brakowało klucza; musiały im wystarczyć łacińskie przekłady Arystotelesa przez ówczesnych filozofów arabskich dokonane. To też nie dziw, że aż do czasów

[1] D. Thomae Aquinatis *Summae contra Gentiles libri quatuor.* Romae 1894, str. 2 i 3.

Odrodzenia scholastyka zna tylko człowieka wogóle i w oderwaniu; o takim też i do takiego przemawia ówczesna filozofia i teologia. Dopiero w czasach Odrodzenia, kiedy z Konstantynopola dostano autorów greckich i zaczęto zapoznawać się z nimi, powstał większy interes dla mitologii. Lecz rozwijał się raczej na tle literatury i sztuki, niż dla poznania istoty i genezy mitów helleńskich. Misye wśród ludów pogańskich, od czasu odkrycia Ameryki ekstenzywniej prowadzone, i sprawozdania misyonarzy o ludach przedtem nieznanych zaczęły budzić zajęcie dla badań mitów innych ras i narodów. De Brosses († 1777) usiłuje nawet postawić tezę, że pierwotną formą religijną był fetyszyzm, brany przez niego jeszcze w bardzo szerokiem znaczeniu.

Wreszcie rozwinięta silniej komunikacya wodna i kolonizacya ziem zamieszkanych przez ludy pierwotne stworzyła właściwą etnografię, a z nią powszechny interes dla mitologii porównawczej, zasilanej na pierwszem miejscu przez archeologię i filologię zamarłych języków historycznych.

Wobec tych postępów badań i zdobyczy wiedzy nowoczesnej filozofia religii całkiem odmienne od dawnego musi zająć stanowisko. Dziś już zasadnicza kwestya religii na inne, bardziej konkretne, choć niemniej trudne przeniesiona pole: dziś kwestya genezy religii i jej przedmiotowej wartości innemi już rozstrzygana metodami, zmusza filozofię religii do rozszerzenia zakresu swych zadań i ścisłego ich określenia. Nie ulega bowiem wątpliwości, że nowe warunki i środowisko naukowe nowych wymagają metod albo raczej — ponieważ ogólne prawa myśli ludzkiej są zawsze te same — znane od wieków metody nowego wymagają zastosowania, nowych punktów oparcia i wyjścia.

Jakżeż więc, wobec rozszerzonego zakresu problemów, podejmowanych przez nauki specyalne w badaniu zjawisk religijnych, pojąć i określić zadania filozofii religii?

Zaznaczamy najpierw, że kwestye religijne, jako naukowe, dadzą się podzielić na podstawie tego, co powiedzieliśmy dotychczas, na kwestye metafizycznej i doświadczalnej [1] natury. Oba ro-

[1] Doświadczalność bierzemy tu oczywiście nie w ścisłem znaczeniu eks-

dzaje należą do zakresów odrębnych, choć się wzajemnie uzupełniają. Zakres doświadczalny badań daje wprawdzie wyniki tylko w sferze doświadczalności, mogą one jednak służyć za punkt wyjścia do badań metafizycznych.

Określenie zadań filozofii religii względem metafizyki i jej metod badania zależy zasadniczo od stanowiska i kierunku zajętego w teoryi poznania. Wszelki skrajny pozytywizm, subjektywizm i krytycyzm w sprawie teoryi i krytyki poznania musi doprowadzić do zakwestyonowania metafizyki, a tem samem i racyi bytu filozofi w jej pozadoświadczalnych (transcendentnych) zagadnieniach.

Już przy ogólnej charakterystyce pozytywizmu, nowokantyzmu i agnostycyzmu zająłem przeciwne tym kierunkom stanowisko w sprawie teoryi poznania, a teraz wyrażam je pozytywnie. Otóż w organizacyi umysłu ludzkiego przyjmuję nie tylko formy i prawa podmiotowe, ale nadto za pewnik uważam, że są one wyrazem zdolności poznania przedmiotowego [1]. Również za pewnik przyjmuję, że umysł nasz może mieć oczywistość poznania przedmiotowego także poza sferą doświadczalną. Tem samem uważam metafizykę, nie za jakąś syntetyczną zdolność twórczą, lub za poezyę nauki, albo też za prowizoryczną sferę samemi hipotezami zaludnioną — jak chce nowokantyzm — ale jako naukę, mającą rozumną i przedmiotową podstawę bytu. Broniąc metafizyki, nie przeczę potrzeby i pożytku indukcyjnych badań historycznych i etnograficznych w zakresie zjawisk religijnych. Owszem twierdzę, że dziś już filozofia religii ignorując te badania, skazywałaby się na dobrowolne zacieśnienie widnokręgów naukowych, a tem samem nie odpowiadałaby godności nauki i potrzebom czasu.

Po tem określeniu mego punktu widzenia w kwestyi podstaw filozofii religii, jako nauki, przystępuję do programowych wskazówek, jak zadania swoje filozofia religii wykonywać powinna.

---

perymentu naukowego, ale w znaczeniu szerszem wszelkiego spostrzegania czyli obserwacyi zjawisk i stwierdzania faktów.

[1] Cf. Ks. J. Nuckowski: »Zasadniczy punkt wyjścia w badaniu filozoficznem«. Przemyśl 1899.

Odpowiedź wynika już z samego celu i warunków jako nauki specyalnej.

Właściwym celem każdej nauki ścisłej jest dążyć do syntezy ogólnej wyników swych badań i do krytycznego ich uzasadnienia. Warunkiem zaś naukowego przeprowadzenia badań w zakresie każdej z nauk jest ścisłe stosowanie metod naukowych odpowiednio do środków, jakimi rozporządza badacz. Środków tych szukać mu wypadnie nie tylko w obrębie swojej specyalności i otrzymanych w niej wynikach, ale, wedle potrzeby, i poza jej obrębem mianowicie w zakresie środków i wyników innych nauk, które przyjmą wtedy cechę nauk pomocniczych.

I filozofia religii nie inaczej ma zdążać do spełniania swych naukowych zadań. Bo jeżeli celem filozofii ogólnej jest umiejętny pogląd na świat i życie, czyli krytyczny pogląd na wszystkość, to celem filozofii religii jest dążyć do jednolitej a krytycznej syntezy pojęć religijnych.

Określając logicznie stosunek filozofii do religii, należałoby, ściśle rzecz biorąc, podać wpierw istotną definicyę religii. Rzecz jednak oczywista, że taka istotna definicya, naukowo uzasadniona, jest możliwą dopiero po zasadniczem rozstrzygnięciu kwestyi genezy religii i jej przedmiotowej wartości. Naukowa definicya religii jest zatem i celem i koroną całego zakresu badań filozofii religii. To też właśnie dopiero po przeprowadzeniu, choć błędnem nieraz, wszystkich badań, dochodzą jedni do wniosku, że religia ma tylko wartość względną i czysto podmiotową, czyli inaczej mówiąc, jest szlachetną mrzonką, koniecznym w pewnych warunkach wytworem uczucia i fantazyi, a w najlepszym razie praktyczną dźwignią moralną. Inni znowu w końcu swych badań dochodzą do wniosku, że religia jest pozbawiona nie tylko przedmiotowej wartości, ale nawet, będąc jedynie wyrazem egoizmu, kultem własnego »ja«, niema żadnej wartości etycznej: wedle nich (Feuerbach), prawdziwa etyka jest dopiero po zburzeniu religii możliwą. Inni wreszcie, przeszedłszy cały zakres badań, kończą je wnioskiem, że religia ma istotną wartość i przedmiotową i bezwzględną.

To też we wstępie do filozofii religii, którego zadaniem jest

wykazać racyę bytu tej nauki i podać punkta wytyczne dla jej badań, logicznie możliwą jest jedynie definicya tymczasowa z życia potocznego wzięta. Definicyę taką ze względów metodycznych przyjąć musimy na razie jako pewnik, chcąc mieć punkt wyjścia w badaniu. Przez taką definicyę potoczną rozumiem nie definicyę jakąś słowną, opartą na kwestyi, od czego Rzymianie wyprowadzali wyraz *religio* — od *relegere* (Cicero), czy od *religare* (Lactantius i św. Augustyn) — i jakie właściwie pojęcie wyrazem tym oznaczali. Kwestya ta bowiem ma tylko partykularne, filologiczne i historyczne, znaczenie, które nas, w sprawie ogólnego pojęcia potocznego, na razie nie obchodzi.

Chodzi nam o to jedynie, co ludzie mają na myśli, kiedy — w jakimkolwiek języku i jakimkolwiek wyrazem — mówią o kulcie bogów, ofierze bóstwu, duchom, przodkom zmarłym złożonej. Stawiam tę kwestyę w ten sposób dlatego, że jedynie z niejasnego jej postawienia wyłania się potem kwestya faktyczna: czy wszystkie znane nam ludy mają religię? Skonstatowanie zatem potocznego pojęcia »religia« ma na celu wyłączenie nieporozumień w tym względzie. Jeżeli filozofia ma się zajmować religią, to musi się zająć każdym jej objawem faktycznym. To też dla oznaczenia stosunku naukowego filozofii do religii powinno potoczne pojęcie religii przyjąć zakres jak najszerszy i najogólniejszy. Spytajmy tedy: co rozumieją ludzie przez pojęcie »religia« nie w jakiemś sztucznie urobionem znaczeniu, ale w znaczeniu wziętem z konkretnej psychologii ludów? Gdybyśmy np. używając istniejących określeń »religia etyczna« albo »religia ludzkości« (kult ludzkości) chcieli przez to wyrazić, że znajdują się na prawdę systemy filozoficzne, które z religii wyłączają wiarę w bóstwo i widzą w niej jedynie etyczną wartość, to mielibyśmy do tego najzupełniejsze prawo. Określamy w takim razie pewien filozoficzny pogląd na wiarę w istnienie bóstwa, a wraz z nim zaprzeczenie stosunku tej wiary do etyki wogóle a w szczególności do altruizmu. Ale spostrzegamy zarazem, że terminologia owa jest sztuczną z tej przyczyny, że to jest termin wyjątkowy tylko, gdyż ludzie używając pospolicie wyrazu »religia« albo innych równoznaczników zupełnie co innego mają na myśli. Przeciwnie kiedy ateusz powie, że »wiara

w bóstwo jest mrzonką, sprzeciwiającą się rozumowi, więc i religia jest mrzonką«, to wtedy możemy wprawdzie zakwestyonować jego twierdzenie, czy »wiara w bóstwo sprzeciwia się rozumowi«, ale przyznać natomiast musimy, że ateusz użył tu wyrazu »religia« w znaczeniu potocznem.

Ogół bowiem ludzi mówiąc o »religii« chce oznaczyć, że mówi o »wierze«. Stąd też termin »religia ateistyczna« należy uważać za równie sztuczny, jak termin »religia etyczna« i «religia ludzkości« (kult ludzkości).

Wobec tego stanowiska nie wpłynie na potoczne określenie religii sławna kwestya sporna, czy Gautama (Budda), założyciel buddyzmu, był ateistą i zwolennikiem czystej religii etycznej, czy też agnostykiem religijnym tylko[1]. Faktycznie bowiem ogół wyznawców buddyzmu zachował i nadal wiarę w bóstwa hinduskie. Również treść pojęcia »bóstwo« musi być wzięta w definicyi potocznej w jak najszerszym zakresie, t. j. wedle wierzeń jak najszerzej i najogólniej wziętych. W faktycznem tedy najogólniejszem znaczeniu wyraz »bóstwo« mieści w sobie pojęcie jakiejś wyższej siły tajemniczej, wszystko jedno czy ją nazwiemy niedoświadczalną, mistyczną, nadprzyrodzoną, czy wprost duchem.

Potoczna tedy definicya religii obejmuje wiarę w bóstwo, czyli w siłę lub siły nadprzyrodzone.

Wobec tak szeroko pojętej, na konkretnych wierzeniach opartej, definicyi potocznej upada spór — dziś zresztą już nieaktualny[2] — czy istnieją ludy pierwotne niemające żadnej religii.

Rzecz oczywista, że filozofia religii nie może — ze względu na swój porównawczy charakter — już u samego progu swych

---

[1] E. Durkheim (»Próba określenia zjawisk religijnych«, tłum. S. Brzozowski. Warszawa 1903) chce na podstawie tego zmienić określenie zjawisk religijnych, wprowadzając zamiast »bóstwa« »wierzenia obowiązkowe i dowolne« i »ich przedmiot«. Taka definicya religii nie może oczywiście służyć za punkt wyjścia w badaniu, gdyż »przedmiot« badania byłby tu całkowicie nieokreślony.

[2] Wundt: *Ethik*. Stuttgart 1903³, 1, str. 51 (w uwadze), zdanie Lubbocka), który odmawia niektórym ludom pojęć religijnych, poddaje krytyce na tej zasadzie, że Lubbock sądzi ludy niekulturalne podług pojęć religijnych ludów cywilizowanych.

badań dzielić religię na wyższą (monoteistyczną) i niższą (politeistyczną, mitologię). Taki punkt wyjścia uniemożliwiłby wprost jej zadania o kierunku czysto krytycznym. To też takie podziały czyli klasyfikacye mogą powstać dopiero na podstawie analizy porównywanych wierzeń.

Oznaczywszy punkt wyjścia dla badań zjawisk religijnych, streszczamy raz jeszcze krótko zadania filozofii religii, jako krytycznej syntezy pojęć religijnych, dążącej do porównania i analizy wszystkich religijnych zjawisk celem wykrycia psychologicznej ich genezy i przedmiotowej wartości.

Ludzie przekonani silnie o boskiem i nadprzyrodzonem pochodzeniu chrześcijaństwa z pewnem niedowierzaniem i nieufnością patrzą niekiedy na porównawcze studya filozofii religii. Czy mają słuszność za sobą? Pod pewnym względem tylko. Nikomu zapewne nie jest miło, kiedy widzi, że mu kto — choćby na chwilę — zdaje się podawać we wątpliwość jego świętości; nie zawsze też można się spotkać w porównawczych badaniach zjawisk religijnych z rzeczywistą bezstronnością i przedmiotowością naukową. Ale wspomniana trwożliwość może pochodzić także ze zbyt zacieśnionego kąta widzenia i pewnej małoduszności. Dlaczegóż się mamy obawiać wszechstronnego badania prawdy? Wszak prawda w jak najszerszych zakresach jest i potrzebą i obowiązkiem umysłu naszego. A jeśli mamy przeświadczenie, że wyniki jakichś badań są błędne i dla życia szkodliwe, to wykażmy tą samą bronią rozumowania i faktu, w czem tkwi błąd i szkoda; bo tylko orężem prawdy odniesie zwycięstwo i nauka i religia!

III.

Metodologia filozofii religii. — Stosunek filozofii religii do innych nauk. — Stosowanie metod. — Kontrola użytych metod. Krytyka wyników badań dokonanych przez inne nauki.

W jaki sposób porównywać zjawiska religijne? jakimi środkami i skąd czerpać pojęcia, z których się złoży krytyczna a jednolita ich całość — czyli filozoficzny pogląd na świat religii?

Odpowiedzią na to pytanie będą wskazówki metodologiczne, wyjaśniające w głównych zarysach stosunek filozofii religii do nauk sąsiednich.

Treść pojęć religijnych czerpiemy ze zjawisk psychicznych, uzewnętrznionych w podaniach, kultach, zwyczajach i obyczajach religijnych. Po ten materyał obserwacyjny zwraca się filozofia religii do innych, wyżej już wymienionych, nauk, zajmujących się życiem umysłowem ludów, historyą ich kultury i psychologią społeczną. Od nich to, jako pomocniczych nauk, zbierze wyniki badań dokonanych na polu zjawisk religijnych. Zwróci się zatem do literatury religijnej narodów historycznych: do ich ksiąg i pieśni świętych, ich teologii dogmatycznej i etycznej.

By módz ocenić krytycznie te źródła i dokumenty religijne i urobić sobie sąd dokładny o teologii naukowej i mitologii ludów historycznych, uda się o pomoc do fachowych prac filologicznych i egzegetycznych i zbada wyniki studyów nad krytyką tekstu ksiąg religijnych. W zawodowych zaś pracach historycznych szukać będzie uzasadnienia wpływów jednych narodów na drugie pod względem rozwoju życia umysłowego i zbada krytycznie, czy i pod względem wierzeń i podań religijnych istniały takież wpływy wzajemne pokrewnych, sąsiednich lub zaborczych narodów. By zdobyć wreszcie pogląd na mity i kulty ludów zwanych pierwotnymi, zwróci się po wyniki badań do antropologii i etnografii i u nich szukać będzie znajomości duszy człowieka pierwotnego, jego uspołecznienia, ekonomii pierwotnej, zajęć, zwyczajów i obyczajów, sztuki pierwotnej, pieśni i podań — słowem, całego sposobu myślenia.

Te obserwacye historyczne i psychologiczne dadzą filozofii religii obfity materyał porównawczy, w znacznej części już wyzyskany i zgrupowany przez rzeczone nauki pomocnicze.

Jakichże metod trzymać się w analizie dokonanych badań?

Oczywista, że nie jest rzeczą filozofii religii prowadzić samoistnie te wszystkie obserwacye i stwierdzać każdy fakt z osobna. Wszak na to składa się drobna, zbiorowa praca tysiąca badaczy i lat! Filozof może się do tych badań szczegółowych w małej cząstce przyczynić i na odwrót historyk, lingwista i etnograf

mogą dążyć do syntetycznej konstrukcyi całości i rozwiązania zasadniczych podstaw zjawisk religijnych. Rozdział pracy fizycznej i umysłowej jest możliwy i przynosi w praktyce wiele pożytku. To prawda. Ale podział myśli i duszy tego samego badacza jest faktycznie nie do wykonania w pracy umysłowej. Trudnoż np. żądać od historyka lub filologa, żeby go przy jego specyalnych, archeologicznych np. lub paleograficznych, badaniach nie zajmowały zagadnienia psychologiczne, religijne czy etyczne, kiedy one mu się siłą rzeczy z jego dokumentów nasuwają i proszą się same o rozwiązanie. Podziały rozmaitych gałęzi nauk mają bez wątpienia wartość teoretyczną i praktyczną. Ale każdy badacz w specyalnym zakresie spotyka się ciągle z wynikami i problemami innych nauk, które za pomocnicze uważa. Stąd myśl ludzka dąży przynajmniej w pewnych chwilach i warunkach do ogólnej syntezy pojęć, do krytycznego poglądu na świat i życie — do filozofii.

To też każdy fachowy filozof — zajmujący się uzasadnieniem praw naukowego poznania i zbierający w świetle tych praw ostateczne wyniki nauk — ustawicznie musi się zwracać do nauk specyalnych po ostateczne wyniki badań i sam je nieraz przeprowadzać w celu ich stwierdzenia; i na odwrót każdy specyalista musi się nieraz spotykać z zagadnieniami najogólniejszemi, które są podstawą wszystkich nauk. Nie dziw zatem, że i historycy i filolodzy i etnografowie zajmując się mitologią, dążą do samoistnego rozwiązania zasadniczych zagadnień początków religii, a teolog chcąc uzasadnić prawdziwość swej religijnej wiary, zestawia ją z innemi formami wyznaniowemi i czerpie materyał porównawczy z innych szczególnych nauk; a wreszcie filozof religii zestawia wyniki i jedne i drugie, poddaje krytycznej analizie, by zdobyć pogląd usuwający w danym razie sprzeczności między wynikami badań w tym samym zakresie.

Czy jest w tem jakaś wyższość filozofii nad naukami specyalnemi? Tak i nie. Nie, bo i tamta i te dążą do prawdy. Tak, filozofia bowiem ma z urzędu uzasadniać naukowo podstawy naszego poznania i dążyć do jednolitego poglądu na świat i życie; a taka wiedza najwięcej umysł nasz zadowala.

Czy może filozofia ma szczególną jakąś hegemonię nad metodologią i do niej szczególnie należy krytyka stosowania metod w zakresie nauk specyalnych? Do filozofii należy wprawdzie naukowe uzasadnienie tych metod, bo do niej należy teorya naukowego poznania czyli krytyka naszego rozumu. Mimo to każda nauka specyalna ma równe uprawnienie do metodologii i może ją uważać za własność wspólną, tak samo do filozofii ogólnej jak i do filozofii nauk specyalnych należącą. Zresztą każda z nauk stosuje metody ogólne do swoich potrzeb sposobem z samej treści i zadań odpowiedniej nauki wynikającym. Rozumie się samo przez się, że i zawodowy przyrodnik czy matematyk o tyle tylko ma prawo do zabierania głosu w sprawie noetyki i metodologii, o ile je naukowo zbadał. Filozofia religii ma tedy co najmniej równe z innemi naukami prawo do sprawdzania wyników i kontroli metod stosowanych w obrębie badań zjawisk religijnych

Wobec tego prawa i obowiązku kontroli użytych metod badacz w zakresie filozofii religii powinien znać dobrze wszystkie metody i naukową ich wartość. Nie jest konieczna, żeby sam przeprowadzał antropologiczne pomiary czaszek, ale powinien znać teoryę antropologiczną traktującą o pomiarach czaszek. Powinien wiedzieć o tem, czy stosunek kształtu czaszki i kąta twarzy do większej lub mniejszej umysłowości jest pewnikiem naukowym, czy też hipotezą tylko. Nie jest rzeczą niezbędną, żeby się sam zawodowo zajmował statystyką, ale powinien znać dobrze tę metodę i jej naukową wartość w badaniu zjawisk społecznych, zwłaszcza w kwestyi tych rezultatów liczbowych, na które się składają czynniki skomplikowane, nie zawsze dające się wyłączyć i w cyfry ująć. Wtedy się nie da olśnić wnioskami i prawami z wielkich liczb wyciąganemi, kiedy chodzi o spory wyznaniowe u narodów mających statystykę (w kwestyi np., które z dwu różnych wyznań religijnych daje większą oporność etyczną na ujemne wpływy zewnętrzne [1]). Badacz w zakresie filozofii religii powinien znać dobrze zasady przeprowadzania umiejętnych obser-

[1] Cf. A. v. Oettingen: *Die Moralstatistik in ihrer Bedeutung für eine Socialethik*, 3 wyd. Erlangen 1882, zwłaszcza r. 3, str. 604—665 i H. A. Krose S. I.: *Der Einfluss der Konfession auf die Sittlichkeit*. Freiburg im Br. 1900.

wacyi etnologicznych tak, żeby z pośród prac monograficznych umiał odróżnić »wrażenia z podróży« powierzchownie i po dyletancku napisane od obserwacyi ścisłej i umiejętnej, która mniejszą może mieć wartość literacką, ale prawdziwą zato wartość naukową. Powinien umieć z badań folkloru wyciągnąć potrzebne dane dla siebie. Jeżeli sam nie jest przyrodnikiem, powinien się zapoznać z wynikami nauk biologicznych o tyle, żeby nie pomieszać t. zw. haeckelizmu z faktami ewolucyi przez naukę stwierdzonymi; żeby też nie pomieszać prawa ewolucyi psychologicznej tj. stałej tendencyi historyczno-społecznej do rozwoju kulturalnego (w danych warunkach) np. z hipotezą o pochodzeniu gatunków i człowieka [1]. W badaniach antropologicznych i etnograficznych powinien się dobrze oryentować co do przyjęcia »człowieka pierwotnego«, które ma bardzo szerokie a wskutek tego bardzo nieustalone znaczenie [2]. Streszczając te wszystkie wskazówki powiemy krótko: badacz w jakimkolwiek zakresie czy gałęzi wiedzy, pragnąc zgłębić jakiś teren naukowy, musi sumiennie studyować wyniki tych zakresów, o których chce wyrokować. Wtedy tylko ustrzeże się uogólnień przedwczesnych, analogii naciąganych, hipotez stojących w sprzeczności z pewnikami na innych polach już stwierdzonymi. Co innego bowiem jest używanie utartych lecz nieudowodnionych »ogólników«, a co innego dążenie do uogólnień ścisłych na podstawie dokładnej obserwacyi i analizy zjawisk. Co innego jest sceptyczne drwinkowanie »a priori« z wyników pewnych badań, a co innego sprawdzanie ich długą, żmudną pracą przy zastosowaniu wszystkich dających się użyć w tym razie metod.

Nie może być zadaniem takiego »zarysu wstępu« wykład szczegółowy metodologii ogólnej, ani też rozstrzyganie sporu, która z dwu metod głównych, dedukcya czy indukcya, daje większą rękojmię pewności. To pewna że tak w pracy naukowej jak i w życiu potocznem posługujemy się naprzemian jedną i drugą, czy to z ogółu, poglądu, prawa wnioskujemy o szczególe, fakcie

[1] A. Wassmann: *Gedanken zur Entwickelungslehre* (w *Stimmen aus Maria Laach*, September 1902 i October 1903); Ueberweg IV, str. 266 nast.

[2] F. Ratzel: *Völkerkunde*. Leipzig 1885, t. I, str. 5—16.

zjawisku (dedukcya), czy też odwrotnie ze szczegółów, faktów i zjawisk dochodzimy do uogólnień, poglądów i praw (indukcya). Zwracam tylko uwagę na dwie rzeczy potrzebne do kontroli użytych metod. Jeżeli w dedukcyi wychodzimy z ogólnika hipotetycznego, to wniosek szczegółowy będzie hipotetycznym tylko. W takim razie, żeby osiągnąć istotną korzyść z dedukcyi, trzeba użyć wszelkich rozumnych punktów wyjścia hipotetycznych czyli użyć przesuwania supozycyi (przypuszczeń) i stwierdzać wyniki z pomocą indukcyi. — Druga uwaga, choć dobrze znana, jednak zasługująca na szczególniejsze uwzględnienie, w sprawie indukcyi. Indukcya, także niezupełna tj. nie obejmująca wszystkich szczegółów w pewnym zakresie, ma znakomite zastosowanie w naukach przyrodniczych, tam zwłaszcza, gdzie użycie sztucznego doświadczenia (eksperymentu) jest możliwe przy pomocy rugowania i stopniowania czynników i warunków. Przy badaniu jednak zjawisk społecznych i czysto psychicznych, jakiemi są właśnie zjawiska religijne, warunki zabiegów indukcyjnych mogą być niekiedy mniej pomyślne. Najpierw z tego powodu, że zjawiska religijne są całkiem odmiennej natury od przyrodniczych. Zjawiska religijne — indywidualne, czy społeczne — zbyt nas obchodzą; sami bierzemy w nich udział; nie jesteśmy w nich widzami tylko: więc niełatwo zdobyć się tutaj na bezstronność w badaniu. Następnie zjawiska religijne są bardzo różnorodne i zmienne. Ich badanie przechodzi siły jednostek; więc zachodzi tu potrzeba badań zbiorowych. A wśród tych zbadań zbiorowych, na które składają się monografie, byłyż wszystkie umiejętnie, ściśle, bezstronnie prowadzone? Prawda, jest na to krytyka naukowa. Ale ilu fachowych uczonych dochodzi na podstawie krytyki do sprzecznych między sobą poglądów! Niedawno zmarły indolog Max Müller był długie czasy jedną z najwyższych powag w kwestyach mitologii porównawczej, a jednak niektóre poglądy jego już dzisiaj uchodzą za przestarzałe [1].

---

[1] A. Brückner: »Starożytna Litwa. Ludy i bogi«. Warszawa 1904, str. 147 nast.

Stąd widać, jak trudno na podstawie niezawsze ustalonych danych historycznych czy etnologicznych dochodzić praw rządzących zjawiskami religijnemi.

Czy wynika stąd jednak, żebyśmy nie mieli i w naszym zakresie cenić indukcyi? Nie. Tylko używajmy jej krytycznie, wystrzegajmy się stronniczości w badaniu i wyciągania ze stwierdzonych szczegółów zbyt ogólnego wniosku. Z tego, że hipotezy powag naukowych upadają, a na ich miejsce wchodzą inne, nie wynika oczywiście, żebyśmy mieli zarzucić posługiwanie się hipotezą w tłómaczeniu zjawisk religijnych. Hipoteza zanadto wielkie przynosi i przyniosła nauce korzyści, iżby można bez niej się obywać. Podobnie ma się rzecz i z analogią. Przy tych jednak dwu pomocniczych metodach, hipotezie i analogii, większej potrzeba ostrożności i bezstronności. Nauka bowiem na dowolności nie wiele zyska. Ona stoi głównie ścisłością.

Wobec dzisiejszej specyalizacyi nauk badań dokładna kontrola metod ma ogromną doniosłość. Chodzi tu głównie o potrzebę ciągłego oryentowania się, co już właściwie pewnego i pozytywnego wniosły badania szczegółowe do ogólnej skarbnicy wiedzy.

To też przedewszystkiem sprzeczne wyniki badań należy poddać najściślejszej krytyce, szukając, czy i który z rezultatów ma racyę za sobą. Nawet stwierdzenie ujemnych wyników badań nie jest dla nauki bez korzyści, bo staje się ono przynajmniej wskazówką co do kierunku dalszych badań.

Jedną z najważniejszych korzyści, jakie daje filozofia, jest nie to, żebyśmy wszystko wiedzieli — rzecz to bowiem niemożliwa, — ale żebyśmy w tem, co wiemy, umieli rozróżnić rzeczy niepewne od pewnych.

(Dok. nast.).

Ks. Eugeniusz Hełczyński.

Z CYKLU „WRAŻENIA“ I Z CYKLU „KRÓLEWNY“.

WIECZORNĄ PORĄ.

Wieczorną porą,
Gdy chaty nasze gorą,
Nakryte złotą strzechą, ścianą złotobiałe,
Ogniami mając szyby okien rozgorzałe,
A tak wskróś prześwietlone zórz złotym rozświtem,
Że cień, gdy na nie padnie, staje się błękitem...

Wieczorną porą,
Gdy chaty nasze gorą,
Gdy nad niemi się wiesza pałająca chmura.
A one do gołębi podobne są sznura,
Które ot, ot, się z ziemi poderwą i wioną
W zorzę na nie świecącą złotą i czerwoną...

Wieczorną porą,
Gdy chaty nasze gorą,
Zajęte zórz Twych wielkich wszechmocnym pożarem,
Wychodzim, chat mieszkańce, z życiem ślubni szarem
I ręce opuściwszy, oczy w zorzy, stajem
W bezmiary zapatrzeni... tęskno za wyrajem!

Wieczorną porą,
Gdy chaty nasze gorą...

PRZED RZYMEM.

Pielgrzymie, strząśnij z myśli podróżne znużenie,
Wytęż zmęczone oczy i patrzaj przed siebie.
Ta wstająca przed tobą w późną noc na niebie
Łuna ogromna, łuna nieruchoma:
To Roma!

O dajcie dotknąć stopą owej świętej ziemi!
O dajcie duszą dotknąć owej wielkiej chwili,
Do której od kolebki tęsknić mię uczyli.
O płonąca przedemną, mocna, nieruchoma!
O Roma!

Z WŁOSKICH KRAJOBRAZÓW.

Przez czarne cyprysy
Złote przegląda słońce.
Po starym i omszonym osuwa się murze,
Gdzie w młode, giętkie pędy rzucają się róże,
Rozbłysłych promieni ostro lśniące końce
O świeżo rozkwitnięte opiera irysy.
Nad czarne cyprysów nieruchome głowy
Patrzy się błękit włoski, ciemnolazurowy.

A morze z oddali
W cichość potrąca złotą,
W rytm do snu kołyszący krajobraz ujmuje.
W górze lekki korowód chmur białych się snuje,
Cicho idzie i w blaskach zachodu się pali,
Błękit muskając miękką, łagodną pieszczotą.
Dusza nowa się budzi, jakaś dusza grecka,
Dusza idąca w zachwyt z zaufaniem dziecka.

WSTĘP DO CYKLU „KRÓLEWNY".

Śniły mi się królewny
W gotyckich krzesłach swych siedzące prosto.
Na szatach białych, na przejrzystej twarzy
Światło upadłe z witraży
Tęczami marzy.
A świat jest od nich o mil sto i wieków o sto.

Śniły mi się królewny.
Dyademem złotym obciążone głowy
Kłonią ich giętkie, ich dziewczęce szyje.
Zaklęta baśń w nich żyje,
A są niczyje,
Jak wędrowny wśród cienia drzew, blask księżycowy.

Sniły mi się królewny
W dal zapatrzone na ludzkie siedliska:
Dziecinne cacko, każdy domek biały,
Człowiek zaś każdy tak mały,
Jakby patrzały
Na mrówkę zakrzątliwą około mrowiska.

Prześniły się królewny.
A dziś podnoszę ów sen w przeszłość wpadły,
Dziś chcę dalekie o królewnach śnicie
Wziąć w rękę i wprzęgnąć w życie...
Ostrożnie, skrycie,
By się królewny moje nie zlękły, nie zbladły.

KRÓLEWNY JASNE.

Adducentur Regi virgines...
Ps. 44, w. 16.

I.

Królewny przędzę jedwabną przędą.
Postać ich cichy blask opromienia,
Nad głową złote chwieją się koła.
Przędą milczące, nie wznosząc czoła,
Nitka się snuje migliwa, miękka...
Królewny przędą — nić długą przędą.

Pod oknem kwiaty lśnią barwną grzędą.
Od krajów lasu gdzieś z oddalenia
Przez płowe pola echem zawoła
Rycerska piosnka rzeźka, wesoła.
I srebro jasne zbroic zaszczęka,
Powiew zachwieje kwiatową grzędą...

Królewny przędą, nić miękką przędą.
W zmiennej igraszce światła i cienia
Ani na chwilę nie zadrży ręka.
Uśmiech nie gaśnie, nitka nie pęka,
W ciszy ogromnej nie wznosząc czoła
Królewny przędą, nić długą przędą.

II.

Królewny jedwab na szaty tkają.
Na ich jedwabiem osnute krosno
Poprzez okienne patrzają kraty
Słońcem spojone olbrzymie kwiaty
I cień rzucają barwny, jaskrawy
Królewnom, które jedwabie tkają.

I na osnowie rozbłyskiem grają,
Rozkwitające promienną wiosną
W wzór się składają barwny, bogaty,
W łuny szkarłatne, skrawe bławaty.
Na tle, co blednie w bursztyn złotawy
Całą swą krasą królewską grają.

Królewny szaty jedwabne tkają,
I ową pełnię blasków radosną,
Owe świetlane rozwiewne zjawy
Biorą w jedwabnych nici oprawy,
I słońca pełne czarowne kwiaty
W materyą szat swych godowych tkają.

III.

Królewny jedwab na szaty przędą.
Myśląc, jak w godów wieczystych rano
W pracy rąk własnych przed królem staną,
Jak chodzić przed nim promienne będą.

Królewny szaty godowe tkają.
Słońce ich złote godziny liczy,
One na jawie śnią sen dziewiczy,
Że już przed królem w wieczności stają.

Saryusz-Nagoda.

W SPRAWIE JUBILEUSZU SIELANKOPISARZY LWOWSKICH.

SPÓR O DWU ZIMOROWICZÓW.

Powiedziano już kilkakrotnie, że żyjemy w epoce przeróżnych jubileuszy. Dla narodu, zwłaszcza naszego, ważną i pełną znaczenia jest ta cześć dla zmarłych, co nam ścieżki prostowali, chwalebną i pamięć o tych, którzy działając współcześnie z nami, bądź piórem bądź czynem, niemałe zasługi dla narodu położyli. Chwila taka podnosi bez wątpienia ogólny nastrój społeczeństwa, dodaje mu otuchy i zespalając wszystkich bez różnicy przekonań dla jednej idei, przypomina, żeśmy z jednego pnia wyrośli i jednemu celowi służyć winni.

Jeśli chodzi o hołd oddany współczesnym żyjącym, to taką była chwila pamiętnego jubileuszu Kraszewskiego w r. 1878. Podobny oddźwięk musi wywołać także hołd złożony i innym mistrzom czynu lub pióra, uznanym przez cały naród. A nawet i w innych wypadkach, w mniej lub więcej przybliżonym stopniu odczuwamy pewne podniesienie ogólnego nastroju ducha, gdy widzimy, że społeczeństwo pamięta o tem, aby godnie uczcić pisarzy, wyróżniających się talentem, albo mężów pełnych zasług naukowych lub społecznych. Oczywiście w tych wszystkich różnorodnych wypadkach nie należy przekraczać należytym taktem wytkniętych granic i stosując zawsze odpowiednią skalę, wypadnie szukać czegoś więcej, niż rozgłosu i marnych frazesów.

Podobnie linie wytyczne nakreślają się same przez się przy

uroczystym obchodzie faktów minionych lub pamięci osób dawno już zmarłych. Jubileusze Mickiewicza, Kochanowskiego, założenia Uniwersytetu Jagiellońskiego lub choćby nawet Długosza, przeniknęły całą Polskę, pozostawiając za sobą prócz wrażenia chwili także szereg studyów i wskazówek dla pracy dalszej, naukowej i społecznej. Uczczenie pamięci osób innych o mniej wybitnej działalności może już mieć znaczenie tylko więcej lokalne, ale nie przeminie również bez pożytku dla ogółu, gdy je skierujemy na właściwe tory. Warunkiem tu nieodzownym rzeczywiste przeświadczenie o niemałych zasługach tego, którego pamięć uczcić chcemy, tudzież urządzenie obchodu, choćby na mniejszą skalę, ale w ten sposób, żeby pozostało przecież coś więcej dla współczesnych i potomnych, niż chwilowy efekt.

To wszystko miałem dobrze na pamięci, gdym w r. 1897 zainicyował we Lwowie uczczenie trzechsetnej rocznicy urodzin Józefa Bartłomieja Zimorowicza czyli raczej Ozimka.

Józef ani nie odznaczał się szerokim, europejskim horyzontem, ani nie torował dróg polskiej literaturze; on tylko nie bez właściwego sobie talentu szedł torem wytkniętym przez innych, bądźto ulegając przemożnemu prądowi współczesnemu, bądź nawiązując do dawniejszej, lepszej tradycyi. Mimoto ważnym jest on w dziejach literatury naszej ze względu na miejscowy koloryt i jako jeden z najwybitniejszych typów polskiego mieszczaństwa szlachetniejszego pokroju. Szymonowicz, nierównie więcej wykształcony, miał zapędy światowego europejskiego humanisty i myślą wybiegał daleko poza ściślejszą ojczyznę, jako pionier nauki i literatury zachodniej. Józef Zimorowicz, choć w późniejszem życiu czytał i uczył się wiele, nie panował już w tym stopniu nad wielkiemi zagadnieniami europejskiemi, ale dlategoteż nie zatracił nigdy najściślejszej łączności z miejscową kulturą. W nim skrystalizowało się wybitnie to, co najlepszego mieszczaństwo lwowskie miało z siebie do wydania. Z jego dzieł i życia poznajemy, do czego zdolnym był ówczesny lwowski mieszczanin; tak jak on, myślało i postępowało wielu Lwowian, on tylko należał do najpoważniejszych i najznakomitszych, — on, który przytem, jako syn kolonisty mazurskiego, własną pracą i zabiegliwością dorobił

się dopiero z czasem znaczenia i majątku. Dorobiwszy się zaś, poszedł wprawdzie śladem innych i przystał do rządzących patrycyuszów, ale równocześnie przyczynił się niemało do ocalenia Lwowa w r. 1672 i dał mu to, czego nie posiada wiele innych miast, — dał mu własną kronikę i kilka innych pism historycznych, słabych zapewne i nieumiejętnie skonstruowanych, jeśli je będziemy oceniali z ogólniejszego punktu widzenia, lecz równocześnie nader ważnych i ciekawych, jako pierwszorzędne źródło do poznania dziejów mieszczaństwa i całej Rusi Czerwonej.

Dla literatury więc polskiej jest Józef wybitnym przedstawicielem całej warstwy społeczeństwa, dla Lwowa specyalnie jednym z najzasłużeńszych jego synów. Odpowiednio do tego ukształtował się sam obchód jubileuszowy: odczyt, wmurowanie tablicy pamiątkowej, wydanie popularnej monografii, tudzież przedewszystkiem historycznych utworów Józefa, — oto punkty programu, których urzeczywistnienie uczyniło zadość i należnemu pietyzmowi i przyniosło pożytek nauce. Czegoś podobnego, może tylko na większą skalę, powinien ze strony Lwowa doczekać się także we właściwym czasie i Szymon Szymonowicz. A czy poza tymi dwoma jest jeszcze kto z lwowskich pisarzy dawniejszej epoki, któryby miał równe prawo do podobnej pamięci o nim? Na razie nie mógłbym tak łatwo orzec stanowczo, — w każdym jednak wypadku nie mógłby być nim młodszy brat Józefa, Szymon Zimorowicz, którego »trzechsetną rocznicę urodzin« postanowił właśnie w r. b. uczcić zasłużony Związek naukowo-literacki, istniejący już od dłuższego czasu we Lwowie.

Wprawdzie, o ile wiemy, uroczystość nie ma wyłącznie odnosić się do rzekomego autora dość głośnych »Roksolanek«. Członkowie Związku czuli widocznie słusznie, że nawet napisanie jednego tomiku ładnych piosenek nie znajdowałoby się jeszcze w należytym stosunku do urządzenia uroczystego obchodu na większą skalę i postanowili dlatego włączyć do programu także utwory Szymonowicza i Józefa Bartłomieja Zimorowicza. Byłby to zatem obchód o szerszym podkładzie, na cześć wogóle dawniejszej polskiej sielanki, której najwybitniejsi przedstawiciele należeli w istocie do lwowskiego mieszczaństwa. Przeciwko takiemu

pojmowaniu rzeczy nie mamy nic do zarzucenia i owszem przyklasnąć tylko możemy myśli podjętej, która podobno jednemu ze znanych lwowskich kompozytorów dała podnietę do podłożenia pięknych melodyi pod wybitniejsze pieśni powyżej wymienionych »trzech« sielankopisarzy i tym sposobem przyczyniła się do wzbogacenia naszej literatury muzycznej. Nie możnaby tylko łączyć obchodu z nazwiskiem Szymona Zimorowicza i jego niby trzechsetną rocznicą urodzin, już choćby dlatego, że ta rocznica — mówię to obecnie wbrew poprzednio przezemnie wyrażonemu twierdzeniu — przypadnie dopiero na r. 1909.

Główną podstawą do oznaczenia wieku Szymona pozostaje dotąd napis na nagrobku czyli raczej tablicy marmurowej, którą starszy brat Józef własnym kosztem polecił wmurować w ścianie krużganku[1] kościoła OO. Dominikanów krakowskich. Napis ów znalazł się wydrukowanym w wydaniu »Roksolanek« i «Sielanek«, sporządzonem przez Mostowskiego (Warszawa 1805), stąd przeszedł następnie do popularnych wydań Bobrowicza (Lipsk 1836) i Turowskiego (Przemyśl 1857). Ponieważ zaś później okazało się, że nagrobek znajduje się także u Starowolskiego: *Monumenta Sarmatarum beatae aeternitati adscriptorum* (Cracoviae 1655, str. 153), i u samego Józefa Bartłomieja Zimorowicza w *Viri illustres civitatis Leopoliensis* (Leopoli 1671), i to w formie zupełnie zgodnej z formą u Mostowskiego, jeżeli pominiemy małoważne błędy w dwu ostatnich wierszach, wynikłe skutkiem niezrozumienia skróceń i słów przez wydawców z wieku XIX, — przeto tem samem potwierdziła się autentyczność nagrobka, i żaden jego szczegół nie budził najmniejszego podejrzenia. Oparto się też na nim powszechnie i przyjęto bez zmiany, nie starając się wcale o porównanie z przechowaną tablicą marmurową, skoro sam Józef podawał treść nagrobka zupełnie zgodnie ze Starowolskim, nie tylko w szczegółach ale nawet w rozłożeniu poszczególnych wierszy. Według też niego i Starowolskiego forma, w jaką ujęto napis, byłaby z zachowaniem pisowni co do joty następującą:

---

[1] Właściwie w ścianie jednej z kaplic kościoła, skąd dopiero w XVIII w. przesunięto nagrobek wraz z wielu innymi do głośnego i znanego krużganku.

ΙΣ ΑΩ ΧΣ

Subter te qui legis,
Simeon Zimorowic Leopoliensis,
Omnium Musarum et Gratiarum
Floridus Adolescens.
Particulam Terrae Roxolonae
Cum calculo abiecit.
Ipse Indole, Literis, Moribus,
Annos XXV. supergressus,
Rediit unde venerat,
Anno 1629. Die 21. Iunii.
Cui
FR. MR.[1] lachrymas et longum
VALE.
Tu supremum Have da et I.[2]

Opierając się na tak przytoczonym nagrobku wnioskowano powszechnie z całą słusznością, że Szymon urodził się w pierwszej połowie r. 1604, kiedy w chwili zgonu 21 czerwca 1629 r. przekroczył 25 lat wieku. Tego samego zdania byłem i ja również. To też kiedy w r. 1892 przygotowałem dla Akademii Umiejętności »Materyały do biografii Józefa Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów«, przytoczyłem nagrobek według dziełka *Viri illustres civitatis Leopoliensis,* polegając bez wahania z całem zaufaniem na powadze Józefa, jako chyba najlepiej rzeczy świadomego. Podczas druku jednakże »Materyałów« w t. VIII »Archiwum do dziejów oświaty i literatury« prof. dr. Józef Tretiak, ówczesny sekretarz Komisyi literackiej, udał się osobiście do kościoła OO. Dominikanów i przekonawszy się, że na nagrobku jest *ann. XX* a nie *XXV supergressus,* zrektyfikował tekst w korekcie drukarskiej według brzmienia nagrobka.

Poprawka prof. Tretiaka uszła nawet mojej uwagi. Całkiem też niezależnie od niej i na podstawie zupełnie innych wskazówek zrodziły się we mnie później wątpliwości w sprawie autorstwa »Roksolanek«, kiedym po kilkoletniej przerwie powrócił w r. 1894 do studyów nad Zimorowiczami z okazyi wspomnianego obchodu trzechsetnej rocznicy urodzin Józefa. Wątpliwości te wzmagały się i krystalizowały podczas pracy coraz bardziej. Dałem im też wy-

[1] *Frater maior.*

[2] Starowolski: *literis, moribus* przez małe *l* i *m,* a natomiast: *Supremum* przez duże *S.*

raz już w popularnej monografii, którą na wezwanie Rady miasta Lwowa napisałem na uroczystość jubileuszową, lecz »rzekoma hipoteza moja« spotkała się ze zrozumiałem niedowierzaniem, ponieważ nie zgadzała się z utartym poglądem na właściwość talentu Józefa Zimorowicza i pozostawała w sprzeczności z innemi wskazówkami, przemawiającemi, jak dotąd powszechnie przyjmowano, za wyraźnem autorstwem Szymona. Autorowie dziejów literatury polskiej, z wyjątkiem d-ra Biegeleisena, zajęli całkiem zresztą słusznie, wyczekujące stanowisko. Jedynie prof. Tretiak przyjął »hipotezę« bez wahania i omawiając przygodnie całą kwestyę (por. *Przegląd Polski* z r. 1900, zesz. za listopad) oparł się przedewszystkiem na okoliczności, że Szymon, według przechowanego nagrobka liczył właściwie w chwili zgonu lat 20 a nie 25, i że zatem w tak młodocianym wieku nie mógł istotnie napisać »Roksolanek«. Na ten jednak sposób argumentacyi nie godziłem się jeszcze wówczas sam. Dla mnie powaga starszego brata przedstawiała zawsze znaczniejszą rękojmię, niż, jak sądziłem, ręka tego, który rył napis na nagrobku. To też kiedy w lutym r. 1901 na posiedzeniu Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności wystąpiłem ze zdaniem, że autorem »Roksolanek« jest nie Szymon ale Józef Bartłomiej Zimorowicz, poparłem moje zapatrywanie całym szeregiem innych wskazówek, lecz wobec argumentu prof. Tretiaka zachowałem się jeszcze ciągle odpornie, przypuszczając pomyłkę raczej na nagrobku, niż w *Viri illustres*. Obecnie jednak muszę zgodzić się w zupełności z prof. Tretiakiem, ponieważ tymczasem uzyskałem sposobność przyjrzenia się na miejscu tablicy nagrobkowej i zbadania, jak mniemam, gdzie i na czem właściwie błąd polega.

Dochowana tablica znajduje się obecnie obok tylu innych pomników dawnej sztuki polskiej w głośnym krużganku kościoła św. Trójcy OO. Dominikanów krakowskich, wmurowana w ścianę po prawej stronie, tuż przy głównem wejściu od wielkiego ołtarza. Wykonana z ciemnego marmuru, dość artystycznie, sprawia przyjemne wrażenie. Zachowała się przytem znakomicie; nigdzie ani śladu pęknięcia, ani żadnego innego uszkodzenia. Tylko u wierzchu z pośród marmurowego obramowania odpadł, zdaje się, wizerunek

zmarłego, całkiem oddzielnie wykonany, i prawdopodobnie niema go już więcej. Nadto w czasach już najnowszych za staraniem Towarzystwa opieki nad zabytkami sztuki w Krakowie marmur starannie oczyszczono a litery napisu złotem powleczono.

Sam napis przechował się również doskonale i składa się z liter wyżłobionych w marmurze, jak dawniej powszechnie było w użyciu. Użyto przytem wyłącznie wielkich liter, bez żadnej interpunkcyi, ze znanemi tylko tu i ówdzie skróceniami, charakterystycznemi dla wieku XVII. Rozłożono zaś napis na 9, względnie wliczając i ów przez Kościół używany nagłówek, na 10 o wiele pełniejszych wierszy, nie jak u Starowolskiego aż na 14 rządków.

Ażeby dokładnie uwydatnić ważną dla nas różnicę w rozłożeniu napisu, powtarzam go jeszcze raz ściśle według tablicy marmurowej:

ΙΣ̃ ΑΩ ΧΣ̃

SVBTER TE QVI LEGIS
SIMEON ZIMOROVIC LEOPOL.
OMNIVM MVSAR' ET GRATIARVM FLORID' ADOLESCENS
PARTICVLAM TERRAE ROXOLANAE CVM CALCVLO ABIECIT
IPSE INDOLE LITERIS MORIBVS ANN: XX SVPERGRESSVS
REDIIT VNDE VENERAT
Aº 1629 D 21 IVNII
CVI FR. MR. LACRVMAS ET LONGVM VALE
TV SVPREMVM HAVE DA ET I

A zatem znana to nam dobrze barokowa i napuszysta łacina Józefa Bartłomieja Zimorowicza, z umyślnym odcieniem archaistycznym w słowie *lacrumas*. Żadnego przytem błędu w ówczesnej pisowni łacińskiej, która wypadła ściśle wedle reguł XVII w. Widocznie nad wszystkiem czuwała troskliwie ręka Józefa, który, jak sam powiada, ułożył cały napis. Czy więc w owem najważniejszem miejscu rozwiązując skrócenie czytać będziemy *annum vicesimum* czy *annos viginti supergressus*, to zawsze wszelką pomyłkę musimy wykluczyć i zawsze okaże się, że Szymon w chwili zgonu przekroczył dopiero dwudziesty rok życia i skutkiem tego rodził się albo z końcem r. 1608 albo w pierwszej połowie 1609 r.

Skądżeż jednak pochodzi owa pomyłka, która tyle zamie-

szania sprawiła? Z pomocą w wytłumaczeniu przychodzi sam Józef Bartłomiej, sam autor *Viri illustres civitatis Leopoliensis.*

Jak udowodniłem w wydaniu pism historycznych Józefa, główny zrąb *Viri illustres* powstał w Brzuchowicach, w czasie między r. 1658 a 1660. Po dziesięcioletniej przerwie włączono jeszcze rozmaite dodatki, już w czasie drukowania dziełka, kiedy Zimorowicz liczył już 74 lat wieku. Kompozycya też szwankuje wielce, praca pobieżna i pośpieszna; utwór przechodzi często w suchy regestr, pełny dat mylnych, sprzecznych z zawartemi w nierównie staranniej opracowanym *Leopolis triplex.* Nagrobki, jak sam powiada, przepisał Józef dosłownie ze Starowolskiego (por. str. 308 i 311 w mojem wyd. »Pism historycznych«). Choćby nam jednak tego nie powiedział, to wynikałoby to już z samego porównania formy, w jakiej nagrobek wydrukował. Na tyleż dokładnie wierszy (14) rozłożono napis, w tych samych miejscach rozwiązano skrócenia, jak u Starowolskiego, i zmieniając litery duże na małe, zatrzymano wielkie na początku tychże samych słów z małym jedynie wyjątkiem. Widocznie sędziwy wiekiem Zimorowicz nie przepisywał nawet sam nagrobków ze Starowolskiego, ale dał je komuś do przekopiowania, aby sobie ulżyć w pracy.

A zatem mamy już winowajcę. Jest nim w pierwszym rzędzie nie Zimorowicz, ale Starowolski, który przedtem pomyłkę popełnił. Zimorowicz zawinił tylko o tyle, że wydając w sędziwym wieku *Viri illustres,* nie przypilnował należycie korekty drukarskiej i błąd w druku przepuścił.

A czy Starowolski przepisywał sam nagrobek? Wiemy, jak ten nader płodny autor pracował i tworzył pośpiesznie, ile w nim niedokładności, dat i szczegółów mylnych. Nadto *Monumenta Sarmatarum* wychodzą z druku podczas zawieruchy szwedzkiej (1655), na rok przed śmiercią podeszłego wiekiem kanonika kapituły krakowskiej. Prawie zatem za pewne przyjąć możemy, że tej ogromnej ilości napisów, jakie znajdują się w jego dziele, sam nie kopiował, lecz po największej części albo polecił komuś skopiować albo korzystał z gotowych już odpisów. Przynajmniej o nagrobkach kościoła św. Trójcy możemy to niemal z pewnością utrzymywać, skoro do dnia dzisiejszego krakowscy OO. Domini-

kanie przechowują rękopis z drugiej połowy XVII wieku p. t. *Conventus Cracoviensis Ssmae Trinitatis ordinis Praedicatorum. Plantatio, erectio ratificatio, pietas quorundam Patrum, honores, merita ac praeclara gesta memoria digna annotantur et in hoc manuscripto continentur.* Tu na k. 77 nstp. znajduje się także spis nagrobków w tymże kościele przechowanych, jako część osobna, włączona dodatkowo, p. t. *Mausolea ac epitaphia virorum illustrium.*

Rękopis, pisany widocznie kilkoma rękami, pochodzi też najprawdopodobniej od kilku nieznanych autorów, członków krakowskiego konwentu. Najznaczniejsza część jego powstała dopiero po r. 1680, za przełożeństwa przeora Słowikowskiego, który rządził klasztorem do r. 1689. Część *Mausolea ac epitaphia,* najwięcej nas tu zajmująca, pochodzi również albo z tych czasów albo jest nieco wcześniejszą. Starowolski z tego odpisu nie korzystał. Owszem przeciwnie, zakonnik, układający spis, albo przepisywał wprost ze Starowolskiego albo z kopii dawniejszej, służącej Starowolskiemu za podstawę przy wydaniu dzieła. Choć bowiem nagrobki ułożono ściśle według kaplic, w innym nieco porządku, niż w *Monumenta Sarmatarum,* to jednak spotykamy tu te same błędy, które znajdują się u Starowolskiego, a oprócz tego jeszcze inne, widocznie ze złego odczytania wynikłe. Tak np. przy nagrobku Kokoszki (*Monumenta* str. 146) spotykamy w obu mylną datę 1.132 zamiast 1.532. Natomiast przy Odrowążu mamy w rękopisie mylną lekcyę *Matutina* zam. *Mutina,* jak jest słusznie w *Monum.* str. 143, a przy Małachowskim znowu zupełnie fałszywą datę 1330 zam. 1539 (w przeciwieństwie do *Monum.* 151), pochodzącą najwidoczniej ze złego odczytania cyfr 5 i 9, pisanych i drukowanych nieraz tak, że przy słabym wzroku lub nieuwadze kopiującego można je było odczytać jako 3 i 0.

Oczywiście tekst nagrobku Szymona Zimorowicza (na k. 86) jest identyczny z tekstem w *Monumenta Sarmatarum.* Spisano go wprawdzie, jak wszystkie inne nagrobki, mniej więcej w jednym ciągu i nie ugrupowano tak, jak u Starowolskiego, — co zapewne nastąpiło dopiero w druku pod ręką zecera — ale zresztą wszystkie inne szczegóły powtarzają się najwierniej. Jak u Starowolskiego, rozwiązano wszelkie skrócenia prócz owego znanego FR̂. MR̂.

Interpunkcyę wprowadzono również prawie tę samą, a wielkie litery oryginału zastąpiono małemi, pozostawiając pierwsze tylko tam, gdzie zostawił je Starowolski. Nawet słowo *lacrumas* przemieniono na *lachrymas*, jak w *Monumenta*, nie mówiąc już o owej fatalnej liczbie XXV, która tyle zamieszania sprawiła, a która znajduje się tu także w rękopisie. Jedynem odstępstwem, na jakie pozwolił sobie zakonnik, jest przemiana cyfr arabskich na rzymskie, tak samo, jak przy wszystkich innych nagrobkach. Inaczej też być nie mogło, skoro kopista, jak wykazaliśmy, albo czerpał wprost ze Starowolskiego albo z jakiejś dawniejszej kopii wspólnej. W każdym razie ów fatalny błąd pochodzi ostatecznie z jednego i tego samego źródła, a cały dochowany do nas rękopis okazuje nam jasno, jak kopiujący zakonnicy ułatwiali sobie pracę i nie zawsze dbali o drobiazgową ścisłość i dokładność.

Mając to wszystko na oku, musimy teraz przyjąć koniecznie, że ową fatalną pomyłkę mógł chyba popełnić albo zecer w ciągu druku a Starowolski ją w korekcie przeoczył, albo znajdowała się ona już w odpisie nagrobków. Oczywiście ostatni wypadek wydaje mi się o wiele prawdopodobniejszym nie tylko ze względu na dochowany rękopis, opierający się, być może, na jakiejś wspólnej kopii, ale także jeszcze z uwagi na następującą okoliczność: Jak wyżej wspomniałem, napis na tablicy wyryto samemi dużemi literami, przyczem U ma powszechnie podówczas używaną formę piątki rzymskiej, V. Otóż właśnie w owem fatalnem miejscu takie U czyli V znajduje się w słowie SVPERGRESSVS, tuż po cyfrze XX, przegrodzone od niej tylko literą S. Ponieważ zaś w temże miejscu napis jest ścieśniony i litery i cyfry stoją gęsto przy sobie, przeto kopiujący przy trochę nieuważnem lub pośpiesznem kopiowaniu lub nieco gorszem oświetleniu mógł bardzo łatwo włączyć takie V (U) do cyfry i przeczytać XXV. Gdyby tak w istocie być miało, to wówczas mielibyśmy całą pomyłkę wyjaśnioną w historycznym jej pochodzie aż do najdrobniejszych szczegółów.

Mniejsza zresztą o powyższe wyjaśnienie i o drobiazgi w wyżej przytoczonym wywodzie, o które wcale nie myślę się

spierać. Dla nas bowiem najważniejszem jest, że w całej sprawie, jak wykazałem, nie mamy do czynienia z powagą starszego brata, ale z pomyłką Starowolskiego lub raczej tego, który nagrobek przekopiował. Z tego zaś w każdym razie wynika, że możemy tylko tę datę uważać za autentyczną, która jest w istocie na tablicy marmurowej, i która też zgadza się doskonale nietylko z charakterystycznym epitetem: *Omnium Musarum et Gratiarum floridus adolescens,* ale także z określeniami wieku, jakie znajdujemy w sielance XI »Żałoba«, poświęconej Szymonowi przez starszego brata:

Żegnam się z tobą o duszo niewinna! (w. 147)
. . . . . .
Śliczny paniczu, upieszczone dziecię! (w. 191)
Także się w ranem zwiodłeś od nas lecie.
Co to za gwiazda zawisnym promieniem
Lewo świeciła nad twojem ciemieniem?
. . . . . .
O gdyby była prędkiego zegarka (w. 231)
Pohamowała nieuchronna Parka,
Doszedłby był już twój rozum bogaty
W rozsądek, chwałę przed skoremi laty.
. . . . . .
W pół wiosny jarej, w pierwszej zieleninie (w. 261)
Z okwitłym listem przed jesienią ginie,
Bo wyrok pański nie zawsze do żniwa
Bujno wyrosłym kłosom oczekiwa;
Podczas wieczorem, czasem też w poranki
Zbiera owoce, obrywa golanki.

Podobnie i w sielance V »Roczyzna«, poświęconej również pamięci brata, woła Józef:

A przetoż góry i niskie doliny
Pomóżcie wdzięcznej płakać mi dzieciny.

Umarł zatem Szymon jeszcze dzieckiem prawie, w pół wiosny jarej, »w pierwszej zieleninie«, a nie jako dorosły już młodzieniec. Krótkotrwały jego żywot przedstawi się nam dlatego bardzo, bardzo skromnie, choćby tylko na podstawie tych nielicznych danych, jakie mamy do rozporządzenia.

Na stosunki domowe i lata dzieciństwa Szymona pada po-

średnio światło z tego, co mówię w monografii o Józefie Bartłomieju Zimorowiczu. Do lat młodzieńczych odnoszą się trzy zapiski, które odnalazłem w aktach radzieckiego sądu lwowskiego (*Ind. off. consc.* t. 35 i 36. Por. moje »Materyały« i t. d., str. 78 nstp.). Z nich wynika, że Szymon mając lat dziewiętnaście był podpiskiem czyli właściwie dyurnistą u pisarza ławniczego sądu lwowskiego, i że do spółki z niejakim Andrzejem Terebińskim wziął udział w nocnej bójce, na cmentarzu koło lwowskiego kościoła katedralnego, zrywając czapkę z głowy rzeźnikowi Gładyszowi i dusząc go za szyję. Był zatem prawdopodobnie krewkiego usposobienia. Czuł też pociąg do poezyi, jak utrzymuje jego starszy brat, i umarł w Krakowie, dokąd udał się w ostatnim roku życia. (*Particulam terrae Roxolanae abiecit,* odrzucił od siebie, porzucił cząstkę ziemi ruskiej, powiada w swojej łacinie Józef Z.).

W jakim celu udał się do Krakowa, dokładnie nie wiemy. Zapewne aby uczyć się dalej, skoro mimo rozmaite domysły, do jakich pierwotnie uciekałem się, nie widzę innego powodu, dlaczegoby miał tam dłuższy czas przebywać. Przynajmniej tak wnioskowaćby należało ze stereotypowego epitetu na nagrobku: *Omnium Musarum et Gratiarum floridus adolescens,* epitetu, który z reguły nadawano w XVII wieku wszystkim uczącym się młodzieńcom. Tak też zdaje się wnioskować i Starowolski, kiedy go w indeksie do *Monumenta Sarmatarum* nazwał *studiosus.* A może jeszcze Starowolski coś zasłyszał o Szymonie, ponieważ właśnie w r. 1629 wrócił do Krakowa ze swej pierwszej, większej podróży po Europie. Na bliższą jednak znajomość oczywiście nie było już czasu; niema też żadnego śladu, aby jakiekolwiek osobiste stosunki łączyły bodaj Józefa Zimorowicza z głośnym swego czasu pisarzem i kanonikiem. W każdym razie Szymon nie wpisywał się w poczet uczniów uniwersytetu, lecz uczył się, jak wielu innych, u *magistri extranei,* których natenczas było pełno w Krakowie. *Quarta* bowiem *pars matriculae incorporatorum universitati Cracoviensi* nie zawiera nazwiska Szymona.

Reasumując powyższe dane pozyskujemy obraz nad wyraz skromny: Szymon urodził się we Lwowie z końcem r. 1608 lub w pierwszych miesiącach 1609, jako najmłodsze dziecko przed-

miejskiego ale dość żamożnego majstra murarskiego i kamieniarskiego, Stanisława Ozimka i jego żony Katarzyny. Starszemi w rodzeństwie były od niego dwie siostry, Agnieszka i Teresa, które wyszły później za piekarzy, Wrzeszczowicza i Gawłowskiego, starszym o lat przeszło 11 był Józef Bartłomiej, który dlatego z ojcowską niemal pieczołowitością opiekował się tak znacznie od siebie młodszym braciszkiem. Jak tenże Józef, uczęszczał niewątpliwie i Szymon do miejscowej szkoły, i to albo do starodawnej kolonii akademickiej albo do świeżo w r. 1608 otwartej szkoły OO. Jezuitów. Gdy zaś wyrósł na 18-letniego młodzieniaszka, to najprawdopodobniej za wpływem Józefa, który był już podówczas obrońcą sądowym *(causarum civilium ferendarius)*, dostał się na podpiska do kancelaryi pisarza miejskiego sądu ławniczego *(notarii iudicii civilis Leopoliensis)*. Karyera jednak miejskiego palestranta, która Józefowi utorowała drogę do majątku i znaczenia, nie odpowiadała może mniej przedsiębiorczemu Szymonowi. Chciał się jeszcze uczyć czegoś więcej i udał się do Krakowa, gdzie po kilkumiesięcznym pobycie uległ chorobie 21 czerwca 1629 roku, w 21 wiośnie życia, zdala od ojczystej ziemi. Tuż przed śmiercią napisał jeszcze jakieś nieznane łacińskie *Roxiades* (Ob. Lepolis triplex str. 200), nic wspólnego z naszymi »Roksolankami» nie mające, w których pod imieniem Spirynzyny *(Spirinzina)* wysławiał oblubienicę brata, Katarzynę Duchnicównę.

Takiemi są ramy, taką »króciuchna osnowa« nader skromnego żywotu Szymona, który oczywiście nie miał po prostu czasu do położenia jakichś większych zasług, by aż z jego nazwiskiem potomność miała łączyć pamiątkowy jubileusz. Im też więcej krytycy nasi uwielbiać będą i wywyższać »Roksolanki«, tem mniej będzie sposobności do przypisania ich Szymonowi. Wprawdzie Szyller w niemal równym wieku napisał »Zbójców«, a Krasiński stworzył największe swoje arcydzieła, ale był to czas największego napięcia umysłowego w całej Europie, była to prawdziwa *Sturm und Drang-Periode* w niemieckiej i polskiej literaturze, — a na taką choćby na mniejszą skalę epokę nie zanosiło się wcale z początkiem XVII wieku w handlu oddanym i coraz więcej ku upadkowi chylącym się Lwowie.

Lecz dzieją się przecież na świecie cuda i rzeczy niebywałe. Spróbujmyż zatem mimo wszystko zbadać, czy wbrew normalnemu biegowi rzeczy nie możemy przyjąć dla Lwowa, by w nim urodził się w r. 1608 czy 1609 »niezwykłym talentem« obdarzony poeta, któryby od razu w młodziutkim wieku bez przechodzenia przez szczeble naturalnego rozwoju wystrzelił ponad współczesnych mu rodaków i stworzył pieśni, jak się okazuje, obecnie coraz więcej podziwiane. Albo spróbujmy, jak ja raczej mniemam, koniec wreszcie położyć temu zamieszaniu, które do naszej literatury wprowadził znowu nie kto inny, tylko ten sam Józef Bartłomiej Zimorowicz, wydając swoje »Roksolanki« i »Sielanki« pod imieniem młodszego brata, gdy w r. 1654 i 1663 po raz wtóry i czwarty wstępował w związki małżeńskie. Miał on wprawdzie pod koniec szóstego krzyżyka — niech mu to potomność wybaczy — dość tragiczny romans z młodą wdówką, Rozalią Groswajerówną, jakiegoby i młodzieniaszek nie powstydził się, miał też skutkiem tego jako poważny dygnitarz miejski bardzo ważne powody do starania się, by piosneczek, mocno pachnących tym romansem, przynajmniej poza gronem najbliższych mieszkańców nie łączono z nazwiskiem podeszłego wiekiem rajcy, wójta i burmistrza lwowskiego, ale z tem wszystkiem, skoro tak koniecznie choćby tylko dla dalszych starał się ukryć i skoro nawet napisał przedmowę, jakby od młodszego, umierającego brata pochodzącą, to musimy i my teraz ze swojej strony oglądnąć się jeszcze za innemi wskazówkami, któreby nam pozwoliły odsłonić znowu prawdę i dostroiły się godnie do argumentu, jaki mamy już w młodziutkim wieku Szymona. Na szczęście przechowały się takie wskazówki i to w nader poważnej liczbie. Ukrywały się one tylko przed nami, ukrywały tak długo, dokąd nie zbadaliśmy głębiej żywotu poety-kronikarza.

W tem miejscu zmuszeni jesteśmy na razie przerwać tok naszych wywodów. Zbyt późno, bo dopiero z początkiem czerwca b. r. doręczyliśmy Redakcyi *Przeglądu Powszechnego* niniejszą rozprawę. Dlatego możemy Jej tylko być wdzięczni za to, że ze względu na aktualność kwestyi, pomieściła natychmiast część, wiążącą się bezpośrednio z zamierzonym jubileuszem. Reszta, o wiele obszerniejsza, musi z natury rzeczy ustąpić pierwszeństwa

artykułom zalegającym od dłuższego czasu w tece redakcyjnej. Jedynie więc dla chwilowego zaokrąglenia całości i dla wygody czytelników *Przeglądu Powszechnego* podajemy jeszcze kilka słów o tem, co ta obszerniejsza reszta zawiera — oczywiście na razie bez żadnego bliższego uzasadnienia.

»Roksolanki«, wydane w r. 1654 pod imieniem Szymona Zimorowicza, składają się z dwu odrębnych części, nie mających zgoła nic wspólnego ze ślubem Józefa i Katarzyny Duchnicownej, odbytym jeszcze w r. 1629 a więc na 25 lat przedtem. Do części nieco wcześniejszej, napisanej w roku 1653 i z samym początkiem r. 1654 należą piosenki erotyczne trzech chórów, młodzieńskiego i dwu panieńskich, z wyjątkiem dwu naczelnych piosenek I-go chóru i ośmiu końcowych III-go. Charakter ich czysto miłosny, a treścią bądź rozpacz, bądź niedwuznaczne zaloty kochanka o rękę ubóstwianej. Na część drugą, wybitnie epitalamiczną i napisaną na wiosnę r. 1654, składają się przedmowa, pochodząca niby od umierającego Szymona, dalej »Dziewosłąb«, tudzież dwie pieśni z I-go chóru panieńskiego i ośm końcowych całego zbiorku.

Część wcześniejsza, erotyczna, powstała podczas zabiegów Józefa o rękę Rozalii Groswajerównej, młodej wdowy po lekarzu Złotorowiczu († na wiosnę r. 1652) a córki Marcina Groswajera, głośnego i bogatego rajcy i burmistrza lwowskiego. Groswajer mianowicie niespokojny o los lekkomyślnej trochę córki, a także małoletniego syna i niemowlęcego wnuka, porozumiał się ze swym kolegą z urzędu, Józefem Zimorowiczem, który właśnie z początkiem r. 1653 owdowiał po pierwszej małżonce, i widząc w nim pożądany statek i niemałe doświadczenie, postanowił go sobie przybrać za zięcia. Na łożu też śmiertelnem, w połowie r. 1653 wymógł na córce przyrzeczenie, że odda rękę Józefowi, i połączył nawet oboje pierścionkiem zaręczynowym.

Józef po śmierci Groswajera uderzył nie na żarty w konkury, tworzył piosnki miłosne i wygrywał je na klawikordzie przed oblubienicą, ale młoda Rozalia nie chciała podstarzałego przyjaciela i wbrew uroczystemu przyrzeczeniu i woli ojcowskiej dała mu przecież odkosza za namową licznych, młodszych zalotników. Podrażniony wówczas w ambicyi Józef, ożenił się niespodzianie szybko z Zofią de-Zacharyaszówną i dla upamiętnienia ślubu dodał do owych piosnek miłosnych część ściśle epitalamiczną. Aby zaś zasłonić się choć w części przed obmową ludzi, bliżej właściwego stanu rzeczy nieświadomych, wydał cały zbiorek, jako »Roksolanki« młodszego brata Szymona.

Zofia Zacharyaszówna umarła jednak także w 11 miesięcy po ślubie, a losy zbliżyły znowu Józefa i Rozalię ku sobie. Zimorowicz w czasie najścia Szwedów na Polskę i drugiego oblężenia Lwowa przez Chmielnickiego zaopiekował się gorliwie młodą wdową, jej bratem i synkiem, i począł się po raz drugi starać o urzeczywistnienie dawniejszych zamiarów. Wtedyto powstały niektóre sielanki, w których Józef przyznał się wyraźnie do autorstwa »Roksolanek«. Tym razem miał też większe powodzenie, bo Rozalia, nauczona przebytem doświadczeniem, oddała mu w istocie rękę 28 sierpnia 1656 roku.

Powyższe przedstawienie opiera się nie na żadnem subjektywnem prze-

konaniu albo jakichś romantycznych, nienaukowych wywodach, ale — mówię to bez przesady — na aktach sądu radzieckiego lwowskiego *(Acta officii consularis)*, na zeznaniach współczesnych świadków i samego autora, a wreszcie na analizie utworu, objaśniając nam i tłumacząc wszelkie dotychczasowe wątpliwości. Dodać jeszcze winniśmy, że jak wspomnieliśmy, »Roxiades« młodziutkiego Szymona Zimorowicza były całkiem innym, odmiennym poematem, napisanym w języku łacińskim. Nad Szymonem też, jako poetą, możemy istotnie z całym spokojem przejść do porządku dziennego i pominąć go zupełnie w całokształtach historyi literatury polskiej.

Dr. Korneli Heck.

MELODYE GREGORYAŃSKIE

W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAN.

Obserwując rozwój i ogromny postęp młodej stosunkowo nauki jaką są »umiejętności muzyczne«, musi się doznać wrażenia, że dokonano prawdziwych wykopalisk na polu muzyki, zwłaszcza starożytnej i średniowiecznej. Bez kwestyi zachodzi jeszcze wiele wątpliwości i ciemnych miejsc w badaniach przedewszystkiem starożytnej muzyki, a i jeszcze więcej sporów między uczonymi i historykami, ale też już wolni jesteśmy od wszelkich frazesów i »wielkich« słów, które zapełniały z małymi wyjątkami całe stronnice »Historyi muzyki« począwszy od Padre Martiniego (1706—1784), skończywszy nawet na tak kolosalnie zasłużonym historyku tej sztuki jakim był Wilhelm Ambros (1816—1876). Abyć zdać sobie dokładną sprawę z muzyki po Chrystusie, trzeba było uważać zbadanie strony techniczno-teoretycznej za pierwszy warunek *sine qua non*, a więc zbadanie pisma nutowego i jego rozwoju nie tylko w miarę wieków, ale także wśród pewnych dziesiątek lat, zależnie od wzajemnego przenikania się nowych zdobyczy kulturnych nie tylko w poszczególnych krajach i prowincyach, lecz także w dyecezyach, biskupstwach, opactwach a nawet klasztorach. Ulepszenia w systemie pisma nutowego nie były odrazu własnością ogółu — jak to się dzisiaj dzieje, lecz zwolna, wolniej, niżby się spodziewano. Postawmy jako przykład, choćby Polskę, gdzie jeszcze w XIV wieku używano notacyi z XII

stulecia, wiedząc mało o postępie pisma nutowego we Włoszech, Francyi, Hiszpanii, Niederlandach i Anglii. A więc mamy tu na myśli paleografię muzyczną. Posiadając tę wiedzę można było bez większych trudności dojść do źródeł z pierwszej ręki. Bez wyjątku rozwój pisma nutowego jest zasługą wiekopomną średniowiecznych klasztorów, zakonników, którzy życie swe poświęcali na to, aby potomna ludzkość nie stąpała po żmudnych i niepewnych drogach wszelkich teorematów. Rozwijała się muzyka w klasztorach — oczywiście muzyka religijna, mająca na celu li tylko zbudowanie i zwracanie się do Boga, muzyka działająca do dziś dnia jakimś ogromem wyrazu i siły słowa, choć jest tak prostą — i słusznie mówi sławny i pełen niezwykłych zasług Fr. Aug. Gevaert w swej mowie, mianej na posiedzeniu brukselskiej akademii sztuk w dniu 27 paźdź. 1889, p. t. *„Les origines du chant liturgique“* (str. 7): »Taka melodya z V wieku jak np. *Te Deum Laudamus* zawsze jeszcze masy porwie swym kolosalnym wyrazem i siłą, podczas gdy arcydzieło religijnej sztuki Renesansu *Stabat Mater* Palestriny pozostaje dla szerokiej publiczności księgą o 7 pieczęciach i przemawia tylko do mniejszości z wyższem wykształceniem muzycznem«. Jeśli chodzi o to, która to muzyka tak działa, to możemy przyznać pierwszeństwo przedewszystkiem i tylko melodyom gregoryańskim, nad któremi odbywają się bardzo głębokie, szczytne i pełne świetnych rezultatów badania muzyczne, w których brać udział nie tylko uważają sobie za obowiązek najwięksi uczeni, lecz także poprostu udział brać muszą, albowiem jak się potem przekonamy liturgia katolicka opierająca się na melodyach gregoryańskich zajmuje wszystkie karty historyi muzyki wieków średnich. W pracy tej nie będziemy omawiali badań nad pismem nutowem, ani nie będziemy się zastanawiali nad »tonacyami kościelnemi« (autentycznemi i plagalnemi), ich związkiem do greckiej muzyki i do późniejszej teoryi *(organum déchant, faux-bourdon)*, odrzucimy wszelkie ściśle fachowe kwestye [1]; będziemy się posługiwali tylko owocami badań nad tymi czynnikami. Aby zdać sobie sprawę, jakie i jak wielkie badania

[1] Zastanowimy się nad niemi na innem miejscu.

na tem polu powstały, niech nam wolno będzie podać je w zarysie, zarazem jako źródła, któremi posługiwaliśmy się do tej pracy. Liczne cytaty w ciągu pracy uzupełnią to, czego nie możemy ze względu na uniknięcie rozwlekłości podać we wstępie [1].

Podaliśmy tutaj tylko najważniejsze prace z zakresu badań nad kantem gregoryańskim i jego stosunkiem do muzyki średniowiecznej. Największe zasługi ponoszą OO. Benedyktyni z Solesmes (Dom Pothier, Dom Mocquereau, Dom Gueranger) i inni francuscy badacze. Przyznają to nawet dzierżący dzisiaj w nauce umiejętności muzycznych profesorowie niemieccy (np. Riemann, Fleischer, Landberger, Wolfrum, Adler); niemniej jednak godzien jest odznaczenia prof. dr. Piotr Wagner z Fryburga, co zresztą go już spotkało ze strony Stolicy Apostolskiej. Jak w Historyi muzyki wszystko pozostaje z sobą w organicznym związku, świadczy o postępie zdobywania nowych środków wyrazu, tak też i sam śpiew gregoryański nie jest dziełem jednego umysłu ludzkiego — nie powstał odrazu i nie wystrzelił nagle jako »pomysł« czy »wyna-

---

[2] Bibliografia. Louis Lambillotte: *Quelques mots sur la restauration du chant liturgique* (1855 Paris). Tenże: *Esthétique, théorie et pratique du chant grégorien restauré d'après la doctrine des anciens et les sources primitives* (1855 Paris). François Auguste Gevaert: *Leerboek van den Gregoriaenschen zang* (Gandava 1856). Louis Lambillotte: *Antiphonaire de Saint Grégoire* (1859 Paris, Cod. 359 de St. Gallen). *Gregoriusblatt* herausg. v. Böckeler (1876 i nast.) *Monatshefte für Musikgeschichte* (herausg. v. R. Eitner, 1869 i nast.). Wilhelm Ambros: *Geschichte der Musik* (1862—1878, Band II). Don Joseph Pothier: *Les mélodies grégoriennes* (Tournai 1880; przekład niemiecki Kienlego 1881). *Vierteljahrschrift für Musikwissenschaft* (herausg. von Eitner, Chrysander und Adler 1885—1894). Wilhelm Brambach: *Psalterium. Bibliograph. Versuch über die liturg. Bücher des christlichen Abendlandes* (Berlin 1887). *Paléographie musicale* (ed. par. PP. Guéranger, Janssion, Pothier, Mocquereau — Bénédictines des Solesmes [dep. Sarthe] 1889 i nast. Rozprawy: *Antiphonale missarum S. Gregorii«, »Origine et classement des différentes écritures neumatiques«, »Le cursus et la psalmodie«, »Antiphonarium Ambrosianum«* [XII siècle, Cod. addit. 34.209 of British Museum in London], etc.; (rozprawy wydawców wyszły w osobnych odbitkach). Franç. Aug. Gevaert: *Les origines du chant liturgique* (Gand. 1889; tłumaczył na niem. dr. H. Riemann, 1891). P. Cagin: *Un mot sur l'Antiphonale missarum* (Solesmes 1890). *Revue Bénédictine* (1890). *The Musical Notation of the Middle Ages* i inne wydawnictwa Towarzystwa *Plaing Song and Medieval Music Society of London* (pod przewodnictwem biskupa z Salisbury; 1891 i nast.). Dr. Ebner: *Gregor der Grosse und das römische Antiphonar*

lazek«, lecz jest owocem długiego i powolnego rozwoju muzyki chrześcijańskiej; można też bez żadnego wahania się postawić tezę, że ściśle łączy się z poprzednią epoką. To też prof. Wagner bardzo słusznie i trafnie pisze, że z kwestyą pochodzenia śpiewu gregoryańskiego łączy się jeszcze inna kwestya: »Skąd pochodzi śpiew ambrozyański?« Aby to rozstrzygnąć, musimy poznać

I. Rozwój muzyki kościelnej po Chrystusie aż do reformy gregoryańskiej.

Padre Giambattista Martini utrzymuje w swej *Storia della musica* (1757, Tomo I, diss. 3), że psalmy liturgii rzymsko-katolickiej, które jeszcze po dziś dzień się zachowały, pochodzą od Żydów, a nawet wprost od Dawida. To naiwne zdanie powtarzało bezkrytycznie niestety kilku teoretyków. Gdyby nie te ostatnie, moglibyśmy ze spokojem pominąć to bezsilne twierdzenie. Ale ze względu, że pierwsze gminy chrześcijańskie powstały w Palestynie, i to w Jerozolimie, a apostołowie wszyscy z tegoż kraju

---

(*Kirchenmusikalisches Jahrbuch,* Regensburg 1892). Germain Morin: *Les véritables Origines du Chant Grégorien* v. *Revue Bénédictine* 1890; (na niem. tłumaczył P. Elsässer, Paderborn 1892). Guido Maria Dréves (S. I.): *Aurelius Ambrosius der Vater des Kirchengesanges* (Fryburg szwajc. 1893). *Theologische Zeitschrift* (Innsbruck 1894, 3 zeszyt). Dom André Mocquereau: *De l'influence de l'accent tonique et du cursus sur la structure mélodique et rhythmique de la phrase grégorienne* (1895; tłum. niem. 1898 we Fryburgu szwajc.). Tenże: *Origine et développement de la notation neumatique* (1895). Tenże: *L'art grégorien, son but, ses procédés, ses caractères* (1895). Tenże: *Petit traité de psalmodie* (1895). Tenże *La psalmodie romaine et l'accent tonique latin* (1895). Antoine Dechevrens: *Du rhythme dans l'hymnologie latine* (1895). Prof. Dr. Peter Wagner: *Einführung in die gregorianischen Melodien* (Fryburg szwajc. 1895; II wyd. Tom I 1901 tamże). Wilhelm Brambach: *Gregorianisch-Bibliographische Lösung der Streitfrage über den Ursprung des gregorianischen Gesanges* (Lipsk 1895). *Sammlung bibliothekswissenschaftlicher Arbeiten* herausg. von K. Dziatzko, Bd VII). Jules Combarieu: *Essay sur l'archéologie musicale au XIX siècle et le problème de l'origine des neumes* (1896 Paris). Prof. Dr. Oskar Fleischer: *Neumen-Studien* (Berlin 1895—1897). Georges Houdard: *L'art dit Grégorien d'après la notation neumatique* (Paris 1897). Mocquereau: *Notes sur influence d'accent et du cursus tonique latins dans le chant ambrosien* (Solesmes 1897). Georges Houdard: *Le rhythme du chant dit Grégorien d'après la notation neumatique* (Paris 1898). Mocquereau: *Méthode de chant grégorien* (Solesmes 1899), A. Urspruch: *Der gregorianische Choral und die „Choralfrage"* (Stuttgart 1902).

pochodzili, mogłoby niejednego zastanowić, dlaczego pomijamy zdanie Martiniego. Potrzebę tego czuł także W. Ambros zastanawiając się nad tem, czy historya chorału chrześcijańskiego wykazuje jaki związek tegoż ze świątynną żydowską muzyką. Przedewszystkiem nie mamy na to żadnych dowodów, któreby nas upoważniały do przyjęcia tezy Martiniego. Mówi wprawdzie Gevaert o jakimś rzekomym wpływie syryjskiego kościoła, a względnie jej starej metropoli Antyochii, tego na pół semickiego na pół greckiego miasta; zgadzamy się na to, że na liturgię bizantyńską wywarł syryjski kościół wpływ nie tak trudny do oczywistego sprawdzenia — i że następnie, jak to później powiemy, mógł wpłynąć także na liturgię zachodnią przez kontakt z nią za czasów św. Ambrożego i reformy medyolańskiej, zwłaszcza, że kościół wschodni miał pierwej ustaloną liturgię — ale dowodów na to nie ma absolutnie żadnych, źródła zaś z najwcześniejszych wieków chrześcijaństwa są zbyt szczupłe i mało wyraźne, aby można choćby hipotezy budować. Nie mogę sobie wyobrazić, aby uczniowie i »młodzi« Chrystusa mieli czas na obmyślanie liturgii, mając tyle pracy z nawracaniem. Historya śpiewu kościelnego we Włoszech upoważnia nas do tego samego. Gdyby nawet jakieś drobne fazy były odbiciem żywem muzyki żydowskiej, to i tak z biegiem czasu musiałyby ustąpić, a to z tego powodu, że nie były to śpiewy przekazywane na piśmie lecz tradycyjnie, tradycya zaś jako taka zawsze zmienia charakter i rysunek melodyi. Przynajmniej tonacye byłyby zostawiły ślad — ale i tego nie ma A więc pierwszą naszą tezą jest, że śpiew liturgiczny chrześcijański nie miał styczności z muzyką żydowską i nie ma żadnych dowodów przeciw naszemu twierdzeniu. Wiele trudności przedstawia zbadanie stosunku muzyki liturgicznej rzymskiej do muzyki starożytnej grecko-łacińskiej — a to głównie z tego powodu, że źródła informują nas dwuznacznie i kilku wybitnych uczonych (Westphal, Balermann, Gevaert, Sokolowsky, Möhler, Riemann i inni) zbyt daleko się posunęli w swem bez kwestyi szlachetnem uwielbieniu kultury starożytnej, przyznając jedynie na podstawie wątpliwych interpretacyi greckich

tekstów takie właściwości [1], jakich faktycznie nie posiadała, a czego zachowane do dnia dzisiejszego ułomki jej nie stwierdzają. Zastanawiać się zatem trzeba z jak największą ostrożnością, aby nie wkroczyć w dziedzinę domysłów i nie budować pałaców z kart. Niech jako nasze założenie będzie, że rozwoju muzyki kościelnej aż do szóstego wieku po Chrystusie przedstawić nie możemy i nie jesteśmy w stanie, gdyż źródeł na to nie posiadamy. Świadectwa nauki muzycznej z tych czasów muszą być dla nas alfą i omegą. Zapewne pierwsze rytualne melodye były pokrewne śpiewom starożytnym, ale identyczne nie były. Grecka muzyka była na owe czasy już przekwitłym owocem, pomniki zachowane odznaczają się innym charakterem i nie nadają się do recytacyi, głównej cechy liturgicznego śpiewu. Isidorus mówi [2]: »Primitiva ecclesia ita psallebat, ut modico flexu vocis faciebat psallentem resonare, ita ut pronuntiati vicinior esset, quam canenti«. Grecka melodya była co do rytmu bardzo ściśle związana z tekstem i nie znała rytmiki ściśle muzycznej. Nie można co prawda dać stanowczej odpowiedzi na to, czy najdawniejsze śpiewy liturgii łacińskiej miały bliższy związek z chromatyzmem (euharmoniką) starożytną; także środki jakimi rozporządzamy nie mogą nas upoważnić do rozstrzygającej odpowiedzi. Wobec tego mógłby ktoś się zapytać o stosunek tej muzyki do współczesnych teoretyków. Autorytetem na polu teoryi był wtedy Boëtius (ur. 470). Pisarze średniowieczni nazywają go *vir doctissimus, eruditissimus, disertissimus, genere et scientia clarissimus, panditor artis.* Są to słowa tak wielkich teoretyków średniowiecznych jak Hucbald, Theogerus z Metzu, Franco z Kolonii. Nawet papież Jan XXII powołuje się na niego w Decretale przeciw menzuralnej muzyce skierowanem (z r. 1322). (Obok Boëtiusa zażywali sławy Martianus

[1] Rudolf Westphal pisze w *Die Musik des griechischen Altertums* (Lipsk 1883, str. 11): »Es bedurfte auch der Phantasie (!) des kritischen Sammlers(!), jener divinatorischen (!) Phantasie (!) des Künstlers (!), welche schon ehe (!) er sein Werk im Einzelnen (!) vollständig (!) ausgearbeitet hat, diese Einzelheiten gewissermassen (!?) vorher fühlt«. Gdzież więc jest ta *Voraussetzungslosigkeit?* Dodajmy, że jedni uczeni drugim zarzucają fałszywe interpretacye.

[1] Migne: *Patrologia lat.* tom 83, Sp. 742.

Capella autor »Zaślubin Merkurego i Filologii«, oraz Aurelius Cassiodorus Magnus autor »De artibus ac disciplinis liberalium artium«). Jako kwintessencyą nauki Boëtiusa niech nam posłuży jedno zdanie z jego dzieła[1]: »Unde fit ut cum sint quatuor matheseos disciplinae, ceterae quidem ad investigationem veritatis laborent, musica vero non modo speculationi, verum etiam moralitati coniuncta sit«. Nauka Boëtiusa była »laboratoryum dla fantastycznych celów« i »filozoficzną fenomenologią muzyki«. Oparł się na tychsamych podstawach, które służyły Pitagorasowi, Aristoxenosowi, Nikomachosowi i Ptolemeusowi. Zbadał tylko naukową podstawę muzyki, dla praktycznych i twórczych celów był zupełnie niedostępnym i niepotrzebnym dla zawodu muzycznego. Najznakomitszy teoretyk=praktyk średnich wieków Guido d'Arezzo († 1050) wyraził się o Boëtiusie temi słowy: »...Boëtium in hoc non sequens, cuius liber non cantoribus, sed solis philosophis utilis est«[2]. Prawie z lekceważeniem wyraża się o nim drugi wielki teoretyk Wilhelm von Hirschau († 1091). Ambros zaś pisze w swej »Historyi muzyki« (Tom II, str. 40): »Dass die Musikforscher des Mittelalters (mit Ausnahme des durch und durch praktischen Guido von Arezzo) solches nich einsahen und die Begriffe philosophischer und praktischer Musiklehre fostwährend verwirrten und durcheinanderwarfen, war vielleicht der schlimmste Schade, den ihr Studium des Boëtius verschuldete«. Muzyka chrześcijańska rozwijała się niezależnie od współczesnych teoretyków, co nie jest bynajmniej dziwnem, gdyż dzisiaj mamy dowody tego samego objawu. Twórczość Ryszarda Straussa pozostawia teoretykom wiele trudnych problemów do rozstrzygnięcia, o których przedtem nie marzyli. A przecież ten kompozytor nie jest teoretykiem, ani na zagadki teoretyczne się nie sili. Wracając do kwestyi ewentualnego podobieństwa muzyki kościelnej chrześcijańskiej, do muzyki archaicznej musimy zwrócić uwagę

---

[1] *De musica* liber I, cap. I.

[2] v. Gerbert: *Scriptores ecclesiastici de musica sacra potissimum* 1784, II tom, str. 50.

przedewszystkiem na znakomitą i pierwszorzędną pracę oryentalisty francuskiego Piotra Aubry p. t. »Le rythme tonique dans la poesie liturgique et dans le chant des Églises chrétiennes« (1903, Paris). Aubry nie tylko jako oryentalista, socyolog, filolog lecz i jako muzyk zasługujący na największe uznanie, odbywał podróże na wschód, celem zbadania liturgicznego śpiewu i ewentualnej jego zależności we Włoszech i na zachodzie od wschodnich kościołów. W wielu pracach umieszczanych w wydawanem przez siebie znakomitem piśmie »La Tribune de St. Gervais« (od r. 1902) jakoteż w wyżej wymienionej pracy udowadnia, że śpiew liturgiczny używa akcentu zależnego od właściwości języka nie zaś od kwantytawności zgłosek dla określenia ścisłego związku tekstu i melodyi. Liczne facsimilia i dowody złożyły się na to, że upadły odrazu wątpliwości co do swobody i niezależności śpiewów liturgicznych zachodniego kościoła od muzyki archaicznej, greckiej. Nie są to nowe twierdzenia. Ambros stawiał je nieśmiało, ale zawsze miał to przekonanie. Wagner jakkolwiek nie daje argumentów przekonywujących — utrzymuje, że »psalmodya łacińskiego kościoła zdaje się nie polegać ani na hebrajskiej ani na greckiej sztuce; jest naturalnym produktem, naturalnym wynikiem ówczesnych stosunków« (Op. cit. str. 14). Że twierdzenia Aubry'ego nie ulegają wątpliwości, dowodzą początki pisma nutowego — neumy, które należy uważać za znaki akcentu gramatycznego. Twierdzenia Gevaerta, przyznające muzyce greckiej wpływy na muzykę kościelną łacińską zostały przez tego uczonego znacznie nadwyrężone. Że t. zw. tonacye kościelne stały w związku ze starogreckiemi tonacyami, w to nie wątpimy; od ósmego stulecia rozwijał się dyatoniczny system — możliwe jednak, że już przedtem skłaniała się muzyka kościelna do tej zmiany [1]. Ewentualny wpływ wschodniego kościoła byłby może widocznym w niektórych formach śpiewu liturgicznego łacińskiego. W Syryi wprowadził św. Ignacy († 116) antyfonę. O Bazylim Wielkim, biskupie cezarejskim (Kappadocya) utrzymują

[1] Por. Riemann: *Geschichte der Musiktheorie* str. 7 i nast.

niektórzy teoretycy, że w Psalmach naśladował Pindara(!!). Ale porządku liturgicznego nie zaprowadzono na wschodzie przez czas dość długi — nawet dziś mimo badań Chrysanthosa, Kiesewettera, Pitry, Christa, Paramkasa, Zezesa, Riemanna, Reimanna, Wosniesienskija, Thibauta i innych nie posiadamy o liturgii bizantyjskiej należytego wyobrażenia. Prócz Psalmów były używane w kościele łacińskim ὕμνοι hymny i ὠδαὶ πνευματικαί. Nazwy tych form były także wzięte do liturgii łacińskiej na oznaczenie pewnych liturgicznych śpiewów. Z tych ὠδαί nie pozostało wkrótce ani trochę śladu. Hymny dostały się na zachód przez Hilarego z Poitiers († 369), tem łatwiej, że miały cechę śpiewu ludowego. Prócz tego w użyciu był t. zw. *cantus responsorius;* lud powtarzał to, co śpiewak przedtem intonował — w całości lub częściowo. Wreszcie istniał »antyfoniczny śpiew psalmowy«, czyli śpiewanie dwu chórów naprzemian po jednym wierszu psalmu. Dodać jednak należy, że śpiewano także psalmy bez przerywania, czyli używając technicznego wyrażenia *in directum.* Wszystkie te części objęto nazwą *cursus ecclesiasticus.* Rozwoju śpiewu liturgicznego aż do V wieku absolutnie nie znamy. Gdyby istniały także liturgiczne śpiewy gelazyańskie moglibyśmy sobie odtworzyć te stadya rozwoju. Bez tego próżne wysiłki! Materyałów brak, domysły do niczego nas nie zaprowadzą.

Wiemy tylko, że obszar nut nie był wielki: ponad kwintę nigdy nie przechodził. Główny nacisk kładziono na słowa i baczną zwrócono uwagę na to, aby żadne kacerstwa nie miały dostępu do tekstów. Wykluczono chromatyzm starożytny i wszelką instrumentalną muzykę. Św. Hieronim (340—420) wyraził się nawet w ten sposób: »Chrześcijańska dziewica nie powinna wcale wiedzieć, co to jest flet lub lira«. Było to skierowane przeciw pogańskiej teatralnej muzyce; Kościół zaś żądał także od muzyki zbudowania. Najodpowiedniejszą do tego była starożytna tonacya dorycka (D—d), »będąca wyrazem wstydliwości i czystości«. Od niej wyprowadzono t. zw. cztery tony kościelne (4 autentyczne + 4 plagalne). Te ostatnie (plagalne) są — jak wskazuje nazwa — tonami pochodnimi, wyprowadzonymi od autentycznych:

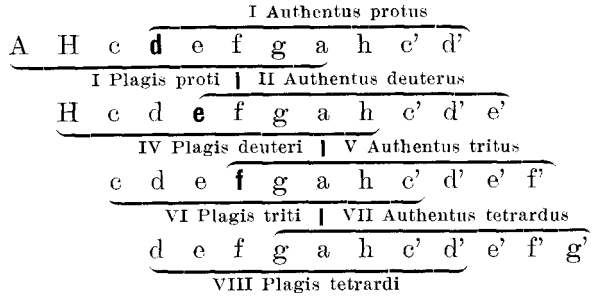

II. Ambrozyańskie melodye.

Otóż naukę o tych czterech tonacyach kościelnych przyjął do Włoch i Kościoła zachodniego św. Ambroży, biskup medyolański (374—397). Isidorus Hipalensis mówi o nim[1]: »Apud Latinos primus idem beatissimus Ambrosius antiphonas constituit, Graecorum exemplum imitatus«. «Antiphonas Graeci primum composuerunt. Responsoria ab Italis longo ante tempore sunt reperta«. — To samo poświadcza Aurelianus Reomensis (wiek IX). Möhler posuwa się jeszcze dalej, twierdząc prawdopodobnie zupełnie słusznie, że zaprowadził śpiewanie psalmów i hymnów w sposób antyfoniczny i responsoryalny naśladując zwyczaj oryentalny[2]. Jak wyglądały te melodye ambrozyańskie, które w znacznej części twórczości św. Ambrożego przypisują, tego nigdy nie będziemy wiedzieli. Wiemy, że były zbudowane metrycznie i uwzględniały kwantytatywność zgłosek. Mogły być z początku rodzajem monotonnej kantylacyi albo recytacyi (Ambros II 19). Święty Augustyn świadczy, że melodye gregoryańskie wywierały na lud ogromne wrażenie tą uroczystą powolnością i miarą *(Confessiones)*.

Te nowe normy św. Ambrożego miały tem większą popularność, że przyznawały ludności udział w śpiewie kościelnym. Rozszerzyły się dość szybko we Włoszech i mimo reform późniejszych utrzymały się bardzo długo[3] (nawet do naszych czasów!).

[1] *Eccl. offic.* Liber I, cap. 7.

[2] *Geschichte der alten und der mittelalterlichen Musik.* Lipsk 1900, str. 63 i 64.

[1] P. Ambrosius Kienle: *Über ambros. Liturgie und ambr. Gesang* w *Studien und Mitteilungen aus dem Benediktiner- und Cisterzen-Orden.* 1884, str. 34 Pinast. — Również dzieła Drevesa i Morina.

Ambrozyańskie melodye znajdują się w rękopisach w Medyolanie, Solesmes, Londynie (British Museum), Maggiasca (pod Medyolanem), Marsylii i Silos (Hiszpania). Te źródła wydają od r. 1889 Benedyktyni z Solesmes w *Paleogr. mus.* Trudno jest przyznać wszystkie zachowane pod nazwą ambrozyańskich hymny św. Ambrożemu. Z pośród tych hymnów, które są jeszcze dzisiaj w użyciu, zasługują na wymienienie: 1. *Aeterne rerum conditor.* 2. *Deus creator omnium.* 3. *Veni redemptor gentium.* 4. *Splendor paternae gloriae* 5. *O lux beata trinitas.* Słynne *Te Deum laudamus* jest prawdopodobnie tylko co do tekstu utworem św. Ambrożego. Niektórzy uczeni przytaczają dowody, że dopiero w 100 lat po św. Ambrożym mógł ten hymn powstać. Również słynny hymn *Crux fidelis (Pange lingua)* mógł powstać tylko w tych czasach. Znajdujemy go w słynnym antyfonarzu z St. Gallen, wydanym przez Dom Pothiera w *Pal. mus.* — Jako przykład podajemy hymn *Te Deum* w 1 notacyi nowożytnej Dom Pothiera:

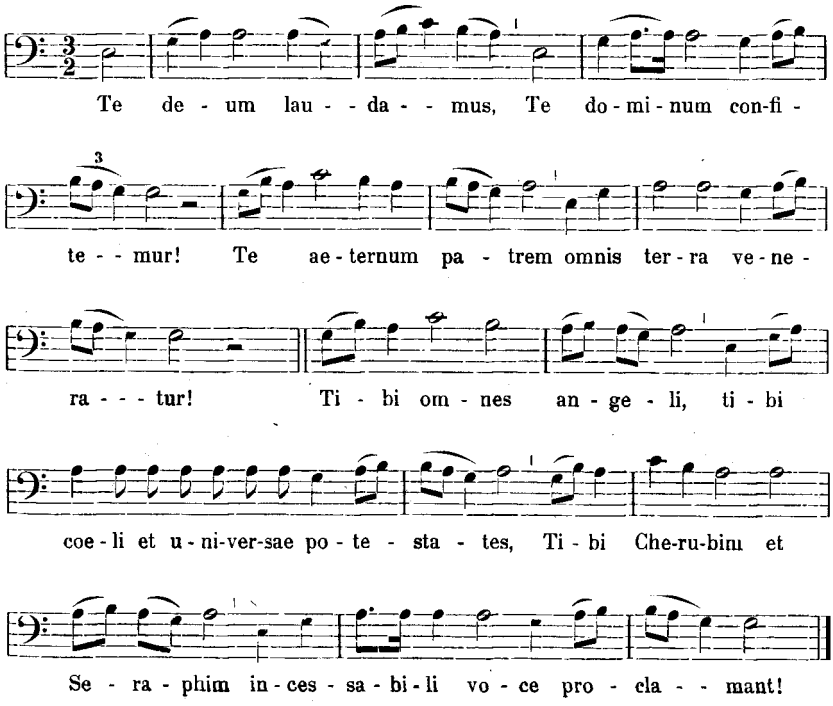

Usiłowania św. Ambrożego znalazły wielką podporę w Grzegorzu z Tours, który śpiew ambrozyański rozszerzał w Gallii i Anglii. Utrzymywał on się tam wieki, pomimo, że reforma gregoryańska także i tam była przeprowadzoną. Już ten hymn *Te Deum* jest bardziej skomplikowanym w rysunku melodyi aniżeli inne, mające bardziej archaiczny charakter. Np.:

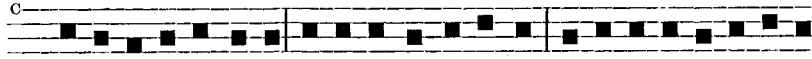

Credo in u-num Deum, Patrem o-mni-po-ten-tem, fac-to-rem coe-li et ter-rae

Te dwa przykłady wystarczą nam, aby dojść do przekonania, że melodye liturgiczne były zrazu o wiele prostsze, aniżeli później. Na każdą zgłoskę wypadała jedna nuta. Później otrzymywała zgłoska akcentowana kilka nut. To nazywało się melismatem. Otóż kwestya melismatów jest ściśle złączona z rozwojem muzyki liturgicznej i należy do najtrudniejszych kwestyi. Pierwszy początek melismatów wyszedł z tego, że na końcu wiersza recytowanego tekstu następowało podniesienie i »zgięcie« głosu (kadencya). Było to także początkiem podniesienia recytacyi do melodyi. Musiało to nie nastąpić od razu, gdyż jest to historyczną niemożliwością. W wiekach średnich nie znano towarzyszenia instrumentalnego ani harmonii nie używano. Dzisiaj nikt nie pomyśli inaczej melodyi jak tylko z towarzyszeniem harmonicznem lub przynajmniej jednogłosowem. Wtedy musiano samą melodyą wyrazić to, co dzisiaj wyrażamy melodyą i harmonią.

Gevaert[1] upatruje w melismatach produkt bizantyński, to samo Dreves[2]. Niczego wykluczać nie można. Cokolwiekbąd zdobniejsza melodya była — jak Wagner[3] pisze — »artystyczną koniecznością«. Ze stanowiska polifonicznego i harmonicznego są te melismaty dziwactwem, balastem. Tylko ze stanowiska homofonii są one usprawiedliwione. Kiedy zaczęły wchodzić w użycie — tego nie wiemy, uczeni spierają się o wiek. W czwartym lub piątym wieku mógł Kościół rozwijać się zupełnie swobodnie; możliwe, że

[1] *Le chant liturgique.* Gand 1890.
[2] *Ambrosius.* Freiburg 1893.
[3] Op. cit. 27.

z końcem czwartego lub w połowie piątego wieku zaczęły się pojawiać melodye zdobniejsze. W każdym razie w VI wieku już były, bo w tym czasie śpiew liturgiczny był już gotowy [1]. Przypuszczać nadto należy, że śpiew ambrozyański posiadał bardzo niewiele melismatów; hymny jego miały dość styczności z ludowym śpiewem, który się tem odznaczał, że zgłoska odpowiadała nucie; był to śpiew syllabiczny i zrazu tylko na ostatniej głosce robiono melismat. Te ozdoby artystyczne rosły ciągle, wreszcie doszły do takiego rozmiaru i takiej przesady, jak w polifonii przesadzili Niderlandczycy, jak w wyrafinowanej instrumentacyi przesadzili niektórzy dzisiejsi kompozytorowie *minorum gentium*. Czem Palestrina stał się dla muzyki wielogłosowej wobec przesady Holendrów, wogóle całej szkoły kontrapunktycznej, tem wobec ambrozyańskiego śpiewu był Grzegorz Wielki. Nie wchodzę tutaj na razie w to, czy rzeczywiście Grzegorz święty był tym reformatorem — to będzie przedmiotem innego rozdziału. Podobnie jak melodye nazwane ambrozyańskiemi są tylko w małej liczbie melodyami św. Ambrożego, tak samo gregoryański śpiew jest nazwą ogólną, gdyż ani jedna gregoryańska nie jest dziełem św. Grzegorza. Jest to tylko nazwa ogólna, bynajmniej — jak ujrzymy — nie oznaczająca czegoś oryginalnego, lecz tylko — jak to udowodnimy — śpiew reformowany, tem bardziej, że nie od razu lecz zwolna zdobywał sobie uznanie, stoczywszy niemal spór ze zwolennikami melodyi ambrozyańskich, tuż w ich siedzibie — w Medyolanie. Przekonamy się również, że św. Ambroży i Grzegorz Wielki są to etapy w rozwoju liturgicznego śpiewu zachodniego Kościoła, nie zaś oryginalne dzieła, wypływające li tylko z artystycznej potrzeby wypowiedzenia się.

III. Śpiew gregoryański.

Ambrozyańskie melodye były bądź co bądź dość płynnym recytatywem, w którym melismaty były dość usprawiedliwionem znamieniem, choćby tylko ze względu na siłę akcentu. Melodye

[1] Cf. Kienle: *Choralschule* 107; Pothier: *Chor. greg.* 143. *Expositio in psalmum* 104; Migne: *Patr. lat.* 70, Sp. 742, 37 Sp. 1272, Dom Mocquereau: *Pal. mus.* II.

gregoryańskie, które, jak wskazują śpiewy mszalne rzymskiej liturgii adwentowej, były w każdym razie wzorowane na ambrozyańskich, odznaczają się i zwięzłością i melodyjną pięknością. W śpiewach ambrozyańskich znaczyła bardzo wiele jednostka śpiewająca. Śpiewak liturgiczny korzystając z giętkiego głosu swego pozwalał sobie na liczne dowolności charakteru popisowego, kładąc melismaty na melismatach, jak to świadczą t. zw. Allelujowania. W rzymskiej resp. gregoryańskiej melodyi widać przedewszystkiem dążność do motywicznego, logicznego rozwoju melodyi i do jej prostoty. Wystarczy mały przykład! Początek Introitus'u na Niedzielę Palmową brzmiał w ambrozyańskiej melodyi:

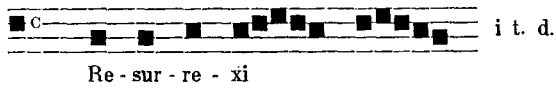

W gregoryańskiej zaś w następujący sposób:

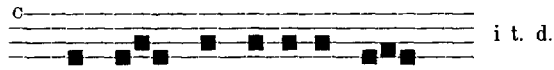

Postęp, jakim widocznie odznaczają się melodye gregoryańskie w porównaniu z ambrozyańskiemi, zasadza się na tem, że nie tony pojedyncze, lecz grupy tonów i ściśle muzyczne powiązania ich mają przewagę. W homofonicznej, jednogłosowej muzyce pojedynczy ton nie ma znaczenia, jeśli się nie bierze pod uwagę tonów przed i po nim idących [1]. Logiczne następstwo grup tonów jest najważniejszą zasługą śpiewu gregoryańskiego. Niejednego w nim pojąć nie możemy, ponieważ przyzwyczailiśmy się patrzeć nań oczami nowożytnemi. Tworzyły się też linie symetryi i miary. Dla praktycznych celów zachowała się w śpiewie gregoryańskim recytacya. W śpiewie ambrozyańskim melismaty i zdobnicze elementy znajdowały się na końcu wiersza, gregoryański śpiew dodał je na początku i w środku. To też gregoryańska melodya odznacza się tą formą, iż jest wzniesieniem się, potem spoczynkiem, wreszcie kadencyą. Przez odrzucenie wielu niepotrzebnych melismatów i dodanie ich tam, gdzie podnioślejsze miejsca

[1] Wagner op. cit. 32.

tekstu tego wymagały, związał się tekst z melodyą i nabrał plastyki. Nawet pomiędzy temi wznoszeniami się i kadencyami melodyi panuje symetrya. To wszystko czyni, że mamy wrażenie, jakby melodye gregoryańskie pochodziły od jednego twórcy, względnie redaktora, tak że można z nich wysnuć jednakie prawa dla melodyi i rytmu. Według J. Franchina Gafurio z XV w. miał Rudolf von Tongern (XIV w.) wyrazić się, że melodye gregoryańskie w porównaniu z ambrozyańskiemi są *magis plane dulcoratae et ordinatae.*

Najważniejszem jednak pytaniem jest, skąd pochodzą melodye gregoryańskie. Od r. 1890, t. j. od wyżej wspomnianego dzieła Gevaerta toczy się w tej kwestyi zacięty

IV. Spór o pochodzenie melodyi gregoryańskich.

Tradycya przyznaje zasługi Grzegorzowi Wielkiemu, który był papieżem od 590 do 604. Biograf tego Świętego, Benedyktyn Iohannes Diaconus (około 882) określa działalność Grzegorza W. słowami: »Antiphonarium centonem cantorum studiosissimus nimis utiliter compilavit; scholam quoque cantorum... constituit« [1]. »Antyfonarz« jest to nazwa na wyrażenie wszystkich kościelnych oficyów i mszy, wyraz *cento* zbiór różnych części w jedną całość. A więc św. Grzegorz zebrał różne liturgiczne śpiewy w całość jedną, pousuwał niepotrzebne — zdaniem jego — śpiewy i nie nadające się do dalszego użytku części śpiewów i uczynił całość będącą dla Kościoła kanonem. Zredagował śpiew ambrozyański nic nowego nie chcąc tworzyć, i to była jego czynność. Aby zaś prędzej wszedł jego czyn w użycie, założył szkołę śpiewaków liturgicznych, w której sam uczył — według dalszych słów Jana Dyakona. Hymny, na które w liturgii ambrozyańskiej kładziono nacisk, w znacznej części wyłączył, główny nacisk położył na antyfony i gradualia, które św. Ambroży wprowadził. W różnych krajach powstałe formy *officium* także znalazły uwzględnienie przez św. Grzegorza. Ta tradycya trwała do r. 1890, w którym Gevaert wystąpił ze swą rozprawą *Les orig. du chant*

[1] *Vita Gregorii Magni*, Liber II, cap. 6.

liturgique; odmawia on wszelkich zasług św. Grzegorzowi a Janowi Dyakonowi wiarygodności. Zdaniem jego raczej Grzegorzowi II (715—731) lub III († 741) możnaby przypisać redakcyę antyfonarza, zwanego »gregoryańskim«.

Twierdzenia swoje popiera Gevaert następującymi argumentami:

1) Iohannes Diaconus nie jest wiarygodnym, ponieważ jego twierdzeń nikt później nie poparł; podobnej wiadomości nie znajdziemy u Izydora z Sevilli, żyjącego współcześnie z Janem Dyakonem, ani u Wielebnego Bedy, z następnego stulecia, zwłaszcza że zajmowali się liturgią bardzo gruntownie i obaj byli pisarzami muzycznymi.

2) Grzegorz W. pozostawił wiele pism i 800 listów, w których ani słowa niema o reformie lub śpiewie liturgicznym. Zajęcia jego pod względem rządzenia i polityki były tak absorbujące, że trudno jest pojąć, jak mógł znaleźć czas na reformy muzyczne, które tak wielkie następstwa za sobą pociągnęły.

3) »Gregoryański antyfonarz«, na którym opiera się Jan Dyakon nie stoi w żadnym związku z kalendarzem kościelnym z czasów Grzegorza W., lecz z czasów Grzegorza III, któremu należałoby przypisać rzeczone zasługi.

4) Od VI wieku (552) rozpoczął się wpływ bizantyński na liturgię zachodnią, który objawił się przedewszystkiem w bardzo ozdobnym, pełnym melismatów śpiewie, w licznych wokalizacyach i arabeskach, często beztekstowych, a przedewszystkiem w używaniu greckich słów w tekście. Jedenastu papieży greckiego pochodzenia panowało prawie 100 lat (678—752); Agaton (678—681) uregulował podobno antyfonarz, zwany w VIII wieku *Responsale*, Sergiusz I (687—701) miał wprowadzić 4 tony kościelne z plagalnymi. Ci greccy papieże mogli wprowadzić liczne melismaty do śpiewów liturgicznych.

Gdybyśmy porównali wywody uczonych, przekonalibyśmy się, że każdy z nich przytacza argumenty z pism średniowiecznych, których wiarogodność jest podejrzaną i sprzeczną i może każdemu służyć do zbijania wywodów drugiego.

Rozprawa Gevaerta wywołała szereg dzieł *contra,* przema-

wiających jednogłośnie za tradycyą. Cagin, Benedyktyn z Solesmes, wydał rozprawę *Mot sur l'Antiphonale Missarum* (1890), w którym podaje kilka argumentów, przemawiających za tradycyą. Mianowicie: teksty kommunii dla dni zwyczajnych są wyjęte z psalmu 1—26 z Postu Wielkiego, z wyjątkiem czwartków, które leżą poza tym porządkiem liturgicznym. Ustanowione zostały przez Grzegorza II, a więc tekst i melodye przeznaczone na inne dni postu musiały być przedtem ustanowione. Nowe argumenty przytoczył Benedyktyn Germain Morin w *Les véritables Origines du Chant Grégorien* (1890). Odznaczył się jednak najwięcej Dom Mocquereau *(Pal. Mus.)*. Pomiędzy prologami gregoryańskimi znajduje się jeden z VIII wieku, który jest już kompilacyą. Angielski biskup św. Adelhelmus (639—709) opisuje dni świąteczne, wspominając o antyfonach, psalmach, hymnach i responsoryach, jako składowych częściach antyfonarza. Mocquereau wskazuje dalej (*Pal. mus.* IV), że liturgiczne psalmowe melodye opierają się na t. zw. »kursach«, czyli regularnie powtarzających się rytmicznych kadencyach na końcu peryodów lub także części peryodów, i to bez względu na melismatykę. W *Paléogr. mus.* wykazano, że między VII a XI wiekiem zniknęły »kursy«, a więc koło r. 600 były już te psalmy ukonstytuowane. Słynny filolog i bibliograf Wilhelm Brambach[1] udowodnił bibliograficznie, że wszelkie zasługi koło gregoryańskiego śpiewu należy przyznać Grzegorzowi Wielkiemu. Przedewszystkiem Brambach na przykładach udowodnił, że Jan Dyakon jest wiarogodnym biografem. Następnie wykazuje, że mnich z Reichenau Walafried Strabo (807—849) i bibliotekarz tego klasztoru Reginbert to samo przypisuje Grzegorzowi Wielkiemu. Ale i Wielebny Beda mówi o zasługach Grzegorza św. w *Historia Ecclesiastica Anglorum* IV, 1 i IV, 8 [16]. Także świadectwem Adelhelma z Canterbury nie należy pogardzać. Że Grzegorz W. zajmował się reformą śpiewu liturgicznego, świadczy o tem dekret synodalny z 5 lipca 595[2].

---

[1] *Gregorianisch-Bibliogr. Lösung der Streitfrage.* 2 wyd. 1901.

[2] »In Sancta Romana Ecclesia... dudum consuetudo est valde reprehensibilis exorta, ut quidam ad sacri altaris ministerium Cantores eligantur et in diaconatus ordine constituti, modulationi vocis inserviant... Unde fit

Podczas gdy Gevaert w swych badaniach uwzględnia tylko Antyfonarz, Brambach bierze pod uwagę Sakramentarz czyli *Missale* w typie gelazyańskim i gregoryańskim. Wprawdzie znowu nie uwzględnia śpiewów *Officium* (starego *Responsale*), ale też Dr. Ebner zdając sprawę z książki Brambacha w *Kirchenmusikalisches Jahrbuch* (1892) zwraca uwagę na to pisząc: »Nasza liturgia i nasz liturgiczny śpiew polegają na tej podstawie, którą im dał pewien Grzegorz, a tym jest pierwszy co do imienia swego; posiadamy jednak śpiew i liturgię w tej formie, jaką otrzymały za czasów karolińskich«. Brambach przytaczając inwentarz z Aquilcourt z czasów Karola W. (str. 7 op. cit.) udowadnia, że istniały wtedy mszały gelazyańskie i gregoryańskie. Te ostatnie przyjął Karol W., gdy zadekretował przyjęcie rzymskiego obrządku. Nazwa »gregoryański« może być skierowaną ku temu Grzegorzowi, którego »Sakramentarz stacyjny« przyjęli Frankowie. Grzegorz III nie mógł być nim, gdyż źródła świadczą, że Grzegorz II rozszerzył ten Sakramentarz przez dodanie mszy na postne czwartki. »Rozchodzi się tu tylko o uzupełnienie, a nie większe dzieło liturgiczne. A to musiało poprzedzić fakt powyższy. Jeśli zaś pochodzi od Grzegorza, to mógł nim być tylko Grzegorz I«. Także co do zależności od bizantyńskiej liturgii nie można odnieść z porównania semeiografii bizantyńskiej i neum innego wrażenia, jak to, że są to niezależne od siebie systemy; nadto, że neumy nie mogły powstać u Karolingów pod wpływem bizantyńskim, lecz pochodzą tylko z czasów Grzegorza I.

Jak widzimy liczne *pro* i *contra* nie pozwalają nam dać stanowczej odpowiedzi na te liczne kwestye. Zródła są sprzeczne, uczeni uwzględniają w swych rozprawach nie cały materyał i czynią sobie z tego zarzuty tendencyi i nieobjektywności. Ponieważ

---

plerumque, ut ad sacrum ministerium dum blanda vox quaeritur, quaeri congrua vita negligatur, et cantor minister Deum moribus stimulet, cum populum vocibus delectat. Qua in re praesenti decreto constituo, ut in hac sede sacri altaris ministri cantore non debeant, solumque Evangelicae lectionis officium inter missarum solemnia exsolvant. Psalmos vero ac reliquas lectiones censeo per subdiaconos vel si necessitas fuerit, per minores ordines exhiberi«. *V. S. Gregorii* op. ed. Maurin II, col. 1288.

Benedyktyni z Solesmes i liczne rozprawy oświadczają się za tradycyą, przyznającą Grzegorzowi I zasługi koło liturgicznego śpiewu gregoryańskiego, więc trudno nam się opierać zwłaszcza takim wielkim uczonym jak Pothier lub Mocquereau.

Gregoryański śpiew objął wszystkie kulturalne kraje. We Włoszech utrzymała się tradycya ambrozyańska w Medyolanie, potwierdzona przez papieża Aleksandra VI (1497), aż po dziś dzień. We Francyi znikła gallikańska liturgia, skoro Karol W. zaprowadził rzymską. W XI wieku ustąpiła w Hiszpanii mozarabska liturgia przed gregoryańską. Wiemy, że Grzegorz W. wysłał do Anglii 40 kapłanów i śpiewaków w roku 596, którzy śpiew liturgiczny z powodzeniem zaprowadzili w tym kraju, założywszy siedzibę swą w Kent. Podobno pierwsze kopie Antyfonarza gregoryańskiego są właśnie angielskie *(British Museum)*. Wściekłość reformatorów zniszczyła niestety bardzo wiele tych zabytków, z których niejeden byłby rozstrzygającą odpowiedzią co do pochodzenia gregoryańskiego śpiewu. Z Anglii przeniosła się liturgia gregoryańska do Niemiec, gdzie St. Gallen stało się kolebką muzyki choralnej. Liczne *scholae cantorum* przyczyniły się niemało do szerzenia nowego śpiewu. Nakoniec możemy powtórzyć za Ambrosem[1]: »Kraje, które przyjęły śpiew gregoryański, były wszystkie powołane do tego, aby się stać kolebką muzyki«.

Adolf Chybiński.

---

[1] 3 wyd. II, 129, op. cit.

DOKTRYNA LWA TOŁSTOJA.

(Dokończenie)

V.

Genezę i rozwój poglądów Tołstoja śmiało zaliczyć można do rzędu rzadkich zjawisk w dziedzinie psychologii. Genialny pisarz i estetyk, subtelny znawca duszy ludzkiej, człowiek, stawiający za swe jedyne zadanie dojść do poznania dobra, ten człowiek, po długiem szamotaniu się ze złem w sobie i naokoło siebie, po długiem błąkaniu się w ciemnościach, bierze wreszcie do rąk ewangelię, jedyną księgę, która może wskazać mu prawdę i ukoić zbolałą jego duszę. Ktoby się był spodziewał, że trzymając w ręku pochodnię, pogrąży się on w większe jeszcze ciemności, że zwrotem swym ku Chrystusowi rozpocznie zaciętą kampanię przeciw Jego nauce i Boskiej Jego instytucyi — Kościołowi?

Jak się to stało?

Zwróćmy się jeszcze raz ku osobie wielkiego pisarza: może zdołamy wykryć te psychologiczne czynniki jego natury, które uczyniły zeń twórcę antychrześcijańskiej i antyrozumowej teoryi religijnej. On sam upoważnia nas, abyśmy źródła jego poglądów szukali nie tyle w dziełach innych myślicieli, jak raczej we własnej jego duszy, skoro wyznaje, że tworzył taki sposób pojmowania chrystyanizmu, jaki bardziej odpowiadał wewnętrznemu jego uczuciu. Chodzi więc tylko o to, aby ten złożony snop subjektywizmu przepuścić przez pryzmat analizy i w pojedynczych

promieniach wytropić zarodki poszczególnych charakterystycznych cech jego doktryny. Aby jednak dokładnie wystudyować duszę Tołstoja, nie dosyć zapoznać się z urzędową tylko jego spowiedzią. Wyznania jego z przed dwudziestu pięciu lat, jakkolwiek niełatwo pomawiać je o rozmyślną nieszczerość, są jednak, bądź co bądź, płodem sztucznie wywołanej refleksyi i dość wyraźnej tendencyi do oskarżania siebie i społeczeństwa, i jako takie nie mogą być wolne od pewnych niedokładności, uogólnień, a może i przesady. Wielką natomiast usługę oddaje psychologowi zewnętrzny bieg życia i działalności Tołstoja, a największą — powieściowe jego utwory, w których, jak w zwierciedle, odbija się dusza samego autora ze wszystkiemi swemi wątpliwościami, poglądami, uczuciami, w miarę jak je on sam przeżywał i odczuwał. »W literaturze wszystkich wieków i narodów — powiada utalentowany pisarz Mereżkowski — nie znajdziesz drugiego autora, któryby, podobnie do Tołstoja, z taką otwartością obnażył najściślej prywatną, osobistą stronę swego życia. Wszystkie artystyczne utwory Tołstoja, od pierwszego do ostatniego, to nie co innego, jak ogromny z pięćdziesięciu lat dziennik, jak jedna do nieskończoności drobiazgowa spowiedź«.

Jakże więc reprezentuje się Tołstoj w świetle swych powieści?

Przedewszystkiem dowiadujemy się, że nie tak późno, jak to czytaliśmy w »Spowiedzi«, zaczęła obchodzić go i trapić zagadka życia. W »Zapiskach z dzieciństwa i młodości« czternastoletni Irteńjew, sobowtór Tołstoja, łamie sobie głowę nad jej rozwiązaniem, walczy ze sobą, poznaje nikczemność świata, dochodzi nawet do j a s n e g o przeświadczenia, że trzeba życie zmienić i stać się innym człowiekiem. Zabiera się nawet do ułożenia reguły życia, lecz zrobiwszy na papierze kleksa słownikiem, którego użył zamiast linii, rzuca swój zamiar. W dzieciństwie również analizował swoją duszę i zamyśliwszy się na temat: o czem ja myślę, odpowiadał sobie: ja myślę o tem, o czem ja myślę. A teraz o czem myślę? Myślę o tem, że myślę, o czem teraz myślę i t. d. bez końca. Kiedy się znudził temi refleksyami, rzucił na papier następującą przepowiednię. »Jeśli mi los da doczekać starości,

przekonany jestem, że i wtedy, jako 70-letni starzec, będę tak samo dziecinnie marzył, jak i obecnie«.

Pomimo rzucenia się w wir życia światowego, nie opuszczała nigdy Tołstoja zagadka życia, jak również marzycielstwo i skłonność do autoanalizy, czego dowody spotykamy na stronicach wszystkich utworów powieściowych, w osobie ulubionych bohaterów, aż do Lewina w »Annie Kareninie« włącznie. Po takim umyśle można się spodziewać, że prędzej czy później zwróci całą swą uwagę na kwestye etyczne, wszystkie inne zagadnienia i nauki usuwając na bok. Przez czas niejaki może on wdawać się w kompromisy z opinią mniej czułego na istotne zadanie życia otoczenia, może nawet ze względów ludzkich maskować uśmiechem sceptyka najżywsze poruszenia swego serca, lecz przyjdzie wreszcie czas, że zerwie z konwencyonalizmem i wypowie gorzkie słowa prawdy pod adresem otoczenia i siebie samego.

Niewątpliwym jest więc fakt ciągłego powrotu przed duchowy wzrok Tołstoja piękącej swą żywotnością zagadki bytowania ludzkiego. Znaną rzeczą jest i to, że ilekroć nasuwało się Tołstojowi rozwiązanie owej zagadki, zwracało się ono zawsze na korzyść miłości bliźniego. Skąd jednak, pytamy, wypływały u Tołstoja te altruistyczne popędy? Czy z jasno postawionych rozumowych zasad? Tego nie widzimy ani w dawniejszych, ani w nowszych utworach Tołstoja. Że trzeba kochać bliźniego, to stawało się mu często rzeczą jasną, ale nie zwykł przytaczać źródeł tej jasności. Nawiedzała go ona zresztą już w tym okresie życia, w którym zawcześnie na samodzielne wyrobienie zasad; drogą zaś powagi od nikogo ich również nie nabył. Otoczenie swoje dalsze i najbliższe sam oskarża o brak wszelkich etycznych przekonań; z Kościołem zaś i religią tyle tylko miał styczności, że parę razy przystąpił do obowiązkowej komunii. Altruizm Tołstoja był instynktowym raczej, niż wyrozumowanym i cała późniejsza walka, jaką Tołstoj przechodził, była właśnie poszukiwaniem metafizycznego podkładu i uzasadnienia tego wrodzonego instynktu, aż znalazł ten podkład w panteistycznej filozofii; instynkt zaś sam wybuchał w zależności od pewnych psychofizyologicznych stanów w życiu Tołstoja. Słuszność naszego mnie-

mania okaże się na kilku przykładach, poczerpniętych z beletrystyki tego pisarza, z nich się bowiem dowiedzieć można, jak w myśl Tołstoja powstaje uczucie miłości.

Wasyl Brechunów, podobnie do wielu innych kreacyi Tołstoja, przez całe swe życie niedostępnym był dla uczuć altruizmu. By ubiedz współzawodnika w interesie handlowym, puszcza się ciemną zimową nocą w podróż z parobkiem Nikitą. Kiedy stracili drogę wskutek zamieci śnieżnych, Brechunów rzuca parobka z saniami na pewną zgubę, a sam ratować się usiłuje konno. Po długiem jednak błąkaniu się, śmiertelnym objęty strachem, znalazł się znowu u sani. Nikita tymczasem już zesztywniał od mrozu i śnieg go przysypał. Nie wiem, czy w tej rozpaczliwej sytuacyi mogły coś pomódz jakiekolwiek zasady etyczne, w każdym razie Brechunowowi nie przyszły one do głowy. Jedno uczucie, które nim całkowicie owładnęło, była bojaźń, aby nie powrócił ten strach, jakiego doświadczał, błąkając się konno. Należało teraz za jakąbądź cenę tego strachu do siebie nie dopuścić; ażeby tego dokazać, trzeba było nie myśleć o sobie, »robić cokolwiek«. Szczęście chciało, że wtedy właśnie poruszył się Nikita i wybełkotał słów kilka: »Umieram... zasługi oddaj żonie albo małemu...« To determinuje Brechunowa do działania. Odsypał śnieg, rozwiązał pas, rozpuścił poły futra i potrąciwszy Nikitę, położył się na nim...

— »A widzisz? o śmierci gadałeś? Leż sobie, ogrzewaj się... Ale ku wielkiemu swemu zdziwieniu więcej już mówić nie mógł, bo mu oczy łzami zaszły i dolna szczęka zadrgała... Lecz to osłabienie, zamiast sprawiać mu przykrość, przeciwnie napełniało go dziwną, nieznaną dotychczas radością». Domarzając przebudził się Brechunów i poczuł się innym człowiekiem. Umiera, ale się tem już nie trapi; przypomina sobie, że Nikita leży pod nim, że się rozgrzał i żyje; i zdaje się mu, że on jest Nikitą, a Nikita nim samym i że życie jego jest w Nikicie. Żyje Nikita, to znaczy żyję ja. I wspominając na swe ziemskie sprawy i zabiegi, nie pojmuje, jak ów jakiś Wasyl Brechunów mógł się tem wszystkiem zajmować. Cóż robić, nie wiedział on tego, co ja wiem teraz. Teraz już niewątpliwie — teraz wiem.

I znowu słyszy wezwanie tego, który go przez sen wzywał. Idę, idę — woła z rozkoszą i zasypia na wieki [1]. Gdyby go w porę uratowano, nie wiadomo, czy byłby w dalszem życiu skorzystał z otrzymanego nagle światła. Dla nas ważnym jest przebieg jego duchowego odrodzenia. Działania zasady niema tu wcale. Jest strach, jest potrzeba zajęcia się czemkolwiek: stąd idzie przykrycie Nikity własnem ciałem, następuje osłabienie, rozczulenie i dziwna, nieznana rozkosz. Wreszcie pod wpływem rozczulenia i gorączki bredzi się tożsamość z Nikitą i sąd o próżności poprzedzającego żywota. Cały proces rozpoczął się w ciele i dopiero w końcu ciało pociągnęło za sobą rozmarzoną duszę.

Podobnież rzecz się miała z księciem Andrzejem w »Wojnie i pokoju«. Osłabienie po bolesnej operacyi napełniło go szczęściem, jakiego dawno nie doświadczał. Gdy przytem spostrzegł swego wroga, leżącego na sąsiednim stole, tylko co pozbawionego nogi, nie mógł wytrzymać dłużej i wybuchnął rzewnemi »łzami miłości« nad ludźmi i sobą. Było to — opowiada Tołstoj — współczucie, miłość ku braciom i nieprzyjaciołom, którą Bóg głosił ludziom na ziemi.

Kto chce, może powiększyć liczbę podobnych ustępów, z których pozna właściwą genezę tołstojowskiej miłości bliźniego. Jest to miękki sentymentalizm wrażliwych nerwów Tołstoja, mylnie i przez niego samego i przez jego zwolenników ochrzczony nazwą chrześcijańskiej miłości bliźniego, tej miłości, którą Bóg głosił ludziom na ziemi.

Tutaj też wyjaśnia się powód, dlaczego etyka Tołstoja przedewszystkiem potępia te czyny, które są przyczyną bólu i innych cierpień zarówno ludzi jak i zwierząt, podczas gdy inne występki, bardziej subtelne i duchowe, np. pycha, ambicya, lenistwo uchodzą przed etyczną czujnością Tołstoja. Jeżeli bowiem zwraca na nie uwagę, to tylko wtedy, gdy je rozpatruje pod pewnym ubocznym względem, mianowicie jako środki i źródła przewagi i okrucieństw jednych ludzi na drugimi. Mianowicie poczucie absolutnej niegodziwości tych występków może zrodzić się tylko z poznania

[1] »Gospodarz i parobek«. Warszawa 1895.

jakiejś głębszej zasady: na zmysły zaś i nerwy człowieka ich brzydota nie oddziaływa. Natomiast łza, krew, krzyk boleści, oto, co wstrząsa uczuciem, co wywołuje sympatyę, co rodzi całą sentymentalną etykę. Biorąc uczucie swej wrażliwej natury za jedyną normę moralną, musiał Tołstoj popełnić i ten błąd, że pomieszał cierpienia fizyczne ze złem etycznem i potępił stanowczo wszelki przymus i użycie siły i konsekwentnie wszelką władzę.

Sentymentalizm, jak lichem jest kryteryum w ocenie moralnego dobra i zła, tak podobnież słabą jest dźwignią cnoty. Etyka na nim zbudowana niedaleko człowieka zaprowadzi. Potępiając absolutnie sprawianie wszelkiego bólu drugim, nie zechce zwolennik tej etyki narażać i samego siebie na wielkie fizyczne wysiłki dla dobra bliźnich i wielkiej, wytrwałej, heroicznej cnoty nigdy nie okaże. Sprawdziło się to i na Tołstoju, jakim go znamy z jego *curriculum vitae* i fotograficznych jego kopii — bohaterów powieści. Niejednokrotnie zabierał się do pracy społecznej i filantropijnej, lecz zawsze spaliło mu na panewce. Rozczulony, naprzykład, nędzą próżniaczych tłumów w Moskwie, zamierza zorganizować pomoc na szeroką skalę. W tym celu, by lepiej poznać potrzeby zaniedbanego proletaryatu, określić jego liczbę i stopień nędzy, wprasza się na registratora przy urzędowym popisie ludności, wchodzi do najwstrętniejszych siedlisk nędzy i zepsucia, studyuje wszystko dokładnie, rozdając przytem całą swą gotówkę; lecz, gdy przyszło do stworzenia czegoś pozytywnego, pokazała się jego niemoc. W książce, którą wtedy napisał p. t. »Co robić?« stara się przekonać po prostu społeczeństwo, że żadne wysiłki filantropii nędzy nie usuną i że najskuteczniejszy sposób ulżenia niedoli cierpiącym polega na tem, aby nie przysparzać tejże niedoli wyzyskiwaniem pracy bliźnich.

Ta miękkość, czułostkowość charakteru Tołstoja sprawia, że ani od siebie, ani od swych bohaterów, ani od zwolenników swej doktryny nie wymaga czynnej i usilnej pokuty za przeszłe niepra wości. Weźmy Niechludowa ze »Zmartwychwstania«. Z początku swego nawrócenia robi on niemało, aby Masłowej wynagrodzić wyrządzoną jej krzywdę. Po kilku jednak próbach, kiedy Masłowa odtrąciła jego propozycyę małżeństwa, autor litując się nad nim,

Masłowę wydaje za Simonsona, a jego, Niechludowa, ogłasza za duchowo odrodzonego i zwalnia od innej pracy, jakiejby nie zaniedbał skierować na szersze społeczeństwo prawdziwy chrześcijański pokutnik. Dla Tołstoja wystarcza, że Niechludów parę razy się zmęczył i znudził odwiedzając katorżnych, potem na kanapie zasnął i przyśniło mu się, że cała zagadka życia jasna jest w ewangelii. Stało się mu j a s n e m, gdzie przyczyna złego; ręki do tego więcej nie przyłoży... i na tem koniec.

Przy rozbiorze etyki Tołstoja widzieliśmy, jak stoickie założenia pod piórem jego przedzierzgają się w epikurejskie prawidła praktycznego urządzenia doczesnego żywota. Pochodzi to stąd że altruizmowi Tołstoja, płynącemu z wrażeń przejściowych, ciągłe figle płatają egoistyczne popędy miłości własnego ciała i wygód., Życie cielesnej połowy jego j a silnem biło tętnem od samej kołyski. Ustami Irteńjewa przyznaje się, że poraz pierwszy zwrócił uwagę na swe ciało i pokochał je, kiedy go niańka w wanience kąpała. Odtąd kult własnego ciała zarówno nieodstępnie towarzyszył mu w całem życiu, jak mania autoanalizy i zastanawianie się nad zagadką życia. Jako młodzieniec często całymi dniami leżał na kanapie, jedząc aż do obżarstwa ulubione pierniki. Niekiedy, zerwawszy się, biegł do pewnego schowanka i tam postronkami bił się po obnażonych plecach, aż łzy mu w oczach stawały. Lecz i ta ascetyczna operacya ten zwykle miała skutek, że sprowadzała nowy przypływ życia i ekscytowała niemniej, jak chodzenie boso i z gołą głową o wschodzie słońca, czego często lubił próbować. We wszystkich powieściowych utworach Tołstoja owo silne żywiołowe życie ciała znajduje swój wyraz, obok kontemplacyjnego zwracania się w głąb własnej duszy. Ta tylko osobliwość, że kiedy w Tołstoju te dwa mocno wybitne rysy kojarzyły się w jednej osobie, w powieściach pojedyncze partye tej dwoistości często rozdane są różnym aktorom.

Nie zmienił się Tołstoj pod tym względem i po swojem n a w r ó c e n i u. Nie zdołał on ujarzmić duchem swej silnej, pełnej życia natury; nadał tylko jej nowe formy, bardziej proste, bardziej naturalne, lecz bynajmniej nie obliczone na umartwienie i ascezę. Owszem całą ich racyonalność upatruje Tołstoj w tem,

że wzmacniają one zdrowie i życie człowieka, sprowadzają — jak mówił — twardy, spokojny sen. I w istocie niezbyt trudno pozbyć się potraw mięsnych, skoro się posiada tak doskonałą i troskliwą gosposię i kucharkę, jaką jest hrabina Zofia, pod której kierunkiem *menu* jasnopolańskiej kuchni podoba się nawet odwiedzającym hrabiego gościom. Niewiele również zaparcia jest w tem, że zamiast obcisłego, kusego fraka włoży się na siebie wygodną bluzę i ciepłe szarawary, a miękkie buty zamiast piekących lakierek. Niewiele potrzeba ascezy, aby przystroić swój gabinet w szewskie kopyta, siekiery i kosy. To rzecz gustu osobistego, i na taką abnegacyę można sobie pozwolić bez wielkiego kosztu, zwłaszcza jeśli się posiada do rozporządzenia letnią rezydencyę i zimowy pałac w stolicy, ze wszystkiemi wygodami. Sama nawet praca fizyczna przy pługu lub z toporem w lesie, której się oddaje Tołstoj już od lat kilkudziesięciu po parę godzin dziennie, nie jest oną pracą, jakiej m u s z ą się oddawać ludzie dla zdobycia kawałka powszedniego chleba, lecz rodzajem sportu, pożytecznego dla zdrowia i pewnie nie mniej przyjemnego, jak jazda na rowerze, gra w krokiet i tenisa, których również jest wielkim Tołstoj zwolennikiem.

Mądry i wyrachowany epikureizm Tołstoja w życiu nadał kierunek całej jego moralnej nauce. Zaakcentował wprawdzie potrzebę pracy i szkodliwość sztucznego życia, ale przytem spowodował ową widoczną u Tołstoja połowiczność, owo niedociągnięcie systemu etycznego do właściwych granic. Piętnuje nadużywanie życia, rozkosz wyszukaną, potępia małżeństwo nawet; w ciele nic więcej widzieć nie każe, jak tylko narzędzie ducha, niby łopatę, którą trzeba drzeć kopiąc ziemię, potem ostrzyć i znowu drzeć. O tem, że w zamiarach Stwórcy ciało, jako najbliższy towarzysz ducha, przeznaczone jest do udziału w tejże samej końcowej szczęśliwości po zmartwychwstaniu, nic słyszeć nie chce. Ale ta nieprzejednana nieprzyjaźń względem ciała tylko tak długo trwa, jak długo Tołstoj stoi na gruncie negacyi i krytyki istniejących stosunków. Skoro przejdzie do pozytywnych twierdzeń, w tej chwili z poza stoika wygląda uczeń Epikura. Wtedy dla niego wszystkie nauki ludzkie, biologie, analizy spektralne, wszystkie

edisonowskie wynalazki, jako nie służące do pouczenia ludzi, z jakiej mąki najlepiej piec chleb ani do odróżnienia grzybów jadalnych od trujących, są bezmyślną kabalistyką i okazyą zwichnięcia sobie mózgu. Cała praca techników do tego winna być stosowaną, aby nauczyć prostych ludzi, jakie toporzysko najwygodniejsze i jak opalać piece, by otrzymać możliwie wysoką ilość ciepła przy największej ekonomii paliwa.

Ale przecież coś więcej trzeba robić dla uszczęśliwienia nietylko siebie, lecz i ludzkości, skoro zasadniczem prawem życia ludzkiego jest miłość! Serce, widzące tyle zła na świecie, rwie się do pracy nad naprawą stosunków ludzkich, gotowe na największe poświęcenia i trudy. Lecz skoro uda się po program pracy do głośnego reformatora z Jasnej Polany, ten gasi wszystkie zapały zimną wodą swoich przepisów. Co robić? Nic wielkiego robić nie potrzeba, tylko tak się ze swem życiem urządzić, aby innym ludziom przykrości nigdy nie sprawiać, sobie zaś zapewnić zdrowie i największą sumę przyjemności naturalnych, nie sztucznych, a jeśli co czasu zostanie, pouczyć i bliźnich, jak mają palić w piecach, aby jak najmniej węgla lub drzewa wychodziło.

Pozostaje pytanie, jak wytłumaczyć sobie, że pomimo takiego pozytywnego ubóstwa swoich teoryi, Tołstoj z taką wytrwałością narzuca je światu, zajmując przytem tak nieprzejednane stanowisko wobec tego wszystkiego, co staje mu na zawadzie? Po odpowiedź udamy się znowu do psychologii Tołstoja.

Jakkolwiek przy czytaniu utworów Tołstoja, zwłaszcza wymierzonych wprost przeciwko nauce Kościoła, często trudno się powstrzymać, aby negacyi i zarzutów tam napotykanych nie przypisać rozmyślnie złej woli pisarza, całości jednak doktryny, głównych jej zarysów i zasad niepodobna szukać w złej wierze jego. Wypowiada on je często z taką siłą i pewnością, że absolutnie niepodobna nie widzieć, iż płyną one ze szczerego przekonania. Tołstoj, naszem zdaniem, stoi raczej pod wpływem autosuggestyi, której źródła szukać należy, oprócz dotkniętych już wyżej czynników, w jego twórczej, artystycznej fantazyi przy braku dostatecznego szkolnego krytycyzmu. Dążność do syntezy w umysłowych konstrukcyach jest cechą umysłów wyższych

i wrażliwszych na piękno i symetryę i tę cechę w wysokim stopniu posiada Tołstoj; lecz syntetyzm sam w dziedzinie filozoficznej wyrządza nieobliczone psoty, skoro podda się uczuciu, a nie znajdzie hamulca i regulatora w krytycznej analizie szczegółów; a to zaszło i w naszym przypadku. Tołstojowi, szczodrze od natury ubogaconemu w uczucie i wyobraźnię, zabrakło ścisłego szkolnego wyrobienia umysłu. Od dzieciństwa skłonny do analizy własnej duszy i obserwacyi otoczenia, niewiele miał czasu i ochoty do żmudnej, systematycznej pracy nad wyszkoleniem swego myślenia. Zresztą same warunki jego studyów średnich, odbywanych zdaleka od szkoły, pod okiem domowych tylko nauczycieli, niewiele zaiste odpowiadały swemu zadaniu. Stąd też, wstąpiwszy na uniwersytet, nie zdołał go Tołstoj ukończyć, z powodu lekceważenia porządnej pracy, i musiał przerwać zaczęte studya. Tem mniej można było spodziewać się powetowania tej szkody, gdy raz rzucił się w wir świata i jego rozrywek lub kiedy wstąpił do służby wojskowej. Dlatego też, władając po mistrzowsku słowem i piórem, kiedy chodzi o oddanie s p o s t r z e ż e ń najsubtelniejszych nawet stanów i poruszeń duszy, zwłaszcza w tej dziedzinie, gdzie duch styka się z ciałem, szwankuje Tołstoj tam, gdzie potrzeba przeprowadzić dłuższe r o z u m o w a n i e. Brak precyzyi w pojęciach, przeskoki, gra wyrazów w sylogizmach, zdarzają się mu na każdym niemal kroku. Za logiką zaś krzyczy. często w niebogłosy i stylistyka, że jej Tołstoj gwałt zadaje. Wspomnijmy tylko na jego naukę o charakterze i inne tego rodzaju »filozoficzne« kawałki.

Cała konstrukcyjna praca u Tołstoja przypadła w udziale twórczej wyobraźni artysty i to wyobraźni stojącej pod rozkazami silnego uczucia. Na dolę rozumu wypadła praca tylko służebna. Wrażliwe uczucie wstrząsa się na widok jakiegoś bólu, protestuje przeciwko niemu i potępia go; natychmiast usłużna wyobraźnia podsuwa gotowe kontury własnego poglądu czy twierdzenia, dziwnej prostoty i symetryi. Podoba się to artyście, uczony zaś dostaje rozkaz wykończenia dzieła w szczegółach. Cały ten proces przypomina budowę tak zwanego »pruskiego muru«. Z trwałego materyału buduje się tylko klatkę, której próżne przestrzenie

w braku cegły i wapna, można gliną i słomą wypełnić. Lecz co uchodzi w tego rodzaju architekturze, to nie ma wartości w nauce. Tutaj należy budować wszystko z trwałego materyału prawd, które z góry również określają i całokształt przyszłego gmachu syntezy naukowej. Tołstoj nie bada wewnętrznej wartości materyału, z którego buduje; zachwyca go tylko wygląd całości, stworzonej przez własną fantazyę. Jeżeli pozmieniał w wielu miejscach tekst ewangeliczny, lub popodstawiał starym wyrazom nowe znaczenia, jeżeli na polu historyi kościelnej twierdzi niesłychane dotąd rzeczy, czyni to wszystko nie dlatego, jakoby go zmuszała filologia lub badanie dziejów i dokumentów, lecz, jak sam wyznaje, dlatego, że jego sposób widzenia zaleca się mu swoją prostotą, jasnością i odpowiada »wewnętrznemu uczuciu człowieka, poszukującego prawdy«.

Brak samodzielnej i chłodnej rozumowej kontroli względem własnych uczuciem wypieszczonych pomysłów jest tem zgubniejszym u Tołstoja, że w gruncie rzeczy jest to umysł racyonalistyczny, nie umiejący oglądać się na czyjąkolwiek powagę. Stąd gdy innych myślicieli-artystów, zwłaszcza wierzących, zniewalała do gruntownej rewizyi wartości swych twierdzeń już to powaga uznanych w nauce znakomitości, już to zwłaszcza autorytet Boskiego objawienia, dla rogatej duszy Tołstoja wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia. Przywykły w rodzicielskim domu do patrzenia z góry na wszystkich i czując swą nie tylko etyczną, ale i umysłową wyższość nad tymi, co go otaczali, a nawet uczyli, Tołstoj stale lekceważy wszelką powagę zewnętrzną. Dowody tego spotykamy na każdej niemal karcie jego utworów. Na cudze zdanie nigdy się nie powołuje, wyjąwszy kilku cytat z Buddy, Salomona, Sokratesa i, ma się rozumieć, Chrystusa. Widocznie tylko takie towarzystwo uważa za godne siebie. Myślicieli *minorum gentium* lubi traktować z góry. Jeżeli bierze do ręki czyjąś książkę, to nie dlatego, aby się czegoś nauczyć, lub z przeciwnikiem porozumieć: szuka raczej okazyi do zaczepki i wyśmiewania tych, którzy nie podzielają jego zdania. Znalazł przypadkiem ustęp, który mu przypadł do smaku, i z tego niezadowolony. Po co tego dowodzić, kiedy ja już o tem dawno wiedziałem. Napotyka znowu

zdanie, sprzeczne z jego poglądami, zaraz następują szykany z autora, i nie pomoże żaden argument. Odwróci się plecami do metafizyki i całe rozumowanie przeciwnika przyrówna do obliczeń jakiegoś Cefy Mokijewicza, co dochodził rozumem, jakąby grubość miała skorupa na jaju słonia, gdyby słonie z jaj się wylęgały, a następnie, ile prochu trzebaby było do rozsadzenia tej skorupy. Takie i tym podobne porównania, to zwykła i ulubiona broń Tołstoja w potyczkach z przeciwnikiem. Jasną jest rzeczą, że taki charakter, raz stanąwszy na fałszywem stanowisku, nikomu już z niego nie da się sprowadzić. Podobnież ma się rzecz i z powagą objawienia Bożego. Mówią czasami o utracie przez Tołstoja wiary chrześcijańskiej. Jest to wyrażenie tak mało trafne, jak owo drugie, własne jego zdanie, że się nawrócił do wiary w Boga i Chrystusa. Jeśli chodzi o wiarę świadomą, a opartą na objawieniu, to Tołstoj wiary takiej nigdy nie utracił, gdyż nigdy jej nie posiadał i zrozumieć nie chce, aby kto na świecie potrafił tak wierzyć. Nigdy również jej nie nabył, gdyż umysł swój mocno przed nią zatarasował. Wiara z natury swej jest pokorą umysłu i poddaniem się pod wyższy autorytet, bez względu na to, czy jej treść podoba się uczuciu, czy nie. Ale taka wiara zbyt trudną byłaby ofiarą dla umysłu Tołstoja. Z jednej strony dogmaty, w krótkiem katechizmowem przedstawieniu, były za suche i za sztywne, by mogły dotknąć czułej struny uczucia i dlatego Tołstoj nie był na nie wrażliwy; powtóre, pozorne sprzeczności w nauce chrześcijańskiej dostarczały mu okazyi do racyonalistowskich drwinek. Już mały Śmierdiaków kpi w duszy ze swego nauczyciela, który mu powiada, że światło Bóg stworzył pierwszego dnia, a słońce dopiero czwartego. Wszystko to kłamstwo, myśli w duszy, uśmiechając się znacząco. Zapowiedział się w nim przyszły krytyk teologii dogmatycznej. Przesiąkły przesądami racyonalizmu i niewyczerpany w tworzeniu naturalistycznych hipotez, obchodzi się on bez uznania powagi Bożej, jako źródła prawd religijnych. Jedynem źródłem wszelkiej prawdy jest on sam. »Choćby mi wszyscy patryarchowie antyochijscy i jerozolimscy, żywi i umarli, owszem choćby nieustający głos z nieba

wołał do mnie: ja jestem jeden i trzy, nie uwierzę, bo nie rozumiem«.

Na gruncie nieograniczonego zaufania do własnego rozumu, a raczej uczucia, i jakoby zakochania się w samym sobie i swoich konstrukcyach filozoficznych, rodzi się u Tołstoja silna próżność i szukanie poklasku ludzkiego. Na tym punkcie jest on bardzo czuły. Z »Zapisek« wiemy, jak wielkie zadowolenie odczuwał młody Irteńjew po naprawieniu w klasztorze niedokładnej spowiedzi, na myśl, że swoim czynem sprawił dobre o sobie mniemanie swojego spowiednika. Nie omieszkał nawet pochwalić się z tego postępku przed dorożkarzem, a kiedy ten dał do poznania, że go to nic nie obchodzi, ani nie dziwi, poczytał brak uznania za obrazę siebie. Uznania przedewszystkiem szukają na polu bitwy najulubieńsi bohaterowie Tołstoja, jak książę Bołkoński. Sam Tołstoj, kiedy go pod murami Sebastopola ominął awans i krzyż św. Jerzego, powiedział sobie: »Nie zostałem jenerałem artyleryi, muszę zostać jenerałem literatury«. Na widok wielkiego swego powodzenia, w charakterze twórcy nowej religii, cieszył się Tołstoj, jak dziecko. »Radość ogarnia człowieka — wyznał razu pewnego przed zaufaną osobą — gdy się widzi wpływ wywierany na innych. Wtedy przekonujesz się, że ogień, który w sobie czujesz, jest prawdziwym ogniem, kiedy innych zapala«. Lecz nie może być zupełną jego radość, gdyż nie tajno mu, ilu, obok licznych zwolenników, posiada nieprzychylnych sobie krytyków i zdeklarowanych nieprzyjaciół swojej nauki. A przytem jego próżność wszędzie lubi wietrzyć brak przychylności i uznania. Po owym pamiętnym spisie ludności zwrócił się do wielu wybitnych i bogatych osób z propozycyą zorganizowania pomocy biednym. Gdziekolwiek się jednak obrócił, zdawało się mu, że wszyscy uważają go za marzyciela i dziwaka, któremu tylko dla zbytku grzeczności nie chcą rozśmiać się w oczy, że każdy mówi jednak w duszy: głupcze, raz zatuszowaliśmy twoją głupotę, a ty znowu leziesz z nią między ludzi.

Zwracając ustawicznie czujną uwagę na sąd opinii i krytyki, nigdy się jednak Tołstoj z nią nie liczył i nie korzystał z niej. Najbardziej nawet przyjacielska krytyka jego poglądów nie tylko

religijnych lub filozoficznych, lecz i w dziedzinie czystego piękna, ten tylko odnosiła skutek, że wyradzała w nim rozdrażnienie i zniechęcenie do ludzi, lekceważenie i pogardliwy sarkazm w tonie przemawiania do nich. I świat musiał patrzeć na niezwykłe zjawisko: ten człowiek, który bezustannie przypomina światu zapoznane prawo miłości bliźniego, sam rzadko kogo zdołał pokochać tą miłością, »która się nie nadyma«, i nawzajem rzadko od kogo mógł być kochanym. Najznakomitsi pisarze rosyjscy, Turgieniew i Dostojewskij, nieraz ponawiali swe starania o jego przyjaźń, lecz na próżno. Tołstoj nie mógł im tego darować, że ośmielali się wytykać mu znaczne usterki, z których on sam nigdy nie miał odwagi wyspowiadać się. Nie zdołał nawet pozyskać serca prostego ludu, pomimo swych demokratycznych tendencyi w życiu i literaturze. Nic nie pomogło naśladowanie chłopskiego sposobu życia: w charakterze i obejściu Tołstoja zawsze pozostało coś z dumnego arystokraty, coś, co zmusza każdego niższego pochodzeniem trzymać się w przyzwoitej odległości. Orząc na jednym zagonie Tołstoj i chłop jasnopolański dotąd pozostają obcymi duchem względem siebie, a cała zewnętrzna chłopomania hrabiego dostarcza tylko okazyi do złośliwych żartów ze strony włościan. Arystokratyzm, w złem znaczeniu tego słowa, zdradza się często i w pismach Tołstoja. Wspomnijmy, jak postawił on lud pracujący w jednej linii z bydłem roboczem »Chłopów trzeba trzymać ot tak!« — powiada Rostów, pokazując zaciśniętą pięść. Stąd nie dziwota że socyaliści zagraniczni dotąd nie mogą się zoryentować, z kim mają do czynienia. Raz uważają Tołstoja za jednego ze swoich, to znowu za zacofanego przedstawiciela średniowiecznego feodalizmu [1].

Tołstoj dobrze widzi, że aplauzów, które towarzyszą jego pismom, nie można brać za dowody zupełnej solidarności czytelników z autorem, a tem mniej za objawy miłości ku jego osobie, i z tego powodu, wśród tłumów wielbicieli, często doznaje uczucia osamotnienia duchowego. »Ja żyję sam i sam umrzeć muszę« — pisze w swej odpowiedzi Synodowi. Zupełnie tak samo, jak Boł-

[1] Cfr. broszurę Artemjewa: »Tołstoj i demokracya socyalna«. 1903.

koński w »Wojnie i pokoju«. Będąc blizkim śmierci, stał się dziwnie obojętnym na wszystko, co go otaczało, tak, że w oczach jego i tonie otaczający go najbliżsi krewni wyczytywali, jakoby ich chciał obrazić. Jemu tymczasem j a s n ą s i ę stała zagadka życia i śmierci, a był przekonany, że nikt z żyjących go nie zrozumie. Dlatego na wszelkie objawy czułej miłości ze strony krewnych, odpowiadał im w duchu: nie warto z wami mówić, i odwracał się do ściany.

Streszczamy pokrótce, cośmy dotąd powiedzieli o podmiotowych źródłach nauki Tołstoja. Jest ona płodem głównie tych dwóch czynników psychologicznych: miękkiego sentymentalizmu i poetyckiej wyobraźni autora. Z pierwszego czerpie swój kierunek, wyłącznie etyczny, z drugiej zaś pochodzą główne zarysy konstrukcyjne tak w krytycznej, jak w pozytywnej jej części. Lecz inaczej wpłynęły wskazane czynniki na pracę Tołstoja, jako krytyka starego porządku rzeczy, a inaczej, jako twórcę nowego etyczno-społecznego programu. W Tołstoju, jako krytyku, sentymentalizm i fantazya sprzymierza się z silną samodzielnością umysłu, nie znoszącą żadnej zewnętrznej powagi i stąd bezwzględną w negacyi wszystkiego, co się nie podoba, a przedewszystkiem nadprzyrodzoności w jakiejbądź formie; w Tołstoju zaś — twórcy programu, też same czynniki jednoczą się nadto z epikurejskiem pojęciem życia, nie pozwalającem doprowadzić systemu do naturalnych dlań granic, lecz zatrzymującem takowy w pół drogi, i z brakiem ścisłego filozoficznego wyrobienia myśli, co uniemożebnia autorowi sprawdzić i ocenić naukową wartość własnej pracy. Cała doktryna Tołstoja w dwóch słowach da się scharakteryzować jako doktryna p r z e c z e n i a i b e z c z y n n o ś c i.

Możnaby jeszcze poszukiwać innych czynników nauki Tołstoja, mianowicie w zewnętrznych warunkach i w duchu czasu i otoczenia. Ograniczymy się jednak pod tym względem do kilku słów. Z powodu swej wybitnej indywidualności Tołstoj mniej wprawdzie, aniżeli wielu innych myślicieli, uległ wpływom postronnym co do swoich zapatrywań: zupełnie jednak od tego rodzaju wpływów wolnym być nie mógł. Nie da się zaprzeczyć, że wiele z jego zboczeń na karb ducha czasu złożyć można. Przedewszystkiem za

jego nieprzejednane stanowisko racyonalistyczne wobec Objawienia znaczna część winy spada już to na hegeliańską filozofię, która w czasie umysłowego kształcenia się Tołstoja panowała powszechnie w szkole i w literaturze rosyjskiej, jużto na praktyczny materyalizm i niewiarę wyższych słojów społeczeństwa ówczesnego i oddalenie się jego od Kościoła. Mając na uwadze tę zatrutą duchową atmosferę, w jakiej oddychał Tołstoj, zrozumiemy śmiało wypowiadane przezeń przekonanie, że pomimo powtarzania ustami symbolu wiary, nikt prawdziwie nie wierzy w zawarte w nim twierdzenia.

Zewnętrzne warunki jednak nie tyle zaważyły w danym razie jako źródło poglądów Tołstoja, lecz raczej jako okazya powstania jego radykalnej opozycyi. Sądzimy, że w innych lokalnych warunkach Tołstoj taki, jakim go dzisiaj znamy, nie byłby możliwy. Natomiast system rządowy, jaki panuje w Rosyi, bardzo sprzyja powstaniu najskrajniejszych idei. Absolutyzm, sprzedajność i okrucieństwo biurokracyi, pochłaniającej corocznie tyle ofiar, zaborcza i eksterminacyjna polityka rządu względem wcielonych do państwa rosyjskiego narodowości, są to rzeczy, które muszą oburzać każde wrażliwe serce. Że jednak społeczeństwu rosyjskiemu zagrodzono drogę do pracy nad poprawą stosunków społecznych i politycznych, stąd wszystkim lepszym siłom, nie chcącym zaciągnąć się w szeregi urzędowej biurokracyi, nie pozostaje nic innego do czynienia, jak zawzięta nielegalna opozycya względem panującego systemu. Nihiliści rosyjscy w innych warunkach mogliby być bardzo pożytecznymi działaczami społecznymi, na swoim zaś gruncie nie mogą stworzyć innego programu pracy, jak zawziętą walkę na śmierć i życie z absolutyzmem i biurokracyą. Komu zaś z pomiędzy nich zabraknie odwagi do krwawej roboty, ten przy większej dozie wschodniego mistycyzmu na gruncie religijnym wyrodzi się w typ marzyciela-sekciarza, a, jeśli się da, to i założyciela nowej religii. Te nowe religie wyrastają w Rosyi, jak grzyby po deszczu. Sprzyja ich powstaniu i rozwojowi obecny stan panującego w Rosyi Kościoła. Robactwo nie lęgnie się dopóki organizm zdrów, lecz gdy się rozkładać poczyna; a dzisiejsza

Cerkiew oderwana od życiodajnego pnia i oddana w niewolę państwową, oddawna już jest bezdusznym trupem. Miejsce Ducha Bożego zajął w niej formalizm biurokracyi, miejsce nauki religijnej — prawa cesarskie i dyrektywa zeświecczonego synodu. Taki kościół, gdzie duchowieństwo samo niewie, w co właściwie wierzyć, nie da żadnej zadawalniającej odpowiedzi na wątpliwości młodzieńca tej miary, co Tołstoj, który już w dzieciństwie bada zagadkę życia. Na pytanie, jak żyć, wskazuje pokłony i pewną liczbę świec przed obrazem; na pytanie, dlaczego trzeba wierzyć w dogmaty, odwołuje się do własnej mocno zdyskredytowanej powagi. Nic dziwnego, że taki Tołstoj odejdzie niezadowolony z udzielonych mu odpowiedzi. Tołstoj, zarówno jak te piętnaście milionów sekciarzy rosyjskich, to żywy protest przeciw urzędowej religii i państwowemu nacyonalistycznemu kościołowi, z jego skamieniałym kultem i obojętnością na wszystko, co ducha dotyczy, byleby litera była wypełnioną. Nieszczęsny defekt charakteru wschodniego — marzycielstwo na własną rękę i wstręt przed sumienną duchową i naukową pracą, utrudnioną, przyznajmy, okowami opieki cenzuralnej, nie dozwala tym nieszczęśliwym Tołstojom zwrócić się ku światłu tam. gdzie ono rzeczywiście się znajduje, lecz powstrzymuje ich na bezdrożu, błąkających się za błędnymi ognikami własnych urojeń. Jeśli nie można usprawiedliwić samych zbłąkanych, to tem mniej tej macochy-Cerkwi, która, zamiast postarać się o chleb prawdy dla zgłodniałych dzieci, i sama ginie z głodu i dzieci wyrzuca poza ściany domu na pewną zgubę.

* * *

Dobiegliśmy do końca. Pozostaje tylko podsumować rezultaty naszego studyum doktryny Tołstoja. Pomimo rozgłosu, jakim cieszy się Tołstoj, pomimo poczytności jego utworów, śmiało twierdzimy, że nauka jego, jako religijno-etyczno-społeczny program, nie ma przed sobą żadnej przyszłości. Chociaż jest ona śmiałą próbą puszczenia w świat skrajnego anarchizmu i nihilizmu pod poważną firmą ewangeliczną, pewną jest rzeczą, że ani rewolucyi nie wywoła żadnej, ani niczego nowego nie zbuduje,

z powodu pozytywnego ubóstwa swej treści. Jest ona natomiast niebezpieczną i szkodliwą z powodu śmiałości i bezwzględności swej krytyki racyonalistowskiej, która bezwątpienia nierównie więcej jedna Tołstojowi zwolenników, niż jego nauka o miłości lub niesprzeciwianiu się złemu. Wprawdzie sami racyonaliści muszą odmówić naukowej wartości krytyce swojego kolegi, lecz nie dla nich i nie dla pożytku nauki pisał Tołstoj swoje komentarze. One i poziomem naukowości i dostępnością stylu obliczone są na szerokie masy tych czytelników, co to, według trafnego wyrażenia W. Gostomskiego, są tylko od czytania nie zaś od myślenia. Podkopanie wiary nadprzyrodzonej, oddalenie od Kościoła, oto co może sprawić doktryna Tołstoja. Jeszcze innej szkody obawiać się należy. Doktryna Tołstoja, z jej rezygnacyą, niesprzeciwianiem się złemu i kwietyzmem, to rodzaj narkotyku słodko usypiającego słabsze i czulsze charaktery i ubezwładniającego do pracy, która nam jest tak potrzebną wobec tylu piekących kwestyi tak prywatnego jak i publicznego życia.

Przyznajmy jednak Tołstojowi jakąś zasługę. On, z pomiędzy wszystkich wielkich pisarzy naszych czasów, najgłośniej zatrąbił na odwrót z pola poziomego, nic nie widzącego po za maszyną i groszem materyalizmu, a zarazem na własnym przykładzie pouczył świat, na jakie bezdroża zabłąka się w samym tym odwrocie, kto odtrąci od siebie pochodnię prawdy objawionej i doświadczone przewodnictwo Chrystusowego Kościoła.

Ks. Jan Urban.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Juliusz Słowacki. Historya ducha poety i jej odbicie w poezyi. Część I i II, 1809—1842. *Józef Tretiak.* W Krakowie 1903.

Przed czterdziestu niemal laty Małecki w znakomitem na swój czas dziele dał biografię Słowackiego, ocenił jego dzieła, nakreślił jego portret duchowy i scharakteryzował jego organizacyę poetycką. Wiadomo, jak wielkie znaczenie miała monografia Małeckiego, jak po niej dopiero rozwinęły się szczegółowe studya nad poetą, wszystkie owe »przyczynki«, »genezy«, owe »kilka słów«, »kilka uwag« — rzeczy, pojęte nieraz ciasno i nie wysoko, ale które ostatecznie objaśniały niemało szczegółów, prostowały niedokładności i błędy tradycyi dawniejszej, przynosiły nowe fakta i nowe spostrzeżenia. Dziś nadszedł znowu czas na syntezę drugą, odpowiadającą już całym sposobem ujęcia i określenia rzeczy warunkom krytyki i historyografii literackiej dzisiaj. Mam na myśli naprzód książkę Matuszewskiego »Słowacki i nowa sztuka« (w zeszłym roku w *Przeglądzie* omówioną), a następnie książkę prof. Tretiaka.

Obydwie nie są monografiami kompletnemi w tym rodzaju, co dzieła Kallenbacha lub Chmielowskiego o Mickiewiczu, Tarnowskiego o Krasińskim, Małeckiego o Słowackim. Te ostatnie obejmują lub przynajmniej zamierzają objąć całość, życie i pisma, człowieka i poetę. Tamte już więcej się ograniczają. Wybierają jeden motyw — prawda, że bardzo zasadniczy. Matuszewski bada stosunek czy też podobieństwo do sztuki nowej, i z tego punktu wychodząc charakteryzuje rodzaj twórczości Słowackiego, określa jej istotę i odrębność. Dzieło

prof. Tretiaka w tytule już zapowiada co innego: historyę ducha poety i jej odbicie w poezyi. Na pierwszy plan wystąpi człowiek, poeta usunie się więcej w głąb.

* * *

Dzieło prof. Tretiaka wywołało żywe bardzo zajęcie. Wzbudziło też rozmaitych krytyków. Jak dotąd, to większa część sprawozdań ma ton książce mocno nieprzychylny. Jeden ze sprawozdawców pisze »z podburzonymi nerwami«. Drugi z wielką indygnacyą. Tak dalece, że nawet zaryzykował twierdzenie o pamflecie pod pozorami naukowości. Tymczasem *indignatio fecit versum*, niedobrą jest jednak muzą w sprawach czysto naukowych. Ten ostatni moment musimy bardzo silnie zaznaczyć, podkreślić, bo się o nim w owych sprawozdaniach zapominało, choć miały one pozory naukowości. Książka prof. Tretiaka jest dziełem naukowem — i jeżeli się kto na jej wywody nie godzi, tam niech z autorem walczy. Walka zaś jak dotąd toczy się na polu nie nauki, ale sentymentu. Uderza w niej po stronie przeciwników prof. Tretiaka dziwny brak zdolności do krytycyzmu wobec powszechnie panujących nie poglądów nawet ale mniemań, wobec tradycyi, wobec suggestyi, jaką wywierają hasła, przejęte z dziedziny obcej nauce (nie przeciwnej ale obcej, innej — są to dwie rzeczy różnorzędne i różnorodne). Tłumaczmy się jaśniej. Słowacki stał się wskutek przeróżnych czynników świętością narodową, nietykalną. Na Słowackiego powiedzieć nic nie wolno. Kto wykazuje ujemne rysy jego charakteru, ten od razu zostaje potępiony. Dlaczego? Czy wyświetlenie prawdy może przynieść szkodę? Czy ono nie jest obowiązkiem? Jeżeli fakta mówią w wielu razach co innego, aniżeli myśli królowa opinia — czy w takim razie historyk ma te fakta zamilczeć, czy przekręcić, czy też wyciągnąć z nich i wypowiedzieć ten wniosek, który się z nich snuje?

Książka prof. Tretiaka staje bardzo śmiało na poprzek utartym mniemaniom, płynącym z sentymentu, utrzymującym się siłą bezwładności, siłą konserwatyzmu, lenistwa myślowego, siłą tych wszystkich faktów, tak wrogich każdej myśli nowej. To jest jedna z przyczyn, że wzbudziła sądy tak ostre i tak namiętne. Po jednej stronie stanęła myśl nowa, po drugiej myśl stara. Zrywa śmiało z dotychczasowem pojmowaniem »Juliusza« (jakże charakterystyczną jest ta poufałość wobec »Adama«, »Juliusza«, »Zygmunta«, jaka dotąd nawet u lepszych autorów grasowała, a która musiała przeszkadzać badaniom

nad Mickiewiczem, Słowackim, Krasińskim!) Przegląda jeszcze raz ten materyał, na którym się opierały poglądy dotychczasowe. Wyprowadza z niego śmiało wnioski. Rysuje portret, w którym te same zasadnicze rysy mają jednakże tu i ówdzie zagięcie, linię inną, w którym światła i cienie rozmieszczone są dość inaczej, aniżeli w portretach dotychczasowych.

Ale przecież i w monografii Małeckiego zaznaczonych jest wiele szczegółów, niepochlebnych dla Słowackiego. Jeszcze więcej, z szerokiem nieraz omówieniem, u Hoesicka. Nasuwa się tedy kwestya, dlaczego tamte książki nie natrafiły na tak namiętny odpór? Dlaczego tamte nie poruszyły w tym stopniu pierwiastków uczuciowych? Musi w książce prof. Tretiaka być coś, co te pierwiastki do walki szczególniej wyzywa. Otóż — czy przypadkiem nie będziemy mieli prawa powiedzieć: *intra muros peccatur et extra?* czy przypadkiem książka ta, naukowa od początku do końca, nie schodzi sama od czasu do czasu na ten teren uczuciowy?

* * *

Niepodobieństwem jest zatrzymywać się i rozwodzić nad wszystkimi szczegółami i wszędzie uzasadniać swoje zdanie, zwłaszcza gdy to zdanie nie jest w zgodzie z wywodami i wnioskami omawianej książki. Musimy więc z konieczności ograniczyć się tylko do głównych linij a z szczegółów wybrać jedynie te, które się nam wydają najcharakterystyczniejsze. Niewdzięczne to trochę zadanie, zwłaszcza w sprawie tak interesującej wszystkich, ale w sprawozdaniu nie można inaczej — chyba żeby się pisało drugą książkę.

Dzieło prof. Tretiaka co przynosi nowego? To jest pierwsza myśl, pierwsze zapytanie, na widok nowej pracy naukowej. Mogą to być nowe fakta albo nowe z faktów znanych wyciągnięte wnioski, poglądy, sądy, albo wreszcie najrozmaitsze tych dwóch możliwości kombinacye (wyrazy, jak fakt, wniosek, mają tu znaczenie jaknajobszerniejsze). Książka, o której mowa, jest pod tym względem niezwykle bogatą. Przynosi bardzo wiele nowych rzeczy. Przynosi rozbiory dzieł, dotąd omawianych mało. Przynosi nowe spostrzeżenia nad poezyą Słowackiego. Przynosi wreszcie nowy pogląd na Słowackiego, jako człowieka, jako charakter; ten to pogląd najwięcej się narzucał na oczy krytykom książki, tak dalece, że zasłonił sobą inne nowości, inne zdobycze dzieła prof. Tretiaka.

Z pierwszych dwóch kategoryi wymieniamy pewną liczbę przy-

kładów. Nie wszystkie oczywiście, bo to niepodobieństwo, naprzód dlatego, że rozmiary sprawozdania na to nie pozwalają, a nadto dlatego, że niemożliwą jest mi rzeczą zebrać razem całą literaturę o Słowackim i kontrolować najmniejszy szczegół, zawarty w książce prof. Tretiaka, czy jest on nowy, czy nie. Ograniczymy się więc do kilku przykładów, ale ważnych i bijących w oczy.

Na czele wymieńmy te części dzieła, które traktują o Beniowskim (rozdział VII i VIII, str. 152—223 i ustępy z rozdz. IX i X). Na czele dlatego, że jest to pierwsze obszerne omówienie tego poematu. Dotąd mieliśmy sporadyczne i nieobszerne uwagi Starkla, Biegeleisena, Kotarbińskiego, wreszcie piękny ale krótki estetyczny rozbiór Tarnowskiego, poza tem właściwie nic. Małecki podał w swej monografii tylko historyę poematu, o jakimś rozbiorze ani nie pomyślał. Tymczasem »Beniowski« to najpiękniejszy i najciekawszy z poematów Słowackiego. To jest jego *chef-d'oeuvre,* to jego rodzaj. W żadnym innym utworze nie występuje tak cały Słowacki, jak właśnie w »Beniowskim«. Na »Beniowskim« najlepiej studyować Słowackiego i jako poetę i jako człowieka i nareszcie jako syntezę »poety« i »człowieka«. »Beniowski« z pomiędzy lepszych utworów Słowackiego najmniej jakoś miał szczęścia do krytyki. Po pojawieniu się narobił wiele hałasu, ale potem jakoś go usunięto na plan dalszy, choć tyle powiedzeń, przysłów, obrazów z niego przeszło do języka wykształconych — dziś znowu zaczyna go wśród młodszych zasłaniać »Król Duch«. Krzywda się mu dzieje. Otóż w książce prof. Tretiaka znajdziemy pierwszy szczegółowy i obszerny rozbiór poematu. Z jakim umysłem wobec poety i poematu, to rzecz inna; to będzie oczywiście w związku z duchem, nastrojem, stanowiskiem całej książki, i o tem będzie mowa niżej. Tu zaś zaznaczamy, że prof. Tretiak omawia szczegółowo genezę i składowe części poematu; odzwierciedlenie stosunków miłosnych poety, zwłaszcza stosunku do p. Bobrowej; umiejscowienie luźnych fragmentów (np. ustępu do matki, przeznaczonego na zakończenie pieśni piątej); »samouwielbienie« poety w »Beniowskim« (autor je potępia — wolelibyśmy tę rzecz pojąć inaczej, ale na razie nie o to nam chodzi; prof. Tretiak pierwszy ugrupował te ustępy i oświetlił); rozmaite docinki pod adresem rozmaitych osobistości, zwłaszcza krytyków, stanowisko poety polityczne, społeczne, religijne. Wszystko to są rzeczy, o których dotąd wiedzieliśmy to i owo, ale prof. Tretiak pierwszy je z poematu naukowo wydobył, zgrupował, oświetlił — i osądził. Zbiera też autor i przytacza sądy krytyki o »Beniowskim«; pokazuje stanowisko,

jakie wobec poematu zajęły główne stronnictwa emigracyjne. Zajmuje się wreszcie pośmiertnemi częściami poematu, dotąd tak mało ocenionemi i znanemi.

Jest więc ta część książki ogromnem zbogaceniem ubogiej literatury o »Beniowskim«, i zdaje mi się (może to tylko sympatya dla »Beniowskiego« i chęć, aby o nim więcej mówiono), że jest to część najważniejsza i najwięcej interesująca.

Współczesny mniej więcej z »Beniowskim« jest dramat, znany pod nieszczęśliwie ukutą przez wydawcę pośmiertnych pism Słowackiego nazwą »Niepoprawni«; jest i tytuł drugi: »Nowa Dejanira«. I tego utworu literatura jest szczupła, studyum Tarnowskiego i artykuł Hoesicka. Prof. Tretiak zwrócił między innemi uwagę na to, że w postaci Fantazego poeta pomieścił rysy nie tylko Krasińskiego (jak dotąd mniemano), ale i swoje własne; stosunek Fantazego do Idalii jest przetransponowaniem stosunku Słowackiego do p. Bobrowej. Ustala też tytuł dramatu: »Fantazy«, zdaje mi się, że bardzo trafnie. Prof. Tretiak podaje za tą nazwą argument, że na autografie ją spotykamy, choć niepewne, czy napis pochodzi z ręki poety. Dodałbym do tego argument drugi: wszystkim dramatom Słowackiego daje nazwę główna postać, Mazepa, Beatrix Cenci, Balladyna, Lilla Weneda, Marya Stuart, Mindowe, Ksiądz Marek i t. d. (jedyny wyjątek: »Sen srebrny Salomei a i tu główna osoba jest wymieniona).

Stosunek Słowackiego do przyrody. Zwrócił już na niego uwagę prof. Tarnowski, ale tylko w odniesieniu do poematu »W Szwajcaryi«, gdzie ten stosunek występuje najjaśniej. Prof. Tretiak idzie dalej, kwestyę porusza szerzej, zastanawia się nad wpływem, jaki przyroda na poetę wywierała, omawia to działanie, o ile się z niem spotykamy i w poematach i w poufnych wynurzeniach Słowackiego, t. j. w jego listach. I znowu pod tym względem dzieło prof. Tretiaka jest wzbogaceniem literatury o Słowackim (por. zwłaszcza str. 8—12); nikt dotąd nie zajął się tą sprawą tak szczegółowo i nie określił jej tak dobrze. Tylko — może autor idzie za daleko, gdy w tym szczególnym stosunku poety do przyrody, w jego nadzwyczajnej wrażliwości na wszystkie jej kształty i barwy, odcienia i tony i nadzwyczajnej żywości tych wrażeń (str. 9) widzi źródło »poetyckiego na świat spojrzenia« u Słowackiego, czyli (według określenia Małeckiego) najistotniejszej cechy oryginalności jego talentu. Zdaje mi się, że to jest tylko jedna z właściwości (prawda, że bardzo wybitna), że to jest *accidens* a nie istota, nie źródło jego poezyi i jego poetyczności.

Głosy współczesnej krytyki o utworach Słowackiego: rzecz na pozór mało ważna, bo czyż owe mniejsze i większe recenzye lub wzmianki, raz panegiryczne, drugi raz (częściej) zjadliwe, recenzye przygodne z przed lat kilkudziesięciu, mają dla nas dzisiaj znaczenie? mogą wpłynąć na nasz sąd? W tym wypadku jednak chodzi nie o nie same, ale o ich wpływ na Słowackiego. A ten wpływ jest niewątpliwy; prof. Tretiak pokazuje go nieraz i udowadnia. Prawda, że znowu niekiedy ma się uczucie, że autor idzie za daleko, że nieraz jest tylko proste następstwo w czasie, ale przyczyna gdzieindziej. Ale czy się na wszystko zgodzimy, czy nie, faktem jest, że prof. Tretiak pierwszy na to zwrócił uwagę i do historyi Słowackiego zastosował. Przypominam tu uwagi o recenzyi »Kordyana« w piśmie *Le Polonais* (str. 65—67), o recenzyach »Anhellego«) (str. 113—116 i 124—125) w *Młodej Polsce* i w *Tygodniku literackim*, o recenzyi »Balladyny« w *Młodej Polsce* (str. 128—129), o recenzyach »Beniowskiego«, wyszłych z różnych partyi emigranckich (str. 251—259), dalej krytyki ogólne, jak np. ową w *Młodej Polsce* przez Z. K., uwiecznioną później w »Beniowskim« (str. 116—118), lub w »Kalendarzu pielgrzymstwa polskiego« (str. 132—134), albo wreszcie »Krytykę«, napisaną przez Goszczyńskiego w »Powszechnym pamiętniku nauk i umiejętności« (str. 76—77). Te wszystkie uwagi, zebranie tych krytyk, wykazywanie ich wpływu na Słowackiego, to także jedna ze zdobyczy naukowych książki prof. Tretiaka, i to ważna.

Znany jest stosunek Krasińskiego do Słowackiego. Małecki np. poświęcił mu w swej monografii dosyć miejsca. Prof. Tretiak tę samą rzecz traktuje głębiej. Nie tylko opowiada przebieg ich znajomości, ale określa dokładniej wpływ, jaki na rozwój duchowy Słowackiego, na jego myśli o sobie, na jego poezyę, wywarła znajomość i korespondencya z Krasińskim — i odwrotnie. Wykazuje trafnie, że Krasiński musiał Słowackiego odczuwać, rozumieć i podziwiać bardziej, aniżeli reszta czytelników polskich; nader interesujące są te ustępy, gdzie autor zestawia z sobą obu poetów, pokazuje ich wspólności i ich rozbieżności. Tak dobrze i tak zręcznie nikt jeszcze tego bardzo interesującego stosunku nie przedstawił.

Na tych przykładach poprzestajemy; każdy widzi, jak one są ważne, jak ważnymi są te ustępy dla studyów nad Słowackim. Ale oprócz nich jest przecież jeszcze bardzo wiele takich zdobyczy, spostrzeżeń nowych i interesujących, objaśnień odmiennych od dotychczasowych, szczegółów czasem drobnych a niemniej przeto ważnych. Przy-

zwyczaił nas zresztą do tego prof. Tretiak; od każdej z jego prac tego się spodziewamy i każda nam to daje. Nie potrzeba się nad tem rozwodzić.

* * *

Do kontrowersyi, jednakże książka daje sposobności dosyć.

Więc naprzód rzecz najważniejsza, książki, zadanie i cel, jej nastrój i ton. To właśnie, co wywołało najwięcej niechęci i ataków. Jeżeli jednakże nie zgadzamy się na tym punkcie z książką prof. Tretiaka, to nie wynika z tego, jakobyśmy się pisali na owe krytyki i dzielili ich poglądy, ich sposób patrzenia na Słowackiego i na książkę o Słowackim. Wartoby w tym względzie pójść drogą trzecią, która z tamtemi dwiema nieraz będzie się przecinać, nieraz pobiegnie równolegle do nich, ale ostatecznie będzie drogą inną.

Interesująca jest geneza studyum prof. Tretiaka. »Uderzał mię zawsze« — mówi autor w słowie wstępnem — »i domagał się wyjaśnienia ów antagonizm, który tak rażąco występuje we wzajemnym stosunku dwu największych poetów polskich, w szczególności ze strony Słowackiego... Studyując ów antagonizm, przekonałem się, że on do tego stopnia przenika całą istność duchową Słowackiego, iż bez podania pełnej historyi ducha poety nie da się przedstawić należycie«. Więc Mickiewicz zaprowadził autora do Słowackiego.

Antagonizm obu poetów domagał się wyjaśnienia. Antagonizm, »który tak rażąco występuje we wzajemnym stosunku dwu największych poetów polskich«. Otóż ten punkt wyjścia czy nie wywarł wpływu na samą pracę? Z wszelką pewnością tak. Jest to rzecz ostatecznie obojętna, skąd autor wychodzi, jeżeli doszedł do celu. A jednakże ten punkt początkowy drogi suggestyonuje niejako badacza; zależy od niego kąt widzenia na całą sprawę. Tak w tym wypadku powzięta myśl o tym antagonizmie, o jego sile i rozmiarach, po prostu przygniotła sobą inne, wycisnęła na nich piętno niezwykle silne. Zmusiła je do ruchu w tych kolejach, które zaznaczyła. Z książki prof. Tretiaka wynosi się zbyt często wrażenie, że bez Mickiewicza nie byłoby Słowackiego. Łagodniej to samo wyraziwszy: że Słowacki w przeważnej liczbie swych utworów myślał przedewszystkiem o tem, ażeby dorównać lub przewyższyć Mickiewicza, że z jego dzieł brał impulsa do swoich. Nawet gdyby tak było, (a tak było właściwie tylko w najwcześniejszej epoce), to jeszcze z tego nie można wyciągać wniosku o niższości Słowackiego. Tak się dzieje na całym świecie, zawsze i wszędzie

poeci jeden na drugiego oddziałują, wielcy na małych, mali na wielkich — te wszystkie historye krzyżują się z sobą niepomiernie. Kwestya oryginalności nie da się tak rozwiązać.

Antagonizm ów, żeby tak dalece przenikał całego Słowackiego, na to trudno się zgodzić, przynajmniej bez daleko sięgających zastrzeżeń. Naprzód zdaje mi się, że temu antagonizmowi przypisuje się (nie tylko prof. Tretiak, ale w ogóle) zbyt wielkie znaczenie. W poezyi obu poetów zbytnio się on nie ujawnił. Powie tu kto, że przecież Kordyan widocznie rywalizuje z Konradem, że wzmianki pod adresem Mickiewicza w poezyi Słowackiego, w jego pismach prozaicznych, są wcale częste, — przytoczy wreszcie ustępy z Beniowskiego. Otóż zdaje mi się, że takie pojedyncze ustępy i wzmianki nie są wystarczającym dowodem wpływu tego antagonizmu. Przy wszelakich ucinkach, walkach podjazdowych, każdy z poetów mógł zostać sobą, nie ulegać wpływowi drugiego. I naprawdę trudno dopatrzyć się wpływu Mickiewicza, czy to pośrednio czy bezpośrednio, na poemat Beniowski, na poemat w Szwajcaryi, (chyba IV część Dziadów nic tu nie ma do roboty), na dramat Lilla Weneda lub Horsztyński. Jeden tylko Kordyan, na to zgoda. Tutaj p o e m a t, jako całość, jako dzieło twórcze wykazuje zależność od Dziadów. Co mu zresztą nie przeszkodziło być poematem pięknym — a na tem można poprzestać. Antagonizm ów objawił się więcej w życiu — a tutaj tak u Słowackiego, jak i u Mickiewicza. Ot po prostu powiedziawszy, nie lubili się obydwaj. Z tego nie robiłbym nikomu zarzutu. Do najszlachetniejszych nieraz ludzi możemy czuć antypatyę przy całym szacunku, jaki dla nich mamy; za grzech to trudno poczytać. W biografii obu poetów zapewne ten antagonizm powinien znaleźć opisanie; w historyi poezyi polskiej jego znaczenie dla jej rozwoju, jego wpływ, raczejbym obniżył. Z tego zaś punktu na sprawę całą patrząc, nie sądzę, aby dla objaśnienia tego antagonizmu trzeba sięgać do głębin ducha Słowackiego, wystarczy zatrzymać się na jego pierwszych warstwach.

Prof. Tretiak idzie dalej. Przypisując antagonizmowi wielkie znaczenie w duchowem życiu Słowackiego, znaczenie to jeszcze bardziej zwiększa: »Nie sama ciekawość naukowa wiodła mię do zbadania i objaśnienia tej jedynej w swoim rodzaju walki między dwoma geniuszami poetyckimi. Miałem i mam to przekonanie, że należyte zrozumienie tego antagonizmu może mieć doniosłe znaczenie społeczne. Mickiewicz i Słowacki to nie byli tylko przedstawiciele dwóch przeciwnych natur artystycznych, jak ich przedstawiał niegdyś trzeci

poeta z wielkiej trójcy, Krasiński, ale zarazem i przewodnicy i chorążowie na drogach społecznych, rozbiegających się w dyametralnie przeciwnym kierunku«. Kult dla chorągwi Słowackiego, bardzo mały za jego życia, od r. 1863 mniej więcej wzrasta coraz więcej. »Niekiedy góruje on bardzo widocznie nad kultem dla drugiej chorągwi, przeważnie jednak kojarzy się na równych prawach z tamtym, i taka harmonia mogłaby być uważana za szczęśliwe rozwiązanie walki, którą dwaj wielcy chorążowie toczyli z sobą za życia, gdyby nie polegała na nieporozumieniu, na niezrozumieniu tej walki, na niejasnem pojmowaniu wzajemnego stosunku dwu tych przeciwników i znaczenia ich twórczości dla narodu«.

Te słowa zawierają *in nuce* drugi składowy pierwiastek książki.

Możnaby tu podjąć kwestyę zasadniczą. Czy poeci mogą być i czy są chorążymi? To znaczy (według niezbyt ścisłej ale powszechnie przyjętej) przenośni: przewodnikami i kierownikami narodu? Prawda, ze i poezya jest czynem, ale przecież innym, niż czyn prawdziwy. Kierownikami — to znaczy, że narodowi wskazują cel jasno określony i drogi, do tego celu wiodące. Nasza poezya pierwszej połowy XIX wieku wskazywała wprawdzie cele, ale zbyt ogólne, i takie same drogi. Kierownictwo zaś prawdziwe narodu wychodziło zawsze od ludzi i grup innych — poezyi udziałem jest dziedzina inna, i tam ona największe ma znaczenie. Ale dyskusya na ten temat zaprowadziłaby nas za daleko, byłaby przytem dyskusyą nie z autorem książki, ale z mniemaniem ogólnem. Zostawmy ją więc na razie na boku, stańmy na ogólnie zajmowanem stanowisku i obaczmy jak się tutaj zachować mamy wobec Słowackiego.

Obserwując kult dla chorągwi Słowackiego, a przypatrując się równocześnie życiu poety, jego słowom i myślom w listach lub poezyi, prof. Tretiak spostrzegł dysproporcyę między wielkością pierwszego, a etyczną skalą drugich. Przyszedł do przekonania, że to, co znajdujemy w życiu i w pismach, do takiego kultu poecie prawa nie daje. Książka postawiła sobie za zadanie to udowodnić. Rozczytując się w poezyi Słowackiego, autor nie znalazł w niej prawdy i szczerości uczuć społecznych. (Pamiętajmy jednak ciągle, że książka prof. Tretiaka to dopiero część pierwsza dzieła, że kończy rokiem 1842, obejmuje więc życie i dzieła poety przed transfiguracyą, przed ostatnią jego epoką). Miłość ludzi, miłość ojczyzny, o ile się w tej poezyi odbijają: autor wyszukuje dla nich motywów, płynących z po za serca i duszy poety. Uczuć społecznych Słowackiemu odmawia. Bodźcem dla poety była

zawsze myśl o sobie, chęć przewyższenia wielkiego rywala, gniew na społeczeństwo, że wielkości Słowackiego nie uznaje; w najlepszym razie pociąga go do dawnego świata polskiego, jego kolorowość, barwność, jego wartość jako przedmiotu do artystycznego traktowania. Słowacki nie kochał nikogo, tylko siebie. Widać to w jego poezyi, widać w jego listach, widać w jego czynach. Kto zaś uczuć społecznych sam nie posiada, ten ich głosicielem i chorążym być nie może, wniosek z tego jasny.

Na takiej to podstawie wznosi się budowa uczuć krytyka dla poety. Przyjaznemi one zbytnio nie są. Sąd jest stanowczy i ostry i bezwzględny. Okoliczności łagodzących autor nie uwzględnia. Po jednej stronie jest ideał, po drugiej człowiek. Człowiek ideałowi nie dorównywa, więc wyrok skazujący.

Cóżby na to wszystko odpowiedzieć? Dyskusya tu trudna, bo jednakże za często operować trzeba raczej wrażeniami subjektywnemi, aniżeli faktami. Niestety w samej książce jest często tak samo, więc w dyskusyi staną przeciw sobie i mówić będą wrażenia więcej wyczute, aniżeli niezbite fakta.

Więc do tej pierwszej kategoryi należy wrażenie, jakie z całości książki wynosimy, że jest ona pisana bądź co bądź z niechęcią dla Słowackiego. Autor przypomina w słowie wstępnem, że starał się od niebezpieczeństwa stronniczości odgrodzić; że jeżeli w książce jest jaki wpływ uprzedzenia, to po za granicami jego świadomości. Że tak było rzeczywiście, to nazwisko prof. Tretiaka jest rękojmią dostateczną. A jednak niechęć jest widoczna. Jej wytłumaczenie jest bardzo łatwe. Przez studyowanie dokumentów duszy Słowackiego autor wyrobił sobie o poecie sąd niezbyt dodatni. Sympatyi więc dla niego czuć nie mógł. I z tego również zarzutu robić nie można. Ale w książce mogło to występować mniej silnie, nie w formie antypatyi; prędzej jako asympatya. W drugim razie chętniej sąd uznajemy, bo ma więcej znamion wyroku, wydanego naprawdę *sine ire et studio;* w pierwszym odczuwamy *iram.* Tutaj jest ta właściwość książki, o której wspomnieliśmy na początku: schodzenie z gruntu ściśle naukowego na teren więcej uczuciowy, co wywołać musiało reakcyę na tym samym terenie.

Pozbawił się przez to autor wielkiej korzyści naukowej, wzbudzenia w czytelniku silnej wiary w swój pogląd. A ten pogląd ma wiele słuszności. Słowacki jako człowiek nie jest bardzo idealną postacią, i wszelkie próby zrobienia z niego takiego ideału nie mogą się

udać. Tymczasem zaś tak trudno nam pogodzić się z tą myślą. Dzieje się tu odwrotnie, aniżeli u autora omawianej książki. Zamiłowanie w poezyi Słowackiego idealizuje nam poetę, podczas, gdy u krytyka surowy sąd o poecie samym jako o człowieku wpłynął na sąd o utworach. Stworzył postać Słowackiego wyidealizowaną Małecki. Wprawdzie i on wad nie ukrywał, ale je bądź co bądź usprawiedliwiał, podał zresztą całość tak piękną, że pojedyncze rysy ujemne w tym obrazie ginęły. To pojmowanie Słowackiego stało się ogólnem, spotęgowane oczywiście pierwiastkiem patryotycznym jego poezyi. Rozstać się nam z tym obrazem, wypiastowanym w duszy już kilku pokoleń, bardzo trudno — przeszkadza temu uczucie, przeszkadza przyzwyczajenie. Otóż za wielką zasługę poczytałbym książce odwagę, z jaką podnosi ten niepopularny problem. Tak mało mamy w ostatnich czasach książek niepopularnych!

Tylko niestety nie możemy z autorem iść tak daleko. Najpierw nie możemy się zgodzić na tak czarny portret. Nie możemy się zgodzić na to, żeby fakta zupełnie błahe, zupełnie niewinne i najzupełniej obojętne, służyły za podstawę do oskarżenia. Nie możemy wymagać od człowieka cnót nadludzkich i z ich braku robić mu wyrzuty. Musimy przykładać do wszystkich miarę tę samą tj. żądać od każdego tylko tyle, ile on w miarę darów, jakie otrzymał, dać był powinien. Nie sądźmy Słowackiego inaczej i surowiej, aniżeli np. Mickiewicza lub Krasińkiego. Że Mickiewicz jest etycznie od obu z pewnością wyższy, to rzecz inna — miara dla wszystkich winna być ta sama.

Ale dalej nasuwa się kwestya druga. Czy z braku uczuć społecznych u poety (nawet gdybyśmy ten brak dowiedli) wynika tem samem, a — społeczność jego poezyi? Problem to ciekawy [1]. Zdaje mi się, że niechby nawet Słowacki wziął grób Agamemnona lub Beniowskiego, lub Piasta Dantyszka ze sfery uczuć mniej szlachetnych, nie z czystej, wielkiej i prawdziwej miłości ojczyzny, to jednak to, co my otrzymujemy w jego poezyi, jest uczuciem patryotycznem przepełnione od początku do końca. Obojętne mi jest jak się sam Słowacki zachował w życiu jeżeli w grobie Agamemnona znajdę tak bolesny i tak potężny wyraz cierpienia patryotycznego. Zapominam najzupełniej o człowieku, gdy czytam: »Dawna

[1] Życie Rafaela nie było zbyt budujące. Co zrobimy z jego obrazami religijnymi? Mickiewicz nie brał udziału w ruchach. Co zrobimy z trzecią częścią Dziadów?

ojczyzno moja, o jak trudno zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy zapomnieć wdzięku, co twarzą odludną wodził na dawnych opłotki cmentarzy«. Obojętne mi jest, czy Słowacki naprawdę kochał Ludwikę Śniadecką, gdy czytam strofy do niej zwrócone; zapominam o stosunku do Anieli Moszczeńskiej, gdy czytam wspaniałe do niej sonety. Mam tu do czynienia z poezyą, z poezyą wspaniałą, i to mi wystarcza — a zupełnie mi to obojętne, czy na dnie tego leży rzeczywista rzeczywistość czy też fikcyjna fikcya.

Stąd mamy przejście do owego przodownictwa w narodzie. Ono przecież odnosi się do poezyi, nie do poety. I w zakresie, właściwym poezyi. W zakresie uczucia. Uczucie miłości ojczyzny ta poezya budziła i podtrzymywała. Nic innego nie robiła poezya Mickiewicza, lub Krasińskiego. Jeżeli chciała dawać jakieś konkretne wskazówki, to albo przekraczała swoje granice i stawała się rymowaną polityką, albo nie wychodziła po za zakres nauk bardzo pięknych ale przecież zbyt ogólnych, w rodzaju tej, która mówi: idź i czyń, choćby ci serce wyschło w piersiach. Było w epoce po r. 1831 przekonanie, że poezya wskazuje drogi, przekonanie to trwa do dziś dnia; nie, poezya ta była tylko krzepiącym kordyałem podczas drogi, której kierunek wytyczał kto inny. Poezya Słowackiego pod tym względem ma tę samą zasługę, co dwóch innych poetów, w dziedzinie uczucia, i dzieli z niemi te same złudzenia co do swojej wartości praktycznej. Nie jest od nich gorszą ani lepszą.

Egoizm Słowackiego, a przedewszystkiem jego samouwielbienie: na tym punkcie znowu rozstrzygać musi subjektywne wrażenie. Mnie ono nie razi, uważam je za poczucie siły. Takie samouwielbienie mamy u Mickiewicza, mamy u Goethego. Czy Słowacki nie miał do niego prawa? Chyba miał. Jego starcie się z Mickiewiczem w piątej pieśni Beniowskiego, jest dla mnie bardzo dalekiem od aktu szaleństwa. Nie ubliża się i nie umniejsza w niczem Mickiewicza, jeżeli się przyzna słuszność słowom: »na dwóch słońcach swych przeciwnych bogi«. Nie jest Słowacki sprawiedliwym wobec Mickiewicza, nie ma racyi, gdy mu wytyka rzekome pęknięcie serca, błąka się, gdy chce przeciwstawiać sobie jakieś poezye programowe, przewodnicze, ale nie myli się w poczuciu swojej wielkości. Kiedy zaś o tej swojej wielkości mówi w dygresyach Beniowskiego, to najpierw są te dygresye śliczne, powtóre sam poeta wypowiada je nieraz tonem żartobliwym, a po trzecie — one znowu mają słuszność. Przewagę w poezyi Słowackiego jego osoby, zajęcie się tą osobą, możnaby też tłumaczyć

łagodniej, nie tak surowo, a raczej wyjaśnić powody, dla których się tak stało. Tragedyi Słowackiego nie można wytłumaczyć samą tylko jego żądzą sławy i niemożnością osiągnięcia tej sławy za życia — trzebaby sięgnąć dalej, wyjaśnić jego poetycką organizacyę, rodzaj jego poezyi, określić warunki duchowe, w jakich się jego działalność pisarska znajdowała — i tak dalej wolelibyśmy widzieć mniej sądu, a więcej spokojnego wyjaśnienia.

Wogóle tyle punktów spornych co chwilę się nasuwa! Jest to oczywiście w związku z tem, że zasadniczo stanęliśmy na innem stanowisku, niż autor; w następstwie tego konsekwentnie też muszą się różnić zdania w szczegółach. Ale niepodobna się już tak daleko zapuszczać, »bych ci nie przedłużył, ani teskności uczynił«. Zakończmy nasze sprawozdanie.

Wrażenie ogólne z książki, końcowe jest bardzo złożone. Na punkt wyjścia, na nastrój i ton książki trudno się zgodzić; trzeba zaś przyznać, i to z chęcią, że autor ma słuszności wiele, że książka jest śmiałą, interesującą, do myślenia i do dyskusyi pobudza, napisana świetnie, przeprowadza myśl zasadniczą niezwykle, logicznie, jasno i konsekwentnie (jako architektonika; jedna z najlepszych książek w ostatnich czasach). Szkoda, że tonem budzi reakcye uczuciowe, bo przez to w sprawę naukową miesza się tłum i »hajże na Soplicę«, co znowu mąci wzrok nawet poważnych badaczów.

Wkrótce pojawi się część druga, obejmująca tak mało zbadaną epokę po r. 1842.

Dr. St. Dobrzycki.

O źródłach niewiary. *Ks. dr. Jan Żukowski.* Lwów, 1903. str. 518 in 8°.

Autor postawił sobie za cel obronę wiary, która dzisiaj powszechnie zdaje się być zagrożoną, ale głównie wśród klas wykształconych. Do tych też klas zwraca się przedewszystkiem w swem dziele, nie pisze jednak apologii naukowej, ale, kierując się względami praktycznymi, stara się udowodnić, że niewiara, czemkolwiek by się zasłaniała, ma przecież swe źródło w złej woli człowieka. Oczywiście nie ma na myśli autor, jak to zresztą nieraz zaznacza, wszelkiej niewiary, lecz tylko taką, która ma miejsce przy dostatecznem poznaniu objawienia i religii prawdziwej. O takiej niewierze twierdzi, że «pochodzi zawsze ze złej woli, która pośrednio lub bezpośrednio, mniej lub więcej świadomie wpływ swój wywiera i nieraz przy po-

zornej zacności i uczciwości miejsce mieć może. Niemożliwą jest rzeczą, aby ktoś znając dowody naszej wiary, bez własnej winy mógł się jej oprzeć lub od niej się odwrócić» (str. 63).

Dowód swej tezy przeprowadza ks. Żukowski w całem dziele, które rozpada się na trzy części. Pierwsza część, ogólna, omawia wpływ woli na poznanie wogólności, tłumaczy naturę wiary, przedstawia różne rodzaje niewiary i wykazuje, że zła wola jest ogólną przyczyną niewiary. Druga część bada poszczególne źródła niewiary. Jak na wiarę, mówi autor, składa się rozum, wola i łaska boża, tak przyczyną niewiary może być ze względu na rozum: zawiniona nieświadomość, ze względu na wolę: skażenie obyczajów, pożądanie bogactw i pycha, ze względu na łaskę: oziębłość duchowna. Wszystkie te przyczyny suponują wolę źle usposobioną, a jak łatwo zauważyć, są to przyczyny wewnętrzne, tkwiące w człowieku, zewnętrzne zaś, jak np. złe wychowanie i otoczenie, autor pomija.

Do tego samego wyniku dochodzi autor przy rozbiorze kilku faktów psychologicznych, którym kończy część drugą. I tak: niepokój sumienia, ten smutny a zwykły przywilej ludzi niewierzących, dalej ta okoliczność, że wśród cierpień i nieszczęść, kiedy gasną namiętności, nikną nadzieje zaszczytów i bogactw, podobnie jak w wieku podeszłym a zwłaszcza przed śmiercią, — a wreszcie stwierdzone w tylu wypadkach pobudki odstępstwa od religii katolickiej i nawróceń do niej: wszystko to wskazuje, że zła wola jest źródłem niewiary.

W ostatniej części stara się autor dowieść swej tezy przy pomocy historyi ludzkości. W tym celu wskazuje najpierw na źródło złej woli tj. grzech pierworodny i na to, jak szatan posługuje się tą złą wolą. W następnych rozdziałach zastanawia się nad genezą politeizmu, przechodzi historyę narodu żydowskiego, pierwsze wieki chrześcijaństwa, stare herezye, wieki średnie i reformacyę XVI w., przytacza uczonych wierzących z nowszych czasów i daje obraz nowoczesnej niewiary z oceną jej świadectw. Zakończenie obejmuje wnioski z badań przeprowadzonych w owych trzech częściach dzieła. Wnioski te są natury apologetycznej, metodycznej i praktycznej; pierwsze usuwają trudności stawiane wierzącym, drugie określają sposób postępowania z niewierzącymi, ostatnie wskazują drogę do wiary.

To treść dzieła, treść, jak widać z prostego spisu, dotykająca różnych dziedzin, z któremi wiąże się kwestya wiary i niewiary. O ważności tej kwestyi tak dla życia jednostki jak i ogółu nie można wątpić, aktualność jej dla naszych czasów także widoczna. Nie mniej

i to zdaje się być rzeczą jasną, że traktowanie takiej kwestyi winno być dokładne i gruntowne. Z tego zdawał sobie ks. Żukowski sprawę i, chociaż pracy swej nie przypisuje oryginalności, sądzi jednak, że myśli pozbierane z różnych dzieł, mniej przystępnych ogółowi, zebrał w organiczną całość i oparł na gruntownej teoryi (Słowo wstępne). Z tego też stanowiska poddamy ocenie dzieło, a zwrócimy się głównie do pierwszej części, bo ona dotyka kwestyi zasadniczej, analizy wiary.

Wstępem do rozbioru aktu wiary jest rozdział traktujący o wpływie woli na poznanie rozumowe. Autor konstatuje fakt, że rozum często nakłania się pod wpływem woli do uznania czegoś za prawdę lub fałsz, chociaż sam sobie pozostawiony wstrzymałby się od wydania sądu. Ale jak się ten wpływ woli iści, w jaki sposób wola uzupełnia niedostateczność motywów, o tem ani słowa. Wszak sam autor stwierdza, że rozum kieruje się motywami różnymi od motywów woli, a zatem wola musi rozumowi przedstawić takie motywa, inaczej go nie skłoni do sądu. Pominięcie tej kwestyi odbiło się niekorzystnie na rozbiorze aktu wiary.

Rozdział, w którym poddany jest analizie akt wiary, choć zdaniem naszem najważniejszy, wypadł najsłabiej. Dużo w nim niedokładności i zamieszania. Już samo ujęcie kwestyi jest mniej odpowiednie, skoro bowiem cel książki jest apologetyczny, to należało wyjść nie z teologii, ale z tego, co rozum o wierze mówi, a następnie wykazać zgodę w zapatrywaniach objawienia i rozumu. Droga do tego dość prosta: wykazać różnicę między wiedzą a wiarą naturalną, rozróżnić wiarę konieczną od wolnej, przedstawić w tej ostatniej udział rozumu i woli i tak dojść do wniosku, że wiara wolna jest rozumną. W tym punkcie można było nawiązać do wiary teologicznej, wykazać i uzasadnić jej cechy, dowieść jej rozumności i wolności. U autora jest to wszystko pomieszane.

Wolność wiary teologicznej wynika według ks. Żukowskiego z trzech głównie warunków: z natury pewności, jaką nam dają dowody na fakt objawienia, z trudności aktu wiary i z potrzeby łaski do wiary. Otóż taka teza krytyki nie wytrzymuje. Wszak moralna pewność, wykluczająca oczywistość o prawdziwości objawienia, nie jest przyczyną istotną wolności wiary, bo przecież przyjąć trzeba, że i przy oczywistości faktu objawienia wiara wolną zostaje. Tak samo potrzeba łaski do wiary ani dowodzi ani stanowi wolności wiary. Łaska nadprzyrodzona nie sprawia, że akt wiary jest wolnym, ale tylko czyni akt wiary nadprzyrodzonym i pomaga do zwyciężenia trudności przy

jego wzbudzeniu (choć w tym drugim razie wystarcza pomoc boża w istocie swej naturalna).

Kwestyi pewności, jaką nam daje wiara teologiczna (a przecież to kwestya ważna), autor tylko ubocznie dotknął, i to opierając ją nie na motywie jej właściwym tj. powadze Boga, ale na łasce. Przez to pominął istotną rzecz i wdał się w kwestyę, którą należałoby wytłumaczyć (a tego autor nie czyni), by się stała zrozumiałą dla ludzi nieobeznanych dobrze z teologią.

Dwie ostatnie części są zestawieniem licznych cytatów z filozofów, należących do różnych obozów, i teologów, z mnogich historycznych szczegółów. Co się tyczy tych ostatnich w części historycznej, to ich zestawienie nie jest tego rodzaju, by dawało «zupełne i głębokie zrozumienie historyi», jak to autor obiecuje we wstępie do części trzeciej (p. 288). Zgodzić się zaś z nim nie można, kiedy mówi, że rozłam między wiarą a wiedzą dopiero reformacyi zawdzięczamy, lub kiedy utrzymuje, że wystarczy zanalizować kilka herezyi, by indukcyjnie wyprowadzić wniosek, że wśród powodów wszystkich herezyi jest zła wola.

Jakiż więc ostateczny nasz sąd o dziele ks. Żukowskiego? Chętnie przyznajemy, że pracy w niem dużo, że napotyka się w niem liczne szczegóły, które człowiekowi rozumnemu każą się zastanowić nad źródłem i wartością niewiary, — ale nie sądzimy, żeby autor zadość uczynił ludziom z wyższem wykształceniem. Kwestya bowiem jest nawet ze stanowiska autora zbyt pośpiesznie i niedostatecznie (co znać i w języku) opracowana, a przytem pomija zupełnie dzisiejsze kierunki filozofii, które kołom wykształconym nie są obce. Dzieło więcej się nadaje kaznodziejom i wogole duchowieństwu, które w niem znajdzie dużo dobrego materyału i nie małą pomoc w swej pracy.

Ks. Bogusław Mączka.

Mistyczne ciało Chrystusa a charaktery sakramentalne. *Ks. Włodzimierz Piątkiewicz T. J.* Kraków 1903, (w ósemce).

Na postęp naukowy dogmatyki mogą się składać dwa czynniki: raz gruntowne badanie historyczno-dogmatyczne, a potem spekulatywne pogłębienie tajemnic wiary. Dziś na pierwszy czynnik postępu prawie wyłączny kładzie się nacisk; nie da się to jednak usprawiedliwić. I w dziedzinie spekulacyi można się jeszcze zdobyć na nowe i drogocenne rezultaty, byleby nie wznosiła się na skrzydłach wyobraźni, ale czerpała z nieprzebranych skarbów myśli, jakie złożone

są w listach św. Pawła i Ojców św., zwłaszcza św. Cyryla Aleksandryjskiego i Augustyna, i opracowywała na podstawie tychże cenne, niezużytkowane dotąd materyały. Z tego to przekonania wyszedł widocznie O. Piątkiewicz, wybierając sobie swój temat. Niezwykłe jego dziełko wywoływa w nas pragnienie, by autor później kiedyś obdarzył nas obszerną rozprawą o charakterach sakramentalnych. Wszelako nadzieja ta nie powinna uwłaczać radości, jaką nam sprawia leżąca przed nami, piękna monografia. Jest ona dobrze obmyślana, ze stanowiska teologicznego niezaczepna, a do tego pisana przyjemnie i przejrzyście. Autor bierze za punkt wyjścia niektóre płodne myśli, poruszone przez Scheebena i Lingensa, ocenia je na podstawie teologii św. Pawła i szkoły, wykazuje ich znaczenie, wyjaśnia je z nowych punktów widzenia, spaja je w system i włącza w mocny gmach spekulatywnej dogmatyki. Książka jego oznacza postęp na dotychczasowym terenie.

Najpierw spotykamy się z określeniem pojęcia «mistycznego ciała Chrystusowego»; w związku z tem sakramentalne charaktery pojęte są jako siły organiczne, pracujące nad żywą budową tego ciała. Charakter chrztu nadaje materyi pierwsze cechy nadprzyrodzonego organizmu; charakter bierzmowania umacnia gotowe członki tego ciała i uzdalnia je do natężonej działalności; charakter wyciśnięty przez sakrament kapłaństwa wytwarza wewnętrzne i najsubtelniejsze ze wszystkich organa, które w całym organiźmie utrzymują i sprawują życie w Chrystusie i przez Chrystusa.

Czytając piękne to studyum, ma się świadomość, że się lepiej zasmakowało w niektórych najgłębszych myślach św. Pawła, i że je uchwycono w najistotniejszym swym związku.

Czyż autor nie opracowałby chętnie pierwszego rozdziału o mistycznem ciele Chrystusa w obszerniejszych ramach i nie zechciałby przekształcić go w monografię? Kiedy się przed kilku laty w szczególniejszy sposób zajmowałem tą kwestyą, napotkałem w niej niejedną, nierozwiązaną jeszcze zagadkę. Zdawało mi się wówczas, że możnaby tu postawić następujące twierdzenia: 1) Na mocy sposobu wyrażania się św. Pawła należą do widomego kościoła jako członki jego ciała wszyscy ci, którzy są także członkami mistycznego ciała Chrystusowego; 2) Członkami kościoła są wyłącznie ci ochrzczeni, którzy nie są tak dalece pozbawieni prawa odprawiania za nich Mszy św., iżby zaprzeczenie tego prawa uważano za jawne i publiczne *(dicimus, eos baptizatos solos et omnes esse membra ecclesiae, quibus ius, ut pro*

se offeratur missae sacrificium, non ita ablatum est, ut haec ablatio manifesta et publica censeri debeat). 3) Mimo to oprócz t. zw. *excommunicati vitandi* nie należy wliczać w poczet członków kościoła jawnych heretyków i schyzmatyków, którzy oderwali się od kościoła, gdyż życiodajny wpływ głowy t. j. Chrystusa, jakiego udziela kościół, nie daje się podciągnąć pod przysługujące im prawo, ale tylko pod przywilej, użyczony innym wiernym. 4) W jakiś sposób wszyscy ochrzczeni mocą charakteru sakramentalnego powinni być przyłączeni do ciała kościoła, a zatem także do mistycznego ciała Chrystusa, choć nie są w ścisłem tego słowa znaczeniu członkami *(membra).*

Jeżeli zważymy, że według prawa kanonicznego także ci, którzy nie są (w dopiero co wyłuszczonem znaczeniu) *membra ecclesiae,* mogą sprawować jurysdykcyę oraz pewne czynności duchowne, lub przynajmniej zatrzymać pierwiastek jurysdykcyi, to tem samem zwraca się uwaga nasza na wcale ważną moc charakteru chrztu.

Te uwagi ośmieliłem się tylko narzucić, być może, że autor znajdzie w nich pożyteczną jakąś myśl do późniejszych prac. W każdym razie monografia ta sprawiła na mnie wrażenie, że O. Piątkiewicz byłby powołanym do napisania dzieła, któreby wyrzekło ostatnie słowo o wewnętrznej piękności chrześcijańskiego dogmatu, dzieła, nad któremby się unosił duch ś. p. O. Maryana Morawskiego.

Ks. Stan. Dunin Borkowski.

Cztery dni. Powieść p. *Antoniego Miecznika.* II tomy. Warszawa 1903.

Wydawcy *Biblioteki dzieł wyborowych* nie popełnili pomyłki drukując powyższy utwór A Miecznika. Podzielony na dwa tomy mógłby wygodnie zmieścić się w jednym, zawiera jednak więcej siły i treści od wielu szerszych rozmiarami książek. Jestto obrazek na tle stosunków warszawskich, tragikomedya rozgrywająca się wśród trzech luźnie z sobą związanych żywiołów: 1° plutokracyi świeżo z żydowskiego pospólstwa wyrosłej, 2° plutokracyi starszej, ochrzczonej, przeradzającej się w arystokracyę i 3° arystokracyi polskiej zespalającej się z żydowską dla ratowania stanowiska i przedsiębiorstw. Główna postać, stary poważny baron Edelberg narysowana po mistrzowsku; nie mniej wróg jego a w końcu wspólnik — Żyd Koniecpolski. Tezą autora jest dowieść, iż Żyd wychodzący ze swojej sfery zaraża się w drugiem pokoleniu wadami rasy Aryjskiej nie przejmując w siebie jej zalet; również iż Polak urodzony z Żydówki zatraca w sobie instynkta szlachectwa i staje niżej od Żydów. W ogóle Polacy gorzej

od Żydów wychodzą z opisu p. Miecznika — i to nietylko ci, co są ze sferą finansową związani — brak im nawet stereotypowego kontrastu w postaci «cnotliwego inżyniera« w którym autorowie zwykli skupiać wszystkie zalety odmawiane *a priori* tamtym. Rzecz więc bardzo smutno wypada. — Czy modny dziś podobny system poniżania nas w naszych własnych oczach może się przyczynić do podniesienia moralnego narodu? Pono człowiek, któremu co dnia powtarzano, że jest łajdak i łotr, łatwiej da się skłonić do zasłużenia na te miana niż gdyby go nauczono godność ludzką w sobie cenić i szanować. Powiedzą mi może, iż literaci nie godzą w całość narodu, tylko w jego poszczególne części — ale i tu system ów jest zły i niesprawiedliwy. Po większej części działają oni jak on podróżny, co widząc ze statku w porcie neapolitańskim jedną rudą kobietę zanotował w swoich zapiskach, jako «w Neapolu wszystkie kobiety są rude»...

Ale czas wrócić do Czterech dni p. Miecznika. Jestto jak wspomnieliśmy utwór niepośledniej wartości. Charaktery wyrzeźbione i uwydatnione silnie a misternie tak mężczyzn jak kobiet, konkluzya naturalna i logiczna. Jedna może postać młodego Edelberga nieco mniej zrozumiała, za to rozmowa jego z ojcem w drugim tomie istotnie znakomita. Stary Edelberg potomek wielkiego w polskim Izraelu rodu, sam już ochrzczony, wychował dzieci na Polaków, pozwalając żonie wszczepić im pogardę dla gniazda z którego wyszli. Córka, Klementyna, wyszła za hr. Sławoborskiego, jest dumną ze swych dziewięć pałek (przez autora mitrą parękroć nazwanych!), marzy dla dzieci o świetnej przyszłości. Ojciec zakupił dla niej od zrujnowanego księcia wielki majątek ziemski, gdzie na spółkę z zięciem uprawia przemysł. Ten jednak poczyna się chwiać, «opory trzeszczą» i jedynym ratunkiem byłaby pomoc parweniuszowskiej firmy Żydów Koniecpolskich (aż boli widzieć to nazwisko tak sprofanowane), której szef, Natan, jest pod Edelbergiem wiceprezesem Kredytu Krajowego a zarazem jego współzawodnikiem i wrogiem. Walka obu potęg żydowskich skreślona po mistrzowsku kończy się kompromisem: Edelberg, daje swe poparcie moralne, Natan pieniądze i... rękę córki. Z tą bowiem gdy młody Leon Edelberg acz zrujnowany grą nie chciał się gwoli mezaliansu ożenić, łączy się bez wahania młody Sławoborski: w jednym podziałało wychowanie aryjskie, w drugim matczyna krew semicka. Ojciec namawia go do tego związku a potem nim gardzi: uważa słusznie że na nim samym skończył się ród staropolski — szkoda iż się skończył tak marnie. Teść góruje nad nim rozumem i powagą;

effekt byłby wyborny, gdyby obok Sławoborskiego, choćby na drugim planie widniało parę uczciwych, porządnych postaci szlacheckich.

Styl p. Miecznika jest lekki, akcya ożywiona. W wysłowieniu zarzucić można tylko zbyt często powtarzające się wyrażenia: wykrztusił, wyrzucił z siebie lub syknął — zamiast prostych rzekł, odparł, powiedział. Więcej w książce chyba nic skrytykować nie można...

T. Wodzicka.

Z piśmiennictw obcych.

La France au dehors. Les Missions catholiques françaises au XIX s. publieés sous la direction *du Père J. B. Piolet S. I.* T. IV: Océanie-Madagascar. Librairie Armand Colin. Paris 1902, str. 511.

Zwróciliśmy na tem miejscu uwagę czytelnika na trzy pierwsze tomy opisu missyi francuskich we wszystkich krajach Azyi i niektórych północnej Afryki. Dziś mamy przed sobą znów trzy wielkie tomy, świadczące iż chcąc badać ślady misyonarzy francuskich trzeba z nimi obejść świat cały. A wędrówka nie trudna, bo wydanie staranne, mnóstwo pięknych i ciekawych rycin, a tekst złożony umiejętnie z relacyi poszczególnych misyonarzy, tak dzielnie władających piórem, iżby im niejeden literat zawodowy mógł pozazdrościć talentu. Zwłaszcza ten IV tom w pierwszych częściach traktujących o ogromie wysp Oceanii, a skreślonych przeważnie piórem O. Hervier — to istny poemat bohaterski. Pole działania olbrzymie, skoro sama jego część wschodnia obejmuje 150 wysp i wysepek, ugrupowanych w archipelagu na przestrzeni 38 milionów km^2, a więc oddzielonych jedne od drugich czasem o kilka lub kilkanaście dni trudnej żeglugi. Tu nieraz nie wystarczy misyonarzowi być sługą Bożym gorliwym o dobro dusz; musi nadto być rolnikiem, budowniczym, cieślą, mularzem, a zwłaszcza marynarzem spędzającym większą część roku na lekkiem czółenku, którem kierując sam jeden w burzę czy pogodę spieszy nieść pociechy wiary i oświaty swym neofitom rozsianym po drobnych wysepkach.

Fale morskie są wszakże najmniej strasznym wrogiem misyonarza na wybrzerzach Maleo-Polinezyi. Krajowcy też daliby się do praw Bożych przygarnąć, gdyby nie trudności wzniecane na każdym kroku przez Europejczyków. Dzieło Boże dokonywuje się pomimo nich

a często wbrew ich woli — przez nich, ale z trudem ogromnym, z przerwami i burzami prześladowań, zmuszających do zaczęcia raz drugi i dziesiąty zniszczonych owoców pracy. Są to wszystko missye stosunkowo młode; bo choć już od XVI w. zjawiały się tu i ówdzie europejskie statki, przecież ewangelizacya rozpoczęła się dopiero w pierwszej ćwierci XIX stulecia i jak na tak krótki czas dziwnie wielkie czyniła postępy. Obecnie żniwiarze Pańscy podzielili sobie pole działania: wschód wzięli najpierw przybyli misyonarze z Picpus, środkową i zachodnią część Maryści, część wysp północnych misyonarze Najsł. Serca z Issoudun. Pobudowali kościoły i kaplice, założyli szkoły, urządzili szpitale da trędowatych, wzbudzili w uczniach swoich wiarę gorącą, odważną i czynną. Wszystko to zaś wykonali niemal gołemi rękami; zdumienie bierze, widząc rozmiary świątyń wzniesionych przez ludzi nie posiadających złota ani srebra, cierpiących zbyt często głód, samotność i nędzę wszelkiego rodzaju; jeden znich zostawiony dłuższy czas sam jeden na straży missyi zmuszonym był wykroić sobie z prześcieradła odzienie ku wielkiej uciesze protestanckich predykantów opatrzonych obficie i umiejących obok swej zawodowej pracy ciągnąć znaczne materyalne zyski. Jak wielką w nich katolicyzm napotyka zaporę, świadczą np. dzieje wysp Hawai czyli Sandwich, słynnych swym olbrzymim wulkanem, swoją stolicą w Honolulu i swym zakładem dla trędowatych na Molokai, zawierającym grób męczennika miłości bliźniego — O. Damien. Na wyspach Hawai najpierw przed innemi ziemiami Oceanii zabłysnął krzyż. 1819 przybyła korwetta francuska »Urania« z kapelanem ks. de Quélen, który zdołał nie tylko nawrócić głównych ministrów i wodzów władcy, ale nawet wyjednać ukaz zabraniający pogańskich obrzędów. Ale niestety »Urania« musiała odpłynąć, zabierając ks. de Quélen, a w miejsce jej przypłynął okręt amerykański wiozący Mededystę Binghama z całym sztabem predykantów wesleyańskich. Ci nieszczędzili wysiłków, by wpływ wśród łatwowiernego ludu na swoją przeciągnąć stronę; wódz ich zaś Bingham zawładnął niepodzielnie umysłem starej królowej rejentki Kaahumanu. Za jego namową założyła wesleyańskie szkoły i wydała seryę praw surowych, zbyt surowych, by módz być wprowadzone w czyn jak np. zabronienie wszelkich gier choć najniewinniejszych, rozniecania ognia i przyrządzania jadła w niedzielę i t. p. Krajowcy byli posłuszni lat siedm, ale potem przyszła reakcya, zaczem prawa zostały zniesione, a w ich miejsce wróciło wyuzdanie zbytków pogańskich. Tymczasem w r. 1827 przybyli pierwsi misyonarze kato-

liccy i mimo powtarzanych rozkazów wyjazdu, zamieszkali na wyspie i rozpoczęli swe dzieło podziwiani przez lud zdumiony ich bezżennością, a bardziej jeszcze ich bezinteresownością: toż niektórzy z predykantów potrafili w dwa lata zebrać 10—14 tysięcy piastrów! Przestraszeni trzej z nich (Bingham, Clark i Chamberlain) złączyli się w komitet ratunkowy przeciw katolikom. Nie śmiąc jednak ich zaczepić wprost, z obawy przed konsulami angielskim i amerykańskim broniącym ich stale, podnieśli prześladowanie przeciw neofitom. Rozpoczęły się sceny barbarzyńskie, długie dręczenie wyznawców torturami, pracą nad siły i głodem, a zarazem i serya czynów bohaterskich, przypominających pierwsze czasy chrześcijaństwa. Misyonarzy nie gwałcono, tylko czyniono wszystko, aby ich się pozbyć, a w końcu mimo obrony konsula Charltona zaprowadzono na statek, który ich odwiózł na brzeg Kalifornii. Na missyi pozostał jeden tylko brat Melchior na straży. Po ich odjeździe wzmogło się prześladowanie przerywane tylko energicznem postępowaniem obu konsulów, aż wreszcie traktat zawarty z Francyą 1839 zawarował katolikom swobodę, której już podszepty Metodystów zachwiać nie mogły. Gdy w dziesięć miesięcy potem Msgr. Rouchouze z kilku księżmi wylądował na Honolulu, 300 katolików, wiernych wyznawców wiary czekało go na brzegu. Sprowadzono do szkółek zakonnice Najsł. Serca, a w r. 1855 OO. Maryanic objęli kierownictwo kollegium S. Louis w Honololu mieszczącem przeciętnie 700 uczniów; całość szkół wyższych i niższych obejmuje ich 2000.

O zakładzie dla trędowatych na Molokai pisać nie potrzeba: dzieje O. Damien są znane. Miło wszakże widzieć jego portret zrobiony krótko przed zgonem, a w nim wyraz ogromnej dobroci, zdobiący nabrzmiałe trądem oblicze; dalej jego grobowiec; piękny, zasiany białymi krzyżami i pomnikami cmentarz trędowatych, a wreszcie obrazek przedstawiający ich szpital, a przed nim gromadę jeźdźców, zapewne chorych, na koniach. Obecnie jest ich przeciętnie tysiąc, obsługiwanych przez dwóch księży, pięciu braci zakonnych i sześć Franciszkanek. Ogółem Hawai, najstarsza misya Oceanii, liczy 29.000 katolików na 118.000 ludności; jest tam jeden biskup, 27 księży i dziesięciu braci z Picpus, dwudziestu siedmiu braci Maryanitów dla szkół, czterdzieści siedm zakonnic, sto trzy kościołów i kaplic.

Gorszą od protestantów przeszkodą dla misyi są źli katolicy; urzędnicy europejscy bezwyznaniowi, tamujący działanie kapłanów, prześladujący chrześcijan, nie dochowujący najuroczystszych przyrzeczeń, odpłacający oszczerstwem i uwięzieniem ogromne usługi oddane

przez krajowych widzów. Na Tahiti postępowanie Francuzów taką wzbudziło niechęć, iż raz w czasie napadu na misyonarzy wystarczyło o jednym zawołać, że jest Amerykaninem, aby mu ocalić życie. Na Ile-de-Pâque (wyspa Wielkanocna) podobny urzędnik upatrzywszy dobry interes, puścił na spokojną ludność chrześcijańską bandę uzbrojonych przez siebie zbójów, którzy rabując, niszcząc i paląc doprowadzili biednych ludzi do takiej rozpaczy, iż 500 z nich wolało się poddać, zdając się na łaskę urzędnika, ten zaś zaprzedał ich swemu koledze z Tahiti w kilkoletnią niewolę, gdzie w krótkim czasie 250 wymarło. Ze stu pozostałych na wyspie uprowadził misyonarz osiedlając ich na innej wysepce.

Najgorzej pod tym względem działo się w Nowej Kaledonii, zdobywanej krok za krokiem dla Francyi przez misyonarzy od r. 1843. Pierwszy z nich msgr. Douarre zostawiony długo bez pomocy wśród dzikich Kanaków walczył z ich ludożerstwem, nieprzystępnością i chytrością i zdziałał tyle, że gdy mu śmierć zawierała powieki, tłumy krajowców tłoczyły się do jego posłania. Z czasem Francya jęła słać kolonistów i wszystko, kolonia i misya poczynały się najpiękniej rozwijać, gdy przybycie w randze gubernatora młodego bezwyznaniowca Guillain, otwarło erę cierpień gorszych, niż je zadać mogli poganie. O r. 1863—1870 trwały te rządy bardzo energiczne i systematyczne pod względem administracyjnym, a ziejące duchem bezbożnego sekciarstwa. Każdy krok misyonarzy szpiegowany, a następnie otwarcie dozorowany bywał tłumaczonym fałszywie, neofici gnębieni i niesłusznemi oskarżeniami nękani, szkoły katolickie zamknięte, pogańska część ludności wyniesiona i obdarzona łaskami. Każde nieszczęście, każda zbrodnia rzucona była na karb chrześcijan — misyonarzom wytoczono proces o podżeganie do morderstwa i buntu, a choć niewinność ich musiała wyjść na jaw, dość było rozgłośnych oszczerstw, by się niemi niejedno serce zatruło; w Europie nie wiedziano, iż niejeden świadek daremnie zmuszany do świadczenia przeciw misyi, cierpiał miesiące całe męczarnie i więzy. Nareszcie Guillain odjechał, a jego następca kapitan okrętu de la Richerie zajął u samego wstępu przyjazną podstawę. Wtedy dopiero O. Rougeyron, który pracując w Kaledonii od lat 20 przetrzymał był cały czas burzy, poprosił o odpoczynek tj. o nieco spokojniejsze pole do pracy. Przez pewien czas kierował misyą w Puebo, a gdy mu i tu sił nie stało poszedł na pomocnika do szpitalu trędowatych... Odtąd losy misyi polepszyły się znacznie, liczba pracowników ze zgromadzenia Marystów wzrosła

obejmując w swej pracy ludność krajową, kolonistów europejskich oraz skazańców zakładu karnego. Dla więźniów kończących karę, a nie mogących Nowej Kaledonii opuścić, otwarło się 9 grudnia 1889 r. Schronisko św. Leonarda. Słowem obręb działalności jest ogromny, a jej potrzeba tak bardzo odczuwana, zwłaszcza przez eropejską kolonię, że w chwili laicyzacyi szkół wraz posypały sie środki dla otwarcia nowych zakładów kierowanych nadal przez księży. Nie podobna tu podać choćby w największem skróceniu listy wyników ich pracy we wszystkich archipelagach mórz południowych. Czasem tu łaska Boża działa powoli, czasem znów z dziwną szybkością, jak np. w Nowej Gwinei, gdzie pierwsza osada misyonarzy powstała w r. 1884 a w r. 1900 liczono już 3000 katolików, 16 kościołów, 6 kaplic i 29 szkół z 1100 dzieci.

Najobszerniejszy, końcowy rozdział książki zajmują misye na Madagaskarze, opisane wprawnem piórem samego wydawcy O. Piolet. Ogromna to wyspa a raczej ziemia, obejmująca 600.000 klm. kwadr. powierzchni nie licząc należących do niej pomniejszych wysp. Nie jest to dzicz: w Tananariwie, dokąd przez długie lata żaden Europejczyk nie dotarł, wznoszą się gmachy z wieżami i kopułami, jak pałac pierwszego ministra zamieniony dziś na koszary piechoty francuskiej lub pałac królewski cały w arkady zewnętrzne na wszystkich swoich trzech piętrach z kwadratowemi wieżami u rogów. Kraj nie byłby uległ obcej przemocy gdyby mieszkańcy jego tworzyli jeden naród, zamiast być podzieleni na kilka ludów różnego szczepu, z których dwa: dawniej dominujący Sakalawi i później rozwielmożnieni Howasi toczyli między sobą niemal bezustanną walkę. Sakalawi skłonili się w r. 1840 pod protektorat francuski na to tylko, by módz ich bić skuteczniej. Żaden z tych ludów nie odznacza się cnotą; Howasi wszakże są rzutni i dzielni, a wiara ich jawnie monoteistyczna zachowała ślady dawnych, czystych wierzeń zmaterya1izowanych dziś do niepoznania. Portugalczycy odkryli Madagaskar w XVI wieku i wtedy pierwsze próby apostolstwa Dominikanów zakończyły się męczeństwem; w pierwszej połowie XVII w. próbowali znów Jezuici ale bez trwałych skutków. W następnej, gdy już Kompania Wschodnia jęła na wyspie osadzać swych rezydentów, drugi z tychże, Flacourt, uprosił od św. Wincentego przysłanie Lazarystów. Malgaszów jednak nie łatwo było pozyskać, gdy zaś przyszło do otwartych nieporozumień zrzucono winę, choć niesłusznie, na brak taktu misyonarzy. Lazaryści w ciągu lat 26 utracili 27 swych braci. Jednych zabijała ręka ludzka, drugich choroby, trzecich niedostatek;

ostatnich pochłonęło morze: żaden jednak nie dotarł do Tananariwy sterczącej w górach a niedostępnej, jak dzisiaj Lhassa w Tybecie. Po Lazarystach próbowali inni zawsze nieszczęśliwie, każda jednak z owych wypraw przydawała jedno ziarnko do dawnego zasiewu, tak, iż niepostrzeżenie tworzyło się jądro wiary niewielkie lecz silne. Podczas rewolucyi francuskiej, która przerwała na długo dzieło misyjne, do wybrzeży Madagaskaru dojeżdżali kapłani z wyspy Bourbon i nie dali światłu zagasnąć. Trudności jednak były jeszcze tak wielkie, że w r. 1830 wikaryusz apostolski z Bourbon ks. de Solages, chcąc odwiedzić tę część swej dyecezyi i utraciwszy po drodze towarzyszy, zmarł sam z choroby i nędzy nie dostawszy się do wnętrza kraju. Po nim ks. Dalmond, korzystając z pomyślniejszych okoliczności, wyprawiał się kilkakrotnie, a w r. 1840, sądząc, że pole otwarte do pracy, wrócił do Bourbon w intencyi zwerbowania do Madagaskaru 30 księży świeckich. »To niepraktyczne — zwrócono mu wtedy uwagę. — Twoich 30 księży wymrze i będzie koniec. Weź raczej 4 Jezuitów, bo ci jeśli zginą będą wraz zastąpieni, i tak do nieskończoności«. Ks. Dalmond usłuchał porady, napotkał wszakże niemałe trudności, tak iż dopiero w r. 1851, po kilku latach pracy OO. Św. Ducha misya Madagaskaru została w całości oddana Jezuitom. Ci zastali już pole po części zajęte przez — protestantów norweskich i angielskich różnych sekt i odcieni. Popierani hojnemi datkami współwyznawców europejskich oraz skrytą pomocą Anglii, umieli oni w krótkim czasie owładnąć umysłem królowej i jej pierwszego ministra, wszczepiając w nich nienawiść do katolicyzmu. Podobnie w niższych sferach działali licznie bardzo kupczący tu muzułmanie arabscy. Rozpoczęła się tedy walka na całej linii katolicyzmu z protestantyzmem, wpływu francuskiego z angielskim. Walczący po stronie pierwszych, niezrównany O. Finaz, o którym mówiono, iż »każdy jego krok jest zwycięstwem«, doszedł pierwszy do Tananariwy i rzec można, iż jemu głównie zawdzięczyć mogli Francuzi chwilową przewagę swego wpływu w r. 1869. Tryumf nie mógł być trwałym, bo we Francyi zachodzące wypadki, wojna niemiecka, upadek cesarstwa i t. d. odwróciły uwagę od Madagaskaru. Skorzystali z tego Anglicy do tego stopnia, iż uzyskawszy oddanie wszelkich szkół w ręce protestantów wymogli w r. 1878 prawo dekretujące przymus szkolny, co się równało z wydaniem dzieci w moc predykantów. Liczba katolików jednak była już wzrosła zawierając możne i wysoko położone osoby, to też za ich pomocą powstały szkoły osobne, kościoły, szpital dla trędowatych w Ambohimang Ale i te miały uledz szyb-

kiemu zniszczeniu. Rząd francuski jął się znów Madagaskarem zajmować, czego wynikiem była wojna z Howasami, trwająca dwa lata 1883—1885, w której najwięcej ucierpieli katoliccy Malgasze. Wojna prowadzona była fatalnie nie z winy wojskowych, ale że — jak to we wszystkich republikach bywa — rząd paryski chciał z daleka kampanią kierować. Zakończyła się wprawdzie pomyślnym dla Francyi traktatem, ale ten okazał się być tylko zawieszeniem broni, z którego skorzystali misyonarze dla odnowienia zburzonych zakładów; prócz dawnych stanęło nawet piękne obserwatoryum astronomiczne, dzieło O. Colin. W przededniu wybuchu nowej wojny liczono na Madagaskarze 136.175 katolików, 83 kościoły, 277 kaplic, 9 szkół normalnych, 1 kolegium, 2 szpitale dla trędowatych. W r. 1893 ochrzczono 1.197 dorosłych i 2.887 dzieci. Zastęp misyi składał się z 1 biskupa, 74 księży i 38 braci, 27 zakonnic francuskich i 700 nauczycieli i nauczycielek krajowych.

Wyprawa r. 1895 była hasłem ogromnych zmian. Francuzi opanowali kraj, królowę odartą z korony wywieźli na dalekie wygnanie i trzeba przyznać, że los jej, gdy się bliżej przypatrzyć jej rządom, wzbudza mniej politowania, niż gdy jest widzianym z daleka. Zwycięstwo Francyi atoli nie było zwycięstwem dla misyi. W miejsce władz pogańskich weszły władze sekciarskie, do predykantów norweskich i angielskich przyłączyli się posłani z Francyi predykanci francuscy, trzymający z natury rzeczy wobec urzędników prym przed katolickim klerem. Po raz drugi ogromna ofiarność krajowców musiała zaradzić laicyzacyi szkół i jak dotąd — misya pomimo stawianych zapór znajduje się w pełnym rozkwicie. W chwili wydania relacyi O. Piolet pracowali w niej obok Jezuitów OO. Salezyanie.

Z przeczytanych sprawozdań wynika, iż od początku stulecia czas panowania Napoleona III był najpomyślniejszym dla misyi, pomyślniejszym daleko od czasów Ludwika Filipa. Wynika nadto, iż obok wzniosłego celu religijnego mieli wszędzie niemal cel patryotyczny na oku. Niepodobna im dziś czynić z tego zarzutu, bo sama ojczyzna zbyt gorzko im zapłaciła oddane przysługi, zaznaczyć przecież wypada, iż na każdym punkcie świata misyonarz francuski był pionierem nie tylko wiary, ale i francuskiej oświaty i francuskiego panowania. Kto wie, czy nie łatwiej byłoby trafić do serc tych dalekich ludów, niosąc im czysto, ogólno-chrześcijańskie światło bez nacyonalistycznej przymieszki? Katolicyzm wtedy nie ponosiłby w ich oczach odpowiedzialności za występki kolonistów lub nadużycia urzędników francuskich.

Być może zresztą, iż w książce położono umyślnie nacisk na obywatelskie zasługi misyonarzy — Boże daj, aby je sobie Francya przypomniała w przyszłości.

T. Wodzicka.

Die Beweise für die Unsterblichkeit der Seele aus allgemeinen psychologischen Tatsachen, neu geprüft von *Dr Philipp Kneib*, Dozent am Priesterseminar in Mainz. Freiburg im Breisgau, Herder 1903. Str. 106.

Do dawniejszej rozprawy o nieśmiertelności duszy (Wiedeń, Mayer i Sp. 1900) dodaje dr. Kneib nowe studyum w tym samym przedmiocie. Zadaniem jego jest uzupełnić poprzedni dowód na nieśmiertelność, a zarazem zbadać wartość innych dowodów. Nie licząc krótkiego epilogu, poświęconego roztrząśnieniu t. zw. empirycznego dowodu, opartego na mniemanych faktach spirytystycznych, rozbiera autor z kolei, w pięciu rozdziałach, pięć argumentów, stawianych zazwyczaj przez dawniejszych i nowszych obrońców nieśmiertelności, mianowicie wrodzone każdemu pragnienie wiecznego istnienia, dążenie do zupełnego szczęścia, do doskonałego poznania, do pełni cnoty, nareszcie t. zw. argument *e consensu generis humani*. Dwom pierwszym dowodom odmawia samoistnej wartości i przekonywującej siły; ostatni uważa, jeśli nie za pewny, to przynajmniej za bardzo prawdopodobny; trzeci i czwarty są, zdaniem autora, koniecznem, a zarazem skutecznem uzupełnieniem dowodu, który wychodzi z pojęcia niemateryalności duszy. Całkowity argument na nieśmiertelność przedstawiałby się w myśl autora, jak następuje: Dusza ludzka ma działalności wewnętrznie od materyi niezależne, t. j. rozumienie i chcenie, a więc w naturze swojej od materyi zależną nie jest. Zatem dusza może istnieć bez materyi. Może istnieć bez materyi i z tego powodu, że życie duszy w stanie odosobnionym ma cel i przedmiot, mianowicie poznanie prawdy i moralną doskonałość. Jeśli zaś rozważymy wartość i wielkość poznania prawdy i moralnej doskonałości, przekonamy się, że dusza ludzka nie tylko może ale musi żyć na wieki, bo w tem życiu doczesnem osiągnąć nie może ani pełnego poznania prawdy, ani doskonałej cnoty. Jeśli niema wiecznego życia, dusza ludzka jest zbiorem nierozwiązalnych zagadek a raczej sprzeczności.

Już w samych początkach filozofii chrześcijańskiej spotykamy się z wątpliwościami, czy nieśmiertelność duszy da się niezbicie udowodnić z rozumu, bez pomocy objawienia. Ogromna większość odpo-

wiadała i odpowiada twierdząco na to pytanie, wszelako tacy myśliciele jak Duns Scotus, Occam, Caetano i inni odmawiają rozumowym dowodom na nieśmiertelność przekonywującej siły. Obie prace d-ra Kneiba są wypływem dążenia nowszej filozofii katolickiej do rozproszenia wszelkich wątpliwości w tej mierze, a ugruntowania nauki o nieśmiertelności na pewnej rozumowej podstawie. Sądzimy wszakże, że autor, mimo najlepszych chęci, celu swojego nie osiągnął. Dawniejszych dowodów nie ocenił należycie, swego własnego dowodu nie zdołał oprzeć na takich pewnikach rozumowych, któreby nie dopuszczały wątpienia. Naszem zdaniem cała mozolna praca autora pozostała daleko poza tem, czego krócej i jaśniej dokonali Kleutgen, Palmieri, Tillman Pesch, Gutberlet, Boedder, Lehmen i inni, rozwijając myśli rzucone przez św. Tomasza z Akwinu.

Że dusza po rozdziale z ciałem może istnieć, to da się udowodnić niezbicie z jej czynności od materyi wewnętrznie niezależnych. Jednakże poza tem można postawić dwa pytania, które autor nie dość rozróżnia. 1) Czy faktycznie dusza istnieje po śmierci organizmu, 2) czy istnieje na wieki. Dowód podany przez d-ra Kneiba wystarcza jako tako, aby na pierwsze pytanie twierdząco odpowiedzieć. Dusza ludzka ma zdolność i popęd do poznania prawdy i osiągnięcia cnoty, w tem życiu oba popędy pozostają niezaspokojone, a więc, jeśli dusza niema być zagadką i sprzecznością, musimy przyjąć życie przyszłe. Czy koniecznie wieczne? Nie widzę, jakby to można udowodnić z samej doskonałości poznania prawdy i posiadania cnoty. Czemu nie wystarczy, aby dusza dajmy na to przez lat 1000 cieszyła się pełnym rozwojem swych władz i zaspokojeniem swych popędów? Trzeba koniecznie wciągnąć w rozumowanie inne pierwiastki, zwłaszcza pierwiastek eudemonologiczny, który dr. Kneib zanadto lekceważy na korzyść surowej a zimnej moralności Kanta. Dusza ludzka ma wrodzony, niezwalczony popęd do szczęścia, już zaś szczęście człowieka nie jest szczęściem, jeśli nie jest wiecznem, bo umysł ludzki mając pojęcie czem jest istnienie samo w sobie, uspokoić się nie może, póki nie wie, że będzie szczęśliwy na zawsze, a więc, jeśli dusza niema być żywą sprzecznością, musi przed nami leżeć możebność szczęśliwości wiecznej, dającej się osiągnąć przez wypełnienie warunków od Boga postawionych. Niemniej silne są inne dowody, np. że Bóg musi mieć ze świata stworzonego chwałę wieczną, już zaś może ją mieć tylko przez wieczne istnienie dusz; że złożona w naturze duszy możebność wiecznego istnienia, żąda faktycznej wieczności, gdyż Bóg niczego

nie robi na próżno i t. d. Trudności, które dr. Kneib przeciw tym dowodom przytacza, spoczywają nu braku rozróżnienia między popędem wrodzonym a aktualnym *(appetitus innatus et elicitus)*, między popędem podporządkowanym a niezależnym *(desiderium subordinatum et independens)*. Na brak precyzyi i niejasność całej pracy, wpływają między innymi, długie a niepotrzebne cytaty.

J. R.

Gottesthal. Preisgekrönter Roman von *Anton Schott*. Herausgegeben von der »Deutschen Literaturgesellschaft«. Mit Buchschmuck von Philipp Schumacher. 8°. 396 S. München. Allgemeine Verlagsgesellschaft.

W ostatnich latach zyskał Schott w Niemczech sławę najpłodniejszego powieściopisarza katolickiego. Pierwszorzędne gazety i czasopisma ubiegały się o jego utwory, kalendarz Maryański, drukowany w Ratysbonie, roznosił je pomiędzy setki tysięcy swoich czytelników, a najznakomitsi wydawcy katoliccy rozpowszechniali je w illustrowanych i nieillustrowanych egzemplarzach. Krytyka literacka — a to nietylko katolicka — przyznała tym razem słuszność smakowi publiczności, i powitała Schotta jako prawdziwego artystę na niwie rodzinnej swej ziemi.

Sentymentalni gawędziarze otoczyli lud wiejski nieprawdziwym urokiem, naturalistyczni pesymiści przedstawili go chylącego się ku fizycznej i moralnej zgniliźnie; Schott dał pełne życiowej prawdy sylwetki wieśniaków, i skreślił właściwe im cechy. Typy Schotta — to jasne, pierwotne postacie, kroczące ciężką stopą po umiłowanej glebie, chłopi rubaszni, a przeważnie rzetelni zarówno w dobrem jak w złem, hardzi obrońcy odziedziczonych praw swobody i wierni stróże starodawnych obyczajów, owiani poetycznym zabobonem wśród szeleszczących ponurych jodeł lesistej ojczyzny. Las czeski jest tłem wszystkich tych opowiadań; mimo to bije z nich nowa wciąż świeżość i plastyka. Także ostatni utwór poety, nagrodzony przez niemieckie stowarzyszenie literackie w Monachium, wprowadza w zacisze tych granicznych gór, dzielących Niemcy od Austryi. Mimo to *Gottesthal* nie jest sielanką leśną, ale życiową księgą, która przedstawia walkę klasową. Po jednej stronie stoi surowy, chciwy kapitalista, przemysłowiec na wielką skalę. W dolinie jęczy wszystko pod ciężarem napierającej jego materyalnej potęgi, a w domu czatują nań krewni, żądni spadku, w przeciwnym obozie widzimy chłopów i robotników. Pierwsi od da-

wien dawna zamieszkują własne swe dwory i mają niezłomne postanowienie, że za nic na świecie nie złożą w ofierze ostatków wolnej gleby właścicielowi fabryk. W ludzie robotniczym grunt jest jeszcze dobry; dopiero ustawiczna srogość kapitalisty pędzi go w objęcia socyalnej demokracyi. W walce ginie gnębiciel, a robotnikom zakwita lepsza przyszłość na podwalinach, które kładzie dziwaczna para kochanków: seminarzysta — wywłoka i panna, nawrócona po upadku. Wobec hańby, do której ją przywiodła gorzka nędza, zdobyła się ona na moralną odwagę udania się na wieś, by tu odpokutować swoje przestępstwo wśród pokornej pracy. Tu wykrył jej zacisze młody zapaleniec, który porzucił teologiczne studya rzekomo dla braku powołania i powrócił na wieś do ojcowskiego domu. Widywali się często, a wnet namiętna miłość rozbudziła się w nich. Myśl jednak o przeszłości swojej zniewala kochankę do odmowy młodzieńcowi; ale nie odmówiła swej ręki właścicielowi fabryk, który o nią prosił po śmierci swojej żony w tym celu, by unicestwić zamiary krewnych, łakomych na spadek. Nieszczęsne małżeństwo znajduje tragiczny koniec wskutek zamordowania kapitalisty w sztrejku. Teraz wdowa mogła urzeczywistnić pragnienia swoje dla uszczęśliwienia uciśnionych robotników. Dawny jej kochanek, zmieniwszy wśród ciężkich czasów zapatrywania swoje na reformę socyalną, ofiaruje jej swą pomoc w ułożeniu nowego planu dla pracy w fabrykach, a potem udaje się z sercem nie mogącem już bić dla ziemskiej miłości, w dalekie krainy, gdzie jako misyonarz wśród pogan pragnie przysłużyć się ludzkości.

Oto osnowa zajmującego opowiadania. Staranne wykonanie odznaczające się psychologicznem pogłębieniem i plastyczną jasnością, jest dowodem, że Schott zarówno jest obeznany z cichymi objawami wewnętrznymi, które tkwią w sercu pojedynczego człowieka, jak z siłami, które fermentują w duszy człowieka zbiorowego. Przedewszystkiem zasługuje na podziw wielostronność autora, znajdująca swój wyraz w tworzeniu charakterów tak mnogich, a pełnych życiowej prawdy. Myśl i uczucie poety zlewają się w jedno z myślami i uczuciami mieszkańców leśnych, a może ta właśnie okoliczność tłumaczy trochę ostre i jednostronne uwagi, tyczące się prawników, szlachty i dziedzicznego tronu. Ze stanowiska literackiego żałować należy, że autor nie przytłumił zgoła swoich — na szczęście rzadkich — refleksyi. Zadaniem artysty nie jest mówić, ale tworzyć. Jest to jednak jedyny zarzut, jaki podnieść mogę. Niepoślednią zaletą książki jest jędrny, oryginalny język, ubarwiony dialektycznymi zwrotami, które nadają

opowiadaniom Schotta, osnutym na tle lasu czeskiego, właściwy im koloryt. Jednak przeplatanie to języka literackiego narzeczem ludowem wcale nie ujmuje czytelnikowi rozkoszy, jakiej doznaje przy czytaniu gustownie ozdobionej i pięknie illustrowanej książki.

J. Overmans.

Lettres à Françoise. *Marcel Prévost.* Paris. Felix Fuveu éditeur. 1903.

Książka Marcelego Prévosta pod tytułem »Listy do Frani« dziwnie odbija od jego dotychczasowego charakteru; ten powieściopisarz tak chętnie przebywający wśród atmosfery dusznej, drażniącej i zepsutej, wśród kobiet bardzo silnie zmysłami a nie duchową istotą żyjących, wziął się do roli doradcy młodej dziewczyny! Może ktoś przytoczyć niektóre tytuły jego książek na dowód, że jednak i on Prévost, ten kronikarz już nie bulwarów nawet, ale wprost życia zmysłowego, próbował z poważnej strony brać sprawy społeczne wokoło kwestyi kobiecej się zadzierzgające. Jego *Demivierges* i dwa romanse feministyczne *Lea* i *Frédérique* dają zrozumieć niepokój obserwatora wobec zagadnień siłą rzeczy się narzucających. Ale któż jak nie pisarze Prévostowi podobni wytwarzają właśnie to zepsucie myśli przez wyobraźnię, którą przepełniają tak bardzo jaskrawemi obrazami? — A czyż te apostołki odrodzenia kobiet, które malować usiłował, nie są po prostu tylko okazami patologicznemi? — Nie dość odczuwać w dusznej, zacieśnionej sali brak świeżego powietrza — nie dość przez sztuczne wynalazki rozpylać zapachy wyrabiane chemicznie choćby z świeżych żywic leśnych. Trzeba okna szeroko otworzyć, dać możność promieniom słonecznym ogarnąć tę przestrzeń zamkniętą a świeży powiew wiatru nagle odnowi atmosferę niezdrową o zabójczych miazmatach.

Te uwagi nasuwają się siłą rzeczy przy odczytywaniu tych »Listów do Frani« już na polskie tłumaczonych i już bardzo chętnie czytanych i szczerze chwalonych. Jest to coś podobnego jak zapach sosnowych esencyi w zamkniętym ciasnym pokoju. Prévost w roli moralizatora jest czegoś tak niepewny, jak nim się wydaje zawsze aktor ze sceny wygłaszający tyrady moralne. Nawet gdy się wie, że ten aktor jest uczciwym i porządnym człowiekiem, słucha go się z lekkim sceptycyzmem. Bo on nie mówi dla wypowiedzenia swej duszy, ale dla wypełnienia roli, którą przyjął dla odegrania.

Jeżeli kto powie, że przemawia przez te słowa uprzedzenie, poproszę, by wziął którą z książek Ruskina np. »Ogrody królowej« (z odczytu »Sezam i lilie«) i porównał wrażenie, które wywierają słowa

angielskiego myśliciela z tym nastrojem, jaki unosi się w książce Prévosta. U Ruskina odczuwa się siłę idei, zapał apostoła piękna, który spragniony harmonii duchowej radby zapalić umysł od pochodni miłości bliźniego i tak łącząc w jednem dążeniu władze duszy prowadzić ku wyżynom ludzi. Mówiąc o wychowaniu dziewcząt Ruskin żąda rozumnej pamięci o fizycznej stronie edukacyi a to dla spotęgowania siły duchowej; żąda również, by nie skrzywiać młodego umysłu nadmiarem wiedzy. Celem jego to przedewszystkiem wychować duszę, uczynić kobietę zdolną do pojęcia powołania swego w społeczeństwie. Ma być »źródłem porządku i balsamem pociechy, ma wykonywać władzę królewską kojenia bólu, strzeżenia i podnoszenia maluczkich i potrzebujących«.

Ruskin pisząc o wychowaniu dziewcząt myśli przedewszystkiem o wychowaniu w ich duszach wielkiej idei pracy dla drugich. Prévost w »Listach do Frani« daje tysiące rad praktycznych, pożytecznych uwag, ale one wszystkie zmierzają tylko do egoistycznego uzbrojenia siebie dla siebie samej: tej młodej dziewczyny gotującej się do podjęcia poważnych zadań życia, nie wtajemnicza on w święte tajniki poświęcenia, nie zapala w jej sercu tego potężnego uczucia, jakiem jest głód ideałów. »Drzewo może tylko z ziarna wyrosnąć; pieniądz jest pożytecznym bardzo dla drzewa, które się sadzi, ale pokarmem tylko; jak bez ziarna nie byłoby drzewa, tak bez idei nie byłoby czynu, choćby wszystkie inne okoliczności sprzyjały«. Ta myśl tak pięknie przez de Vogüego w *Maître de la mer* podkreślona jest wiecznie prawdziwą. Prawdziwą zwłaszcza tam, gdzie młode dusze wychowując, zanadto się myśli o ich uzbrojeniu na zewnątrz a zapomina natomiast o wyrobieniu siły wewnętrznej.

Ale jeżeli na »Listy do Frani« spojrzymy tylko jako na zbiór pedagogicznych, zewnętrznych wskazówek dla wychowawcy, przyznać możemy, że Prévost włada biegle arsenałem trafnych, praktycznych spostrzeżeń, zebranych na społeczeństwie paryskiem przeważnie. Przybiera on je w formę niby powieściową. Stary przyjaciel rodziny Le Quellien na żądanie siedemnastoletniej pensyonarki zastępuje rozmowy w czasie wakacyi z nią prowadzone listami, w których stara się być jej wiernym doradcą przy ukończeniu wychowania. »Wujaszek« z rezygnacyą przyjmuje tę jedynie dla siebie właściwą już rolę, niezbyt się jednak z tem kryje, że wolałby *faire la cour à cette jolie nièce*. Ale już na to zapóźno. Dość, że trochę jak wilk na pokucie, zamiast sprawiać sobie ucztę z jagnięcia, przybiera pozę kaznodziei dla zakazanej zdo-

byczy, tym choć sposobem zbliżając się do ślicznej, miłej a bardzo ciekawej i samowolnej dziewczyny. Ten ton biednego bo podstarzałego już *séducteur sur le retour*, jest nieznośnym dysonansem, psującym wrażenie nawet dobrych i trafnych stronic tej książki, i rzecz dziwna, że brakło Prévostowi tego delikatnego odczucia, że tylko wtedy szczerze komuś wierzymy, gdy wiemy, że nie mówi tak, iż musi, ale że takie jest i będzie jego głębokie bez względu na okoliczności przekonanie... A ten »wujaszek« budzi podejrzenie, że wolałby co innego Frani opowiadać...

Ale przyznając, że są w tej książce uwagi trafne, podkreślając to, co słusznem się wydaje w uwagach tego profesora *de la vie ambiante*, jak się ów wujaszek czyli sam Prévost nazywa, z góry jednak przedewszystkiem powiedzmy, że nie znajdziemy tam ani śladu uczuć religijnych; owszem wydaje się, że autor bardzo pobłażliwie przyznaje, że teraźniejsze pokolenie tylko przez pełną respektu tradycyę dokonuje pewnych »gestów, które babki wasze spełniały z takiem przejęciem!« Cała więc strona etyczna wskazówek udzielanych, opiera się na praktycznej uczciwości. Całe wychowanie dzisiejsze, oparte właśnie na zasadach najkompletniej »bezstronnych«, nie podoba się jednak Prévostowi. Uważa, że program nauk jest niesłychanie obfity i nie wyrabia zupełnie duchowej strony, nie daje kultury umysłowej; zarazem u progu życia stawia młodą dziewczynę bez żadnego pojęcia o rzeczywistości. To też kładzie Prévost ogromny nacisk na dobre użycie lat po wyjściu z pensyonatu. Są to może najlepsze rzeczy z całej książki. Co prawda powtarza w nich Prévost to, co wszyscy pisarze pobożni od czasów jeszcze św. Franciszka Salezego zalecają: konieczność pewnego planu, pewnej reguły stałej, trzymania się jakiegoś określonego porządku zajęć. »Prawie nikt po wyjściu z zakładu niema ustalonego programu i porządku, chyba ten tylko, który nakładają okoliczności i zawód. Tymczasem trzeba haftując na krosnach znać wzór jakiś«. Otóż Prévost w praktycznych radach co do tego programu bardzo trafne daje wskazówki, które pozwolą wykorzystać jak najlepiej swobodę czasu i zdolności wrodzone. Doskonałą zwłaszcza jest rada, aby prócz nauki w wybranym kierunku i uprawiania jakiegoś talentu, zawsze mieć jakieś małe, ale stałe zajęcie na godziny zmęczenia, czy to kolekcye jakieś, czy zbiór notatek, czy też naukę jakiegoś języka. Te wszystkie rady są wyborne i bardzo pożyteczne.

M. Harsdorf.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Obok wulkanu. Fantazya w III aktach. Napisał *Stanisław Adfeldt.*

Jeżelibyśmy koniecznie mieli przydzielić »Obok wulkanu« do jednej z kategoryi form, znanych obecnej krytyce, to sklasyfikowaćby można utwór ten jako dramat allegoryczno-filozoficzny. Allegoryczność objawia się w całym szeregu figur, personifikujących pewną myśl, pewien kierunek idei: takiemi są wszystkie osoby występujące w dramacie. Charakter filozoficzny łączy się ściśle i wypływa konsekwentnie z allegoryczności utworu. Jeżeli autor wprowadza osoby, by w nie ucieleśnić pewną zasadniczą ideę, by tę ideę czytelnikom uprzystępnić, to zszeregowanie kilku czy kilkunastu tego rodzaju figur i połączenie ich akcyi w węzeł dramatyczny sprowadzić musi ścieranie się tych idei i walkę o racyę każdej z nich, a tym sposobem mamy, jako rezultat, filozofię.

Zacznijmy od allegoryi. Już dekoracya sceny nosi w sobie pierwiastek allegoryczny. W głębi sceny, okolony przepaścią, bucha wulkan, zionie ciągle ogniem, otacza się kłębami dymu. To wieczność. Opodal odeń poważna postać w powłóczystej klasycznej szacie, czas, wpatrzony w ten kłąb dymu symbolizujący wieczność. A osoby dramatu? Widzimy karzełków skrępowanych kajdanami, tłukących i mielących bez przerwy czaszki ludzkie i gruzy. Wyobrażają oni myśli ludzkie, skrępowane, ubezwładnione, skazane na wieczne mielenie na proch tego, co już się przeżyło, kości i gruzów. Zadanie myśli ludzkiej przedstawione bądź co bądź bardzo czarno. Lecz myśli te rwą się do szerszej widowni, chcą się wyrwać z ciasnego horyzontu, do którego są przykute, pójść dalej, zbadać tajemnicę wszechbytu. Jedna z tych myśli zrzuca z siebie kajdany, zbliża się do wulkanu-wieczności, lecz tylko po to, by przezeń zostać pochłoniętą, by zginąć śmiercią Ikarową. Obok nich występuje zwiedziona, która całe życie kroczyła po różach i cierniach» która używała życia i jego przyjemności, a teraz, gdy sumienie roztrząsa jej dzieje, cofa się z lubością ponad obrazy rozkoszy życiowych do wspomnień dawnych cichych młodości. Widzimy Obłąkanego, szukającego również rozwiązania zagadki wieczności i jej granic i tryumfującego, że je znalazł. Występują cztery dziewice Wesołość, Pogoda, Namiętność i Dziewiczość, symbole mówiące już swą nazwą. W wędrówce swej przez las życia napotykają czterech wędrowców. Jeden z nich szuka garnka, któryby się największego ognia nie uląkł bez względu na to, że po takiej próbie z dnem kruchem najmniejszego musi się obawiać ognia, żeby się w skorupy nie rozpaść. Garnek ten znajduje w Namiętności, którą też wybiera sobie za towarzyszkę dalszej wędrówki. Drugi chce »posiadać różę, która, choć z kolcami, końce tychże musi stępić, żeby nie raniły«, i poślubia Pogodę. Trzeci »podjął pielgrzymkę do śnieżnej białości skroni Dziewiczości«, czwarty ogląda się »za napojem, który, chociaż o małe mdłości tęgością swą przyprawiając, dobrze smakuje« i podaje Wesołości rękę. Tak połączeni puszczają się w dalszą drogę po lesie życia. Rośnie tam kwiat, zwany »rajskim«. Ma on

tę własność, że każdemu »kto kwiat ten obejmie, nie zadowalniając się przypatrywaniem, zostaje się w udziale, że niepojęty sen rozkoszy przechodzi w tęsknotę, która, gdy człowieka raz uchwyci, w coraz to większą się rozwija, rośnie, olbrzymieje w podobieństwie do potoku, który szukając coraz to liczniejszych koryt, w głównem łożysku maleje, wysycha i leniwie skąpe swe wody prowadzi«. Za kwiat ten chwytają Namiętność i Wesołość, śpieszy do nich Pogoda, by je ratować, lecz chwyta się sama kwiecia i wszystkie trzy padają odurzone. Książe boru, figura również allegoryczna, rzuca sieć swą, by schwytać w nią trzy te odurzone, lecz chybia, i niewinna Dziewiczość pada jego ofiarą.

W akcie trzecim widzimy parę szlachetnych, jasno i pogodnie patrzących na świat, spokojne życie wiodących małżonków, Wędrowca zwanego III i Pogodę. Mąż szerzy dobroczynny wpływ na swych współobywateli, uczy i kieruje nimi, żona strzeże ogniska domowego. Spotykamy znów małżonka Namiętności, niezadowolnionego ze swego wyboru, owego Wędrowca IV opłakującego stratę swej Dziewiczości, Wesołość lekkomyślną, choć uczciwą, lecz w swej płochości popełniającą różne wybryki, których po rozwadze żałuje.

W tych ostatnich uwagach poruszyliśmy już tezę życiowo-filozoficzną utworu. Życie, wedle autora, szukające tylko wrażeń, burzliwe, rwące się naprzód nie daje zadowolnienia. Lepsze, idealniejsze, więcej godne człowieka to życie pracy dla drugich, jakie prowadzi Wędrowiec III; takie tylko daje pogodę i spokój umysłu.

Obok tego podstawowego zagadnienia filozoficznego pełny jest cały utwór uwag i dygresyi filozoficznych, nierzadko głębokich i trafnych. Autor przez usta osób dramatu wypowiada swe zdanie o pojedynku, o wyrozumiałości dla wad cudzych, o pojęciu uczciwości w życiu, daje wyraz swym uczuciom wobec słabych i opuszczonych. Spotykamy nawet zapatrywania społeczne autora, szlachetne w każdym razie, choć przechodzące w utopię.

Po przeczytaniu poprzednich naszych uwag mógłby już uważny czytelnik wysnuć, w czem leżą słabe punkty całości. Autor postawił tezę, bez której zresztą nie można sobie wyobrazić dramatu filozoficznego. Tezę tę przedstawiliśmy już i przyznać trzeba, że na jej uzasadnienie stworzyćby się dała rzecz prawdziwie piękna. Autor jednak w drodze, zbaczając i rozpraszając się w epizodycznych scenach i traktatach, stracił z oczu swe założenie, nie zdołał jej konsekwentnie przeprowadzić do końca, a mamy przecież prawo wymagać, by autor dramatyczny sceny choćby epizodyczne połączył w luźną przynajmniej całość z główną osnową, by tej ostatniej nie poświęcał dla scen pobocznych, choćby najgłębszych, najpiękniejszych. Co prawda u autora piękność artystyczna jest rzeczą drugorzędną, na pierwszym planie panują niepodzielnie idee, na rzecz których poświęca resztę.

Z tych zarzutów nie należy jednak wyprowadzać wniosku, że autora odsądzamy od talentu dramatycznego, a utwór jego od wszelkiej wartości. Owszem po przeczytaniu dzieła pana Adfeldta, znać w nim uzdolnienie na pisarza dramatycznego. ***Dr. B.***

Głupiec i śmierć. *H. Hofmannsthal.* Przełożył *A. Pauli*. W drukarni »Polonia« we Lwowie. 1904.

Za temat jednoaktowego dramatu

czy raczej dyalogu obrał autor chwilę śmierci samoluba Klaudyusza. Całe życie myślał Klaudyusz tylko o sobie, zdradził przyjaciela i miłość kobiety, własnej matce zatruł ostatnie dni życia, niedostępny dla szlachetniejszych uczuć i porywów. Nicość i nędzę takiego życia przejrzał dopiero w chwili, kiedy od śmierci (autor wprowadza ją na scenę, jako bóstwo z »Dyonizosa, z Wenery poczetu« ze skrzypcami, których melodya rozbudziła w Klaudyuszu pragnienie odmiennego życia), dowiedział się, że ma umierać. Klaudyusz wyprasza się, że to niemożliwe, bo on jeszcze właściwie wcale nie żył. Wtedy śmierć, aby mu dowieść, że otrzymał to, co inni, »by po ziemsku żyć na świecie«, przywołuje ze swego królestwa cienie matki, przyjaciela, kochanki. Klaudyusz wysłuchawszy ich wyrzutów, uznaje marność swego życia, widzi, że dopiero teraz poznał i czuje, że to jest życie, że ta jedna chwila dała mu więcej życia, jak minione lata, dlatego też chętnie oddaje się śmierci, którą chce mieć swojem życiem, która go zbudziła »ze snu życiowego do śmiertelnej jawy«. Umiera, a śmierć robi filozoficzne refleksye nad naturą ludzką, która potrafi odgadnąć to, co nieodgadnionem na ziemi. Ani pomysł, ani jego wykonanie nie zaleca się wyższą wartością artystyczną. Brak myśli lub ich banalność stara się autor pokryć szumnymi frazesami, ciemnością stylu. Tłumaczenie polskie wypadło tym razem niestety dość słabo. *M. B.*

O rozumnej gorliwości kapłańskiej. *X. I. Ch.* Warszawa. Nakładem *Przeglądu katolickiego*. 1903. (Str. 78, 8-ka).

Broszura nie wielka, ale treściwa, pełna uwag o kwestyach aktualnych, dotyczących działalności kapłańskiej. Ujął je autor i rozwinął w formie konferencyi (konferencya dała początek broszurze), kładąc główny nacisk na braki i wady, które nierzadko dzisiaj każą i osłabiają działalność kleru.

W rozumnej gorliwości kapłańskiej widzi autor miłość Boga i bliźniego, mądrość i roztropność, — analogicznie nierozumną cechować będzie brak tych przymiotów, a właściwie wady im przeciwne. Zaczem przedstawia autor fanatyzm płynący z miłości własnej i pychy, tak przeciwny duchowi Kościoła, a przecież zasłaniający się jego powagą; przytem zwalcza roszczenia do jakiejś nietykalności i wolności od wszelkiej krytyki i sądów opinii publicznej. Dużo szkodzi sprawie bożej także brak wykształcenia i tego poczucia, ciągle uczyć się trzeba i wedle możności, iść z biegiem nauki — inaczej kapłan nie będzie zdolny nie tylko zadośćuczynić wymaganiom wiernych, szukających u niego porady i światła, ale nawet ustrzedz się błędów. Przy rozbiorze braku roztropności zastanawia się autor nad przesadną i drobnostkową ascezą, mówi o nietakcie w postępowaniu, dobrze objaśnia kwestyę oportunizmu, tłumaczy konserwatyzm i postęp w Kościele, dotyka pracy w redakcyach pism i wydawnictw.

Z tego pobieżnego streszczenia można nabrać pojęcia o bogactwie treści broszury. Przeczytać ją powinien każdy kapłan, czy pracuje w Kościele, czy w szkole, czy zwłaszcza poświęca się zawodowi pisarskiemu.

Oczywistą jest rzeczą, że na kilkudziesięciu kartkach nie można było wyczerpać tylu różnorodnych kwestyi i nie było to celem autora. To, co dał jest dobre, szkoda tylko, że styl autora pozostawia dosyć do życzenia.

Po co to ubieganie się za niezwykłemi a ciężkiemi konstrukcyami, te widocznie wysiłki, by wdzięk prostoty zastąpić przesadą, to wreszcie archaizowanie lub tworzenie nowych słów (np. »wyobcować się«, str. 29). Dalej na jakiej podstawie przypisuje autor Talesowi maksymę: »poznaj sam siebie«; słowa: *scio, cui credidi* są starsze od św. Augustyna, znajdują się u św. Pawła (II. Tym. 1—12), i nie powiedział św. Augustyn: *est id fides, quod non vides* (str. 5), tylko: *Quid est fides, nisi credere, quod non vides?* (Migne. Patr. lat. 35. 1690). W pisowni słów łacińskich błędów nie brak: nie pisze się *conditio* (warunek), ale *condicio,* nie *coelum,* ale *caelum*, nie *obedio,* ale *oboedio.*

M. B.

Miscellanea historyczne. I. Projekt utworzenia za czasów pruskich w mieście Warszawie Towarzystwa historycznego i czasopisma peryodycznego pod tytułem: »Zbiór materyałów do historyi polskiej«. *Aleksander Kraushar* Lwów 1903.

Znany i zasłużony badacz naszych dziejów p. Aleksander Kraushar odkrył znów w Bibliotece cesarskiej w Petersburgu ciekawy dokument, opisujący fakt dotąd nieznany. Dokument to krótki projekt założenia obok istniejącego już Towarzystwa Przyj. Nauk, Towarzystwa historycznego, mającego za zadanie zbieranie i badanie materyałów do historyi polskiej. Taki miał być cel jawny projektowanego Towarzystwa. Obok jednak tego celu wywieszonego dla użytku zwierzchnich władz pruskich celem tajnym miało być pielęgnowanie narodowych pamiątek, budzenie i utrzymywanie ducha narodowego. Ze względu na to kierownictwo Towarzystwa winno spoczywać w ręku tajnego komitetu złożonego z ludzi wielkiego umysłu i duszy, winno między nimi być kilku majętnych, którzyby mogli w razie potrzeby i swym majątkiem popierać cele Towarzystwa.

Projekt nie przyszedł do skutku, memoryał omawiany wniesiony do Towarzystwa Przyjaciół Nauk, spoczął w archiwum tegoż, skąd dostał się do Petersburga.

A. B.

Tum Ryski i jego ciekawsze zabytki. *G. Manteuffel.* Spółka wydawnicza polska w Krakowie 1904. (8-ka, str. 69).

Autor omawianej książeczki ma za sobą cały szereg zasług na polu badania dziejów inflanckich, o których, jak słusznie wyrzeka w przedmowie, bardzo mało ma się u nas w ogólności wyobrażenia, nie wspominając już nawet o częstem pomięszaniu rzeczy tyczących się Inflant, z rzeczami kurlandzkiemi lub estońskiemi. Ze względu tedy na doskonałą znajomość Inflant zalecają się prace p. Manteuffla same. Nie mniej cenna jest właśnie omawiana książeczka, która powstała z drukowanego w tej sprawie przed dwoma laty w *Tygodniku illustrowanym* artykułu.

Wiek XIX odznaczał się dziwną sprzecznością. Jak bowiem z jednej strony rozrywał pasmo, łączące jedną myślą i wiarą pokolenia i wieki, tak znowu z drugiej strony rehabilitował niejedno z dalekiej przeszłości dziejowej, co było zapomniane lub lekceważone. Wprost niedouwierzenia są fakta, zresztą zupełnie wiarygodne, jakim to spustoszeniom uległy pomniki i zabytki sztuki w tumie ryskim za czasów obrazoburstwa, z przyczyny protestanckich tłumów. Wspaniałe tryptyki, cyborya, tabernakle, ołtarze stalle, oraz cenne malowidła i freski zniknęły niepowrotnie. A ozdoby te

wewnętrzne były prawdziwemi dziełami sztuki.

Dalszy ciąg książeczki p. Manteuffla podaje dokładnie historyę dwudziestoletniego odnawiania tumu ryskiego, tego najdawniejszego pomnika sztuki chrześcijańskiej nad Bałtykiem, zarówno pod względem wewnętrznym, jak nie mniej zewnętrznym. Szczegółowo została omówiona kaplica Oblubieńców, witraże nawy północnej tumu, dalej grobowce błog. Mejnarda, biskupa i pierwszego apostoła Inflant, oraz arcybiskupa Wilhelma. Dokładnemu omówieniu został też poddany pomnik grobowy Mikołaja Eckego i pamiątki bitwy pod Kirchholmem.

Ciekawa ta książeczka ozdobiona została kilkunastu doskonale wykonanemi rycinami, które przedstawiają tum ryski przed odnowieniem i po odnowieniu, jakoteż rozmaite jego zabytki i pomniki.

L. T.

Materyały nr. 3. Wydawnictwo Tow. Polska Sztuka Stosowana. Kraków 1903.

O znaczeniu i wartości tego pożytecznego wydawnictwa miałem sposobność niedawno mówić z tego miejsca. To też teraz poprzestanę jedynie nakrótkiej wzmiance. Przedewszystkiem zasługują w omawianym zeszycie na uwagę dwa fragmenty zakopiańszczyzny odnalezione przez p. Br. Kondratowiczówną w pow. Będzińskim, g. Piotrkowskiej. Przyczyniają się one wielce do tem dokładniejszego określenia granicy naszego »stylu« i przedstawiają: wejście do sieni, z drzwiami, galeryjką, bramą oraz z »kołkowaniem« we wsi Wojtkowice Kościelne i słup podsieniowy osady Modrzejów. Zakopiańszczyzna reprezentowana jest jeszcze w tym zeszycie podobizną ganku z wioski Waksmund na Podhalu. Budownictwa ludowego tyczą się ponadto rysunek karczmy podolskiej, podobizny dworków w Dębnikach i w Krakowie przy ulicach: Bernardyńskiej, Biskupiej i »nad Wisłą«. Zdobnictwo drewniane Żmudzi reprezentowane jest na dwu tablicach, zawierających 30 okazów, pochodzących ze zbiorów Michała Brenszteina. I one okazują także do pewnego stopnia spowinowacenie z Zakopiańszczyzną, żeby tylko zwrócić uwagę na typową: gwiazdę, »ząbce, gadzik« i t. p., ozdoby odtworzone na kądzieli, drewnianych szpilach, zapomocą których przypina się len do kądzieli. Ponadto mamy tu piękny okaz skrzyni chłopskiej, malowanej około r. 1815 oraz pas złotolity z fabryki krakowskiej Masłowskiego (ze zbiorów hr. Andrzeja Potockiego), a nadto cztery okazy wycinanek kolorowych z Grotowic w Królestwie Polskiem. Wogóle cała zawartość tego zeszytu wykazuje staranność redakcyi pod każdym względem; zarówno w wyborze materyału, jak nie mniej w pieczołowitości około wykonania technicznego rysunków, które przynoszą prawdziwą chlubę zakładowi Anczyca, który je odbijał.

S. J.

Styl Zakopiański, z tekstem *Stanisława Witkiewicza.* Zeszyt 1-szy, Lwów 1904. Nakł. H. Altenberga.

Zasłużona firma księgarska Altenberga, podejmująca się niejednokrotnie bardzo kosztownych wydawnictw, przystąpiła obecnie do wydania wzorów sztuki stosowanej, rozpoczynając Zakopiańszczyzną. Oddała zaś to wydawnictwo w doświadczone ręce naszych szermierzy o sztukę swoją pp, St. Witkiewicza, Wojciecha Brzegi, prof. Barabasza oraz młodego artysty z Gniezna p. Gosienieckiego. Wstęp

napisany w porywających słowach przez Witkiewicza zawiera do pewnego stopnia historyę całej Zakopiańszczyzny. We wstępie tym zasługuje przedewszystkiem na uwagę doskonałe zebranie tych wszystkich cech, jakie wyróżniają Zakopiańszczyznę z pośród całej sztuki ludowej polskiej. Tablice, któremi tekst jest objaśniony, wyobrażają sprzęty pokoju jadalnego. Najlepsze są meble Witkiewicza, w których została zachowana idealna czystość stylu zakopiańskiego. We wszystkich nich zasadnicze cechy wiązania i zdobnictwa są ściśle wzorowane na sprzętach góralskich. Bo chyba osobliwszych ostów lub też paproci, jakie wprowadził Witkiewicz, nikt nie będzie poczytywał za innowacyę, niezgodną z duchem sztuki góralskiej. Zupełnie doskonałe są też projekty mebli, wykonane przez p. Brzegę. Również niezwykłe zdolności okazał p. Gosienicki. P. Barabaszowi jednak nie mogę wybaczyć stosowania szwabskiego sposobu połączeń drzewnych, które kłócą się niemiłosiernie z typowemi połączeniami, jakie na każdym kroku można spotkać w naszej sztuce ludowej. Całe to wydawnictwo zasługuje na najgorętsze poparcie, gdyż zarówno jest przydatne dla zawodowych stolarzy, jak nie mniej, dla miłośników sztuki rodzimej oraz dla artystów i po części nawet folklorystów. Wykonanie tablic przynosi prawdziwy zaszczyt zakładom Anczyca i Sp. w Krakowie. Nareszcie doczekaliśmy się tej precyzyi wykonania, że nie potrzebujemy, tak jak dawniej, jeździć ze wszystkiem do Niemiec. Cena jednakowoż wydawnictwa wydaje mi się nieco za wysoka; wynosi bowiem aż 8 koron, co żadną miarą nie przyczyni się do pokupu tej publikacyi, a tem mniej do poparcia samej sprawy. Bądź co bądź zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy sprawy narodowego renesansu w sztuce stosowanej powinni z radością powitać omawiane wydawnictwo, przyczyni się ono bowiem znamienicie do wyjaśnienia całego dotąd twającego sporu, abstrahując od tego, jak wynik ostateczny wypadnie.

S. K.

Une vie d'ambassadrice au siècle dernier, la princesse de Lieven par *Ernest Daudet*. Paris. Plon-Nourrit. 1903. Str. 394.

Powyżej wymienione dzieło mimo niektórych nieznanych dotąd zakulisowych szczegółików, żadnego nie przedstawia poważnego interesu. Jest to żywot księżnej Lieven, z domu hrabianki Benkendorf, która zacząwszy od występu na dworze petersburskim, jako żona ambasadora rosyjskiego błyszczała przez długi czas na salonach londyńskich a potem paryskich. Dowiadujemy się tu, że między sławnym ministrem Ludwika Filipa Guizotem a księżną aż do śmierci tej ostatniej panowały więcej niż przyjazne tylko stosunki. Jednak nie widać, aby nawet w czasach, gdy Guizot był u steru władzy, księżna na sprawy polityczne wpływ jaki wywierała. Jest to jedna z tych pustych egzystencyi, co wiele błyszczeć się zdają, ale po których nie wiele co zostaje, gdy zastąpią je inne.

Ks. A. M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego

Sprawy Kościoła.

Z powodu ostatnich wyborów w Belgii.

Częściowe wybory do senatu i izby deputowanych odbyły się w Belgii bardzo spokojnie; na kilka dni przed naznaczonym terminem 29 maja nie było wcale znać zwykłego ruchu wyborczego. Znawcy tłumaczyli sobie tę dziwną obojętność pewnością zwycięstwa ze strony katolików a pewnością klęski ze strony ich przeciwników. Nie znać było wrącego zawsze w tych okolicznościach życia także i dlatego, że chodziło, jak to od dawna w Belgii jest w zwyczaju, jedynie o wybory częściowe. Ze stu dziesięciu senatorów opuściło w ostatnich latach senat pięćdziesięciu siedmiu, z których trzydziestu ośmiu należało do partyi katolickiej a dziewiętnastu do liberalnej; ponieważ jednak czternaście mandatów (10 katol. i 4 liber.) obsadzają rady prowincyonalne, chodziło obecnie tylko o wybór czterdziestu trzech członków do senatu. Ze stu sześćdziesięciu sześciu mandatów izby deputowanych wygasło ośmdziesiąt jeden, z tych czterdzieści dwa katolickich, dwadzieścia cztery socyalistycznych, czternaście liberalnych i jeden chrześcijańsko-demokratyczny. Większość katolicka wynosiła dotychczas w izbie dwadzieścia sześć głosów, w senacie zaś szesnaście.

Rezultat wyborów przedstawia się następująco: w izbie zy-

skali katolicy cztery krzesła, stracili siedem, liberali zyskali dziewięć, socyaliści stracili siedm, zyskali jedno. Większość katolicka spada więc w izbie z dwudziestu sześciu głosów na dwadzieścia.

W senacie stracili katolicy trzy krzesła, liberali zyskali dwa, socyaliści jedno, niezależni jedno; większość katolicka spadła w senacie z głosów szesnastu na dwanaście.

Stronnictwem, które, jak z powyższego zestawienia wynika, najwięcej ucierpiało, są socyaliści; stracili oni wzięcie i wpływ szczególniej w prowincyach walońskich, o których sądzono, że na zawsze pozostaną wierne idei socyalistycznej; z pomiędzy ich przedstawicieli ulegli wybitni i wpływowi członkowie. Jedna tu zastanawia jednak okoliczność: o ile źle wyszli socyaliści na wyborze do izby deputowanych, o tyle osiągnęli pewne korzyści przy wyborach do senatu, które to wybory są więcej utrudnione od pierwszych. W Brukseli przeprowadzili wybór swoich dwóch kandydatów; wybór jednego będzie wprawdzie unieważnionym, gdyż prawnie nie mógł być obranym, że jednak taki nawet wybór potrafili przeprowadzić, jest dla stosunków brukselskich dość znamiennem.

Partya liberalna zyskała na wyborach, więcej jednak kosztem socyalistów, jak katolików; tryumf jej jest mimo to przedwczesny, gdyż na sto sześćdziesiąt dwa głosy posiada tylko czterdzieści trzy, jest więc zawsze w znacznej mniejszości.

Katolicy stracili, lecz straty ich powetowało częściowo przynajmniej zdobycie nowych mandatów w centrach dotychczas wyłącznie socyalistycznych; ostatecznie mają tę samą większość, jaką posiadali przed rokiem 1902 a jakiej dotychczas żaden inny rząd w Belgii nie posiadał. Zresztą wynik ogólny przeszedł tak a tak oczekiwanie; spodziewano się dawniej, przy zaprowadzeniu nowego prawa wyborczego, że katolicy będą rozporządzali co najwyżej większością ośmiu głosów, mają ich oni jednak dwadzieścia.

Tryumf liberałów jest więc na razie jeszcze przedwczesny, a ich zwycięskie okrzyki: »naród przemówił«, »klerykalizm jest zniszczony«, »liberalizm znowu w Belgii panuje«, mogą co najwięcej pobłażliwy uśmiech na usta wywołać.

Swoją drogą i katolicy dostali naukę, która zasługuje na zastanowienie się. Wybory stwierdzają pewien wzrost nie tak liberalizmu, jak raczej antyklerykalizmu. Faktu tego zaprzeczyć nie można; gdzie pojawił się kandydat katolicki, tam zwartą ławą szli przeciwko niemu wszyscy antyklerykali, począwszy od konserwatywnych liberałów a skończywszy na skrajnych socyalistach.

Przyczynę tego faktu przypisuje wielu rządowi, ale odpowiednie zarzuty są tak ogólnej natury i tyle ten rząd dla kraju zrobił, że główną jego winą jest chyba to, że jest katolickim. Rząd w Belgii przekonał naocznie, że może być katolickim a jednak powierzone sobie państwo wysoko postawić. Świadectwa wybitnych antykatolickich publicystów i fakta same wskazują stanowczo, że od 10 czerwca 1884 r., t. j. od czasów katolickiego rządu Belgia rozwinęła się niesłychanie, tak że pod tym względem sama jedna na pierwszem prawie miejscu między państwami stoi.

Yves Guyot, pisarz stojący na stanowisku katolicyzmowi wrogiem, nazywa Belgię pod względem handlowym i przemysłowym pierwszym krajem na świecie. Belgia żywi na przestrzeni liczącej 2,946.000 hektarów około siedm milionów ludności, tak że 270 mieszkańców przypada na kilometr kwadratowy; Francya na swoim tyle razy większym terenie powinnaby posiadać w stosunku do Belgii 120,936.000 mieszkańców. Handel eksportowy Belgii wynosi od 1899 r. 292 franków na głowę, podczas gdy w Szwajcaryi, która przedtem pod tym względem przodowała, tylko 265 fr. Wywóz Francyi w stosunku do Belgii powinien wynosić nie 6,608 milionów, ale 11,242 milionów. Ogólny handel zewnętrzny Belgii wynosił w 1880 r. 2848 milionów fr.; w 1899 już 3482 milionów, wzrósł więc o 22%; w tym względzie wypada w Anglii 427 fr. na głowę, w Belgii zaś 522. Handel więc belgijski podniósł się pod rządem katolickim o prawie jednę czwartą.

Nie gorzej przedstawiają się finanse belgijskie. Długi państwowe wynoszą około trzech miliardów franków czyli dwa razy więcej jak w r. 1875; lecz w tym czasie wydała Belgia 2 miliardy

na koleje, 150 milionów na kanały, 107 milionów na ochronę brzegów, 250 milionów na drogi i porty, 900 milionów na publiczne budowy, jak muzea, więzienia i t. d., wydano więc na same budowy 3 miliardy 400 milionów.

Podatki wynoszą w Belgii przeciętnie 29 fr. na głowę, we Francyi zaś 76, w Anglii 65, w Stanach Zjednoczonych 43, w Niemczech 32. Mniej więcej 4 miliony robotników belgijskich płaci rocznie 23 miliony franków bezpośrednich podatków; wydaje zaś na nich rząd we formie pensyi 13 milionów, we formie wspomagań stowarzyszeń robotniczych 2 miliony, na koleje kursujące po przedmieściach a służące do użytku robotników 9 milionów czyli razem 24 milionów franków. Podatki bezpośrednie a więc gruntowe, osobiste i t. p. wynoszą dziś tyle, ile wynosiły przed laty dwudziestu; podatki pośrednie wynoszą franka mniej jak w r. 1884; wzrosły jedynie podatki akcyzowe, ale i one odnoszą się przeważnie tylko do alkoholu. Te ostatnie zresztą podatki, a więc pośrednie, tworzą 23% wszystkich podatków, podczas gdy we Francyi liczą one 49%, w Szwajcaryi 49%, w Anglii 48%, w Niemczech 47%, w Stanach Zjednoczonych 72%.

Zarzucano rządowi belgijskiemu, że jest zbyt pobłażliwym dla zakonów i że zamienił cały kraj w jeden wielki klasztor, co prędzej lub później niekorzystnie na nim odbić się musi. Wolność klasztorów jest poręczona konstytucyą, nie zależy więc ani od rządu katolickiego, ani liberalnego. Dotychczas jeszcze tego złego wpływu klasztorów na kraj nie zauważono, przeciwnie tysiące żyją z klasztorów. Państwo oszczędza miliony na chorych, ubogich, inwalidach i sierotach, którymi zajmują się zakony. *La Belgique charitable* zamieszcza na pięciuset stronach spis różnych zakładów dobroczynnych, którymi zawiadują i które utrzymują zakonnicy i zakonnice. Bez tych zakonów nie znalazłoby tysiące chorych żadnej pomocy, tysiące starców i niezdolnych do pracy umierałoby w opuszczeniu, tysiące kalek nie znalazłoby przytułku ni opieki, tysiące sierot nie zaznałoby wychowania. Gdyby nawet społeczeństwo zajęło się temi instytucyami, przedstawiałyby się one o wiele gorzej, a ciężary podatkowe wzrosłyby w krótkim czasie wprost niesłychanie.

Wrogowie katolickich rządów powołują się wreszcie bardzo chętnie na brak oświaty i zacofanie w krajach katolickich panujące; nie tak dawno przecie piorunował belgijski socyalista, Vandervelde, przeciwko klerykalnej polityce szkolnej w Belgii. Prawdą jest, że w Belgii niema jeszcze do dziś przymusu szkolnego; na ten przymus można się ostatecznie rozmaicie zapatrywać, faktem jest, że rząd belgijski postawił szkolnictwo bardzo wysoko. Rząd katolicki zastał w r. 1884 od państwa zależnych, oficyalnych szkół 4.887 z 345.687 uczniami i uczennicami. Stosunek ten zmienił się niepomiernie w ostatnich latach. Od roku 1896—1902 zbudowano 476 szkół z 1345 klasami i 234 mieszkaniami dla nauczycieli, wszystko kosztem 17,234.000 franków; od roku zaś 1873—1902 wydano na ten sam cel ogółem 138 milionów fr. W budżet na r. 1902 wciągnięto oprócz zwykłych 900 tysięcy, na propozycyę rządu jeszcze milion fr., by przyjść gminom z pomocą w poprawianiu i budowaniu szkół. Ilość od państwa zależnych i przez rząd dozorowanych szkół, tak się przedstawia:

Rok	Ochronki (Ecoles gardiennes)		Szkoły ludowe (Écoles primaires)		Szkoły dla dorosł. (Écoles d'adultes)	
	Szkoły	Klasy	Szkoły	Klasy	Szkoły	Klasy
1885	870	1.414	5.469	10.549	1.642	2.723
1900	2.310	3.694	6.814	16.149	2.845	4.810
1902	2.500	3.956	6.966	17.009	3.343	5.726
Wzrost od 1885—1902	1.630	2.542	1.497	6.460	1.701	3.003

Te liczby świadczą dość wymownie o wzroście szkolnictwa w Belgii, gdzie na jednego nauczyciela przypada 49 uczniów, podczas gdy np. w Niemczech 61. Liczba szkół pierwszej kategoryi powiększyła się od 1885—1902 o 187% a klas o 250%; liczba szkół dla dorosłych o 103,59% a klas o 110,28%.

Niemniej interesująco przedstawia się liczba uczniów, uczęszczających do szkół rządowych:

Rok	Ochronki	Szkoły ludowe	Szkoły dla dorosł.
1885	85.483	588.804	64.296
1900	218.702	793.915	130.816
1902	237.625	827.165	163.261
Przyrost od 1885—1902	151.782	238.361	99.765
Przyrost w procencie	177,55	40,48	152,36

Te liczby, mówiące o wysokim rozwoju szkoły, mają być oskarżeniem rządu. 827.165 uczniów szkół ludowych przedstawia

tylko 12% ogólnej ludności, ponieważ jednak w wieku od 6—14 lat znajduje się 16%, ma być wielka część dzieci pozbawiona wykształcenia szkolnego. Tak źle znów nie jest. Dotychczas była mowa jedynie o szkołach rządowych i przez państwo wspomaganych; do innych za to częściowo prywatnych, częściowo wolnych rządowych, uczęszcza jeszcze około 187.000, tak że liczba dzieci odwiedzających w wieku od 6—14 lat szkoły ludowe wynosi około 1,014.000 czyli prawie 15% ogółu ludności. Jeżeli uwzględnimy jeszcze fakt, że w wolnych szkołach, nie podających liczby uczniów, w domu i za granicą kształci się dużo młodzieży, że jak w każdym innym kraju i w Belgii pewien procent dzieci nie może wogóle uczęszczać do szkół dla moralnego lub fizycznego upośledzenia, to przyznać musimy, że w szkołach w Belgii większa jest frekwencya, aniżeli w wielu innych krajach; we Francyi np., gdzie przymus szkolny istnieje, nie otrzymuje mniej więcej 4% dzieci w wieku od 6—14 lat żadnego wykształcenia.

Liczba analfabetów zmniejsza się bez przymusu szkolnego z każdym rokiem. Tak np. na 1000 rekrutów nie umiało pisać ani czytać w r. 1880: 216; 1890: 159; 1900: 120; 1902: 101. Jeżeli jednak liczba analfabetów jest na oko w Belgii dość znaczna, pochodzi to także stąd, że do analfabetów zalicza ten rząd również dzieci umysłowo anormalne, czego podobno gdzieindziej nie robi, i że w tym względzie stawia wielkie wymagania, nie jak np. w Niemczech, gdzie stwierdzono, że jeżeli rekrut druki choć z wielką trudnością i powoli odcyfrować potrafi i swoje nazwisko, choćby nawet nieczytelnie, podpisać, już tem samem za analfabeta uważanym nie jest.

Wydatki ogólne na szkołę w Belgii przedstawiają się również imponująco. W r. 1885 wydano 29,480.646 fr.; w r. 1895: 32,867.778; w r. 1899: 38,626.790.

Przytoczone cyfry świadczą wymownie, ile jest prawdy w twierdzeniu, że rząd belgijski sprzeciwia się systematycznie oświacie i pokazują, że przyczyn nieukontentowania pewnych klas ludności trzeba szukać przedewszystkiem nie w działalności katolickiego rządu, ale gdzieindziej.

Z Kościoła protestanckiego w Norwegii.

Metoda wolnego badania doprowadziła w kościołach protestanckich do zupełnego rozprzężenia, do nieskończonej ilości różnych zapatrywań na te same, często dla chrześcijaństwa zasadnicze kwestye. W tym względzie jest niesłychanie charakterystycznym fakt, jaki zaszedł ostatnimi czasy w państwowym Kościele norweskim, a który wskazuje, że spokojniej a nadewszystko bezstronniej myślące umysły poznają, że tak dalej już iść nie może.

Przed niejakimś czasem zawakowała posada profesora teologii systematycznej na uniwersytecie w Chrystyanii. O tę katedrę starał się dr. Bugge i pastor Ording. W skład komitetu, sądzącego o kwalifikacyach kandydatów, wchodzili między innymi teolog szwedzki i duński. Pierwszemu kandydatowi odmówiono potrzebnej nauki i nie przyjęto go; o drugim stwierdzono, że rozszerzał zapatrywania nie całkiem luterskie; odmawiał np. sakramentowi chrztu św. siły zmazania grzechów i tłumaczył obecność Chrystusa w Najświętszym Sakramencie symbolicznie. Fakultet teologiczny i kolegium akademickie, które miały sprawę rozstrzygnąć, nie mogły się porozumieć. Decydującą odpowiedź miał dać szef departamentu dla spraw kościelnych, lecz i on cofnął się, ponieważ, spokrewniony z Ordingiem, uznał się za nie zdolnego do osądzenia kwestyi, poruczył ją więc prezydentowi ministrów, prawnikowi. Ostatecznym wynikiem tych obrad i rozpraw było tymczasowe nieobsadzenie katedry.

Pisma norweskie, szczególniej niekościelne, omawiały całą sprawę bardzo obszernie i właśnie zapatrywania z tej okazyi głoszone, są dziwnie znamienne. Kościół luterski, pisze między innemi wieczorny dziennik z Bergen, znajduje się w Norwegii w stanie godnym pożałowania, choć powinien, będąc kościołem państwowym, zajmować uprzywilejowane stanowisko. Inne stowarzyszenia religijne normują same swoje prawa według zasad swej wiary i swych przekonań; kościół luterski otrzymuje swe prawa od instytucyi świeckiej, Storthingu, której znów wolę swoją dyktuje król i rząd; ich zapatrywania religijne nie dają jednak żadnej rękojmi, w ich też kołach rzadko kiedy myśl religijna powstanie. »Kościół leży więc związany i skrępowany, nie jest

w stanie bronić swych najżywotniejszych interesów, oddany samowoli swych świeckich panów. Nie raz jeden w ubiegłych latach poznał, że jest niewolnikiem«. Pierwszym warunkiem istnienia jakiegoś kościoła, jest prawo jego, które się domaga, aby jego kapłani głosili tę naukę, która jest jemu właściwą, inaczej gmina kościelna rozpadnie się na atomy, powiązane na zewnątrz siłą, gwałtem, podstępem, zabraknie jednak wewnętrzej jedności duchowej i duchowej łączności. Przecież nie może być mowy o jedności kościelnej, gdzie w jednej gminie uczy pastor, że Chrystus był Bogiem, w drugiej, że był on najdoskonalszem stworzeniem Bożem, w trzeciej, że był tylko człowiekiem — tu, że nas odkupił, tam, że jego znaczenie w tem leży, iż nam miłość Boga ku stworzeniom objawił, ówdzie, że nauczył nas najdoskonalszej cnoty. Cóż dopiero sądzić, jeżeli w tej samej gminie różni pastorzy różniące się między sobą głoszą nauki? Jeżeli więc kościół ma istnieć, to musi sobie módz zapewnić pastorów, wiernych swemu wyznaniu i głoszących naukę tego wyznania, a profesorzy teologii, którzy mają tych pastorów kształcić, powinni być ludźmi dzielącymi przekonania swego kościoła i uważającymi za obowiązek sumienia, stać na jego straży. Te wymagania »są tak jasne i same przez się zrozumiałe, że właściwie nie ma się nawet nad czem rozwodzić... smutnem jest tylko, że rzeczy tak pojedyncze przypominać trzeba«.

Te słowa nie są tylko wyrazem pojedynczych ludzi, wyrażają one przeciwnie przekonanie pewnej części społeczeństwa norweskiego i są dlatego tak ważne. I protestanci doszli do przekonania, że droga wolnego badania i bezwzględnej wolności w wierze zaprowadza ich na manowce, a konsekwentnie zaprowadzić musi do zupełnego zaniku i upadku ich kościoła; dlatego żądają jednej wiary od swych kaznodziei i pastorów i żądają pewnej powagi kościelnej, którąby nad prawowiernością teologów czuwała, a odrzucają zupełnie mieszanie się władz świeckich w sprawy religii.

Nie tylko protestanci, ale i pewne sfery katolickie mogłyby wziąć sobie do serca powyższe słowa i głęboko nad niemi się zastanowić; ustałyby wtenczas częste, tak nieuzasadnione i o takiej

nieznajomości religii świadczące skargi na urząd nauczycielski Kościoła.

Z katolickiego ruchu w Ameryce.

Pewien zwrot nie tylko ku wierze pozytywnej, ale nawet ku Kościołowi katolickiemu daje się odczuwać i w Ameryce. Katolicyzm, tego nie można zaprzeczyć, jest już dzisiaj w Stanach Zjednoczonych potęgą, z którą wiele liczyć się trzeba, i która zmusza do uszanowania. Z tym faktem liczą się i protestanccy Amerykanie i podobnie, jak w Anglii ruch rytualistyczny, wytworzył się w Ameryce ruch w stronę Rzymu, z tą tylko różnicą, że co do wpływu ruchu rytualistycznego na nawrócenie się Anglii do Kościoła katolickiego dzisiaj już się łudzić nie można, podczas gdy w Ameryce ruch ten jest więcej szczery i zasadniczy, aczkolwiek zawcześnie jeszcze wyciągać z niego daleko idące wnioski. Pewnem jest jednak, że wielkie gazety amerykańskie, jak *Newyork Herald,* stwierdzają istnienie i rozszerzanie się idei połączenia się z Rzymem tak dalece, że kierunek katolicki ma nawet swój własny organ *The Lamp* redagowany przez protestanckiego pastora Spencera Jonesa. Głośno i otwarcie odłączenie się Anglii od Rzymu nazywają tam apostazyą, którą trzeba naprawić powrotem do katolicyzmu. »Ostateczny cel tego ruchu, powiada np. *The Lamp*, skutkiem koniecznej i boskiej logiki nie jest inny, jak poddanie kościoła anglikańskiego pod najwyższą władzę Stolicy św. Do tego powinniśmy koniecznie dążyć, jeżeli znowu jakąś świętość posiadać chcemy«.

Że te wywody nie są tylko czysto platoniczne, zdaje się potwierdzać fakt, że ruch katolicki rozwija się dość szybko i szeroko między pastorami amerykańskimi, którzy nawet urządzają w swych parafiach składki na Świętopietrze. Równocześnie zaś na misye, odprawiane przez księży katolickich dla innowierców, gromadzą się ci ostatni tak licznie, że katolików z kościołów poprostu wypraszano, by nie przeszkadzali tym, którzy naukę katolicką poznać i do niej nawrócić się chcą.

Te misye nie pozostają bez skutku. W Nowym Yorku np. trwały one trzy tygodnie w kościele św. Apostoła, a odbywały się pod kierownictwem księży Paulinów Convay'a i Harney'a. Owocem

konferencyi było sześćdziesiąt cztery nawróceń; na łono Kościoła przeszło między innymi 20 episkopalnych, 6 luteranów, 2 szkockich presbiteryanów, jeden żyd i jedna z wybitnych artystek dramatycznych z Broadway.

Katolicy sami również nie próżnują. Stowarzyszenie Kolumba zebrało 50.000 dolarów na założenie na uniwersytecie katolickim w Waszyngtonie katedry dla historyi amerykańskiej; z okazyi wiekiej wystawy zwołują katolicy do St. Louis kongres, by na nim więcej streścić, skrystalizować i w pewne konkretne formy ująć projekt połączenia dwóch kościołów; różne gałęzie związku *Prawda katolicka* rozrzucają po całym kraju broszury, zawierające prace najlepszych myślicieli katolickich i rozdzielają za darmo pisma i książki wyświecające katolickie prawdy; ten sam związek zwalcza lub prostuje zarzuty katolikom stawiane. Zaledwie w nieprzychylnej prasie jakiś zarzut się pojawi, następuje sprostowanie i to w tem samem piśmie, które zarzut podniosło; tym sposobem sprostowano w ubiegłym roku trzysta zarzutów. Wpływ tego związku jest tak wielki, że potrafił on nawet przeprowadzić u niesprawiedliwych dla sprawy katolickiej autorów, wydanie poprawne ich dzieł; takie poprawki zaprowadzono szczególniej w książkach szkolnych.

Podczas więc, gdy w starym świecie dużo krajów i dużo osobistości z pod wpływu Rzymu wybić się pragnie, na drugiej półkuli Kościół coraz więcej zyskuje zwolenników; widocznie jego jarzmo nie jest tak ciężkiem.

Zmiana polityki w Rzymie?

Niebywałe a z pewnością przeceniane wrażenie, wywołała wizyta złożona w Bolonii królowi włoskiemu przez tego samego kardynała Svampę, który po śmierci króla Humberta nie pozwolił na odprawienie uroczystego żałobnego nabożeństwa w swej archidyecezyi. Przyjęcie księcia kościoła przez króla było wspaniałe i nosiło cechę prawdziwej serdeczności. Entuzyazm zgromadzonych tłumów wzbudziło dwukrotne ukazanie się króla razem z kardynałem na balkonie, a o wielkiej delikatności świadczył fakt, że obiad, na który zaproszono kardynała, a który przypadł na suche dni, składał się mimo dyspenzy z post-

nych dań. Nie można zaprzeczyć wprawdzie ważności tych odwiedzin, gdyż po raz pierwszy od r. 1870 członek św. kolegium, rezydujący na terenie, należącym niegdyś do państwa kościelnego, zetknął się z królem włoskim, nie można jednak równocześnie tego faktu przeceniać. Kiedy Francuzi zżymali się o to, że papież nie chciał przyjąć Loubeta w Rzymie, a prawie równocześnie kardynał Svampa złożył wizytę monarsze włoskiemu, odpowiedział zupełnie słusznie *Osservatore Romano*, że Bologna to nie Rzym, że Bologna nie jest rezydencyą biskupa rzymskiego, i że przyjęciu Loubeta przez dygnitarzy kościelnych np. w Bolonii niby nie stało na przeszkodzie, że wreszcie wizyta Loubeta w Bolonii nie miałaby tego charakteru, jaki przyjęła siłą samego faktu w Rzymie.

Jest to zresztą dość jasną, że z postępowania kardynała Svampy nie można wnioskować o stanowisku papieża wobec Włoch. Suwerenność Ojca św., powiedział kardynał Sekretarz Stanu, jest czemś innem, jak jego prawo do tego lub innego wydartego mu terytoryum. Papież może swoją własnością swobodnie rozporządzać, mógłby nawet nieprawemu posiadaczowi danego kraju nadać prawa prawnego władcy, nie może jednak wyrzec się swojej prawdziwej i rzeczywistej suwerenności, potrzebnej mu tak dla jego dostojeństwa, jak i ze względu na swobodne i niezawisłe kierowanie Kościołem; nie może się zrzec innemi słowy swej zwierzchniczej wolności, do przyznania mu zaś tej ostatniej rząd włoski nie jest chyba skłonnym, aczkolwiek ostatni papieże możliwości porozumienia się ze zjednoczonemi Włochami zasadniczo nigdy nie przeczyli. Pod koniec dopiero maja wyraził się przecież prezydent ministrów, Giolitti, w parlamencie, że Włochy nie widzą żadnej przyczyny, by zmienić swą politykę skutkiem protestu papieskiego; pójdą one przeciwnie drogą przez Cavoura wytkniętą.

Rząd pragnąłby zbliżenia się i pojednania, ale kosztem papieża; deputowany Santini, który cokolwiek inne zajmował stanowisko, i był nawet na osobnej audencyi przez Ojca św. przyjęty, doznał skutkiem tego ze strony parlamentu wiele nieprzyjemności, a nawet prześladowania; nie tylko chcą go pozbawić mandatu poselskiego, ale zmusili go nawet do złożenia godności

przezydenta tak zwanego *Circolo Savoia,* związku mającego na celu kierować i wpływać na wybory polityczne i miastowe, a to pod pretekstem, że nawet nie można myśleć o pogodzeniu ideałów Nowych Włoch z dążnościami Watykanu. Do jakiegokolwiek więc porozumienia się jeszcze daleko, choć wszyscy zdrowiej myślący uważają obecne położenie za niemożliwe. Dowodem tego ciekawy pomysł, jaki w niektórych umysłach powstał, że mianowicie pogodzenie rządu z Watykanem da się przeprowadzić, jeżeli papież otrzyma na własność pewną część dawnego państwa kościelnego, podczas gdy nad resztą zjednoczonych Włoch rządy sprawować będzie król, jako patrycyusz rzymski i w imieniu Ojca św.

Ks. Wiktor Wiecki.

Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1903.

Tow. dla popierania nauki polskiej. — Kasa im. Mianowskiego. — Akademia Umiejętności. — Tow. Przyjaciół Nauk. — Tow. naukowe w Toruniu. — Tow. filozoficzne. — Tow. przyrodników im. Kopernika. — Tow. ludoznawcze. — Polskie Tow. ludoznawcze w Cieszynie. — Polska Sztuka Stosowana. — Tow. historyczne. — Tow. miłośników historyi i zabytków Krakowa. — Tow. numizmatyczno-archeologiczne. — Koło konserwatorów dla Galicyi wschodniej i zachodniej. — Tow. ochrony zabytków polskich. — Klub Słowiański. — Tow. filologiczne. — Tow. literackie im. Mickiewicza. — Tow. nauczycieli szkół wyższych. — Tow. pedagogiczne. — Tow. pedagogiczne w Cieszynie. — Związek rodzicielski. — Tow. prawnicze. — Tow. prawniczo-ekonomiczne. — Tow. pielęgnowania nauk społecznych. — Tow. lekarskie i hygieniczne lwowskie, krakowskie i warszawskie. — Tow. weterynarskie. — Tow. politechniczne lwowskie i krakowskie. — Związek naukowo-literacki. — Koła literacko-artystyczne we Lwowie i w Krakowie. — Czytelnia katolicka. — Muzeum XX. Czartoryskich. — Biblioteka Jagiellońska. — Lwowska biblioteka Uniwersytecka. — Zakład im. Ossolińskich. — Muzeum im. Dzieduszyckich. — Muzeum Narodowe.

Na ogół wziąwszy — rozwój naszych stowarzyszeń naukowych i literackich oraz bibliotek i muzeów był w r. ubiegłym bezwątpienia korzystny. Łudziłby się jednakże, ktoby chciał z tego wyciągać wnioski o żywotności ich wszystkich, o trwałości podstaw, na jakich je zbudowano i na jakich spoczywał ich rozwój. Niestety — wnet prze-

konałby się, że rzeczy nie mają się normalnie, że pozory często mylą, i to boleśnie.

Przedewszystkiem więc trzeba stwierdzić z całą stanowczością, przykrą zapewne, ale prawdziwą, że nasze stowarzyszenia nie cieszą się takiem poparciem społeczeństwa, jakie im ono daćby powinno i jakiego w niektórych wypadkach są zupełnie godne, w niektórych zaś z pewnemi zastrzeżeniami.

Znaczna część naszego inteligentnego ogółu wcale nie troska się o naukę, a już bardzo nieliczne jego wyjątki interesują się rozwojem badań i dociekań naukowych. Jeśli jeszcze chodzi o jakie studya nad współczesną literaturą piękną — to pół biedy, bo zawsze rzeczy te obudzą bodaj u pewnej cząstki trochę zaciekawienia. Jeśli jednak chodzi o bardzo poważne, po większej cześci dla ogółu niedostępne dociekania naukowe, wtedy można być pewnym lodowatej obojętności. Dzieje się zaś to z tej przyczyny, że nasz ogół inteligentny ma za mało przygotowania naukowego, powtóre znowu myśli zbyt płytko.

To też poparcie materyalne, jakiego naukowe stowarzyszenia doznają od społeczeństwa, jest zawstydzająco małe w porównaniu z takiemże u innych narodów. Stąd dalej przeważna część towarzystw musi oprzeć swój, skromny zresztą, byt na zapomogach i subwencyach: rządu, sejmu, kraju, publicznych instytucyi finansowych, a nawet niekiedy jednostek prywatnych. Smutne to zapewne bardzo, ale daje zarazem doskonałą miarę, jak wielki jest u nas brak poczucia obowiązków, które ciężą na ogóle wobec nauki, zwłaszcza w tem iście wyjątkowem położeniu, w jakiem nasz naród musi żyć i pracować, kiedy został zdany na liczenie i oparcie się wyłącznie na sobie samym, na własnych siłach.

Po drugie — na podstawie obserwacyi stosunków wewnętrznych znacznej części naszych towarzystw naukowych — musi nadzwyczaj przykro uderzyć brak chęci do pracy u licznej rzeszy ludzi, poświęcających się zawodowo nauce. Można to doskonale stwierdzić na kilku lwowskich towarzystwach, w których pracują niemal ci sami ludzie, jakkolwiek oprócz nich jest wielu, którzyby mogli bezwątpienia te same obowiązki spełniać sumiennie. Stąd też następuje ogromne przeciążenie u niektórych jednostek tak, że zdarzają się nierzadko ludzie, zasiadający w czterech lub więcej wydziałach stowarzyszeń naukowych. I to jest też do pewnego stopnia przyczyną, tamującą rychlejszy rozwój niektórych instytucyi. Reszta nie robi nic, ażeby ulżyć

przeciążonym w pracy tak, że nieraz trzeba użyć ogromnej forsy, ażeby kogo wprowadzić do zarządu Tow. Poza tym gatunkiem ludzi jest jeszcze inny rodzaj nierobów zawodowych, którzy czysto dla zadowolenia własnej ambicyi opanowują pewne godności, czem przyczyniają się do stagnacyi w pracy ogólnej. Lecz — *nomina sunt odiosa*.... a możeby niektórzy sądząc podług siebie powiedzieli, że załatwiam, puszczając na handel sumienie, rachunki prywatne....

Inne stosunki panują już w Krakowie, gdzie ludzi, chętnych do pracy, nawet nieproduktywnej, n. p. administracyjnej, jest znacznie więcej. Nie dziw więc, że stowarzyszenia krakowskie wykazują grubo większy rozwój od lwowskich. W towarzystwach znowu, istniejących na Śląsku i w Prusiech, rozwój odbywa się powoli i mozolnie. Ale to jest łatwo zrozumiałe i zupełnie usprawiedliwione miejscowymi stosunkami.

Nie wszędzie zresztą i nie często rodzą się ludzie, obdarzeni nie tylko bogatą wiedzą, ale i ogromną energią, nie każda instytucya może się poszczycić Balzerami, Potkańskimi, Tarnowskimi, Ulanowskimi, dzięki którym wiele stowarzyszeń uczyniło wielki krok naprzód, postępując za ich rozumną radą, opartą na długoletnich doświadczeniach, na pracy mozolnej i nawalnej — dla idei samej. I to właśnie jest u nas najboleśniejsze, a zarazem bardzo groźne, że w licznych rzeszach ludzi pracujących naukowo daje się zauważyć przerażający brak pracy dla idei, a nie dla innych celów ubocznych. Ale o tem mówiłem niedawno na innem miejscu!

* * *

Towarzystwo dla popierania nauki polskiej, założone zaledwo przed trzema laty, rozwija się wprost, jak na stosunki galicyjskie, wspaniale. Wprawdzie cyfra 237 członków, jaką Tow. w roku ubiegłym straciło, jest bądź co bądź, bardzo pokaźna i nasuwa szereg poważnych refleksyi na temat charakteru usiłowań naszej inteligencyi, która w zapale swoim dla dobrej sprawy aż nazbyt rychło ostyga, a jednak nie zaważył taki ubytek, przynajmniej na pozór wcale ani w rozwoju ani też w pracach Tow. Podczas gdy bowiem w roku sprawozdawczym 1902 wykaz członków dobiegł do cyfry 1015, to rok ubiegły zakończył się pomimo owego ubytku grubą nadwyżką. Tow. bowiem doszło do niebywałej dotąd w naszych naukowych tow. ilości członków, których liczy obecnie **1150**. Z tej łącznej ilości przypada na członków czynnych-założycieli 143, członków wspierają-

cych dożywotnich 63, członków czynnych zwyczajnych 444 i członków wspierających zwyczajnych 500. — Odpowiednio do wzrastającej liczby członków tudzież zwiększającego się statecznie kapitału zakładowego przedstawia się także stan funduszów Tow. oraz obrót kasowy w r. ubiegłym. Ostatni wynosił 12.647 kor., fundusz zaś zakładowy powiększył się o 7.000 kor., t. j. wynosi obecnie **30.338 kor.** Cyfry te byłyby grubo zwiększone, gdyby Tow. mogło było w ciągu roku ubiegłego podjąć dwie przyznane mu subwencye na rok 1903, a mianowicie Sejmu kraj. 500 kor. oraz Reprezentacyi m. Lwowa w tej samej wysokości. Ponadto Ministerstwo wyznań i oświaty udzieliło Tow. zasiłku w kwocie 1.200 kor. i ona tylko wliczona jest do ogólnego obrotu kasowego.

A i w samym ruchu wydawnictw naukowych widoczny jest znaczny postęp. Bo podczas gdy w latach poprzednich Tow. ograniczyć się musiało z konieczności tylko do wydawania własnych nakładów, rok ubiegły zaznaczył się pierwszem udzieleniem zasiłku na wydanie pracy, ogłoszonej w obcym nakładzie. Pracą tą jest dzieło ks. prof. dr-a Franciszka Gabryla p. t. «Metafizyka ogólna czyli nauka o bycie», któremu użyczono zasiłku w wysokości 400 kor. Własnym nakładem wydało Tow. w roku ubiegłym dwie prace, a mianowicie: rozprawę d-ra Przemysława Dąbkowskiego «O utwierdzeniu umów pod grozą łajania w prawie polskiem średniowiecznem», jako pierwszy zeszyt działu humanistycznego «Archiwum naukowego» oraz pierwszy tom dzieła prof. dr-a Władysława Abrahama p. t. «Powstanie organizacyi kościoła łacińskiego na Rusi».

Co się tyczy programu wydawnictw w roku bieżącym — to jest nadzieja, że przynajmniej zostanie rozpoczęty druk drugiego tomu dzieła prof. Abrahama, oraz drugiego tomu publikacyi prof. dra Bronisława Dembińskiego p. t. «Źródła do drugiego i trzeciego rozbioru Polski». Nadto ma Tow. zapowiedzianych kilka monografii szczegółowych do pomieszczenia w obu działach «Archiwum naukowego». Za najszczęśliwszą jednak, mojem zdaniem, myśl w działaniu na przyszłość uważam wdrożenie pracy przygotowawczej nad wydawnictwem nieogłoszonych dotąd dzieł poetyckich Wacława Potockiego, a w szczególności jego «Ogrodu fraszek», którego podjął się prof. Brückner. Celem przygotowania wydawnictwa musi być przedewszystkiem odpisany bardzo obszerny rękopis «Ogrodu», a następnie porównany z kilku innymi rękopisami, które zawierają niektóre jego uzupełnienia. Na koszta tych prac przy-

gotowawczych uchwalono kredyt do wysokości 500 koron. Każdy, komu wiadomo z ostatnich prac, jak wielkie jest znaczenie Potockiego w historyi literatury naszej XVII wieku, z całego serca przyklaśnie temu przedsięwzięciu. Istotnie trudno było o lepszy wybór zarówno autora, jak nie mniej znakomitego wydawcy.

Ze sprawą wydawnictw wiąże się ściśle podwyżka normy honorarów autorskich za monografie, ogłaszane w «Archiwum naukowem», które będzie odtąd wynosić 80 kor. za arkusz druku, z zastrzeżeniem, że z każdej monografii honorowanych będzie tylko pięć arkuszy druku.

Tow. posunęło też w roku ubiegłym dotychczasową działalność swoją o znaczny krok naprzód, podjąwszy wielkiej doniosłości myśl wdrożenia akcyi celem zakładania bibliotek publicznych w większych miastach prowincyonalnych. «Biblioteki takie istnieją u nas dotąd tylko w obu stołecznych miastach Galicyi i spełniają tu w wydatnej mierze swoje zadania cywilizacyjne i naukowe. W miastach prowincyonalnych, nawet największych, że tu wymienimy dla przykładu Tarnów, Rzeszów, Przemyśl, Tarnopol, Stanisławów, Kołomyję, o 30 i 40 tysiącach mieszkańców, nie ma publicznych księgozbiorów o poważniejszym zakroju. A jednak zbiory takie stanowią istotną potrzebę umysłowego życia i rozwoju owych miejscowości; pośrednio biorąc, są one w wysokim stopniu pożądane do dalszego, cywilizacyjnego postępu całego naszego społeczeństwa. Pomijając już wzgląd, iż korzystanie z bibliotek publicznych wskazane jest nieraz wymogami życia politycznego, stwierdzić należy, iż biblioteki takie są warunkiem utrzymania i rozwoju naukowości w danem miejscu i, co najważniejsza jeszcze, warunkiem podniesienia poziomu umysłowego całych szerokich kół inteligencyi, jaka się w miejscowościach tych gromadzi. Na ogół biorąc, są biblioteki publiczne źródłem i ogniskiem a zarazem rozsadnikiem kultury i cywilizacyi». Mamy wprawdzie parę bibliotek, założonych i utrzymywanych ofiarnością prywatną, jak biblioteka hr. Branickich w Suchej, hr. Tarnowskich w Dzikowie, hr. Potockich w Krzeszowicach i Brzeżanach, Sanguszków w Gumniskach i Cieńskich w Oknie, które pozwalają korzystać z nagromadzonych tam zbiorów uczonym. Ale użyteczność ich jest do pewnego stopnia ograniczona, najpierw dlatego, że zbiory te obejmują przeważnie zabytki literatury dawniejszej, i nie mogą być, z istoty rzeczy, pomnażane w odpowiednim stosunku do rozwoju i rozrostu literatury dzisiejszej; a powtóre dlatego, że znajdują się w mniej-

szych miejscowościach, gdzie poczet inteligencyi, szukającej umysłowego pokarmu w lekturze poważnej, jest stosunkowo nieznaczny, a przez to też koło osób, korzystających z rzeczonych bibliotek, bardzo szczupłe. Ponadto istnieją w miastach, posiadających szkoły średnie, biblioteki profesorskie, złożone z dzieł naukowych. Ależ te muszą przedewszystkiem zwracać uwagę na literaturę pedagogiczno-dydaktyczną lub na pewne szczególne gałęzie wiedzy, w odnośnych zakładach wykładane, są zatem jednostronne i przeważnie bardzo szczupłe, a pozatem dostępne wyłącznie dla grona profesorskiego. O czytelniach, utrzymywanych przez rozmaite kluby towarzyskie, ani wspominać nie warto. Wiadomo dalej, że w każdem większem mieście znajduje się pewna ilość nauczycieli szkół średnich, prawników, lekarzy, techników i t. p., obdarzonych szczerem zamiłowaniem i odpowiedniem przygotowaniem do podejmowania samodzielnych badań w pewnej gałęzi wiedzy ludzkiej. Komu wiadomo, ile to nieraz trzeba nagromadzić dzieł, wcale kosztownych, do napisania jednej pracy naukowej, zrozumie, że niepodobna wymagać, ażeby ten pracownik miał je wszystkie u siebie w swojej podręcznej biblioteczce. To też wielu ludzi, zrażonych trudnościami, zniechęca się do pracy i marnieje bez pożytku w przeważnej części jedynie dlatego, że nie mogli oprzeć się o jakiś poważniejszy zbiór naukowy. Przytoczone powody przemawiają bezwarunkowo za konieczną potrzebą zakładania wielkich księgozbiorów prowincyonalnych. Ponieważ zaś Tow. nie ma na razie odpowiednich funduszów, ażeby mogło przystąpić do założenia choćby jednej takiej biblioteki, przeto postanowiło przedewszystkiem pozyskać odpowiedni materyał, którymby można wyposażać projektowane księgozbiory, wymagające na początek przynajmniej do 20.000 dzieł, ażeby mogły natychmiast spełniać przyjęte na siebie zadanie, chociażby w skromnej mierze. Z końcem tedy ubiegłego roku rozpisało Tow. odezwę z prośbą o dary, na ten cel przeznaczone. Rezultat zaś, jaki w kilku tygodniach osiągnęło, jest wprost zdumiewający; otrzymało bowiem: 45 czasopism i dzienników, a nadto 2558 tomów dzieł, 6 atlasów i map, 21 rycin oraz 22 monet i medali. Nie należy wątpić, iż znana energia i wytrwała praca prof. Balzera, oraz szczęśliwa jego ręka w wykonywaniu zamierzonych planów, doprowadzi ten projekt, niesłychanie ważny dla naszego rozwoju kulturalnego, pomyślnie do urzeczywistnienia. Każdy z nas ma niepotrzebne w domu książki, zabierające dużo miejsca, leżące bez najmniejszego pożytku. Niechaj tedy wspomni o pożytku, jaki one mogą spełnić dla osób drugich,

niech każdy ze swojej strony dorzuci choćby niewielką cegiełkę, a kiedy będą książki, kiedy będzie materyał — to i fundusze na bibliotekę się znajdą niewątpliwie. Kończę słowami czcigodnego prof. Balzera: »Nie ma rodzaju książki czy publikacyi, któraby się do tego zbioru nie przydała: czy publikacye zbiorowe, czy encyklopedye, czy słowniki, zbiory praw lub wykazy statystyczne, również pism czasowych czy dzienników, książki ściśle naukowe lub popularne, podręczniki systematyczne lub monografie, utwory belletrystyczne jakiejkolwiek treści, podręczniki szkolne dawniejsze i nowsze, książki dla młodzieży, sprawozdania z działalności rozmaitych instytucyi, broszury jakiejkolwiek treści, nawet pisma ulotne i t. p., wszystko to, ogłoszone zresztą w jakimkolwiek języku, jest pożądanym nabytkiem każdej biblioteki publicznej i znajdzie w niej stosowne dla siebie miejsce. Że zaś, licząc na dalszą metę, mamy na celu założenie większej ilości bibliotek, więc o ile to jest rzeczą możliwą, dary większej ilości egzemplarzy tego samego dzieła, byłyby ze wszech miar pożądane«. Z naszej strony niechaj będzie wolno wyrazić, obok dobrze zasłużonego uznania za dotychczasową owocną pracę, także życzenia dalszego, jak najpiękniejszego rozkwitu, a przedewszystkiem jak najrychlejszego urzeczywistnienia myśli o bibliotekach prowincyonalnych! Urzeczywistnienie jej będzie ogromną wprost nieocenioną zasługą wobec społeczeństwa i projektodawcy prof. Balzera i wykonawcy Tow. [1]

Działalność *Kasy Pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. dra J. Mianowskiego* nie była w roku ubiegłym mniej wydatną, niźli w latach ubiegłych. Jedyne to źródło pomocy pieniężnej dla wszelkiego rodzaju przedsięwzięć naukowych, z góry obliczonych i przygotowanych na niechybną stratę wyłożonego kapitału, udzielało swoich zasobów hojnie na przeróżne cele. Łatwo to było uczynić przy 942 członkach, którzy wpłacili razem poważną sumę niemal 50.000 rubli, choć z żalem należy skonstatować, że sami nie-Polacy składali opłatę przewyższającą minimum rocznej wkładki. W stosunku do ogółu rozchodów — wydatki administracyjne pochłonęły bardzo małą część zasobów finansowych, bo tylko niespełna 3.000 rb. Oszczędność taka

[1] Czuję się w obowiązku zaznaczyć, że pisząc niniejszy artykuł musiałem niejednokrotnie z konieczności żywcem przenieść do niego niektóre ważniejsze ustępy ze sprawozdań omawianych stowarzyszeń.

i liczenie się z groszem publicznym zasługuje w naszych przynajmniej stosunkach na szczególniejszą pochwałę.

Podań o zapomogi i pożyczki na cele i badania naukowe złożono w roku ubiegłym 46, z czego uwzględniono w części lub całości 40, odpowiedzi zaś odmownej udzielono na 6 podań. Między innymi przyznano: p. Czesławowi Bagieńskiemu pożyczkę 200 rb. na studya filologiczne; p. Maksymilianowi Baruchowi rb. 200 na studya archiwalne; p. Tytusowi Benniemu 400 rb. na studya filologiczne; p. Janowi Bieleckiemu 400 rb. na studya chemiczne: p. E. Bogusławskiemu rb. 600 na opracowanie III-go tomu »Historyi Słowian«; p. Stan. Czarnowskiemu 150 rb. na badania archeologiczne; p. K. Drzewieckiemu 600 rb. na prace filologiczne; p. Michałowi Federowskiemu 750 rb. na badania etnograficzne; p. Henrykowi Gallemu rb. 500 na przygotowanie podręcznika stylistyki i literatury polskiej; p. W. Gostomskiemu rb. 500 na prace historyczno-literackie; p. Ludwikowi Krzywickiemu rb. 250 na badania archeologiczne; p. A. Langemu rb. 600 na studya nad pismami Drużbackiej; p. Janowi Lorentowiczowi rb. 200 na studya literackie; p. Izie Moszczeńskiej-Rzepeckiej rb. 300 na studya nad psychologią dziecka; p. T. Sierzputowskiemu rb. 600 na studya nad historyą literatury; p. Wł. Szumowskiemu rb. 300 na studya nad historyą medycyny; p. Kazimierzowi Wachowskiemu rb. 500 na studya historyczne; p. M. Wawrzenieckiemu rb. 180 na poszukiwania archeologiczne w dolinie rzeki Radomki.

Podań o zapomogi i pożyczki na wydawnictwa złożono w roku ubiegłym 51, z której to liczby uwzględniono tylko 27. Przyznano więc między innymi: rb. 500 p. Szymonowi Askenazemu na sporządzenie odpisów w archiwach krajowych dokumentów, dotyczących księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego; tłomaczom Kantowskiej »Krytyki czystego rozumu» dano 1250 rb.; pp. A. Heflichowi i St. Michalskiemu rb. 500 na wydanie II-go tomu dzieła p. t. »Świat i człowiek«; p. A. Krausharowi rb. 500 na pokrycie części kosztów wydania tomu V-go dzieła »Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk«; prof. T. Wierzbowskiemu rb. 225 na dokończenie druku tomu II-go »Materyałów do dziejów piśmiennictwa polskiego«; temuż samemu rb. 1200 na wydanie »Inwentarza metryki koronnej«; p. Michałowi Witanowskiemu rb. 450 na wydanie pracy p. t. »Kłodawa i jej okolice«.

Ponadto udzieliła Kasa zapomóg na drukowanie następujących

czasopism i wydawnictw peryodycznych: kwartalnika »Ekonomisty« rb. 500, tygodnika »Przeglądu pedagogicznego« rb. 500, »Chemika polskiego« rb. 1000, miesięcznika etnograficznego »Wisła« rb. 600, »Encyklopedyi wychowawczej« rb. 1250; »Przeglądu filozoficznego« rb. 1000, »Biblioteki zapomnianych poetów i prozaików polskich« rb. 100, i »Pamiętnika fizyograficznego« rb. 1200.

Pośród zapomóg rozdanych z funduszów specyalnych na uwagę zasługują: rb. 400 na prace z zakresu historyi medycyny p. Józefowi Bielińskiemu, oraz 600 rb. p. Józefie Joteyko.

Nagrody otrzymali: z funduszu im. Pawińskiego dr Adam Szelągowski, za dzieło p. t. »Pieniądz i przewrót cen w Polsce w XVI i XVII wieku«, ś. p. prof. Chmielowski za dzieło p. t. »Dzieje krytyki literackiej w Polsce«, z zapisu Z. Pileckiego.

Ogół wypłat wynosił 42.149 rb., t. j. sumę bardzo pokaźną, z pomocą której można wiele zdziałać. Czy odpowiadają rezultaty prac przedsięwziętych przy tak znakomitem poparciu wartości wyłożonego na nie kapitału? Z przykrością przychodzi mi wyznać, że dodatniego skutku nie dopatrzyłem się, takiego, jaki byłby pożądany. Większa ruchliwość, połączona z mniejszemi zapomogami, byłaby, mojem zdaniem, wskazaną. Zamiast robić powtórne wydania dzieł, które swojem rozejściem się dają rękojmię dobrego zbytu, należałoby popierać wydawnictwa walczące z niedostatkiem, n. p. »Wisłę«, która jedynie z braku funduszów nie może rozwijać się należycie. Uprzedzenie do pewnych gałęzi wiedzy widoczne jest z niniejszego sprawozdania. To też dla dobra samej nauki trzebaby na przyszłość pilnie baczyć na to, iżby pewne działy wiedzy nie były krzywdzone kosztem rozrostu innych gałęzi nauki. Na to powinna Kasa tem więcej zważać, że jest jedyną w całem Królestwie instytucyą, o którą opiera się cały ruch naukowy tej dzielnicy. A przecież takiemi zasobami materyalnymi, jakie ma w swojem posiadaniu Kasa Mianowskiego (429.000) nie może się żadna inna polska instytucya naukowa poszczycić. Oby i siła finansowa wzmagała się statecznie i wyniki prac, przedsiębranych staraniem Kasy były z każdym rokiem owocniejsze!

Działalność *Akademii Umiejętności* była, jeśli się weźmie pod uwagę szczupłość środków, jakiemi ona rozporządzała, nadspodziewanie wydatna. W porównaniu z innemi akademiami, które rozporządzały nieporównanie większymi zasobami materyalnymi, plon zeszłorocznych prac jej jest tak doniosły, że przynosi prawdziwy zaszczyt kierownictwu tej najwyższej polskiej instytucyi naukowej. Nawet pod

względem zewnętrznej strony wydawnictw nie tylko nasza Akademia nie ustępowała w niczem takimże obcym instytucyom, lecz niektóre z nich przewyższała znakomitem wyzyskaniem najnowszych udoskonaleń technicznych.

Wydział filologiczny wydał dwa tomy »Rozpraw«, oraz zeszyt drugi tomu poświęconego dla prac z zakresu historyi sztuki, a nadto druk dwu dalszych tomów prowadził skutecznie. Prócz tego wydano III-ci tom »Słownika gwar polskich« ś. p. d-ra Jana Karłowicza i XIX-ty tom »Bibliografii polskiej« Estreichera. Na tom XX-ty tego pierwszorzędnej wagi dla nauki polskiej wydawnictwa odbito w minionym roku 26 arkuszy.

Z pomiędzy prac przedłożonych na posiedzeniach, na uwagę szerszego ogółu zasługują: prof. J. Baudouina de Courtenay »Próba uzasadnienia samoistności zjawisk psychicznych na podstawie faktów językowych«, L. Puszeta »Studya nad polskiem budownictwem. Chata«, d-ra K. Hecka i A. Chmiela »W sprawie najstarszego tekstu Bogarodzicy«, prof. J. Tretiaka »Ze studyów nad Słowackim«, dalszy ciąg wydanego przed rokiem dzieła, które wywołało tyle hałasu w prasie zawodowej, St. Schneidra »O poglądach G. E. Grodka na filologię klasyczną«, prof. A. Brücknera część II-ga »Apokryfów średniowiecznych«.

Komisya historyi sztuki wydała jeden zeszyt swoich »Sprawozdań«, na posiedzeniach zaś swoich omówiła cały szereg zabytków dawnej naszej kultury.

Komisya językowa wydawała w dalszym ciągu »Prace i materyały«, zawierające przeważnie rzeczy gwaroznawcze, a nadto pracowała nad »Słownikiem staropolskim«, pod kierunkiem prof. J. Łosia. Dotychczas zgromadzony materyał słownikarski obejmuje 60.000 kartek, zupełnie gotowych do druku.

Komisya do badań w zakresie historyi literatury i oświaty w Polsce, miała przedewszystkiem na oku zamierzoną i częściowo przyprowadzoną już do skutku inwentaryzacyę zabytków rękopiśmiennych. W tym celu p. J. Czubek przeglądnął i wynotował ogółem 1151 rękopisów biblioteki uniwersyteckiej, Krasińskich i Zamojskich w Warszawie, a we Lwowie zbadał nieogłoszone dotąd rękopisy biblioteki Baworowskich, Ossolińskich, Pawlikowskich, Poturzyckiej i uniwersyteckiej. Równocześnie w XI-tym tomie »Archiwum« rozpoczęto drukować d-ra J. Korzeniowskiego dokładny opis 255 zabytków polskich cesarskiej biblioteki w Petersburgu. Tom XII-ty przeznaczono wyłą-

cznie na prace pozostające w związku z jubileuszem Reja, tom XIII-ty na prace inne, między któremi znajdują się Pamiętniki ks. Jundziłła i Kołłątajowska wizytacya uniwersytetu jagiellońskiego z roku 1777. Biblioteka pisarzów polskich ruszała się bardzo żywo, jak dawno już nie.

Wydział historyczno - filozoficzny ogłosił oprócz dwu tomów »Rozpraw« dwa obszerne dzieła, a mianowicie St. Ciszewskiego studyum etnologiczne »Ognisko« i d-ra Fr. Papeégo tom I-szy pracy »Polska i Litwa na przełomie wieków średnich«. Poza temi wydawnictwami rozpoczęto druk »Szkiców z XI-go wieku« prof. T. Wojciechowskiego i uchwalono wydać osobną monografię o Słowackim pióra prof. Tretiaka.

Prace, odczytywane na posiedzeniach, tyczą się wyłącznie polskiej historyi. Ponadto przedkładano rozprawy, traktujące o kwestyach ekonomicznych i społecznych, o prawie polskiem i dziejach kościoła katolickiego w Galicyi. »Bibliografii historyi polskiej«, wydawanej przez niestrudzonego prof. L. Finkla, ukazał się zeszyt przedostatni, tak że można się spodziewać w roku przyszłym ukończenia tego ważnego wydawnictwa.

Komisya historyczna drukowała dalszy ciąg »Kodeksu dyplomatycznego Małopolskiego«, wydawanego przez prof. Piekosińskiego i »Dyaryusz Stanisława Oświęcima«, przygotowany przez prof. W. Czermaka. Wydrukowano też »Dyaryusze sejmowe z r. 1597«, zebrane przez d-ra E. Barwińskiego. Przygotowujący wydawnictwo Orzelskiego »Ksiąg i bezkrólewiach« p. W. Nowodworski, skolacyonował już większą ich połowę, tak że druk ich wnet będzie można rozpocząć. Prof. Krzyżanowski gromadził w dalszym ciągu materyały do zamierzonego »Albumu paleograficznego«. Nakoniec wielkiej, na kilka tomów obliczonej publikacyi »Archiwum Jana Zamojskiego«, wydawanej pod kierunkiem d-ra W. Sobieskiego, ukazała się część pierwsza, obejmująca listy i akta z lat najwcześniejszych, 1553—1579. Poszukiwania t. zw. ekspedycyi rzymskiej postępowały normalnie.

Komisya prawnicza drukowała w dalszym ciągu »Materyały do historyi włościan w Polsce«, pod kierunkiem prof. Piekosińskiego. Materyał do wydawnictwa »Zbioru pomników ustawodawstwa polskiego« został już zgromadzony i uporządkowany. Kieruje niem prof. Balzer.

Wydział matematyczno-przyrodniczy wydał dwa tomy »Rozpraw«. Jego Komisya fizyograficzna ogłosiła tom »Sprawozdań oraz dwa

dalsze zeszyty »Atlasu geologicznego Galicyi«. Równie dzielnie pracowały sekcye: meteorologiczna, zoologiczna, botaniczna, geologiczna i rolnicza.

Z prac Komisyi antropologicznej trzeba zaznaczyć wspaniałe wydawnictwo »Ubiorów ludu polskiego«, którego ukazał się zeszyt pierwszy. Ponadto przygotowano do druku zupełnie parę tek po ś. p. Oskarze Kolbergu, a mianowicie: »Wołyń« (opr. St. Fischer), »Ruś Czerwona« (?) (opr. W. Grzegorzewicz), »Śląsk« (opr. S. Udziela) i »Pokucie« (opr. St. Zdziarski). Biblioteka Akademii liczy obecnie 31.922 tomów. Zbiór rękopisów dochodzi liczby 1500.

Stacya naukowa Akademii w Paryżu fungowała lepiej, niźli za lat ubiegłych, starając się zaspokajać potrzeby naukowe miejscowej kolonii polskiej i ułatwiając stosunki między uczonymi krajowymi i zagranicznymi. Nabytki jednakże nowych dzieł do księgozbioru napływały bardzo słabo. W ogólności bowiem przybyło zaledwie 437 nowych dzieł.

Dziwne ma o Akademii krakowskiej wyobrażenie nasz inteligentny ogół. Powszechnie uważa się Akademię, jako instytucyę zasobną w środki materyalne, odpowiadające najzupełniej wymogom. Otóż tak nie jest. Zasiłki rządowe i krajowe, jakie pobiera Akademia krakowska stoją w odwrotnym stosunku do zadań, które ona powinna i chce spełniać. Oto »Ubiory ludu polskiego« nie mogą wychodzić raźniej, bo nie ma na to funduszów. Sił i chęci do pracy jest pomiędzy osobami należącemi do Akademii dosyć. Tak samo dość mamy niezałatwionych kwestyi, domagających się słusznie rychłego rozwiązania. Brak tylko pieniędzy, o który rozbija się wiele przedsięwzięć, częstokroć nawet bardzo ważnych i niecierpiących zwłoki. Jeśli mamy w zupełności odpowiedzieć zadaniu, jakie na najwyższą naszą instytucyę naukową włożył nieustanny rozrost i rozwój badań, konieczne jest silniejsze, niźli dotąd poparcie materyalne naszego społeczeństwa, które porównawszy roczny budżet Akademii z innemi Akademiami, przekonałoby się, ile nam brakuje, ażeby iść z prądem nauki, ażeby ludziom dobrej woli obdarzonym poczuciem obowiązku, przychodzić z pomocą materyalną, iżby owoce ich badań nie czekały latami na ogłoszenie. Za to zaś, co Akademia przy tak skąpych zasobach zdołała zdziałać, należy się jej nie tylko podziw, ale i cześć prawdziwa.

Jedyna polska instytucya naukowa o charakterze ogólnym w państwie pruskiem, *Towarzystwo Przyjaciół Nauk* w Poznaniu, nie rozwijało się tak, jakby sobie tego życzyć należało. Przyczyną najwa-

żniejszą powolnej pracy w tem stowarzyszeniu, był brak niemal całkowity sił odpowiednio przygotowanych do pracy naukowej w polskich prowincyach zaboru pruskiego. Wszystko, co zdolniejsze wyemigrowało w inne strony. Stąd też cała działalność Tow. była bardzo ograniczona, na zewnątrz zaś niemal nie wywierała żadnego wływu. Smutne te okoliczności, w jakich musiało Tow. poznańskie pracować były tedy, jak widzimy, zupełnie od niego niezależne. Ludzi, uprawiających zawodowo w Poznańskiem naukę, można bez trudu policzy, na palcach.

Stosunkowo najwydatniej pracowano na wydziale przyrodniczo-lekarskim, którego organem niejako były »Nowiny lekarskie«, miesięcznik czysto sprawozdawczy, ale mimo to bardzo potrzebny i użyteczny.

Również i wydział historyczno-literacki działał, jak mógł przeważnie dzięki energii swego przewodniczącego d-ra B. Erzepkiego. Temu też tylko pracownikowi winno zawdzięczać Tow. nieustanny wzrost księgozbioru oraz okazów muzealnych. Szkoda tylko, że zbiory te nie przynoszą nauce polskiej odpowiedniego do swej wartości pożytku. Ale i to, co już zebrano, jakkolwiek na razie bez widocznej korzyści, trzeba policzyć za zasługę poznańskiemu Tow., bo przecież nie można powątpiewać o plonach, jakie stąd kiedyś wynikną.

Oprócz wspomnianych »Nowin« wychodzi nakładem Tow. co roku jeden tom, zawierający rozprawy naukowe, tyczące się przeważnie W. Ks. Poznańskiego, p. n. »Rocznik«. Szkoda tylko, że wydawnictwo to opóźnia się z roku na rok. Bo podczas gdy lat temu trzy wychodził »Rocznik« już w marcu, to dotąd w r. bieżącym nie mamy go jeszcze.

Oceniając ogólnie działalność Tow. poznańskiego nie podobna nie przyznać mu, że pracuje gorliwie, choć z powodu lokalnych stosunków niezbyt szczęśliwie.

Drugie nasze kresowe, również w Prusiech działające, *Towarzystwo naukowe* w Toruniu biedzi się, jak może, w swojem fatalnem położeniu. Bo istotnie nie można sobie wyobrazić nawet gorszych warunków, tak niesprzyjających jakiemukolwiek rozwojowi, od tych, w jakich musi działać Tow. toruńskie. Przedewszystkiem więc stosunki miejscowe są wprost rozpaczliwe: piszącej a choćby tylko zajmującej się naukami inteligencyi polskiej jest w Prusiech bardzo mało, a z nielicznych już, — (bo prawie wszyscy zostali przeniesieni do czysto niemieckich prowincyi) — profesorów gimnazyal-

nych, dzięki zakazom hakatystycznym, żaden nie może do Tow. przystąpić. To też, jeśli Tow. nie tylko istnieje, ale i pracuje wydatnie, to jest ogromną zasługą i czynem prawdziwie obywatelskim kilku energicznych jednostek, a przedewszystkiem zasłużonego proboszcza z Grzybna ks. Kujota. Dzięki ich zapobiegliwości i pracy odnowione w r. 1897 Tow. żyje, rusza się, działa, — skupiwszy wokoło siebie 420 członków. Obok *Rocznika* zawierającego naukowe rozprawy z rozmaitych gałęzi wiedzy, tyczące się zawsze Prus królewskich lub książęcych, wydaje Tow. źródła historyczne *Fontes,* których wyszedł w r. ubiegłym tom VII. Zawierają one początek bardzo dokładnych i wyczerpujących wizytacyi biskupstwa chełmińskiego i pomorskiego, dokonanych przez ks. kanonika Strzesza między rokiem 1667 a 1672, za biskupa Olszowskiego. Ciąg dalszy ich, — o ile mi wiadomo — wystarczy jeszcze na zapełnienie trzech tomów. Znaczenie zaś tych wizytacyi jest wielkie, z pewnością takie samo, jak Łaskiego *Liber beneficiorum*, wydany przez ks. prof. d-ra Czaplę z Pelplina — dla archidyecezyi gnieźnieńskiej. Że prace Tow. toruńskiego grupują się przedewszystkiem i przeważnie około historyi — nic w tem dziwnego. Kto tylko zna warunki rozwoju Tow., zrozumie, że kierunek badań Tow. musi być właśnie taki, nie inny. Zresztą jest on bardzo pożyteczny wobec szczupłości źródeł do dziejów kościelnych Prus. Wobec takich, niewątpliwych zasług Tow. zasługuje na gorące poparcie, zwłaszcza ludzi poświęcających się zawodowo nauce. Niechaj każdy z nas pamięta, że przyjść z pomocą — nadsyłaniem prac dla *Rocznika* — tym ludziom, pełnym zapału, a tak opuszczonym i zapomnianym, których zdaliśmy na własną jedynie pracę, a którzy do niej mają jak najmniej sposobności, jest naszym obowiązkiem. A chyba niejeden znajdzie w swojej tece coś, co odnosi się do Prus właśnie.

(C. d. n.).

Dr St. Zdziarski.

Ze świata techniki.

Kolej syberyjska.

Po smutnych doświadczeniach w wojnie tureckiej, rosyjski zarząd wojskowy zabrał się pilnie do udoskonalenia kolei polowych, organizując na wzór Prus i Austryi specyalne pułki kolejowe, równo-

cześnie znacznie rozszerzając sieć dróg żelaznych, przeważnie ściśle strategicznych. Dyplomacya rosyjska, zaniepokojona silnym wzrostem Japonii, przewidywała, dla zabezpieczenia swych terytoryów na Dalekim Wschodzie, konieczność bezpośredniego połączenia Rosyi europejskiej z Oceanem Spokojnym linią kolejową, którąby w pierwszym rzędzie oddawała usługi wojskowości. W tym czasie, genialny twórca projektu sieci południowo-wschodnich dróg żelaznych, generał Anjenkow opracował projekt drogi żelaznej, łączącej Moskwę z Władywostokiem; — jednak wypadki finansowe oziębiły nieco zapał sfer decydujących do wykonania tego olbrzymiego dzieła, lękając się kosztów nieproporcyonalnie wielkich w porównaniu do spodziewanych korzyści, uważając przytem cały plan za pewien rodzaj brawury. Lecz przed kilkunastu laty postanowiono bezwarunkowo przystąpić do budowy — bez względu na koszta, zatrzymując w większej części projekt Anjenkowa.

Pierwotnie kolej syberyjska miała łączyć Moskwę z Władywostokiem, lecz już wczasie budowy, po zajęciu Mandżuryi, zmieniono projekt końcowy, wykonując zamiast linii Nadamurskiej kolej W s c h o d n i o - c h i ń s k ą do Władywostoku i portu Artura.

Obecnie wykonana droga syberyjska dzieli się pod względem administracyjnym na dwie części: linia państwowa, z Moskwy do Mandżuryi o długości 7.100 km. własność rządu rosyjskiego, i sieć dróg żelaznych wschodnio-chińskich, o długości 2.600 km. z odgałęzieniami, będąca przedsiębiorstwem prywatnem, a zbudowana jedynie dla celów wojskowych kosztem 253 milionów rubli, na rachunek banku rosyjsko-chińskiego; — linia ta pozostaje pod ścisłym nadzorem rosyjskim i eksploatowaną jest wyłącznie przez Rosyan.

Ponieważ port Władywostocki jest przez większą część roku zamknięty lodami, zaś port Artura jest wyłącznie portem wojennym, założono dla celów handlowych nowy port Dalnij, — i zakładając nowe miasto, zbudowano olbrzymie urządzenia portowe kosztem 20 milionów rubli.

Odległość Dalnego i portu Artura od Moskwy wynosi 8.700 km., przenosi więc sześciokrotnie odległość z Wiednia do Paryża.

W czternastodniowej podróży nie brak urozmaicenia; pociąg całymi dniami przebiega rozległe płaszczyzny, pustki i moczary, to znów pnie się w licznych serpentynach po górach, wśród często niezwykle malowniczych widoków dzikiej natury; — trasa przekracza rozległe dorzecza, przecina liczne działy wód, szczególnie Ural, Jabłony i Chin-

gan. Ural przekracza trasa przed Czeljabińskiem, który politycznie należy do Rosyi europejskiej, mimo, że leży już na wschodnim stoku Uralu, — za Irkuckiem napotyka poważną przeszkodę, jezioro Bajkał; tutaj kończy się ciągłość drogi i aż do ukończenia linii obwodowej, przewóz odbywa się na parostatkac , specyalnie zbudowanych do przewożenia pociągów. Te tak zwane statki kolejowe[1], o długości 171 m. szerokości 81 m, mają na pokładzie 3 tory dla pomieszczenia 2 lokomotyw i 20 wozów, a niektóre mają przód specyalnie opancerzony dla wybijania zimą toru w skorupie lodowej.

Linia zabajkalska jest koleją górską, prowadzoną w terenie niezwykle trudnym; spadki 25—30‰ (25—30 metrów wzniesienia na kilometr poziomej długości) ciągną się po kilkaset metrów, a w licznych łukach promień krzywizny spada do 230 m. Drugą trudność sprawia przekroczenie gór Chingan; trasa rozwijając się w ciągłych łukach zwrotnych wznosi się w spadku 50‰ (dla kolei adhezyjnych normalnotorowych w ostatecznym razie dochodzi się do 40‰) do działu wód na przełęczy Bariim, poczem spada równie silnie, całym szeregiem serpentyn po wschodnim stoku.

Pociągi wojskowe z dwudziestu wagonów dzieli się na trzy, czasem i cztery części i przeprowadza przez grzbiet przy użyciu dwóch lokomotyw pociągowych i trzeciej popychającej, a najmniejsza nieuwaga lub wypadek, może sprowadzić nieobliczalną w skutkach katastrofę. Przyczynia się do tego bardzo prymitywne ułożenie nawierzchni, — surowe kloce z drzewa miękkiego, obrobione z grubsza, ułożono jako progi na piasku lub drobnym żwirze, więc po przejeździe każdego pociągu tor się odkształca, a wykolejenia są zjawiskiem codziennem.

W licznych objektach przeważa konstrukcya żelazna, choć nie brak i drewnianych, przeważnie o charakterze tymczasowym. Z większych zasługują na uwagę mosty: na Wołdze pod Samarą 1415 m. długości o 13 przęsłach po 105 m., na Obie o 7 przęsłach po 110 m. na Jenisseju o 6 przęsłach po 145 m. i 2 po 21 m., wreszcie na Sungarze o 950 m. długości, są to mosty żelazne, o konstrukcyi kształtu trapezowego.

Linia syberyjska prowadzi z Moskwy przez Tułę, Morszczańsk, Samarę, Kinel z odnogą do Orenburga, i Czeljabińsk z odnogą do Jekaterynburga i Tjumenu, — jest to zachodnia część drogi syberyj-

[1] zwane także trajektorami.

skiej, o długości 2148 km. Na linii środkowo-syberyjskiej, Czeljabińsk-Irkuck 3300 km. długości przychodzi Omsk, Tajga z odnogą do Tomska, Irkuck i przystań Bajkał, na linii zabajkalskiej Missowaja, Czyta i Mandżurya, wreszcie na linii wschodnio-chińskiej Charbin z odgałęzieniem do Władywostoku i Chabarowska, Mukden, Dalnij i Port Artur. Odległości stacyi wahają się między 15—30 km. na liniach zachodnich, na liniach zabajkalskich między 30—40 km., a często i więcej. Urządzenia stacyjne jak ładownie, magazyny, obrotnice i tory boczne ograniczono do minimum; nie ma również domków strażniczych, ani rogatek na przejazdach, — za to droga jest pilnie strzeżoną przez wojsko i mniej więcej co 4 kilometry pobudowano dla ochrony kolei baraki wojskowe.

Budynki stacyjne wykonano przeważnie z drzewa, o ścianach wieńcowych, jedynie większe budowle z muru pruskiego, lub wprost z kamienia; dworce są wcale efektowne, a na drodze mandżurskiej wyłącznie w stylu chińskim.

Przestrzeń z Czeljabińska do Krasnojarska z uwagi na wykonanie robi wrażenie linii mniejwięcej europejskiej, — zaś od Krasnojarska czysto azyatyckiej; — i tak przestrzeń Sizran Krasnojarsk 3320 kilometrów, wykonano w jedenastu latach, zaś Krasnojarsk-Władywostok-Port Artur o długości 4300 kilometrów w czterech latach i oddano do użytku w stanie pozostawiającym wiele do życzenia, — a właśnie tu prowadzenie transportów wojskowych natrafia na nieprzezwyciężone trudności. Droga nadbajkałska ma być ukończoną dopiero w roku przyszłym, a obecnie najwięcej kłopotów sprawia administracyi wojskowej przeprawa przez 60 km, szeroki, niezwykle dziki Bajkał, szczególnie z powodu nader niekorzystnych warunków klimatycznych i częstych wybuchów wulkanów podwodnych.

W lutym b. r. rosyjski minister komunikacyi książe Chilkow, powziął i jak wiadomo w czyn wprowadził śmiałą myśl przeprowadzenia toru kolejowego po lodzie, którego grubość przenosi pięć stóp; — tor wyprowadzono ze stacyi Bajkał łukiem wzdłuż brzegu zachodniego do stacyi Tauchaj. Równocześnie odbywało się forsowne transportowanie wojska po lodzie, a wzdłuż traktu założono osobną linię telegraficzną, dla zawiadomiania o groźnych pękaniach lodu [1]. Aby mieć

[1] Są to skutki burz podwodnych wulkanicznych. Nad miejscem wybuchu lód pod wpływem ciśnień udarowych poczyna drżeć, wreszcie pęka, ze szczeliny szerokiej na kilkanaście metrów, a długiej często nad wiorstę

pojęcie o ruchu przewozowym, wystarczy nadmienić, że w pierwszych miesiącach transportowania wojska i przy zakładaniu toru kolejowego przez lód, pracowało dziennie w zaprzęgach przeszło 2000 koni, a ruch odbywał się także nocą, przy oświetleniu elektrycznem.

Myśl, o ile nie tyczy się prowadzenia przez lód kolei żelaznej, nie nowa. Wiadomo że król szwedzki Karol Gustaw w zimie 1658 r. przeprowadził całą swą armię przez zamarznięty Bełt.

Á propos kolei syberyjskiej spotkać się można bardzo często z uwagami bardzo pessymistycznemi, a krytyką bardzo ujemną — lecz często bez racyi, a krytykę czynimy zależną od osobistej niechęci do autora. Braki w budowie, znaczne koszta i niewykończenie linii nadbajkalskiej — to wypadki, trafiające się zawsze i wszędzie, lecz dokonano dzieła z pokonaniem trudności, o jakich początkowo pojęcia nie miano, a należy pamiętać, że budowę rozłożoną na 32 lat, ukończono w 15 latach, otwierając bezpośrednie połączenie z Oceanem Spokojnym.

Obecnie budująca się linia kolei nadbajkałskiej należy po linii Lima Oroya (przez Andy), budowanej przez Polaka Malinowskiego, do najtrudniejszych jakie kiedykolwiek budowano. Tor kolei prowadzi przeważnie w skale, występującej pionowo z jeziora, w wykutych galeryach i luźnych tunelach, a wszystkie roboty górnicze wykonuje się na szerokość dwóch torów; tem też tłumaczą się koszta budowy tej drogi, obliczone na 53,630.000 rubli, olbrzymie wobec długości 260 kilometrów.

Długość wszystkich dróg sieci syberyjskiej wynosi 9640 km.; koszta, w czem mieszczą się wydatki uboczne jak uspławnienia rzek i założenie portów we Władywostoku i Dalnym, wynoszą 940 m i l i o n ó w rubli, a koszta budowy na wiorstę, wzrastały w sposób dość rażący w miarę odległości ku wschodowi — i tak kolej zachodnio syberyjska 38.500 rubli za wiorstę, kolej środkowo syberyjska 59.200 rubli, zabajkalska 82.000 rubli zaś wschodnio chińska 126.000 rubli. To też dało powód dziennikom rosyjskim do wielu złośliwych uwag, a *Nowoje Wremia* zauważyła, że szczęście iż kolej kończy się przy

---

wystrzela w górę słup wody; — po kilkunastu sekundach wszystko się ucisza, tylko wzdłuż szczeliny pozostają obustronne wysokie zwały lodu. Burze te zatapiają całe karawany napotkane, a głębokość jeziora w profilu przejazdu przenosi 1000 metrów.

Port Arturze, — gdyż gdyby azyatycki kontynent rozciągał się dalej na wschód, wzrost kosztów doszedłby do bajecznych cyfr.

Droga syberyjska przecina okolice bardzo bogate, gdzie kwitnie silnie rozwinięta uprawa zboża, szczególnie pszenicy i chów bydła, w niezwykle sprzyjających warunkach. Pszenica syberyjska już w zeszłym roku na rynkach świata konkurowała silnie z pszenicą amerykańską (Stany Zjednoczone i Kanada), a o produkcyi masła wystarczy nadmienić, że w zeszłym roku w miesiącach letnich tygodniowo wywożono do 30,000 wiader z okolic Omska. W zachodniej Syberyi wypada na 160 mieszkańców 70 sztuk bydła rogatego, a 85 koni na 100 mieszkańców, kraj więc wcale nie biedny, przy takiej obfitości płodów surowych, biedni zato agraryusze europejscy, mając z jednej strony konkurencyę Ameryki, z drugiej Syberyi.

Lecz nie są to cele drogi syberyjskiej; głównie ma do spełnienia wielkie zadania strategiczne — czy odpowiada im w zupełności, nie naszą rzeczą. Jednak z uwagi na olbrzymie ofiary jakie poniósł rząd rosyjski przy pomocy kapitałów francuskich i angielskich dla budowy kolei syberyjskiej i wschodnio chińskiej, z których linia z Czeljabińska do granicy Mandżuryi, uważana za pierwszorzędną pochłonęła 530 milionów rubli, zaś towarzystwo kolei wschodnio-chińskiej otrzymało pożyczkę 351 milionów rubli, o której zwrocie nie ma co marzyć, należy przyznać słuszność oczekiwaniom pewnych korzyści z tego miliardowego przedsiębiorstwa. Dopiero przyszłe pokolenia będą w możności ocenić o ile włożone fundusze i trudy wydadzą pożądane owoce.

Alfred Konopka.

Druk ukończono 30 czerwca 1904 r.

Z NAUKI O DOBROBYCIE SPOŁECZEŃSTW.

I. Rozwój gospodarczy.

Historya stosunków gospodarczych w różnych epokach, zarówno jak pogląd na równoczesny stan gospodarczy w różnych krajach, stwierdzają, że stan ten nie jest równym, lecz różnym, ulega zmianom w miejscu i czasie, może być złym lub dobrym, poprawiać się lub pogarszać. Różnice stosunków gospodarczych występują pod bardzo wielu względami, tak co do zakresu i sposobu produkcyi poszczególnych gospodarstw, jak ich wzajemnych związków, oraz ogólnej organizacyi, tak co do stopnia gospodarczego rozwoju, sumy zyskiwanych dóbr, jak materyalnego położenia wszystkich, a zwłaszcza szerokich warstw, stanu potrzeb i sposobu ich zaspakajania. A chcąc dać jasny obraz syntezy rozwoju ustawiali historycy ekonomii pewne typowe fazy, biorąc za podstawę podziału bądź to produkcyę, bądź wzajemny stosunek gospodarstw, bądź organizacyę. Z pierwszego punktu widzenia rozróżnia się fazę okupacyi i fazę produkcyi; w pierwszej z nich główna czynność gospodarcza polegała na zbieraniu i użyciu darów przyrody, a jedynie celem ułatwienia okupacyi podejmowano czynności produkcyjne, jakoto przygotowanie narzędzi do zawłaszczenia. Bezpośrednia zależność bytu od hojności darów przyrody czyniła byt ludzi niepewnym, przypadkowym, nie dozwalała ani na trwałe zajęcie stałych siedzib, ani na większe lokalnie nagromadzenie się ludzi. Łowieckie, rybackie, pasterskie ludy istnieją

w tych warunkach. Postępem doniosłym było podjęcie produkcyi, przedewszystkiem roślinnej, z czem łączy się zajęcie stałych siedzib, wytwarza się pojęcie ojczyzny, rozpoczyna historya narodu. Byt nie zależy już od przypadkowego daru przyrody, ale ludzie rozpoczynają pracą zniewalać przyrodę do dawania darów pożądanych, plewią chwasty, karczują lasy, sieją zboże. Pierwotnie musi tu każde gospodarstwo wytworzyć dla siebie wszystko, co potrzebuje, a więc i narzędzia pracy i odzież i schronienie i pożywienie; stopniowo wyłaniają się osobne zawody gospodarcze i niegospodarcze, a gospodarcze dzielą się na szereg gałęzi, obok rolnictwa powstają rękodzieła, górnictwo, hutnictwo, przemysł, handel, przedsiębiorstwa transportowe. Społeczny ten podział pracy, specyalizacya produkcyi, postępują coraz dalej, zwłaszcza przemysł dochodzi do tego, że pewne przedsiębiorstwa obejmują tylko część produkcyi, jeden akt procesu przerobu, n. p. tylko przędzenie lub tylko farbowanie, podział społeczny posługuje się i technicznym, produkcya dostaje się w ręce wyrobionych specyalistów, co też znakomicie dźwiga ją ilościowo i jakościowo.

Rozwój ten był możebnym tylko równocześnie ze zmianą wzajemnego stosunku gospodarstw. Na miejsce pierwotnej izolowanej egzystencyi każdego gospodarstwa dla siebie, gdzie ono od nikogo nie było zależnem, tylko od siebie, żyło wyłącznie własnymi wytworami, ale musiało je wszystkie potrzebne wytworzyć, wyrabia się wymiana płodów różnych gospodarstw, obrót, a na podstawie obrotu wzrastająca zależność wzajemna gospodarstw. Byt gospodarstwa nie zależy już wyłącznie od tego, co samo wytworzyło, lecz od tego, co wytworzyli inni, ile tych obcych wytworów za własne przeznaczone do obrotu nabyć zdoła: wyłączna niegdyś produkcya rzeczy do bezpośredniego użycia we własnem gospodarstwie zmienia się w znacznej mierze, nieraz wyłącznie w produkcyę towarów tj. wytworów przeznaczonych na zbyt.

Wzajemna ta zależność wzrasta dalej w miarę postępującej specyalizacyi produkcyi gospodarstw: rolnik zbywa tylko część swych produktów, znaczną część może zużyć i zużywa bezpośrednio, ogrodnik czy fabrykant guzików chce zbyć całą produkcyę i stąd nabierają gospodarcze kwestye społecznego znaczenia, prze-

stają być sprawą indywidualną, rozwój jednych gospodarstw jest warunkowany przez równoczesny i równomierny postęp innych.

Rozwój społecznego podziału pracy, specyalizacya produkcyi, napotykały na trudności wielkie zarówno skutkiem braku pośrednika obrotu, dobrych komunikacyi, bezpieczeństwa, jak kapitału. Społeczny podział pracy wymaga obrotu; mogły wielkie gospodarswa w starożytności i w wiekach średnich rozdzielać zajęcia między licznych swych niewolników, czy poddanych, wyrabiać swoich specyalistów, ale to nie zmieniało jeszcze ich charakteru gospodarstw izolowanych, wyłącznie jednak lub przeważnie poświęcające się pewnej produkcyi gospodarstwa, nieprodukujące skutkiem tego dla siebie wszystkiego, co potrzebują, mogły powstać dopiero w fazie regularnego, łatwego obrotu. Podział pracy społeczny wymaga społecznego połączenia, a tem jest obrót, targ.

Pierwotnie dokonywał się obrót w formie surowej zamiany, bezpośrednio konsument szukał producenta, obrót przybierał formę wzajemnego wygodzenia sobie, produkcya wytworów nieprzeznaczonych dla własnego gospodarstwa odbywała się przeważnie tylko na zamówienie. Produkcya na zamówienie utrzymała się w pewnych grupach, u małych producentów, oraz przy wytworach z ściśle indywidualnem przeznaczeniem i w następnych fazach obrotu, któremi były gospodarstwo pieniężne i kredytowe. Realne potrzeby i warunki życia, (różna zdolność i skłonność pracy, różna wydajność gleby i podziemia) pchały do społecznego podziału pracy; podział ten był zależnym od rozwoju obrotu, tylko łącznie z nim mógł się dokonywać. Pierwotna faza obrotu: surowa bezpośrednia zamiana, napotykała na trudności wielkie, aby w tem samem miejscu o tym samym czasie spotkali się dwaj wytwórcy chcący właśnie wzajemnie swe wytwory, dane ilości i jakości zamienić. Realna potrzeba domagała się stworzenia ułatwień obrotu, pośrednika zamiany; stopniowo wszędzie wchodzą w użycie jako pośrednik zamiany różne dobra przedstawiające wyższą podzielność, trwałość, łatwość przechowania i przewozu, stalszą wartość, aż wreszcie powstaje pieniądz właściwy, mający legalne znaczenie, uposażony w siłę zwalniania od zobowiązań, a równocześnie spełniający funkcye i miernika watości i pośrednika w obrocie; wy-

miana bezpośrednia zanika prawie zupełnie, rozdziela się na dwa akty sprzedaż-kupno, za własne wytwory otrzymuje się pieniądze, a z tych w miarę potrzeby nabywa się cudze wytwory czy usługi.

W tej fazie mógł już powstać osobny zawód kupców, personalnych pośredników w wymianie, którzy nabywają wytwory nie celem osobistego użycia, lecz celem odsprzedaży ich potrzebującym, nabywają nie dla własnych potrzeb, lecz dla potrzeb społeczeństwa. Podniesienie produkcyi, ułatwienie konsumpcyi to ekonomiczna funkcya handlu, a ona może dojść aż do organizacyi produkcyi, o ile kupcy wprost zamawiają u producentów, co, gdzie, na kiedy ma być dostarczonem, decydują przez to o kierunku produkcyi, umożliwiają jej wzrost przez dostarczanie kapitału i regularny odbyt.

Samo powstanie gospodarstwa pieniężnego przygotowywało nową doniosłą fazę, dalszy postęp ekonomicznego rozwoju, mianowicie gospodarstwo kredytowe. Pierwotne objawy kredytu to jedynie pomoc użyczona opłatnie dla pokrycia deficytu własnych środków w gospodarstwie dłużnika, to kredyt z biedy, konsumcyjny. Z czasem wyłania się w różnych formach kredyt produkcyjny, warunkowany w swym rozwoju coraz wyższą możnością produkcyi na zbyt i zyskania w cenie swych wytworów nie oznaczonych już dóbr, lecz pieniędzy, będących zarówno środkiem produkcyi, jak pośrednio konsumcyi, jak wreszcie tezauryzacyi czy kapitalizacyi. Kredyt ułatwia produkcyę na zapas, poręcza jej wzrost, bo daje producentom wyższą możność produkcyi, niż im własne tylko środki dawały i stąd staje się potężną i pożądaną dźwignią gospodarczego postępu. Wytwarza on z czasem liczne papiery kredytowe, weksle, przekazy, czeki, listy zastawne, renty, akcye — wytwarza instytucye pośredniczące za swą odpowiedzialnością w użyczaniu kredytu, przez co tworząc możność fruktyfikowania swych oszczędności w cudzem gospodarstwie za odpowiednią rękojmią, krzewi oszczędność i kapitalizacyę w społeczeństwie, wytwarza pośredni dalszy czynnik poprawy bytu, który to skutek pociąga za sobą, a przynajmniej pociągnąć może i zużycie kredytu przez gospodarstwa publiczne na ich inwestycye (komunikacye, regulacye rzek, inwestycye assanizacyjne).

Co do organizacyi rozróżniać znów można fazę pierwotną bez świadomej organizacyi społeczno-gospodarczej i fazy następne organizacyi, która znów najpierw była lokalną, dalej terytoryalną, wreszcie państwową, przyczem jako czynniki organizacyi występowały bądź to zawody — gildy kupieckie, cechy rzemieślnicze — bądź też władza publiczna. Nie wszystkie państwa przeszły kolejno przez te wszystkie etapy, my nie zdobyliśmy się na świadomą wielką państwową gospodarczą politykę, ale ten podział na epoki ujawnia dobrze, jak postępowała myśl i potrzeba gospodarczej organizacyi.

Wspólne potrzeby wytwarzają zawiązki stałych norm w organizacyi pracy i zbytu, wytwarzają się one lokalnie i zostają następnie faktycznie lub wyraźnie jako obowiązujące uznane; tak wytwarzają się cechy rękodzielnicze, ścisłe normy dla stosunków czeladniczych, dla zbytu, dla stosunków agrarnych, pracy na wsi. Dla wszystkich ludzi, warstw, zawodów, wytwarza się pewien stały porządek, sankcyonowany zwyczajem lub prawem publicznem, oparty o znaczną autonomię lokalną, terytoryalną, zawodową. — Zmianę wielką w tych stosunkach wprowadza wyłaniające się od XVI wieku państwo nowożytne, żądne zdobyć supremacyę bezwzględną ponad lokalnemi, terytoryalnemi, zawodowemi organizacyami, żądne wszystko skierować do utrwalenia i wzmocnienia swej potęgi. Stąd i gospodarcze życie przedstawiało mu się przedewszystkiem jako środek zdolny państwu dostarczyć zasobów personalnych i realnych, koniecznych dla dźwigania potęgi. Cała organizacya gospodarcza otrzymuje charakter autorytatywny, którego najwyższym wyrazem jest tak zwany system merkantylny, wytwarzający się i panujący od XVI do XVIII w. Bezpośredni następcy merkantylizmu, którzy patrzyli na nieudolne nieraz akty jego epigonów, przekazali w literaturze pokutujące do dziś często błędne, karykaturalne wprost wyobrażenia o celach i treści merkantylizmu, streszczające się w błędnem twierdzeniu, że merkantylizm uważał jedynie złoto i srebro, pieniądze, za bogactwo, za cel gospodarczego wysiłku, i jedynie zdążał do powiększenia w kraju zasobu kruszcy szlachetnych. Merkantylizm dbał o wzrost zasobu kruszcy, i dbał o to słusznie, bo tak sta-

nowcze przejście w epokę gospodarstwa pieniężnego, jak nowożytna organizacya wojska i administracyi potrzebowały znacznego powiększenia szczupłego zasobu kruszcy, jaki po średnich wiekach pozostał; ale merkantylizm dbał nie tylko o to, to był wielki system polityki ekonomicznej, organizujący całe gospodarcze życie, a główni jego reprezentanci Colbert we Francyi, Cromwell w Anglii, Fryderyk II w Prusiech, stwierdzili przedewszystkiem rezultatami słuszność swego systemu, osiągnęli co zamierzali. I pod innym jeszcze względem zasługują na poważne przypomnienie w polityce ekonomicznej, bo nie trzymali się jednego szablonu polityki ekonomicznej, ale umieli indywidualizować środki podług stosunków i potrzeb swego kraju. I dlatego też szczegółowe historyczne zbadanie ich polityki ma do dziś realną doniosłość. Mogąc tu tylko zaznaczyć typowe główne rysy, należy stwierdzić, że Colbert zużył świadomie politykę cłową, aby i korzystny bilans płatniczy Francyi zapewnić i rozwinąć pole pracy i zarobku warstw przemysłowych, przerwać politycznie, społecznie, gospodarczo zgubną jednostronność i przewagę agrarnego tylko interesu. Własne dzieje nasze stwierdzają najlepiej, jaką szczerbą w organizmie społecznym i sile państwa jest brak należytego rozwoju miast, jakim błędem krótkowidząca polityka dla chwilowych interesów jednej warstwy, stanu czy zawodu, niedbała o wytworzenie pełni życia, stworzenie w kraju społecznej i gospodarczej równowagi. O systemie Colberta powiedziano, że streszczał się w zdaniu: »kupuj surowce, sprzedawaj fabrykaty«: zaprowadził bowiem znaczne wywozowe cła, po części i zakazy wywozu na krajowe surowce, a natomiast w pewnych wypadkach przyznawał i premie eksportowe na wywóz krajowych wyrobów gotowych, z drugiej zaś strony obniżył i zniósł cła dowozowe na obcy surowiec, obłożył znacznem cłem lub nawet zakazami dowozu cudze fabrykaty; w ten sposób zyskał dostatek i taniość surowca i środków pożywienia dla krajowego przemysłu, ułatwił mu korzystną pracę dla targu krajowego i na wywóz, a chcąc stanowczo podnieść wywóz, dbał i o doskonałą technikę produkcyjną, sprowadzając zdolnych robotników, wydając ścisłe przepisy produkcyjne, tworząc w pewnych grupach wzorową produkcyę.

W Cromwella polityce ekonomicznej znów najważniejszym aktem był t. zw. akt nawigacyjny, dozwalający dowóz do Anglii towarów europejskich tylko pod ich ojczystą lub pod angielską banderą, towarów pozaeuropejskich wyłącznie pod angielską banderą; w ten sposób zapewnił przewagę handlowej marynarce angielskiej, wytworzył warunek dla rozwoju angielskiego korzystnego eksportu. Jeszcze pod koniec XVIII wieku mówił Pitt do posła Ogińskiego (Kalinka: »Sejm« II, 222): »Handel polski miał zawsze największą wagę dla Anglii i Hollandyi; wasze zboża, lny, konopie, wasze drzewo budulcowe, skóry i tyle innych płodów, które nam są potrzebne, wytrzymują doskonale konkurencyę z temi, które odbieramy z Moskwy; a wasze lny są lepsze od wszystkich, jakie dostajemy z innych krajów; handel z Polską jeszcze dlatego jest dla nas korzystniejszym, że nie mając fabryk ani rękodzieł a potrzebując w bardzo znacznej liczbie towarów fabrycznych i zbytkownych, oddajecie nam z lichwą to, co bierzecie od nas«. Zdanie to, wypowiedziane w przeszło sto lat po akcie nawigacyjnym stwierdza i skuteczność i trwałość tej merkantylnej polityki.

A z bólem możemy czytać (Charles Mixter: *Distribution of maintenance, Quart. Journ of Econ.*, May 1904) twierdzenie, że nieograniczony u nas eksport zboża na zakupno cudzych wyrobów, doprowadził do tego, że Polska miała ludność mniejszą, niż mogła była mieć, a to spowodowało brak średniej klasy społecznie i politycznie, brak poparcia dla monarchii, ogólną słabość i zastój.

W ciągu XVIII wieku budzi się reakcya przeciw merkantylizmowi; trwale dodatnie skutki mógłby on przynosić tylko, gdyby nie był powszechnym systemem, bo ustaje możność taniego poboru surowców a korzystnej sprzedaży fabrykatów, gdy i inne państwa taryfy cłowe na wzór Colberta urządzą; samo już rozpowszechnianie się polityki merkantylnej niszczyło jej nadzieje i rezultaty, a dalej nadmiar ingerencyi państwa w całą dziedzinę produkcyi przetwarzającej, po części i rolniczej, naśladowanie nieudolne i coraz dalsza, drobiazgowsza ingerencya przez niedorosłych następców, zbyt długotrwała jednostronność opieki, przy-

chylnej tylko dla produkcyi przetwarzającej, nie przynosiły już dodatnich rezultatów, owszem doprowadziły we Francyi do zubożenia rolnictwa, osłabiały kraj ekonomicznie. Tkwiące w merkantylizmie, w każdym systemie opieki rządowej, przecenianie inteligencyi i inicyatywy czynników rządowych, urzędników, a pesymistyczne niedocenianie inteligencyi i inicyatywy prywatnej, krępowało i osłabiało prywatną przedsiębiorczość, rzutkość, przezorność, a osłabiwszy je nosiło w sobie zarodek ogólnej słabości i upadku. Prócz tych realnych przyczyn opozycyi wystąpiły i przyczyny idealne. Słowa poety: »każdy wiek wielkie miał prawdy ołtarze«, zawierają słuszną myśl: nie zawsze niestety panowały prawdy ołtarze, panowały nieraz i błędy i fałsze, ale prawdą jest, że wytwarzają się i panują nieraz czas długi pewne aksyomatyczne wierzenia, pewne hasła, narzucające się niemal jak dogmata i jak programy. Urok świeżości, zawarta w nich nieraz krytyka niedostatków, wskazywanie nowych celów, szereguje koło nich grono wyznawców przejętych zapałem, i one narzucają się stopniowo społeczeństwu jako drogowskazy polityki. Ale powoli stygnie zapał, zawiedzione nadzieje szerzą zobojętnienie, niezadowolenie, podnoszą głos krytyki, wykazują niedostateczność owych wierzeń aksyomatycznych i programów, słabnie i ginie wiara w dawne hasła, a do panowania w umysłach przychodzi nieraz program wprost antitezy. I tak się stało w XVIII wieku Naprzeciw autorytatywnego programu merkantylizmu: wszystko dla państwa przez państwo, stanął program ściśle indywidualistyczny: wszystko dla jednostek przez jednostki. Aksyomat: *Laissez faire, laissez passer, le monde va lui-même*, został przyjęty przez nowe szkoły ekonomiczne we Francyi i Anglii, stał się panującym dla polityki na okres przeszło 100 lat, nabrał międzynarodowego na długi okres i wielki obszar wszechwładnego znaczenia. Realne siły czerpał ten aksyomat z trzech źródeł: błędów merkantylizmu, przesadnego skrępowania ludzi, dalej z powstającej indywidualistycznej filozofii, która jednostkę ludzką, jej prawa, potrzeby, aspiracye wysuwała na czoło, i nie była skłonną uważać nadal jednostki tylko za środek dla państwowej polityki, wreszcie z postępów techniki produkcyjnej. Łączne działanie tych czynni-

ków materyalnych i psychicznych wywołało istną rewolucyę ekonomiczną, jaka rozegrała się w ciągu XIX wieku. Przyszło do zupełnej przemiany gospodarczych stosunków, zarówno co do produkcyi, jak organizacyi. Przewrót produkcyi wywołał wynalazek maszyny parowej; potężny ten motor umożliwił kolosalny wzrost produkcyi, ale domagał się innych jednostek gospodarczych, innego targu. Nie warsztat lecz fabryka staje się typem produkcyi, a fabryce nie wystarcza lokalny zbyt, lokalny targ. I przychodzi do stworzenia możności dalekiego odbytu przez nowe środki komunikacyjne — koleje, statki parowe — a telegraf i telefon umożliwiają natychmiastową informacyę producenta o stosunkach zaopatrzenia i potrzeb w całym świecie. Dalszą cechą charakterystyczną i czynnikiem dokonanego przewrotu to wnijście nauki w służbę produkcyi; ustępuje rutyna, wiedza poczyna wpływać i kierować, chemia, fizyka, mechanika, nawet bakteryologia stają się doradcami i kierownikami produkcyi, przez co znów wiedza i kapitał stanowczo górują ponad techniczną tylko zręcznością i pracą.

Również doniosłe zmiany zaszły w organizacyi. Zerwania z krępującą, autorytatywną polityką ekonomiczną domagano się w imię zasadniczych indywidualistycznych idei, ale siła tego żądania spotęgowała się głównie przez realne potrzeby. Fabryka nie mogła pomieścić się w ramach cechowej organizacyi, postęp rolnictwa nie mógł dokonać się wśród organizacyi pańszczyźnianej, opartej o stały szablon obowiązków na dawnej rutynie produkcyi polegających, wśród licznych serwitutów, ciążących na roli; organizacya cechowa i pańszczyźniana przedstawiały się nie tylko jako bezcelowe, lecz wprost jako hamujące i szkodliwe. I stąd zażądano ich zniesienia w imię zasad i w imię potrzeb, a w miejsce całej dawnej organizacyi żądano i stopniowo wprowadzano jedyną naczelną zasadę: w o l n o ś c i g o s p o d a r c z e j, wolności pracy, ziemi, kapitału, przedsiębiorstwa, targu. A z wprowadzeniem tej wolności najpiękniejsze łączono nadzieje: że każdy człowiek weźmie się do tej pracy, co mu najlepiej odpowiadać będzie, że ziemia, zakłady przemysłowe, kapitał, w drodze nabycia czy dzierżawy, kredytu, przejdą w najzdolniejsze ręce, że wielkość poszczególnych przed-

siębiorstw agrarnych czy przemysłowych, nie znajdując żadnych prawnych ograniczeń ani co do rozmiaru, ni techniki, ni użycia obcych sił, zastosuje się do warunków i potrzeb ekonomicznych, będzie najodpowiedniejszą, co wszystko dodatnio wpłynie na produkcyę, a mając możność zbytu czy nabycia na najkorzystniejszym targu zapewnią sobie ludzie byt najkorzystniejszy, zakwitnie dobrobyt.

I stopniowo jeden kraj za drugim realizował jedno po drugiem z żądań wolności gospodarczej, jedno za drugiem znoszono lub modyfikowano dawne ograniczenia, cechy, pańszczyznę, niepodzielność gruntów, taksy cen i procentu, taryfy cłowe, zakazy wywozu. Równocześnie poczęła rozwijać się w różnych kierunkach i w stopniu dawniej nigdy nieznanym assocyacya, łączenie osób, kapitałów lub obu ich, dla wspólnych celów, zarówno gospodarczych, jak kulturnych, a to nowe łączenie kapitałów stworzyło rezultaty olbrzymie, zwłaszcza w dziedzinie komunikacyi, lądowej i morskiej. A zanim minęła jeszcze epoka stopniowego realizowania postulatów liberalnych, zanim istotnie wszystkie je wprowadzono w życie, poczęła już słabnąć i ginąć wiara w wszechi wszędzie zbawcze skutki wolności gospodarczej, wystąpiły liczne objawy ujemne: zamiast i skutkiem wolnego współzawodnictwa monopol największych przedsiębiorstw, zamiast rozszerzania dobrobytu koncentracya mienia, zamiast dźwigania ogółu liczne likwidacye, postępujące bankructwo warstw średnich, ucisk warstw robotniczych, niepewność bytu nawet i silnych, stąd wrzenie i niezadowolenie w umysłach, tak że jako cechę charakterystyczną ostatnich dziesiątek lat XIX wieku uznano wystąpienie powszechne i w wysokim stopniu zaognienie kwestyi socyalnej.

Trudności i wrzenie współczesnej doby tak zajęły umysły, taką wzbudziły krytykę, że niemal zapomniano o nadziejach, jakie budził liberalizm ekonomiczny, zapomniano o zdobyczach i wielkich zasługach, jakie położył.

Epoka wolności gospodarczej była na prawdę wielką epoką, wielkim postępem i zasługą. Dzięki jej dźwignęła się produkcya, przedsiębiorczość, zasobność społeczeństw, produkta świata całego stanęły na usługi ludzkości, o miliony ludzi żyje więcej, niż dawniej

i lepiej niż dawniej: nauczono się wprzęgać coraz potężniejsze siły materyalne i intelektualne w produkcyjną służbę. To wszystko były dodatnie objawy. Że pomimo tego tyle pozostaje do pracy, tyle kwestyi piekących, to wynika z jednej strony z ogólnego powodu, że niema uniwersalnego środka, któryby z góry po wsze czasy wszystkie uchylał zagadnienia — każdy zdobyty stopień, jest tylko stopniem a nie końcem i szczytem rozwoju — z drugiej zaś wystąpił znów szereg przyczyn specyalnych, a mianowicie jednostronność postępu i organizacyi, wzrost zadań ekonomicznych.

Podniosła się znakomicie produkcya, rozwinęły potężnie komunikacye, ale przedewszystkiem podniosła się produkcya tkanin i metali, i z nią związana produkcya chemiczna i węgla. Rzeczy to doniosłe, ale jednak mniej wpływające na byt ludzi, niż pożywienie i mieszkanie, jak o tem każdego jego własny budżet wydatków może przekonać. Powstały koleje żelazne, telegrafy, telefony, fabryki maszyn, lokomotyw, szyn, wytwarzamy coraz więcej i coraz lepszych narzędzi i maszyn, na to idzie ogromna suma pracy i kapitału, ale to są tylko środki do pracy, same nie powiększają sumy środków do życia. A produkcya rolnicza nie uczyniła równie wielkiego postępu, po części wprost z winy tego ogromnego wzrostu przemysłu i górnictwa, który w epokach korzystnych mogąc płacić czasowo więcej, niż rolnik, tysiące ludzi odciągał od pozostania przy pracy na roli: w wielu okolicach i epokach wprost brak rolnego robotnika, brak kapitału dla rolnictwa, trudność dla produkcyi rolnej wywołał.

Sprzeczne z tem stanowiskiem jest częste twierdzenie o nadprodukcyi, zwłaszcza zboża, czego dowód chciano widzieć w zniżce cen zbożowych. A przecież chleba niema za wiele, tylko niestety głodnych i bosych, niedostatecznie odżywionych i niedostatecznie odzianych jest za wielu. Nie w nadmiarze produkcyi leży więc zło, ono tkwi gdzieindziej, głębiej, a dla uchylenia go owszem dalszy wzrost produkcyi jest koniecznym. Co zyskano już, nie zaspokoiło jeszcze wszystkich nadziei i potrzeb.

A ten proces dźwigania i przemiany produkcyi nie dokonał się spokojnie, owszem wywołał wielkie wstrząśnienie gospodarcze, zmianę warunków bytu, która dla wielu stała się utratą dawnych

warunków egzystencyi, była wprost pogorszeniem doli. Zyskał ogół, zyskały pewne jednostki, ale były i koła, co na tej przemianie poniosły szkody, były ofiarami postępu. Szczegóły tego procesu i przełomu należą tak do polityki agrarnej, jak przemysłowej i robotniczej, tu więc kilka tylko rysów można zaznaczyć. W nowej organizacyi cofnęło się znaczenie i pole zarobku kwalifikowanej ręcznej pracy, kapitał zyskał rozstrzygające znaczenie, potrzeba było kapitału znacznego i na założenie przedsiębiorstwa i na prowadzenie. Błędnem i przesadnem jest twierdzenie, że ta przewaga stanowcza kapitału objęła wszystkie dziedziny wytwórczej zarobkowości, ale niemniej objęła wiele dziedzin (przędzalnie, tkactwo, wyrób maszyn) i w tych wszystkich dziedzinach poczęły niknąć drobne warsztaty, powstały fabryki, wielu ludzi traciło stopniowo swój niezależny majsterski byt, inni tracili swój zarobek poboczny (przemysł domowy na wsi!). Proces ten zawłaszczania pola kwalifikowanej pracy przez maszynę, niszczenia drobnego przemysłu i rękodzieł przez fabrykę, odbierania pola zarobku pracy przez kapitał, ujmowanie przemysłu domowego w ręce kapitalisty czy fabryki, powiększenie liczby ludzi pracy zawisłej, względnej redukcyi samodzielnych wytwórców w pewnych gałęziach produkcyi, trwa do dziś i występuje jako doniosłe społeczno-gospodarcze zagadnienie.

Dalszą przyczyną niezadowalniającego stanu, powstania tylu nowych kwestyi piekących, to przecenienie następstw wolności gospodarczej. Osądzono ją tylko optymistycznie, jednostronnie, przeoczono, że usunięcie dawnych więzów przeżytych to dopiero połowa — i to łatwiejsza, bo negatywna połowa zadania, poczem zostaje zadanie trudniejsze a niemniej doniosłe: nowej pozytywnej organizacyi. Wolność usunęła hamulec produkcyi i przedsiębiorczości, ale ona samą swą istotą wywołała walkę, bo walką jest bezwzględny system wolnej konkurencyi. I walka wybuchła na dwa fronty, kapitału z pracą i kapitału z ziemią, a prócz tego istniała, stopniowo zaostrzając się walka kapitalistycznych przedsiębiorstw między sobą. Przedsiębiorcy chodziło o utrzymanie się z zyskiem na targu, stąd z jednej strony tendencya obniżki własnych kosztów produkcyi, co się ujemnie odbiło na położeniu

robotników, i tendencya obniżki ceny surowców, pożywienia, z drugiej zaś tendencya relatywnej obniżki kosztów produkcyi przez rozłożenie ich na jak największą masę produktów, co w niektórych gałęziach wywołało częściową nadprodukcyę wraz z jej następstwami: peryodycznemi przesileniami, marnującemi liczne kapitały, zostawiającemi tysiące ludzi czas dłuższy bez pracy i chleba. Wysokie zarobki chwilowe, przerywane utratą pracy, pogarszały położenie; byt robotnika od tego zależy, ile ma na rok, nie na dzień, wyższy niestały zarobek wprowadza zły element niepewności w jego położenie.

A następstwa te nieuniknione wolności gospodarczej, którym dziś przeciwdziałać usiłują zawodowe organizacye i robotników i przedsiębiorców (kartele), zostały spotęgowane i zaostrzone przez to, że wolność stworzyła pole do działania dla sił dodatnich, lecz i dla sił ujemnych. Zwycięstwo w walce konkurencyjnej, w odnoszeniu korzyści, powiększaniu swego mienia, poczęły odnosić nie same najdzielniejsze żywioły, co było hipotezą i nadzieją liberalizmu, ale i żywioły etycznie i gospodarczo najgorsze, nie wahające się oszustwa w najróżniejszej formie, bezczelnego wyzysku, użyć za broń w walce konkurencyjnej. I stąd owe liczne ekonomicznie, społecznie, moralnie ujemne następstwa, których istnienie stwierdzają z protestem wszystkie badania nad kwestyą socyalną naszej doby. Wolność pracy chciano stworzyć, i chcemy ją utrzymać, ale nie wolność oszustwa, wyzysku i krzywdy.

A jest szereg czynników, natury materyalnej jak moralnej, który wpłynął znacznie i tak na utrudnienie zadania polityki ekonomicznej. Najpierw wzrost liczby ludzi; ten sam kraj ma dać warunki życia dla większej liczby ludzi, niż dawniej, dla liczby coraz wzrastającej, a i coraz — choć w małym stopniu — podnoszącej wymogi; pastuch na wsi mógł chodzić boso; do szkoły w mieście, gdy brat czy syn jego idzie, trzeba go obuć i odziać jakokolwiek przyzwoicie; ilościowemu i jakościowemu wzrostowi potrzeb ma sprostać krajowa produkcya, każdy mórg ziemi ma dawać więcej chleba, niż dawniej. A produkcya krajowa każda narażoną jest dziś na wszechświatowe współzawodnictwo; grozi ono przedewszystkiem ekspor-

towym gałęziom, które na obcym targu nie doznają żadnej opieki ni pomocy, muszą innym dorównać co najmniej w jakości i cenie, a wydajność tej produkcyi jest przecież i warunkiem nabycia od zagranicy potrzebnych płodów, i środkiem ewent. opłaty procentów i spłaty długów; ale i wewnątrz kraju, pomimo obrony przez taryfy cłowe i frachtowe, może się dać dotkliwie we znaki zagraniczna konkurencya, może się stać trudnością dla ekonomicznego podniesienia. I tak jak niegdyś społeczny podział pracy podnosił szansę poprawy bytu dla poszczególnych gospodarstw, ale i ryzyko straty powiększał, tak znów ten nowy objaw coraz potężniejącego wszechświatowego współzawodnictwa dając szansę wielkich korzyści wnosi zarazem nowy element wielkiego ryzyka, upadku w międzynarodowej walce konkurencyjnej, przed czem skuteczną stworzyć ochronę stało się znów arcydoniosłem zadaniem.

A prócz tych materyalnych powodów wystąpiły i idealne, mianowicie zmiana zapatrywań na zadanie nauki i życia. Systemu wolności żądano w imię naturalnych praw człowieka, chciano usunąć wszystkie »sztuczne« organizacye, powrócić do rzekomo naturalnej wolności. Z postulatu tego uczyniono z czasem aksyomat, i wreszcie po zrealizowaniu szeregu liberalno-ekonomicznych postulatów, uznano istniejące stosunki za naturalne, zarówno ich złe, jak dobre strony, nie chciano zgodzić się na żadną zmianę w organizacyi, uważając ją znów za »sztuczną«. Prawa abstrakcyjnej teoryi uznano za bezwzględne prawa życia: z użytej przez teoryę hipotezy egoizmu uczyniono w szkole manczesterskiej wśród epigonów liberalizmu, niemal dogmat i program życiowy, uważając każde inne, nieegoistyczne działanie za nieuprawnione gospodarczo, rozgrzeszając równocześnie, bo za naturalną, stąd konieczną, uprawnioną uznając wszelką chęć zysku i wyzysku. Zdemoralizowało to całe życie gospodarcze, sposoby nabycia i użycia mienia: wyzysk, ucisk, grynderstwo poczęły zgubnie się szerzyć. Programowe dodatnie hasło samopomocy doczekało się fałszywej interpretacyi, zamiast obowiązku dbania o siebie, idei odpowiedzialności, widziano w niem program dbania t y l k o o siebie,

pracy i życia tylko dla siebie. Zwycięstwo silnych, upadek i niedolę słabych uznano za naturalne, nieuniknione, wobec czego nauce pozostawiano tylko konstatowanie praw rządzących gospodarczem życiem w systemie wolnej konkurencyi, a odebrać jej chciano niemal prawo rozważenia, czy ten system wobec swych skutków nie potrzebuje ograniczenia, uzupełnienia, czy da się wogóle utrzymać. I nauka nie dała odebrać sobie prawa krytyki istniejących i wytwarzających się stosunków, podjęła ją, i życie coraz więcej uznaje, że nie może być zadaniem ostatecznem organizacyi gospodarczej stan liczący się tylko z indywidualistycznemi aspiracyami, lecz że tu zadaniem jest zyskanie organizacyi, któraby społecznym interesom najlepiej odpowiadała. Organizacya społeczna, któraby pewne koła wskazywała koniecznie na niedolę, nie da się bronić, ani utrzymać. Dlatego potępiono i uchylono niewolę, poddaństwo, dlatego jest uprawnioną krytyka i reforma, dlatego tworzymy liczne nowe instytucye. Po liberalnej nastała też socyalna epoka polityki ekonomicznej. Argument »naturalności« stracił już wszelkie znaczenie, bo i choroby i wylewy są faktami naturalnymi, a przecież zwalczamy je, uważamy za obowiązek kultury przez prewencyę i represyę zwalczać chorobę, zarazę, klęski elementarne, i tak samo uznać należy za obowiązek walkę z klęskami społecznemi: ciemnotą, niemoralnością i nędzą. Łudzili się twórcy liberalizmu, że wolność gospodarcza starczy, aby usunąć gospodarcze klęski; my nie podzielając ich złudzeń i nadziei zadowolnić się nie możemy ich prostym systemem polityki, ani też możemy uznać stanowiska ich epigonów, którzy apatycznie patrzyli na ujemne następstwa wolności gospodarczej, zadawalając się jej jednostronnie dodatnimi skutkami. Nauka i polityka uznają za cel gospodarczej organizacyi zapewnienie warunków gospodarczego rozwoju społeczeństwa, stawiają dlań wyższe zadanie, i to powodem nie mniej ważnym, jak realne przyczyny, współczesnego niepokoju i niezadowolenia. A wśród tego przełomu gospodarczych idei przewodnich nie zabrakło i głosów skrajnych, przesadnych, niesprawiedliwych, które podejmowały krytykę celem szerzenia niezadowolenia, stawiały program nie reformy,

lecz nieziszczalnych obiecanek, nie ewolucyę lecz rewolucyę gospodarczej organizacyi przedstawiały za najbliższą konieczną etapę. Socyalizm żądający programowo uspołecznienia, względnie upaństwowienia wszystkich środków produkcyi z jednej strony, z drugiej anarchizm, będący dziką, bezmyślną negacyą wszelkiej organizacyi społecznej, zajmują to rewolucyjne stanowisko.

Ale postęp rzetelny dokonywa się tylko ewolucyą, nie rewolucyą, syntezą rozwoju, nie przerzucaniem się prostem w antitezę dotychczasowej gospodarczej organizacyi. I merkantylizm był w swym czasie wielkim postępem gospodarczym, była nim również epoka wolności gospodarczej: dźwignęła produkcyę, usunęła liczne więzy przeżyte, pobudziła twórcze siły; nam dziś pozostaje utrzymanie zdobyczy wolności uzupełniając ją konieczną organizacyą, uchylając jej złe strony i nadużycia. Maszyny, wielka produkcya były postępem, musimy go utrzymać, ale stąd nie wynika bynajmniej konieczność, aby urządzenie lokali fabrycznych było niebezpieczne dla zdrowia i życia robotników, aby tam zapracowywały się kobiety i dzieci, niszcząc swe zdrowie, odbierając chleb mężom i ojcom niszcząc przyszłość własną i produkcyi. Wolność ziemi i kapitału są doniosłą zdobyczą, którą również trzeba utrzymać, ale stąd nie wynika bynajmniej konieczność wolności dla lichwy pożyczkowej, czy dzierżawnej, ani dla zawodowej spekulacyjnej parcelacyi. I tak w każdej dziedzinie powstaje szereg zagadnień, a wszystkie one wynikają przedewszystkiem z wyższych wymogów, jakie do ustroju gospodarczego stawiamy. A pogląd na rozwój gospodarczy uzasadnia i ich stawianie i nadzieje pomyślnego rozwiązania w pewnej mierze. Bo ten rozwój historyczny stwierdza, że postęp i upadek zależały od świadomego, wytrwałego działania ludzi lub jego braku, że stosunki gospodarcze są produktem historycznym, nie naturalnym, przymusowym. Z ironią przezywano niegdyś dziedzictwo elektorów Brandenburskich *Die Sandbüchse des heiligen Römischen Reichs*, a na tym piasku zdołała świadoma polityka gmach wielki zbudować, rozwinąć gospodarcze siły, znacznie ulepszyć stosunki. A historya tyle innych daje przykładów, że świadoma, wytrwała praca zdołała znakomicie po-

dźwignąć kraj, poprawić byt ludzi, a jej brak wprowadzał zastój, cofanie się. I opóźnione przeto kraje, mogą lepsze jutro zdobyć byle zdobyły się na lepszą pracę, byle umiały odpowiednio zsze-regować swe siły. Nie fatalizm decyduje o losach narodów, lecz ich charakter, rozum i praca.

Dr. Józef Milewski.

DZISIEJSZE TEORYE W PRAWIE KARNEM.

Ostatnie dziesiątki lat wykazują ogromny przewrót w teoryi prawa karnego, w pojmowaniu jego zasadniczych podstaw. Za zasadniczą podstawę prawa karnego, a w szczególności poczytania przestępstwa i jego karalności uchodziła wolność woli. W filozofii rodziły się co prawda już oddawna, bo jeszcze nawet w starożytności, poglądy, że wolność woli jest iluzyą, niczem pozytywnem nie stwierdzoną. Opinie te jednak były do niedawn odosobnione, nie wywierały szerszego wpływu [1]. Nauka prawa karnego opierała się dotąd trwale na uznaniu wolności woli, uważała wolność za swój zasadniczy dogmat. Dopiero od roku mniej więcej 1860 rozpoczął się i tu szturm wstrząsający i mający w całej kryminologii sprowadzić stanowczy przewrót. Przeciwnicy wolności woli nie zadawalniają się tylko przytaczaniem argumentów spekulatywnych filozoficznych: starają się owszem zajść na pole empiryi i stamtąd zaczerpnąć poparcia dla tych twierdzeń. Medycynę, fizyologię, psychologię, nauki przyrodnicze, statystykę i t. p. wzięli w swoją służbę.

Wyznawcy wolności woli nie pozostawiają ataków przeciwnego obozu bez odpowiedzi. Zastęp ich dotąd silny i zwarty [2]. Podjąwszy więc rzuconą rękawicę zwalczają przeciwników bronią

[1] Przegląd opinii w tej kwestyi w dziele Ackermanna: *La notion de la liberté chez les grands philosophes.* — Fonsegrive: *Essai sur le libre arbitre.*

[2] Patrz Maro: *De la justice pénale.* 1891. — Lacoint w *Bulletin de la société des prisons.* 1891. Nr. 4. — Bouilles: *Complot contre la dignité humaine.*

zaczerpniętą i z zakresu tych nauk, które stronie drugiej dały materyał do walki. Wywiązał się tedy zacięty spór, zdania się krzyżują.

Zadaniem naszej pracy jest nie tyle dorzucić coś nowego do rozwikłania tej sprawy, ile raczej przedstawić i zregestrować obecny stan sytuacyi.

I.

Pierwszą rzeczą od której zaczyna się każdy system prawa, jest rzecz o podmiotach i przedmiotach prawa. W prawie karnem podmiotem jest przestępca. Czy przestępca miał świadomość popełnionego czynu, czy działał rozmyślnie, czy mimowolnie, czy swobodnie, czy pod przymusem, to pytania, które kryminolog przy omawianiu przedmiotu czynu przestępnego przedewszystkiem roztrząsa.

Specyalnie osobą przestępcy zajmuje się odrębna grupa uczonych, przeważnie ze sfer lekarskich, znana i w nauce pod nazwą szkoły antropologicznej [1]. Wedle opinii reprezentantów tej szkoły zbrodniarz to typ zupełnie odrębny, mający szczególne cechy przedewszyskiem anatomiczne. Przestępca taki jest już z góry predestynowany do życia zbrodniczego.

Despine [2] w swojej psychologii mówi, że u przestępcy widoczne jest moralne znieczulenie trwałe lub przemijające. Większość jest pozbawiona trwale zmysłu moralnego. Idąca za tem nicość moralna pozbawia przestępcę możności wyboru i ten popełnia zbrodnię wówczas, gdy popęd zbrodniczy większy od motywów egoistycznych. Przestępca różni się tem od obłąkanych, że jego choroba ma gniazdo w sferze uczuć, a każdy czyn jest wypływem żądzy, objawem odziedziczonych lub wrodzonych popędów.

Thomson [3] wykazuje, że między obłąkaniem, a zbrodnią

---

[1] Patrz Krzymuski: »Szkoła pozytywna prawa karnego we Włoszech«. — Stebelski: »Najnowsze kierunki w nauce prawa karnego«. *Przegl. prawa i adm.* XVIII 1893.

[2] *Psychologie naturelle.* 1868.

[3] *Journal al of mental science.* 1876.

zachodzi patalogiczne powinnowactwo. Jest on również zwolennikiem i obrońcą prawa dziedziczności. Potomstwo przestępców nałogowych ma cechy znamienne: jest cieleśnie zwyrodniałe, skłonne do suchot i afekcyi systemu nerwowego. Większość umiera przed 30 rokiem życia.

Na podstawie badań prowadzonych w zakładzie w Perth wykazuje, że 12% przestępców należy do epileptyków, głupowatych i opanowanych manią prześladowczą. Przestępca pozbawiony jest zmysłu moralnego, niezdolny do prowadzenia uczciwego życia. Większość przestępców to moralni idyoci.

Benedikt [1] zauważa u przestępców anormalną budowę anatomiczną, przedewszystkiem brak mostków w mózgu. Przestępca tedy obciążony i upośledzony jest anatomicznie, a za tem idzie brak siły oporu i zmysłu moralnego.

Te opinie [2] rozproszone, pojawiające się sporadycznie tu i ówdzie, zbiera w jeden system, przerabia, uzupełnia i rozpowszechnia Lombroso [3]. To co u tamtych tylko kiełkowało, podniósł on do potęgi jednolitej teoryi, stworzył szkołę i nadał jej niezwykły rozgłos.

Lombroso przyjmuje istnienie specyalnego typu zbrodniczego, wyszczególniającego się cechami anatomicznemi, biologicznemi i psychologicznemi.

Obok tego typu jednak spotkać można przestępców, nie wyróżniających się niczem od ogółu. Są to przestępcy przypadkowi

---

[1] *Anatomische Studien.* 1879.

[2] Patrz nadto Ruf: *Criminaljustiz, ihre Widersprüche und die Zukunft der Strafrechtspflege.* 1870. — Maudsley: *Psychologie und Patologie der Seele.* 1870 (w niem. tłum. Dr. Bocke). — Wahlberg: *Criminalpsychologische Bemerkungen über den moralischen Irrsinn.* 1877. — Schilling: *Zurechnungs-fähigkeit oder Verbrechen und Seelenstörung vor Gericht.*

[3] *L'uomo delinquente.* 1871. IV wyd. 1886. Polskie »Człowiek-zbrodniarz«. 1891. Niem. przekład Frank 1887. — Patrz nadto Ziemba: »Z najnowszych kierunków psychologii« w *Przew. nauk. i lit.* 1891. — Rosenblatt w *Przegl. prawa i adm.* z r. 1887. — Stebelski: »Nowe kierunki w nauce prawa karnego«. *Przegl. pr. i adm.* XVIII, 1893. — Krzymuski: »Szkoła pozytywna prawa karnego we Włoszech«. Lwów 1889. — Spasowicz: »Najnowsze prądy w nauce prawa karnego«. — Dallemagne: »Zbrodnia w świetle teoryi współczesnych«. przełożył Zygmunt Poznański. Lwów. Warszawa 1902.

lub z namiętności. Przestępców przypadkowych dzieli znów na pseudo-zbrodniarzy, kryminaloidów i zbrodniarzy z przyzwyczajenia. Do pierwszych należą osobniki spełniające zbrodnie mimowolnie lub z nieznajomości ustaw: nie posiadają oni żadnej predyspozycyi przestępnej.

Kryminaloidzi przeciwnie tworzą pewną odmianę, jakby wstępny stopień do typu zbrodniczego. Pociąga ich do przestępstwa jakakolwiek nadarzająca się sposobność. Są oni bowiem z natury już w pewnym stopniu skłonni do złego.

Przestępcy z nałogu są to indywidua, które »choć z urodzenia normalne i bez szczególnej skłonności lub organizacyi zbrodniczej, nie nabyły ani w domu rodzicielskim, ani w szkole i t. d. owej mocy powodującej, albo raczej ułatwiającej przejście od zbrodniczości filozoficznej, stanowiącej właściwość wieku dziecięcego do życia normalnego, uczciwego, osobniki, które wskutek tego coraz to głębiej grzęzną w owej pierwotnej skłonności ku złemu«.

Zbrodniarze z namiętności *(per impeto)* są to przestępcy, u których substrat zbrodni stanowi gwałtowne jakieś uczucie. Różnią się oni od przestępców urodzonych brakiem wielkich ułomności.

Powyższy podział przestępców, jeżeliby już poza nim nie było typu przestępcy z urodzenia, możnaby z pewnemi zastrzeżeniami przyjąć. Uznać musimy i istnienie przestępców przypadkowych, popełniających czyn karygodny z nieznajomości ustawy, przez zbieg nieszczęśliwych okoliczności i t. p. Jednak ze stanowiska ścisłego prawa zarzucić musimy, że osobnika, który popełnił przestępstwo mimowolnie, bez świadomości nie możemy poczytać za przestępcę; brak tu istoty podmiotowej czynu.

Również uznać należy, że wiele przestępstw pochodzi z uniesienia gwałtowności. Jedynie tylko co do kryminaloidów nie możemy zgodzić się z Lombrosem. Jeżeliby on pojmował tę kategoryę przestępców, jako ludzi, którzy nie wyrobili w sobie mocy charakteru i odporności przed złem, stąd trudniej wola ich może oprzeć się pobudkom przestępnym, na to zgoda. Jednak Lombroso idzie dalej, uważa kryminaloidów za niższą kategoryę typu zbrodniczego. Ponieważ my nie uznajemy typu zbrodniarza Lombrosa,

stąd i na jego odmiany trudno się nam zgodzić. Zresztą o tem powiemy niżej.

Obok powyższych dwu kategoryi wyróżnia Lombroso typ główny zbrodniarza, będący kamieniem węgielnym teoryi uczonego włoskiego, przestępcę od urodzenia. Na ten typ składają się specyalne cechy anatomiczne, oraz odziedziczone skłonności atawistyczne. Dziki, to przodek dzisiejszego przestępcy, któremu przekazał swe skłonności i predyspozycyę zbrodniczą. Przyjęcie tej odziedziczonej skłonności zbrodniczej popiera i obserwacya dzieci; w zaraniu swego życia nie uległszy jeszcze żadnym zewnętrznym wpływom okazują skłonność, pociąg do złego.

Tak twierdzi Lombroso. Czy jednak ten ogólny pogląd popiera pozytywnymi dowodami? Naszem zdaniem jest to indukcya za dowolna, za szeroka. Na zdanie Lombrosa, że ludy żyjące w stanie pierwotnym, że dzieci, których życie wewnętrzne blizkie jest, prawie identyczne ze stanem natury, okazują skłonność zbrodniczą, możemy z równem prawdopodobieństwem odpowiedzieć, że w stanie natury spotykać można i równy pociąg do dobrego, czyny szlachetne mimowiednie, rozróżnienie dobrego i złego. Toteż generalizować nie można i wyprowadzać tak daleko idących wniosków, jak to czyni Lombroso.

Ale przejdźmy do opisu typu zbrodniarza Lombrosowskiego. Zbrodniarz taki ma przedewszystkiem znamienne zboczenia w budowie anatomicznej. Lombroso badał czaszki 3839 przestępców U 27% znalazł anormalia w budowie ich. Ponadto wszyscy wogóle przestępcy mają mieć wspólne znamiona układu oczu, brwi, ust, kształtu nosa i t. p.: oprócz tego mordercy są wysocy i silni i t. p.

W wywodach Lombrosa zauważyć można przedewszystkiem cośmy już poprzednio wytknęli, pochopność do zbytniej generalizacyi. Cóż znaczą pomiary i badania choćby nie 3000, ale i dziesięciu tysięcy przestępców wobec ogromnych mas reszty nie badanych, a więc takich, o których budowie i innych cechach nic nie wiemy. Typowi Lombrosa brak tedy regularności i stałości[1].

[1] Baer: *Der Verbrecher in anthropologischer Beziehung.* 1893. — Manou-

To samo powiedzieć można o znamionach biologicznych i psychologicznych, które Lombroso przypisuje przestępcy jak n. p., że wszystkie kategorye wrażliwości są przytępione.

Co do skłonności zbrodniczych dzieci, to zjawiska tego nie można uważać za normalne, przeciętne. Zbiorowiska ludzkie nie mogłyby powstać z osobników zdradzających od początku popędy antyspołeczne [1]. Dzieci przedstawiające typ zbrodniczy nie są istotami normalnemi, lecz zwyrodniałemi [2].

Lombroso za przykładem innych antropologów i psychiatrów (np. Balleta) twierdzi, że istnieje kategorya zbrodniarzy, których zasadniczą cechę stanowi brak zmysłu moralnego: zwie ich obłąkańcami moralnymi [3]. Lombroso wykazuje wspólne cechy anatomiczne i biologiczne między zbrodniarzem i obłąkańcem moralnym. Tę tezę Lombrosa zbija dosadnie Baer [4], podnosząc przedewszystkiem, że zboczenia zmysłu moralnego są symptomatem tylko, nie odrębną jakąś chorobą. Są one objawem całego szeregu chorób mózgowych długotrwałych lub przejściowych. Zboczenie moralne nie może być uważane za chorobę umysłową, jeżeli mu nie towarzyszą inne cechy psychozy. Niema takiego obłędu moralnego, przy którym osobnik byłby obdarzony całą pełnią władz umysłowych, a wyłączne znamię jego obłędu stanowiła zbrodniczość. Niepodobna utożsamiać zbrodniarza od urodzenia z obłąkańcem moralnym choćby z tego powodu, że istnienie jednego i drugiego typu jest tylko hipotezą. Wiele osobników pozbawionych zmysłu moralnego nie wpada bynajmniej w zbrodnię. Z pomiędzy zaś obłąkańców moralnych, którzy popełnili przestępstwo, pewna ilość nie przedstawia żadnych ujemnych cech zbrodniarzy od urodzenia. Pomiędzy temi kategoryami, jakie szkoła włoska usiłuje stworzyć, są stadya przejściowe, czyniące wszelkie różnice

---

vrier: *Actes du congrès d'anthropologie criminelle.* Paris 1893. — Tarde w *Archiv anthr. crim.* 1889.

[1] Féré: *Dégénérescence et criminalité.* 1888.

[2] Magnon: *De l'enfance des criminels* (actes du congrès 2. d'anthropologie criminelle).

[3] Tamburini: *Contribute alla psich. crim.* (w *Rev. experiment.* 1886.

[4] L. c.

iluzorycznemi. Rzeczywistym obłąkańcom moralnym brak całkowicie spójni władz umysłowych: są to raczej chorzy od urodzenia.

Lombroso upatruje jako znamię wspólne zbrodniarza od urodzenia, a obłąkańca moralnego, tło epileptyczne.

Jednak często można spotkać asymetryę tam, gdzie niema epilepsyi. Niepodobna jej uważać za pierwiastek charakterystyczny newrozy [1]. Ślady zwyrodnienia znajdują się i u idyotów, u których skłonność zbrodnicza jest ograniczona [2]. Baer podnosi [3], że według tezy Lombrosa powinny być u przestępców wypadki epilepsyi częste, gdy tymczasem cyfry zebrane przez Baera, nie odpowiadają tej proporcyi. Znaleziono u przestępców niewielką przewagę procentu epileptyków w porównaniu z analogicznym procentem u osobników normalnych. Różnica ta jest mała i bez znaczenia.

Zbrodnia i epilepsya są to rzeczy zupełnie różne. Niektórzy przestępcy cierpią co prawda na epilepsyę, ale ich zbrodniczość nie jest skutkiem epilepsyi. Epilepsya może usposabiać do czynów gwałtownych, ale ich bynajmniej sama przez się nie wywołuje. Może ona nadawać zbrodni cechy specyalne, może ją w niektórych wypadkach kwalifikować, ale nie może zbrodni wytworzyć. Kirn [4] powiada, że drażliwość psychiczna pozwala w niektórych wypadkach podejrzywać istnienie newrozy, ale nigdy nie upoważnia do utożsamiania tych dwóch stanów. Nadto epilepsya może pochodzić z przyczyn bardzo rozmaitych. Zwłaszcza epilepsya utajona jest określona zbyt niedostatecznie, aby mogła służyć za podstawę dyagnozy zbrodniczości.

Szkoła antropologiczna uznaje zbrodniarza za indywiduum zwyrodniałe. Zwyrodniałość oznacza szereg procesów, wskutek których rodzina, rasa, gatunek, przeszedłszy w swym rozwoju ewolucyę postępową popada w stan regresu i przebywszy różne

---

[1] Garel: *Lyon médicale.* 1878.

[2] Wildermuth: *Über Degenerationszeichen bei Epileptikern und Idioten. Würtem. Medicinal- Correspondenz,* 1886.

[3] Baer l. c.

[4] Kirn: *Die Psychosen in der Strafanstalt. Allg. Zeitschr. f. Psych.* t. 45

stadya kończy bezpłodnością i wygaśnięciem gatunku [1]. Morel zastosował fakta te, znane w zakresie nauk przyrodniczych do zbiorowisk ludzkich. Z ogółu obłąkanych wydzielił on zwyrodniałych. Węzłem łączącym różne kategorye zwyrodniałych w jedną całość, grupę, jest dziedziczność.

Znamiona zwyrodniałości można podzielić na anatomiczne i psychologiczne. Te znamiona nie są jednakowo podzielone między zwyrodniałych. Nagromadzone w wielkiej ilości na najniższym stopniu, rzedną w stopniach wyższych, a u szczytu tylko znamiona socyologiczne mogą wytłumaczyć regres, istniejący w tem stadyum jedynie *in potentia.*

Pewna ilość tych znamion jest pochodzenia potwornościowego [2]. Cechami zwyrodniałości są zniekształcenia potwornościowe, wyrażające tendencyę rodzin zwyrodniałych do zatraty dziedzicznych właściwości rasy. Wszystkie one są wynikiem zaburzeń w rozwoju zarodkowym. Nietylko jednak znamiona morfologiczne mogą zdradzać zwyrodniałość. Inne znamiona zasługują również na uwagę, jako znamiona funkcyonalne. Znamiona te, występujące nieraz już w dzieciństwie, są zwiastunami chorób nerwowych.

W znamionach anatomiczno-funkcyonalnych zwyrodniałości ujawnia się brak przystosowania do życia indywidualnego, w znamionach socyologicznych do życia społecznego.

W miarę postępu badań nad zwyrodniałymi rzucał się w oczy fakt wspólności znamion między zwyrodniałymi a przestępcami [3].

---

[1] Dallemagne l. c. str. 168.

[2] Féré: *Dégénérescence et criminalité.* 1881.

[3] Magnan l. c. — Féré l. c. — Lombroso l. c. — Laurent: *L'anthropologie criminelle et les nouvelles theories du crime,* 1891. — *Les habitués des prisons de Paris.* — Drill: *L'homme criminel.* 1882. — *Les criminels mineurs.* 1884. — *Les principes fondamentaux de l'école d'anthr.* (Akta III-go kongresu antrop. krym.), »Psychofizyczne typy przestępności«. 1890 (streszczone w *G. S. W.* 1890, nr. 41)

Liszt stwierdza u licznych przestępców cechy zwyrodnienia. Polega ono na obciążeniu dziedzicznem, a objawia się skłonnością do zbrodni. Jest zadaniem antropologii zbadać, czy między zwyrodniałymi a przestępcami nie zachodzi łączność.

Patrz nadto Kirchaheim w przedmowie do tłumaczenia Lombrosa. — Nälcker w *Zeitsch.* Liszta XVII, str. 85. — Kurella: *Naturgeschichte des Verbrechens,* przeciw niemu Jäger: *Beitrag zur Lösung des Verbrecherproblems.* 1895.

Teorye powyższe spotkały jednak silną opozycyę ze strony kół miarodajnych. Ferri, zresztą zwolennik szkoły antropologicznej i jeden z jej głównych koryfeuszów, powątpiewa o trafności teoryi zwyrodniałości, mówiąc, że, aczkolwiek są zbrodniarze, u których zwyrodniałość fizyczna i psychiczna stanowi cechę dominującą, nie brak jednak i takich, którzy nie zdradzają żadnych podobnych symptomów.

Wedle Baera [1] niema w organizmie człowieka żadnej właściwości, którąby mogła wskazywać, że odnośny człowiek jest przestępcą. Wielu przestępcom nie można nic zarzucić ani co do kształtów ani wyglądu, a wielu nienormalnie zbudowanych nie ma skłonności do zbrodni. Gdy zaś geneza zbrodni tkwi w organizmie, dany osobnik jest chory. U przestępców można napotkać zboczenia anatomiczne, ale one nie pociągają za sobą niższości ani psychicznej ani moralnej, a znamiona zwyrodnienia są tylko zjawiskami współistniejącemi.

Większość tych zboczeń niema zresztą nic wspólnego z atawizmem, lecz jest tylko następstwem zaburzeń w odżywianiu lub skutkiem rachityzmu. Powołuje się Baer w tym względzie na prace Meynerta.

Opierając się na pracach Mathusiusa, Darwina i Nehringa przypomina, że tryb życia i przyzwyczajenia wywierają u zwierząt wpływ na zmianę kształtów ciała. To samo dzieje się i u człowieka pod wpływem wadliwego odżywiania i zaburzeń chorobowych. Wśród przyczyn wpływających na uformowanie czaszki stoi w pierwszym rzędzie rachityzm, jak to wykazują wyniki badań Bagińskiego, Henocha, Hirscha i Monti'ego.

Zbrodniarze mają często tego rodzaju znamiona dlatego, ponieważ należą zwykle do najniższych klas społeczeństwa, które najczęściej źle się odżywiają. Zniekształcenia nie powinny przechodzić drogą dziedziczności: tak przynajmniej należy sądzić po zwierzętach. Znamiona anatomiczne mają charakter nabyty i przypadkowy, nie dziedziczny [2].

---

[1] L. c.

[2] Marandon de Montyel (*De la criminalité et la dégénérescence* w *Arch. d'anthr. crim.* z 15/5. 1892). twierdzi, że wszelkie epizodyczne i przypadkowe

Przeciw teoryi zwyrodnienia występuje również dr Näcke [1]. Podnosi on, mówiąc o cechach zwyrodnienia u kobiet, że znamiona właściwe zbrodniarce można napotkać i u kobiety normalnej, pochodzą one najczęściej z nieprawidłowego odżywiania się lub są następstwem chorób. Znaczną część oznak należy przypisać zaburzeniom embryologicznym. A jakkolwiek spotykać można znamiona zwyrodnienia i u zbrodniarzy, nie można budować na tem pojęcia typu zbrodniczego: wiele z tych cech jest pochodzenia społecznego. Zbrodniarz porównany ze swem otoczeniem nie posiada często żadnej cechy charakterystycznej. Nie istnieje ani typ zbrodniczy ani żadna organiczna lub funkcyonalna predyspozycya zbrodniarza. Näcke przypisuje przeważny wpływ otoczeniu fizycznemu, ekonomicznemu i społecznemu.

Stosunek zbrodniczości do zwyrodnienia określa trafnie Dallemagne [2]. Można go ująć w trzy tezy:

1) Zwyrodniali mogą się stać przestępcami i stają się nimi częściej, aniżeli niezwyrodniali, gdyż gorzej przystosowują się do warunków życia normalnego i wymagań niezgodnych z czynami kwalifikowanymi prawnie jako zbrodnie;

2) niektórzy przestępcy mają znamiona zwyrodniałości. Choć znamiona te nie mogą być wskazówką czynów spełnionych przez posiadaczy owych cech, świadczą, że zbrodniarze ci są zwyrodniali;

3) istnieją zbrodniarze nie mający cech zwyrodnienia.

Teoryę Lombrosa uwypuklają i rozszerzają badania dwóch innych uczonych włoskich, tworzących razem trójcę znaną w teoryi. Są to Ferri i Garofalo. Każdy z nich, choć wszyscy wychodzą z wspólnego stanowiska, prowadzi swe badania nad przestępcą w innym kierunku. Ferri bada stronę psychologiczną, Garofalo odziewa w szatę prawną to, co Lombroso podaje ze stanowiska anatomii [3].

---

cechy albo psychiczne znamiona zwyrodnienia są bez znaczenia dla zbrodniczości. Przy obłąkaniu występuje zbrodniczość odwrotnie do stopnia zwyrodnienia.

[1] *Verbrechen u. Wahnsinn beim Weibe.* 1894.

[2] *Dégénéres et déséquilibrés.* 1894.

[3] Ferri: *La scuola positiva di diritto criminale.* 1883. — *I nuovi orizzonti*

»Każda zbrodnia, powiada Ferri, jest wypadkową równoczesnego i niepodzielnego współdziałania tak warunków biologicznych zbrodniarza, jak i warunków otoczenia, w których się ten rodzi, żyje i działa«. Przeważa jednak działanie czynników biologicznych; bez ich współdziałania wszystkie inne warunki, fizyczne i społeczne nie mogą wytłumaczyć ani wszystkich form zbrodni ani zbrodni samej.

Garofalo badając *le cause dei delitti* [1], wywodzi, że przestępstwo ma źródło w wadzie organicznej: przestępca zaś stanowi typ odbiegający od normalnego a raczej od uznanego za normalny w danem społeczeństwie.

Przestępstwo jest to czyn łamiący normę życia społecznego tak wielkiej wagi, że jego niemoralność musi być powszechnie uznana. Opinia powszechna, od której uznania zależy uznanie czynu jakiegoś za przestępstwo, jest to opinia wyższych klas *(le razze umane superiori)* w społeczeństwie cywilizowanem lub na pół ucywilizowanem. U tych spotykamy uczucie altruistyczne podstawowe, a mianowicie miłosierdzie *(benevolenza)* i prawość *(giustizia)*. Przestępstwem obraża sprawca jedno z tych uczuć zasadniczych. To jest przestępstwo naturalne. Obok tego rozróżnia Garofalo czyny naruszające jedynie specyalne ustawy danego państwa: są to przestępstwa stworzone przez prawodawstwo, nie będące jednak przestępstwami naturalnemi.

Powyższe cechy przestępstwa nie wyjaśniają jednak, kogo można uznać za zbrodniarza. Wedle Garofala czyn zbrodniczy nie jest faktem odosobnionym, ale zboczeniem moralnem, którego substrat tkwi w cechach znamionujących zbrodniarza, a zbadanych przez antropologię i psychologię kryminalną. Przestępca jest istotą zupełnie odrębną. Jeśliby zresztą odrzuciło się antropologiczny typ zbrodniarza, to istnieją w każdym razie trzy typy fizyogno-

---

del delitto et della procedura. 1884. *(Sociologia criminale), Sui limiti fra delitto penale et anthropologia criminale.* 1885. *La teoria dell' imputabilità e la negazione del libero arbitrio. — Sur la valeur des conditions individuelles physiques et sociales, qui déterminent la crime* (Akta III-go kongr. antr. krym.) 1889.

Garofalo: *Criminologia.* 1885.

[1] L. c. str. 87—201.

miczne: morderca, gwałtownik i złodziej. Zbrodniarz typowy, to istota, której brak zupełnie altruizmu; jest to moralny potwór, posiadający cechy wspólne dzikim, oraz inne znamiona, które go stawiają poniżej człowieka wogóle.

Garofalo więc trzyma się jeszcze typu zbrodniczego Lombrosa. Co do tego, to odwołujemy się do naszych wywodów i przytoczeń do teoryi Lombrosa. Dodać jednak wypada, że definicya przestępstwa dana przez Garofala jest zbyt szeroka i elastyczna. Pojęcie »miłosierdzia« i prawości jest zbyt obszerne; stąd jako przestępstwo możnaby wedle Garofala prawie każdy czyn człowieka skwalifikować. Jeżeliby tego rodzaju pojęcie przestępstwa przeniknęło do ustawodawstw karnych, wszyscy prawie musieliby popaść pod karzącą rękę sprawiedliwości.

Przestępców dzieli Garofalo na *instintivi* i *fortuiti*. Podział podobny do podziału Lombrosa. *Instintivi* odpowiadaliby mniej więcej zbrodniarzom od urodzenia Lombrosa, pojęcie *fortuiti* obejmowałoby dwie pozostałe kategorye.

Szkołę włoską zwalcza Colajanni[1], tworząc teoryę atawizmu psychicznego. Badania antropologów wedle Colajanni'ego opierają się na 3 przypuszczeniach: 1) stosunku między ustrojem fizycznym a moralnym; 2) stosunku między organami a funkcyami; 3) stosunku między mózgiem, inteligencyą i moralnością.

Przypuszczenia te uznaje Colajanni za bezzasadne. Stosunek między ustrojem fizycznym a moralnym polega na pomięszaniu pojęć. Przypuszczeniu zaś, że organa i funkcye stoją we wzajemnej łączności, przeczy istnienie organów obecnie już nie funkcyonujących i współistnienie organów podobnych o rozmaitych funkcyach.

Przypuszczenie zaś, że zachodzi łączność między mózgiem, inteligencyą a moralnością, zwalcza Colajanni na podstawie pewników, że kilka stref mózgu może kierować jedną funkcyą, że odwrotnie jednej i tej samej części mózgu przypisuje się wiele funkcyi, że ze stanowiska funkcyonalnego rozmaite zasadnicze

[1] *La sociologia criminale.*

organa mózgu mogą się wzajemnie uzupełniać i kompensować. Zarzuca szkole Lombrosa, że nie liczy się z takimi czynnikami, jak rasa, pochodzenie, wiek płci, stanowisko społeczne i t. p. Z badań Lombrosa możnaby wysnuć ten wniosek, że przestępca nie posiada żadnych właściwych sobie cech. Ze swej strony twierdzi, że przestępcy posiadają te same cechy fizyczne i funkcyonalne, co ludzie normalni. Pewną wyrazistość tych cech powodują w ogólności specyalne warunki bytu zbrodniarzy.

Colajanni wytyka szkole Lombrosa cały szereg niezgodności z wynikami nauki. I tak Lombroso przypisuje przestępcy większą pojemność, podczas gdy Manouvrier [1], Raube, Heger [2], Dallemagne [3] znaleźli u zbrodniarzy pojemność mniejszą od przeciętnej. Asymetrya twarzy jest wedle Topinarda [4] wskaźnikiem wyższości. Kształt głowy nie świadczy o zbrodniczości, lecz jest wskaźnikiem rasy. Zwyrodnienie nie świadczy o zbrodniczości, gdyż do stref najbardziej zbrodniczych należą te, w których zwyrodnienie występuje najsłabiej.

Colajanni występuje przeciw identyfikowaniu zbrodniarza z obłąkaniem. U zbrodniarza pobudki czynu przychodzą z zewnątrz, a u obłąkanych przestępców zależy od warunków wewnętrznych.

Występuje przeciw uważaniu zbrodniarza za epileptyka, neurastenika lub zwyrodniałego: niepodobna też przypuścić atawizmu fizycznego. W tym ostatnim wypadku należałoby przyjąć, że wśród przodków istniał typ o cechach zbrodniarzy. Jest to o tyle nieprawdopodobne, że większość cech przypisywanych zbrodniarzom nie da się pogodzić z prawidłowem rozmnażaniem się, nie można ich zatem przypisać choćby rasom najniższym.

Zbrodniarz wedle Colajanni'ego jest dotknięty atawizmem

---

[1] *Existe-t-il des caractères anatomiques propres aux criminels* (Akta II-go kongr.). — *Question préalable à l'étude comparative des criminels et des honnêtes gens.* (Akta III-go kongr.) — *La genèse normale du crime. Société d'anth. de Paris.* 1895.

[2] *La question de la criminalité au congrès de médecine mentale à Anvers.* 1885.

[3] *Etiologie fonctionelle du crime* (Akta III-go kongr.)

[4] *Criminologie et anthropologie* (Akta II-go kongr.) — *L'anthropologie criminelle* w *Rec. d'anthr.* 1887.

psychicznym. Atawizm psychiczny jest to powrót niektórych ludzi danej rasy do cech właściwych poprzednim fazom ich rozwoju.

A więc wedle Colajanni'ego atawizm psychiczny zamiast fizycznego. Niewielka to różnica: Jeżeli, jak szkoła antropologiczna przyjęła, ukształtowanie fizyczne wywiera wpływ na psychę człowieka, to i przekazane dziedziczne cechy fizyczne w podobny sposób będą oddziaływały na duchową stronę człowieka, jak u jego przodków, którzy mu swe fizyczne cechy pozostawili w spadku. Za dziedzicznością jednak czy cech fizycznych czy psychicznych nie przemawia nic prócz gołosłownych hipotez lub sporadycznych, przeważnie przypadkowych faktów. Colajanni jednak nie przedstawił naukowo, psychologicznie, jak sobie wyobraża takie dziedziczenie psychicznych właściwości, dlaczegoby one miały przechodzić z pokolenia na pokolenia. My jednak wiemy że wytworzenie charakteru, a więc sumy cech psychicznych danego osobnika zależy od jego woli, od jego pracy nad sobą. Że zarodki pewnych prymitywnych właściwości można odziedziczyć tak, jak dziedziczą zwierzęta pewne zasadnicze cechy usposobienia swego, skłonności i instynkty, to pewna. Ale te cechy, to tylko zarodek; i podczas gdy zwierzęta, nie mając żadnej władzy panującej nad wewnętrznem ja, którego zresztą nie posiadają, cechy te zatrzymują, w człowieka mocy jest temu, co w nim tkwi *in potentia,* nadać ten lub ów kierunek.

II.

Kiedy szkoła antropologiczna ze wszech stron atakowana, zaczęła tracić kredyt w nauce, podniosły się nowe teorye, świeżych dróg szukające dla prawa karnego. Wolna wola zdawała się być już pogrzebana, chodziło tylko o to, by módz jakoś poradzić sobie bez niej, a znaleźć mimo to naukową podstawę dla nauk kryminalnych. I znaleźli. Powstaje szkoła socyologiczna, grupująca się w »Międzynarodowym związku kryminalnym«, mająca swe organa fachowe we Francyi *Archives de l'anthropologie criminelle et des sciences pénales,* w Niemczech *Zeitschrift für die gesammte Strafrechtswissenschaft* krótko zwane od głównego wydawcy *Zeitschrift* Liszta.

Zarodki doktryny socyologicznej spotkać można u Ferri'ego, Garofala, Colajanni'ego. Wedle socyologów typ antropologiczny przestępcy nie istnieje. Przestępstwo jest czynem szkodliwym społecznie. Na nie wpływają z jednej strony psychiczne właściwości sprawcy, kształtowane pod wpływem czynników działających na jego rodziców w chwili urodzenia, na niego od urodzenia i w chwili popełnienia czynu, wreszcie otoczenie, warunki społeczne, otaczające przestępcę *(milieu social)* [1].

Przestępca jest tedy koniecznym wynikiem otoczenia, wśród którego przyszedł na świat, w którem żyje. Zawód, w którym pracuje, klimat, używanie pokarmów i napojów, pora roku, to wpływy, od których zależy wzrost lub spadek ilości przestępstw. Zawód rolniczy, życie na wsi powoduje inne rodzaje przestępstw, niż zawody przemysłowo-handlowe i przebywanie w wielkich środowiskach ludzkich, miastach lub centrach fabrycznych. Oddziaływają na siebie wzajemnie współżyjące obok siebie osobniki ludzkie przykładem. Jednostka naśladuje otaczające ją społeczeństwo, jednostki niższe patrzą i idą za przykładem jednostek wyższych. Tak rozpowszechniają się czyny przestępne z miast do wsi, z warstw górnych do dolnych [2].

Szkoła socyologiczna zaprzecza tedy zupełnie prawie wolności woli. Czynniki społeczne, środowisko, wśród którego żyje jednostka, czy też prawo naśladownictwa Tarde'a, to pobudki działające na wolę z niepokonalną koniecznością. Czy możemy przypuścić istnienie takich praw koniecznych, odpowiada rzeczy-

---

[1] Vaccaro: *Genezi e funzione delle leggi penali.* 1889. — Turati: *Il delitto e la questione sociale.* — Laccassagne, t. VI: *Programme d'études nouvelles en anthropologie criminelle.* — Przedmowa do Laurenta: *Les habitués des prisons de Paris.* — *De la criminalité chez les animaux* (w *Rev. scient. de la France et de l'étranger.* 1882), — Tarde: *La criminalité comparée.* 1886. *Les lois de l'imitation.* 1890. *Études pénales et sociales.* — Joly: *Le crime.* — Schäfer: *Zeitsch.* Liszta XVI, 160. — Prius: *Criminalité et répression.* 1886. *Science pénale et droit positif.* — Raux: Akta II-go kongr. Contagne: Akta II-go i III-go kongr. *De l'influence des professions sur la criminalité.* Orszański: Akta II-go kongr. — Guillot: *Les prisons de Paris.* 1890. — Gourer: *La théorie du crime Arch. d'anthr. crim.* 1894.

[2] Tarde: *La criminalité comparée.* — *Les lois de l'imitation.*

wistości, mówiliśmy na początku tej pracy. To samo możemy odnieść do prawa naśladownictwa. Wiemy, że przykład idzie z góry, że *exempla trahunt*, to stara mądrość życiowa, o czem świadczy, że skrystalizowała się i w przysłowiach. Ale przykład nie może działać koniecznie: może zachęcić, skłonić, dać impuls: zdeterminować woli nie może.

W prawie karnem, w postępowaniu przed sądem, zasadnicze jest pytanie, czy odnośna osoba winna jest przestępstwa. Wina, poczytanie jej sprawcy czynu wpływa na ukaranie, względnie uwolnienie od zarzutu. A jak można poczytać komu czyn przestępny, gdy ten działał pod wpływem koniecznych motywów, które działanie zdeterminowały? Liszt pociesza nas mówiąc, że winę ruguje ustawodawstwo i praktyka sądowa ze swego zakresu, że przestępstwo pojmują w sposób zupełnie zmieniony [1]. Słaba to pociecha, bo fakta mówią przeciwnie. Pojęcie winy istnieje dalej w kodeksach karnych, stanowi oś, około której obracają się rozprawy sądowe. Szkoła socyologiczna, sam nawet Liszt, choć przeczy potrzebie tego pojęcia, przyjmuje winę. W rzeczywistości jednak operuje on tylko tym terminem, podstawiając podeń zupełnie inne znaczenie. Sposób to wypróbowany, by nieznacznie przemycić pod dawnemi nazwami pojęcia dotąd obce, świeże. Dotąd rozumieliśmy przez winę dobrowolne przekroczenie obowiązującego nakazu [2]. Według Liszta jest przestępstwo zawinione, jeśli sprawca popełniając je przewidział skutek przestępny, a mógł i chciał go przewidzieć [2]. Działanie tedy sprawcy musi wychodzić nie tylko objektywnie z objawu woli sprawcy, ale i subjektywnie musi leżeć w zawinieniu jego. Taki postulat wydaje się dość

[1] Liszt: *Mitteilungen des int. Crim. Vereines.* IV, 136.

[2] Berner: *Lehrbuch des deut. Strafrechtes* 16 wyd., str. 74: »Moralna wolność człowieka polega na tem. że gdy egoistyczne i etyczne pobudki walczą w nim, może pójść za pobudkami etycznemi. Zresztą może siła tych pobudek, które sprzeciwiają się postanowieniu etycznemu, wzróść coraz więcej i utrudnić to postanowienie. Nadto jest siła woli u jednych silniejsza, u drugich słabsza; im trudniejszy opór moralny, tem mniejsza wina tego, który uległ. Poczytalność pozostaje jednak koniecznem założeniem, aby przyjąć jakikolwiek stopień winy«.

[3] Liszt: *Lehrbuch* I, 142.

dziwny ze stanowiska Liszta. Widocznie pragnie on tak określić działanie zawinione, aby się prawie pokrywały z dotychczasowem pojęciem [1].

Wina zaś jest wedle Liszta ten subjektywny stosunek sprawcy do zaszłego bezprawnego skutku, z którym się łączy prawna odpowiedzialność, czyli innemi słowy ten stosunek sprawcy do działania bezprawnego, który ulega karze. To określenie nic określa właściwie niczego. Nie wyjaśnia nam, kiedy zostaje zawiązany stosunek człowieka do działania, który prawo karze, jakie kryterya tego stosunku, dlaczego w pewnych wypadkach prawo winno wystąpić, w innych zachować się obojętnie. Ale Liszt wyjaśnia dalej, wina opiera się na poczytalności skutku i poczytności sprawcy. Skutek można poczytać sprawcy, jeśli on go przewidział lub mógł był przewidzieć. Poczytny zaś jest każdy umysłowo dojrzały i zdrowy człowiek [2]: poczytność zaś jest normalna wrażliwość na pobudki [3]. Określenie to poczytności jest za ciasne. Wedle niego dzieci nie miałyby żadnej poczytności, bo nie są ludźmi umysłowo dojrzałymi: nie ciężyłaby zatem na dzieciach żadna odpowiedzialność ani wedle praw Boskich ani ludzkich. Taki wniosek jest jednak niedopuszczalny. Aby kogo uważać za poczytnego, potrzeba aby miał używanie rozumu i mógł oceniać trafnie swe działanie, i aby w swych postanowieniach był wolny.

Ponieważ zaś rozsądek, trafność sądu i poznanie nie są jednakowe u wszystkich ludzi, przeto i wolne postanowienie z tem złączone może być mniej lub więcej doskonałe, a zatem poczytność mniejsza lub większa [4]. Nie jest to zmniejszona poczytność, jak ją rozumieją nowe szkoły. Naszem bowiem zdaniem, są tu tylko dwie alternatywy: sprawca był poczytny, więc należy mu przypisać winę, albo nie był, wtedy niema winy. *Tertium non datur.* Co innego jest złagodzenie kary ze względu na wiek, mniejszy rozsądek sprawcy i t. p.; nie zachodzi zmniejszona poczytność, lecz ze względu na mniejszy stopień winy kara się obniża. Liszt

[1] Cathrein: *Das Strafrecht der Zukunft.*
[2] Liszt: *Lehrb.* 1. str. 142.
[3] *Mitt.*
[4] Cathrein: *Das Strafrecht der Zukunft.*

sam zresztą występuje przeciw pojęciu zmniejszonej poczytności podnosząc, że mniej poczytny bywa łagodniej karany, co jest przeciwne bezpieczeństwu społecznemu. Czyn bowiem, choć spełniony przez mniej poczytnego, nie jest mimo to mniej niebezpieczny dla porządku prawnego [1].

Definicya poczytności Liszta nie wystarcza z innego powodu. Jeśli polega ona na *normale Bestimmbarkeit durch Motive*, to należy uznać za poczytnych i słabych na umyśle i obłąkanych, a nawet zwierzęta. Takich konsekwencyi nie wyciąga co prawda szkoła socyologiczna. Owszem i wedle jej nauki brak dojrzałości i choroba umysłowa wyklucza poczytność [2]. Wyprowadzając jednak logiczny wniosek z określenia Liszta, winniśmy i im przypisać poczytność. Obłąkani, zwierzęta kierują się również pobudkami, a w szczególności obawą kary. Jeśli im się za czyn jakiś wyrządzi jakąś nieprzyjemność, unikają tego działania. Widzimy to i u zwierząt i na tem polega np. ich tresura. To samo odnieśćbyśmy mogli do definicyi Löfflera, że poczytny a raczej biernie karalny jest ten, u którego w czynach przejawia się wrażliwość na karę: normalnie wrażliwy jest ten, kto da się skłonić do takiego postępowania, któreby go ponownie nie naraziło na karę. Löffler, choć polemizuje z Lisztem, w gruncie rzeczy schodzi na jedno, a raczej ścieśnia nawet zakres określenia Liszta. Liszt stawia jako kryteryum poczytności wrażliwość na pobudki wogóle, Löffler tylko na jeden rodzaj pobudek, na karę.

---

[1] Liszt: *Die strafrechtliche Zurechnungsfähigkeit* w *Zeitschr.* XVII, 1897, str. 70 nast.

[2] Liszt l. c. *Zeitschr.* XVII. — Lilienthal (*Mitt. des intern. Crim. Vereines* II, 64) mówi, że niepoczytalni są nałogowi przestępcy, jako nienormalni i moralnie chorzy. (Zwalczana przez nas teza antropologów!) «Są osoby, które nie dają na się wpłynąć nawet możliwie najdoskonalszymi środkami. Ci nie są pobudliwi, a więc niepoczytni«. Do nich liczy takich, których pobudliwość opiera się na wadliwej organizacyi ich życia duchowego, obłąkanych przestępców od urodzenia, u których uczucia altruistyczne albo całkiem nie istnieją, albo obniżyły się w pierwszej linii przez zaszłe zmiany umysłowe. — Prins (w *Science pénale*) dzieli przestępców: 1) *L'homme moyen capable se conduire normalement, ou encore de se laisser influencer normalement par les motifs d'action* (str. 170); 2) niepoczytnych chorych umysłowo; 3) klasę pośrednią (alkoholików, impetyków, epileptyków str. 20, 232, 234, 404).

Przeciw poprzedniemu naszemu zarzutowi mógłby jednak Lisz podnieść, że mówi tylko o pobudliwości umysłowo dojrzałego i zdrowego człowieka. Nie wiemy co prawda, co wedle Liszta stanowi różnicę między ludźmi a zwierzętami. Choćby jednak przyjął jaką istotną różnicę, niema ona znaczenia dla poczytności. Wedle naszego zapatrywania głównym warunkiem poczytności jest wolność. Jeśli zaś ktoś nie ma wolności, lecz determinują jego czyny pobudki, to obojętne, czy ma zdolność poznania tych pobudek w większym lub mniejszym stopniu rozwiniętą. Jeśli zaś Liszt chce zaznaczyć silnie normalną pobudliwość, to musi nałogowemu przestępcy zaprzeczyć poczytności. Sam przyznaję, że u takiego przestępcy czyn pochodzi z właściwości wrodzonej, świadczy o głęboko zakorzenionym pociągu do złego. Należałoby go uważać za moralnie chorego. Wniosek taki wyciągnął też Lilienthal na drugiem zebraniu międzynarodowego związku kryminalnego [1].

Sam Liszt przyznaje, że nie można podać ogólnej cechy poczytności [2]. Z tego wynikałoby, że cały kunsztownie zbudowany gmach jego nauk w poczytaniu nie posiada praktycznej wartości, że nie doprowadza do żadnych rezultatów.

Inaczej określa poczytność i poczytanie Höfler [3]. Poczytanie jest to sąd przypisujący czyn temu, nastrojowi woli, który jest stałym charakterem sprawcy. Poczytny zaś jest człowiek, który czyny swe trzyma tak w karbach, że zawsze można je położyć na karb jego osoby. Własną osobą człowieka jest jego charakter w odróżnieniu od przemijającego usposobienia. Człowiek jest dopóty poczytny, póki posiada choć w najmniejszym stopniu zdolność przeciwstawienia swej indywidualności prądom niezgodnym z nią.

Poczytność Höflera nie różni się od poczytności osób żyjących w zgodzie z prawem. Błędnie jest dlatego szukać dla poczytności karnej specyalnego uzasadnienia.

Liszt błędnie oznaczył poczytanie za sąd przedmiotowy i nie dał jego pojęciu podstawy psychologicznej.

---

[1] Patrz *Mitteil.* II. 64 cyt. wyżej.

[2] W *Zeitsch.* XVIII, str. 229 nast.

[3] *Sieben Thesen* (cyt. powyżej).

Höfler trafnie określa poczytanie za pojęcie psychologiczne. Nie odpowiedział jednak na pytanie Liszta, dlaczego zarówno nie poczytujemy wszystkim ich czynów i czy można ustalić poczytność o tyle, by podzielić ludzi na zdolnych i niezdolnych do ponoszenia kary.

Wedle Höflera trzebaby ustalić, co uchodzi za stały charakter człowieka. Zboczenie od tego charakteru, czyn niezgodny z tym charakterem wykluczałby poczytanie. Z drugiej strony osoby dotknięte np. manią okradania należałoby uznać za poczytne, bo to odpowiada ich stałemu charakterowi. Na tym jednak punkcie staje Höfler obok Liszta, gdyż zarówno z nim odrzuca podział na ludzi zdolnych i niezdolnych do ponoszenia kary. Brak u Höflera granicy między zdolnymi do odpowiedzialności, a niezdolnymi, gdyż u obu kategoryi może rysować się zasadniczy charakter. Sam musi przyznać, że i waryat ma swój zasadniczy charakter, który się przejawia w jego czynach.

Stąd zastąpienie moralnej pobudliwości Liszta pojęciem Höflera nie na wiele się przydaje: doprowadza do podobnych wyników [1].

III.

Zadaniem głównem, do którego zmierza prawo karne, dlaczego ma jedynie praktyczną racyę bytu, jest wymiar kary. Na tym punkcie martwa teorya wpływa na praktykę, czerpiąc znów z doświadczeń ostatniej materyał do swych badań. Poczytanie czynu, uznanie winy sprawcy to środki do celu, jakim jest wymierzenie kary odpowiedniej przewinieniu. Dlatego uzasadnieniem kary zajmowały się od dawna liczne zastępy filozofów i prawników: zaś zaprowadzenie i wykonywanie racyonalnego systemu karnego, to główna oś, koło której obraca się cała polityka kryminalna. Najlepszem kryteryum trafności systemu czy teoryi karnej lub praktycznego ustawodawstwa karnego jest ocena, czy sy-

[1] Krzymuski: »Represya i poczytanie przestępstw« w *Czasop. prawn. i ekon.* r. 1900, str. 46 nast.

stem kar przez nie podany odpowiada celowi, czy stosownej odpłaty, czy praktycznych celów kary.

Przypatrzmy się tedy, jakie wnioski dla praktyki karnej naturalnie na razie *de lege ferenda* wyciągają przeciwnicy wolności woli, jaki tworzą system karny.

Jak wszystkie teorye, któreśmy omawiali, łączą się w zaprzeczeniu wolności woli, tak i konsekwentnie występują one przeciw karze, jako odpłacie za czyn przestępny. Rzecz naturalna: trudno bowiem człowieka karać za czyn, do którego był zdeterminowany, czy przez przyrodzone właściwości swoje, jako przestępca urodzony, czy przez motywy działające z koniecznością, którego tedy nie mógł zaniechać.

Wszelkie uzasadnienie filozoficzne kary jest zbyteczne wedle teoryi powyższych. W szczególności nie można wprowadzać kary z boskiego nakazu lub uzasadnienia metafizycznego, wychodzącego poza zakres empiryi [1]. Jeśli przez to ma się rozumieć tylko tyle, że dla prawnika wystarczy umotywowanie prawa karania państwa koniecznością utrzymania porządku prawnego, z takiem zastrzeżeniem możnaby przyjąć zdanie Liszta. Ale jakie są podstawy prawne samego państwa? Państwo powstało w czasie; skąd tedy występuje z roszczeniami, abyśmy się poddali jego przepisom, a w razie nieposłuszeństwa nadaje sobie prawo wymuszenia posłuchu wyrządzeniem bólu, represyą karną. Filozofia prawa musi się zająć i tem pytaniem, starać się je ściśle zbadać i rozstrzygnąć [2].

Tymczasem wedle teoryi szkół tak antropologicznej, jak i socyologicznej nie ma mowy o karze, jako o odpłacie. Państwo, jak każda jednostka ma z jednej strony prawo do obrony koniecznej przed naruszeniem jego całości, z drugiej obowiązek ochrony społeczeństwa przed zaburzeniem porządku prawnego [3]. Środki,

---

[1] Liszt: *Lehrbuch.* I. str. 64—65.

[2] Cathrein: *Das Strafrecht der Zukunft.*

[3] Ruf: *Criminaljustiz, ihre Widersprüche und die Zukunft der Strafrechtspflege.* — Lombroso l. c. i *Sull' incremento del delitto in Italia.* — Ferri l. c. — Garofalo l. c. — Alimena: *La riprensione giudicale et la sospensione della pena. La premeditazione in rapporto alla psicologia, al diritto, alla legislazione comparata.* 1887. — Tarde l. c. — Prins l. c. — Liszt: *Lehrbuch.*

jakich w tym celu używa, są dwojakiej natury, prewencyjne i represyjne [1].

Środki prewencyjne, to poprawa stosunków społecznych, usuwanie motywów determinujących przestępstwo. Wymaganie bardzo trafne. Dobra organizacya administracyjna, odpowiednie ustawodawstwo społeczne mogą wpłynąć dodatnio na zmniejszenie przestępności, działać umoralniająco. To jednak nie należy do zakresu prawa karnego, jest to rzeczą polityki administracyjnej państwa, względnie inicyatywy samego społeczeństwa (n. p. liga antyalkoholiczna, antypojedynkowa), prawo karne ma za zadanie tylko represyę przestępstw, może zajmować się tylko środkami represyjnymi.

Represya przestępstw ma na celu przez ukazanie odstraszyć i innych od popełniania przestępstw, a poprawić przestępcę, wzbudzić w nim motywy społeczne. Represya powinna kierować się wedle właściwości przestępcy [2]. Środki, które w tym celu służą, dzielą się na dwa rodzaje wedle tego, czy mają być stosowane do przestępców, jak antropologowie nazywają ich, z urodzenia, lub nałogowych wedle terminologii szkoły socyologicznej; czy też mają być stosowane względem przestępców przypadkowych. Przestępca nałogowy, u którego przez czyn przestępcy okazuje się głęboko zakorzeniony popęd zbrodniczy [3]. U takiego przestępcy widoczne jest zwyrodnienie pochodzące z dziedzicznego lub nabytego obciążenia, prowadzi on zarobkowo przestępny tryb życia [4]. Niepoprawność objawiająca się z nałogu, może okazać się już przy pierwszem przestępstwie przychodzącem do osądzenia, nie potrzeba wyczekiwać nieraz powtórzenia, by skwalifikować przestępcę za niepoprawnego [5]. Przestępców od urodzenia czy nałogowych należy uczynić nieszkodliwymi przez wyeliminowanie ich ze społe-

---

[1] Cytowane dzieła Despine'a, Lombrosa, Ferri'ego, Garofala, Tarde'a, Liszta, Prinsa, Turati'ego, Laccassagne'go, Joly'ego, Drilla, nadto Hamel: *Bulletin de la commission pénitentiaire.* Nr. 15, 1884.

[2] Liszt: *Lehrbuch* 60.

[3] Tamże 61—62.

[4] Lilienthal: *Mitteilungen des I. C. V.* II, 72.

[5] Liszt: *Lehrbuch* 58.

czeństwa, czyto zamykając w szpitalach jako nieuleczalnie chorych *(manicomi criminali)*, czy w więzieniach, czy też skazując na karę śmierci. Przestępców przypadkowych, z namiętności, zdolnych do poprawy należy przez kary czasowe odstraszać od popełniania dalszych przestępstw, lub wzmacniając w nich wstrząśnięte wyobrażenia lub przetwarzając wpływ na charakter sprawcy. Nie będziemy tu wchodzili w szczegóły całego systemu kar względnie środków mających prowadzić do tego celu, bo to nie należy do zakresu naszej pracy. Patrząc jednak na te ogólne zarysy teoryi karnych powyżej przedstawione, musimy podnieść [1], że przy takiem pojmowaniu kara jest tylko środkiem prewencyjnym przeciw nowym przestępstwom, nie jest karą we właściwem znaczeniu, sędzia członkiem policyi państwowej lub organem przymusowego wychowania publicznego. Przestępca widziałby w państwie tylko organizacyę, która się broni przed nim powagą siły fizycznej. Wobec tego starałby się ułożyć swoje życie możliwie najrozkoszniej, tak jednak, aby uniknąć ramienia sędziego. A schwytany żałowałby jedynie nie popełnienia tego czynu przestępnego, bo ten musiał popełnić, był dość zdeterminowany, lecz jedynie bałby się kary tak, jak zwierzę schwytane przez człowieka na działaniu mu zakazanem drży przed biczem, który widzi w ręce swego pana [2].

Obok tych ogólnych zarzutów podnieść musimy i zarzuty natury więcej praktycznej. Sędzia mając przed sobą przestępcę musi przedewszystkiem ocenić, czy podsądny należy do kategoryi niepoprawnych, lub czy przestępstwo jest u niego tylko zdarzeniem przypadkowem. Musi tedy postawić dyagnozę przestępcy, zbadać jego najskrytsze tajniki duszy, jego właściwości i znamiona fizyczne. W tym celu musi znać antropologię, biologię, socyologię, psychologię i t. p. gałęzie nauk, posiadając obok tego głębokie praktyczne doświadczenie. Przyznać trzeba, że to ogrom wiedzy ponad siły jednego człowieka. Ale pomimo, że posiadł te wszystkie umiejętności, nie koniec tu jeszcze trudności wszelkich. Dyagnoza postawiona przez sędziego nie może być nieomylna,

[1] Zarzuty przeciw teoryi poprawy i odstraszenia u Krzymuskiego: »Wykład prawa karnego«. Tom I, str. 29—40.

[2] Cathrein: *Das Strafrecht der Zukunft.*

wprost niepodobna zbadać, czy przestępca stojący przed sądem należy do kategoryi *Zustands-* czy *Gelegenheitsverbrecher*, czy jest poprawny, czy niepoprawny. Liszt sam uznaje tę trudność i jako rozwiązanie podaje wyrok nieoznaczony *(indeterminata sententia)*. Sędzia ma oznaczyć tylko rodzaj kary, czas trwania zaś zależy od powzięcia wiadomości, czy dany osobnik przez wykonanie kary osiągnął poprawę: wtedy karę uważa się za ukończoną. Czy poprawa nastąpiła, mają orzec samoistne organa nadzoru więziennego [1].

Wyroki nieoznaczone nie usuwają trudności, przekładają ją tylko z ramion sędziego na barki innych organów sprawiedliwości. Tak samo bowiem i władze więzienne, choć mają sposobność obserwować skazańca, nie mają kryteryum do stwierdzenia, że przestępca osiągnął cel kary. *De internis nil iudicat praetor*, co się dzieje we wnętrzu człowieka, może się dowiedzieć tylko o tyle, o ile to się objawia przez działanie na zewnątrz. Jeśli zaś dany osobnik panuje nad swemi myślami i przekonywaniami, nie uzewnętrznia ich lub działa rozmyślnie wbrew swym przekonaniom, wtedy niepodobna zbadać istotnej treści duszy. Poprawa, to proces wewnętrzny. Przestępca może przez złudne objawy zewnętrzne wpoić obserwującym go przekonanie, że się już poprawił, gdy tymczasem poprawa nie nastąpiła lub wogóle nastąpić nie może, bo on jest niepoprawny w istocie, (naturalnie wedle teoryi przeciwników wolności woli, bo zwolennicy nie uznają kategoryi niepoprawnych). Postępowanie zwolenników klasycznej szkoły karnej z przestępcą nie podlega tylu zasadniczym zarzutom. »Sędzia, jak to opowiada z przekąsem Liszt [2] o nauce szkoły klasycznej — ma sądzić tylko pojedynczy czyn stanowiący przedmiot oskarżenia, czyn wyrwany z życia sprawcy. Za czyn przedstawiony do osądzenia, ma sprawca odpokutować, a gdy się to stało, uważa się czyn za odpokutowany; *ne bis in idem*«. »Teraz leży sztuka ustawodawcy w tem, aby dla pewnego oznaczonego przestępstwa znaleźć stosowny rodzaj kary i postawić go w obrębie

[1] *Mittteil. des In. Cr. V.* II, 141—142.
[2] *Mitteilungen des In. Cr. V.* II, 138.

pewnego najwyższego i najniższego wymiaru do rozporządzenia sędziemu karnemu. Następnie szuka się cięższych (kwalifikowanych) przypadków tego samego przestępstwa, podwyższa się dla nich najniższy lub najwyższy wymiar, albo też i oba, albo nawet przechodzi się do cięższego rodzaju kary. To samo robi się w drugą stronę z lżejszymi (uprzywilejowanymi) wypadkami. Może dopuszcza się jeszcze wszędzie okoliczności łagodzące i obciążające i mielibyśmy potem szczęśliwie treść różnych zagrożeń karnych: wszystkie stopniowane wedle objektywnej ciężkości czynu [1]«. Z tej parafrazy wyglądałoby co prawda, że osoba przestępcy jest dla ustawodawcy hołdującego nauce szkoły klasycznej i sędziego rzeczą obojętną, że nie uwzględnia się indywidualności przestępcy. Ale tak nie jest. Swoją drogą bierze się na uwagę w pierwszym czyn przestępny: zagrożenia karne w ustawie dane stosują się głównie do wielkości niebezpieczeństwa, które może odnośny rodzaj przestępstwa spowodować. Unika się przez to takiego dziwolągu, jakiby się mógł zdarzyć wedle nauki szkół Lombrosa i Liszta, że z powodu usiłowanego zerwania n. p. kwiatka w cudzym ogrodzie, jeśliby to popełnił osobnik, mający znamiona antropologiczne zbrodnicze lub t. zw. niepoprawcy, należałoby go uczynić nieszkodliwym tj. zamknąć na całe życie lub nawet stracić. Szkoła klasyczna i ustawodawstwo na niej oparte uwzględnia jednak i właściwości przestępcy, zostawiając sędziemu w zagrożeniach kary szerokie granice, w obrębie których może swobodnie zastosować karę do indywidualności podsądnego. Idzie nawet dalej: przyjmuje kategoryę nałogowych, w znaczeniu co prawda nieco odmiennem od pojęcia niepoprawnych i tych każe karać znacznie surowiej.

* * *

A teraz, gdy skończyliśmy przegląd nauki przeciwników wolności woli, gdy stoimy u kresu, rzućmy okiem w tył i zapytajmy się, gdzie leży prawda, którą stronę obdarzyć sympatyą, czyjej nauce hołdować.

---

[1] *Miteilunges des In. Cr.* V. II, str. 140.

Widzieliśmy, że prawo karne oparte na determinizmie traci podstawę do samoistnego istnienia, przeradza się w hygienę socyalną, podporządkowuje się i staje się gałęzią prawa administracyjnego. Rezultaty do jakich mogłoby doprowadzić prawo karne ukształtowane pod egidą determinizmu, nie zachęcają zbytnio do poddania się pod jego panowanie. Słusznie też mówi prof. Krzymuski. »Byłoby zbrodnią przeciw rodzajowi ludzkiemu, *crimen laesae maiestatis humanae* wyznawać bez podobieństwa sprawdzenia niewzruszoności jej podstaw doktrynę, która w swojem zastosowaniu praktycznem prowadzić musi do największego poniżenia człowieka, bo do pozbawienia go władzy, dzięki której wolno mu panować samodzielnie nad swojem postępowaniem i odpowiadać za nie w obliczu Boga, sumienia i prawa[1].«

Dr. Adam Bielecki.

[1] Krzymuski: »Represya i poczytanie przestępstw«.

Z PODRÓŻY DO SZWAJCARYI.

I.

Monachium. — Nowa Pinakoteka. — »Pałac szklany«. — Wystawa Secessyi. — Boecklin. — Praca społeczna w Bawaryi.

Ponieważ jednym z celów mojej podróży było poznanie sztuki najnowszej, więc zatrzymawszy się w Monachium, oglądnąłem dokładnie, o ile czas pozwolił, wystawione tam właśnie obrazy i rzeźby artystów, dziś jeszcze żyjących lub niedawno zmarłych. »Nową Pinakotekę« zbogacono znacznie w ostatnich latach przez zakupienie dzieł bardzo cennych, odbijających korzystnie od malowideł zimnych, teatralnych, na efekt obliczonych, któremi niegdyś zdobywali sobie pochwały królów bawarskich i szerszej publiczności Schnorr v. Carolsfeld *(Nibelungensäle)*, P. v. Hess (»Wjazd króla Ottona do Nauplii i do Aten«), Schraudolph, Piloty (»Seni przed zwłokami Wallenstein'a« i »Thusnelda«), Makart (»Abundantia«) i t. d. Prawda, że te nowe nabytki nie imponują wielkością pomysłu ani przymiotami mistrzów Odrodzenia a i pod względem technicznym nie są po większej części wolne od zarzutu, ale daleko więcej znajdujemy w nich zalet czysto malarskich, niż u wspomnianych reprezentantów kierunku akademickiego. Na pierwszem miejscu wymieniam kilka pięknych obrazów treści religijnej, o które tak trudno w dzisiejszej epoce »pozytywnej«: »Madonna z Dziecięciem« Dagnan-Bouveret'a — to utwór pełen poezyi i tkliwego uczucia. A dalej bardzo dobre są malowidła Benlliure'go, (któremu jednak przyganiają nie bez przy-

czyny, że już popadł w manierę): »św. Franciszek« i »Miesiąc Maryi w Walencyi«, W. Firle'go »Ojcze nasz« (tryptychon), P. Höcker'a »Madonna«, J. Exter'a »Wielki Piątek«, A. Keller'a »Wskrzeszenie córki Jaira«! Za to F. v. Uhde (»Wniebowstąpienie Chrystusa« i »Noli me tangere«) czyni wrażenie odpychające szorstkim realizmem swoich postaci, które mogą chyba służyć za przykład, jak nie powinno się malować obrazów religijnych.

Takie bowiem dzieła wykazują najlepiej fałszywość poglądu, nie uznającego odrębnych wymagań sztuki religijnej [1]. Najlepszy nawet rysunek i mistrzowski koloryt nie może nas zadowolnić, jeżeli postać, która ma przedstawiać Zbawiciela lub Jego Matkę, nie różni się niczem od ludzi pospolitych, jeżeli jej rysy są brzydkie i połamane, jeżeli wyraz jej twarzy nie jest szlachetny i pociągający. Niezgrabny chłop albo rzemieślnik nie będzie dobrze wyobrażał ani Chrystusa samego, ani żadnego z Apostołów, — otyła kobieta o wejrzeniu bezmyślnem nie będzie wyglądała na świętą, chociaż jej oczy będą wzniesione ku niebu, a głowę jej otoczy blask aureoli. Na to zgadzają się nie tylko chrześcijanie wierzący, ale i największa część przeciwników religii, bo i tym mówi poczucie estetyczne, że w każdem dziele sztuki musi forma odpowiadać treści, że są przedmioty, które nie znoszą traktowania stosownego dla scen powszednich. Co więcej, świadomość przebija się i u tych pisarzy, którzy przyswoili sobie teoryę, nie uznającą malarstwa religijnego za rodzaj osobny i w ogólności odrzucający wszelkie podziały tworów artystycznych według przedmiotów. I ci bowiem piszą w innym związku (nie spostrzegając niekonsekwencyi, którą popełniają), zdania podobne do następujących: »Kiedy kto chce widzieć świętych, nie będzie ich szukał pośród gołych, opasłych, zmysłowych i nieskromnych Holendrów Rubensa. Tym ordynusom ciężko jest na obłokach, śmiesznie z aureolą świętości lub męczeństwa [2]«.

Nikt rozsądny nie zechce krępować swobody artystów przepisami, które nie wynikają z samej istoty rzeczy, nikt im nie

[1] Por. St. Witkiewicza: »Dziwny człowiek«. (Lwów-Warszawa 1903, str. 52).

[2] Ten sam: »Sztuka i krytyka u nas« (wyd. drugie 1891, str. 196).

zabroni szukać dróg nowych w każdej dziedzinie, a więc i na polu sztuki religijnej: ale są pewne prawa, tkwiące w samej treści, którą uzmysławia ten rodzaj twórczości. Jeżeli artysta, podobający sobie w »anarchii duchowej«, obraża nasze uczucia religijne niegodnem przedstawieniem owej treści najwznioślejszej, jaką znajduje w ewangelii, marnuje swój talent na płody poronione.

Nie można się dziwić, że w czasach dzisiejszych, w których tak trudno o myśli głębsze i poloty idealne, a za to studyuje się z największym zapałem wszystkie zjawiska przyrody, że w tych czasach najpiękniej stosunkowo rozwija się malarstwo »rodzajowe«, pejsażowe i portretowe. W tych dziedzinach mnoży się coraz bardziej liczba świetnych talentów. W Nowej Pinakotece reprezentowani są bardzo dobrze: Favretto (»Wenecyanin handlujący dziełami sztuki«), Nono (»Przekupka, sprzedająca jarzyny«), Höcker (»Dziewczyna holenderska«), Israels (»Pociecha Granny«), Gysis (»Karnawał w Grecyi«), H. Scott Tuke (»Majtkowie grający w karty«), Munkacsy (»Odwiedziny u położnicy«), Bisschop (»Blask słoneczny w domu i w sercu«: dziewczę oblane światłem, czyta list, budzący w jej duszy błogie uczucia). Z polskich malarzy zakupiono tylko Brandt'a »Obronę« i »Konie kozackie wśród zawieci śnieżnej«, Aleksandra Gierymskiego »Plac Wittelsbachów w Monachium« i Wierusza Kowalskiego »W lutym«. Nie jest to wiele, ale w każdym razie odczuwa podróżnik, z naszego przybywający kraju pewną satysfakcyę, gdy znajdzie na ziemi obcej dzieła niepoślednie naszych artystów, ocenione według ich wartości.

W dziale portretów wybija się ponad wszystkich innych Lenbach (Leon XIII, Bismarck); bardzo efektowny jest także wizerunek »Panny z czerwonym kwiatem« *(Mademoiselle Plume Rouge)* A. Brown'a.

Boecklin'a nabyto tylko dwa dzieła (»Igraszka fal« i »Pan w trzcinie«). Temu mistrzowi poświęcam poniżej ustęp osobny.

Bardzo bogata była wystawa sztuk pięknych zeszłoroczna w słynnym »pałacu szklanym«, obejmowała bowiem 2200 numerów, między którymi była obok wielu utworów słabych albo nawet wstrętnych — dość znaczna ilość dzieł godnych widzenia. Na pierwszy rzut oka uderzały wytworną swoją pięknością portrety

wymienionego właśnie Franciszka Lenbacha, (a było ich 17) i Fryd. Aug. Kaulbacha (5), dalej jeden ładny K. Blos'a (wizerunek jego żony), jeden Courten'a z podpisem: *Im Ahnenschloss* (duch rycerza, ukazujący się głębi krużganku, przypatruje się swojej pra-prawnuczce), W. Petersen'a (panna nad jeziorem i drugi, pastel), jeden Pawła Vowe, dwa Węgra Lászlo (Leon XIII i kard. Rampolla). Dobre krajobrazy wystawili: Oswald Achenbach (»Z okolic Neapolu«), Juliusz Bergmann (»Słońce jesienne« i »Burzliwy wieczór«), E. Bernuth (»Potok leśny«), E. Carpentier (»Podczas upałów«), Jan Deiters (»Noc księżycowa«), Erler-Samaden, D. Fulton (»Słońce jesienne«), W. Georgi (»Kwiaty wiosenne« — drugi tegoż artysty z podpisem: »Bociany«! malowany jest sposobem naturalistycznym), Ferd. Keller (trzy), Lochhead (»Ciche wody«), Petersen-Angeln (»Poranek słoneczny w porcie«), G. Schönleber (»Czarna woda w Brügge«), M. Wielandt (»Rybacy na Capri« i »Grób Odyseusza«), A. Zoff (»Boschetto nad morzem«). Z pomiędzy obrazków rodzajowych i innych podobały mi się szczególnie Defregger'a: (»Chory jamnik«, dzieci przywiozły pieska do weterynarza), Mücke'go »Szczęście macierzyńskie«, Hoesslin'a »Pandora«, Wiktora Cavalleri'ego »Bajka«, Bertrand'a »Cisza klasztorna«, Böninger'a »Chłop holenderski«, Jana Deiters'a «Flora«, Geffcken'a »Cztery temperamenty«, Harburger'a »Przy jabłeczniku«, Jentsch'a »Przyjaciele«, Jessen'a »Izba fryzyjska«, Macdonald'a (Somerled) *Hochlandpfeifer*, Macgoun'a »Zabawa dziecięca«, Mac Nicol'a »Miłość matki«, Orlik'a »Teatr japoński« i »Geisha«, Orr'a »List«, Prati'ego »Czystość«, H. Rasch'a »Wjazd czółen rybackich«, Ross'a »Dzieci holenderskie«, Winter'a »Wesele chłopskie«.

Malarstwo religijne było dość słabo reprezentowane przez Fr. Fleischer'a (»Św. Katarzyna«), Ludwikę Flesch-Bruningen (tryptyk wyobrażający Matkę Boską z dwoma aniołami), Nüttgenss'a (»Aniołowie, grający Najśw. Pannie«), Maryę Philips-Weber (»W czasie wielkanocnym«), Westphalen'a (»Pierwsza komunia konfirmandów«) i Zmurkę (»Gwiazda Betlehemska«, — ten obraz wydał mi się względnie najlepszym z pomiędzy malowideł religijnych i wogóle należał do bardziej efektownych).

Z polskich artystów i artystek wzięli udział w wystawie

oprócz Żmurki: Marya Czajkowska z Paryża, która przysłała dobry wizerunek dziewczęcia bretońskiego, Roman Kochanowski z Monachium (dwa krajobrazy nieszczególne), Damazy Kotowski z Monachium (cztery portrety, malowane zbyt realistycznie), Kowalski Wierusz (»W zasadzce«) — obrazek nie czyniący wrażenia, Stachiewicz (»Upiory w pracowni«). Nie wiem czy do naszej narodowości należą także: Józefina Losakiewicz, która nadesłała z Paryża słaby portret panny H. i Otton Tarnogrodzki (z Dessau), który wystawił dwa krajobrazy, nie należące również do dzieł wybitniejszych. Szkoda, że najlepsi mistrze nasi nie mieli ochoty zaimponować Niemcom utworami swej sztuki, albo też może obawiali się, że te utwory nie będą na wystawę przyjęte. Co się tyczy w szczególności pięciu obrazków Stachiewicza, przyznaję otwarcie, że nie mogłem nawet odgadnąć, co one przedstawiają, i że dopiero korespondent *Głosu Narodu* (»Spectator«) wyjaśnił mi ich znaczenie: ma to być »bolesna ironia znikomej gonitwy za sławą«. — Otóż mamy tu, jak sądzę, nowy przykład przestrzegający artystów przed używaniem postaci alegorycznych i symbolów, które nie tłumaczą się same, lecz wymagają komentarzy. Przypuszczam, że »Spectator« dowiedział się od samego p. Stachiewicza, co mają uzmysławiać postaci cyklu: w takim razie dobrze zrobił, że nam okrył zamiar artysty, ale przez to nie zbił zarzutu niejasności, który wywołuje symbolika wspomniana. Nie łatwo to bowiem odgadnąć, że grupa Laokonta ma być obrazem smutnego losu artysty, który nie może zdobyć sobie «sławy»; wszakże ów kapłan trojański cierpiał z innego całkiem powodu; więc będzie to raczej alegorya rozpaczliwej męczarni, zadanej człowiekowi dobremu przez potęgi mu nienawistne.

W dziale rzeźb wyróżniały się z pośród innych: K. Barth'a »Zródło«, I. Hoffmann'a »Psyche«, A. Husmann'a »Zwyciężony« (statuetka jeźdźca), E. Müller-Braunschweig'a »Wiara«, Krz. Roth'a »Zaloty« i »Faun z maską Zeusa«, G. Siber'a »Atropos«, K. Voltz'a »Dyana«, H. Waderé'go »Ostatnie pozdrowienie« (niewiasta trzymająca różę w ręce, stoi przed drzwiami grobowca, do którego ma wstąpić).

Wystawa »secesyi« liczyła znacznie mniej numerów, bo tylko

393, ale i tam było kilkadziesiąt obrazów, które mogły się mierzyć z najlepszymi z pomiędzy wystawionych w »pałacu szklanym«. Najwięcej podobały mi się »Prawo« Agache'a, »Rybacy powracający« i »Żona Rybaka« Duńczyka Ancher'a, dwa portrety T. A. Brown'a (góral szkocki i Mlle Rose G.), »Wesele chłopskie« J. Exter'a, krajobraz zimowy Fjaestad'a, »Miłość Macierzyńska« W. Gay'a, dwa krajobrazy K. Haider'a, »Duet» (Faun z dziewczyną) i »Wiosna« A. Hengeler'a, »Złota rybka« G. Henry'ego, »Życzenie« P. Hoecker'a, »Portret mojej rodziny« H. Knirr'a, »Sieroty przy obiedzie« G. Kuehl'a, portret p. A. Kennedy-Mann'a, »Zabawa dziecięca« H. Morisset'a, »Złote kędziory« Fr. Newbery'ego, »Szwaczka« E. Oppler'a, »Ciche wody« B. Priestman'a, dwa obrazki rodzajowe J. Reid'a, »Hetty« A. Roche'a, trzy portrety L. Samberger'a, »Doświadczenie i oczekiwanie« (matka z córką) G. Sauter'a, »Przy studni« G. Segantini'ego, »Kobiety z gór albańskich« K. Ulrich'a, »Dzień wiosenny« Wolff-Zamzow'a, »Rodzina torreadora Gallito« I. Zuloagi, — z pomiędzy zaś rzeźb: »Wojownik na koniu« Fr. Behn'a, *Vaterlandslied* H. Kaufmann'a, biust dziecka E. Pfeifer'a, »Pallas Athene« G. Schwessinger'a, płaskorzeźba i biust marmurowy Jerzego Wrba, wreszcie wyborne plakiety i Medale Owidyusza Yencesse'a. Wszystkie te dzieła są wolne od owych osławionych dziwactw »secesyjnych«, które dziś wielu uważa za zbogacenie sztuki, a których było dosyć i na tej wystawie i w »pałacu szklanym«. Można było np. podziwiać konia maści kanarkowej Anglady i drugiego, jaśniejącego barwami tęczowemi Speyer'a, szkaradną »Aktorkę« W. Sickert'a, płaszcz i kapelusz »Myśliwego« (twarzy bowiem nie widać wcale) Riemerschmid'a, rażące brzydotą rysów i kolorytu, jakoteż bezmyślnym wyrazem: »niewiasty śpiewające« L. Dettmann'a *(Fries'sches Lied)*, »Święto natury« R. Eichler'a (potworne, obrzydliwe mieszkanki bagniska, cieszą się widokiem nadchodzącej burzy) i t. p. Ferdynand Hodler (którego »Wiosnę« wychwalał niedawno we Lwowie prof. Atoniewicz, chcąc przekonać publiczność, że wstrętne to malowidło jest dziełem »monumentalnem« o »żywiołowej tendencyi«), wystawił nowy swój utwór, zatytułowany: »Uczucie«. Gdyby nie ten podpis, niktby nie odgadnął, że te cztery niewiasty o kształ-

tach nieestetycznych, drewnianych, o twarzach nic nie mówiących, mają wyobrażać »uczucie«.

Dziwić się tylko wypada, że tego rodzaju płody poronione znajdują swoich chwalców, którzy nam każą nimi się zachwycać i upatrują w nich zalety pierwszorzędne. Nawet w czasopismach, poświęconych wyłącznie prawom sztuki, czyta się dytyramby na cześć malarzy, podobających sobie w oryginalności wcale nieestetycznej. Tak np. przyznaje wprawdzie Fr. Wolter w czasopiśmie monachijskiem: *Die Kunst für alle*, że obraz wspomniany Eichler'a »nie jest jeszcze gwiazdą na niebie sztuki«, ale wyraża się o nim z wielkiem uznaniem i sławi »odwagę i energię« artysty za to, że tak olbrzymie płótno pokrył farbami! Już to trzeba wogóle powiedzieć o ocenach dzieł sztuki, jakie znajdujemy w czasopismach monachijskich (i w wielu innych), że aż nazbyt często przyczyniają się do zbałamucenia szerszej publiczności, bo bywają stronnicze i całkiem niezgodne z prawdą: pomija się nieraz milczeniem albo zbywa frazesem lekceważącym obrazy, zasługujące na pochwałę, a za to zachęca się innych artystów, rzucających farby na płótno bez żadnego względu na wymagania estetyki i zdrowego rozumu, do dalszej pracy w kierunku, który ich nie doprowadzi do celu.

Inny, całkiem różny świat roztacza się przed nami, pełen czarownej poezyi, mieniący się najcudniejszemi barwami, kiedy stajemy w Galeryi Schack'a lub w bazylejskiej wobec obrazów Boecklin'a. Jest to malarstwo na wskróś oryginalne, niczem nie przypominające żadnego innego mistrza i wznoszące się o całe niebo ponad bezmyślnych naśladowców natury, zaludniające morza i lasy jestestwami, które nie istnieją nigdzie w rzeczywistości, a przecież często takie czyniące wrażenie, jakgdyby artysta odtwarzał widoki, napotkane w przyrodzie. «Kiedy układające się do równowagi morze« pisze pięknie p. Witkiewicz[1], »wzdyma się wielkiemi, wygładzonemi powierzchniami, zatapiając sterczące u brzegów głazy, a opadając, znów je nagle odsłania: czarne, ociekłe strugami wody, ślizkie i lśniące, pokryte splotami ruchli-

[1] W broszurze p. n. »Dziwny człowiek«, str. 83.

wych i drżących wodorostów, obramowane płatami i kręgami plam, lśniących na ciemno-granatowo-zielonej topieli, jak zadry i strzępy srebrnego haftu — to obraz Boecklina. On na tych głazach, w ich kształtach, widzi te groźne idylle morskie, te dziwne potwory, które wytworzyła wyobraźnia pierwotna, które wyobraźnia ludów kultury zamieniła na zimne hieroglify sztuki, a którym Boecklin nadał pierwotną, żywą postać... Z trytonów, faunów, nereid, syren i centaurów Boecklin zrobił istoty żywe, tak rzeczywiste, że możnaby je ująć w jakąś klasyfikacyę zoologiczną« i t. d.

W galeryi Schack'a znajduje się 14 dzieł Boecklin'a z których najsłynniejsze są: »Święty gaj«, »Morderca wyśledzony przez furye«, »Willa nad morzem«, »Skarga pasterza«, »Nereida i Triton«, »Pustelnik«, *In Höhlen wohnt der Drachen alte Brut* (smok ścigający wędrowców w wąwozie skalistym). Są to utwory z epoki wcześniejszej artysty i nie są tak wykończone, nie jaśnieją tak świetnemi barwami, jak późniejsze; niektórzy jednak artyści sądzą, że właśnie w galeryi Schack'a odsłania się najlepiej geniusz Boecklin'a, że tu najsilniej odczuwa się owe nastroje, jakie potrafił wywoływać swojemi krajobrazami: tu wznosi się wśród drzew wspaniałych, bogom poświęconych, dymiący ołtarz ofiarny, do którego zbliża się w uroczystem skupieniu szereg kapłanów; tam znów ponura, dzika ustroń leśna i urwiska skalne, nad któremi czarne przelatują kruki; przed krzyżem klęczy pokutnik i biczując się, opłakuje swe grzechy. Nikt nie umiał lepiej od Boecklin'a zestrajać usposobienia swych figur, które nie są nigdy bezmyślną stafażą, z całym charakterem krajobrazu.

Jednakowoż wydaje mi się rzeczą oczywistą, że geniusz artysty wzniósł się jeszcze wyżej w niejednem dziele późniejszem, a zwłaszcza w »Igraszce fal« (nowa Pinakoteka; po zielonej powierzchni morza pływają Nereidy w towarzystwie starych, wstrętnych mieszkańców oceanu, którzy wyborne stanowią do nich przeciwieństwo), w obrazie, noszącym napis: »Życie krótkim jest snem« (Bazylea; na dole bawi się na zielonym brzegu strumyka dwoje dzieci; powyżej stoi piękna niewiasta, od której oddala się

równie dorodny młodzieniec na koniu: na górze zaś siedzi starzec wychudły, wiekiem pochylony, w którego głowę godzi już śmierć nielitościwa potężnym ciosem maczugi), w »Najadach« (tamże; oprócz tych dwóch posiada muzeum bazylejskie jeszcze 17 obrazów Boecklin'a, a między nimi: »Polowanie Dyany«, »Gaj ofiarny«, »Walkę centaurów«, »Pietà« i »Zarazę« nie skończoną).

Ale i Boecklin jest w dziełach swoich bardzo nierówny i nieraz przykre czyni wrażenie, kiedy np. maluje siebie z lampką wina w ręku i staje przed nami jako człowiek syty i z siebie zupełnie zadowolony (prawda, że i ten portret wielu zachwyca, jak np. Muthera, który w swej obszernej historyi malarstwa XIX-go wieku upatruje w nim nawet podobieństwo do bogów olimpijskich!) albo kiedy wybiera sobie takie tematy, jak wściekłą, dziką walkę, centaurów, jak owa zaraza przelatująca pędem wichru na grzbiecie skrzydlatego smoka ulice miasta. Szczególnie w ostatnich latach życia miał on upodobanie w ponurej grozie, bardzo dalekiej od »olimpijskiego« spokoju. Do malowideł słabych i nie dających dobrego wyobrażenia o geniuszu artysty należały i te, które niedawno wystawiono we Lwowie i w Krakowie.

* * *

Żeby połączyć z przyjemnością pożytek i zapoznać się trochę z działalnością społeczną katolików bawarskich, zasięgnąłem informacyi u ks. prałata Widmanna, prezesa dyecezalnego katol. związków robotniczych i zwiedziłem dom czeladników, znajdujący się w Monachium. Otóż dowiedziałem się, że tamtejszy *Arbeiter-Verein* posiada już kompleks domów, ceniony na 600.000 marek, że członkowie płacący 25 fenigów miesięcznie, otrzymują bez żadnej dopłaty tygodnik *Der Arbeiter*, że założono dla nich kasę chorych i pogrzebową, że w innych lokuje się kwoty, przez nich oszczędzone. W samem Monachium założyli już katolicy 12 związków robotniczych, które liczą około 4.500 członków! Jest to liczba poważna, ale zawsze jeszcze bardzo mała, kiedy ją zestawimy z ogromną masą wyborców, oddających swe głosy kandy-

datom socyalistycznym (przy ostatnich wyborach do parlamentu wyszli w stolicy Bawaryi sami socyaliści!). Kto jednak zajmuje się temi sprawami, a któryż katolik nie powinien się niemi zajmować? — wie, że bardzo wielu, a nawet znaczna większość obywateli, popierających przy wyborach stronnictwo przewrotu, nie dzieli przekonań Bebla, Liebknechta i innych »towarzyszy«, ale raczej zaznacza swojem głosowaniem niezadowolenie z rządów Wilhelma II i jego ministrów, z dzisiejszych urządzeń państwowych, z biurokracyi, militaryzmu i t. d.

W domu związków czeladników może mieszkać stale 86-ciu członków a nadto znajduje się 23 łóżek dla przyjezdnych (w r. 1902 nocowało tu 1708-iu czeladników z innych miast przybyłych, a między tymi 2-óch z Galicyi). Osobna fundacya (Gebrath'a) dostarcza środków potrzebnych do wyżywienia i wspierania przyjezdnych i rekonwalescentów (w r. 1902 wydano na ten cel 7.149 marek). Związek umożliwia także czeladnikom kształcenie się w rysunkach, krawieczyźnie i w innych rzemiosłach, w rachunkach, w języku francuskim i t. d. Każdego poniedziałku słuchają członkowie, (których gromadzi się około 500) pogadanki treści religijnej i odczytów z różnych zakresów wiedzy; w inne wieczory tygodnia przychodzi około 300 na wieczerzę, lekturę i rozmowę. Związek ma własną orkiestrę i chór śpiewaków. 306 członków miało z dniem 1-go stycznia 1903 w związkowej kasie oszczędności złożonych 80.243 marek. Wkładka miesięczna na cele związku wynosi tylko 30 fenigów. Każdy członek otrzymuje bez osobnej dopłaty tygodnik: *Der Arbeiter.*

Wogóle trzeba przyznać katolikom niemieckim, że pomimo wielkich trudności, jakie muszą zwalczać, zrobili dużo dla młodzieży rzemieślniczej i wogóle dla klas pracujących. W ostatnich czasach założyli także biura czyli sekretaryaty robotnicze, które przyczyniają się w znacznej mierze do postępu organizacyi. Osobne czasopisma *(Praesides-Korrespondenz* i *Arbeiterwohl)* dostarczają bardzo cennych wiadomości pracownikom na niwie społecznej i zasługują na to, żeby je w innych także krajach pilnie czytano.

II.

O kolejach i cenach w Szwajcaryi. — Zurych. — Protestantyzm i radykalizm. — Rapperswil. — Einsiedeln. — Lucerna.

Wielkiem ułatwieniem dla podróżników, którzy chcą tanio objechać Szwajcaryę, są zaprowadzone w r. 1898 bilety abonamentowe, które zakupić można już w Wiedniu (w dyrekcyi kolei państwowych i w biurach dla podróżnych). Trzeba tylko dostarczyć nienaklejonej fotografii osoby, na której imię bilet ma być wystawiony. Za 35 franków można jeździć przez dni 15, za 55 przez dni 30 po wszystkich prawie kolejach i jeziorach szwajcarskich trzecią klasą, (którą podróżuje się bardzo wygodnie i w towarzystwie przyzwoitem). Tylko na kolejach »zębowych«, których zbudowano już blizko 40 dla ułatwienia wycieczek górskich, płaci się osobno i to dosyć dużo, bez porównania więcej niż za jazdę po kraju; np. na szczyt Pilatusa 10 fr., a na dół 6, bilet okrężny z Interlaken do Lauterbrunnen-Kleine Scheidegg-Grindelwald kosztuje 14 fr. 45 cent. i t. p. Na tych kolejach nie wolno też brać ze sobą do przedziału żadnych pakunków większych, ale trzeba je opłacać, — na innych zaś torach można wozić się z walizkami podręcznemi takiej samej wielkości, jaka dozwolona jest w Austryi: ja przynajmniej nie doznałem pod tym względem żadnej trudności, chociaż mówiono mi w kraju, a nawet w przewodniku Baedeker'a wydrukowano, że w wagonach szwajcarskich bardzo mało jest miejsca dla bagaży podróżnych i dlatego najlepiej nie brać ze sobą żadnych. Wogóle przekonałem się w ciągu podróży, że ludzie zresztą wiarogodni i brzydzący się kłamstwem, udzielili mi wiadomości pod niejednym względem niedokładnych albo nawet wprost sprzecznych o kosztach, jakie są połączone z wycieczką do Szwajcaryi i o przykrościach, jakie mnie spotkać mogą. Jedni mówili o cenach bajecznie tanich, żaląc się jednocześnie na drożyznę, panującą w naszych miejscach kąpielowych, na górali i restauratorów zakopiańskich, obdzierających rzekomo niemiłosiernie każdego przybysza: — drudzy zapewniali przeciwnie, że Szwajcarzy umieją doskonale wyzyskiwać turystów, a za drogie pieniądze , liche dają im pożywienie. Otóż

faktycznie rzeczy tak się mają: pobyt w Szwajcaryi może kosztować bardzo mało, jeżeli ktoś wyszuka sobie w każdej miejscowości jedną z tańszych pensyi (np. w okolicy Interlaken można dostać wikt i mieszkanie za 5 a nawet za 4 franki), unika restauracyi i hoteli, przeznaczonych dla cudzoziemców, nie liczących się z groszem, woli chodzić piechotą, niż jeździć kolejami górskiemi i t. p. Kto jednak nocuje i jada w hotelach i odbywa wycieczki z przewodnikami, musi wydać bezporównania więcej, niż w Zakopanem. Tak np. w hotelu »Pilatuskulm« zapłaciłem za nocleg 6 franków, za kawę (bardzo lichą, jaką zwykle dostaje się w Szwajcaryi) z kilkoma sucharkami 2 fr., za obiad 5 fr. Przewodnik na Silberhorn bierze 50 fr., na Jungfrau 70, na inne wyżyny niższe i wcale nie natężające 8—10 fr., kiedy nasz góral idzie na najwyższe szczyty tatrzańskie, dzwigając ciężką torbę na plecach, za 6 koron i skromne pożywienie. Ale o tem nieraz można się przekonać, że wielu naszym rodakom wydaje się wszystko i lepszem i tańszem, skoro wyjadą za granicę kraju, chociaż ich wszystko więcej kosztuje, zwłaszcza w sezonie, w którym najliczniejsze zastępy turystów spieszą w góry alpejskie. Wiadomo zresztą, że ci turyści obchodzą się najczęściej bez przewodników, ponieważ nie mogą ich opłacać, ale też właśnie dlatego ginie ich po kilka set co roku w czeluściach lodowców.

Po krótkim pobycie w Szafuzie, przy słynnym wodospadzie, tylekroć i tak pięknie opisywanym, pospieszyłem do Zurychu. Ogólne wrażenie, jakie wywołuje to miasto, jest pod każdym względem bardzo korzystne; ulice są proste, szerokie, czyste, wolne od kurzu, budowa domów i wil (bardzo licznych) prosta, ale gustowna i pełna rozmaitości. Wszędzie dużo drzew i zieleni, ściany zewnętrzne kamienic są zwykle jasną, zielonawą, różową lub żółtą pokryte barwą, (nie potrzebuję dodawać, że na ten widok w duszy mojej budziła się zazdrość, kiedy sobie przypomniałem nasze dwu- i trzypiętrowe domy w stylu koszarowym, od których ścian pobielonych odbijają się tak rażąco promienie słoneczne!), — wszystko tu świadczy o zamiłowaniu porządku i o zamożności mieszkańców. Położenie miasta jest śliczne: wznosi się ono nad ogromnem jeziorem o kryształowej jasności i po obu brzegach jasno-zielonej

rzeki Limmat, wartko płynącej i dzielącej miasto na dwie części. Wspaniały jest widok z terasy placu, zwanego »Stadthausplatz« na jezioro, którego brzegi pokryte są sadami i winnicami i na bielejące się w oddali śnieżne szczyty alpejskie. Imponujące wrażenie czyni gmach »Polytechnikum«, zbudowany na wzgórzu według planów Gotfryda Semper'a (1861—64): tu mieści się uniwersytet, w którym wykłada 113-tu profesorów i docentów i szkoła politechniczna (107-u prof. i doc.); na dole jest bogaty zbiór miedziorytów, nadto są zbiory archeologiczne i zoologiczne. Sufit obszernej auli ozdobiony jest efektownymi freskami Bin'a. W galeryi obrazów, zwanej *Künstlergut*, są trzy dzieła Boecklina: »Wojna«, pełna ponurej grozy i dwa mniejsze, wdzięczne malowidła: »Tchnienie wiosny« i »Altana w ogrodzie«. Warto też zobaczyć kilka innych, jak Vautier'a »Grzeczny profesor«, Anker'a, Grob'a, Koller'a, (którego specyalnością jest bydło na tle krajobrazów alpejskich). Wogóle jednak sztuka szwajcarska nie stanęła jeszcze wysoko. Serdeczną prostotą odznacza się pomnik Pestalozzi'ego (na placu »Lint-Escher«), którego twórcą jest Siegwart: w ruchu i wyrazie twarzy sławnego pedagoga przebija się bardzo dobrze jego miłość ku dziatwie.

Znaczną większość mieszkańców Zurychu (około 110 tysięcy) stanowią protestanci, którzy też swoim zwyczajem zabrali katolikom wszystkie, w dawniejszych wiekach wzniesione kościoły. Dziś te świątynie, z których największą jest »Grossmünster« (zbudowany w stylu romańskim w wiekach XI—XIII), stoją naturalnie przez cały tydzień, z wyjątkiem niedziel, pustkami — tylko turyści zwiedzają je niekiedy za opłatą. Pierwszego poranka mego pobytu w Zurychu doznałem uczucia bardzo przykrego, kiedy, chcąc odprawić Mszę św., zapukałem do dwóch kościołów największych i dowiedziałem się, że jeden należy do protestantów, a drugi (na którego drzwiach wypisano: »Ten kościół k a t o l i c k i można zwiedzać w godzinach«...) oddano »staro-katolikom« z powodu, że większość parafian przyłączyła się do tej sekty. Podobnie nadużyli protestanci swojej przewagi we wszystkich kantonach szwajcarskich, które oświadczyły się za reformacyą: wspaniałe katedry w Bernie, Genewie, Lozannie, Bazylei odarto z wszel-

kich ozdób, usunięto z nich obrazy świętych, ołtarze, kielichy, monstrancye i t. d., które po największej części uległy zniszczeniu (cząstkę pozostałą przechowuje się dzisiaj w muzeach), pozostawiono tylko nagie ściany, ławki a tu i ówdzie piękne kolorowe okna i średniowieczne pomniki grobowe. Tam więc, gdzie niegdyś przez długie wieki spełniała się codziennie Ofiara Nowego Zakonu, panuje dziś zwykle głuche milczenie, — tylko od czasu do czasu zaglądnie kilku cudzoziemców, aby módz pochwalić się przed swoimi, że i tę osobliwość zwiedzili.

Liczba katolików wzrasta w miastach, opanowanych przez protestantyzm: w Zurychu jest ich już około 40 tysięcy; dla nich zbudowano dwa nowe, piękne kościoły. Miejmy nadzieję, że tych nie dostaną już »starokatolicy«, których sekta już nie rozszerza się i nie okazuje żadnych sił żywotnych (zresztą uczyniono wszystko, co było możliwe, żeby się zabezpieczyć przed nowym z tej strony zamachem). W Genewie zawierają kalwini przy wyborach alianse z katolikami przeciw radykałom (do których należy także obecny prezydent Związku, adwokat Comtesse). Partya, zwana »radykalną«, poddająca się wpływowi wolnomularzy, jest w Szwajcaryi dziś najsilniejszą i do niej należy znaczna większość »Rady Związkowej«. Najwięcej jest ich w kantonach protestanckich, ale i w katolickich mnoży się ich zastęp. Stronnictwo to dąży do ukrócenia samorządu kantonów i do wzmocnienia władzy »Rady Związkowej«; w pierwszym zaś rzędzie chciałoby naturalnie opanować szkołę i uczynić ją wszędzie bezwyznaniową. Na polu bowiem szkolnictwa używają dotychczas wszystkie kantony zupełnej swobody; niema tu żadnego szablonu, niema planów, normujących naukę w sposób jednakowy w całym kraju, niema »ministerstwa oświaty«, któreby wszystkiem chciało kierować i wtrącać się w szczegóły najdrobniejsze. Otóż tej wolności, której inne narody zazdroszczą Szwajcarom, pragną ich radykali pozbawić, ażeby mogli duchowieństwo ze szkół usunąć i swojego tchnąć ducha w całe nauczanie. Zabroniono też wstępu do Szwajcaryi kongregacyom, świeżo wygnanym z Francyi, ale wolno się spodziewać, jak myślę, że zakaz ten nie uniemożliwi zakładania nowych szkół zakonnych na obszarze kantonów katolickich, rów-

nie jak dotąd »Rada Związkowa« nie potrafiła swemi uchwałami zburzyć wszystkich klasztorów, które pozostały w Szwajcaryi z czasów dawniejszych, ani nie zdołała przeszkodzić powstawaniu nowych (zwłaszcza we Fryburgu). Prawda, że zupełna autonomia ma także swoje strony ujemne i że w niektórych kantonach (szczególnie w Appenzell) dba się za mało o rozwój szkolnictwa, o postęp oświaty, ale nie bez słusznej przyczyny przenoszą katolicy i protestanci »konserwatywni« stan dzisiejszy nad »reformę«, zamierzoną przez radykałów.

W Zurychu zwiedziłem także dom, zbudowany kosztem 320 tysięcy franków (z których nie spłacono jeszcze 240 tysięcy) dla katolickiej młodzieży rękodzielniczej. W domu tym mieszka zwykle około 70 czeladników stale, którzy płacą za mieszkanie przeciętnie po dwa franki a za wikt 9 fr. 50 centymów tygodniowo. Przybysze z innych miast dostają przez kilka dni mieszkanie i śniadanie bezpłatnie. Członkowie stowarzyszenia czeladników, które z domu tego korzysta i którem kierują księża, przystępują cztery razy na rok do spowiedzi i są obowiązani uczestniczyć w zebraniach. Na jednem z tych zebrań byłem obecny i odniosłem wrażenie bardzo korzystne. Wieczorem po pracy, zgromadziło się kilkudziesięciu wesołych młodzieńców w dużej sali. Zebranie zagaił krótko młody ksiądz (nie odznaczający się wcale wymową), poczem jeden z członków odczytał zajmujące sprawozdanie ze zjazdu, który się odbył kilka tygodni przedtem w Kolonii, z okazyi odsłonięcia pomnika, postawionego ś. p. Kolpingowi. W zjeździe uczestniczyli reprezentanci 410 związków czeladniczych niemieckich. Do urozmaicenia wieczorku przyczyniły się bardzo monologi humorystyczne i śpiewy, w których patryotyzm niemiecki zespalał się ze szwajcarskim. Między innemi zanuciło całe towarzystwo potężnym chórem pieśń Laib'a:

Wo Berge sich erheben
Am hohen Himmelszelt,
Da ist ein freies Leben,
Da ist die Alpenwelt.

Obecny z nami ks. Schweiger, katecheta z Czerniowiec, przemówił, oklaskiwany z zapałem, zachęcając członków stowarzysze-

nia do wytrwania na drodze, na którą wkroczyli. Na czwartek zapowiedziano zebranie kółka, ćwiczącego się w dyskusyach *(Disputierklub)*. Każdy z uczestników miał przed sobą kufelek piwa, bez którego Niemcy nie lubią słuchać odczytów i radzić. Pominąwszy jednak tę słabostkę, całe to zebranie dało mi bardzo dobre wyobrażenie o stanie duchowym młodzieży, gromadzącej się w Zurychu pod sztandarem katolickim. Kiedyż my takie domy będziemy mogli w miastach naszych zbudować i tyle w nich zgromadzić czeladników wierzących?

W pobliżu Zurychu, nad tem samem jeziorem, wznosi się w Rapperswilu bardzo malowniczo położony zamek (z XIV w.), w którym hr. Plater umieścił bogaty, bo przeszło 3.000 (o ile pamiętam) numerów liczący zbiór pamiątek polskich. Zaraz jednak na wstępie doznaliśmy (było nas kilku Polaków) bardzo przykrego a całkiem niespodziewanego wrażenia: oto nie było żywej duszy w całym zamku oprócz dozorcy Niemca, który nic nie umiał po polsku! Kiedy jeden z gości wyraził swoje zdziwienie, że Polacy nie mogą się w swojem muzeum porozumieć ze służbą w języku ojczystym, odpowiedział mu ów Niemiec, że tu więcej, niż Polaków, przychodzi osób innej narodowości i że dlatego dozorca Polak nie jest potrzebny! Nie wiem, czy istotnie ilość Niemców, zwiedzających muzeum, jest większa i wątpię o tem; — ale gdyby nawet tak było, czyż nie można znaleźć uczciwego Polaka, któryby umiał także trochę po niemiecku albo i po francusku? Czy zresztą nie rzuca to bardzo złego światła na wielkich »patryotów«, którzy obecnie opiekują się zbiorami Platera, że wszyscy zamek opuszczają w czasie, kiedy goście muzeum zwiedzają? Czy pod takim »dozorem« można bezpiecznie zostawić te pamiątki? Zresztą jeden służący nie zrobi należycie przy najlepszych chęciach wszystkiego, co mu zarząd poleca: on ma bowiem i bilety sprzedawać przy wejściu i oprowadzać turystów i dawać im wyjaśnienia i uważać, żeby który czegoś nie naruszył Nadto muszę stwierdzić z ubolewaniem, że muzeum nie ma jeszcze porządnego katalogu, że wielu przedmiotów nie oznaczono numerami, że w końcu niektóre podpisy wymagają sprostowania: dwa obrazy (św. Jan Chrzciciel i Beatryx Cenci) uznane za dzieła Murilla, chociaż

to są malowidła tak liche, że żaden, jak sądzę, znawca nie przypisze ich pierwszorzędnemu mistrzowi. Zresztą zbiór ten obrazów jest bardzo niepokaźny: oprócz jednego portretu Matejki (Tadeusza Orzechowskiego) i malowideł Roberta Fleury »Rzeź 8 kwietnia 1861 r.«, dwu obrazów Stachiewicza i Rosena niema tu nic godnego uwagi. Wogóle uważam za rzecz konieczną, żeby jakaś komisya, złożona ze znawców, przeglądnęła w najbliższym czasie całe muzeum, usunęła przedmioty, które niepotrzebnie zabierają miejsce (zwłaszcza znaczną część obrazów) i dokładny spisała katalog.

Z Rapperswilu pojechałem koleją, która idzie po długiej grobli przerzynającej jezioro, do sławnego klasztoru Benedyktynów Einsiedeln. Co roku przybywa tutaj około 200 tysięcy pielgrzymów, żeby się pomodlić przed cudownym obrazem Matki Boskiej, który miał otrzymać w połowie IX wieku św. Meinrad od ksieni Hildegardy z Zurychu: on też założył klasztor, który z czasem stał się jednym z najbogatszych w Szwajcaryi i imponuje swoimi rozmiarami. Kościół jest ozdobiony marmurem i złotem, w stylu barokowym (zbudowano go z początkiem XVIII w., skoro wielki pożar zniszczył starą świątynię i klasztor) i nie posiada cennych dzieł sztuki. W nawie środkowej jest kaplica N. Panny, z czarnego marmuru, opatrzona kratą, przez którą widzi się obraz cudowny. Biblioteka klasztoru posiada 50 tysięcy tomów, z których dziś jeszcze pilnie korzystają uczeni i pobożni synowie św. Benedykta, osiedleni w tej dziwnie uroczej kotlinie.

Inny znów obraz roztacza się przed naszemi oczyma, kiedy dojeżdżamy do ślicznej, w lecie pełnej kipiącego życia i szczególniejszego wdzięku Lucerny. Leży ona nad szeroko rozlanem jeziorem »Czterech kantonów«, nad którem wznosi się z jednej strony Rigi, z drugiej Pilatus, na dalszym zaś planie widać szczyty wyższe, wiecznym śniegiem pokryte. Starsza część miasta ma ulice nierówne, pokrzywione, w których jednak znajdują się ładne kamienice z XVI i XVII wieku. W »starym ratuszu« można oglądać liczne zabytki przeszłości: zbroje, sztandary, zdobyte w bitwach XIV wieku, kolczugę księcia austryackiego Leopolda, który wraz z kwiatem rycerstwa poległ w krwawej walce pod Sempach

(r. 1386), starożytności celtyckie, rzymskie i t. d. Na dole jest nieustająca wystawa sztuk pięknych (kiedy ją zwiedzałem, nie było tam dzieł pierwszorzędnych, ale kilka obrazów podobało mi się bardzo, a mianowicie: Monteverde'go »Mnich marzyciel«, Muheim'a »Pejzaż alpejski«, Dufaux »Rybacy w jeziorze«, Vigier'a »Powrót z pola«, Fellmann'a »Ksiądz, okadzający owoce« (w Tyrolu?). Przepyszny jest »Lew Lucerny«, wykuty w roku 1821 w ścianie skalnej groty według modelu Torwaldsena na pamiątkę poległych w r. 1792 przy obronie Tuilerów oficerów i żołnierzy wiernej nieszczęśliwemu Ludwikowi XVI gwardyi szwajcarskiej: lew, przebity włócznią, kończy już życie, ale jeszcze osłania łapą lilię burbońską. W cienistych alejach promenady na *Schweizerhofquai* i *Quai National,* z której ma się śliczny widok na jezioro i góry, przechadza się w »sezonie« mnóstwo cudzoziemców; tam też są najpiękniejsze, ale i najdroższe hotele (na Löwenstrasse posiada stowarzyszenie katolickie własny hotel »Union« o stu pokojach, bardzo porządny i niezbyt drogi, szkoda jednak, że niema drugiego, tańszego dla mniej zamożnych turystów).

Na wzgórzu wznosi się dość okazały kościół św. Leodegar'a z dwiema wysmukłemi wieżami, w którym codziennie słyszeć można wieczorem za franka (była to dla mnie nowość zadziwiająca, bo u nas niema tego zwyczaju) koncert na organach. Po raz pierwszy w życiu słyszałem taki koncert; nie sądziłem, że z organów można takie wydobywać dźwięki. Wirtuoz, nie wymieniony na kartce programowej, odegrał po mistrzowsku Breitenbach'a »Koncert organowy«, Sonatę 42 Suillmant'a, *Abendlied* Schumann'a, *Ave verum* Mozart'a, *Finale* sonaty op. 111 Rheinberger'a, a wreszcie najefektowniejszą, porywającą »Fantazyę pasterską« (własnej, jak się zdaje kompozyi), »specyalność« tych organów! Przedziwny ten instrument udawał naprzemian huk gwałtownej burzy i odgłosy piorunów, a wtenczas zdawało się, że wstrząśnie murami kościoła, a potem znów płynęła z piszczałek słodka, chwytająca za serce melodya pobożnego śpiewu, którym pasterze Bogu dziękują za to, że uśmierzył straszliwą walkę rozkiełzanych żywiołów.

Na drugi dzień po przybyciu do Lucerny wybrałem się koleją zębową na szczyt Pilatusa. Nie jest to jazda sama w sobie

przyjemna, bo kolej wspina się po skałach bardzo stromych (najwyższe jej wzniesienie wynosi 48%), tak iż jadący wiszą nad przepaściami, ale za to można się bez trudu rozkoszować cudnymi widokami, których jednak nie użyłem w całej pełni, bo skoro wydostałem się na sam szczyt, ujrzałem góry po większej części zamglone. W nadziei, że odsłonią się pod wieczór albo na drugi dzień zrana, usłuchałem rady Baedeker'a i przenocowałem w hotelu, zbudowanym na górze, ale niestety, coraz gęstsze mgły otoczyły mnie zewsząd, które i na drugi dzień nie pozwalały dojrzeć ani wschodzącego słońca, ani żadnego wogóle widoku. Trzeba więc było wracać do Lucerny z duszą, trochę przygnębioną i skwaszoną, wśród zimnem przejmującej śrężogi.

III.

Interlaken. — Jungfrau. — Berno.

Pomiędzy dwoma wielkiemi jeziorami: Bregenzkiem i Tuńskiem leży nad zieloną, wartko płynącą Arą (Aare) wieś Interlaken (do której należą trzy miejscowości, zwane: Interlaken, Matten i Unterseen). Wieś ta przypomina poniekąd nasze Zakopane, bo położona jest także na równinie u podnóża wysokich szczytów, składa się przeważnie z hoteli i pensyonatów i ściąga każdego lata mnóstwo turystów, którzy po większej części nie spinają się wysoko, tylko przechadzają się po alejach i parkach albo wyjeżdżają wygodnie na blizkie wyżyny.

Ludność, zamieszkująca całą tę część Szwajcaryi (zwaną Berner Oberland) jest protestancka, dlatego też niema w Interlaken i w miejscowościach sąsiednich kościołów katolickich; jest tylko nędzny budynek, w którym odprawia się tymczasowo nabożeństwo katolickie, dopóki goście nie złożą funduszów potrzebnych na budowę kościoła. Za mojej bytności pracował tam młody ksiądz, który pouczał w niedzielę i święta z chwalebnym zapałem licznie gromadzących się słuchaczy w języku niemieckim i francuskim, który jednak niechętnie dopuszczał obcych księży do ołtarza i wymagał od nich, żeby celebrowali o szóstej zrana, bo sam opuszczał swoją *Noth-Kirche* już koło pół do dziewiątej w dni

powszednie a wtedy miało być już po wszystkich nabożeństwach. Ten sam zwyczaj zachowuje się i w innych miejscowościach Szwajcaryi, a mianowicie tam, gdzie przeważają protestanci: koło 8-ej zrana już zamyka się kościoły w dni powszednie, z czego widać, że wierni albo wcale w tych dniach nie uczęszczają do przybytków Pańskich w liczbie znaczniejszej, albo też część ich pewna przyzwyczajona jest przychodzić na Mszę już między godziną 6-tą a 8-mą. W każdym razie są tam stosunki zupełnie odmienne od naszych, duchowieństwo ma bez porównania mniej od naszego pracy obowiązkowej, może zatem, jeżeli chce, więcej czasu poświęcać akcyi społecznej.

Przeglądając wystawy księgarskie, doznałem uczucia bardzo miłego, kiedy mi kilkakrotnie wpadło w oczy jedno przynajmniej nazwisko polskie — Sienkiewicza; widać, że z pomiędzy pisarzy naszych jego tylko czytają w przekładzie francuskim cudzoziemcy, przybywający do Interlaken. Znalazłem tam ze zdumieniem 348 już wydanie *Quo vadis? Traduction de B. Kozakiewicz et L. de Janasz* (Paris 1902). Jeżeli to nie jest sztuczka wydawcy-księgarza, świadczy to o niebywałem powodzeniu znakomitej powieści! Nadto zapisuję tu dwa, interesujące nas Polaków tytuły: *Pan Michaël (Messire Wolodyovski). Traduit par Charles Groulleau* i *Messire Wolodowski. Traduit par le comte Wodziński et B. Kozakiewicz.* Zresztą było tam pełno niemoralnych, senzacyjnych i zapewne bardzo lichych romansów: jeden np. opowiadał nieprawdziwą historyę nieboszczyka cesarzewicza Rudolfa a zalecał się opaską, na której grubemi czcionkami wydrukowano: *In Oesterreich verboten!* Ale właśnie tego rodzaju utwory miewają odbyt największy wśród klasy bogatszej i średnio zamożnej, która zapełnia miejsca kąpielowe i klimatyczne.

Kiedy dowiedziałem się przed laty, że jakiś inżynier powziął myśl niesłychanie śmiałą wybudowania kolei na sam szczyt wiecznie białej »Dziewicy«, postanowiłem sobie zaraz wybrać się do Szwajcaryi, skoro tylko kolej ta będzie gotową. Ale praca nad tą koleją należy do najcięższych i bardzo powoli posuwa się naprzód: zaczęto ją w r. 1897 a dotychczas zrobiono ledwo część czwartą. Kolej idzie ciągle tunelem, wykutym w skale (z pomocą

dynamitu), pod grubą warstwą lodową: wielu robotników, którzy są przeważnie narodowości włoskiej, dostaje choroby »górskiej« i umiera. Słyszałem też, że myślą już o zaniechaniu całego, zbyt kosztownego i trudnego przedsięwzięcia, które w najlepszym razie wymagałoby jeszcze dwunastoletniej pracy. Dzisiaj dojeżdża się tylko do stacyi, zwanej Eigerwand (w 43 minutach za 10 franków tam i napowrót), znajdującej się na wyżynie 2867 metrów nad powierzchnię morza. Do pierwszej zaś stacyi (Eigergletscher) dochodzi się z Scheidegg bardzo wygodnie i pieszo za trzy kwadranse, a już tam nabiera się dobrego wyobrażenia o lodowcach; warto też zwiedzić wykutą w tem miejscu sztuczną grotę lodową.

Bardzo piękne i coraz to nowe widoki odsłaniają się na drodze z Interlaken do Scheidegg: ponad rozkoszną zielenią szerokich polan, które dwa rwące przerzynają strumyki (Biała i Czarna Lüczina), wznoszą się długim szeregiem góry olbrzymie: Mnich, Eiger, Grosshorn, Breithorn, Wetterhorn, Schreckhorn, Schilthorn, Silberhorn i t. d., ale ponad wszystkiemi góruje »Dziewica« (4166 m.) w swojej nieskalanej bieli. Daremniebym się wysilał na opisywanie tego widoku: te »nastroszone wokół, spieszące zwartym hufcem pod niebo ciała herosów o ciemnych czołach i hełmach brylantowych« [1] nie dadzą się odmalować słowami.

(Dok. nast.).

Ks. Aleksander Pechnik.

---

[1] Z powieści Romskiego i Orzeszkowej p. n. »Ad astra. Dwugłos«.

Z powodu nowego poglądu na apostołów słowiańskich.

(Ciąg dalszy)

Poprzednia część niniejszej pracy zaznaczyła najprzód ścisły związek między najdawniejszymi śladami chrześcijaństwa na ziemiach słowiańskich a poselstwem od Słowian z Wielkich Moraw do greckiego cesarza: tak samo to poselstwo w stuleciu dziewiątem prosi Greków o zwierzchnika dla swojego Kościoła i nauczyciela, jak od najdawniejszych stuleci chrześcijanie słowiańscy do Grecyi zwracali oczy, kiedy potrzebowali opieki zwierzchników duchownych. W świetle tego związku ścisłego między greckim Kościołem a słowiańskim wypadało w dalszym ciągu pracy roztrząsnąć zarzuty przeciw powadze źródeł, którym Dr A. B. przypisuje świadectwo sprzeczne z prawdą, więc czyta je na odwrót, aby z nich wywieść własne »poglądy potworne« o Braciach Sołuńskich.

Wspomnianą przy początku tej pracy treść owych poglądów możnaby uzupełnić mnóstwem obelg, któremi Dr A. B. obsypuje to jednego, to drugiego z Braci: »Wkradł się przecież wilk, obcy Grek, w owczarnię łacińską... inwazyę bezprawną« (433) urządził Cyryl i wykonał zamach na »zawisłość nowego chrześcijaństwa morawskiego od wpływów niemieckich; biskup passawski rządził klerem krajowym (435) — a więc zostawić to wszystko na łatwą zdobycz Rzymowi? Nie dopuszczał tego sam patryotyzm grecki Cyryla, przyjaciela Focyusza, stronnika antirzymskiego. I coraz wyraźniej zarysowywał się przed oczami Cyryla plan odsadzenia

nienawistnego Rzymu a pozyskania dla Carogrodu blizkich Słowian... (441) I nie zerwał bynajmniej Metodyusz związków z Carogrodem, (454) — zerwał z Rzymem w myśli swej stanowczo, przekląwszy swego sufragana, Wickinga, za jego stanowisko katolickie, rzymskie (455). Z największą nieufnością musieli księża łacińscy spoglądać na intruza Greka (458). O oderwaniu od Kościoła katolickiego, t. j. rzymskiego, pewnie już sam Metody przemyśliwał, chociaż do czasu, do pory, kryć się z zamiarem należało (466). Dla Słowiańszczyzny zachodniej dzieło Cyryla i Metodego nie ma i nie miało, prócz jako *curiosum* tylko — najmniejszego znaczenia, powagi ani wpływu; należy ono wyłącznie Słowiańszczyźnie odłączonej od Zachodu — »niech się ona niem cieszy (471). Nam chwała Bogu nic do niego (474)«.

Pogląd ten spoczywa na tym błędzie zasadniczym, jakoby sprawa Bawarów sama przez się była sprawą Rzymu, a Greccy Bracia stanęli do walki przeciw Bawarom, więc tem samem wystąpili do wojny z Rzymem.

Rzym przeciwnie orzekł i stanowczo oświadczył, że Bawarzy przez walkę wytoczoną Greckim Braciom, wypowiedzieli wojnę właśnie Rzymowi.

Wiedział o tem Rzym, że dziewiąte stulecie przyniosło Słowiańszczyźnie nie dopiero zawiązki chrześcijaństwa, ale już dalszy rozdział dziejów chrześcijańskich, zaczętych wśród Słowian w dobie starożytnej, jeszcze za czasów katakumbowych.

Jan X papież w liście do Tomisława chorwackiego i Michała zachlumeckiego (w Hercegowinie) wraz z ich duchowieństwem, szlachtą i ludem pisze [1], że, — »jak o tem nikt nie wątpi, — słowiańskie królestwa znalazły o sobie wzmiankę przy pierwszych występach apostołów i Kościoła Powszechnego, bo od kolebki strawę kaznodziejską apostolskiego Kościoła dostały z mlekiem wiary«.

Inny także pomnik średniowiecza, opatrzony podpisem Eugeniusza II (824—827), świadczy, że w owych czasach w pamięci

[1] Farl. III, 95: »Quis enim ambigit Sclavinorum regna in primitiis apostolorum et universalis Ecclesiae esse commemorata, quum a cunabulis escam praedicationis apostolicae Ecclesiae perceperant cum lacte fidei?«.

jeszcze tkwił żywo starożytny początek chrześcijaństwa na Słowiańszczyznie: uchodził za prawdę bezsprzeczną i dostarczał ze siebie dowodów dość poważnych, aby na ich podstawie papież rozstrzygał spory o prawa biskupów. Spór ten powstał stąd, że biskup z Wormancyi, Rupert, u progu ósmego stulecia znalazł na obszarach, potem przyznanych przez Karola Wielkiego biskupowi z Solnogrodu, szczątki rzymskiego miasta Lauriacum nad prawym brzegiem Dunaju przy wpływie do niego Anizy. Starożytne źródła donosiły, że i w tem mieście przebywał święty Andronik. Rupert tedy odbudował miasto i zamierzył wskrzesić w niem metropolię wśród Słowian. Postąpił, jak gdyby nic nie wiedział, że panońska owczarnia, które się chełpiła świętym Andronikiem, ocalała w Sriemie i przetrwała pokryjomu na Słowiańszczyźnie najazd awarski. Nie wiedziałże o tem Rupert? albo czy może tylko podzielał przesąd wielu rodaków swoich przeciw duchowieństwu greckiemu, więc nie uznawał ich posługi dla Słowian za dość prawowierną?...

Następca jego Vivilus, zmuszony z Lauriacum uchodzić przed Awarami, osiadł w Pasawie z myślą, że na tę nową siedzibę biskupią przenosi dziedziczne prawa stolicy świętego Andronika, ale już nie samodzielnej, tylko pod zwierzchnią władzę Solnogrodu poddany. Ale znowu od tej myśli odstąpił następca jego Urolf; powierzył stolicę passawską innemu biskupowi około r. 806-go i wrócił do Lauriacum, aby wskrzesić tu rzeczoną metropolię, niezależną od Kościoła bawarskiego. Znalazł opiekuna w słowiańskim władcy Mojmirze, już chrześcijaninie, i przy dobrych z nim stosunkach zaczął wykonywać myśl Ruperta. Widocznie właśnie myślał o metropolii samodzielnej, bo wywołał przeciw sobie gniewy ze strony dwóch biskupów: solnogrodzkiego, który wymagał zwierzchnictwa nad obszarami, gdzie leżały zwaliska Lauriacum, i pasawskiego, jakoby dziedzica praw świętego Andronika po biskupie Rupercie i Vivilusie. W tym to sporze Urolf na swoją obronę przywołał powagę Rzymu i wystawił list, który do dziś przechowany w Museum Franco-Carolinum, nosi na sobie podpis ówczesnego papieża Eugeniusza II i stwierdza, że praw metropolitalnego kościoła używały ziemie słowiańskie już za rzymskich czasów. Biskupi bawarscy przeciw Arulfowi z jego listem chwycili za broń

tę samą, której niebawem użyć mieli przeciw Metodemu: przywiedli za sobą pisma Pipina i Karola Wielkiego na dowód, że ci królowie polecili im iść w dzielnice Słowian, i zaopatrywać całą tę okolicę, i pilnować obrządków kościelnych według zwyczaju swojego, i kazaniami u t w i e r d z a ć plemiona we wierze i chrześcijaństwie, — a zbyli pismo Eugeniusza zarzutem, że Arulf podrobić je mógł sam. Znieśli tedy odnowioną metropolię słowiańską i przywrócili podział swoich dyecezyi z przed czasów Urolfa.

Chociażby Urolf podrobił list i podpis Eugeniusza II, w każdym razie zostawił pomnik, który świadczy, że jeszcze w początkach IX stulecia aż nawet do Niemców dochodziła pamięć o samoistnej dzielnicy kościelnej, którą miał wśród starożytnych Słowian założyć uczeń Pawła apostoła. Przytoczeni powyżej pisarze: Hesychios, Doroteus, Nestor, dziejopis św. Metodego i t. d. znajdują tedy w sprawie Urolfa nowe świadectwa, że przeróżne, niezależne od siebie wieki i kraje, nie zmówione ze sobą przekazywały pokoleniom pamięć o apostolskim początku Kościoła słowiańskiego. Stąd poszło hasło, z którem na ustach szli Bawarzyna Słowiańszczyznę po rządy zwierzchnicze nad jej Kościołem.

Jak Sriem i Lauriacum przypisywały początki swoich metropolii uczniowi Pawła Andronikowi, tak samo mezyjska metropolia sławiła ucznia Pawłowego, świętego Klemensa, jako założyciela macierzyńskiej cerkwi w Biełogrodzie[1] i przechowywała ze czcią pamięć pierwotnych dziejów tej cerkwi, wymieniała swoich męczenników z trzeciego stulecia i t. d.[2] Szczególny badacz starożytnego chrześcijaństwa między Słowianami, baron Avril, wykrył dalej[3], że metropolia mezyjska przechowywała nieprzerwany spis biskupów już od 335-go roku do 582-go na dwóch stolicach: w Smiederewie i Biełogrodzie, a w r. 381-m odprawiała nabożeństwo w swoim języku słowiańskim[4]. I jeszcze inna dzielnica słowiańska przechowuje pamięć o apostolskim początku swojego

[1] Farlati: *Ill. sacr.* I, 256.

[2] Tamże VII, 507—594.

[3] *Revue de l'Orient Chrétien.* Supplémont Trimestr. 1896, str. 9. *Saint Cyrille et saint Méthode.* Leroux, Paris, str. 10 i 133.

[4] »Żywot św. Teodoz.« u Metafrasta.

chrześcijaństwa: rocznikarz węgiersko-polski donosi, że Atylla, — już ożeniony ze słowiańską księżniczką, wraz z wójskiem, które z temże plemieniem słowiańskiem wchodziło w związki małżeńskie, — wkroczyło za Dunajem w kraj zamieszkały przez samych pasterzy i rolników, a wojewoda ich mieszkał nad morzem w mieście Spoleto, któremu Paweł apostoł ogłosił wiarę chrześcijańską i założył stolicę biskupią.

Do tych to Słowian następnie przybyli ich pobratymcy z Białej Chrobacyi, gdzieby ta Biała Chorwacya nie leżała[1], i przy nich porzucili błędy aryańskie, przyjęte od Gotów, jak świadczą Teodor archidyakon[2] i Jornandes, którego opis rzuca na sprawę dość światła. Pisze[3], że w Scytyi po lewym brzegu Dunaju na północ od Dacyi aż do źródeł Wisły rzeki na niezmiernych przestrzeniach lud Wendów licznie rozrodzony osiadł; których nazwiska chociaż teraz na różne pokolenia i kraje podzielone, głównie przecie słyną Słowieni na zachodzie po Dniestr i Wisłę, a Antowie od Dniestru po Dniepr... Gotów, — którzy już w roku 325-m wysłali swojego biskupa Teofila na sobór nicejski, — Gotów król Ermanryk na Wendów oręż obrócił, którzy choć bronią nierówni, ale liczbą potężni, z początku stawić opór usiłowali. Ale nic nie znaczy liczba na wojnie, zwłaszcza gdzie sam Bóg dopuszcza: Wendowie, Antowie i Słowieni, choć teraz z przyczyny grzechów naszych wszędzie srożą się, ale wtedy rozkazom Ermanryka ulegli... Po śmierci Ermanryka Ostrogoci od Wesegotów oddzieleni Hunom podlegali, prócz Winithariosa, który pomału usuwał się z pod jarzma i ruszał na Antów; w pierwszej utarczce zwyciężon, począł sobie dzielniej, króla ich Boza z synami i wielmożami kazał popowieszać... Narzucili Goci aryańskie wyznanie podległym od siebie narodom: Gepidom, Swewom, Alanom, Burgundom, Wandalom; część Słowiańszczyzny uległa temuż uciskowi.

Biskupi na niektórych stolicach słowiańskich powstali przeciw Kościołowi: Walenty w Osieku i Ursak w Biełogradzie gło-

---

[1] Por. Kar. Potkańskiego: »Kraków przed Piastami«. Rozprawy wydziału hist. fil. akademii. T. XXXV, str. 164.

[2] Farl. II, V, 3 i 4.

[3] *Hist. Got.* r. 5, 23, 25, 48.

wnie wywołali uchwały, powzięte na zborzyszczu w Arimini, a następca Ursaka, Sekundyan Biełogradzki walczył przeciw Ambrożemu na zjeździe w Akwilei [1].

Czy za każdy ręczyć można szczegół, przywiedziony na dowód starożytnego chrześcijaństwa wśród Słowian? Oczywiście nad niejednym drobiazgiem możnaby wieść spory długie. Wobec tylu przeróżnych źródeł, z których płyną te szczegóły, zgoda w każdym drobiazgu między świadectwami nadawałaby im pozór zmowy i nadwerężałaby ich powagę co do ostatecznego wyniku. Wobec mniej dokładnie wyrażonych drobiazgów tych czy owych, tem pewniej można uznać istotę tych świadectw za prawdę.

Po upadku aryanizmu nastąpiła dla słowiańskich chrześcijan doba, z której prawie żadnej sprawy nie zdawały prace dziejopisarskie, podległe wpływom nieprzychylnym Słowiańszczyznie. Dopiero w ostatnim czasie wpływom tym zaczęli stawiać opór nie sami tylko Słowianie z Szafarzykiem na czele, ale także inni przeciwnicy Niemców. Wspomniany baron d'Avril stanął na czele obrońców starożytnego Kościoła słowiańskiego i ze źródeł, poprzednio zaniedbywanych, zaczerpnął światła na stan chrześcijaństwa wśród Słowian w dobie wędrówki narodów. Pisze [2]: »Czy można przypuścić, że słowiańscy tubylcy pod Awarami albo wszyscy wyginęli albo odstąpili od wyznania ze wszystkich najwznioślejszego, w którem przodkowie ich od kilku wieków czcili Boga, aby przejść pod Awarami i Bułgarami na wyznanie, przyniesione z wyżyn azyatyckich z poza Wołgi, na wyznanie prostackie, pozbawione prawie wszelkich zasad? Ktokolwiek zdaje sobie sprawę ze zachowawczego umysłu w każdym szczepie rolniczym, a zwłaszcza u wieśniaka słowiańskiego, nigdy nie przystanie na myśli jakoby Słowianin miał wyprzeć się wiary swojej, przyjąć wierzenia swoich panów, dzikich najezdców. Skąd inąd dzieje nie przedstawiają Bułgarów albo Awarów jako zapalonych siewców własnego poglądu wyznaniowego. Chyba, że kto nawracać ich chciał, wtedy pobudzał ich do kroków prześladowczych. Szło im prędzej

[1] Farl. VII, 592—609.
[2] Tamże str. 10.

o to, żeby własne ich wyznanie, obyczaje i zwyczaje wyróżniały ich od zwyciężonego pospólstwa. Zawistnie pewno spoglądali na obcych księży, zwłaszcza greckich, w których upatrywali politycznych wysłanników postronnego mocarstwa; z łakomstwa łupili cerkwie i monastyry, ale nie dyszeli nienawiścią osobliwą, duchem prześladowczym względem chrześcijaństwa. Pamięć na Rzym pogański i jego państwowe wyznanie myli nas czasem, kiedy sądzimy o dziczy z Północy i Wschodu, która oceniała stosunki wprost przeciwnie, niż Rzymianie pod tym względem także, jak pod innymi.

»Więc kiedy mamy mówić o nawróconych Bułgarach i szczątkach Awarów, wtedy nie mamy rozumieć nawróconego kraju całego, ale mówimy o chrześcijaństwie przyjętem przez naczelne, najezdcze warstwy kraju i o odnowionym ustroju prawidłowym Kościoła, co stanowi wypadek niemniej doniosły«.

Skutkiem najazdu Awarów i następnie pogromu ich przez Franków dzieje chrześcijaństwa słowiańskiego zmieniły łożysko, którem płynęły spokojnie przez wiele wieków, i w dalszym ciągu swojego rozwoju rozpoczęły rozdział, jedynie uznany przez sprawozdawców zachodnich za pewny i podawany przez nich jako początek chrześcijaństwa śród Słowian.

Coś żywotnego, niezłomnego, nieujarzmionego błyszczy ciągle w tym szczepie, rozsiadłym po łanach oblanych Wisłą, Dnieprem i Dunajem. Po tym szczepie depczą najezdce: Goty, Huny, Obry i inne, a zetrzeć Słowian nie mogą; przygną do ziemi a nie złamią; wypędzają w kraj cudzy przed sobą na wojnę ale z ich własnej ziemi wyplenić ich nie mogą; wydzierają im piętna ich narodowe i samą nazwę, w pogardę im podają ich wiarę: nie zdołają im wyrwać mowy i zwyczaju ze serca, wiary ze sumień.

Przetrwała tedy Słowiańszczyzna chrześcijańska nawałę Awarską i po niej znowu zapragnęła odnowić starożytny porządek swojego Kościoła: potrzebowała pasterskiej pracy nad zburzoną owczarnią; wezwała do niej starym zwyczajem Braci Soluńskich. Choćbyśmy wątpić mogli o poselstwie Słowian po duszpasterzy z Grecyi, choćby Bracia przybyli nie zaproszeni: powrót Greków do ich dawnej owczarni nastąpiłby zupełnie prawowicie-

Tego właśnie bawarskie duchowieństwo uznać nie chciało. Pismo Karola Wielkiego znaczyło u nich więcej, niż prawo starodawne.

Spór wytoczony przed sąd Stolicy Piotrowej, zmusił Braci Solúńskich ruszyć w drogę do Rzymu. Wezwał ich listownie Mikołaj I papież u schyłku żywota, czyli najpóźniej w początku listopada 867-go roku.

Leon XIII w encyklice, włączonej do pacierzy kapłańskich, opowiada — zgodnie ze źródłami poprzednio wymienionemi — początek i dzieje wyprawy Braci Solúńskich na Morawy, a następnie tak słowami Leona XIII Kościół w swoich pacierzach sądzi o przygodach obu Braci w Rzymie, o ich zasłudze wobec nawróconej Słowiańszczyzny, i o powodach, dla których doznawali tyle przeciwieństw ze strony duchowieństwa bawarskiego:

»W drogę do Rzymu ruszyli Bracia Najlepsi ze zwłokami świętego Klemensa pierwszego, biskupa rzymskiego, które był Cyryl znalazł w Chersoniu. Na wieść o tem Hadryan wtóry, następca zmarłego Mikołaja, w orszaku duchowieństwa i ludu naprzeciw nim wystąpił z wielkiemi oznakami czci. Następnie Cyryl i Metody biskupowi zwierzchniemu, otoczonemu duchowieństwem, zdają sprawę z apostolskiego urzędu, wykonywanego święcie i mozolnie: a z tego powodu przez zazdrośników oskarżeni, iż wprowadzili mowę słowiańską przy sprawowaniu czynności świętych, przyczynę wyłożyli w takich dowodach pewnych i znakomitych, że biskup i duchowieństwo i pochwalili mężów i utwierdzili. Tedy po przysiędze, którą złożyli, że pozostaną przy wierze błogosławionego Piotra i biskupów rzymskich, Hadryan wyświęcił ich na biskupów...

»...Metody zaś powrócił na Morawy i tam zostawszy wzorem owczarni szczerze, z większym co dzień wysiłkiem pracował na usługach sprawy katolickiej. Owszem także Słowaków, Bułgarów, Chorwatów utwierdził we wierze chrześcijańskiej, a ciężko pracował, aby Słoweńców przyprowadzić do czci jednego Boga prawdziwego.

»Przed Janem ósmym, następcą Hadryanowym, znowu oskarżony, jakoby podejrzany we wierze i przestępca obyczaju przod-

ków, wezwany, aby przybył do Rzymu, wobec Jana, kilku biskupów i miejscowego duchowieństwa łatwo przekonał, że i sam statecznie przechował wiarę czysto katolicką, i jej pilnie nauczał drugich; a co do języka słowiańskiego, wprowadzonego do służby świętej, przekonał, że z przyczyn pewnych, za zgodą Hadryana papieża i bez żadnego przeciwieństwa z Pismem świętem, słusznie postąpił. To też na miejscu biskup zwierzchni uściskał Metodego, jego arcypasterską władzę i wyprawę słowiańską kazał uważać za rzecz uznaną stanowczo i wydał pisma w tej sprawie«.

W pismach pomienionych Jan VIII wykłada prawo, na jakiem oparci wysłańcy greckiej Cerkwi objęli owczarnię słowiańską wbrew duchowieństwu Bawaryi. Do Ludwika króla, obrońcy Bawarów, Jan VIII pisze[1]: »Rozprawy soborów wskazują, piśmienne dzieje oznaczają dyecezyę panońską od dawien dawna jako opatrzoną osobliwemi prawami przez apostolską stolicę. Nieucy o tem wątpią, bo długo Apostolska Stolica nie zarządzała tam według zwyczaju nic o biskupie, wstrzymana przeszkodami wskutek najazdów nieprzyjacielskich«. O uroszczonych przez Bawarów prawach do słowiańskiej dzielnicy, (jakoby już przez nich zasiedzianej, odkąd im ją Karol W. powierzył,) dodaje Jan VIII ostro, że o prawach podobnych Kościół chrześcijański nic nie wie.

Pawłowi, biskupowi z Ankony, wysłanemu na dwór niemiecki, Jan VIII każe przemówić w te słowa[2]: »Sam wiesz, o nader chwalebny królu, że panońska dyecezya Apostolskiej Stolicy podlega, chociaż wojenne klęski ową dyecezyę czasowo odciągnęły od tej Stolicy. Jednak z powrotem pokoju powrócić miały Kościołom także prawa skutkiem szału ciemięzcy odjęte im, wraz z pokojem, już powróconym«.

W piśmie do Karlomana[3] Jan VIII wymaga, »aby na panońskiem biskupstwie, oddanem i przywróconem Kościołowi, przeznaczony tam Brat Metody, według starożytnego zwyczaju sprawował, co do biskupa należy«.

Niezadowolony obroną owczarni słowiańskiej przed przyby-

[1] W zbiorze kanonów *Deus dedit* pod l. 193, str. 130.
[2] Tamże l. 195, str. 131.
[3] Tamże l. 154, str. 130.

szami z Bawaryi, Jan VIII zwołuje do tej owczarni napowrót owieczki, rozproszone przez najazd Awarów i w tym właśnie czasie nakłaniane przez wysłańców Bazylego cesarza do innej dyecezyi [1]. Pisze tedy Jan VIII do władcy serbskiego Muntymira Włastymirowicza (843—890) i upomina [2]: »żeby na zwyczaje przodków swoich dbały, o ile zdoła, usiłował wrócić do dyecezyi panońskiej, skoro na nią już Bogu dzięki biskupa wyznaczyła Stolica błog. Piotra Apost.«

Wymienione przez Leona XIII-go i przytoczone tu pisma Jana VIII doszły do nas tylko w urywkach. Najważniejszy z nich list z lipca 880-go roku (pod liczbą 247) do Swiętopełka, całkowicie przechowany, jako »słuszną chlubę« dla Cyryla wymienia wynalezione przez niego pismo słowiańskie *(iure laudamus)* i wspomina o Wichingu, żarliwym przedstawicielu ducha niemieckiego, obecnym w Rzymie podczas rozpraw z Metodym. To dodaje wiele wagi do pochwał, któremi Jan VIII w tym liście obsypuje Metodego.

Uznany uroczyście prawowiernym Metody śpiewał w Składzie Wiary tylko te słowa o Duchu świętym: »który pochodzi od Ojca«, a stanowczo opuszczał dodawane u Franków słowa: »i od Syna«. Niemcy już od dawna usilnie kołatali do Rzymu z prośbą, aby papież uroczyście uchwalił, że cały Kościół ma przyjąć dodatek słów: »i od Syna«. Ale już Leon III papież stanowczo odmówił im w roku 810-m [3] i uspokoił ich na razie uwagą, że nie wystarczy byle jaka pobudka albo czyjebądź nabożeństwo, aby Rzym uchwalał swoją powagą jakikolwiek dodatek do Składu Wiary soborów. Pozostali tedy Niemcy przy zwyczaju swoim i dodatku, do którego żadna powaga nie obowiązywała innych Kościołów. Przecie Bawarzy chcieli do tych słów dodatkowych zmusić Słowian. Dostali od Metodego odprawę, na którą w odpowiedzi zarzucili Metodemu błąd przeciw wierze, ale tak niezręcznie wyrazili swój zarzut, że sami zaczęli w oczach uczonego

---

[1] Szafarzyk § 31, cz. 2.
[2] Tamże.
[3] Baron a 809. nr. 54.

Greka uchodzić za wyznawców nauki Patripassyanów, zwanych na Wschodzie Hyjopatarami, którzy w Trójcy świętej nie odróżniali osób Ojca i Syna. Spór tedy zeszedł na ścieżki bardzo ślizkie. Jan Wenecyanin, wysłany do papieża z zarzutem innowierstwa przeciw Metodemu, potem Wiching, który najzawzięciej (458) intrygował i wojował nawet kłamstwami, nie szczędzili dowodów, aby dopiąć celu: uzyskali wyrok dla Metodego tem chlubniejszy. Nie zraziła Jana względem Metodego, owszem ujęła i otwarta obrona Składu Wiary greckiego, i szczerze wyznana zasada greckiej Cerkwi co do nabożeństwa w językach narodowych, i nakoniec prośba ta, przez którą Metody dowiódł, że Grekiem będąc, greckiem sercem tęskni za swoją ojczyzną. Prośbę tę złożył Metody przed Hadryanem, a o niej uwiadomił Gaudencyusz Jana VIII w t. zw. Legendzie włoskiej, którą temuż papieżowi przypisał. Mianowicie obaj Bracia Soluńscy pragnęli po wyprawie słowiańskiej wrócić do ojczyzny i obiecali matce swojej, że gdyby który z nich nie dożył powrotu do kraju, drugi który przeżyje, odniesie jego kości i pogrzebie w ziemi rodzinnej. Dlatego Metody uprosił Hadryana Wtórego, żeby mógł zabrać ze sobą zwłoki Cyryla z Rzymu i odnieść je do monastyru carogrodzkiego.

Wiedzieli tedy obaj papieże, Hadryan i Jan, że ścisłe związki łączą Braci Soluńskich z ich Grecyą ojczystą, a mimo takich związków właśnie tym Grekom rządy nad Słowiańszczyzną powierzyli a usunęli ją z pod władzy bawarskich zwierzchników kościelnych. Wiedział też Leon XIII, ile przecierpiał Metody od Bawarów za swoje rządy duchowe nad Słowiańszczyzną; streszcza poniesione przez niego trudy i przecierpianą niedolę następnemi słowami w księdze pacierzy kapłańskich:

»Metody z powrotem na Morawy trwał przy wyznaczonym sobie obowiązku, spełnianym nader czujnie, za co też zesłany na wygnanie cierpiał ochotnie [Żywot słowiański rozdz. 9: i onego zasłali między Szwaby i więzili przez półtrzecia roku]. Przywiódł do wiary władcę czeskiego z żoną i w tych plemionach wszerz i wzdłuż rozprzestrzenił imię chrześcijańskie. Wniósł ewangeliczne

światło do Polski[1] i, jak niektórzy pisarze podają, biskupią stolicę kijowską założył. W końcu na Morawy wrócił do swoich«.

W trudach i niedoli, o których pisze Leon XIII, Metody szukał pociechy u Jana VIII. Jeden z listów Jana w odpowiedzi Metodemu doszedł do nas szczęśliwie i przedstawia dobitnie braterski stosunek między biskupami rzymskim i słowiańskim[2].

List ten jawnie okazuje, w jakich smutkach szczególnie Jan VIII pociesza Metodego: sprawiał te smutki biskup, który

---

[1] Za pośrednictwem przynajmniej Czechów z Dąbrówką, jeżeli osobiście nie nawiedził podkarpacia północnego. Pr. Potkańskiego, jak wyżej str. 163, dowód, że ‚jacyś misyonarze chodzili do kraju Wiślan'; str. 165: Przypuścić trzeba, że działalność tych słow. misyonarzy objawiła się nawet silniej i t. d.

[2] *Codex dipl. Mor.* I, 44. *Acta sanctorum* t. VIII, *Martii* 2. t. II *dies 9,* str. 20, edit. Paris 1865.

»Do Metodego arcybiskupa *pro fide.* Pochwalając usilność twojej pieczołowitości pasterskiej, którą objawiasz w zjednywaniu dusz wiernych Panu Bogu naszemu, i widząc, że jesteś dzielnym zachowawcą prawosławnej wiary, głęboko w tymże Panu radujemy się i Jemu składać niezmiernych pochwał i dzięków i nie przestajemy, Który cię niech coraz goręcej rozpala w swoich przykazaniach i na pożytek swojego Kościoła świętego niech miłosiernie wyrywa z wszelkich przeciwności. A stąd wnosić możesz, jak współczule z tobą współbolejemy, poznawszy z twojego listu rozmaite przypadki czyli przygody twoje; przyczem upomnieliśmy, kiedy stałeś przed nami, że powinieneś iść za nauką świętego Kościoła rzymskiego według poważnego podania świętych Ojców, i dodaliśmy, żebyś uczył i głosił tak Skład jak prawdy Wiary, i daliśmy to znać chwalebnemu księciu Świętopełkowi przez pismo apostolskie, które twierdzisz, że do niego doszło. Ani nie posłaliśmy do niego listu innego, ani biskupowi owemu, czy jawnie czy tajnie, nie poleciliśmy działać inaczej a tobie inaczej nie przekazaliśmy. O ileż mniej masz wierzyć, żebyśmy do przysiąg tegoż biskupa zmuszali, którego nawet najmniejszem słówkiem w tej sprawie nie zagadnęliśmy. Niech tedy ustanie ta wątpliwość i za Boską pomocą, jak podaje nauka ewangelii i apostołów, we wiernych wszystkich wpajaj, żeby zachowali wiarę prawosławną, abyś z trudu swojej walki odniósł obfity plon Panu Jezusowi Chrystusowi i nagrodzony Jego łaską otrzymał zapłatę stosowną. W końcu z innych doświadczeń, których doznałeś w rozmaity sposób, nie chciej smucić się, ale owszem za wszelką zgoła radość to sobie poczytuj według apostoła, bo gdy Bóg z tobą, nikt nie zdoła być przeciw tobie. Jednak kiedy za Boskim przewodem wrócisz, wtedy przy Boskiej pomocy do prawowitego końca doprowadzimy (roztrząsnąwszy) jedną i drugą sprawę: i wszystko, co przeciw tobie wyprawiał listami (tu niektóre rękopisy mają: *dictus episcopus,* inne *dictis epistolis)* już rzeczony sprzecznie z obowiązkiem, i nie zaniedbamy karę za jego upór nałożyć wyrokiem sądu naszego. Dan 23-go marca 881-go roku«.

zmyślał, że upoważniony przez papieża niezgodnie z Metodym działa, który kłamał o jakimś obowiązku nałożonym przez papieża na niego pod przysięgą, który za listy układane sprzecznie z obowiązkiem i za upór podpaść miał karze papieskim wyrokiem. Jawnie też Jan VIII przestrzega Metodego, (a z nim jego dziejopisów,) przed wiarą w pisma rzekomo papieskie a sprzeczne ze zasadami, według których pracę Metodego cenił Jan VIII, zgodnie z Hadryanem II. O takie zwłaszcza jedno pismo spór trwa już dawno. Uderza w niem nie sama tylko treść wręcz przeciwna zasadom obu papieży rzeczonych, ale także brak wszelkich względów na przeciwnika, wymienionego bez ogródki i doboru przymiotników. Wręcz inaczej pisał Jan VIII o biskupie złym, którego w liście nawet poufnym nie wskazał imiennie.

Takie zajął stanowisko Jan VIII wobec bawarskiego duchowieństwa, z powodu jego sporów z Braćmi Soluńskimi o duchowną władzę nad Słowiańszczyzną. Stanowisko to samo mówi wyraźnie, że sprawa bawarskiego duchowieństwa wcale a wcale nie była sprawą Rzymu, więc walka między świętymi Braćmi Grekami a Bawarami nie stanowiła wojny Greków przeciw Rzymowi, tylko łączyła Greków ze Rzymem w jednym obozie przeciw Bawarom.

Ale za niemożliwą mrzonkę w tych i owych oczach dziś uchodzi widok Greków połączonych że Rzymem w obronie Słowian przed Bawarami. Po różnych, niezmiernie smutnych wypadkach w ciągu ostatnich stuleci, dzisiejsze pokolenie z jednej strony przywykło słyszeć ciągle o antypapizmie wschodnim, z drugiej o zachodnim papizmie. Wielu przerzuca zwykłe pojęcia dzisiejsze na czasy i stosunki zupełnie inne; dziś zlewają wschód w jedno pojęcie z antypapizmem, zachód z papizmem: więc i na IX-te stulecie zawracają swoje pojęcia: więc ze wzmianką o walce Metodego z Wichingiem wschodniego biskupa z zachodnim łączą zaraz bez namysłu widmo walki antypapizmu z papizmem, całego Wschodu z Zachodem i Rzymem. Temu zakrojowi myśli, tym nałogowo kojarzonym pojęciom uległ zapewne bez złych chęci Dr A. B. i dostrzegł w Cyrylu i Metodym antypapistów zawziętych.

A przecie chwila namysłu wystarczy, aby spostrzedz, że tak kojarzyć pojęć, dziś spokrewnionych, nie można w stuleciu

IX-tem, nie można nawet w stuleciach po niem najbliższych, bo dopiero później i znacznie później powstała pierwsza myśl w jednych sercach o papizmie, w drugich o antypapizmie.

Objawem antypapizmu u Cyryla ma być jego przyjaźń z Focyuszem.

Focyusz, jako dworzanin cesarski w Carogrodzie, przebywał najwięcej wśród kół niechętnych patryarsze Ignacemu. Świątobliwy ten patryarcha, czczony dziś między świętymi i we wschodnich Cerkwiach i w zachodnim Kościele, niezwykle licznych zwolenników zjednywał sobie wśród pobożnych tłumów, zwłaszcza wśród warstw niższych i średnich, ale garstkę też potężnych przeciwników ściągnął przeciw sobie wśród swawolnych kół dworskich. Przewódca tych kół Asbestas usiłował Focyusza przejąć swoim wstrętem ku Ignacemu, wstrętem posuniętym do szału, jak mówi Niketas dziejopis.[1]. Focyusz zdradzał tę niechęć ku patryarsze wobec najszczerszego przyjaciela swojego, Cyryla filozofa, aż nakoniec ściągnął na siebie jego otwartą naganę. Sprawę opisuje świadek ówczesny, Anastazy bibliotekarz, od którego właśnie wiemy, co za ścisła a szlachetna zarazem przyjaźń łączyła Focyusza z Cyrylem: pisze tedy[1]: »zaczął Focyusz wywodzić, że u każdego człowieka są dwie dusze. Wtedy przyjaciel najściślejszy, Konstanty filozof, skarcił Focyusza słowami: ‚Na cóż przez takie brednie, puszczone w lud, tyle dusz zabijasz?' Odpowiedział Focyusz: ‚Bez myśli, że komu szkodzę, takie wywody przedstawiałem, tylko aby doznać, co patryarcha Ignacy począłby, gdyby za swoich czasów jaką herezyę spotkał, popartą syllogizmami filozoficznemi, kiedy pomiata szczególnie ludźmi nauki'. Na to Konstanty: ‚O mądrości światowa, ogłupiała i nikła! miotałeś strzały na mnóstwo ludzi w gęstej ciżbie i nie wiedziałeś, że kogoś z ich tylu zranisz. Pewnie każdy wie, że przestają dalej widzieć oczy, jakby nie były duże i otwarte, kiedy zajdą kurzem z plewy. Tak oczy mądrości twojej, jakkolwiekbądź wielkie i po-

[1] ἐκ τῆς εἰς αὐτὸν (Ἀσβέστην) πίστεως ὅλην τοῦ ἀνδρὸς κατὰ τοῦ ἀναιτίου (Ἰγνατίου) μανίαν ἐπεσπάσατο. Podobnież u Mans. xv. 428. Stylian, Anast. Sym. str. 171. rozdz. 32 i inni często.

[2] W przedmowie do soboru carogrodz. 4-go.

jemne, ale zupełnie zaprószone pyłem żądzy i zawiści, widzieć nie mogą ścieżek sprawiedliwości. I stąd to prawda, co mówisz: nie mniemałeś że pociskiem swoim urazisz kogo, bo zaprószyłeś sobie zmysł taką, jak powiadam, namiętnością przeciw patryarsze, ani nie przewidziałeś, co miotasz'«.

Wobec tego szczegółu można zapytać się, czy Cyryl przylgnął do Focyusza przyjaźnią zaślepionego zachwytu? czy jak płaski służalca we wszystkiem potakiwał przyjacielowi, wszędzie i zawsze stał za nim? czy przeciwnie żywił przyjaźń pokrewieństwa dusz niezwykle zasobnych i pragnął wymiany myśli, aby wzajemnie udzielać sobie zapału, uwag, rad albo przestróg?

Kto korzysta z praw najściślejszej przyjaźni, aby poufale skarcić przyjaciela, ten z nim nie idzie w drogę, którą gani, ten, jak Cyryl, nie towarzyszy Focyuszowi, ze szkodą Ignacego.

Przestrogi Cyryla nie odciągnęły Focyusza od wpływów Asbestasa i dworskich kół odstręczonych od patryarchy. Do tych kół należał cesarski krewny Bardas; za nieobyczajne wybryki ściągnął na siebie uroczystą naganę patryarchy przy nabożeństwie u świętej Zofii: poprzysiągł zemstę [1]. Skorzystał z pierwszej chwili sposobnej do pamiętnego odwetu: 23-go listop. roku 857-go zdobył pismo cesarskie, mocą którego na wyspę Mytylene wysłał patryarchę, jemu wiernych biskupów poosadzał na stanowiskach najdalszych od Carogrodu, na patryarszą stolicę wyniósł Focyusza, na poopróżniane biskupstwa powyznaczał swoich popleczników.

[1] Migne: *Patr. Gr.* CXXV, 25. Ζωναρ. βιβλ. ιζ κεφ δ: »ὁ θεῖος Ἰγνάτιος τὸν καίσαρα Βάρδαν, τὸν γαμετὴν ἀναιτίως ἀποπεμψάμενον, συμφείρεσθαι δὲ λεγόμενον τῇ νυμφῇ τῇ ἑαυτοῦ, τῶν ἱερῶν ἐπιβῆναι περιβόλων ἐκώλυεν. Ὁ δὲ διὰ τοῦτο τῆς Ἐκκλήσιας μεθίστησι τὸν ἀρχιερέα, καὶ πολλὰ κακώσας, τέλος ἐγκλείει τάφῳ. Εἶτ' ἐκεῖθεν ἐξενεγκὼν εἰς Μιτυλήνην τὴν νῆσον ὑπερορίζει. Καὶ οὐ τοῦτον μόνον οὕτω διέθετο, ἀλλὰ καὶ πλείους ἄλλους τῶν ἀρχιερέων, ὅσοι τῷ Ἰγνατίῳ γεγόνασι σύμφεροι, αὐτὸν ἀφορίσαντι· προχειρίζεται δὲ πατριάρχην τὸν Φότιον, ἄνδρα τῶν ἐπισήμων πρωτοασηκρῆτις τότε τυγχάνοντα, καὶ ἐν λόγοις ὀνομαστότατον. Ὡς δ' ἔτυχε παρεῖναι καὶ τοποτηρητὰς τοῦ πάπα Ῥώμης κατὰ τῶν εἰκονομάχων, κἀκείνους ὁ Βάρδας πείθει τῆς ἑαυτοῦ γενέσθαι γνώμης. Ἐν γοῦν τῷ τῶν Ἁγίων Ἀποστόλων ναῷ ἀθρυισθέντες ἄγουσι καὶ τὸν ἱερώτατον Ἰγνάτιον ἐκ τῆς ὑπερορίας καὶ ποιοῦνται τοῦτον ὑπο καθαίρεσιν«. Tamże CXXVII, 412: Κωνστ. τ. Μανασσ.: »μὴ τυχὼν τῆς δωρεᾶς ἐκείνης τῆς ἐνθέου... καὶ ῥήγνυσι καὶ κατασπᾷ τῆς πηδαλιουργίας, ἀντεφιστᾷ δὲ Φώτιον (φεῦ αντὶ τίνος ποιῶν!)« Tak samo Cedrenus CXXI, 972; następca Theophanesa ks. IV, r. 31; Symon Logoth. »Michał« r. 28; Niketas kap. »Ignacy«; Theophil i inni.

Wtedy to właśnie biskup Mitrofan wspomniany poprzednio[1], ze smyrneńskiej stolicy wysłany jako zwolennik Ignacego, w okolicach Chersonia przebywał współcześnie z Cyrylem, wyprawionym do Chazarów. Skąd to pochodzi, nie wiadomo, ale uderza sam wypadek, że Cyryla znajdujemy nie w pobliżu Carogrodu pośród stronników Focyusza.

Nowy patryarcha wybrany przez dwór na miejsce Ignacego wyprawił uroczyście poselstwo do Rzymu z listem, pełnym ducha pokory, aby uprawnić swój obiór: uwiadamia Mikołaja I-go o otrzymanem dostojeństwie i prosi o błogosławieństwo papieskich jego modlitw na odpowiedzialne stanowisko[2].

Dwór także potrzebował znaleźć za sobą jak najprędzej powagę Mikołaja, aby zażegnać niebezpieczeństwo rozruchów w narodzie, który zwartemi tłumami mruczał za swoim patryarchą. Poselstwo tedy z listem od Focyusza doręczyło Mikołajowi listowną prośbę cesarza Michała, żeby apostolska stolica wyprawiła od siebie posłów, którzyby «usunęli zgorszenia i zakończyli σχίσματα«. Tychże samych słów używa Mikołaj w odpowiedzi do cesarza[3]: »usłyszeliśmy, że powstało niepomierne zgorszenie i σχίσμα... odkąd mianowicie jedni bronią obioru Focyusza, drudzy przeciw niemu słusznie powstają, dopokąd Ignacy żyw i o winie nieprzekonany«. W innym liście[4] używa Mikołaj w temże miejscu zamiast greckiego słowa σχίσμα łacińskiego wyrazu *dissensio*.

Widzimy tedy i u Michała i u Mikołaja greckie słowo w tem pojęciu pierwotnem i starodawnem, w jakiem jeszcze pisma apostolskie wyrażały tem słowem rozterkę albo rozdwojenie umysłów, scyssię, w łonie powaśnionego społeczeństwa. Wewnątrz patryarchatu carogrodzkiego Bardas wywołał rozłam między stronnictwami, jednem: wiernem patryarsze narodowemu, drugiem: posłusznem patryarsze dworskiemu. Ale i jedne stronnictwo i drugie usiłowało poprzeć sprawę swojego patryarchy powagą Mikołaja:

---

[1] *Przegl. Powsz.* LXXX. 380, 390.
[2] Tamże *P. G.* CII, 585.
[3] Tamże CXIX, 1019.
[4] 4 ad omn. fid.

z nim żadne nie było wtedy w zatargu, żadne antypapizmu nie znało jeszcze.

Do antypapizmu w ścisłem pojęciu odszczepieństwa potrzeba więcej i to tak dalece, że w tem pojęciu ścisłem kanoniczne ustawy nie nazywają jeszcze tego antypapistą, kto uparcie odmawiałby posłuszeństwa rozkazowi samej tylko Głowy Kościoła, w sposób taki, że jeszcze nie rozłącza się z ciałem Kościoła całego. Tę różnicę opierają kanoniści na wyraźnych słowach Bulli Piusa IX-go, o klątwach kościelnych, z których jedna dotyka *schismaticos* **et** *eos, qui se ab obedientia summi Pontificii pertinaciter subtrahunt.* Przy wykładzie tych słów czytamy u kanonistów, że klątwa dotyka dwa rodzaje przestępców: primo tych, którzy się rozłączają z ciałem Kościoła wraz z jego głową, **et** secundo tych, którzy się od posłuszeństwa względem Głowy Kościoła upornie usuwają. Tych to przestępców drugiego rodzaju osobno wymienia Bulla, jako nie objętych nazwą odszczepieńców, i wyznacza dla tych i dla tamtych jedną karę. To mówią kanoniści przy wykładzie ścisłym, a ścisłego wykładu wymaga sam Kościół dla swoich karnych przypisów.

Aby tedy przez wyrazownictwo mniej ścisłe, (chociażby gdzie bądź utarte,), nie zaciemniać wywodów w tem miejscu, wypada za Bullą Piusa IX-go i kanonistami poprzestać na nienawistnej nazwie odszczepieńców czy antypapistów dla odłączonych od ciała Kościoła z jego głową, a nie rozciągać jej na upartych w nieposłuszeństwie rozkazom samej osobiście Głowy Kościoła.

Niechby tedy dworski patryarcha miał Cyryla nawet przy sobie, niechby przyjaciela skądinąd najściślejszego nie trzymał daleko od Carogrodu w towarzystwie wysłańców za Ignacego: czyż w tym czasie nazwa antypapisty paść mogła na Cyryla, kiedy dwór ze swoim patryarchą proszą Mikołaja o wyrok pokoju dla rozdwojonego społeczeństwa? O kanonicznem odszczepieństwie niczyjem wtedy ani mowy nie było.

Wysłańców z Carogrodu Mikołaj wtedy przyjmuje nie jak antypapistów z klątwą na ustach, ale wita uroczyście w świątyni S. Maria Magiore. Na prośbę Michała przystaje i wyprawia po-

słów, aby ci sprawę zbadali i dokładnie ją przedstawili po powrocie do Rzymu; nikogo nie wyklucza ze społeczeństwa kościelnego, tylko zastrzega, żeby jego posłowie w to społeczeństwo wchodzili z Focyuszem jakoby ze świeckim jeszcze, a nie jako z biskupem, póki Mikołaj sam nie uzna jego święceń i nie rozstrzygnie sprawy między nim a Ignacym [1]. W końcu sam do Focyusza odpisuje, że nie może na jego obiór dotąd przystać, póki nie rozpozna sprawy dokładnie przez posłów, a wtedy, jeżeli tak wypadnie, uczci w nim patryarchę i obejmie miłością braterską.

Focyusz posłów papieskich w r. 861-m tak umiał zjednać sobie i zupełnie pozyskać, że skłonił ich do wyroku przeciw Ignacemu na zjeździe 318-u biskupów; wobec przytomnych na tym zjeździe wysłańców papieskich, jako przewodników, zjazd przybrał zewnętrzną szatę soboru powszechnego i za taki na Wschodzie uchodzi. Na takim soborze uroczyście uznany patryarchą Focyusz, donosi o wypadku w słowach znów pełnych ducha pokory [2].

Słowem: dworskie stronnictwo użyło wszelakich środków ludzkich, aby w obec Ignacego i całego patryarchatu wystąpić oparte o powagę Mikołaja. Antypapizm nie miałby skąd się wyłonić przy tych stosunkach.

Stosunki te trwały bez widocznej zmiany jeszcze kilka lat. W następnym roku Mikołaj wiedział, że jego wysłańce zamiast poprzestać bezstronnie na śledztwie, rozstrzygnęli wyrokiem nieupełnomocnionym, sprawę między Ignacym a Focyuszem. Zatem wysłał 18-marca roku 862-go okólnik do wszystkich patryarchów, w którym zawiesza, jako nieważny, wyrok dorywczo zapadły przeciw Ignacemu. Tegoż dnia wyprawił Mikołaj list do Focyusza [3], któremu zapowiada, że jak Kościół rzymski obstaje przy obronie Ignacego na jego pierwotnem dostojeństwie, póki jego winy

[3] Tamże: »Photii vero consecrationem non solum minime admittendam esse decrevimus, verum etiam ipsis Legatis nostris, ne cum illo, nisi quasi cum laico usque ad notitiam nostram communicarent, frequenti et omnimoda iussione praecepimus«.

[2] Tamże CII, 593.

[3] Tamże 785—790.

nie pozna dowodnie, tak po wyroku, prawowicie wydanym przeciw Ignacemu, przyjmie Focyusza na stanowisko patryarsze, chociaż zajęte nieoględnie i wbrew podaniom ojców, ale dopiero po wyroku przystanie na jego urząd biskupi. Można tu zauważyć, czy tak odpisałby Mikołaj na prośbę antypapisty.

Dopiero po tym liście dostał Mikołaj pismo Ignacego, wysłane wkrótce po sądzie nad nim odbytym na zjeździe 861-go roku. Zatem Mikołaj zwołał do Rzymu w kwietniu 863-go zjazd biskupów, na którym suspenduje Focyusza w urzędzie kapłańskim i przestrzega, że rzuci na niego klątwę, jeżeliby Focyusz, o niniejszej uchwale uwiadomiony, nie przywrócił Ignacemu patryarszej stolicy.

Nim wiadomość o tem doszła do Carogrodu, już Cyryl wyruszył na wyprawę wielko-morawską.

Swoją uchwałę Mikołaj wysłał na dwór carogrodzki, ale ani dla tego pisma, ani dla następnych, nie miłych Focyuszowi, nie znalazł już dróg do Carogrodu: dochodziły tam właśnie wręcz przeciwne listy, jakoby od Mikołaja wysyłane, aby Focyusza uznać godny mpochwał i prawowitym patryarchą [1]. Ledwo zdołali pokryjomu zwolennicy Ignacego dostawać od jego przyjaciół w Rzymie skąpe wieści, że Mikołaj broni dalej ich patryarchę przed Focyuszem, i przygotowuje do cesarza nowy list w jesieni roku 865-go, ale temi wieściami nie mogli przekonać ogółu utrzymywanego urzędowo w dobrej wierze, jakoby Rzym już za patryarchę uznał Focyusza.

Ten ostatni nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła utrzymać tę dobrą wiarę wśród społeczeństwa, kiedy dostał list od dwóch arcybiskupów niemieckich Guenthera i Thietgauda, którzy przed jego sąd wytoczyli sprawę swoją z Mikołajem: popierali zabiegi księcia Lotaryngii o rozwód; za to złożeni z urzędu przez Mikołaja, wezwali na pomoc Focyusza, jako skrzywdzeni ciężko i obciążeni jarzmem tyranii Mikołaja, która targa prawa Kościoła i zmienia jego ustrój [2].

---

[1] Świadczy o tem Niketas u Mansego XVI, 248 i sam Mikołaj papież w listach. Migne: *P. L.* CXIX, 951, 1036.

[1] Phot. ep. 2. Tamże CII.

Pismo niemieckich arcybiskupów doszło Focyusza około roku 864-go i zwrócić zdołało jego umysł na nowe tory. Dotychczas jego wszystkie występy okazują troskę, żeby uchodzić za uznanego przez Rzym następcę Ignacego patryarchy; odtąd przeziera w jego czynach myśl inna, jakby pytanie: czy też to koniecznie potrzeba mieć za sobą papieża, aby przemódz Ignacego z jego stronnictwem wśród ludu? Czy do tego samego kresu droga inna nie doprowadzi wygodniej? Czy nie lepiej postąpić podobnie jak ci dwaj Niemcy arcybiskupi i odmówić Mikołajowi powagi sędziego, zaprzeczyć Ignacemu samej podstawy jego praw?

W tej myśli Focyusz zaczyna teraz bronić swego stanowiska przed gromem klątwy, którą zagroził Mikołaj. Ale nie zaraz sam przeciw niemu w tej myśli występuje. Na pismo Mikołaja w odpowiedzi protospatar Michał wiezie przed zimą roku 865-go list z podpisem Michała cesarza i z prośbą, żeby Mikołaj zmienił swoje stanowisko względem Focyusza: zyskuje tyle, że Mikołaj jeszcze raz sprawę gotów przejrzeć od początku, niejako znosi zapadłe uchwały i odpisuje cesarzowi, żeby na nową rozprawę osobiście stanęli w Rzymie Ignacy i Focyusz.

Odpowiedź Mikołaja na list cesarza: zaprosiny obu współzawodników do Rzymu na rozprawę — dziwiły, prawie gorszyły sędziów Focyusza nieproszonych a wielce surowych. Nie było łatwo wydać słuszny sąd o papizmie czy antypapizmie Bardasa i całego stronnictwa dworskiego, wobec ich ciągłych poselstw i wytrwałych próśb, żeby Mikołaj uznał ich obór patryarchy za prawny i ważny. Wszak Mikołaj w r. 863-m pogroził, że wykluczy wybrańca ich z kościelnego społeczeństwa, jeżeli nie zobaczy Ignacego przywróconym na Stolicę patryarszą: jakżeż miał przyjąć w r. 865-m ponowne poselstwo z prośbą, żeby mimo wszystko, uznał przecie Focyusza? Czyż nie powinien był spełnić groźby i na koniec już stanowczo orzec, że dworskie stronnictwo przez ustawiczne prośby za swoim wybrańcem okazało kanoniczny »opór w nieposłuszeństwie?«

Nam na to pytanie już nie trzeba odpowiadać, bo rozstrzygnął je powagą swoją sam Mikołaj. Do niego samego należał sąd, jak postąpić z prośbami za Focyuszem, zanoszonemi raz po raz:

czy postąpić jak z kanonicznym »uporem w nieposłuszeństwie«, czy jak z objawem serca krewkiego, z niezwyciężoną odrazą do »patryarchy prostaków«. A sąd Mikołaja wypadł tak, jak mogli wszyscy przewidywać, którzy znali jego umysł pojednawczy. Umysł ten zawsze skłonny do możliwych ustępstw i zgody, nieugięcie wymagał obowiązku od siebie i drugich, ale wyrozumiale spoglądał na słabe społeczeństwo; obstawał przy prawie i nie pobłażał jego przestępcom, ale na pierwszy znak ich dobrej woli odpowiadał przyjaźnią, nie dopuszczał do wybuchów gniewu, usypiał żale i łagodził zatargi. Nie odepchnął tedy ponownej prośby cesarza Michała za wybrańcem dworu; klątwą groził, ale groźby nie spełnił; z wysłannikami cesarza postąpił nie jak z antypapistami, ale jak z pośrednikami pokoju i przez nich zaprosił do siebie obu współzawodników o patryarszą stolicę, aby ustnie przedstawili swoje prawa i skargi. Słowem, poszedł i teraz Mikołaj zwykłą swoją drogą, jaką w tymże samym czasie doprowadził do porządku sprawę rozwodu, także o Focyusza opartą, a właściwie sprawę obu dostojników Kościoła w Niemczech, którzy Focyusza umyślili na drogę rozbratu z Mikołajem pociągnąć ze sobą.

Obaj ci metropolici: trewirski Thietgaud i koloński Guenther, nie prośbami, jak dwór carogrodzki, nacierali na Mikołaja, ale z przemożną potęgą szli nad Tybr, aby złożyć Mikołaja ze Stolicy Piotrowej, gdyby nie przystał na rozwód Lotaryńczyka Szli nie tylko popierani przez wszystkich biskupów z pod berła lotaryńskiego, z arcybiskupem Metzu na czele, ale oparci także o całą potęgę cesarza zachodniego Ludwika. Ten, jako brat Lotaryńczyka, dał w siebie wmówić, że dla dobrej sławy rodu musi popierać rozwód, więc na czele zbrojnych zastępów wpadł z początkiem roku 864-go do Rzymu, aby Mikołaja, »jakby niegodnego pachołka oddalić od obowiązków służby[1]«. Drogę swoją, zwłaszcza u końca, znaczył uniesiony gniewem cesarz śladami okrucieństw i świętokradztw. Mikołaj ledwo z żywotem uszedł do kryjówki w kościele, gdzie już dwa dni bez pokarmu czekał

[1] Hincmar: *Annal.* a 864; Erchempert: *Hist. Longob.* r. 27, u Migne'a *P. L.* CXXIX, 764: »quasi vile mancipium ab officio ministerii, nisi Dominus restitisset, privare voluit«.

opieki Boskiej, nim wykryty przez cesarzową został zawiadomiony, że cesarz chory leży w gorączce. Nie z groźbami kar na ustach słuchał Mikołaj zlękłą cesarzowę, tylko ze słowem pociechy dla chorego stanął przy jego łożu i prześladowcę, przed którego przemocą miał ustąpić miejsca antypapie, zmienił w przyjaciela, gotowego odwodzić Lotaryńczyka od rozwodu.

Ale Lotaryńczyk nie dawał sobie o tem mówić: ufał, że nawet bez zbrojnej pomocy cesarza postawi na swojem: liczył na potęgę biskupów, których wiedli metropolici, aby strącić Mikołaja. Nie powstrzymał ich zapędu zawód ze strony cesarza; Guenther dał przybić u grobu św. Piotra pismo pełne skarg i zarzutów przeciw Mikołajowi a inną odezwę porozsyłał w setkach odpisów po wszystkich biskupach, aby cały Kościół osądził Mikołaja niegodnym urzędu. W obu pismach oświadcza także, że chociaż Mikołaj mieni się papieżem, czyni się apostolskim i władcą całego świata, przecie na drodze napotkał obu metropolitów, którzy nie ulegną jego szaleństwu, nie chcą z nim zostawać w społeczeństwie, zadowolnieni społeczeństwem z całym Kościołem i z braćmi biskupami, którymi Mikołaj gardzi i sam od nich przez tę pychę się wyłącza.

Czy bardzo to zgodne z logiką, co chciał Guenther: zerwać z Mikołajem ale nie z Kościołem? Chciał tego w gniewie, a gniew nie dba o logikę. Odezwa Guenthera i napaść cesarza na Rzym dowodzą, że istotnie bywają wybuchy nieposłuszeństwa przeciw papieżowi jako osobie, a nie przeciw Głowie z Ciałem Kościoła.

Myśl o spólnej uchwale biskupów, żeby złożyć Mikołaja z urzędu, znalazła odgłos w wielu sercach, w których przebudziła dawne i świeże żale, gniewy uśpione ale nie wymarłe, i rozerwała tamę długo powstrzymywanym wybuchom. Drasnąć nieraz Mikołaj musiał własną miłość różnych biskupów: więc nietylko licznym pocztem w ówczesnem królestwie lotaryńskiem powstali przeciw Mikołajowi, obrażeni, iż zniósł ich uchwałę za rozwodem władcy; powstali także gromadnym zastępem biskupi w Sardynii gniewni, iż Mikołaj w ich dyecezyach zaprowadzał przez swojego wysłannika porządek z małżeństwami między krewnymi; powstali w różnych krajach gromadnie albo pojedynczo biskupi, ten obu-

rzony, iż Mikołaj zniósł karę nałożoną na jego dyakona, (biskup Pandulf i dyakon Poppo,) — ów rozżalony, — jak arcybiskup z Reims, — iż Mikołaj przeciw niemu bronił jego sufragana, biskupa ze Soissons, — tamten żądny zemsty, — jak biskup z Piacenzy, — iż na rozkaz Mikołaja musiał przywrócić stolicę biskupowi Seufredowi, — inny, jak Jan arcybiskup z Rawenny, upokorzony, iż Mikołaj nie przyznaje jego stolicy wyłącznych praw, — niejeden skłonny do rokoszu bez żadnych powodów godnych wzmianki, jak biskup Hagan z Bergamo; dość że Guenther pisemnie i ustnie na zjazdach ściągał sobie do boku z dnia na dzień liczniejszych zwolenników zuchwałej uchwały, żeby strącić Mikołaja z urzędu. W tej to chwili umyślił do swojego obozu wciągnąć Focyusza i wysłał do niego wspomnianą już odezwę, jakoby uchwaloną zgodnemi głosami na jakimś soborze [1].

Aż wtem pojednany z Mikołajem cesarz Ludwik przecie naprowadził Lotaryńczyka na pierwsze kroki do zgody [2] i wydarł Guentherowi pierwszą podnietę do wichrzycielskiej pracy. Guenther stracił swój rozpęd i po chwili spostrzegł, że Mikołaj odzyskuje wpływ: że tak po bratersku napowrót zawiązuje stosunki z każdym biskupem, spragnionym pokoju w Kościele, że jeden po drugim opuszcza Guenthera. Pierwszy pośpieszył jego zausznik Thietgaud trewirski do Mikołaja. Sam Guenther zwlekał najdłużej i dopiero przeprosił następcę Mikołaja: Hadryana.

Każdy z tych biskupów, przy powrocie do posłuszeństwa, doświadczalnie po sobie poznał, że Mikołajem rządzi ten duch, który nie dołamuje trzciny skruszonej, tylko podtrzymuje w niej troskliwie ostatnią szczątkę siły żywotnej, jeszcze zdolnej wyprostować łodygę skruszoną i wyleczyć.

Nie dziw tedy, że bystry umysł Focyusza umiał wypatrzeć drogę stosowną, i najprzód dojść na stanowisko patryarchy a potem na niem omijać niebezpieczeństwa ze strony obrońców Ignacego z Mikołajem na czele: Focyuszowi wystarczyły stosunki z tym ostatnim urzędowo nie zerwane i choć nieraz napięte,

---

[1] Migne: *P. G.* CII, ep. 13.
[2] Migne: *P. L.* CXXI, 371—375.

przecie znów podtrzymywane przez nową prośbę, aby uznał patryarchę dworskiego; nastrój umysłu tak wyraźnie, jak u Mikołaja, przeciwnego środkom ostatecznym i rozbratowi, mógł służyć za rękojmię, że poselstwa od czasu do czasu wyprawiane z prośbą za Focyuszem, powinny uchodzić za objaw pojednawczy i wystarczą, żeby Mikołaj nie zerwał stosunków.

To też Mikołaj czekał przez cały rok odpowiedzi na swoje pisma posłane do cesarza przez jego wysłańca protospatara w roku 865-ym. Nie uwiadomiony o dalszych krokach Focyusza, znowu wysyła pisma do kilku osób 13-go listopada roku 866-go; najprzód tedy już nietylko cesarza, ale także obu współzawodników, każdego osobno listem odręcznym zapewnia[1], że przyjmie raz jeszcze od nich obu ustne a przynajmniej pisemne wywody ich praw do stolicy; zwraca przytem uwagę, że świadomie a nie bezwiednie idzie na drodze ustępstw do ostatecznych jej krańców; uważa to wraz z poprzednikiem swoim Gelazym za najwłaściwsze nieraz dla Apostolskiej Stolicy; na pamięć przywołuje przytem tę samą zasadę prawa, którą potem Jan VIII zastosował do sporu między biskupami bawarskimi a Metodym. Ważna ta zasada mianowicie postanawia, że nim sąd wywoła sprawę przeciw biskupowi złożonemu ze stolicy, przed początkiem rozprawy, musi obżałowany biskup wrócić na stolicę, aby następnie, odzyskawszy już wszystkie straty, wzmocniony na siłach i niemi zbrojny, stanął do równego boju z oskarżycielami. Również do wpływowych osób w Carogrodzie wręczył Mikołaj listy protospatarowi, aby wszyscy wspólnemi siłami prowadzili obu współzawodników do zgody.

W ciągu tylu zabiegów dworu i jego patryarchy, tylu poselstw i próśb o zgodę Mikołaja na obiór Focyusza, jego przyjaciel najściślejszy pracował na Słowiańszczyźnie pewnie nie nad tem, żeby Focyuszowi utrudnić zabiegi u Mikołaja i do tylu przeszkód dodawać nową przez jakieś odszczepieństwo na Wielkich Morawach. Mógł Cyryl tylko pragnąć, aby najściślejszy przyjaciel, oparty o powagę Mikołaja, posiadał spokojnie stolicę, gdyby

[1] Migne CXIX, 927—1045.

z niej skołatany Ignacy zechciał ustąpić. Popierałby chyba zabiegi dworskie w Rzymie a nie bruździłby im, chociażby z patryotyzmu samego. A w listach odmownych Mikołaja na żądaną krzywdę Ignacego, w tych listach chociaż przykrych Focyuszowi, nie mógł Cyryl znaleźć nic odmiennego od własnych słów, któremi ganił namiętność Focyusza przeciw Ignacemu.

Papież Mikołaj I-szy przeczekał już drugi rok cały na odpowiedź z Carogrodu, czy przybędą współzawodnicy na rozprawę ustną, czy wyślą pisemny opis swoich praw, aż śmiercią zaskoczony 13-go listopada roku 867-go, rzymską stolicę zostawił obrońcom Braci Soluńskich: Hadryanowi Wtóremu, od 14-go grudnia tegoż roku do roku 872-go, a po nim Janowi VIII-mu do roku 882-go. Oczekiwaną odpowiedź wyprawił następca Michała na cesarstwie wschodniem, Bazyli, najprzód w krótkim liście z końcem listopada 867-go roku, przez Eutymiosa, a następnie z obszerną odpowiedzią wysłał poselstwo około 11-go grudnia tegoż roku; do tegoż poselstwa należeli, stosownie do ostatniego listu Mikołaja, wysłannicy Ignacego: metropolita Jan z Pamfilii z biskupem Troady Piotrem, i rzecznicy Focyusza: arcybiskup z Sardes Piotr i Metody Mnich. Przed 1-m sierpnia roku 868-go dostał Hadryan tylko krótki list od Eutymiosa, a poselstwo jeszcze nie przybyło z pismem obszernem. Tak długo nieraz trzeba było wówczas czekać na wymianę listów między Carogrodem i Rzymem, nie mogą tedy dziwić przerwy nieraz dwuroczne między jednem pismem Mikołaja a następnem w sprawie Focyusza.

Nie mogli też Bracia Soluńscy o wiele prędzej, niż Hadryan, znać wypadki carogrodzkie, o których donosiło poselstwo złożone z powierników cesarza, Ignacego i Focyusza. W każdym razie dopiero od tych rodaków swoich Bracia Soluńscy usłyszeli dokładny opis szczegółów, bo przybyli właśnie na ten czas do Rzymu.

A wypadki uległy zmianie zupełnej.

(Dok. nast.).

Ks. K. Czaykowski.

W PRZEDSIONKU FILOZOFII RELIGII.

(ZARYS WSTĘPU).

Dokończenie.

IV.

Konkretne wyniki badań historycznych i etnologicznych. — Klasyfikacye zjawisk religijnych. — Szukanie genezy religii. — Dążność do oznaczenia wartości religii. — Krytyka streszczonych wyników.

Obaczmyż, czy i o ile dotychczasowe wyniki badań historycznych i etnograficznych przynoszą nam w sprawie genezy religii rękojmię pewności.

Obserwacya i szeregowanie zjawisk religijnych dały podstawę do określenia ich terminologią przeważnie już ustaloną podług pewnych typowych znamion.

I tak wiara w duchy nazywa się zazwyczaj animizmem [1]; rozróżnianie przyjaznych i nieprzyjaznych duchów dualizmem: kult przodków i bohaterów manizmem; kult zwierząt lub innych tworów przyrody, złączony z wiarą w pochodzenie od nich totemizmem (ameryk. totem, australs. kobong oznacza ów twór przyrody, który stanowi jakby herb czy godło pochodzenia pewnego szczepu —): kult rzeczy ręką ludzką przerobionych, płynący z wiary w ich mistyczną siłę — fetyszyzmem [2] (wyraz portugalski *feitiço* z łac. *factitius*): kult ciał niebieskich sabeizmem;

---

[1] Termin ten nie jest dość ustalony. Niektórzy (A. Lang, Gutberlet) używają go w znaczeniu personifikacyi zjawisk.

[2] Fetyszyzm przybiera niekiedy bardzo szerokie znaczenie, jako kult sił magicznych (lub duchów) przyrody.

ogólny monistyczny kult przyrody (świata) panteizmem: kult bóstwa jedynego, osobowego (z wyłączeniem monizmu panteistycznego czyli tożsamości ze światem) — monoteizmem[1].

Dokładniejsza analiza właściwości tych kultów daje podstawę do innych nazw typowych, które nie odnoszą się do jednej wyłącznie z grup powyższych.

Antropomorfizm i antropopatyzm (nadawanie przez wyobraźnię bóstwu kształtów i uczuć ludzkich) może odpowiadać różnym grupom kultów. Tak samo szamanizm (magia, czary, wróżbiarstwo), idolizm (pietyzm dla masek i rzeźb, przedstawiających przodków czy bóstwo) mogą być wyrazem i animizmu i kultu przyrody i fetyszyzmu z osobna lub wszystkich razem.

Ta pewna wspólność cech różnym grupom właściwych daje powód do dalszej analizy i stawiania kwestyi, co stanowi istotę i podstawę mocno nieraz skomplikowanych form kultu i jego zasadniczych wierzeń albo, inaczej mówiąc, która z wymienionych grup stanowiła wiarę pierwotną pewnego szczepu, narodu czy ludu. O ile zaś sprawę historycznie z większą lub mniejszą pewnością stwierdzono, poddaje się zbadaną formę religijną analizie psychologicznej celem wykrycia, jakie czynniki zewnętrzne i wewnętrzne wpływały i wpływają na powstanie w duszy pojęć i uczuć religijnych. Słowem idzie się od faktu (mniej lub więcej ustalonego) do jego przyczyn zewnętrznych (klimat, otoczenie) i do nastrojów (uzdolnienie, przewaga pewnych właściwości umysłowych) i motywów psychicznych (uczucia, wpływ woli) dla zbadania genezy religii czyli praw rządzących zjawiskami religijnemi. Trzeba więc rozpatrzyć się w szczegółach ogólnego obrazu tych zjawisk i wybrać z nich istotne i podstawne dla wszystkich wierzeń nie tylko psychy indywidualnej, ale i społecznej — rasowej czy ludowej — psychy ludzkości całej.

Zadanie niewątpliwie trudne! Analiza tą bowiem ma za przedmiot syntezę tak różnorodną i zawikłaną, iż niełatwą może być decyzya, od czego właściwie zacząć badania, czy od przed-

[1] O henoteizmie będzie wzmianka niżej.

historycznych grobów kamiennej epoki, czy świętych pieśni i ksiąg ludów historycznych, ich pomników z pod ziemi wygrzebanych, ich literatury narodowej, w której tu i ówdzie wpleciona wzmianka o bóstwie, życiu pośmiertnem, uroczystościach i ofiarach religijnych. Ale pomniki stare nie wszystko powiedzą! a słowo, choć żywe, czy jestże zawsze jasnem odbiciem myśli? Jak się zorjentować w imionach bóstw w literaturze odległych epok tego samego narodu? Jak rozróżnić, czy Djaus, Ptah, Szang-ti, Dzeus, Wotan, Perkun, Marduk, Ahuramazda — są nazwą jednej najwyższej Istoty, obok której żadnej innej niema, tak, iż wszystkie inne nazwy — męskie czy żeńskie — innem tylko są określeniem tej samej najwyższej Istoty (henoteizm albo kathenoteizm Schellinga, M. Müllera, E. Hartmanna), czy też różnica imion jest wyrazem jakiejś politeistycznej hierarchii bóstw większych i mniejszych? A gdyby się ostatecznie stwierdziło napewne, że nazwy różnorodne nie są w danym języku wyrazem politeizmu, to jeszcze zostaje do rozwiązania problem nie mniej trudny: czy ta najwyższa Istota, rozmaicie nazywana, ma być duchem samoistnym od świata odrębnym, czy też oznacza Wszystkość monistyczną, która się w jaźni naszej (atman brahmański) cząstkowo objawia, rozwija i zmienia? Jeśli natomiast stwierdzi się politeizm, to znowu zachodzi pytanie, jak pojąć tę hierarchię bogów: skąd ona powstała? czy jest to objaw rozkładowy kultu wyższego? a w takim razie, jak się odbywał ten proces rozkładowy: jakie czynniki i warunki nań się złożyły? Czem jest wreszcie we wierze ludu ta hierarchia: czy kultem wielkich ludzi, których pamiątka, coraz bardziej mglista, przeszła w cześć religijną? czy też odbiciem misteryów przyrody, które przeszły wśród nieznanych bliżej warunków z poezyi ludowej w ludową religię? Zacznijmy od wyników badań historycznych i zobaczmy, o ile one rozstrzygają kwestyę genezy religii.

Archeologia przedhistoryczna wskazuje nam groby w epoce kamiennej, które miałyby świadczyć o wierze w życie zagrobowe. Wyraźniej jednak od kamieni przemawia do nas żywe słowo, zachowane w najstarszych zabytkach ludzkiej myśli i uczucia. Jakież więc pojęcia religijne znajdujemy i w King'ach chińskich

i Księdze umarłych egipskiej i klinowem piśmie Asyryi i Babilonii i Wedach sanskryckich i Aweście irańskiej? Trudnoby się w nich doszukać politeizmu. Tacy chinolodzy jak Wiktor Strauss i de Harlez [1] upatrują w najdawniejszych pojęciach religijnych u Chińczyków wprost monoteizm; Max Müller widzi w najstarszych hymnach wedyjskich (Rig-weda) »pojęcie i uczucie dla Nieskończoności«, a formę, w której się ono przejawia nazywa henoteizmem albo kathenoteizmem [2]; F. Lenormant utrzymuje, że magia i dualizm jest w Aweście późniejszą, turyjską, naleciałością, której nie znajdujemy w Gatha'ch, najdawniejszej części Awesty; Babelon obstaje również za monoteizmem najstarszych ludów irańskich [3] — F. Delitzsch walczy o monoteizm dla Babilonii [4]; tacy egiptolodzy jak Maspero, Brugsch, Le Page Renouf, Ebers i inni [5] widzą w najstarszych tekstach »Księgi umarłych« monoteizm.

Bliższa nam mitologia Aryów europejskich — grecką, skandynawską i litewską wyjąwszy — nie jest dotąd na tyle ustalona, żeby już można ją ująć w całość dokładną. Ile jeszcze szczegółów pewnych dla wyjaśnienia prastarych wierzeń europejskich przyniosą umiejętne badania starożytnictwa przedhistorycznego i folkloru, — przyszłość pokaże. Na razie stwierdzić można, że zawiodły oczekiwania wielkich odkryć, jakich się dla wyjaśnienia wspólności wierzeń praaryjskich spodziewano od mitologii litewskiej [6].

---

[1] Cytowani w V. Cathreina: *Moralphilosophie.* Freiburg im Br., 1899³, t. 1, str. 526 n.

[2] Max Müller: *Vorlesungen über den Ursprung und die Entwickelung der Religionen.* Strassburg 1888, s. 291 n., 311 n. Tenże chce też widzieć u Greków nawet w czasach Homera wiarę w najwyższego Boga lub w Przeznaczenie. Podobnie Usener (*Götternamen.* Bonn 1896, s. 273 n.) u Pelasgów, Keltów, Traków w najdawniejszej ich dobie europejskiej.

[3] Cytowani u W. Zaborskiego: «Religie Aryów wschodnich». Kraków 1894, s. 75 n., 97, 113 n.

[4] F. Delitzsch: *Babel und Bibel.* Leipzig 1903, s. 44, n. 71 n.; *Zweiter Vortrag über Babel und Bibel.* Stuttgart 1903, s. 26 n.

[5] Cytowani u W. Zaborskiego: »Historyczne źródła Wschodu«, Kraków 1888, s. 57 n.

[6] A. Brückner: »Starożytna Litwa. Ludy i bogi«. Warszawa 1904,

Pozytywna mitologia porównawcza zbyt mało jeszcze ma wspólnych podstaw historycznych, żeby mogła już służyć do utworzenia pełnego obrazu wszystkich najdawniejszych religii [1] A zresztą i tam nawet, gdzie źródła historyczne są pewne, nie wszyscy badacze zgadzają się co do istoty najdawniejszej religii u tego samego narodu. Na podstawie tych samych dokumentów jedni widzą kult przyrody tam, gdzie drudzy upatrują monoteizm, a inni znowu dwuznaczny henoteizm. To jednak pewna, że wymienione religie są w najstarszej, znanej nam, dobie wznioślejsze, odpowiadające więcej godności bóstwa i godności człowieka, niż religie u tych samych narodów w czasach nam bliższych.

Niewątpliwym jest natomiast monoteizm żydowski. Zarzucano Żydom zbytnią wyłączność narodową i kultowi Jahve pojęcia antropopatyczne, okrucieństwem tchnące; zarzucano im słusznie niewierność dla idei monoteistycznej; podnoszono wyższość kodeksu Hammurabiego nad kodeks Mojżesza i wpływ pojęć prawnych babilońskich na żydowskie [2]. Jednego tylko nie zdołano zaprzeczyć: samego faktu monoteizmu. Z całego sporu, jaki się toczył zeszłego roku na tle odczytów Delitzscha, nauka odniosła niemałą korzyść, stwierdzając dokładniej bardzo starą łączność wspólnych wierzeń semickich, która się zacierała właśnie u Babilończyków pomimo większej ich cywilizacyi. Oprócz prastarej łączności pojęć religijnych narzuca się także pewne podobieństwo pojęć prawnych u tych dwu ludów semickich. Dla historyi kultury i prawa, tudzież dla egzegezy praw Mojżesza ma odnalezienie kodeksu Hammurabiego jeszcze jedną wielkiej wagi korzyść. Oto wedle słynnej teoryi Wellhausena kodyfikacya prawa Mojżeszowego nie byłaby możliwą przed IX w. Fakt, że Babilonia już

---

s. 147 do 166. Porównaj też poglądy Usenera na analogię między wiarą starożytnej Litwy a indigitamentami italskimi (t. zw. teorya bóstw mniejszych przez różniczkowanie i bóstw większych przez synkretyzm tworzonych«, op. cit. s. 73 n., 79 n).

[1] Usener, op. cit., wstęp i s. 323 n.

[2] F. Delitzsch, obydwa cyt. odczyty, passim. Porównaj także tłumaczenie kodeksu Hammurabiego przez H. Winckiera: *Die Gesetze Hammurabis, Königs von Babylon um 2250 v. Chr.* Leipzig 1903; i J. Jeremias, *Moses und Hammurabi.* Leipzig 1903².

koło r. 2250 posiada kodyfikacyę doskonałą i że zasady prawa karnego u Mojżesza mają duże podobieństwo (prawo odwetu), stawia wielki znak zapytania nad przypuszczeniem Wellhausena [1], przenoszącym kodeks prawny żydowski w dobę ich królów.

Genezę monoteizmu żydowskiego, który żadną miarą zakwestyonować się nie da, usiłuje wyjaśnić Renan osobnym »instynktem monoteistycznym u Żydów, a Eleutheropulos kładzie go na karb ich spekulacyi filozoficznej [2] w przeciwieństwie do fantazyi greckiej. Ale tłumaczyć religię instynktem to znaczy — jak słusznie zauważył Max Müller [3] — rzecz mało zrozumiałą przez mniej zrozumiałą zaciemniać raczej niż wyjaśniać; Eleutheropulos zaś zdaje się zapominać o tem, że Psalmom i Trenom Jeremiasza, nieśmiertelnym wizyom Jezajasza i Ezechiela nie brak fantazyi, idącej w zawody z grecką, i że na odwrót filozoficzna spekulacya grecka lepiej nam jest znana od żydowskiej. W każdym razie pewną jest rzeczą, że fantazya żydowska staje w usługach najczystszego monoteizmu, a filozoficzna spekulacya grecka nie zdołała w najświetniejszej swej dobie pozyskać ogółu inteligentnej Grecyi dla monoteizmu Sokratesa.

Ale nauce pozytywnej fakt monoteizmu u Żydów i jego wyjaśnienie w księdze Rodzaju podane nie wystarcza. Ona chce kwestyę genezy religii raczej na innej drodze rozstrzygnąć: na drodze badań zjawisk religijnych u ludów pierwotnych. Ludy bowiem historyczne dają pod tym względem obraz częściowy tylko. A zresztą najstarsze ich zabytki piśmienne są świadectwem wysokiego już stosunkowo stopnia rozwoju. Niewiadomo przytem, czy ludy te znajdowały się zawsze w tak szczęśliwych warunkach dla cywilizacyi? Jak więc było w czasach przedhistorycznych? Jak przedewszystkiem było na początku, w zaraniu ludzkości?

Skoro zaś niemożliwa stwierdzić naukowo, jakie czynniki

---

[1] J. Jeremias: Op. cit. str. 60 n.

[2] A. Eleutheropulos: *Gott, Religion.* Berlin 1903, str. 105 n. twierdzi, że wiara Greków nie była niższa od żydowskiej: jeno tamta wyłoniła się na podstawie bujnej wyobraźni greckiej, ta na tle spekulacyi filozoficznej, Żydom właściwej.

[3] Op. cit. str. 424.

i warunki wpływały w przedhistorycznej dobie na powstanie i rozwój myśli religijnej, to czy nie łatwiej będzie dotrzeć do źródła prawdy, badając, jakie czynniki i warunki obecne sprawiają, że ludy nieukształcone mają religię i że ich wierzenia tak a nie inaczej się kształtują? Rezultaty tych badań mogą być wprawdzie wskazówkami tylko analogicznemi w sprawie genezy religii, ale i analogia nie jest bez wartości w braku innych pewniejszych metod. Spełnienia tych zadań podjęły się antropologia, nauka, która bada związek właściwości somatycznych (rasowych) z właściwościami psychicznemi, i etnologia, która zajmuje się bezpośrednio obserwacyą życia umysłowego ludów na tle warunków rasy, klimatu i otoczenia [1].

Że prowadzenie obserwacyi zjawisk religijnych u ludów nieukształconych jest niezmiernie trudne, o tem zapewniają specyaliści [2]. Że psychologiczna analiza zebranych już obserwacyi bywa jeszcze trudniejszą, o tem znowu przekonywa różnica wyników tejże analizy. Wierzenia ludów »pierwotnych« nie wszędzie dadzą się zaliczyć do jednej ściśle określonej formy, ale najczęściej zawierają w sobie kilka form – a więc: kult wielkiego ducha i kult przodków, dualizm szamański z fetyszyzmem, kult zwierząt, drzew, roślin (totemistycznej albo też niedość określonej natury), z którym łączą się w dodatku kosmogoniczne podania i sabeizm — zjednoczonych razem w jedną niepodzielną całość.

Takich szczepów jak Zulu [3] i mieszkańcy Ziemi Ognistej [4], których pojęcia religijne redukują się do bardzo prostych form, nie wiele się znajdzie. Inne pierwotne ludy Ameryki, Afryki, Australii, Azyi i wysp Oceanu Spokojnego mają pojęcia religijne mocno skomplikowane [5]. Jakże tu oznaczyć, które z tych pojęć mitycznych danego ludu należy uważać za pierwotne, a które za późniejsze? Wszak i to nie jest możliwem, że i u najniżej pod

---

[1] W praktyce zadania tych dwu nauk łączą się zazwyczaj i tworzą etnografię opisową *(beschreibende Völkerkunde)*.

[2] F. Ratzel: Op. cit. I. str. 30.

[3] Ratzel I, str. 267 n.

[4] Idem II, str. 677 n.

[5] Idem I. str. 171 n., II str. 86 n., 289 n., 678 n., III, str. 615 n.

względem kulturalnym stojących obecnie szczepów żaden z pierwiastków pojęć religijnych nie utrzymał się w pierwotnej czystości, ale wszystkie uległy mniejszej lub większej degeneracyi.

Te jednak trudności, jakie nasuwa analiza form religijnych, nie odstraszają tych, co chcą koniecznie dotrzeć do pierwotnego źródła myśli ludzkiej. Najlepszym tego dowodem, że w rezultacie badań otrzymujemy rozmaite hipotezy w kwestyi powstania religii. I tak jedni sprowadzają zjawiska religijne do początkowego fetyszyzmu, inni do pierwotnego animizmu i manizmu, inni do kultu przyrody wyrażającego się w uosobieniach jej sił i zjawisk, inni wreszcie, do modnego dziś, totemizmu. Tak wysunięta naprzód jedna typowa forma pojęć religijnych musi starczyć dla wyjaśnienia wszystkich innych, a jeśli ta metoda stanowczo zawodzi, bierze się do pomocy prawo »cofania się w rozwoju« lub prawo »odwrócenia pojęć« i wprowadza się drugą formę dodatkową jako zasadniczą. Rzecz zdaje się ostatecznie załatwioną, gdyby nie to, że zwolennicy innych hipotez nie okazują wiele względów dla hipotezy przeciwnej.

Główną walkę o pierwszeństwo toczą między sobą zwolennicy pierwotnego kultu natury z jednej, a pierwotnego manizmu (lub wogóle animizmu) z drugiej strony[1]. I jedna i druga szkoła godzi się zazwyczaj na to, że fetyszyzm jest formą pochodną.

Zwolennicy kultu przyrody szukają uzasadnienia dla swej teoryi w personifikacyi zjawisk i przenośniach, cechujących wybitnie najstarsze zabytki mowy. Zwolennicy animizmu twierdzą natomiast, że personifikacya zjawisk przyrody nie daje podstawy do tłumaczenia zjawisk religijnych, gdyż nie rozstrzyga kwestyi: co właściwie miał na myśli człowiek pierwotny, kiedy uosabiał zjawiska przyrody; niema racyi do przypuszczenia, żeby pierwotny człowiek był mniej rozgarniony od zwierząt i dzieci, które

[1] Wundt nazywa to walką mitologów (kult i personifikacya natury) i antropologów (kult zmarłych), *Ethik* t. I, 61 n. J. Kohler (w zbiorowem dziele pod redakcyą F. Helmolta: *Weltgeschichte*. Leipzig und Wien 1889, t. I, str. 41—48) widzi w animizmie kult pierwotny, choć ludom rolniczym przyznaje kult natury. Fr. Schultze przyjmuje kult przyrody i animizm jako formy współpierwotne.

dostatecznie odróżniają istoty żyjące od nieżyjących, ruch żywotny od nieżywotnego; więc, zdaniem animistów, rozwiązania kwestyi genezy religii trzeba szukać we wierze w duchy. Ta wiara w duchy miała powstać tylko na podstawie pewnych znamiennych zjawisk, przykuwających najsilniej ociężałą, jak przypuszcza Spencer [1], uwagę pierwotnego człowieka. Takiemi zjawiskami są szczególnie widziadła senne i halucynacye na jawie, omdlenia, katalepsye, letargi i śmierć, obserwacya cienia, obrazów zwierciadlanych we wodzie i echa; w których szukać należy klucza do rozwikłania zagadki, jak się urobiła w naiwnych umysłach wiara w istnienie odrębnej duszy i życie zagrobowe, wiara w dualizm duchów przyjaznych i nieprzyjaznych, w kult przodków i bohaterów, demonizm, wiara w opętanie i czary [2]. Zwolennicy kultu przyrody zarzucają nawzajem animistom brak przekonywających racyi w tłumaczeniu kultu słońca i księżyca, kultu świata roślinnego i zwierzęcego [3]. Spencer znowu stwierdza trudność uzasadnienia kultu natury pierwotną personifikacyą jej zjawisk, skoro wedle starych wierzeń bogowie domagają się ofiar ludzkich i okazują kanibalistyczne zdolności (np. Kronos). Na podstawie tego staje po stronie euhemeryzmu, uważając kult przodków, ludzi wybitnych, a nawet wrogów zwycięskich, jako źródło wszelkiej religii [4].

Badania zjawisk religijnych prowadzone metodą nauk przyrodniczych nie dają zatem wyników zgodnych: jedne określają genezę religii jako uosabianie sił przyrody, drugie widzą powstanie religii we wierze w duchy zmarłych przodków i zwycięzców, wpływających na dobrą lub złą dolę tych, co pozostali przy życiu. Każda z tych dwu form stara się wyjaśnić wszystkie inne formy jako pochodne.

---

[1] Op. cit. str. 371 n.

[2] E. Tylor: *Einleitung in das Studium der Anthropologie und Civilisation* (tłum. Siebert). Brunszwik 1883, str. 413 n.

[3] W rzeczy samej sposób objaśnienia stosowany przez Spencera (Op. cit. str. 404—412) jest bardzo naciągany. Kulty te wyjaśnia autor na zasadzie ubóstwa pierwotnej mowy. Stąd wedle niego nazwy słońca, księżyca, drzew i zwierząt dostawały się ludziom; później zaś sądzono przez pomyłkę, że duchy zmarłych, noszących niegdyś te nazwiska, przeszły w słońce, drzewa, zwierzęta.

[4] Idem, op. cit. s. 414.

Błąd tego stanowiska nie tkwi w indukcyi, której historya i etnografia zawdzięczają dużo cennych szczegółów, ale w dowolnem stosowaniu analogii. Człowiek pierwotny w znaczeniu etnograficznem, to człowiek o nizkiej kulturze społecznej. Badać jego psychę indywidualną i społeczną jak najdokładniej to — prawo i obowiązek pozytywnej nauki. Ale przenosić wyniki tych badań do człowieka pierwotnego (t. j. do pierwszych ludzi) w ścisłem tego słowa znaczeniu, to już dowolność analogii, na której nauka nie wiele zyska. Człowiek właściwie pierwotny jest dla nauki *x ignotum* lub co najwyżej hipotezą, opartą na stwierdzonych faktach ewolucyi biologicznej, a zastosowaną analogicznie do problemu pochodzenia człowieka. Ta analogia z hipotezą złączona jest zdolna dać razem co najwyżej rezultat hipotetyczny, nie mający prawa do większej pewności, jak przesłanki, które się na ten rezultat składały.

Pojęcie pierwotności w znaczeniu dzisiejszej historyi kultury, przeniesione z pomocą analogii na pierwszych ludzi, ma jeszcze jedną słabą stronę. Oto przy stosowaniu tej analogii zapomnieli zbyt gorliwi jej zwolennicy wyłączyć pewien czynnik u człowieka ściśle pierwotnego. Czynnikiem tym jest tradycya. Z tradycyą, która niesie mity z pokolenia na pokolenie, nie potrzebował się liczyć umysł pierwszych ludzi[1]. Własne zjawiska psychiczne — świadomość własnej jaźni, tych przedziwnych kompleksów wrażeń, czuć, wyobrażeń, dążności samorzutnych — i zjawiska fizyczne, z całym ogromem rozmaitości, wzbudziły w człowieku pierwszym *(homo sapiens)* z chwilą obudzonej refleksyi całe mnóstwo zagadnień. Wobec tych problemów, które umysłowi pierwszemu musiały się narzucać z żywiołową siłą, położenie jego było conajmniej znacznie lepsze, niż młodego Zulu, — który otrzymał już informacye od otoczenia o duchach przodków a między nimi o największym, pierwszym, Zulusie, o czci należnej lwu i wężowi — albo niżeli młodego Boonooronga (Australia, Wiktorya), któremu rodzice tłumaczą, że niewidzialny Pund-jel jest to istota w rodzaju ptaka lub wielkiego czarodzieja. W którym umyśle po-

[1] Schell: *Religion und Offenbarung.* Paderborn 1902², str. 52.

wstała pierwsza myśl religijna, to dla kwestyi naszej na razie obojętne. — Rzecz jednak pewna, że pierwsza myśl religijna nie mogła mieć do czynienia z religijną tradycyą; a więc stosowanie analogii dzisiejszych umysłów nieukształconych do właściwej genezy religii jest niedokładne i nieścisłe. — Mimo to pozytywizm nie tylko nie rezygnuje z tej analogii, ale w dodatku idzie dalej, bo na tej właśnie podstawie chce rozwiązać kwestyę wartości religii. Czyni to z pomocą analizy psychologicznej. Na pytanie: »jak powstała religia?« przytacza w odpowiedzi jeden lub kilka psychicznych motywów, które ją miały wywołać. — Oto umysł »pierwotny«, o nizkim stopniu rozwoju, tak wygląda to rozumowanie w streszczeniu, nie zna oczywiście właściwych przyczyn zjawisk, które mu się narzucają; niektóre z nich budzą w nim ciekawość, inne trwogę; pierwotny umysł zdeterminowany naiwną fantazyą, uczuciem zależności od tych zjawisk, a przedewszystkiem uczuciem żywiołowej trwogi, tworzy sobie naprędce odpowiedź, która na stopniu pierwotnej kultury musi ostatecznie wypaść naiwnie; wszak trwoga przed błyskawicą i piorunem [1], trwoga przed niebezpiecznemi zwierzętami, ciekawość wobec zjawisk snu, cienia lub echa nie mogą być nauczycielami umiejętnymi: i tak na prędce połączony skutek z przyczyną niewłaściwą daje początek pojęciom o siłach mistycznych lub duchach, najczęściej wrogich. Trzeba szukać środka na pozyskanie lub poskromienie tych sił magicznych. I oto zdobyte pierwsze pojęcia religijne i pierwszy kult religijny — pierwsza religia, pierwsza poezya i filozofia zarazem. Nauki wyjaśniły już właściwe przyczyny wyżej wspomnianych zjawisk natury i duszy; antropologia i psychologia mogą więc na tej podstawie kategorycznie oświadczyć, że pierwotne uczucie i wyobrażenie religijne było bezpodstawną mrzonką, która na tle nieznajomości praw przyrody i psychologii, siłą tradycyi podtrzymywana, utrzymuje się dotychczas. Ewolucya umysłu ludzkiego uszlachetniła już wiele barbarzyńskich pierwiastków wie-

[1] Za łacińskim piewcą poglądów Epikura, Lukrecyuszem (*De rerum natura* v, 1160—1240. vi. 387—422) powtarzają mniej więcej to samo niektórzy nowsi moniści.

rzeń pierwotnych, lecz treść ich i wartość w gruncie ta sama Religia jest przeto jakiemś koniecznościowem urojeniem.

Widzimy, że kwestya przedmiotowej wartości religii oparta tu na kwestyi jej genezy. Oczywiście, że wartość religii, która tak powstała, jest taka sama jak i jej geneza: strach, mrzonka, naiwne tłumaczenie zjawisk jest strachem, mrzonką, naiwnością tylko. Oznaczenie wartości byłoby tu prawidłowe, gdyby się odnosiło jedynie do przytoczonych wyżej, rzeczywistych czy hipotetycznych, faktów powstania takiej religii. Ale jak z tego, że uczeń, któremu brak zasadniczych pojęć w matematyce, zadanie najniegodziwiej w świecie przeprowadzi, nie można wyciągać wniosku, że matematyka wogóle nie ma wartości: tak i z tego, że w pewnych umysłach religia budzi się lub utrzymuje na niewłaściwych podstawach logicznych, nie wynika, że religia wogóle pozbawioną jest logicznych podstaw przedmiotowych.

Nie może być rzeczą zarysu przedstawiać wyczerpująco wszystkie te zdania i spory. Chcieliśmy tylko stwierdzić niepewność wyników badań pozytywnych w kwestyi genezy religii. — Zresztą siła całej trudności problemu tkwi nie w tem, komu lub czemu nadano pierwotnie imię czy pojęcie bóstwa, ani w tem, jakie mianowicie imię nadano, ale w tem, jak przyszło właśnie do tego, że pojęcie bóstwa powstało w duszy ludzkiej.

Tradycyą można wyjaśnić poniekąd rozpowszechnienie religii, jako zjawiska psychospołecznego, ale pierwotne jej źródło musi chyba wytryskać z ustroju umysłu człowieczego, który po dojściu do świadomości refleksyjnej dąży do odkrycia przyczyn nasuwających się zjawisk. Ta właściwość umysłu, jakkolwiek ją nazwiemy — czy potrzebą szukania prawdy, czy po prostu ciekawością — jest faktem stwierdzonym przez historyę kultury i psychologię ludów.

W tej zaś dążności niezłomnej do szukania odpowiednich przyczyn jedno jeszcze stwierdza psychologia. Oto umysł ludzki, choćby na najniższym stopniu rozwoju, nie zadowala się odnalezieniem najbliższej przyczyny zjawisk; on dąży do szukania ostatecznej przyczyny wszechrzeczy. Stosując to do ludów pierwo-

nych, nie myślę przeceniać ich umysłowości, opieram się jedynie na tem, że nawet szczepy na nizkim stopniu rozwoju mają swoje kosmogonie, które łączą się ściśle z ich pojęciami religijnemi, a zarazem są dowodem ich ogólnego poglądu na świat i życie. Że te poglądy ogólne, jako filozofia i religia pierwotna, są przeważnie bardzo naiwne, to nie ulega wątpliwości, ale też i nie osłabia wcale faktu dążności szukania ostatecznej przyczyny zjawisk.

Zresztą inaczej być nie może: umysł nieukształcony, z przewagą fantazyi i uczuć żywiołowych daje w szukaniu przyczyn konkluzye, wypływające wprost z takiej właśnie umysłowości. *Nemo dat, quod non habet* — mówi stare adagium. A choć w mitach przeważa pierwiastek nielogiczny, a bóstwa mityczne noszą na sobie piętno etycznych pojęć swych czcicieli, to jednak pewna, że nie inna dążność psychologiczna, każe mieszkańcowi Ziemi Ognistej wołać ku niebu *ara ira!*, która jak ta, nam wydziera z głębi serca głos: »Ojcze, któryś jest w niebie!« Naiwność, nizkie pojęcia etyczne i siła konserwatywnej tradycyi mogą nadać tej dążności niewłaściwy kierunek i spaczyć konkluzye rozumowań religijnych u ludów nieukształconych podobnie, jak na najwyższym stopniu kultury krzywi ją sceptycyzm i sofisterya.

* * *

Dążność psychologiczna szukania przyczyn wszechrzeczy nie jest sama przez się dowodem na istnienie Pierwszej Przyczyny, którą zowiemy Bogiem, ale jest bodźcem naglącym rozum do stosowania zasady przyczynowości do ogółu zjawisk stanowiących świat i życie.

Z chwilą jasnego uświadomienia i spełniania tej dążności prawda staje się nie tylko potrzebą, ale też obowiązkiem i nagrodą ducha ludzkiego. Kto wiernie służy prawdzie, ten na ostatnim jej szczeblu, w jakimkolwiek zakresie badań, zetknie się z Pierwszą Prawdą i Przyczyną.

I na drodze teoretyczno-spekulatywnych i na drodze pozytywnych badań, ktokolwiek się spotka z pojęciem religii, czy z jej faktycznemi zjawiskami, musi sobie zadać ostatecznie te pytania:

czem jest właściwie religia? czem wytłumaczyć tę konieczność psychologiczną, z jaką się ona czepia ustroju psychy ludowej, w najodleglejszej starożytności zarówno, jak i w naszych czasach; u ludów cywilizowanych, jak i u pierwotnych o nizkiej bardzo kulturze umysłowej? — czy ona powstaje i wykwita równocześnie z myślą i mową pierwotnego człowieka? czy też jest jakimś sztucznym utworem późniejszym, przez konserwatywną tradycyę ludową z pokolenia na pokolenie przekazywanym? A jeśli sama tradycya ani genezy ani istoty religii dostatecznie wyjaśnić nie zdoła, to w którejże władzy umysłu ludzkiego tkwi jej źródło? jakie czynniki ją wytworzyły? wśród jakich warunków zewnętrznych i wewnętrznych powstała? Czy ona dziełem otaczających zjawisk przyrody, które na tle naiwnej wyobraźni twórczej w bóstwa się zmieniały? czy dziełem trwogi, która ją narzuca? czy egoizmu naiwnego, który w niej szuka pociechy wobec zbyt smutnej często rzeczywistości życia? Więc czy to tylko omam ułudny, słodki i groźny naprzemian, z pod którego więzów krytyka rozumu wyzwolić się usiłuje? czy może tego właśnie rozumu jest dziełem, który, na najniższym nawet stopniu rozwoju, szuka przyczyn zjawisk i do ostatniej, a pierwszej zarazem, wszechrzeczy przyczyny chce dotrzeć? A jeśli w niezłomnym związku przyczynowym wszystkich zjawisk psychicznych i fizycznych rozum ludzki choć w znacznej części ludzkości bardzo niezgrabnie, pod wpływem naiwnej wyobraźni i grubego egoizmu, upatruje siłę najwyższą — bóstwo: to czemże się dzieje, że to bóstwo taką się otacza zasłoną tajemniczą, więcej dla uczucia i fantazyi, niżeli dla rozumu przystępną? Dlaczego bóstwo pozwala się raczej przeczuwać i fantazyą odtwarzać na wzór i podobieństwo ludzi lub na wzór innych tworów i zjawisk przyrody, aniżeli poznawać? dlaczego się raczej nam narzuca, jako postulat praktycznego rozumu, postulat etyki i szczęścia, niż jako postulat »czystego rozumu«, dający nam pewność niezbitą swojego bytu ściśle przedmiotowego? Słowem czy istnieje bóstwo poza organizacyą umysłu naszego? czy jest bytem przedmiotowym, poznawalnym co do istnienia, niepoznawalnym może tylko w istocie swojej?

Wszystkie te pytania, których zasadniczą treścią to jedno

krótkie pytanie: »czy religia ma wartość bezwzględną?« — stawiali sobie najgłębsi myśliciele ludzkości.

Każdy z nich odpowiednio do stanowiska, jakie zajmuje w kwestyi teoryi poznania i metafizyki, rozstrzyga ostatecznie kwestyę wartości religii.

Tak też i pozytywizm — jemu to bowiem zawdzięczamy badania zjawisk religijnych — uciekający z zasady od metafizyki i podstawnych problemów teoryi poznania, siłą konsekwencyi logicznej musi w końcu najbardziej trzeźwych i pozytywnych badań natrafić na kwestye: skąd świat? skąd się wzięło życie na ziemi? jaki początek myśli i mowy ludzkiej? jaki początek i wartość pojęć i uczuć religijnych? Czy ta powszechność wierzeń religijnych jest tylko koniecznym wynikiem psychy pierwotnej, czy też ma źródło w zasadzie przyczynowości, która się nasuwa każdemu umysłowi, na jakimkolwiek stopniu kultury? Co to za siła, która rządzi zjawiskami przyrody? Czy jej źródło w bezwładnej materyi i w ślepym, tylko a bezcelowym determinizmie atomów? Czy ustrój świata ze swemi stałemi prawami jest dziełem przypadkowem, czy też jakiejś najwyższej myśli twórczej? czy wystarczy dla badań nauk przyrodniczych (mechanicznych i biologicznych) jedynie hipoteza atomów i sił immanentnych nimi rządzących, czy też do rozwiązania tej największej w nauce zagadki[1] prawem konsekwencyi logicznej — należy postawić postulat Boga, jako Pierwszy pozaświatowej i osobowej, a jednak nieobcej światu i koniecznej Siły, o którą rozum ludzki w badaniach jakiegokolwiek zakresu ostatecznie oprzeć się musi, jeżeli nie zechce wołać z jakąś odruchową trwogą: »Raczej od algi, niżeli od Ciebie, raczej do nirwany, niżeli do Ciebie!«

Zarys ten, z samej natury założenia swego, nie ma i nie może rościć sobie pretensyi do wyczerpującego traktowania naszkicowanych tu spekulatywno-filozoficznych i pozytywno-indukcyjnych kierunków ani też do rozwiązania problemów przez te

[1] A. F. Paulsen: *System der Ethik*. Stuttgart und Berlin 1903[6] s. † 1, str. 418—428.

kierunki narzuconych. Pozytywne rozstrzygnięcie i naukowe uzasadnienie tych problemów należy już do systematycznej filozofii religii, która nie może być zadaniem wstępu. Jego celem był właśnie program takich systematycznych badań.

Jeżeli jednak zarys ten zdołał zwrócić uwagę na konieczność krytycyzmu naukowego w przyjmowaniu pewnych utartych ogólników nierzadko za dogmaty naukowe podawanych —, to spełni tem samem, choć w części może, swoje zadanie.

Ks. Eugeniusz Hełczyński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z dziedziny filozofii.

Dr Władysław Natanson: »Pogląd na rodzaje zjawisk w materyalnym wszechświecie«. Kraków 1901. — Tenże: »Inercya i koercya. Dwa pojęcia ogólne w teoryi zjawisk psychicznych«. Kraków 1902. — W. M. Kozłowski: »Zasady przyrodoznawstwa w świetle teoryi poznania«. Warszawa 1903. — Józef Zagrzejewski: »Jedność sił w przyrodzie«. Piotrków 1904. — Wł. Biegański: »Neowitalizm współczesnej biologii«. Warszawa 1904. — Leon Birecki: »Ontologia« (Metafizyka). Przemyśl 1901. — Witold Schreiber: »Twórcy Bogów«. Księgarnia polska we Lwowie 1904. — Jan Karłowicz: »O człowieku pierwotnym. Siedem odczytów«. Lwów 1903.

Zapanował w ostatnich latach w dziedzinie badań przyrodniczo-filozoficznych ruch niezwykły. Skutkiem odkryć doniosłości nadzwyczajnej zaczęły zmieniać się nasze poglądy na ustrój fizyczny świata a to spowodowało oczywiście tak przyrodników o szerszym zakroju jak i filozofów zawodowych do rozpatrywania zagadnień przekraczających zakres ograniczony jednej nauki szczegółowej a przybierających cechę ogólną, — filozoficzną. Ruch taki podziałał także i na naszą literaturę filozoficzną i u nas ukazał się w ostatnich latach szereg prac, których przedmiotem zagadnienia przyrodniczo-filozoficzne i metafizyczne. Ich rozbiór podjęli rozmaici nasi autorowie głównie pod wpływem nowych zdobyczy współczesnej wiedzy przyrodniczej, tudzież pod wpływem potrzeby krytyczno-poznawczego zoryentowania się, która to potrzeba obecnie objawia się u przyrodników w sposób bardzo wyraźny. Widzimy przecież, jak zanika powoli dawny dogmatyzm nau-

kowy, jak chwieje się wiara w jakąś materyę powszechną, w owe jakieś atomy pierwotne niezniszczalne, których ruchy mają być właściwym realnym przebiegiem w sobie przysłoniętym tylko mgłą naszych barwnych wrażeń zmysłowych.

Z jaką ostrożnością rozważa dzisiejsza nauka zagadnienie materyi, o tem czytelnik może przekonać się z dwu rozpraw niewielkich ale pełnych treści i znaczenia dr. Władysława Natansona, profesora fizyki teoretycznej w uniwersytecie jagiellońskim. Pierwsza z tych rozpraw ma napis: »Pogląd na rodzaje zjawisk w materyalnym wszechświecie« a wyszła w Krakowie w roku 1901, druga ukazała się w roku następnym jako odczyt, wygłoszony na posiedzeniu publicznem Akademii Um. pt.: »Inercya i koercya. Dwa pojęcia ogólne w teoryi zjawisk fizycznych«. W rozprawie pierwszej autor, rozpoczyna od czego? Może od pojęcia materyi? Bynajmniej! stwierdza tylko fakt istnienia pracy we wszechświecie materyalnym. »Każda zmiana — pisze — wymaga zużycia oznaczonej ilości pracy. Na tem polega zasada zachowania energii czyli zasada oznaczoności pracy. Oto fakt najważniejszy, wystarcza on przyrodnikowi, w rozbiór pytania zaś czem jest materya w sobie, on się wcale wdawać nie potrzebuje«. Nie możemy oczywiście na tem miejscu streszczać rozpraw dr. N. i tak może aż nazbyt treściwych. Nadmienimy więc tylko krótko, że objawia się w nich w sposób wybitny dążenie nauki dzisiejszej do ujęcia w obrazy najogólniejsze, tudzież podciągnięcia pod zasady wspólne a powszechne najrozmaitszych rodzajów zjawisk. Autor staje na stanowisku możliwie najogólniejszem. Wykazuje więc, że wszelka praca, czyli zjawiskowa zmienność wszelka w przyrodzie, ma dwie strony t. j. stronę odwracalną i nieodwracalną. Każda zmiana przechodzi z jednej postaci w inną ale nie całkiem, nie bez reszty, ta reszta to właśnie nieodwracalna strona zjawiska, która już w żadną inną formę pracy nie przekształca się, jest więc wyrazem powolnego staczania się zjawisk ku zastojowi i równowadze. Tę samą myśl wyraża także i druga praca o inercyi i koercyi, mamy tu jednak także bardzo zajmujące rozważania wchodzące w zakres teoryi poznania naukowego. Dr: N. stoi na stanowisku zbliżonem do poglądów Macha a szczególnie do Poincare'go tj. na stanowisku względności wiedzy naukowej. Nauka powstaje jego zdaniem dzięki możliwości wyodrębniania, ale należy pamiętać, »że wszystkie rodzaje zjawisk my tylko sami upatrujemy w naturze. Wszystko to są abstrakcye, to nie są zjawiska. Nie są nawet części

zjawisk, są to przecięcia przez zjawiska« (str. 9). Takie jest stanowisko nauk szczegółowych. Otóż obecnie wykształca się zdaniem dr. N. nauka nowa tj. Termodynamika, która »nie dzieli zagadnień, lecz je roztrząsa w całości«. Termodynamika »to teorya, która nie dzieli zjawisk na bezwładne i zanikające, ale bada je i chce opanować w całości« str. 10.

Termodynamika dociera do najogólniejszej teoryi równowag, równowaga zaś jest krańcem zjawiska (str. 13), nauka jeżeli zdołała określić najpowszedniejsze warunki równowagi, poznała jakoby powierzchnię rzeczywistości. Ale to nie wszystko; chcąc ująć zjawiska przyrodnicze z najwyższego punktu widzenia, potrzeba znać jeszcze prawa zmienności. Otóż wszelka zmiana ma źródło swoje jak to wykazał Fourier w przepływie pewnej ilości pracy w jednostce czasu przez jednostkę pola. Na tem polega wszelkie tarcie wewnętrzne, wszelki opór zawsze czynny w materyi. Wszelka koercya. Ale obok koercyi jako bodźca wewnętrznego działa także wszędzie inercya (bezwładność) jako bodziec zewnętrzny. Każde ciało, każdy układ materyalny uważany jako całość, ulega także bodźcom zewnętrznym. W każdem przeto zjawisku materyalnem kombinują się opór wewnętrzny i działanie zewnętrzne. Oporu wewnętrznego czyli koercyi niema w jednym tylko układzie to jest w tak zwanym eterze powszechnym, tu jest tylko inercya, bezwładność bez koercyi. Otóż pytanie teraz nasuwa się, czy zjawiska oporu zewnętrznego i bezwładności dadzą się sprowadzić do jakichś zasad wspólnych, podstawowych, pierwotniejszych? Skąd się wogóle wzięła koercya czyli opór wewnętrzny? Poruszając jednak te pytania, poruszamy już inne, skąd się wzięła zmienność wogóle we wszechświecie. I oto dociera nauka już do granic metafizyki. Dr. N. odpowiedzi na to pytanie nie daje, ale już samo docieranie do tych zagadnień dowodzi najlepiej, jak daleko zaszły badania przyrodnicze w uogólnianiu. Energetyka i termodynamika przeprowadzają nas już w dziedziny, które prawie przestają należeć do zakresu wiedzy przyrodniczej szczegółowej. Obie rozprawy dr. N. to piękny przykład śmiałości w myśleniu obok wielkiej ścisłości u przyrodnika, ale są one równocześnie także dowodem, że usposobienie krytyczne opanowywa w coraz wyższym stopniu umysły przyrodników dzisiejszych. Im dalej postępują, tem więcej tracą ową naiwną wiarę w jakąś materyę w sobie, w jakieś mniemane prawa ruchu jako przebiegi realne w sobie. Uznawszy prawa ruchu za to, czem one naprawdę są, tj. za obrazy dogodne i potrzebne, któremi się nauki posługują, prze-

chodzą przyrodnicy do wytwarzania obrazów rzeczywistości jeszcze powszechniejszych tj. opartych i wyprowadzonych z praw najwyższych zmienności i stałości w ogóle. Czem jest wszechświat zmysłowo-materyalny? odpowiedzi na to pytanie należy według dzisiejszych poglądów szukać nie w badaniu czem jest materya w sobie, albo w przyjmowaniu ruchów w sobie ale w dochodzeniu praw, według których wieczysta bezwładność przeszła w zmienność, praw, według których wykształciła się w inercyi koercya. Do tych granic wiedza przyrodnicza może sięgać ale nie dalej. Tu się rola jej kończy a zaczyna rola metafizyki. Przejście jest proste! Chyba z niczego zmienność powstać nie mogła! skąd więc wzięła się ona w inercyi? Na to pytanie wiedza przyrodnicza nie da nigdy odpowiedzi! I oto rozpatrując się w tych najwyższych uogólnieniach dzisiejszych badań przyrodniczych myśl nasza od Energetyki i Termodynamiki zwraca się mimowoli ku »filozofii pierwszej« (πρῶτη φιλοσοφία) i ku jej twórcy Arystotelesowi, ku temu, który przed tysiącami lat może w sposób nieporadny ale pokrewne wyrażał zapatrywania i dowodził, że źródłem zmienności (u Arystotelesa źródłem ruchu: zmienność pojęta u niego jeszcze konkretnie zmysłowo jako ruch w inercyi) może być tylko ὁ θεός....

Zagadnieniami zasadniczemi przyrodoznawstwa zajmuje się także najnowsza praca dr: W. M. Kozłowskiego, wydana w roku zeszłym w Warszawie, pt: »Zasady przyrodoznawstwa w świetle teoryi poznania«. Autor, o którego pracach dawniejszych na tem miejscu już parę razy pisaliśmy, jest pracownikiem czynnym i wszechstronnym. Należy on do zwolenników tak zwanego nowo-krytycyzmu czyli do kierunku nowo-kantowskiego. Wyznaje przeto zasadę, że podstawą całego naszego poznania naukowego a więc i przyrodoznawstwa są pierwiastki aprioryczne. — »Zasada subjektywizmu naukowego — pisze nasz autor — jest nieuniknionym wynikiem wiedzy współczesnej. Nasuwa się ona z dwóch stron: jako wynik fizyologii zmysłów, jako wymagalnik jedności fizyki« (str. 4). Po jednej stronie mamy rozmaite formy ruchów, po drugiej różnorodne jakości naszych zmysłów. Jeżeli zaś doświadczenie zmysłów powiada nam, że świat składa się z wrażeń dźwięcznych, barwnych, żywych, zmiennych, a z drugiej strony nauka prawi nam o materyi niezmiennej i o atomach pływających w oceanie eteru a będących w ruchu nieustannym, to oczywiście nasuwa się pytanie, któryż z tych światów odpowiada rzeczywistości. A jeżeli żaden! to który zbliża nas do niej w większym

stopniu. Pytanie więc główne formułuje dr. K. w następujący sposób: »Czy wiedza zbliża nas bardziej do rzeczywistości, niż bezpośrednie dane świadomości, czy też oddala?« (str. 5). Pierwotnem i najdawniejszem jest według niego przekonanie, że poznanie nasze odpowiada ściśle rzeczywistości, czyli że rzeczywistość wchodzi niejako idealnie do naszej świadomości. Ale w dalszym ciągu dokonywa się rozwój wiedzy badawczej, a pod jej wpływem budzi się wśród uczonych i filozofów przekonanie, że teorye, hipotezy i pojęcia naukowe odsłaniają nam rzeczywistość bezwzględną. W obecnej jednak fazie myślenia głębszy krytycyzm zachwiał już tym dogmatyzmem naukowym, powstaje pytanie: Co dalej? Autor nasz wyróżnia w teraźniejszości trzy kierunki główne w poglądach na wartość wiedzy naukowej: Neokantyzm, Empirio-krytycyzm, wreszcie kierunki pośrednie z nowszej szkoły metafizyków francuskich; sam zaś do jakichże dochodzi wyników? Na takie pytanie po przeczytaniu książki p. K. trudno byłoby odpowiedzieć. Usiłuje on przedewszystkiem wykazać, że w rozwoju naszej wiedzy naukowej ujawniają się ciągle pierwiastki aprioryczne pochodzące z umysłu świat poznającego.

Czynność naukowa polega według niego na przenikaniu pierwiastka racyonalnego do bogatej i rozmaitej treści doświadczenia, na porządkowaniu tej treści według wymagań apriorycznych rozumu (str. 184). Dobrze! Ale czemżeż jest ta treść doświadczenia? Znowu tylko wynikiem syntezy psychologicznej!

Cóż więc czyni nauka? Oto analizuje ona pierwotne intuicyjne wytwory naszego umysłu, rozkłada je w kierunku odwrotnym do tego jak przez nieświadomą syntezę powstał i w ten sposób wytwarza zasadnicze pojęcia naukowe. Wobec tego byłaby nauka pewnego rodzaju grą, której dokonywa umysł z własną treścią i niczem więcej!

Z przedmiotową zaś wartością wiedzy i nauki co się ma stać? Na tak postawione pytanie daremnie szukalibyśmy u d-ra K. odpowiedzi: »Nie wiemy czem jest rzeczywistość«! (str. 288). Oto najważniejsze jego wyznanie! Proces wiedzy jest dla niego tylko analizą rzeczywistości danej i jej powtórną syntezą gwoli koncepcyi z której dedukcyjnie może być wyprowadzoua ta sama rzeczywistość (str. 295). Jak wobec tego autor może określać »prawdę poznania jako harmoniję między umysłem a rzeczywistością« (tamże) to trudno zrozumieć. Mimowoli bowiem nasuwa się pytanie: Z jaką rzeczywi-

stością? Wszakże jej nie znamy i nic o niej wiedzieć nie możemy. Rzeczywistość spostrzegana to przecie nasz wytwór, a więc prawda to chyba zgodność jednych naszych wytworów z drugiemi, czyli zgodność wytworów intencyjnych z rozumowemi. W takich warunkach oczywiście nie możemy i nie mamy prawa nawet orzekać, czy świat istnieje i dochodzimy do illuzyonizmu całkowitego. Że autor w przedmiotową wartość wiedzy nie wierzy, dowodzi tego najlepiej fakt, iż zestawia pracę nauk z twórczością artystyczną. Wyniki też całości są niejasne i niedosyć uchwytne. Historyę nauk przyrodniczych autor widocznie zna dobrze i gruntownie, ale jednak poradzić sobie z faktami i zjawiskami, które rozwój nauki nastręcza, nie umie, waha się też ciągle między stanowiskiem skrajnie przedmiotowem a przeświadczeniem, że badania naukowe jednak jakąś przedmiotową wartość posiadać muszą. Przyjąwszy aprioryczne pierwiastki w naszem poznaniu dr K. nie umie wskazać, gdzie one właściwie zaczynają się, a gdzie kończą. Co jest w naszej wiedzy *a priori*, a co nie jest *a priori*? Jeżeli kategorye rozumowe są *a priori* to jakości zmysłowe są jeszcze więcej *a priori*, cóż przeto pozostaje po za umysłem i świadomością?

Słaba strona dzieła p. K. tkwi w niedostatkach dzisiejszej nowo-krytycznej filozofii w ogóle. Wykopała ona przepaść między umysłem a rzeczywistością, między podmiotem a przedmiotem i przepaści tej niczem zapełnić nie może. Rzecz w sobie i umysł oto dwa przeciwieństwa, znaleźć przejście od jednego do drugiego ani rusz. Raz rzecz w sobie zmienia się w dzieło umysłu, to znowu umysł w objaw rzeczy w sobie i jak tu wybrnąć z takiego koła błędnego. Prowadzi też hyperkrytycyzm zawsze do hyperdogmatyzmu, na którem i nasz autor kończy, trudno bowiem nazwać inaczej jak hyperdogmatyzmem takie powiedzenie: »Filozofia naukowa obejmuje w każdej dobie dziejowej najwyższą i najogólniejszą prawdę, jaką tylko ludzkość może wytworzyć w danych warunkach wiedzy i cywilizacyi«. (str. 300). Ze stanowiska autora jest dla nas rzeczą zupełnie niezrozumiałą, dlaczego myt lub zwykłe naiwne doświadczenie zmysłów ma posiadać mniejszą wartość, aniżeli prawda naukowa. Nie! — na takiej drodze nie dojdziemy nigdy do prawdziwie krytycznego rozjaśnienia wartości naszej wiedzy naukowej. Książka Pana Kozłowskiego czyta się z trudnością, autor ma swoje przekonania, które z góry faktom przez się badanym narzuca i wszędzie w rozwoju nauki usiłuje dopatrzeć się działania pierwiastków apriorycznych, jest też cały jego pogląd na filozofię przyrody grecką zabarwiony podmio-

towo. Psychogeneza rozciągłości nie wydaje nam się również przekonywującą; autor wyjaśnia rozciągłość w taki sposób, iż w pierwotne trzy sfery zmysłowe, których syntezy wynikiem ma być wyobrażenie świata zmysłowego, już naprzód rozciągłość wkłada. Zdaje się mnie, że geneza wrażenia rozciągłości i przestrzeni w taki sposób nie może być rozjaśnioną. Kończąc tych parę uwag nad dziełem d-ra Kozłowskiego powiemy jeszcze, iż dzieło to należy powitać jako cenny nabytek w naszej literaturze filozoficznej. Autor śmiało przystąpił do rozbioru zagadnień niezmiernie trudnych, starał się też do badań swoich zużytkować materyał z historyi nauk, krytycyzm więc jego opiera się nie tylko na krytyce procesu poznania w umyśle jednostkowym, lecz także na śledzeniu rozwoju poznania zbiorowego. Jest to niewątpliwie metoda przyszłości, aby ją jednak z pożytkiem módz stosować, potrzeba pozbyć się różnych przesądów, a przedewszystkiem należałoby unikać intellektualizmu jednostronnego Pomimo wszystkiego może książka d-ra K. posłużyć za dowód, że tak zwany nowo-krytycyzm dalekim jest jeszcze od rozwiązania problematu wiedzy i naukowego poznania. Droga do celu prowadzi niewątpliwie przez należycie pojęty i wszechstronnie pokierowany krytycyzm, ale kierunkom nowokrytycznym właśnie zbywa na tej wszechstronności. Są tu przedewszystkiem dwa warunki do spełnienia, należałoby się po pierwsze rozprawić z pojęciem rzeczy w sobie i pojęcie to tak bałamutne raz nareszcie rozjaśnić, po wtóre zaś należałoby dokładnie zbadać genezę historyczną nauki i naukowego poznania wogóle. Dopóki te dwa warunki się nie spełnią, dotąd będziemy ciągle brnęli wśród niejasności i co chwila na rozmaitych utykali nieporozumieniach.

Inny charakter, aniżeli dzieło Pana W. M. Kozłowskiego, ma książka Pana Józefa Zagrzejewskiego wydana w Piotrkowie w r. 1904 pt.: »Jedność sił w Przyrodzie«. Autor jest widocznie przyrodnikiem, który wykształcony filozoficznie, uczuł potrzebę dojścia do jakiejś głębszej syntezy w zakresie przyrodoznawstwa. Już dawniej wydał dzieło pt.: »Pogląd na ustrój przyrody«, obecnie myśli swoje rozwija dalej i uzupełnia. We wstępie zaprzecza jakoby »pogląd wytwarzający się pod wpływem wiedzy przyrodniczej był wrogi idealizmowi i tak pisze między innemi: »Stwierdzono faktycznie i wielokrotnie, że prawdziwa znajomość przyrodoznawstwa tem bardziej wzmacniana rozumowaniem filozoficznem przynosi rezultaty wręcz przeciwne, —

że odsłania przed nami świat ideałów i utwierdza w nas ich poczucie« (str. 10).

Słusznie także ocenia zwrot dzisiejszy do zagadnień filozoficznych w następujących słowach: »Zkąd płynie zapał w istocie rozbudzony do lektury filozoficznej? Sięgnijmy głębiej do przyczyn, a znajdziemy, iż nie pochodzi on bynajmniej z miłości do dzisiejszej antynomii filozoficznej — lecz wręcz przeciwnie, z chęci jej pozbycia, stąd że społeczeństwo przygnębione dziś ustawiczną scyssyą, wątpliwościami i sceptycyzmem oraz wogóle ciężkiemi niedolami życia goryczami zaprawionego poszukuje drogi do wyjścia z męczącego zamętu« (str. 18).

Pan Z. nie pochwala także zapatrywań dzisiejszych pozytywistów i zwolenników nowo-krytycyzmu i jest przekonany, że »dochodzenie filozoficzne w przyrodoznawstwie ma na celu głębsze spekulacyjne badanie istoty zjawisk i praw natury« (str. 23).

Podczas gdy więc pan Kozłowski zaprzeczał, aby wiedza nasza o przyrodzie mogła stracić kiedykolwiek swój charakter podmiotowy, to przeciwnie pan Zagrzejewski dowodzi, że »jakkolwiek poznanie przez nas praw i sił natury jest zawsze w pewnej mierze niedoskonałem, gdyż umysł nasz nie może osiągnąć wiedzy bezwzględnej — ale nasz rozum oraz świat myśli i pojęć naszych, wreszcie nauka albo podsumowana wartość tych czynników, filozofia, jak powstały nie w zwodniczej wyobraźni, lecz na gruncie realnym, tak pozostają wiecznie w granicach bytu rzeczywistego, przedmiotowego, zatem poznawalnego, bez którego nawet idee podmiotowe najbardziej oderwane czy mistyczne istnieć by nie mogły« (str. 25). Wyznając takie zasady autor pragnie dojść do roztrząsania zagadnień o istocie zjawisk przyrody przez stosowanie metody krytycznej przedmiotowej. Na czem jednak taka metoda polega, tego nam autor dokładnie nie wyjaśnia. Zarzuca tylko nauce spółczesnej, że dużo traci przez tłomaczenie kwestyj zawiłych dogmatycznie za pomocą stawiania doktryn dowolnych (str. 32). »Nauka dzisiejsza« — pisze na str. 32 — »grzeszy często nadużywaniem symbolów takich jak siła, ruch, energia i t. p., które same przez się nie mają znaczenia przedmiotowego, gdyż nie istnieją w naturze samoistnie, a są tylko nazwą zjawisk spowodowanych pewnym układem materyi, których zatem wtedy należałoby tylko używać swobodnie, gdy znamy i wyświetlamy pochodzenie fizyczne i znaczenie aktualne tychże symbolów«. — Postęp wiedzy przyrodniczej polega według pana Zagrzejewskiego na wykryciu ogólnych praw

natury: »Prawa te są stałe dla wszystkich zjawisk wspólne, r z ą d z ą n i e m i i ułatwiają wykrycie przyczyn szczegółowych (str. 36). Prawo przyczynowości wymaga jednak rozpatrywania zjawisk nietylko pojedynczo każdego z osobna, lecz i w zestawieniu z innemi zjawiskami i z całością świata celem poszukiwania w nich naprzód cech indywidualnych, a następnie dochodzenia cech wspólnych« (str. 38). To wszystko jest w ogólnych zarysach niewątpliwie szłuszne, ale badacz filozof takiem rozumowaniem nie może zadowolić się, on pyta dalej, a co to jest prawo? co to przyczyna? W jaki sposób może prawo rządzić zjawiskami? Jak może z przyczyny wynikać skutek? Na te pytania autor nasz nie daje nam odpowiedzi, a jednak to są właśnie dla krytycznie pojętej teoryi poznania pytania najważniejsze. Pogląd zasadniczy autora »Jedności sił w przyrodzie« polega na przyjęciu dwuch pierwiastków, z których wszechświat się składa, tj. materyi bezwładnej i elektryczności, jako substancyi ciągłej wszechświat cały wypełniającej, która ma być przyczyną zmian wszelkich i ruchów. Pan Z. występuje przeciwko hipotezie eteru, dowodzi, że hipoteza ta przyczyniła się do wielu bałamuctw w nauce, ale na miejsce eteru cóż stawia, oto elektryczność, która przez swoją nieprzerwaną ciągłość ma wszystko tłomaczyć. Tu pozwalamy sobie zwrócić uwagę, że przyrodnicy pojmują eter także jako płyn doskonały nieprzerwanie ciągły wszechświat cały wypełniający, a więc cóż zmieniło się u naszego autora? zdaje mi się, że tylko nazwa, zamiast nazywać to fluidum doskonałe eterem, nazywa je elektrycznością. Wątpię czy taka zmiana nazwy może przynieść nauce istotny pożytek. Przecież tu nie chodzi o nazwy, ale o to czy w ogóle taki płyn doskonały, wszechświat wypełniający jest możliwy? Przecież eter jest także określany przez uczonych jako próżnia absolutna, usiłowano nawet stwierdzić experymentalnie niemożność przesuwania się jego w przestrzeni razem z ciałami niebieskiemi (doświadczenie Michelsona). Z drugiej znowu strony przypuszcza pan Z. podzielność elektryczności na dodatnią i odjemną. Jeżeli elelektryczność jest absolutnie ciągłą, to pytam się, jakże może być podzielną? Naturę elektryczności znajdujemy dokładniej określoną na str. 109: »Elektryczność« — pisze on tam — »jest materyą uniwersalną, absolutnie ciągłą, niejednorodną, lecz złożoną, o budowie matematycznie proporcyonalnej, która dzięki szczególnym swoim własnościom, mianowicie zaś przyciąganiu i odpychaniu atomów biegunowo naelektryzowanych składających wszechmateryę, rządzi wszelkiemi zjawiskami i stanowi kardynalną zasadę jedności

sił w mechanicznym wiecznie prawidłowym ruchu wszechświata.« Otwarcie wyznaję, że jestem za mało przyrodnikiem, abym mógł to należycie zrozumieć. Z punktu jednak krytyczno-poznawczego nasuwa mi się mnóstwo wątpliwości. Nie umiem zdać sobie sprawy z tego co to znaczy »rządzić zjawiskami«, co to znaczy dalej materya absolutnie ciągła a złożona, nie rozumiem, co to jest przyciąganie i odpychanie atomów, skoro działanie na odległość nie możliwe. Wogóle mnóstwo rzeczy w książce pana Z. nie rozumiem, ale jest to zapewne moja wina, że nie jestem należycie do tego przygotowany. Moje stanowisko zaś krytyczne w teoryi poznania nie pozwala mi patrzeć na świat przyrody w taki sposób, jak patrzy autor. Dla mnie wszelkie prawa przyrody, wszelkie teorye — to obrazy, które wytwarza sobie umysł badający o przebiegach w jego otoczeniu odbywających się, obrazy te zaś ujęte są w kształty, których dostarcza umysłom treść wrażeń i doświadczeń zmysłowych. Gdy zjawisko światła wyjaśniłem przez ruch, to cóż zrobiłem? Fakt bezpośrednio dla mnie oczywisty, ale przedstawiający się myśli badającej zawile, zastąpiłem obrazem prostszym ale także zmysłowym, przetłomaczyłem niejako zjawisko światła na inną mowę zjawiskową, na mowę ruchów. Aby zaś dotrzeć do przebiegów i zmian w otoczeniu takich, jakiemi one mogą być niezależnie od naszych zmysłów doświadczajacych, to aby taki cel osięgnąć należałoby odrzucić wszelkie skrawki tych płaszczyków zmysłowych, któremi zjawiska przykrywamy i należałoby z najpowszechniejszych zasad współdziałania i zmienności wyjaśnić przedewszytkiem wykształcanie się i rozwój form naszego zmysłowego doświadczania i poznawania. Zkąd bierze się przestrzeń? co to jest materya? co to siła? jak uwolnić te pojęcia od naleciałości zmysłowych i wszystkich z tem związanych sprzeczności? Oto pytania, na które potrzebaby przedewszystkiem poszukać odpowiedzi. Dopóki nie wyjaśnimy sobie genezy naszej zmysłowo doświadczalnej treści ze wszystkiemi jej właściwościami, dotąd jak sądzę pojmowanie elektryczności jako »substancyi metafizycznej« wypełniającej wszechświat w nieprzerwanej ciągłości nie wiele nam pomoże. Autor nasz powiada, że ona jest przyczyną wszelkiego ruchu, a ja przypominam sobie zaraz dowodzenie Zenona o strzale i pytam, a co to jest ruch? i jak on możliwy? — O wiedzy fachowej pana Z. nie mam prawa sądu wydawać, co się tyczy jednak jego filozoficznego stanowiska, to mniemam, że obecnie tak teorya poznania jak i filozofia przyrody już nie po-

przestają na takiem stanowisku i posunęły się dalej w oryentowaniu krytycznem.

Że tak jest, dowodzi tego najlepiej rozprawa d-ra Wład. Biegańskiego pt.: »Neowitalizm w współczesnej biologii«, która wyszła w Warszawie w roku bieżącym. Należy w niej podnieść jasność w przedstawieniu obok świetnego zoryentowania się w zagadnieniu tak w kierunku historycznym jak i krytyczno-poznawczym. — Autorowi zależy na uwydatnieniu stanu obecnego biologii. Pytaniem dla nauki tej najżywotniejszem jest pytanie dotyczące istoty zjawisk życia, tudzież ich różnicy od zjawisk fizyczno-chemicznych. Otóż tu walczą ze sobą dwa obozy: Zwolennicy jednego twierdzą, że zjawiska życia mają przyczyny samoistne, że urzeczywistniają się one wprawdzie na tle fizyczno-chemicznem, ale źródłem ich jest odrębna siła życia, to są witaliści, zwolennicy zaś obozu drugiego dowodzą, że zjawiska życia dadzą się całkowicie i bez reszty żadnej sprowadzić do zjawisk fizyczno-chemicznych i wyjaśnić na podstawie praw mechaniki, to mechaniści. — Dr Biegański przedstawia w pierwszej części swojej rozprawy w sposób bardzo jasny i zwięzły rozwój historyczny całego zagadnienia. Wykazuje więc jak w wieku XVI i XVII zyskał przewagę kierunek mechanistyczny, w początkach jednak XVIII wieku zaczyna się reakcya, występują Stahl, Haller, za nimi wielu innych tak, że przy końcu stulecia witalizm zapanował prawie powszechnie. Pod względem metodologicznym odznaczają się witaliści dążnością do uogólnień, tudzież zamiłowaniem do rozumowania dedukcyjnego; skoro u witalistów spekulacya wzięła górę, a rola doświadczenia zeszła na plan drugi, rozpoczął się tego kierunku upadek, stało się to około trzeciego dziesiątka wieku XIX. Do walki przeciw witalizmowi wystąpił we Francyi Magendie, ostateczny zaś cios zadał mu Lotze przez swoją krytykę siły życiowej i tak rozpoczęło się znowu panowanie poglądu mechanistycznego, które dosięgło szczytu około roku 1870, odkąd zaczęła pojawiać się reakcya w postaci neowitalizmu.

W drugim ustępie rozprawy kreśli dr B. historyę tego neo-witalizmu i tu uwydatnione są znowu świetnie rysy najgłówniejsze, autor wszędzie przedstawia rozwój poglądów naukowych w ścisłym związku z rozwojem filozofii, wykazuje jak idealizm filozoficzny wpływał na biologię, jak dopomógł neo-witalizmowi do zyskania przewagi; — krytycyzm filozoficzno-naukowy, który podkopał materyalizm dogmatyczny, spowodował podobny objaw także w biologii, uniemożliwił

bowiem w niej jednostronny pogląd mechanistyczny. Teoryom neo-witalistów przypisuje dr B. wielkie znaczenie zasadnicze; stanowią one — jak pisze na str. 22 — zwrot w poglądach na istotę życia: »Mechanizm biologiczny ustanowił zasadę, że życie jest zagadniem chemicznem, że zjawiska życia ostatecznie dadzą się sprowadzić do spraw chemicznych. Teorye zaś neo-witalistów są wyrazem zasady, że życie jest zagadnieniem morfologicznem, że jego zjawiska dadzą się ostatecznie sprowadzić do warunków organizacyi. Gdybyśmy nawet, jak wyraził się Pfeffer w swojej fizyologii roślin, jaknajdokładniej ponali wszystkie ciała chemiczne, znajdujące się w protoplazmie, to bylibyśmy również dalecy od wyjaśnienia i poznania zjawisk życia jak przez dokładne poznanie węgla i żelaza od wyjaśnienia maszyny parowej.« — Kierunek i cel dzisiejszych badań określa autor w następujących słowach: »biologowie nie zajmują się teraz samym tylko opisem formy ustrojów żywych, lecz starają się poznać przyczyny, kształtujące jestestwa organiczne, oraz rozwój formy ustrojowej« (str. 23). Ale najważniejszem jest pytanie, jak spółczesni witaliści tłomaczą wykazywaną przez siebie odrębność zjawisk życia? Otóż tu można wyróżnić dwa kierunki: Jedni mówią o odrębnych prawach życia, o autonomii zjawisk życia odrzucając pojęcie siły żywotnej jako pustej abstrakcyi. Tu należą Wigand, Naegeli, Dreyer, Driesch, poniekąd także O. Hartwig, drudzy zaś stają na stanowisku neo-animizmu, to znaczy upatrują przyczynę zjawisk życia w jakimś pierwiastku psychicznym. Przejście od jednego poglądu do drugiego wyobraża Reinke ze swoją teoryą dominantów. Do odrodzenia się animizmu przyczyniły się głównie — zdaniem naszego autora — badania nad życiem pierwotniaków. »Celowe mające wszelkie pozory rozwagi i wyboru ruchy ich budziły mimowoli myśl, że te organizmy jednokomórkowe muszą posiadać pewne własności psychiczne, które nie są koniecznie związane z obecnością układu nerwowego, lecz tylko z żywą protoplazmą« (str. 31). Głównym propagatorem animizmu w biologii stał się Haeckel, obecnie zaś przechylają się do tego poglądu także Driesch i Reinke.

Jakież wobec tych różnorodnych dążności zajmuje stanowisko nasz autor? Otóż jego zapatrywanie moglibyśmy określić jako krytyczny pozytywizm. Żadnem z obu kierunków w biologii nie przyznaje on słuszności, ale w kolejnem panowaniu obu widzi wielkie dla rozwoju biologii korzyści. Co się tyczy zaś wyniku ostatecznego, to nauka, — zdaniem d-ra Biegańskiego — dochodzi wszędzie do niepo-

znawalnej substancyi, dochodzi ona więc także do przekonania, że musi istnieć coś, co wiąże zjawiska życia w całość, ale co to jest, tego nauka zapewne nigdy nie pozna. »Gdyby zachodziła zupełna identyczność moglibyśmy posługując się odpowiedniemi siłami fizyko-chemicznemi tworzyć zjawiska życia w całości. Tymczasem tak nie jest, nie udało się to dotychczas i nie uda prawdopodobnie nigdy« (str. 41). D-rowi B. najwięcej, zdaje się, trafia do przekonania pogląd Albrechta, który przypuszcza, że między zjawiskami biologicznemi i odpowiedniemi sprawami chemicznemi i fizycznemi istnieje stosunek biologicznego parallelizmu. Na mocy tego parallelizmu możemy tylko wnosić z całą pewnością, że pewnemu zjawisku biologicznemu odpowiadają pewne sprawy fizyko-chemiczne żadną zaś miarą nie wolno nam twierdzić, że sprawy te tworzą zjawisko życia, lub że stanowią jego istotę« (str. 42). Poglądowi takiemu o ile zechce ograniczyć się ściśle do zakresu biologii nie mielibyśmy z naszego punktu widzenia wiele do zarzucenia, tak samo jak nie razi nas krytyczny pozytywizm autora. Mamy to głębokie przekonanie, że na pytanie jaka jest istotna przyczyna zjawisk życia, biologia sama ze swojego stanowiska ciaśniejszego odpowiedzi nigdy nie da i dać nie może, dobrze więc czyni, jeżeli przynajmniej stwierdza, że zjawisko życia jest czemś więcej, aniżeli tylko przebiegiem fizyczno-chemicznem. Aby jednak odpowiedzieć na pytanie czem może być życie w istocie swojej, do tego potrzeba badań dalszych, a mianowicie badań wychodzących już po za zakres biologii, a wkraczających w dziedzinę metafizyki. Nie godzę się z autorem na pogląd, aby istota rzeczy była nie poznawalna. Owszem moje zapatrywanie jest, że o istocie rzeczy, a więc o istocie życia, możemy i mamy prawo wytwarzać sobie naukowe obrazy co raz dokładniejsze, tak samo jak wytwarzamy sobie obrazy naukowe o zjawiskach światła lub ciepła. Ale to prawda, że do obrazów naukowych o istocie rzeczy nie doprowadzą nas jednostronne rozważania oparte czy to na podstawie badań fizyko-chemicznych czy biologicznych, do tego potrzeba rozważań wyższego rzędu, do których niewątpliwie nasza myśl badawcza jest uprawnioną i uzdolnioną.

Takim właśnie rozważaniom poświęcił dziełko swoje pan Leon Birecki wydane pod napisem: »Ontologia (Metafizyka) napisana na podstawie realnego doświadczenia.«

Niestety jednak jest dziełko to odstraszającym przykładem jak

tego rodzaju zagadnień opracowywać nie należy.— Książka pana Bireckiego jest właściwie jedną z tych, o których pisać szkoda. Pod żadnym bowiem względem nie zasługuje ona na zaszczyt krytyki. Jeżeli jednak pomimo, że wartość książki jest żadna, przecież o niej w niniejszym przeglądzie wspominam, to czynię to głównie dlatego, gdyż nie można dopuścić, aby tego rodzaju produkcye podszywające się pod płaszczyk nauki uchodziły i zyskiwały sobie prawa obywatelstwa, choćby tylko dzięki temu, iż krytyka o nich milczała, nie biorąc ich na seryo. Książkę charakteryzuje świetnie już przedmowa, o której napisano, że jest do pierwszego (!) wydania; zaiste powinszować można autorowi wiary w swoją przyszłą wielkość. Wcale mu to jednak nie przeszkodziło, że już w drugim słowie tekstu pozostawił błąd dziecinnie śmieszny, czytamy bowiem zamiast »wiek dziewiętnasty« — »wiek dwudziesty pierwszy«. Miejmy nadzieję, że w dziesiątem wydaniu autor błąd ten poprawi. Otóż w tej sławnej przedmowie do wydania pierwszego na str. 5 autor nasz tak pisze: »Zreformować naukę metafizyki całkowicie do gruntu, wyprowadzić ją z tylowiekowej błąkaniny na pewną i szeroką drogę realnego doświadczenia i postawić ją jak koronę i wieniec wszystkich nauk na czele postępu kultury ludzkiej, to zadanie kolosalne (!) godne początku XX wieku. Z całą świadomością twierdzić możemy, że zadanie to przynajmniej w głównych zarysach spełniliśmy«. Widzimy więc, że autor ma nie lada wyobrażenie o sobie! Czego nikt dotąd nie dokonał, to zrobił on (oczywiście we własnem mniemaniu). O biedna spragniona prawdy ludzkości odetchnij nareszcie. Opatrzność zsyła ci pana Leona Bireckiego, on raczył — jak sam pisze — »nabłądzić się i nabiedzić długo«, aż nareszcie znalazł prawdę. Nie sądź czytelniku, że mu to przyszło łatwo! o nie, on się ciężko dla twojego dobra napracował, »myśl znużona wypowiadała mu nie raz posłuszeństwo«, aż nareszcie — dodajemy to już od siebie — wypowiedziała je ostatecznie i wówczas napisał książkę.....

Oczywiście od swoich poprzedników nasz autor niczego się nauczyć nie mógł, bo cóż oni wiedzieli? Nic! Studyum Kanta, Stöcklera (sic!!) Büchnera (co za cudowne zestawienie) korzyści nie przyniosło mu żadnych. Wierzę temu najzupełniej i wcale się nie dziwię, któż więc był pana Bireckiego nauczycielem? Oto księga przyrody oryginalna i niesfałszowana! Z niej zaczerpnął wszystko dla celów zresztą bardzo skromnych! Jakiż to bowiem cel wytknął swojej książce. Oto ni mniej ni więcej tylko »dźwignięcie

wypaczonej kultury całej ludzkości, której grozi katastrofa straszliwego przewrotu i ponownego zdziczenia« (str. 9). Istotnie trzeba przyznać, że stan dzisiejszego społeczeństwa dawał wiele powodów do niepokoju, ale teraz już szczęśliwie wszystkie obawy można uważać za zbyteczne, a niebezpieczeństwa za zażegnane. Z Prełuk zajaśniało w październiku 1901 wielkie światło i oto »wiek XX na samym początku wieńczy się koroną prawdziwej cywilizacyi« (str. 9).

Nie mogę w sprawozdaniu niniejszem iść w ślady za wszystkiemi rozumowaniami autora; aby wykazać wszystkie jego błędy, należałoby napisać książkę dwa razy grubszą o »Ontologii«. Zwrócę więc tylko uwagę na niektóre najjaskrawsze określenia i wywody. I tak na str. np. 19 można znaleźć przedziwne określenie ducha i materyi. »Duchem« — pisze pan Birecki — »jest każda substancya realna, aktywna, żywa, swobodna a materyą jest substancya realna, passywna, martwa i bezwładna«. Prawda! jakie to mądre i głębokie! Daremnie silili się do tego czasu fizycy i filozofowie, aby wykazać, czem jest materya, na czem polega natura pierwiastka duchowego. Jacyż oni wszyscy byli ograniczeni; w definicyi p. B. mają teraz wszystko wyjaśnione, oczywiście pod jednym tylko warunkiem, t. j. że nie będą pytali o znaczenie i treść słów, lecz zadowolą się samem tylko ich brzmieniem. Ale idźmy dalej: na str. 47 i 48 znajdujemy nad wyraz głębokie określenie rozmaitości i jednolitości. Oto słuchaj czytelniku i dowiedz się, że: »rozmaitość może być rozmaita« (str. 47), że »jednolitość powstaje przez złączenie a rozmaitość przez rozdział« (str. 48), że »gdyby nie było działacza, to nie byłoby i komu działać, a gdyby nie było tego, na kogo działanie przechodzi, to nie byłoby na kogo działać« (str. 50). Takie to są prawdy, których można nauczyć się z »Ontologii« p. B. Podaje on też gotowy sposób poznania ostatecznego gruntu i ostatecznej formy wszechświata. Cóż do tego potrzeba? Oto »myśl nasza potrzebuje tylko abstrahować od tych dodatków otrzymanych czyli pasyi, jakie indywidualne przedmioty od dzielącego otrzymały przy rozdziale i złączyć nazad wszystko w jednolitą całość pierwotną« (str. 79)— i wszechświat już jest poznany. Ale dosyć tych przykładów. Te, które przytoczyłem wystarczą, aby uzasadnić nasz sąd o książce p. Bireckiego: jest to poroniony płód samouka, zlepek różnych połapanych tu i owdzie myśli, głównie jednak zaczerpniętych z filozofii Spinozy. Stanowisko autora, to dogmatyzm metafizyczny w możliwie najnaiwniejszej formie, nigdzie śladu krytycznego przetrawienia zagadnień, nieznajomość zaś współczesnej filozofii i współczesnych badań przyrodni-

czych taka, iż nawet w Pryłukach ona już nie uchodzi. Do tego styl okropny, takie np. zwroty, jak »filozofia chełpiąca się być«; język przeładowany wyrazami takiemi, jak »absurdnie«, »kolosalny«, »kollektywny«, »pryncyp«, »totalnie«, »wegetywne organy«, »procedura teoretycznego poznania« i t. d. i t. d.; błędów drukarskich bez liku, tak że nieraz trudno uchwycić myśl w zdaniu zawartą. Książkę p. B. można scharakteryzować najlepiej jego własnem słowem, wypisanem w uwadze na str. 89. Wspominając tam w sposób pogardliwy i lekceważący o Kancie, autor nasz wyraził się, iż »wielkim w swem urojeniu ludziom, wielkie głupstwa zdarza się popełniać«. Na str. zaś 22 napisał: »Głupstwo ma to do siebie, że pełno nowych głupstw rodzi«. Ale byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie przyznał, że tu i owdzie można znaleźć w książce p. B. myśli rozumne i spostrzeżenia trafne, ale cóż z tego skoro, gdy się nawet nadarzy coś podobnego, to jest tak powikłane z wywodami bałamutnymi, że pożytku z tego niewiele. I tak np. na str. 24 czytamy: »Przyzwyczaiwszy się w myśli zawsze oddzielać formę od przedmiotów, ulegamy złudzeniu, że i w realnym świecie forma jest coś osobnego od substratu i do niego dopiero dodaną została«. Albo na str. 65 autor pisze: »Bardzo łatwo ulegamy złudzeniu, że i w rzeczywistości realnej ta abstrahowana jednolita całość jest coś osobnego od indywiduów rozmaitych, że jest jakaś osobna egzystencya ogólna a osobna poszczególna, osobno całość a osobno jej części«. Niewątpliwie, że jest to uwaga słuszna, szkoda tylko, że sam autor takim właśnie ulega złudzeniom i naiwnie własne abstrakcye bierze za jakieś realne byty. Naiwności dosięgają jednak u autora naszego szczytu, gdy się zabiera do rozjaśniania tajemnic wiary; cóż powiedzieć o takich np. poglądach (str. 123): »Pierwsza Osoba Boska musi być najwyższą a drugie dwie Osoby już są niższe od pierwszej, bo już nie mogą mieć natury czysto aktywnej«. Zaledwo jednak to napisał, zaraz o parę wierszy niżej twierdzi, że podział substancyi Boskiej na trzy osoby jest równorzędny [1]. Albo więc ten podział jest równorzędny a w takim razie drugie dwie Osoby nie są niższe od pierwszej albo podział nie jest równorzędny, Przecież jedno i drugie prawdą być nie może! Ale już kwiatkiem myśli naj-

[1] W Bóstwie znajdujemy trzy Osoby różne, ale nie oddzielne: więc po pierwsze nie może p. B. oprzeć żadnego dowodu na r z e k o m y m p o d z i a l e substancyi Boskiej, a powtóre wpada przy tym dowodzie w przeciwieństwo sam ze sobą.

osobliwszym jest następujące wyjaśnienie stworzenia świata: »Nie tylko możliwem jest ale nawet powiedzieć można, że być musi u wszystkich trzech Osób skłonność do dalszego podziału(!!) chociażby tylko z tego powodu, że podział całej nieskończoności na trzy tylko Osoby jest jeszcze tak nieznaczny i egzystencya każdej Osoby była jeszcze tak ogromną, że dla samych Osób Bożych taka egzystencya musiała być uciążliwą i monotonną(!!!), że tak powiemy, bo wszelki ruch zewnętrzny był niemożliwy, wszelkie życie mogło być tylko wewnętrzne« (str. 124). Zaiste egzystencya w Pryłukach musi być bardzo uciążliwą i monotonną, jeżeli tam mogą rodzić się myśli w tym rodzaju.

Na zakończenie zalecamy jeszcze do przeczytania czytelnikowi, który chciałby się rozweselić, ustęp na str. 144b (str. 144 powtarza się dwa razy) o utrzymaniu świata stworzonego przez władze Stwórcy; ustęp ten tak się kończy: »Gdzie Bogu podoba się, albo gdzie tego potrzeba, tam rządzi Bóg osobiście a gdzie chce tam ma zawsze i wszędzie do swego rozporządzenia zastępców. To jest jasne, każdemu zrozumiałe i na realnej rzeczywistości oparte pojęcie władzy Boga nad światem, dalekie od absurdnego(!) i monstrualnego pojęcia wszechprzytomności i niezmierności Boga abstrakcyjnego scholastyków«. Nie mam zamiaru wdawać się na tem miejscu w dysputę teologiczną i bronić pojęć scholastyków, ale jedno zapatrywanie niechaj mi wolno będzie wypowiedzieć w sposób stanowczy: oto teologia szan. autora »Ontologii« wydaje się mnie: »kolosalnie« »absurdna« i »totalnie« »monstrualna«. Pan Leon Birecki urobił sobie Boga po swojemu, tak że w zastosowaniu do niego ma niewątpliwie słuszność p. Witołd Schreiber, autor książki, do której omówienia obecnie przystępujemy, a która wyszła we Lwowie p. t. »Twórcy bogów«.

Książka p. W. Schreibera to znowu innego rodzaju produkt umysłowy, aniżeli dzieło p. Bireckiego. Tu mamy do czynienia z naiwnym, ale widocznie dobrą wiarą przejętym samoukiem, którego opanowała mania wielkości, tam z człowiekiem, który pisze prace popularno-naukowe (jak sam ją nazywa); ale pisze ją nie dlatego, aby przysłużyć się sprawom oświaty prawdziwej, ale dlatego, aby wypuścić kilka zatrutych strzał w kierunku aż nadto wyraźnym i widocznym. W słowie wstępnem autor tak pisze: »Przestrzegając wszędzie zgodności faktów z obecnym stanem wiedzy, starałem się utrzymać książkę na wyżynie naukowej a tak myślę, że nie zaniechałem

niczego, co mogłoby zapewnić jej stanowisko popularno-naukowej pracy«. Otóż co się tyczy szczegółów głównie treści etnologicznej, to zaczerpnął je istotnie nasz autor z różnych poważnych naukowych dzieł, które na końcu przytacza, (przyczem nie wyróżnił jednak zbiorów materyałów źródłowych od opracowań), ale cóż z tego, kiedy wszystkie te szczegóły są przedstawione i zgrupowane w sposób tak mało przejrzysty, iż czytelnik gubi się wśród zamętu a pozostają w jego pamięci tylko wycieczki, skierowane albo wyraźnie albo ubocznie tak przeciw wierze, jak i religijnym uczuciom społeczeństwa chrześcijańskiego. Dodajmy do tego, że książka naukowa napisaną jest w sposób dziwny, niema nigdzie żadnego napisu na czele rozdziałów, tak że czytelnik nigdy nie wie, o co właściwie autorowi idzie, nie może się zoryentować i musi brnąć w las szczegółów nie zdając sobie wcale sprawy, gdzie i dokąd autor go prowadzi, dopiero na samym końcu książki znajduje się podana krótka treść ustępów pooddzielanych od siebie tylko mało widocznemi kreskami, ale streszczenie to końcowe oryentacyi w niczem nie ułatwia, owszem ją tylko utrudnia, nie oddaje bowiem wiernie tego, co się mieści w tekście. I tak weźmy dla przykładu zaraz ustęp pierwszy. Ma on zawierać: »Wyjaśnienie wyrazów bóg, religia, wierzenia. Tak zwane ludy bez religii. Trudność badań i ich wyniki«. Grubo jednak zawiedzie się, kto mniema, że znajdzie w tekście wyjaśnienie tego wszystkiego, co treść na końcu książki podaje, ani wyraz »bóg«, ani »religia« nie są wyjaśnione, przeciwnie znaczenie tych wyrazów jest jakby z umysłu zamącone, spór zaś czy są ludy bez religii uznany jest za bezprzedmiotowy i bezpodstawny. A jednak gdyby nasz autor był tylko baczniejszą zwrócił uwagę na słowa Henryka Schurtza, które przytoczył na str. 4, to już pod ich wpływem powinien był jakieś jaśniejsze wyrazić zdanie o istocie religii.

Schurtz pisze, że »jest wiele ludów, u których nie może być mowy o religii w naszem rozumieniu znaczenia tego wyrazu, ale niema żadnego, który nie posiadałby zawiązków religii w tej lub owej postaci«. Otóż nasuwa się zaraz pytanie: a skądże wzięły się u wszystkich ludów te zawiązki religii? Czyżby do wyjaśnienia tego powszechnego faktu miały wystarczyć uczucia chciwości, zysku, zapewnienia sobie możliwie największych korzyści w życiu i przewagi nad drugimi. Gdyby tak było, to dlaczego u zwierząt nawet najwyższych nie spotykamy nigdzie ani śladu religii, podczas gdy u człowieka spotykamy ją wszędzie? Czyżby zwierzę było mniej chciwe i mniej dbałe

o utrzymanie swojego życia od człowieka? Takiego zasadniczego pytania autor nasz nigdzie nie stawia, widocznie omija je, radby tylko przedstawić religię w sposób zamazany, jako owoc jakiejś ewolucyi, nie wiadomo tylko jakiej i z czego. Z niczego przecież nic powstać nie może, muszą więc i owe zawiązki religii mieć gdzieś w czemś swoje źródła; sposób zaś, w jaki p. Schreiber pytania takie obejść usiłuje (ob. str. 9) nie dowodzą zaiste krytycznego wyrobienia zbyt głęboko sięgającego, przebija z nich raczej jakaś czy naiwność naukowa, czy chęć, aby istotę pytania zasłonić w wirze frazesów. Autor tak pisze: »Zdaje się, a nawet stanowczo utrzymywać można, że w tej chwili, w której człowiek pierwotny zrozumiał stosunek swój do otaczającej go natury, zaczęły w jego na wpół dzikim umyśle kiełkować pierwociny wierzeń, zaczęły tworzyć się podwaliny, na których stanąć miała olbrzymia składkowa budowa pracy setek pokoleń«. A więc rozwój religii rozpoczął się wówczas, gdy człowiek pierwotny zrozumiał swój stosunek do natury. Był więc widocznie ten człowiek pierwotny jakimś głębokim myślicielem, jakimś badaczem o znakomicie wyrobionych zdolnościach logicznych, był filozofem ogarniającym całość świata, skoro jak pisze autor: »Stanowisko jego wydało się dziwnem i zagadkowem. Martwota śmierci, choroby, cierpienia wydały mu się czemś wprost nienaturalnem wobec silnego popędu samozachowawczego, ale zarazem stały mu przed oczyma jako nieubłagana konieczność, której każdy ulega i myśli jego wplotły się w nowy świat zjawisk, wśród których ani wyznać się nie umiał, ani nie zdołał dociec ich przyczyn, ani wyjaśnić ich celu. Reakcya na te zagadkowe jakieś moce stała się drugiem źródłem wierzeń i tak raz ze zjawisk przyrody, drugi raz ze swojego własnego »ja«, z tego, czem był jako jednostka wobec przyrody i wobec innych ludzi, snuł człowiek przędzę myśli, która stworzyła nowy świat, inny, jako oskarżenie, jako wyraz niezadowolenia z pierwszego«. Oto przykład, jak swoje własne myśli i uczucia wkłada się w głowy ludzi pierwotnych i to ma być wyjaśnienie początku wierzeń religijnych. Na tego rodzaju wywody odpowiemy autorowi słowami Frobeniusa, które sam na str. 5 przytacza: »Takie zagadnienia wymagają umysłu wyszkolonego a nie laika, który przerobił studya przygotowawcze w rękawiczkach, w Biblii, w Herodocie, albo już w najlepszym razie w historyi filozofii«, od siebie zaś dodamy, że nie jest to z powagą nauki prawdziwej zgodne, aby w pracy właśnie popularno-naukowej takie wygłaszać poglądy. Jeżeli we filozofii wogóle

dogmatycznym nazywamy kierunek, który abstrakcye ludzkiej myśli bez krytyki wkłada w rzeczywistość i w otoczenie, to pytam się, jak nazwać sposób przedstawiania, gdzie piszący wkłada własne abstrakcye już nie w rzeczy, ale w cudze głowy i każe czytelnikowi wierzyć, że to tak było i być musiało. Oczywiście średnio zdolnemu uczniowi z gimnazyum można czemś podobnem zaimponować i w głowie mu przewrócić. Tych parę uwag wystarczy, jak mniemam, do scharakteryzowania książki p. Schreibera. Teoryę swoją o rozwoju religii przyswoił sobie nasz autor głównie z pracy, której w spisie dzieł na końcu podanym nie przytoczył. Jest to dziełko już dosyć dawne, wyszło bowiem w r. 1871 p. t.: *Der Fetischismus. Ein Beitrag zur Anthropologie und Religionsgeschichte* von Fritz Schultze. Tego samego autora dzieło inne większe p. t. *Psychologie der Naturvölker,* Lipsk 1900, p. Schreiber przytacza, ale tamto starsze, z którego zaczerpnął najwięcej, wypuścił. Podobnie jak Schultze w owem dziele tak i nasz autor wyprowadza początek religii z fetyszyzmu, którego stopniem najwyższym ma być kult ciał niebieskich. Z czci słońca zaś miał wytworzyć się monoteizm. Na udowodnienie tezy swojej przytacza autor opowiadanie o królach meksykańskich, przejęte żywcem z dzieła Schultzego *Der Fetischismus* str. 289—291 bez podania źródła. Widocznie nie zdał sobie p. Schreiber z tego sprawy, że całe opowiadanie może posłużyć do udowodnienia zupełnie czego innego, a nie jego tezy. Nie uwzględnił też, że krytyka w swoim czasie surowo wytknęła Schultzemu sposób, w jaki on do swoich konstrukcyi zużytkowywał fakty. Wartość książki p. Schreibera określimy najlepiej jego własnemi słowami; oto co pisze na str. 78: »Gdyby tacy chcieli się dziwić ludom pierwotnym wierzącym, że dusza zmarłego krąży po ziemi i niepokoi żyjących, byliby podobni do jednego z rzeźbiarzy, który całe życie kradł (wyrazu tego użył p. Schreiber nie krytyk) motywy do swoich utworów drugim, przecież uważał je tak dalece za swoje oryginalne, że ponoś samemu autorowi, z którego pomysłu skorzystał wytoczył przed sądem skargę o plagiat«.

Zagadnieniami zbliżonemi do rozbieranych w książce właśnie omówionej, zajął się także p. Jan Karłowicz w dziełku niewielkiem, które wyszło we Lwowie w roku zeszłym p. t.: »O człowieku pierwotnym, Siedem odczytów«. W metodzie jednakże i w sposobie rozważania zagadnień, okazuje się różnica wielka między p. Schreiberem a Karłowiczem. Zaraz na wstępie w odczycie pierwszym ogranicza

Karłowicz w sposób bardzo rozumny swoje zadanie w następujących słowach: »Gdy więc przedmiotem pogadanek naszych ma być człowiek pierwotny, to o takim człowieku mówić będziemy, który niepojętym dla nas dzisiaj cudem, o całe niebo odskoczył od zwierzęcia, zaczął sobie drogę torować narzędziem i bronią i począł myśleć nie obrazami urywanymi i konkretnymi, lecz symbolami oderwanymi krystalizującymi się w słowa, a to dało mu władzę myślenia [1], którą zowiemy rozumem ludzkim, jedyną w swoim rodzaju najwyższą ze znanych potęg wszechświata, mocą której stał się też panem i władcą wszelkiego stworzenia«. Tak przemawia członek nauki bez względu na to jakim hołduje przekonaniom religijnym. Początek religii wywodzi Karłowicz z myślenia pierwotnego, które, jego zdaniem, jakościowo nie wiele się różniło od naszego (str. 6). »Te same pytania — pisze — zadawał człowiek przedhistoryczny , które i my zadajemy« Że takie pytania człowiek pierwotny sobie stawiał to pewne. Tylko, że myli się p. Karłowicz, skoro przypuszcza, że w tych pytaniach tkwi początek religii. Stawianie takich pytań, to nie przyczyna, to skutek już tkwiących w duszach ludzkich uczuć religijnych i przekazywanych z pokolenia na pokolenie tradycyi. Instynkt zapytywania wszechświatowego nie zaraz postępuje za instynktem samozachowawczym. Ten instynkt ostatni ma człowiek wspólny ze zwierzęciem, ale jego natura zwierzęca do pytań wszechświatowych go nie prowadzi, dopiero religia budzi w nim potrzebę stawiania pytań takich. Oto zasadnicza różnica między mną a autorem; z powyższem też tylko zastrzeżeniem możnaby się zgodzić na wywody autora, które opiera na świetnie zgrupowanym i wyzyskanym materyale etnologicznym. W odczycie drugim wywód jedynobóstwa czyli t. zw. henoteizmu z animizmu nie jest przekonywujący, tu popełnia Karłowicz ten sam błąd, który spotkaliśmy u Schreibera, a mianowicie myśli i rozumowania abstrakcyjne człowieka cywilizowanego wkłada w głowy ludzi pierwotnych, to zaś nie uchodzi. Niezmierne natomiast pouczające są dalsze dwa odczyty, traktujące głównie o wierzeniach ludu naszego dotyczących losów duszy po śmierci. Nie mogę rozstrzygać, ażali autor ma słuszność, gdy mówi, że we wierzeniach ludu naszego skupia się cała ewolucya podań ludzkości o duszy po śmierci ciała, ale to

[1] Chyba pod nazwą władzy rozumie tutaj p. K. wprawę, bo oczywiście wprawę w myśleniu dało samo rozpoczęte już myślenie, ale nie dopiero to myślenie już czynnie wykonywane dało samą władzę, czyli zdolność albo początkowy zasób siły myślowej.

jest rzeczą pewną, że wierzenia te przedstawiają materyał bardzo ważny, a mało jeszcze wyzyskany. Dalsze zajmujące uwagi nad wiarą w cudowną moc słowa i w dolę ludzką znajdujemy w odczycie piątym i szóstym, i tu materyał zręcznie zgrupowany, ale i błąd ten sam tj. przyczyna przedstawiona jako skutek. Z wiary w zależność człowieka od potęg wyższych, która ma znowu źródło swoje w religii wyrosło przekonanie o niezależności powodzenia od usiłowań ludzkich nie zaś odwrotnie. Odczyt siódmy poświęca autor początkom prawa. Godzę się z autorem najzupełniej, że za najważniejsze źródło prawa należy uważać wierzenia religijne; tu dopiero okazuje się, jak niezmiernie doniosłym, można nawet powiedzieć, że najdonioślejszym w rozwoju cywilizacyi czynnikiem jest religia, tylko dzięki jej przestał być *homo homini lupus*. Karłowicz nie stoi na żadnem wyznaniowem, tem mniej na katolickiem stanowisku, ale przecież odczyty jego nader korzystnie odbijają od niektórych innych prac, niby popularnonaukowych, a w gruncie rzeczy tendencyjnych. W odczytach Karłowicza znać metodę, czuje się czytając, że nie idzie jemu o cele uboczne, lecz o naukę, taki zaś rodzaj pracy należy zawsze uszanować.

Maurycy Straszewski.

Z piśmiennictw obcych.

La crise scolaire et religieuse en France. *J. Fontaine.* Bruxelles. O. Schepens. — Paris. Victor Retaux. 1903.

W słowie wstępnem uprzedza nas autor, że trzy te studya nad sprawą szkolną i wyznaniową, są wskutek szybkości zdarzeń następnych już trochę spóźnione: będzie jednak z nich mógł czytelnik mieć niejako streszczenie faktów, jednym łańcuchem z sobą powiązanych. Zanim rozpocznie swoje smutne sprawozdanie o dążeniach zniszczenia w szkole, a więc w życiu pokoleń, wszelkiej religii, zapoznaje nas z sylwetą moralną jednego z głównych działaczy — z panem Buisson, który oburzył się kiedyś, gdy jeden z katolickich dzienników wymienił go, jako pastora protestanckiego w Szwajcaryi. Tak jest, nie był p. Buisson pastorem, ale był twórcą nowej dogmatyki w protestantyzmie, o czem sam opowiada w jednym ze swoich listów. Pisze, że dostawszy posadę profesora Akademii w Neuchâtel już po dwóch la-

tach napadał w konferencyach publicznych w Genewie, w Lozannie i Bernie na klerykalizm protestancki w użyciu Biblii i historyi św. i tak mu się powiodło, że w całym kantonie Neuchâtel, niegdyś pełnym bigoteryi protestanckiej, teraz liberalizm chrześcijański panuje. Powodzenie uzuchwala. Widzimy więc pana Buisson przy robocie już nie w malutkiej Szwajcaryi, ale w katolickiej Francyi, którą, korzystając z coraz zaszczytniejszych stopni w służbie publicznej, chce wyzuć z wszelkiego wyznania, walcząc, jako apostoł neo-chrystyanizmu zarówno z katolicyzmem, jak ortodoksyą protestantów.

Warto się przyjrzeć jego planowi, przedstawionemu w małym, obejmującym 266 str. tomiku, wydanym r. 1901 p. t. *La religion, la morale et la science. Leur conflit dans l'éducation.* Idzie mu przedewszystkiem o szkołę, staje niby obrońca sumień młodzieży. Nie chce dysputować w kwestyach wyznań, ale zanim kwestya wierzeń będzie rozwiązaną, czas nagli, dzieci rosną i wiecznie wychowanie musi się ocierać między teologiem, filozofem i uczonym. »Nie można kształcić dzieci nie narzucając im jednocześnie jakiejś filozofii«. »Nauczyciel, chcąc niechcąc, sam się ku jednej stronie przechylając, musi decydować w tych kwestyach« — powiada wyraźnie. Jest to przyczyna, dla której nigdy nie było i nie będzie szkół ściśle neutralnych. Pan Buisson ich też nie pragnie. Całym sznurem kłamstwa wiąże swój pogląd na szkołę bezwyznaniową i nazywa swój program nauczania, szczerze: protestantyzmem liberalnym, uważając, podobnie jak August Comte, religię za czcigodną nauczycielkę dzieciństwa ludzkości. Tak samo jak nauka obeszła się z bogami Olimpu, wykazując, że ludzkość czciła w nich personifikacyę sił wyższych, wrogich lub dobrych, tak samo on z nieba wygania Boga chrystyanizmu. Wszelako z kultem chrześcijańskim cięższa sprawa. Ten Bóg zanadto przecie żyje. Trzeba go zabić — zabić Jezusa w sercach pokoleń, które rosną — przywalić kamieniem grobowym i na tym grobie legalne pieczęcie ustaw państwowych położyć.

Rozwój nauk przyrodniczych służy p. Buisson do wykazania konfliktu między wiedzą a religią, a ten sam konflikt wynajduje między religią a moralnością, która też w dzieciństwie ludzkości wiązała się ściśle z religią. Dziś i ją trzeba oddzielić i p. Buisson podejmując zadanie swojego przyjaciela p. Pécant, który nawet konsystorze protestanckie zgorszył książką: »Chrystus i sumienie«, bierze się do dogmatyki chrześcijańskiej, szydzi z Boga, i ponieważ pomimo dekalogu obowiązującego wszystkie wyznania, ludzie grzeszą, sądzi, że lepiej

będzie, podług nowej moralności socyalnej sumienia pokoleń formować. Rozwiązanie tej pedagogicznej sprawy przeprowadza w rozdziale swojej trzeciej konferencyi: *Evolutions des religions du passé à l'irreligion de l'avenir.*

Z niszczycielską potęgą masonii i jakobinizmu bierze się do młodych dusz dzieci Francyi.

Wszystko, co teraz następuje szybkko po sobie, jest tylko długim łańcuchem niewoli moralnej, którą w imię wolności rząd zakuwa lud katolicki. Wyrzuca się godła religijne, zabrania nabożeństwa, prześladuje kapłana, obciąża kontrybucyami biskupów, wypędza zakony męzkie, wywłóczy się z zakonnych celek i rzuca w odmęt świata Bogu poświęcone dziewice, a ponieważ te rozpróżniaczone, zdaniem nieproszonych reformatorów kongregacye, uczą dzieci, i to darmo, opiekują się starością, niedołęstwem, kalectwem — i to darmo, oddają przysługi całemu społeczeństwu, dają wychowanie fizyczne i moralne przyszłym obywatelom francuskim a przyjmują w objęcia miłosierdzia tych — co przechodzą już — trzeba ich wyrzucić, tych niemiłych rządowi opiekunów; Francya się bez szkół wyznaniowych, bez konwiktów zakonnych, szpitali z Szarytkami i nawet bez zgromadzeń świeckich pod znakiem wiary obejdzie. Jak się bez nich zaś obejdzie budżet państwowy, to już »na potem«. Autor w ostatnim rozdziale swego studyum podaje wymowne daty statystyczne, wykazujące iluzye polityków francuskich.

Szkoła, mająca wyrobić w pierwszym rzędzie nowy stan nauczycielski, ma być rozsadnikiem i poplecznikiem całej tej pogańskiej idei przekształcenia społeczeństwa. O religii się w niej nie słyszy. Uczą się młodzieńcy od lat pierwszych przez lat kilka, po trochu wszystkiego, ale tak powierzchowna jest ta nauka, że w końcu niewiele z niej wynoszą prócz wiary w swą wielką uczoność. Edukacya ta oczywiście równa się zeru. Pycha fałszywej mądrości oszołamia im zmysły, przytłumia posiew wiary z domu wyniesiony, sądzą, że są powołani do odrodzenia kraju, rozpraszając ciemnotę zabobonów a tymczasem zdobywszy posadę, niebawem uczuwają jej ciężar. Nie tak bo to miło przebywać całemi godzinami pomiędzy dziatwą, gdy się do niej nie czuje miłości, znosić jej wady, krzykliwość, roztrzepanie i wpajać w te nieustalone umysły, pierwsze zasady arytmetyki i gramatyki. Toż ludzie ci biedni niezdolni do uczuć płynących z wiary, zgoryczeni i kwaśni, starają się wchodzić w konflikt z proboszczem, z rodzicami, z władzami miejscowemi, aby pracując nawet więcej jak

trzeba w duchu ateizmu, choć tym sposobem uwagę ministeryum oświaty ściągnąć na siebie. Stanowią też oni pierwszą pomoc, na którą liczy p. Buisson. Jednakże w tryumfalnym pochodzie ateizmu napotyka on na przeszkodę, bo kiedy trzecia rzeczpospolita w praktykę jego teorye wprowadza, to skromne nauczycielki wiejskie ani myślą wypowiadać wojny religii. I oto w samem ześrodkowaniu świeckiej nauki, widzi się je wyznaniowe, uczące według sumienia katechizmu, prowadzące dzieci na msze niedzielne i dające wzór poważnego spełniania obowiązków względem Boga. Nowa to niespodzianka, i p. Buisson musi sobie z nią dać radę.

Według planu Pawła Bert i Juliusza Ferry, w każdym departamencie została ustanowiona szkoła tak zwana normalna dla wykształcenia grona nauczycielek, któreby zakonnice zastąpić mogły. Trzeba więc na czele każdej takiej szkoły postawić dyrektorkę i trzy albo cztery nauczycielki, któreby nowym duchem napoiły, do nowych poglądów zasymilowały przyszłe nauczycielki ludowe. W tych to wychowalniach młode wieśniaczki przebywszy trzy lata, wejdą między lud, i stamtąd wypromieniuje na cały kraj ta nowego typu oświata kobieca.

Krok za krokiem idąc za p. Buisson, J. Fontaine przechodzi wszystkie jego dzieła: prześladowanie Boga w szkole, w Kościele, w zakonach, w kongregacyach. Rzuca pytanie śmiało, czy Francya będzie katolicką, czy protestancką, rozbiera jej stan polityczny i religijny. W prawach politycznych wykazuje cały szereg ucisków i bezprawi, robiących z kraju niegdyś rdzennie katolickiego, gniazdo zamętu ateistycznego, który w swój mętny wir wciąga armię, marynarkę, sądownictwo.

A stan religijny? Ks. Fontaine zaznacza, że na tym gruncie jest prawie w każdej gałęzi pracowników świeckich pewna partya gruntownie chrześcijańskich niewiast i doskonale w duchu Kościoła wychowanych mężczyzn. Tych o wiele mniej, jak kobiet. Około nich grupują się chrześcijanie bardzo już letniego ducha, którzy za nic w świecie jednak nie chcieliby zerwania z Kościołem. Jeżeli zaś praktyki i zwyczaje religijne wogóle osłabły, to ks. Fontaine nie uchyla winy od duchowieństwa, które za mało pracowało, nauczać nie zawsze umiało, kazania niedbale wygłaszało, a mało się w kwestyach religijnych komunikując z sobą, samo w rodzaj marazmu popadało. Pleban wiejski, rzucony w środowisko obojętnych wierze parafian, drętwieje niejako – chrzci dziatki, o których jest prawie pewny, że pogańskie

dostaną wychowanie, daje im w 10—12 roku pierwszą Komunię, z tą pewnością, że w najbliższą niedzielę już na Mszy św. nie będą — przyjmuje spowiedź nowożeńców w przeddzień ślubu, wreszcie daje warunkowo absolucyę umierającym, którzy nie mają ani dosyć wiary, ani dosyć w tej ostatecznej chwili przytomności, żeby żałować za grzechy. Tak ułożone praktyki robią z niego tylko pomocnika w zachowaniu zewnętrznej przyzwoitości życia, a czasem służą do pokrywania braku wszelkiej szczerości żywej wiary. Chrześcijanizm taki, to nie ten, jaki Zbawiciel przyniósł. Próbowano zaradzić tym brakom przez duchowieństwo misyjno-parafialne, które ze wspólnych, pod zarządem dziekana zostających domów, w niedzielę i święta rozjeżdżałoby się po wioskach, a choćby może nie poprawiło od razu stanu smutnego dusz, to przynajmniej wytworzyłoby pośród kapłanów większą spójnię i podniesienie cnót powołania.

Nad odrodzeniem i utrzymaniem katolicyzmu pracują też zakony a wynikiem ich zabiegów jest, że Francya w całej swojej masie jest jeszcze głęboko katolicką. Gdyby nią być przestała, nie stanie się gniazdem nowo-protestantyzmu, ale jawnie ateistyczną.

Oto jest wynik studyum ks. Fontaine'a.

Nie rozbiera on kwestyi szkolnej z punktu zasadniczego, ale daje historyczny przebieg bezprawi i krzywd na tem polu, jakiemi poganizm nowoczesny chce stłumić ducha Chrystusowego w społeczeństwie. Fakta dobrane szczęśliwie — mówią; ks. Fontaine przewiduje nieraz bystro, co ostatnie dni w prawach przeciw wolnemu nauczaniu stwierdziły, a już prawdziwą perłą w jego studyum, to rozsiane w niem środki legalne, jakich jeszcze społeczeństwo francuskie i duchowieństwo świeckie, bez zadzierania z bezbożnemi prawami użyć może, dla ocalenia dzieci francuskich od indyferentyzmu, w który wtrąca ich dusze szatańska taktyka. Dlatego samego, wartościowe to studyum, bo takie środki obronne ma każde społeczeństwo, a w obecnych czasach szalonego prześcigu w niszczeniu pojęć religijnych, każde je znać i w pogotowiu mieć powinno. Nie wtedy się organizuje armię i wygrzebuje, jak kto może broń, gdy nieprzyjaciel w granicach państwa. Katolicy wszędzie przezorni, roztropni i baczni, jak żołnierze na czatach być muszą, gdzie jeszcze mają swobodę, z instytucyi chrześcijańskich lojalnie i uczciwie korzystać powinni — gdzie już nie mają, ześrodkowywać się w sobie związkami o charakterze świeckim, zawodowo i rodzinnie. Wiara góry przenosi, a odwaga liczbę

stanowi. Praca ks. Fontaine'a tym sposobem nietylko we Francyi do przeczytania może być przydatną.

A. Rejowicz.

La philosophie religieuse de Pascal et la pensée contemporaine par *Victor Giraud*, professeur à l'Université de Fribourg (Suisse). 2 wyd. Paris. Librairie Bloud et Cie. 1904. *(Science et Religion. Etudes pour le temps présent).*)

Antykatolicka polityka Combesa, urągająca w dodatku samym podstawom idei republikańskich, wyrządza Francyi tę jeszcze krzywdę, że wobec zagranicy, czerpiącej swe wiadomości z gazet, przedstawia Francyę jako kraj przeważnie i wybitnie bezbożny i do gruntu zepsuty. Do tego przyczynia się jeszcze fakt smutny, że zna się u nas lepiej Renana i Zolę, aniżeli Bourgeta i Brunetière'a, którzy od niedawna stanęli w szeregu pierwszych szermierzy w obronie Prawdy.

Edition de la Libre-Pensée rozrzuca co prawda wśród szerokich warstw po cenach bajecznie nizkich dzieła antyreligijne, ale po stronie przeciwnej jest wydawnictwo stokroć poważniejsze t. j. *Science et religion. Etudes pour le temps présent,* również tanie, bo tomik po 60 centimów, u nas niestety nieznane; a szkoda, bo trudno znaleźć wydawnictwo pożyteczniejsze, obejmujące rozprawy naukowe treści przeważnie apologetycznej, pisane ze znaną u Francuzów jasnością, a więc przystępne każdemu czytelnikowi. Obok autorów duchownych widnieją tu imiona najwybitniejszych uczonych francuskich.

Ażeby się przekonać o wartości tych rozpraw, wystarczy przeczytać jedną z nich pod wyżej wymienionym tytułem, której autor, p. Giraud, już się dał zaszczytnie poznać niejednem znakomitem studyum krytycznem [1].

Przedmiotem rozprawki jest filozofia religijna Pascala i jej wpływ na umysły współczesne.

Jest ciekawym fakt, że ten sam człowiek, który jednem ze swych dzieł *(Lettres provinciales)* dał tak potężną broń do rąk wrogom Kościoła, drugiem *Pensées,* głębszem znacznie, dziś opanowuje najwybitniejsze umysły i zwraca je ku Prawdzie. Pan Giraud wykazuje, że w 10 latach ukazało się 6 wydań *Pensées,* i to poważnych, a tylko

[1] Prócz obszernej pracy o Pascalu, która doczekała się w kilku latach trzech wydań, na szczególną uwagę zasługuje studyum o Tainie *(Essai sur Taine, son oeuvre et son influence)* uwieńczone przez Akademię francuską,

jedno *Provinciales*, mimo że umyślnie wprowadzono ich lekturę do szkół średnich. Czem wytłumaczyć ten wpływ pisarza wieku XVII na społeczeństwo dzisiejsze? Przedewszystkiem jest racya negatywna ta, że umysły współczesne, podobnie jak przed 100 laty, z rozczarowaniem i wyrzutem zwracają się do swych mistrzów, od których spodziewali się wiele, a doczekali mało. »Chcieliście nas uczynić mędrszymi, a nie umieliście nas uczynić lepszymi...« (str. 5). Niektórzy z tych mistrzów sami się spostrzegli, acz po niewczasie; np. Taine żałował, że nie pisał o filozofii po łacinie, bo *on risque de faire trop de mal*...

Otóż Pascal jakby przeczuł niepokoje duszy dzisiejszej; mógł zaś je przeczuć lepiej od innych, będąc jako znakomity matematyk więcej od innych zbliżony do nas swojem ścisłem rozumowaniem. To też podaje racye wierzenia najlepiej przemawiające do przekonania ludzi dzisiejszych. »My go rozumiemy lepiej, niż samego Bossueta — mówi p. Giraud — i zdaje się, że gdyby on żył jeszcze wśród nas, zrozumiałby nas też lepiej od któregokolwiek z naszych współczesnych«. Pascal bowiem, wyśmiewając zarozumiałość filozofii, nie wypiera się rozumu ni wiedzy, ale zachowuje cały szacunek dla rozumowania i dla metod wiedzy, któremi się sam posługuje — najpierw w naukach ścisłych, a następnie w celu wykazania »prawd pożytecznych« t. j. wiary.

W drugiej części dziełka wykazuje p. Giraud wpływ Pascala na współczesnych, dowodząc rzeczy licznymi cytatami. Najwybitniejsze umysły Francyi a i zagranicy także temu wpływowi ulegają i niejednokrotnie do niego się przyznają. Sławny kardynał Newman »u progu swego nawrócenia« zaleca lekturę *Pensées* Pascala; inny dostojnik Kościoła, arcybiskup Albi Mignot, w osobnym liście do duchowieństwa podnosi znaczenie Pascala dla apologetyki współczesnej; a O. Laberthonnière (w r. 1901) z entuzyazmem wyraża się o tym samym przedmiocie, twierdząc, że apologia Pascala jest »datą epokową w rozwoju myśli chrześcijańskiej poprzez stulecia« i pragnie jej odnowienia, ożywienia i uzupełnienia (str. 53).

Wśród świeckich wpływ ten bodaj czy nie wyraźniejszy jeszcze. O Pascalu piszą i jego znaczenie podnoszą ludzie tej miary, co Scherer, Bourget, Ravaisson, Sully Prudhomme, Brunetière...

To zajęcie się Pascalem nie tylko wskazuje na talent czy geniusz pisarza, który poprzez dwa wieki przeszło wpływa na umysły dzisiejsze, ale niemniej wyraźnie świadczy o tem, że z Francyą nie jest jeszcze tak źle, jak to nam się może wydaje...

O wartości dziełka p. Girauda mówi sama treść, — czy potrzeba dodawać, że jasnością swą i pogłębieniem przedmiotu wyróżnia się nawet wśród tak bogatej literatury o Pascalu *(littérature pascalienne)*, jaką posiada Francya.

M. P.

Pieriewodnaja litieratura Moskowskoj Rusi XIV—XVII wiekow. Bibliograficzeskije matieriały akademika *A. I. Sobolewskawo.* (Otdielnij ottisk iz Sbornika Otdielenija russkawo jazyka i słowiesnosti impieratorskoj Akademii Nauk). T. Pietierburg 1903. (8-ka, str. VIII i 460 z 2 litograficznemi tablicami).

Wzajemne stosunki literatury polskiej oddawna zajmowały uczonych, którzy starali się drobnymi bodaj przyczynkami ustalić grunt którym szła kultura zachodnia na Wschód daleki. To też, skoro się spojrzy na dotychczasowe wyniki badań w tym kierunku, przykre odniesie się wrażenie, bo z pomiędzy Polaków trzech tylko raczyło zająć się fragmentarycznie tym przedmiotem: prof. St. Ptaszycki w dwu rozprawach pod wspólnym tytułem *Sredniewiekowyja zapadno-europejskija powiesti w russkoj i sławianskich litieraturach* (Petersburg 1897 i 1902), prof. Wł. Spasowicz w pracy o Mickiewiczu i Puszkinie i podpisany w dwu maleńkich rozprawkach o »Mickiewiczu i Lermontowie« oraz »Witwickim i Żukowskim«. (Szkice literackie 1903). Cały dorobek tedy naukowy polskich badaczy dorównuje zaledwo rezultatom badań Rusinów, którzy we dwójkę dali więcej, niż myśmy zdołali: prof. Tretiak w pracach o Mickiewiczu i Puszkinie, dalej w ruskiej rozprawie *Pro wpływ Mickewycza na Szewczenku* (Kraków 1891), gdzie w dopiskach jest wiele wskazówek dla zbadania stosunków polsko-rosyjskich, i prof. Kolessa w dwu przepięknych pracach o Zaleskim, Żukowskim, o Szewczence i Mickiewiczu. Jeśli zaś wglądniemy z lekka tylko do literatury naukowej rosyjskiej, to z podziwem będziemy musieli przyznać, ile tam prac dotąd wyszło, objaśniających kulturalno-literackie związki Polski z Rosyą, w wielu to dziełach przygodnie potrącano o tę kwestyę, ale w tych luźnych uwagach i przypiskach dano całe mnóstwo wskazówek, na podstawie których możnaby napisać niejedną obszerniejszą pracę z prawdziwym pożytkiem dla nauki. Pominąwszy liczne uwagi, jakich pełno można napotkać w *Istorii russkoj litieratury* prof. Pypina, wymienić trzeba przedewszystkiem znakomitą pracę tegoż autora p. t. *Oczerk litieraturnoj istorii starinnych powiestiej i skazok russkich*, drukowaną w »Uczenych zapiskach II, td. imp.

Akademii Nauk« w tomie IV z r. 1858, oraz dwa niesłychanej wartości dzieła prof. Aleksandra Wiesiełowskiego *Zapadnoje wlijanije w nowoj russkoj litieraturie* (Moskwa 1896) i *Raxiskanija w obłasti russkich duchownych stichów*, Tichourawowa *Russkija dramaticzeskija proizwiedienija 1672—1725 godow* (2 tomy Petersburg 1874), Pierietca *Istoriko-litieraturnyja izsledowanija i matieriały* (Petersburg 1900—1902), Morozowa *Oczerki iz istorii russkoj dramy XVII—XVIII w.*, Daszkiewicza *Otzyw o soczinienii Pietrowa*, Biedokurowa *O bibliotekie moskowskich gosudariej w XVI stoletii* (Moskwa 1898). O Władimirowie i Zmijewie już nawet nie wspomnę, bo i takbym nie wyczerpał wszystkich wskazówek bibliograficznych.

Do tych wszystkich przybywa teraz najnowsze dzieło zasłużonego prof. A. J. Sobolewskiego, które powstało przed laty pięciu z rozprawy p t. *Zapadnoje wlijanije na litieraturu moskowskoj Rusi* (Petersburg 1897). Cała książka mówi o wpływie południowo-słowiańskich literatur, niemieckiej, greckiej i t. p. na rosyjską. Najwięcej jednak miejsca zajęła literatura polska. Autor nie wciągnął w zakres swego badania tych rzeczy, które przed nim opracowali inni uczeni, nie starał się też o wyczerpanie przedmiotu do dna, takie bowiem usiłowanie musi jeszcze pozostać i nadal płonnem wobec tego, że mnóstwo rzeczy, przeważnie rękopiśmiennych, jest w ukryciu, niedostępnych dla naukowego badania. Nazwał tedy pracę swoją skromnie »Materyałami«, które przynoszą wszelako wiele bardzo cennych faktów naukowych, wcale nieznanych dotychczas nauce. A że sprawozdanie nasze i tak rozszerzyło się ponad zwyczajną miarę, tedy zajmiemy się tylko rzeczami polskiemi z całkowitem pominięciem reszty, której nie chcemy wcale przez to odmawiać rzetelnej wartości.

Powszechnie przyjęło się przekonanie, że Moskwa w wiekach XV—XVII stroniła od cudzoziemców i była od zachodniej Europy odgrodzona jakby chińskim murem, póki car Piotr Wielki nie wyrąbał okien, przez które można było widzieć Zachód. A przecież takiemu przekonaniu, zupełnie bezpodstawnemu, przeczy cały szereg faktów, powszechnie znanych i stwierdzonych. Sama literatura przeczy temu. Literatura rosyjska tych stuleci nie była oczywiście oryginalną, lecz w przeważnej części składały się na nią przekłady z języków obcych, najwięcej zaś z najbliższego, — polskiego, bądź drukowane bądź też rękopiśmienne. Autor omawia szeroko język tych przekładów, wykazując co krok naleciałości z języka polskiego. Omówił tedy kronikę Bielskiego (rękopiśmienne tłumaczenie rosyjskie z r. 1670), kosmo-

grafię Jana Botera, przetłumaczoną z polskiego oryginału p. t. »Relacye powszechne, albo nowiny pospolite« (Kraków 1609), kosmografię Orteliusa, której polski druk nie jest dotąd bibliografom znany, przekład opisu Palestyny Andrzeja Rymszy (Wilno 1595), »Peregrynacyi do Ziemi Świętej« Mikołaja Radziwiła (1683), »Kroniki« Stryjkowskiego, Paprockiego, »Ogrodu królewskiego« (Praga 1599), Gorczyna »Pamięci o cnotach Władysława IV« (Kraków 1648), kroniki Piaseckiego, powieści o Turkach, której oryginał polski dotąd nie dał się odnaleźć, przekład »Dworu cesarza tureckiego« Starowolskiego (Kraków 1649), »Historyi Józefa, syna Goryanowego o wojnie żydowskiej« (Wilno 1595), Jana Ostroroga »Myśliwstwo z ogary«, »Hippiki« z połowy XVII wieku pochodzącej. Ponadto tłumaczono na język rosyjski Sebastyana Petrycego »Oekonomikę Arystotelesową« (Kraków 1618), cały szereg rzeczy astronomiczno-astrologiczno-kalendarzowych, których pierwodruków polskich nie znamy, Frycza Modrzewskiego *De republica emendanda* (Kraków 1551), Reinharda Lorichiusa »Księgi o wychowaniu« (Kraków 1558), Paprockiego »Koło rycerskie« (Kraków 1576), Jana Zabczyca »Politica dworskie«, Kasyana Sakowicza »Desiderosus albo ścieżka do miłości Bożej« (1625), Dredeliusa »Słonecznik« (1649), Rochowicza »Kąpiel duszną« (Wilno 1609), Mościckiego »Infirmeryę chrześcijańską« (1626), »Postępek prawa czartowskiego« (1570), oraz mnóstwo innych drobniejszych rzeczy.

Jak tedy już z tego suchego i pobieżnego spisu można się przekonać, dzieło prof. Sobolewskiego przyniosło piękny plon do badań dotychczasowych nad tym przedmiotem, dorzuciło mnóstwo nowych faktów i spostrzeżeń. Wprawdzie nie udało się szan. autorowi odnaleźć niejednego oryginału polskiego, co naturalnie przeszkodziło przeprowadzeniu ściślejszego badania językowego, ale też nie koniec na takiem skonstatowaniu samego faktu. Obowiązkiem jest uczonych polskich zająć się odnalezieniem pierwodruków, o ile to możliwe, o ile się one zachowały. Będzie to dla nich stokroć łatwiejszem, niż dla prof. Sobolewskiego. W każdym razie już te twierdzenia, jakie postawił prof. Sobolewski, posuwają znacznie całą sprawę polskiego oddziaływania na literaturę rosyjską znacznie naprzód. Do syntezy kulturalnego promieniowania myśli polskiej — oczywiście jeszcze daleko, jakkolwiek już teraz można sobie wyrobić ogólne pojęcie o niem, błędne być może niekiedy, ale n a o g ó ł prawdziwe.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Der Stern von Halalat. Roman. *Martin Hellinden.* München. Allgemeine Verlags-Gesellschaft m. b. H. Str. 468.

Powieść Hellindena prowadzi w zamierzłą przeszłość, bo w czasy niewoli żydowskiej w Babilonie. Dariusz, monarcha perski, wypowiedział królowi babilońskiemu, Nabunachidowi, wojnę. Wojska perskie pod wodzą syna królewskiego Cyrusa, zmusiły Babilończyków do zamknięcia się w mieście Sipparze. Nabunachid dowiedziawszy się o pogromie, odwołał z pola bitwy swego syna Belsacara, któremu powierzył dowództwo, oddał mu wielkorządztwo w Babilonie, a sam stanął na czele żołnierzy. Zdradą zajęli Persowie Sipparę; Nabunachid, wyprowadzony z Sippary przez największego swego wroga, który mu gorszą jeszcze gotował śmierć, uciekł do miasta Erech (biblijne Ur), lecz i tu zdrada wprowadziła Persów; król ukrył się w podziemiach, aż zwabiony podstępem przez młodego Sipparejczyka, któremu zabrał do swego haremu narzeczoną, do grobów królów Assyryi i tam zamknięty, zakończył smutne życie. Persowie oblegli i znowu zdradą zdobyli Babilon, Belsacara zabili, a Cyrus został królem babilońskim. Te klęski, jakie na Babilon spadały, przepowiedzieli astrologowie, lecz nikt im nie wierzył z wyjątkiem Żydów; nad przedmieściem Halalat, zamieszkałem przez Izraelitów, pojawiła się dziwna gwiazda, która im zwiastowała wolność. Wpływom proroka Daniela, którego Cyrus bardzo sobie cenił, i którego nawet zrobił księciem Babilonu, udało się wyjednać Izraelitom wolność! Pod wodzą Serubabela opuścili Żydzi Babilon, mury świętego miasta wzniosły się na nowo, w świątyni Jerozolimskiej składano Bogu znowu ofiary, a daleko w Babilonie kilkanaście lat później umarł Daniel.

Takie jest tło historyczne powieści, a na tę kanwę rzuciła ręka autora barwny obraz z dawno ubiegłych lat. Część historyczną odtworzył autor oparty przeważnie na księgach Pisma św., to też czytelnik spotyka tam dużo znanych sobie, przynajmniej w ogólnych zarysach, zdarzeń i wypadków. Ta strona jest przedstawiona odpowiednio do obecnego stanu nauki, mniej się tylko podoba fakt, że osią całego historycznego rozwoju wypadków jest miłość; ona bowiem w myśl autora była przyczyną śmierci Nabunachida i jego syna Belsacara, powodem ogólnej zmiany stosunków i źródłem nieskończonych cierpień i bólów. Pomijając już, że nie mamy żadnej podstawy historycznej do takiego sądu, przyczyna zdaje się być za małą do wywołania takiego skutku.

Dobrze jest za to przedstawiona ta część powieści, która nam

daje obraz czasu, a więc stosunków kulturalnych, naukowych, obyczajowych i religijnych. Te obrazy są czasami zanadto ogólne, tak że malują strony wspólne całemu ówczesnemu światu, większość oddaje jednak rysy specyalnie Babilonowi właściwe. W tym względzie jest wielką zasługą autora, że potrącając z konieczności o bardzo drażliwe kwestye, jak np. o orgie wyprawiane w świątyni Belity, uczynił to z takim taktem i delikatnością, że w niczem i najbardziej wymagającego czytelnika nie urazi.

Strona artystyczna utworu mniej się udała. Postacie w książce występujące, cechuje wielka rozmaitość, w wielu wypadkach i prawda życiowa i historyczna; tak np. świetnie oddany ten rys charakterów pogańskich, który sprawiał, że na zewnątrz i w pewnych warunkach bardzo sympatycznie się przedstawiały, na dnie rzeczy mimo wszelkiego poloru dużo tam jednak było barbarzyństwa i niepohamowanych namiętności, które występowały zawsze, ilekroć choć mała nadarzyła się potemu okazya; stąd takie olbrzymie przeskoki w postaciach powieści od wysokiej, prawie chrześcijańskiej doskonałości do brutalnego okrucieństwa i zajadłej zemsty. A jednak w stronie artystycznej talent autorowi nie dopisał. Potrąca on tam o zdarzenia, które dobrze przedstawione, mogły wywołać niesłychane wrażenie, i które dawały autorowi pole do rozwinięcia całego polotu swej wyobraźni. Taką jest owa straszna scena, gdy na uczcie w pałacu Belsacara tajemnicza ręka pisała na ścianie nie mniej tajemnicze słowa: *mene, tekel, phares.* Autor przedstawia nam fakt już dokonany; jeden z biesiadników opowiada całe zajście przywołanemu Danielowi, a on spokojnie je tłumaczy — wrażenia nie wywołuje to żadnego. Tak samo ma się rzecz ze znanem w biblii odkryciem oszustwa kapłanów Marduka, z wrzuceniem Daniela do lwej jamy i t. p. Świadczy to o przezorności autora, który zrozumiał jak daleko iść może bez narażenia się, osłabia jednak niepomiernie wartość utworu.

Początek i koniec każdego rozdziału zdobią naprawdę udatne, stylowe winiety.

Ks. Wiktor Wiecki.

Verbrecher-Typen in Shakespeares Dramen. *Joseph Kohler,* ord. Prof. an der Universität Berlin. Berlin. Otto Elsner. 8-ka, str. 108.

Znany profesor prawniczego wydziału Uniwersytetu w Berlinie, omawiający w licznych dziełach kwestye z pogranicza kryminalistyki i estetyki literatury, charakteryzuje w najnowszej książce »typy zbro-

dniarzów w dramatach Szekspira«. Przedewszystkiem rozróżnia dwie kategorye zbrodniarzów: zbrodniarzów z podkładem społecznym i zbrodniarzów »bezsumiennych« z typu *moral insanity*. Pierwsi, bądź zbrodniarze z wrodzonej namiętności, bądź zbrodniarze okolicznościowi, tkwią w gruncie społeczeństwa a walcząc przeciw niemu odczuwają wyrzuty sumienia, typ *moral insanity* natomiast stoi poza społeczeństwem i nigdy nie ma wyrzutów sumienia. Makbet i Ryszard III scharakteryzowani są jako zbrodniarze z namiętności, z egoistycznych motywów; Brutus i Kassius zaś (p. Kohler śladem »Boskiej komedyi« Dantego piętnuje ich mianem zbrodniarzy) różnią się tylko altruistycznemi pobudkami. Druga kategorya zbrodniarzów okolicznościowych *(Gelegenheitsverbrecher)* ma za przedstawiciela Otella. Ciekawszą jest jeszcze druga część dziełka, w której Edmund z »Króla Leara«, Jago z »Otella« i Cade z »Henryka VI« scharakteryzowani są jako przedstawiciele *moral insanity*. Z nich trzech Jago stanowczo zasłużył sobie na wyróżnienie, bo on jeden ani przez chwilę nie zna sumienia a nawet w ostatecznej katastrofie, zdemaskowany, skruchy bynajmniej nie odczuwa, tylko zapamiętale milczy. Edmund nie jest takim cynikiem, bo popełniając zbrodnie przez całe cztery akty, przynajmniej w piątym chciałby wstrzymać dalszy ich pochód, uratować — prawda, że bezskutecznie — Cardelię i Leara. Trzeci wreszcie Cade, epizodyczna figura cynicznego, marnego warchoła, bohatera motłochu, może nawet nie ma prawa do figurowania w rzędzie tak dramatycznych postaci jak Makbet i Otello. W całości rzecz zaleca się jasnym wykładem ze stanowiska, zazwyczaj w krytyce literackiej nieuwzględnianego, a mimo to niejednokrotnie przyczyniającego się do wszechstronnego oświetlenia kwestyi.

Dr. J. Flach.

Krótki zarys dziejów astronomii. *Ernest Lebon.* Przekład St. Boufała. E. Wende i Spółka. Warszawa 1903.

Dziełko, z którem chcemy zapoznać naszych czytelników, nie jest bynajmniej systematycznym wykładem rozwoju astronomii, jest to raczej »szereg krótkich opowiadań z dziejów astronomii, geodezyi i metereologii od czasów głębokiej starożytności aż do doby najnowszej, zestawionych w ten sposób, że treściwe i epizodyczne przedstawienie najważniejszych wyników obserwacyi i badań naukowych splata się z opisem życia główniejszych twórców nauki, dając uważnemu czytelnikowi ogólne wyobrażenie o zadaniach, środkach i drogach nauki

nieba«. W tem właśnie upatrujemy główną zaletę i praktyczność tego dziełka, które może stanowić wyborny podręcznik w kształceniu młodzieży i wpłynąć na rozbudzenie zamiłowania do tej tak szczytnej nauki, która według słów Laplace'a »rozpatrywana jako całość jest najpiękniejszym pomnikiem ducha ludzkiego, najszlachetniejszym tytułem jego intelligencyi«

Cel i zadanie, jakie sobie to dziełko uwieńczone przez Akademię francuską, założyło, z natury rzeczy nie dozwala na dokładne sprawozdanie z dziejów astronomii. Mimo to z zadziwiającą zręcznością zdołał autor znaleźć w swym »zarysie« miejsce nawet dla nazwisk podrzędnych i osób mniej zasłużonych w dziedzinie astronomii. Wobec tego nieco przykro uderza czytelnika ta okoliczność, że tłumacz, który gdzieniegdzie uzupełnia autora francuza, nic nie wspomniał choćby w przypisku — o tak zasłużonych Polakach, jak Janie Śniadeckim lub Poczobucie. Podobnie rażą i nieprzychylnie usposabiają tłómacza pewnego rodzaju błędy, których u autora nie sprostował, jak np. kiedy na str. 259 pisze o wielkim syderostacie z lunetą z wystawy paryskiej r. 1900: »Ponieważ liczba i doniosłość odkryć niebieskich stały zawsze w stosunku prostym do udoskonaleń w narzędziach obserwacyi, przeto zdaje się być rzeczą pewną, że przy pomocy tego syderostatu z lunetą, astronomia fizyczna dokona wielce interesujących zdobyczy«. Autor pisząc te słowa przed r. 1900 mógł może wierzyć w to, co pisał, chociaż już podówczas poważni astronomowie jak np. Adolf Müller T. J. wykazywali całą niepraktyczność i wadliwość tego rodzaju instrumentu. Atoli tłumacz z r. 1903 powinienby wiedzieć, że wszyscy bez wyjątku astronomowie, którzy mieli sposobność robić obserwacye tym przyrządem, potwierdzili w całości ową przepowiednię uczonego Jezuity, a obecnie tylko z goryczą, połączoną z uczuciem wstydu i z zarzutami zwracają się przeciw tej lunecie, która wskutek wadliwego i niedbałego wykonania, nie tylko nie spełniła nadziei, jakie do niej przywiązywano, ale nawet pod względem precyzyi obrazów i dokładności pomiarów stoi niżej od 30-calowych reflektorów.

Ks. Władysław Szczepański.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Natalia Naryszkin. Siostra Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, przez Augustę Graven. Przekł. z jedenastego wydania francuskiego Jacka Nałęcza. W Krakowie 1903 roku. Nakładem Jacka Nałęcza.

Dla czytelnika karmiącego swój umysł i serce powieściami najświeższej naszej ery książka ta wyda się oazą na spalonej namiętnościami serca ludzkiego pustyni. W tej oazie, przy źródle prawdziwej mądrości i szlachetnych uczuć, da wypoczynek błogi swym myślom i sercu i ujrzy nowe może nieznane sobie światło życia. O zaletach tej książki świadczy chyba najlepiej to, że we francuskim języku, w którym została napisana, doczekała się jedenastu wydań. Toteż wdzięczni jesteśmy tłumaczowi, że to dzieło przyswoił naszej literaturze.

Autor tej książki (słynna z talentu pisarskiego i nieskalanego życia pani Graven) opowiada w niej dzieje duszy Natalii Naryszkin, Rosyanki, pochodzącej z bardzo znakomitego rodu. Ta ulegając działaniu łaski Bożej na jej szlachetne serce, nie tylko że przechodzi przez najznakomitsze i najpierwsze salony w Europie wśród ich ponęt i malowideł, nieskalana, jakby jaka istota z nieba nie z ziemi, jak się o niej znajomi wyrażali, ale nadto porzuca i prawosławię i życie światowe, by odziana w sukienkę Siostry Miłosierdzia wśród ciepła czynów miłości bliźniego i poświęceń heroicznych dojrzeć w cnocie i dojść do szczytów doskonałości. Analiza tej ślicznej duszy, przeprowadzona umiejętnie, o ile tylko na to pozwolił tak trudny sam w sobie przedmiot, oparta na rzeczywistości, bo czerpana z jej listów i osobistych długoletnich autora spostrzeżeń, na każdej karcie drga życiem, podoba się, przykuwa. Toż w oczach czytelnika, na tle ówczesnych burzliwych stosunków politycznych, a środek to wieku XIX do r. 1874, zarysowuje się coraz wspanialszy portret duszy kobiecej, dochodzący aż do tej subtelnej w swych cieniach doskonałości, w którą się można jeszcze wpatrywać, ale której opisać nie podobno.

Na jedno tylko chcę zwrócić uwagę. Przytaczane listy Natalii, (r. X) pisane w podróży do Paryża do jej siostry Elżbiety, aczkolwiek piękne dla swej prostoty i głębokiego uczucia, nużą właśnie dlatego, że się za często w nich to samo zbyt silne uczucie powtarza. Do zrozumienia ówczesnego stanu jej duszy wystarczyłby jeden list, a o innych tylko wzmianka.

H. H.

Chronologia listów Mickiewicza. Napisał *Maryan Reiter*. Kraków. 1903.

Żmudnej pracy podjął się autor. Zajął się on w swej pracy oznaczeniem dat znanych dotąd listów poety, jak również listów do Mickiewicza pisanych. Wyniki badań autora odstępują w wielu punktach od chronologii dotąd w wydaniach listów i w opracowaniach biografii poety przyjętych. *B.*

Teatry chłopskie w Galicyi. *Dr. Zygmunt Gargas.* Lwów 1903.

Praca niniejsza zajmuje się kwestyą bardzo aktualną niedawno podniesioną, sprawą utworzenia teatru

i urządzania przedstawień dla warstw ludowych. Że przedstawienia teatralne dla włościan mogą mieć wielki wpływ cywilizacyjny, wychowawczy, to kwestya prawie niesporna. Ale jeśli się pójdzie krok dalej, to nasuwa się tyle rzeczy wątpliwych, tyle powstaje co do nich sądów sprzecznych, że niepodobna prawie w tym labiryncie zdań *pro* i *contra* wynaleźć jakiś złoty środek, znaleźć trafne rozwiązanie. Czy wystarczy urządzanie po miastach obok przedstawień zwykłych specyalnych widowisk dla ludu wiejskiego, czy utworzyć odrębny teatr *ad hoc* — to pierwsze pytanie, na które otrzymujemy wiele sprzecznych odpowiedzi. Ale, gdy się już zgodzimy na odrębny teatr chłopski, idzie kwestya dalsza, czy to ma być teatr stały, czy wędrowny, złożony z zawodowych aktorów, czy amatorski. Ile w tym kierunku jest poglądów, widzimy z pracy d-ra Gargasa, który zszeregowuje opinie wydane wskutek ankiety Wydziału krajowego, jak również głosy innych osobistości kompetentnych w tym kierunku, jak np. p. Rydla.

Tak samo niema ustalonego zdania co do repertuaru takiego teatru włościańskiego, jak to nam przedstawia autor, przytaczając zapatrywania znawców teatru, a zarazem znawców ludu. — Dowiadujemy się również od autora, że myśli wprowadzono już w czyn, że tu i ówdzie odbywają się przedstawienia teatralne, przeważnie grywane przez włościan amatorów.

Sprawa więc teatrów chłopskich, jak się dowiadujemy z przedstawienia d-ra Gargasa, przekracza pomimo niezgodnych w tym kierunku zdań sferę projektów i dyskusyi, zamienia się powoli w rzeczywistość. Dotąd przeważnie zawdzięczać to należy działalności Towarzystwu Kółek rolniczych, a odbywa się w granicach bardzo szczupłych i środkami bardzo skromnymi. Ścieranie się zdań, szersza dyskusya, ankiety i t. p. na ten temat zdołają nadać sprawie tej większy rozgłos, rozbudzić większe zainteresowanie, pobudzić inicyatywę jednostek i towarzystw, stworzyć jakąś trwałą organizacyę teatru. Dotąd zajął się już tą sprawą Wydział krajowy, tak zawsze troskliwy o oświatę ludu, i sądzimy, że sprawę tę popchnie znacznie naprzód.

A. B.

Pamiętniki starającego się. Komysznik. *Przez T. T. Jeża* Z illustracyami Juliusza Kossaka. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G.Gebethner i Spółka 1903.

Obie nowelki były już drukowane w *Tygodniku illustrowanym,* pierwsza w r. 1866, druga w r. 1874. Dlatego na samym początku zarzucam wydawcom, że o tem żadnej wzmianki nie uczynili, nowelki drukując osobno, jakoby po raz pierwszy. Również sądzę, że je li tylko dlatego przedrukowano, aby uratować illustracye Juliusza Kossaka od zaginięcia, co się wydawcom chwali. Nowelki same w sobie nie wielką przedstawiają wartość literacką, a na nasze czasy są już trochę przestarzałe, choć przed 30 laty bawiono się wybornie zabawnemi przygodami i awanturami p. Onufrego, starającego się wiecznie o pannę i wiecznie, wśród rozmaitych śmieszności, osiadającego na koszu. Trafiają się i dziś podobne sylwety obojej płci, ale w innem świetle. Zaznaczam, że illustrowaną jest tylko nowela pierwsza. Zalety literackiej T. T. Jeża nie ma co podnosić — znana ona każdemu, że odznacza się w dyalizowaniu, a w całości słaba; zasady też jego dość liberalne, ale nie gorszy.

Komysznik. Historya, jakich wiele, o chłopcu, którego jakiś rozbójnik ukradł przy napadzie na dom jego ojca, szlachcica w Krakowskiem, i uniósł ze sobą. Chłopak wyrósł na zbója, czyli komysznika i pod swoim hersztem, który go był wykradł, łotrował na dobre nic nie wiedząc o swojem pochodzeniu. Ojciec jego, straciwszy w tym napadzie i żonę i syna, sprzedał mienie, i wraz z córką jedynaczką Maryną i matką, przeniósł się na Podole, gdzie założył futor i prowadził ładne gospodarstwo. Do tej okolicy zjechali komyszniki. Młody komysznik, ujrzawszy Marynę na jarmarku wnet się w niej zakochał, nie wiedząc, że to jego siostra. Herszt poznał jej ojca i na futor, przy danej sposobności, urządził wyprawę. W czasie oblężenia odkrył tajemnicę młodemu, ten rzucił się na herszta, ale odpędzony i podziurawiony kulami dotychczasowych towarzyszy, popędził ku futorowi i przy bramie padł na pół żywy. Znaleziono go i zabrano do futoru, nie wiedząc, ktoby był. Dopiero przychwytany herszt, po rozgromieniu bandy jego przez oblężonych, odkrył tajemnicę rodzinie. Komysznik młody wnet z ran umarł. Ot cała historyjka dobra, jako ciekawa gadka, dla ludu.

H. H.

Preludya, poezye prozą. *Fogl Henryk.* Lwów. Skład główny w księgarni polskiej. 16-ka, str. 69.

Tomik ten przypomina na każdym kroku rzeczy dawniej widziane lub słyszane. Już sam wygląd zewnętrzny jego jest nieudolnem naśladownictwem prawdziwie artystycznych wydawnictw nowszych, tylko nie dorównuje im w niczem. Tak samo ma się z treścią, która przypomina zbyt żywo poezye Kasprowicza. Autor starał się wpaść w ton ludowy, ale prostota jaka czasem mu się udaje, nie jest naturalna. Wszędzie czuć tutaj sztuczny nastrój, zwłaszcza w cyklu p. n. »Sielskie melodye«. W ogólności autor przejęty jest przeważnie echami współczesnej naszej twórczości poetyckiej, co naturalnie odbiera utworom jego wartość. Nagminna dzisiejsza choroba, którą opanowany umysł bierze każdą, nawet ladajaką myśl za rzetelne natchnięnie, znajduje wyśmienitą illustracyę w tomiku pana Fogla.

R. B.

Pod obcem niebem, szkice i obrazki. *Dr. Józef Siemiradzki.* Spółka wydawnicza polska w Krakowie 1904. 8-ka, str. 146.

Dłuższy czas pobytu w Ameryce południowej nadarzył prof. Siemiradzkiemu wiele sposobności do obserwacyi. Z typów tam widzianych powstał cały szereg obrazków, związanych ze sobą jedną wspólną nicią, tą mianowicie, że wszystkie wprowadzone przez autora postacie noszą nieukojoną w piersi tęsknotę za krajem rodzinnym. Czy to będzie ów Litwin, żołnierz z pod Grochowa, którego i »Pod obcem niebem« spotkało tyle strasznych nieszczęść, czy polskie dziecko »Pepita«, chowające się pod dachem, obcym czy wreszcie »Litwin« wszystko to brzmi tonem, przypominającym Sienkiewiczowskiego »Latarnika«. Po zatem mamy tu sporo obrazków czysto amerykańskich, doskonale malujących życie i obyczaje hiszpańskich osadników lub Indyan brazylijskich. A we wszystkich nich przejawia się doskonale zmysł spostrzegawczy autora oraz duży talent narratorski,

A. D.

Starożytna Litwa: Ludy i bogi. Szkice historyczne i mitologiczne. *Brückner Aleksander.* Warszawa. Nakł. Księg. naukowej 1904.

Wyłącznie polska nauka zajmowała się od czasów Stryjkowskiego dziejami litewskiemi. Jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku było u nas widoczne wielkie zainteresowanie się temi sprawami. Pomimo wielkiej obfitości prac, niejednokrotnie obszernych, zapełniły się z czasem dzieje i mitologia litewska fantastycznymi wymysłami i bajkami. Prof. Brückner, który nie spuszczał z uwagi rzeczy litewskich od napisania rozprawy doktorskiej, ogłosił przed kilku laty szereg szkiców w »Bibiotece warszawskiej«, wyjaśniających wiele bałamutnych kwestyi w Litewszczyźnie. Szkice te, poprawione, miejscami nawet zasadniczo zmienione, wyszły obecnie w osobnej książce, w której zostało oddzielone ziarno dobre od złego, a pozostały same niezaprzeczone fakta. Przedewszystkiem zbija autor mniemanie, jakoby Litwini byli jednym z najstarszych narodów w Europie. Starożytność języka litewskiego jest również tylko pozorna i przypadkowa, bo każde niemal narzecze słowiańskie jest równie stare, a nieraz i starsze. Niezaprzeczona starożytność Litwy zasadza się na nieprzerwanem przebywaniu w jednej i tej samej ziemi najmniej przez lat 2000. Uwzględniając szeroko folklorystykę, przechodzi autor w dziesięciu rozdziałach wiadomości starożytnych o Litwie, mitologię i dzieje pierwotne Jaćwingów, Prusów, Litwy właściwej, Żmudzi i Łotwy. Następnie objaśnia parę kultów i wierzeń, a w dwu ostatnich rozdziałach traktuje obszernie o wartości mitologii litewskiej w porównaniu z innemi. Z przedstawienia prof. Brücknera okazuje się dowodnie, iż wysokie mniemanie, jakie mają dotąd niektórzy zagraniczni uczeni o bogactwie mitologii litewskiej, jest z gruntu mylne. Wszystko to bowiem, co było najważniejszem w mitologii litewskiej, zaginęło niepowrotnie pod wpływem chrześcijaństwa. Gdyby mitologowie poszli w tłumaczeniu mitów drogą najprostszą, jakiej trzyma się prof. Brückner, obeszłoby się bez ciągłych bałamuctw, jakiemi ta nauka jest zachwaszczona.

N. O.

Zwyczaje towarzyskie (Le savoir vivre) w ważniejszych okolicznościach życia przyjęte, według dzieł francuskich spisane. Wydanie IV. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie. 1903.

Donosząc o czwartem wydaniu tej książki, nie będziemy podnosili jej luźnych zalet, bo są dzisiaj dobrze znane choćby z recenzyi pochlebnych, umieszczanych swego czasu po różnych czasopismach (*Przegl. Powsz.* t. LXIX, str. 303), zwrócimy jeno uwagę na te jej braki, które należało usunąć z nowego wydania.

Na str. 150 pisze autor: »Wprawdzie [młoda mężatka] wchodząc pod opiekę Kościoła i prawa na nową dla niej drogę życia, poprzysięgła posłuszeństwo, ale świat ma swoje wymagania, zwyczaje towarzyskie modyfikują znaczenie przysięgi«. To przecież mógł autor wiedzieć, że owo poprzysiężone posłuszeństwo nie jest posłuszeństwem zakonnem, że pozostawia mężatce znaczny zakres swobody i niezależności, między innemi i to, co autor przypisuje wymaganiom świata i zwyczajom towarzyskim. Wymogi świata i modyfikacye zwyczajów towarzyskich, przeciwne prawom kościelnym pozostają zawsze czemś bezprawnem.

Już przy poprzedniem wydaniu książki zwrócono autorowi uwagę na słabe strony zdań wygłoszonych o poście (str. 62), — autor pozostawił je niezmienione.

Wobec mnogich dowodów roztropności i miary autora zadziwiają słowa na str. 36: »Zaproszony [na wieś] powinien wszystko chwalić i z zapałem wyrażać się nawet o krajobrazach piaszczystych i widokach najmniej estetycznych«. Zdaje się nam, że samemu autorowi taki gość wydałby się śmiesznym, jeżeli nie ironicznym.

Zresztą książka pełna zalet, godna gorącego polecenia.

B. M.

Illustrierte Geschichte der deutschen Literatur von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart. Von *Professor Dr. Anselm Salzer*. Mit 22 vielfarbigen, 14 zweifarbigen, 74 schwarzen Beilagen und über 300 Abbildungen im Text. Verlag der Leo-Gesellschaft in Wien.

Wobec tego, że powyższe dzieło właśnie zeszytami dopiero wychodzi, nie może być na razie mowy o szczegółowej ocenie. Pragniemy jednak zwrócić uwagę na tę najnowszą Historyę literatury niemieckiej, jedyną z illustrowanych, która uprzedza wyraźnie o tem, że chce być i będzie katolicką. Katolicki i naukowy charakter znanej wiedeńskiej *Leo Gesellschaft* jest rękojmią, że i jej wydawnictwo obiema zaletami odznaczać się będzie. Zresztą przegląd dotychczasowych zeszytów (będzie ich ogółem 20 w cenie po kor. 1.20) dowodzi, że p. Salzer posiada wyborną znajomość przedmiotu, uwzględnia wyniki najnowszych badań, przedstawia rzecz barwnie i zajmująco, wydawcy zaś opatrzyli dzieło mnóstwem pięknych a autentycznych obrazków, z których niejeden (zaczerpnięty ze skarbów wiedeńskiej nadwornej biblioteki) po raz pierwszy się tutaj ukazuje. W treści stojąc na tym samym wysokim poziomie naukowym, co znana literatura Vogta i Kocha, w dziale illustracyjnym wydawnictwo *Leo-Gesellschaft* przewyższa inne. I dlatego godnem jest najgorętszego polecenia.

Dr. J. F.

Takie sobie historyjki. *Rudyard Kipling.* Przekład z angielskiego Maryi Krzeczowskiej. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1904.

Napozór, to znowu lektura dla małych przyrodników, ale oryginalny wdzięk stylu Kiplinga, pewna przymieszka humorystycznej filozofii, dobry przekład i ładne wydanie, czynią te anegdoty z życia zwierząt, wtedy »gdy ziemia była jeszcze nowa i świeża«, jak mówi autor, zajmująco zabawnemi nietylko małym. Ostatnia powiastka »o motylku, który tupał nóżką«, a której właściwym bohaterem jest król Salomon, zamyka w sobie i sens moralny o marności nad marnościami. Brak tylko pięknych, fantastycznych illustracyi, o które aż zdają się prosić — historyjki.

A. R.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego

Sprawy Kościoła.

Epilog walki przeciw Kongregacyom.

Francya, powiedział jeden z jej pisarzy, a słowa jego powtarzają dziś jeszcze chętnie Francuzi, powołaną jest na to, by dla świata była zawsze przedmiotem obawy, podziwu lub wstrętu, nigdy obojętności. Przedmiotem obawy dla świata ziemia św. Ludwika dzisiaj nie jest, jest jednak pod pewnym względem jeszcze i w obecnych czasach przedmiotem podziwu dla widza, który bezstronnie i spokojnie patrzy na to wszystko, co obecnie we Francyi się dzieje. I zaprawdę podziwiać trzeba, jak w swej zaciętości nie licząc się z żadnem prawem, nie uwzględniając swych szczytnie brzmiących haseł o wolności, równości i braterstwie, a raczej stosując je w znaczeniu tak ekskluzywnem, że aż stają się nieracyonalne i śmieszne, idzie stanowczo i wytrwale naprzód po drodze prześladowania nie już pojedynczych członków Kościoła, ale Kościoła samego, choć walka ta ostatecznie na jej niekorzyść wyjść musi i dziś już nawet wychodzi.

Jak od dawna przewidywano, po zakonach nie zatwierdzonych przyszła kolej na stowarzyszenia autoryzowane. W czerwcu postawił rząd wniosek, aby wszystkim, nawet zatwierdzonym Kongregacyom nauczanie zostało zakazanem, gdyż nie może pozwolić, aby, »potężne, silnie zorganizowane i niewyczerpanymi zasobami

pieniężnymi rozporządzające stowarzyszenia, kształciły serce i ducha tysięcy dzieci i młodzieży, którąby miała wytworzyć w przyszłości w dzisiejszym świecie klasę ludzi, tak się wyróżniających swem wychowaniem i zapatrywaniami«. Prawom rodziców, wolności i odpowiedzialności ojca przeciwstawiono »prawa dziecka i państwa«, zapominając, że tym sposobem odrzuca się i pogwałca prawo obywatelskie, które czyni ojca odpowiedzialnym za postępowanie dziecka do czasów jego pełnoletności; ta odpowiedzialność upada konsekwentnie przy przeciwstawieniu praw ojca prawom dziecka.

Na zarzut, że tym sposobem gwałci się religię, odpowiedziano, że ta ostatnia nic nie ucierpi, gdyż wykładów religii prawo bynajmniej nie kasuje, zresztą mogą rodzice sami religii uczyć lub księży świeckich o nauczanie tejże prosić. »Senat, kończył swe wywody Saint-Germain, dokona tak dzisiaj, jak wczoraj jak i jutro swego tak chlubnie rozpoczętego zadania. Rozpoczęte dzieło laicyzacyi nie jest jeszcze skończonem, zaledwie zainicyowanem; senat, jesteśmy tego pewni, uzupełni je i doprowadzi do końca. Poznał, że nadszedł czas, by wychowanie młodzieży, przyszłych obywateli, wyrwać z rąk ludzi, stojących poza społecznem położeniem i stosunkami wszystkich innych obywateli; wie, że kraj liczy na niego przy tem zadaniu postępu, prawdy i obrony republikańskiej. Senat spełni swoje zadanie«.

Ponieważ według słów prezydenta ministrów członkowie obu izb, aczkolwiek różnią się w wielu zapatrywaniach, idą gromadnie tam, gdzie chodzi o zwalczanie klerykalizmu i nacyonalizmu, nie można się było ani na chwilę łudzić, że wniosek powyższy zostanie przyjęty. Nie zdziwiło też nikogo, gdy szóstego lipca doniosły telegramy, że wniosek o odebranie prawa nauczania autoryzowanym kongregacyom przeszedł 167 głosami przeciwko 108. Największą materyalną trudność, kwestyę pieniężną, starano się obejść sofizmatami. Saint-Germain, spekulując widocznie na łatwowierność zaślepionych swoim uporem słuchaczy, tłumaczył, że siedm milionów franków wystarczy na razie dla zapewnienia nauk dzieciom, kształconym dotychczas w szkołach zakonnych; minister oświaty, Chaumié, obliczył koszta na 19 milionów fr., Guillier na 150 milionów fr., utrzymując równocześnie, że roczne

wydatki wyniosą na ten cel 34 milionów fr. Izba pocieszała się przy tej, niekoniecznie miłej perspektywie tem, że większość zniesionych szkół powstanie na nowo, jako szkoły wolne i niezależne, gdyż rzeczywiście z 9770 szkół rozwiązanych do pierwszego lipca, rozwinęło się szkół prywatnych 4970.

Jak daleko sięga jednak obecna ustawa i ile będzie ona kraj kosztowała? W roku 1879, a więc przed wprowadzeniem nowych praw przeciwko zakonom, istniało we Francyi 13000 szkół niższych, kierowanych przez członków kongregacyj, równocześnie było tam niezależnych szkół kongregacyjnych około 7000. Te szkoły liczyły milion sześćset tysięcy uczniów; w ciągu całej kampanii zlaicyzowano 11 tysięcy szkół, z nich otworzono jednak na nowo 7000, jako wolne szkoły kongregacyjne. Tych 14 tysięcy wolnych szkół liczyło milion sto tysięcy uczni. Combes postawił sobie za zadanie znieść i te zakłady. Odebrano więc najpierw prawo nauczania 25 zakonom męskim nieautoryzowanym i zamknięto 1680 szkół; ten sam los spotkał 81 kongregacyi żeńskich i szkoły stowarzyszeń uznanych. Liczba zniszczonych tym sposobem zakładów wynosiła 10 tysięcy z 800 tysięcy uczniami. Pozostało jednak jeszcze 4 tysiące szkół z 400 tysiącami alumnów. I te cztery tysiące zostają zamknięte na mocy obecnego prawa.

Kwestyę kosztów, na jakie stosowanie nowego prawa naraziło Francyę, przedstawia ciekawie *Fenelon Gibon* w swoim *La Supression de l'Enseignement congréganiste*. Laicyzacya szkół gminnych kosztowała państwo 162 miliony franków, koszta roczne utrzymania wynoszą 13 milionów; zamknięcie szkół autoryzowanych kosztowało 120 milionów, koszta roczne utrzymania wynoszą 18 milionów; zamknięcie szkół n eautoryzowanych kosztowało 63 miliony, koszta roczne wynoszą 9 milionów. Samo więc otwarcie nowych szkół naraziło państwo na wydatek 345 milionów, utrzymanie roczne kosztuje je milionów czterdzieści; swego zaś czasu utrzymywał Combes, że wydatki roczne nie przejdą sumy 25 milionów. Utrzymanie szkół w samym Paryżu po przeprowadzeniu nowego prawa narazi miasto na wydatek 40 milionów, a wzniesienie nowych budowli pociągnie za sobą, zdaniem dawnego ministra handlu, Roche'a, koszta 200 milionów.

Żaden rząd nie pozwoliłby pewnie przeprowadzić wniosku wymagającego tak olbrzymich sum, i żaden parlament pewnieby się nie przychylił do takich propozycyi; ale chodzi tu o zwalczanie zakonów, a w dalszej konsekwencyi religii i życia chrześcijańskiego, a w tym wypadku wszystko jest dozwolone, żadna ofiara nie jest za wielką. Gorzka to nauka dla katolików francuskich, którzy się pocieszają, że dzieci zrodzone za czasów prześladowania, zapewnią w przyszłości zwycięstwo sprawie katolickiej, lub że kiedy wybuchnie olbrzymia jakaś wojna, która wstrząśnie posadami Francyi, wszystko na lepsze się zmieni.

Rozdźwięk między Francyą a Rzymem.

Rząd jednak nie ogranicza się do walki z zakonami; przeciwnie dokładnie spełniają się słowa biskupa z Nancy, Mgr. Turinaz'a, który w liście pożegnalnym, wystosowanym do wypędzonych Braci szkolnych słusznie zauważył: »trzeba to ciągle powtarzać, aż nareszcie wszyscy to zrozumieją, że prawdziwy, ostatni cel (tej walki), jest zniszczenie religii we Francyi, choćby nawet dla jego osiągnięcia Francya miała paść ofiarą«. Francya też przygotowuje się do zupełnego rozdziału między państwem a Kościołem; rząd, twierdził Pelletan w *Cercle Radical* w Saint-Etienne jest silnie i stanowczo zdecydowany, przeprowadzić bez wahania tę walkę. Combes lęka się tylko, że przez takie gwałtowne zerwanie stosunków z Rzymem, oburzy na siebie i wzbudzi uśpione dotąd masy ludowe. Żeby temu zapobiedz, postanowiono o b r a b i a ć tłum, zwoływać zgromadzenia, pouczać odczytami o zgubnej działalności Kościoła i wywołać silny ruch antykościelny; gdy to się osiągnie, żadna już trudność nie przeszkodzi ostatecznemu zadaniu.

Powoli, lecz wytrwale pracuje rząd francuski w tym kierunku. Komisya dla rozdziału Kościoła i państwa ukończyła już swe prace i przyjęła ostatnie artykuły projektu Brianda. Projekt ten od początku do końca dąży do tego, by poprostu uniemożliwić wszelkie formy nabożeństwa, kazania i wypełnianie obowiązków religijnych. Kościołowi rzuca się na każdym kroku w twarz zarzut, że łamie konkordat; nie jest to jednak gwałceniem konkordatu, jeżeli n. p. nie pozwala się chować na osobnych miejscach

cmentarza samobójców, niechrzczonych, innowierców i innych zmarłych, bez względu na to, jak żyli i jak umierali.

Komisya budżetowa skreśliła 14 głosami przeciwko 10 kredyt dla ambasady przy Watykanie, a chociaż rząd powyższy kredyt wciągnął w budżet roczny, nie zmieniła swej decyzyi, lecz wystosowała do prezydenta ministrów urzędowe zapytanie, czy odwołanie Nizarda jest już stanowcze i czy Rzym o tem oficyalnie uwiadomiono. Skreślonego budżetu postanowiono użyć na zmniejszenie podatków gruntowych leżącej odłogiem ziemi, nad której uprawą rolnicy dopiero pracują.

Że Ojciec św., aczkolwiek sam nie uczyni pierwszego kroku do zerwania stosunków, tego zerwania się jednak nie obawia, wie o tem rząd dobrze. Świadczy o tem sprawa kilku biskupów francuskich. Sprawą tą tyle narobiono hałasu, że naprawdę z początku trudno było w niej się zoryentować. Pisano o ośmiu biskupach i arcybiskupach, wezwanych do Rzymu dla wytłumaczenia się z swego postępowania, względnie dla złożenia swych godności kościelnych: twierdzono, że ci biskupi będą karani dyscyplinarnie, którzy w roku zeszłym nie przyłączyli się do protestu arcybiskupa Paryża w sprawie kongregacyi. Prawdą w tem wszystkiem jest, że zawezwano do Rzymu dla usprawiedliwienia się tamże biskupa z Laval, Mgr. Geay i biskupa z Dijonu, Mgr. Le Nordez. Przeciwko pierwszemu wdrożono dochodzenie podobno jeszcze za czasów Leona XIII, który jednak pod presyą rządu ustąpił; Pius X, tak utrzymuje *Figaro*, badał osobiście jego sprawę, a uznawszy ją za dość ważną, powołał biskupa do Rzymu, gdzie 22 lipca miał stanąć przed Świętem Officyum; w dotyczących aktach powołuje się Rzym na »rozdraźnienie, panujące w dyecezyi« i na »interesy Kościoła«; według *Matin'a* zaniosło na biskupa z Laval do Rzymu skargę 52 deputowanych, radnych i członków rady generalnej o niesłuszne odbieranie jurysdykcyi kapłanom.

Biskup z Dijonu jest już znany z zajścia, jakie miało miejsce w jego seminaryum, gdzie alumni nie chcieli przyjąć święceń z jego rąk. Biskup, jak tego z Rzymu zażądano, od udzielenia święceń się powstrzymał; przyczyna, dla której przed 27 lipca miał się stawić w Rzymie, jest nieznana. Fakt jednak, że po stronie ks.

biskupa Le Nordez stanęły wszystkie, najbardziej nawet skrajne i radykalne pisma i sam rząd, z pewnością dobrego światła na jego sprawę nie rzuca. Jeden i drugi ma się równocześnie powstrzymać od wykonywania jurysdykcyi biskupiej, jeżeli w oznaczonym terminie w Rzymie się nie zjawi.

To wystąpienie Watykanu wywołało wielką burzę w sferach rządowych we Francyi, a komiczną jej stroną jest, że ci ludzie, którzy na każdym kroku gwałcą prawa Kościoła i konkordat, z oburzeniem zarzucają Papieżowi niezachowanie konkordatu, jak gdyby Papież nie miał prawa wezwać bez pośrednictwa nuncyusza którego z swych błądzących poddanych, by tenże usprawiedliwił się z swego, nielicującego z jego godnością postępowania [1]). Rząd nie porozumiewał się przecież z Papieżem, kiedy tysiące duchownych brutalnie i niesprawiedliwie wydalał z kraju, kiedy w stosunku do Kościoła przekraczał najkardynalniejsze zasady prawa i słuszności, kiedy cofał pensye licznym biskupom dla jakichś urojonych ich wykroczeń, a przecież rząd na to się ciągle powołuje, że biskupów mianuje równocześnie Papież i Francya, że więc pojedyńczo, bez porozumienia się z drugim czynnikiem, ani Papież ani rząd żadnych kroków przeciwko biskupom przedsięwziąć nie mogą. To nie jest łamaniem konkordatu. Ale prawda! *duo si faciunt idem, non est idem.*

Stosunki doszły do tego stopnia naprężenia, że rząd francuski zażądał od Watykanu odwołania wydanego dwom biskupom rozporządzenia i pełnej satysfakcyi, inaczej stosunki dyplomatyczne zostaną zerwane; o tem postanowieniu ministeryum uwiadomiono nawet już sekretarza nuncyatury. Jak się Rzym wobec nowego tego gwałtu zachowa, trudno z wszelką pewnością dzisiaj powiedzieć; prawdopodobnie nie cofnie się.

W każdym razie, jeżeli można wierzyć zapewnieniom gazet, jest stanowisko dwóch biskupów niejasne i dwuznaczne. Akta rzymskie odnośne do ich sprawy przedłożono publicznie na posiedzeniu; rząd mógł je wydostać tylko od samych oskarżonych

[1] Chodzi tu zresztą o kwestyę czysto kościelną, nie kościelno-państwową, a załatwianie bezpośrednie pierwszych przez Rzym nie jest bynajmniej konkordatem wzbronione.

biskupów, którzy w tym wypadku postąpili, oględnie mówiąc, co najmniej bardzo nieostrożnie. Dość ogólnie utrzymują, że biskupi nie stawią się w Rzymie, a ostatnie telegramy donoszą, że biskup z Laval, mimo listów, które otrzymuje od arcybiskupów i biskupów, a w których doradzają mu, by usłuchał głosu Papieża i pojechał do Rzymu, swej dyecezyi nie opuści.[1] Stoimy więc znowu wobec nowego konfliktu, którego zakończenia przewidzieć jeszcze nie można, ale którego skutki prawdopodobnie daleko sięgać będą.[2]

Projekty rozwiązania Sprawy włoskiej.

We Włoszech znowu zajmuje od dłuższego już czasu kwestya rzymska wszystkie głębsze umysły; ze wszystkich stron sypią się plany pogodzenia Watykanu z Kwirynałem, a niektóre z nich są istotnie ciekawe. Warto się też z niemi zapoznać, choćby dla tego, że świadczą one, jak coraz ogólniej urabia się przekonanie, że obecne położenie jest nienaturalne i dla wszystkich nieznośne. W zeszłym numerze naszego pisma wspomnieliśmy już o owym poglądzie, który sądził, iż kwestya rzymska da się rozwiązać tym sposobem, że Papież otrzyma pewną część dawnego państwa kościelnego, podczas gdy nad resztą zjednoczonych Włoch rządy sprawować będzie król, jako patrycyusz rzymski i w imieniu Ojca św. Ta ostatnia część projektu w życie wprowadzić pewnie się nie da; natomiast znawcy nie upatrują żadnych trudności w ustąpieniu Ojcu św. pewnego terytoryum. Całości kraju toby nie naraziło, jak nie szkodzi odnośnym państwom istnienie rzeczypospolitej San Marino, księstwa Monacco lub Liechtensteinu. Rząd też nie robiłby żadnej trudności, by Papieżowi dać część kraju ku Ostii aż do morza, ale z pewnością nie ustąpiłby Rzymu, uważanego za symbol narodowej jedności królestwa. Tę trudność chcą inni obejść tym sposobem: Ojciec św. otrzyma niezależny teren po prawej stronie Tybru, zaczynający się przy Trastevere, zawierający w sobie kościół św. Piotra wraz z Watykanem i sięgający aż do morza; rzecz ta nie jest niemo-

[1] Ostatnie telegramy donoszą, że biskup z Dijon poddał się władzy kościelnej i wyjechał do Rzymu.

[2] Według najnowszych wiadomości stosunki dyplomatyczne zostały już zerwane.

żliwą, nie wiadomo jednak, jakby się najbardziej w całej sprawie interesowany Watykan na nią zapatrywał.

Oryginalniejszy jest rzekomy projekt kardynała Alojzego Maselli. Radzi on, aby Tyber od Rzymu aż do ujścia ogłosić eksterytoryalnym i jedno jego ramię sprowadzić do Watykanu. Tym sposobem wolność Stolicy św. nie byłaby naruszona, gdyż i Papież mógłby na neutralnym Tybrze w każdej chwili popłynąć do morza, a rząd znowu nie potrzebowałby Watykanowi odstąpić kawałka nawet ziemi, największa więc w oczach wielu trudność temsamemby upadła. Rozwodzić się nad większą lub mniejszą możliwością tych planów, nad ich uzasadnieniem, nie jest naszem zadaniem; wbrew wszelkim rozumowaniom, może stanowisko Watykanu w tej kwestyi być wręcz przeciwne. Powstawanie jednak takich planów daje dużo do myślenia.

Fachowi w tej mierze uczeni utrzymują, że łatwiej dzisiaj dojść we Włoszech do porozumienia się, aniżeli we Francyi. Włochy nie wydalają kongregacyi, przeciwnie wiele zakonów francuskich znalazło gościnne we Włoszech przyjęcie; żaden minister włoski nie odważyłby się na walkę przeciwko krucyfiksowi, jak we Francyi; prawa o rozwodach i cywilnem małżeństwie nie można było przeprowadzić z powodu religijnego usposobienia ludności, gdyż większość narodu jest szczerze katolicką. Ich katolicyzm nie przeszkadza im jednak, że jak w stosunkach religijnych stoją po stronie Papieża, tak znowu w kwestyach politycznych po stronie króla. Gdyby więc sprawa państwa kościelnego w jakikolwiek sposób pomyślnie załatwioną została, paraliżowana czynność katolików ożywiłaby się na nowo i rozwinęła działalność zbawienną dla kraju i Kościoła.

Zmiany w konkordacie hiszpańskim.

Parlamentowi hiszpańskiemu przedłożono do zatwierdzenia artykuły konkordatu, odnoszące się do zakonów, a zmienione za porozumieniem się rządu ze Stolicą Apostolską. Zakonom potwierdzonym obecnem prawem, po spełnieniu przepisanych formalności, będą przysługiwać prawa osoby moralnej; mogą się rządzić własnemi regułami i dyscypliną zakonną. Zależeć będą od praw państwowych w swym stosunku do

władz świeckich, w rzeczach zaś duchownych i kościelnych od biskupa dyecezyalnego i przełożonych zakonnych według przepisów prawa kanonicznego; kwestye sporne będą załatwione pokojowo za porozumieniem się rządu z Stolicą św. Pod względem podatkowym mają zakony podlegać tym samym przepisom, jak i inni wszyscy poddani hiszpańscy; osobnych ciężarów na nich się nie nałoży. Klasztory już istniejące zostaną zachowane, nowe zaś domy mogą być budowane jedynie za uprzedniem pozwoleniem biskupa; takie pozwolenia będą zawsze ogłaszane w rządowej *Gazecie Madryckiej*. Domy liczące mniej niż dwunastu członków będą zamknięte, członkowie wcieleni do innych zakładów tego samego zakonu, ale przełożeni mogą dowolnie rozporządzać tak samymi domami, jak i dobrami do nich należącemi. Prawo to jednak nie odnosi się do stowarzyszeń, nie wiodących życia zakonnego, ani do tych, które oddają się dziełom dobroczynności i miłosierdzia, które prowadzą zakłady naukowe, poświęcają się staraniom około chorych, ubogich, sierot i opuszczonych, lub które kierują domami zdrowia. Żaden nowy zakon, żadne stowarzyszenie nie może się osiedlić w Hiszpanii bez zatwierdzenia Stolicy św. i bez pozwolenia rządu, który wpierw porozumie się z Ojcem św. Stowarzyszenia mające wprawdzie cel religijny, ale nie prowadzące życia zakonnego i nie noszące charakteru zakonu lub kongregacyi, mają podlegać ogólnemu krajowemu prawu o stowarzyszeniach, bez żadnych innych ograniczeń. Cudzoziemcy nie mogą zakładać domów zakonnych w Hiszpanii, jak długo nie otrzymają obywatelstwa i nie zastosują się do praw ogólnych; cudzoziemcy zaś, którzy wstąpią do jakiegokolwiek klasztoru hiszpańskiego, będą podlegać ogólnym przepisom prawnym, odnoszącym się do obcych.

Nie wiedzieć jeszcze, czy te modyfikacye w całej rozciągłości przez parlament przyjęte zostaną, widocznem jest jednak, że zakony i kongregacye nie są takim wielkim ciężarem dla kraju, jak to pewne odłamy prasy w swych czytelników wmawiają, skoro rząd hiszpański tak na dzisiejsze warunki daleko sięgającą wolność im daje.

Przyczynek do »historyi naturalnej« Jezuitów.

Z powodu zniesienia § 2. ustawy jezuickiej, powstała, jak to już wiadomo, w Niemczech wielka burza w szklance wody; ze wszystkich stron sypią się książki, broszury, pamflety przedstawiające w jak najczarniejszych kolorach czarne niebezpieczeństwo, i usiłujące sztucznie rozdmuchać ogień nienawiści i zemsty. Do walki wystąpił między innymi i niejaki p. Assmus z dziełkiem liczącem 200 stron a zatytułowanem: *Jesuitenspiegel. Interessante Beiträge zur Naturgeschichte der Jesuiten.* Zwróciliśmy naszą uwagę na tę pracę, gdyż odznacza się ona temi wszystkiemi własnościami, jakie charakteryzują zwykle podobne antyjezuickie i antyreligijne dzieła i jest istotnie interesującym przyczynkiem, wprawdzie nie do historyi naturalnej Jezuitów, ale do historyi naturalnej pewnej klasy dzisiejszych autorów, jakich niestety nie brak i u nas. Assmus, stojący na straży niemczyzny, zagrożonego protestantyzmu i przez niemoralność jezuicką na wielkie niebezpieczeństwo narażonej moralności, rozwinął jak dotychczas, na polu literackim dość szeroką działalność pornograficzną[1]), a wiadomo — wykazał to także przed kilku tygodniami pewien senzacyjny proces w Krakowie — że tacy szczególnej ludzie pasyami lubią bronić moralności publicznej. Autor pragnął nadać swej książce cechę naukową: »w tej książce, pisze, nic na inwencyi nie polega, wszystko przeciwnie, jakkolwiek nieprawdopodobnie brzmi, jest zebrane z wielką sumiennością z licznych, autentycznych źródeł, których spis na końcu książki się znajduje«. Przez zapomnienie widocznie spisu zapowiedzianego na końcu książki nie umieszczono, że jednak źródła są dosłownie cytowane, dodaje uszczypliwie *Kölnische Volkszeitung* (num. 540), to prawda. Autor cytuje tu i tam parę wierszy z Sugenheima *Geschichte der Jesuiten in Deutschland*, że jednak po takich parowierszowych cytatach przepisuje dosłownie w dalszym ciągu literalnie całe strony Sugenheima, o tem już nie wspomina, gdyż to nie należy widocznie do istoty rzeczy. Jeszcze lepiej obchodzi się z Webera: *Geschichtliche Darstellung der Klosterwelt*, Wolfa: *Allgemeine Geschichte der Jesuiten* i Kolda: *Jesuitengeschichten aus Schlesien.* Dobrych sto stron

[1] Cfr. w. p. Historisch-politische Blätter r. 1904, str. 498 sqq.

przepisał, czasem w wyciągu, przeważnie jednak dosłownie z powyżej wymienionych autorów, umieszczając tu i ówdzie jakiś ustęp w cudzysłowie, podając resztę za własną pracę; ta sumienność w dosłownem oddawaniu źródeł doszła do tego, że pozostawił nawet błędy drukarskie, które w używanych dziełach się znachodzą. Znikająco małą część książki może więc Assmus sobie przypisać, i dlatego też nie zadziwi pewnie nikogo twierdzenie, że Jezuici stali na czele sprzysiężenia prochowego w Anglii, ani też nie przerazi straszna formułka przysięgi jezuickiej, którą podobno każdy Jezuita wobec swego generała na śmierć i życie, na dobre i złe, na zdradę i poświęcenie się wiąże.

Tak się przedstawia ten *Jesuitenspiegel*, naprawdę cenny przyczynek i do historyi naturalnej autora, i tych wszystkich, którzy na niego, jako na powagę w sprawie jezuickiej w przyszłości powoływać się będą i którzy podwójną miarę naukową do dzieł katolickich i antykatolickich stosują.

Ks. Wiktor Wiecki.

Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1903.

(Ciąg dalszy)

Tow. dla popierania nauki polskiej. — Kasa im. Manowskiego. — Akademia Umiejętności. — Tow. Przyjaciół Nauk. — Tow. naukowe w Toruniu. — Tow. filozoficzne. — Tow. przyrodników im. Kopernika. — Tow. ludoznawcze. — Polskie Tow. ludoznawcze w Cieszynie. — Polska Sztuka Stosowana. — Tow. historyczne. — Tow. miłośników historyi i zabytków Krakowa. — Tow. numizmatyczno-archeologiczne. — Koło konserwatorów dla Galicyi wschodniej i zachodniej. — Tow. ochrony zabytków polskich. — Klub Słowiański. — Tow. filologiczne. — Tow. literackie im. Mickiewicza. — Tow. nauczycieli szkół wyższych. — Tow. pedagogiczne. — Tow. pedagogiczne w Cieszynie. — Związek rodzicielski. — Tow. prawnicze. — Tow. prawniczo-ekonomiczne. — Tow. pielęgnowania nauk społecznych. — Tow. lekarskie i hygieniczne lwowskie, krakowskie i warszawskie. — Tow. weterynarskie. — Tow. politechniczne lwowskie i krakowskie. — Związek naukowo-literacki. — Koła literacko-artystyczne we Lwowie i w Krakowie. — Czytelnia katolicka. — Muzeum XX Czartoryskich. — Biblioteka Jagiellońska. — Lwowska

Biblioteka Uniwersytecka. — Zakład im. Ossolińskich. — Muzeum im. Dzieduszyckich. — Muzeum Narodowe.

Polska myśl filozoficzna, jakkolwiek jeszcze bardzo uboga i skąpa, nie miała dotąd wcale własnego przytułku. Gnieździła się początkowo »kątem« po rozmaitych czasopismach peryodycznych, a od lat kilku zaledwie uzyskała własny organ — warszawski *Przegląd filozoficzny*. Do rozwinięcia jednakże obszerniejszej dyskusyi nad przeróżnemi zagadnieniami filozoficznemi nie było wcale odpowiedniego miejsca. Jedynie krakowska sekcya filozoficzna Towarzystwa przyrodników im. Kopernika dawała możność wzajemnej wymiany myśli. Z powodu zaś dziwnego braku rozpraw filozoficznych na drugim wydziale Akademii Umiejętności o jakichkolwiek obszerniejszych debatach nie było ani mowy. Potrzeba tedy stworzenia ogniska, skupiającego w sobie wszystkie tak rozprószone a tak nieliczne umysły, pracujące zawodowo na polu filozoficznem, stawała się coraz to widoczniejszą, ilekroć wspomniało się, że z pod umiejętnego a energicznego kierownictwa tak zasłużonego już na niwie pracy kształcącej ogólnie prof. d-ra Kazimierza Twardowskiego wyszła spora garstka dobrze przygotowanych pracowników, żeby tylko wymienić pp. d-ra P. Prągowskiego, d-ra J. Łukasiewicza, d-ra Wł. Witwickiego, zapisanych doskonale w dziejach budzenia się ruchu filozoficznego we Lwowie, a niemniej też w badaniach samodzielnych, jakich piękne dali dotąd już dowody. Siłą konieczności, a także dzięki gorliwości znanego z inicyatywy i szczęśliwej ręki prof. Twardowskiego powstało niedawno we Lwowie, w którym dużo mówi się o filozofii, ale bardzo mało kiedy ściśle naukowo, *Polskie Towarzystwo filozoficzne,* które postawiło sobie za zadanie — popierać pracę naukową w zakresie umiejętności filozoficznych oraz rozszerzać wiedzę filozoficzną — za pomocą wspólnego roztrząsania zagadnień filozoficznych, odczytów i wydawnictw. Opierając się na doskonałej znajomości stosunków miejscowych, musiano zaprowadzić dwie kategorye członków, t. j. czynnych i wspierających. Wspierającym członkiem może być każdy, wnoszący przepisaną statutem wkładkę roczną w kwocie 12 kor. I jakkolwiek wszyscy członkowie mają prawo: bezpłatnego wstępu na odczyty, urządzane przez Tow. i bezpłatnego otrzymywania wydawnictw Towarzystwa, to jednak członkom czynnym przysługuje ponadto prawo: uczestniczenia w zebraniach, urządzanych celem roztrząsania zagadnień filozoficznych, korzystania ze zbiorów Tow., oraz wybierania i wybieralności do wydziału. Na pozór mogłoby się wydawać takie ograniczenie praw człon-

ków wspierających Tow. za niewytłumaczone i niesłuszne. Ale wszyscy, którym wiadomo, jak łatwo przychodzi każdemu, nieobznajomionemu z filozofią zabieranie głosu w dyskusyi, która w ten sposób schodzi zazwyczaj na najfałszywsze i wcale niepożądane tory, a przez to samo już nie mające niczego wspólnego z nauką, -- przyznają, że podział taki członków jest jedynem wyjściem, jeżeli się chce dyskusyom nadać charakter niedyletancki, a za to ściśle naukowy. W ten sposób tylko może być salwowana powaga Tow. oraz może być zapewniona naukowa dyskusya, niezbaczająca z właściwej drogi. Mimo tego więc, że postanowienie takie statutu może wywołać wiele kwasów przy przyjmowaniu na członków czynnych, a zarazem niejednych, których ambicya osobista zostanie uchwałą wydziału podrażniona, zupełnie wrogo usposobić dla Tow., (co jest z góry przewidziane wobec wspólnej niemal wszystkich polskiej zarozumiałości), — mimo tego uważam podział członków na dwie kategorye za racyonalny i najzupełniej wytłumaczony. Uznając *Przegląd filozoficzny* za zupełnie wystarczający dla publikowania prac naukowych, nie ma Tow. zamiaru zakładania osobnego czasopisma, które byłoby organem Tow. Natomiast postanowiło podjąć publikacye książkowe i na początek wydać w przekładzie d-ra J. Łukasiewicza dzieła Hume'a. Odczyty rozpoczął prof. dr. P. Chmielowski rozprawą »O Kancie w Polsce«. Członków liczy Tow. około 50. Jest to niewiele, ale, jak na początek, wcale dostateczna liczba. Nie należy wątpić, że Tow. rozwinie swoją działalność pięknie i wydatnie, skoro się wie, że kierownikiem jego jest prof. Twardowski a sekretarzem autor nieogłoszonej dotąd, a niezmiernie ważnej pracy o nowych zasadach logiki formalnej — dr. Jan Łukasiewicz, współpracownik *Przeglądu filozoficznego.*

Polskie Towarzystwo przyrodników im. Kopernika we Lwowie utrzymywało się na tymże samym, co dawniej poziomie. Z pomiędzy stron dodatnich ogólnego rozwoju należy podnieść znaczny wzrost ilości członków, która dosięgła cyfry 450. Posiedzenia naukowe były licznie uczęszczane zarówno we Lwowie jak i w oddziale krakowskim.

W lwowskiem *Towarzystwie ludoznawczem* dokonywał się w roku ubiegłym wielki przełom. Rok ten zaznaczył się pewną stagnacyą w rozwoju Tow. Najważniejszą jej przyczyną była dziwna obojętność członków dla pracy zarządu, a raczej prezesa prof. d-ra A. Kaliny i sekretarza d-ra St. Zdziarskiego, oni bowiem prowadzili właściwie sprawy Tow. Choćby tedy zarząd miał najlepsze zamiary, nie może myśleć o rychłem ich zrealizowaniu, jeśli będzie zdany wyłącznie na

przypadek, a nie dozna poparcia od ogółu członków Tow. Podczas gdy więc w Czechach lub Niemczech każda prowincya ma towarzystwo krajoznawcze lub etnograficzne, oddziały prowincyonalne Tow. ludoznawczego rozwiązywały się jeden po drugim lub były zupełnie bezczynne. Początkowo te oddziały przyciągały mnóstwo osób do Tow., jak zwyczajnie każda nowość, wnet jednak, skoro się tylko trochę postarzały lub nie odpowiadały ambicyom jednostek, zamierały rychlej, niż się tego można było spodziewać. Również i poparcie materyalne nie stało w równomiernym stosunku do celów i zadań Tow. To też, jeżeli kwartalnik etnograficzny *Lud* zdołał utrzymać się na dotychczasowej wyżynie i wychodził w tej samej objętości, zasługa przypada w udziale współpracownikom, którzy nie pobrali za swoje prace ani halerza honoraryum. Byli zaś między nimi ludzie, żyjący wyłącznie z pióra, byli też bardzo potrzebni, a nieobowiązani żadną miarą do składania na rzecz Tow. tak wysokich ofiar, jakiemi było bezpłatne współpracownictwo w *Ludzie*. Gdyby nie ich chętna, życzliwa i ofiarna pomoc, *Lud* nie mógłby się poszczycić 24 rozprawami i zbiorami materyałów etnograficznych, niebywałą dotąd ilością przyczynków w rubryce »Rozmaitości« — 32 i 27 artykułami w dziale recenzyjnym, napisanymi przez 34 autorów, jakie pomieścił ostatni rocznik. Ale wytężona praca redakcyjna i prezesowska wyczerpała tak dalece siły prof. Kaliny, że z początkiem roku 1904 musiano przenieść redakcyę *Ludu* do Krakowa i powierzyć ją w doświadczone ręce prof. d-ra Karola Potkańskiego i p. S. Udzieli. Fakt ten jest bardzo doniosły dla Tow., nie należy bowiem wątpić, że *Lud* pod kierownictwem obydwu tych zasłużonych uczonych rozwinie się pomyślniej, niż dotąd. Dzięki poparciu obu prezydyów wyższych sądów krajowych oraz Wydziału krajowego, nadesłały sądy powiatowe oraz wydziały powiatowe z górą sto odpowiedzi, niejednokrotnie bardzo obszernych i wyczerpujących na rozesłany »Kwestyonaryusz w sprawie zwyczajów spadkowych ludności włościańskiej«. Opracowaniem ich naukowem zajmuje się pilnie członek zarządu dr. Zygmunt Gargas. Jak już obecnie stwierdzić można, praca jego przyczyni się w niejednem także do rozświetlenia wielu spraw, złączonych pośrednio z spadkowymi zwyczajami naszego ludu (np. ksiąg gruntowych). Zebrań naukowych odbyło się pięć, na których odczytano następujące prace: ś. p. dr. Jan Karłowicz »Próba tłumaczenia zabobonów ludowych«, prof. dr. C. Studziński »Ukraińskie melodye Markiewicza«, dr. Z. Gargas »Księgi gruntowe galicyjskie a lud«, dr. E. Piasecki »O tańcach skandynawskich«. — Biblioteka Tow. liczy

obecnie około 1400 tomów dzieł i czasopism etnograficznych. W stosunkach wymiany pozostaje Tow. ze 106 akademiami, tow. naukowemi i redakcyami pokrewnych czasopism. Z oddziałów Tow. był czynny tylko jeden — w Podgórzu, który pod dzielnem kierownictwem znanego etnografa p. Udzieli odbywał często posiedzenia naukowe a nawet urządził wystawę haftów ludowych. Liczba członków pozostała ta sama, co dawniej. Subwencye wynosiły: sejmowa kor. 200, Rady m. Lwowa kor. 400 i ministerstwa wyzn. i ośw. kor. 500. Pomimo szczupłych dochodów — dzięki oszczędnej gospodarce Tow. zamknęło rok 1903 pozostałością kasową wyż 900 koron.

Chcąc ocalić i zachować resztki śladów dawnego życia ludowego, zanikające przerażająco szybko a bezpowrotnie pod działaniem wpływów kultury nowoczesnej, wydał w r. 1896 ks. Ignacy Świeży imieniem zarządu »Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra« odezwę do ludności polskiej w Księstwie Cieszyńskiem, w której wezwał ją do składania dla mającego założyć się »Muzeum śląskiego« starych zabytków, o ile je jeszcze można znaleźć wśród ludu. Odezwa ta odniosła pożądany skutek, darów bowiem w ciągu lat kilku namnożyło się wiele, i to niejednokrotnie bardzo cennych. Ażeby zapewnić podstawę bytu i rozwoju powstającej instytucyi, przystąpiono w r. 1901 do założenia na tych zagrożonych czechizacyą i germanizacyą kresach w Cieszynie *Polskiego towarzystwa ludoznawczego.* Rezultaty zaś, do jakich ono doszło po dwuletniem zaledwie istnieniu, pod dzielnem kierownictwem tak zasłużonego a niestrudzonego pracownika na każdem polu działalności społecznej na Śląsku, ks. Józefa Londzina, przeszły — można powiedzieć to bez pochlebstw — najśmielsze nawet oczekiwania. Podjąwszy bowiem projekt, podany przez ks. Antoniego Macoszka, zakrzątnęło się Tow. w r. ub. około urządzenia wystawy ludoznawczej w Cieszynie, która trwała od 30 sierpnia do 8 września włącznie. Czas ten wybrano w tej myśli, że jeszcze znajdzie się dosyć osób, powracających z wakacyi, którzy zechcą zawadzić o Cieszyn, z drugiej zaś strony przed rozpoczęciem roku szkolnego otrzymano od Macierzy szkolnej kilka sal szkoły ludowej do rozporządzenia. Oczekiwania wcale nie okazały się zwodnicze, bo wystawę zwiedziło przeszło 2600 osób z różnych dzielnic Polski (osobliwie z Królestwa i z Górnego Śląska), wreszcie ludność śląska miejscowa napływała bardzo licznie. Z ogólnego dochodu 1294 K należy potrącić przedewszystkiem kwotę 400 K, jako przeznaczoną na różne boczne fundusze, zebrane przy sposobności

wystawy, oraz wydatki około 300 K, a pozostanie czysty dochód w kwocie 593 K. Jest to wynik nadspodziewany i bardzo korzystny, skoro zważymy, że Tow. liczyło najwyżej na to, że pokryje koszta urządzenia wystawy. Ponadto zbiory muzealne Tow. zwiększyły się znacznie, wielu bowiem wystawców darowało swoje zbiory na rzecz Muzeum. Nie zawadzi też wspomnieć ogólnie, jakie to przedmioty znajdowały się na wystawie, zwłaszcza, że nasza prasa prawie się nie zajmowała tym niezmiernie ważnym faktem w życiu ludu śląskiego. Na wstępie tedy były nagromadzone w dwu salach starożytności kościelne, a więc obrazy, rzeźby, kielichy, monstrancye, ornaty, kapy, fotografie naszych kościołów, 206 lat liczące organy z Nydku, kasa kościelna z kłody dębowej i t. d. Dział miejski mieścił prawdziwe cacka w meblach wykładanych, starożytnych zegarach, obrazach, wyrobach ze szkła i porcelany. W dziale ludowym na uwagę zasługiwał sałasz z całem urządzeniem, model wiejskiej chaty śląskiej, liczne sprzęty domowe i gospodarskie, wyroby z żelaza, miedzi, rogu, drzewa i t. p. Uzupełnienie tych zbiorów stanowił niezwykle bogaty dział historyczno-literacki, który jest z małymi wyjątkami własnością Muzeum śląskiego. Przedewszystkiem na uwagę zasługiwały zwoje pergaminów i dokumentów historycznych, dwie gablotki monet, takież dwie medali, cztery ramy z pieniądzmi papierowymi oraz książki polskie, używane przez ludność polską na Śląsku, prawie w komplecie. Poza tem były jeszcze działy: szkolny, muzyczny oraz książek ewangelickich. Cele wystawy zostały spełnione doskonale: zgromadzono bowiem i poznano zabytki ludoznawcze, znajdujące się w rękach naszego ludu, zwrócono uwagę szerszych kół społeczeństwa na potrzebę gromadzenia i przechowywania owych zabytków, a wreszcie pobudzono ofiarność na rzecz Muzeum Tow. Zwiększanie się zbiorów Tow. jest bardzo pocieszającym i korzystnym objawem, ale stanowi zarazem główny powód troski na przyszłość. Muzeum bowiem posiada o tyle pewną wartość, o ile można z niego korzystać, korzystanie zaś jest zależne od stosownego urządzenia go w stałem i bezpiecznem miejscu. A o tem dziś nawet mowy niema, bo uporządkowanie Muzeum jest niemożliwe wobec braku odpowiedniego pomieszczenia. Zaradzenie tej gwałtownej potrzebie jest najwyższym obowiązkiem Tow., ażeby zbiory nie ucierpiały skutkiem niestosownego pomieszczenia i nie leżały dłużej bezpożytecznie dla ogółu. Tow. liczy 54 członków. Majątek jego wynosi w gotówce przeszło 700 K, w zbiorach z górą 2000 przedmiotów, mieszczących się na razie w budynku polskiej szkoły ludowej w Cie-

szynie. To też, mojem zdaniem, uwaga Tow. powinna wyłącznie być zwróconą w kierunku utrwalenia bytu materyalnego Muzeum, a nie rozpraszać się na ogłaszanie drukiem prac ludoznawczych. Zamierzone bowiem wydawnictwo rocznika, o którem jest mowa w sprawozdaniu Tow., jest przedewszystkiem niekonieczne, a powtóre może narazić Tow. tylko na straty materyalne. Miejsca zaś na drukowanie prac folklorystycznych jest, Bogu dzięki u nas dosyć, czy to w *Wiśle,* czy *Ludzie,* czy w *Materyałach Komisyi antropologicznej.* Każde z tych wydawnictw przyjmie do ogłoszenia prace, jakie mają członkowie Tow., z całą chęcią. W ten sposób można przysłużyć się nauce, a równocześnie uchronić od z góry przewidzianych strat. Jestem mocno przekonany, że Tow. może z otuchą patrzeć w przyszłość, skoro po tak krótkiem istnieniu zdołało już tyle zdziałać. Wiele galicyjskich Tow. naukowych mogłoby sobie wziąć to Tow. za wzór. Tylko że na Śląsku pracuje się wiele bez rozgłosu, a u nas hałasuje się dużo, nie robi nic, albo bardzo mało, a za to rozmaitymi innymi sposobami porasta w »sławę«. A ta sława — »słaba, jak banieczka« mydlana w dodatku!

Najbliższem ludoznawstwa jest krakowskie Towarzystwo *Polska sztuka stosowana,* które z skromnych początków rozwija się obecnie bardzo wspaniale. Do najważniejszych spraw, wykonanych w r. ub. należą: dalsze gromadzenie materyałów artystycznych z zakresu polskiej sztuki ludowej, zabytków polskiego przemysłu artystycznego i budownictwa drewnianego, oraz inwentaryzacya tych zbiorów. Komisya przemysłowa Tow. zastanawiała się nad wprowadzeniem w życie doświadczeń artystycznych Tow. Z pośród różnorodnych rzemiosł wysunęło na pierwszy plan stolarstwo, jako sztukę potrzebną i rozpowszechnioną, jako najlepszy, jakkolwiek może i najtrudniejszy teren do wyrażania tego, co w sztuce stosowanej jest rzeczą pierwszorzędną a mianowicie formy. Siłą faktu, dzięki temu, co się dokonało przy współudziale i z inicyatywy Tow. w sferach przemysłowych, wysunęły się dalej tkactwo i drukarstwo. Przy omawianiu działalności Tow., mającej bezpośrednie znaczenie dla przemysłu, stwierdzić należy, że po pierwszych usiłowaniach, zdradzających raczej charakter idealny, Tow. wchodzi stopniowo na drogę praktyczną, biorąc za zasadę, że rysunek, kompozycya, dopiero wtedy, gdy zostaną wykonane, t. zn. wyrażone w stałych formach i określonym materyale, nabierają znaczenia właściwego doświadczeniu w zakresie przemysłu artystycznego. Dalej stwierdzić należy, że, po początkowem wahaniu się pod urokiem

barw i kształtów sztuki ludowej, obrano wreszcie drogę jedyną, jaką się sztuka prawdziwa posługiwać powinna, drogę twórczą. Bynajmniej nie zapoznając całego znaczenia sztuki ludowej, jako ożywczej atmosfery, jako bogatego źródła motywów, zrozumiano, że niewolnicze naśladownictwo tych pięknych motywów ludowych, czasem wprost olśniewających swoją świeżością, nie posunie sprawy ani na krok, że nawet zręczne rozwijanie i umiejętne zastosowywanie tej sztuki nie jest jeszcze drogą jedyną, jakkolwiek możliwą i korzystną, a że dopiero praca samodzielna, twórcza, praca talentu, unikającego szablonu i wzorów obcych, może dać polskiemu przemysłowi artystycznemu to, co mu potrzebne: formę, barwę, ozdobę. — Najdalej sięgnął wpływ artystyczny Tow. w dziedzinie drukarstwa. Zakłady krakowskie: drukarnia W. L. Anczyca, drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, drukarnia Wł. Teodorczuka, drukarnia Narodowa i inne, firma wydawnicza dr. J. Marchlewski i Sp. w Monachium, drukarnia P. Laskauera w Warszawie i niektóre firmy lwowskie, wprowadziły już w licznych wydawnictwach w użycie ozdoby, inicyały i okładki artystyczne o charakterze polskim, bądź to nabywając je i zamawiając bezpośrednio w Tow., bądź to nawiązując stałe stosunki z artystami, korzystającymi ze zbiorów Tow. — Tkactwo rozwinęło się w r. ub. pod bezpośredniem kierownictwem Tow. w szkole p. Sikorskiej w Czernichowie pod Krakowem. W przeciągu roku utkano tam podług wzorów, dostarczonych przez Tow., około stu kilimów, a nadto podług wzorów p. E. Dąbrowy-Dąbrowskiego około 60 kilimów, razem na sumę niemal 3000 kor. Kilku kompozycyi dostarczono warsztatom p. Lipowskiej w Nowym Sączu. Wzory, oparte na motywach roślinnych i zwierzęcych, wniosły nowy kierunek w dotychczasowe pojmowanie kilimka, a konieczność przeprowadzenia rysunku, udoskonaliła technikę tkacką. Objęcie kompozycyi przez artystów ożywi niewątpliwie ten przemysł krajowy i uczyni go bardziej interesującym, tępiąc tak często spotykane bezmyślne partaczenie i koszlawienie wzorów wschodnich. — Doświadczenia stolarskie zostały ułatwione przez otrzymanie prywatnego zasiłku w kwocie 4000 koron. Wykonano garnitur mebli do gabinetu, obitych aksamitem, projektowany przez p. Jana Bukowskiego. Nadto wykonano parę krzeseł podług rysunku p. Edwarda Trojanowskiego i wykończono łóżko, projektowane przez p. Karola Tichego Ogromna ilość rysunków, nadsyłanych na każdą odezwę Tow., świadczy o wielkiem zainteresowaniu się artystów i rzemieślników artystycznem stolarstwem. W myśl ostatniej odezwy — w projektach wi-

dać już wyraźne szukanie nowych oryginalnych form, a nie operowanie wyłącznie ornamentem. — W przeciągu ub. roku ogłoszono trzy konkursy i dwie odezwy, rozstrzygnięto zaś cztery konkursy i jedną odezwę. Konkurs na projekty inicyałów i ozdób drukarskich dla warszawskiej drukarni P. Laskauera i Sp. wydał obfity plon. Nagrodę 150 rb. za inicyały otrzymał p. J. Bukowski, za ozdoby 75 rb. p. Kazimierz Purzycki. W konkursie na projekt firanki białej na okno nagrodę 150 kor. uzyskał projekt p. Edwarda Trojanowskiego. W konkursie na projekt malowania ścian i sufitu nagrodę 200 koron uzyskał projekt p. Kazimierza Brzozowskiego. W konkursie na projekt domu szkolnego nagrodę 600 koron otrzymał projekt p. Ludwika Wojtyczki. W odpowiedzi na odezwę celem pozyskania projektów na meble do pokoju, dowolnie obranego, nadesłano 15 projektów garniturów i 22 pojedynczych mebli. Wyróżniono prace pp. Eugeniusza Dąbrowy-Dąbrowskiego, E. Trojanowskiego, Wojciecha Brzegi, Karola Kłosowskiego i E. Poynara, – Stosownie do zapowiedzi w zeszłorocznem sprawozdaniu wydało Tow. dwa dalsze zeszyty »Materyałów«. Obydwa były omówione w *Przeglądzie*, to też nie podajemy obecnie ich treści. Obydwa te zeszyty otrzymali członkowie Tow. bezpłatnie. Wydawnictwo to, roznoszące po świecie wyborowy materyał motywów rodzimych, podanych w formie możliwie dokładnej, odtworzonych artystycznie, ujętych w wytworną szatę, ma na celu wydobycie na jaw istoty twórczej, artystycznej odrębności, kryjącej się w sztuce ludowej, zagubionych niekiedy w masie wyłącznie etnograficznych właściwości naszego ludu. Dalej, wydawnictwo to ma na celu ułatwienie jak najszerszego wyzyskania motywów dla celów sztuki stosowanej, a wreszcie wytwarza ono w świecie artystów-twórców najwłaściwsze usposobienie na ich drodze do szukania nowego odrębnego wyrazu w zakresie form zasadniczych i ornamentyki. To też całkowicie nie mogę pojąć, na jakiej to podstawie uczyniono Tow. zarzut »nienaukowości«. Może i lepiej byłoby grupować materyał podług miejscowości, albo podług treści, słowem systematycznie. Jest to jednak na razie zbyt trudnem, bo dając rzeczy najbardziej charakterystyczne i uderzające kształtem lub kombinacyą barw, nie można czekać aż się wyczerpie systematycznie dział jeden, aby przejść do drugiego. Wreszcie Tow. musi się liczyć ze sposobem reprodukcyi, z materyałem, jaki ma pod ręką i t. p. innemi okolicznościami. Ludzie, pracujący naukowo, mogą zresztą, jeśli ich tak bardzo razi niesystematyczność, ułożyć sobie plansze z kilku zeszytów podług dowolnego porządku, plansze bowiem są luźno umie-

szczone w okładce. A dalej, jak kilka zeszytów nie wyczerpuje wszystkich okazów z rozpoczętych działów, tak samo też nie mogą one stanowić o wyczerpaniu się programu wydawnictwa. Dotychczas dało Tow. w »Materyałach«: pasy lite, wycinanki, sprzęty, skrzynie, rzeźby i motywy budownictwa. W dalszych ciągu pójdą: pisanki, malowania ścienne, okucia, ceramika i t. p., przytem będą w dalszym ciągu uwzględniane okazy z tych działów i tych miejscowości, które figurowały w dotychczas wydanych zeszytach. — W r. ub. urządzono też trzecią wystawę w gmachu Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, łącznie z wystawą artystów polskich »Sztuka«, która trwała od połowy listopada 1903 r. do 1 stycznia 1904 r. O ile dwie pierwsze wystawy: krakowska i warszawska, były niejako ogłoszeniem programu działalności Tow., mieszcząc obok pierwszych okazów sztuki stosowanej także ogromny materyał artystyczno-etnograficzny, — wystawa zeszłoroczna była już owocem rozpoczętej przez Tow. pracy i, jakkolwiek wskutek szczupłości pomieszczenia niewielka, uwydatniła jednak główne wyniki tej pracy. — Zbiory Tow. uporządkowano, a rozpoczęta w r. ub. inwentaryzacya (systemem katalogu kartkowego i inwentarza) dobiega końca. Zbiory stanowią przeważnie majątek Tow., i tylko częściowo depozyt. Powstały głównie z darów, częścią zaś gromadzone są kosztem Tow. Zakres ich: polska sztuka ludowa, zabytki budownictwa drewnianego w Polsce i pasy staropolskie. Zbiory te stanowią dwie kategorye. Do pierwszej należą oryginały (przeszło 300 okazów), do drugiej t. zw. wycinanki, a nadto rysunki, malowidła i fotografie (przeszło 1100 okazów). Przedmioty wymagające dla umieszczenia większej przestrzeni, rozwieszone są i rozłożone w jedynej salce w lokalu Tow. Część ubiorów ludowych (35 okazów), mających bardziej etnograficzne, niż artystyczne znaczenie, złożono, tytułem depozytu, w dziale ludoznawczym Muzeum Narodowego. Cały zaś materyał rysukowy i wycinanki, naklejone na kartony, przykryte nadto okładkami z cienkiego papieru, przechowywane są tymczasowo w pudełkach, co jest — oczywiście — wcale niestosownem pomieszczeniem. Biblioteka Tow. jest dopiero w zaczątku. Członków liczyło Tow. 367. Dochody wynosiły 15.753 kor., rozchód zaś 9.566 kor. — Cała ta praca owocna r. ub. świadczy nie tylko o energii kierownika Tow., którym jest tak zasłużony prof. dr. Karol Potkański, nie tylko o pracowitości członków wydziału, w którym zasiadają między innymi pp. Włodz. Tetmajer, Jerzy Warchałowski, J. Bukowski, Zygmunt Hendel, dr. F. Kopera, prof. J. Mehoffer, hr. J. Mycielski, br. L. Puszet, prof. Jan

Stanisławski, S. Udziela, Stanisław Wyspiański i Kasper Żelechowski, ale także o żywotności samej sprawy, która powstała z małych początków, da Bóg, rozwijać się będzie z roku na rok coraz to pokaźniej.

Rok miniony, już 17-ty z kolei w dziejach *Towarzystwa historycznego*, zaznaczył się bardzo dobrą zmianą na lepsze w porównaniu z r. 1902, pomimo niestrudzonych wysiłków znanych z energii: sekretarza d-ra Alojzego Winiarza i skarbnika d-ra Wilhelma Rolnego, na ich bowiem barkach spoczywał cały ciężar pracy w Towarzystwie. Wydział, czując dobrze, że w rozwoju tej instytucyi daje się spostrzegać pewien zastój, który na zewnątrz objawiał się tem, że liczba członków nie powiększała się, a naukowe wydawnictwa nie mogły być pomnożone, zwrócił w roku ubiegłym swe usiłowania głównie w kierunku pozyskiwania nowych członków, tudzież zdobycia środków do podjęcia na nowo wydawnictw źródłowych. Wynik tych starań nie był proporcyonalny do zamiarów: ogółem bowiem liczyło Tow. członków 288, a prenumeratorów *Kwartalnika historycznego* 170, tj. razem 458, a zatem zaledwo o 18 więcej, niźli w r. 1902. Natomiast zabiegi, ażeby pozyskać środki do podjęcia wydawnictwa źródłowego, rokują nadzieję pomyślnego urzeczywistnienia. Skutkiem układu, zawartego z jedną księgarnią, wpłynie w roku bieżącym ze sprzedaży prawa wydania kilku powieści ś. p. Zygmunta Kaczkowskiego do kasy Tow. kwota, którą będzie można odłożyć na cele wydawnictwa. Do pokrycia reszty kosztów przyczyni się niezawodnie c. k. Ministerstwo wyznań i oświaty, któremu w maju ub. r. wydział Tow. przedłożył dalszy plan wydawnictwa Materyałów historycznych, które od lat przeszło dziesięciu nie wychodzą dla braku funduszów. Organ Tow. *Kwartalnik historyczny*, pod wytrwałem kierownictwem d-ra Aleksandra Semkowicza, wychodził w tej samej, co przedtem objętości, (ma zaledwo wogóle dwa arkusze druku więcej) i pomieścił 9 rozpraw, 8 miscelaneów, 86 recenzyi i sprawozdań, przegląd literatury historyi powszechnej, kronikę naukową, oraz bibliografię historyi polskiej. Zebrań naukowych było zaledwo cztery, na których odczytano następujące prace: dr. M. Schorr »Kultura starohebrajska i babilońska« (z powodu prof. Delitzscha *Bibel und Babel*), J. Ptaśnik, »Rodzina Turzonów w Polsce i jej stosunki z Fuggerami«, dr. A. Czołowski »Z bojów kresowych« i M. Rolle »Tajne rosyjskie relacye o formujących się legionach i o Kościuszce«. W związku z ruchem naukowym pozostaje biblioteka, o której jednakże sprawozdanie nie podaje żadnej wiadomości, jakkolwiek w rozchodach figuruje ona z pozycyą

77 kor. 40 hal. O ile podpisanemu wiadomo z autopsyi, zawiera ona bardzo piękny zbiór czasopism zagranicznych. Wartoby, aby i szerszy ogół dowiedział się coś o niej, a jeszcze więcej, ażeby wydrukowano jej katalog. W budżecie finasowym Tow. zaszła poważna zmiana na lepsze, jakkolwiek zarówno subwencya sej. kraj. (1400 kor.) i Ministerstwa wyz. i ośw. (1200 kor.), pozostały w tej samej wysokości. Bo podczas, gdy w r. 1902 deficyt przy końcu roku wynosił około 700 kor., rok ub. zakończył się przy zmniejszonych dochodach bardzo małym deficytem, nie przekraczającym sumy 150 kor. Zasługa w tem niezaprzeczona wytrwałości pracy skarbnika, od której faktycznie zawisł rozwój każdego Tow. Mojem zdaniem równowaga w budżecie Tow. hist. mogłaby być doskonale utrzymana tak, że obeszłoby się bez deficytów, gdyby porobiono niektóre oszczędności. Przedewszystkiem musiałoby się nie przekraczać 45 arkuszy druku w *Kwartalniku hist.*, powtóre należałoby znieść opłatę za korektę, wynoszącą obecnie 200 kor. Rzecz dałaby się urządzić w ten sposób, że pierwszą korrektę czytałby autor, drugą ktoś z członków komitetu redakcyjnego (mogłoby ich być dwu lub trzech, celem zmiejszenia pracy), trzecią zaś, jak dotąd, redaktor. Tym sposobem byłaby już oszczędność 200 k. Pozycyi w rozchodach, któreby z czystem sumieniem można obciąć, jest wiele, np. 90 kor. dla pisarza administracyi i t. d. Sądzę, że jeźli jaka instytucya walczy z niedostatkiem, jak w tym wypadku Tow. hist., należy oszczędność posunąć możliwie najdalej, choćby do skąpstwa. Inaczej bowiem trudno będzie uzyskać równowagę finansową, a liczenie na nowe subwencye i darowizny, chociażby nawet nie okazało się zawodnem, nie prowadzi do właściwego celu, nie zaprowadzi porządnej, racyonalnej gospodarki w Tow., które powinno przedewszystkiem stać o własnych siłach, zwłaszcza, że jest jedynem polskiem Tow. historycznem. Proszę porównać te stosunki z takiemi n. p. w Niemczech, gdzie każda prowincya: Śląsk, W. Ks. Poznańskie, Prusy Zachodnie, prowincye nadreńskie i t. d. mają swoje osobne towarzystwa, badając dzieje ściśle określonego kątka kraju, które wydają specyalne czasopisma. I ile to mają członków z pośród wszystkich warstw społeczeństwa? Ich siłą finansową one stoją, nie subwencyami. To też wstyd wyznać, że jedyne polskie Tow. historyczne nie doszło nawet do cyfry 500 członków. Czyżbyśmy tak mało kochali naszą przeszłość, czyż jej dokładne zbadanie tak mało leży nam na sercu?

O wiele bujniejszy rozwój na wszystkich polach swojej działalności wykazało inne historyczne stowarzyszenie *Tow. miłośników hi-*

storyi i zabytków Krakowa. Energiczną pracą, ruchliwością i zapobiegliwością pozyskało dotąd 524 członków (w r. 1897 miało ich tylko 176), oraz wykazało piękny rezultat kasowy w dochodach 9834 kor., w rozchodach zaś 9487 kor. Ale i tu pokazuje się, że właściwie Tow. nie stało o własnych siłach, w sumie bowiem dochodów widnieje pokaźna cyfra subwencyi (ministeryalna, sejmowa, kasy oszczędności krak. i Rady miejskiej), przewyższająca 4000 kor. Ruch naukowy był w r. ub. bardzo wydatny i objawił się przedewszystkiem i najwidoczniej w wydawnictwach naukowych. Na pierwszem miejscu należy postawić wspaniale wydany tom VI *Rocznika krakowskiego,* będący owocem dwuletnich zabiegów o monografię artystycznych zabytków Krakowa, opracowaną przez pp. d-ra Stanisława Krzyżanowskiego, d-ra J. Muczkowskiego, d-ra A. Chmiela, d-ra F. Koperę, d-ra K. Górskiego, d-ra St. Tomkowicza i L. Lepszego, pod redakcyą dwu ostatnich. Praca ta podaje w kosztownej formie (obejmuje bowiem 352 reprodukcyi cynkotypowych, heliograwurowych i kolorowych) ostateczny wynik dotychczasowych badań nad przeszłością, architekturą, rzeźbą, malarstwem i przemysłem artystycznym Krakowa. Obok tego wydawano dalsze tomiki *Biblioteki krakowskiej*, wydawnictwa popularno-naukowego, które ze względu na zawarte w niem prace i taniość niezwykłą zasługuje ze wszech miar na poparcie, W r. ub. wyszły cztery tomiki, zawierające d-ra Jana Ptaśnika seryę drugą »Obrazków z przeszłości Krakowa«, d-ra St. Estreichera »Szopka krakowska« i d-ra K. Bąkowskiego »Kościół św. Krzyża w Krakowie«, oraz »Dawne cechy krakowskie«. Wydająca dotychczas popularny Kalendarz krakowski J. Czecha, drukarnia »Czasu« zamierzała zaniechać tego wydawnictwa i oświadczyła gotowość odstąpienia Tow. prawo wydawania tego kalendarza. Zważywszy, że kalendarz ten co roku przynosił popularne prace z przeszłości Krakowa, i przed założeniem Tow. spełniał po części jego zadanie, szerząc miłość i znajomość przeszłości Krakowa, przez co stał się pożyteczną popularną lekturą szerokich mas, postanowiono nie dopuścić do upadku tego wydawnictwa. Nie mogąc zaś brać tak znacznego ryzyku na fundusz Tow., postanowiono oficyalnie nie wydawać kalendarza. Z tego powodu członkowie wydziału pp. dr. Muczkowski i dr. Kopera objęli sami wydawnictwo, Tow. zaś obiecało popierać i ułatwiać to ich zadanie w nadziei, że i tą drogą będzie można działać na szersze koła w kierunku obudzenia zamiłowania do historyi i zabytków krakowskich. W kierunku konserwacyi dawnych zabytków, dano inicyatywę do odnowienia nagrobku Stanisława

Chodzicza w kościele Maryackim, które w r. bież. zostanie uskutecznione, na co ma Tow. potrzebne pieniądze w funduszu konserwatorskim, wynoszącym 289 kor. Projektowane jest także odnowienie nagrobka Cerazyna na kościele Maryackim, ale na razie brak na to funduszów. Piękny Ogrojec przy kościele św. Barbary, czekający dawno odnowienia, mimo gotowych planów i kosztorysów, uzyskanych drogą konkursu, ogłoszonego przed laty przez Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, nie mógł doczekać się urzeczywistnienia akcyi. Celem doprowadzenia do skutku zamiarów udało się Tow. do *Grona konserwatorskiego* i do *Centralnej komisyi konserwatorskiej* w Wiedniu oraz do zamożniejszych instytucyi finansowych z prośbą o subwencye. I tutaj właśnie w pracy konserwatorskiej stoi na czele zmora braku pieniędzy i konieczność oglądania się za zapomogami, właściwa większej części naszych naukowych stowarzyszeń. Przy braku poparcia nawet najlepsze chęci jednostek, pragnących poświęcić swój czas i siły pracy użytecznej, muszą się rozbić o obojętność społeczeństwa z jednej strony, a zwłaszcza o niedomaganie finansowe z drugiej.

Inne towarzystwo, stojące w bardzo blizkim związku z naukami historycznemi, krakowskie *Towarzystwo numizmatyczno-archeologiczne*, prowadziło w r. ub. żywot suchotniczy. Od czasu, kiedy zbiory swoje zainstalowało w Muzeum narodowem, odtąd pozostawało pod kierownictwem Muzeum (r. 1900), od tej chwili też redaktorem organu Tow. *Wiadomości*, jest dyrektor Muzeum, tak zapobiegliwy dr. Feliks Kopera. Pomimo jego rzutkości i ruchliwości, praca nie wydała pożądanych owoców. A zatem: w r. 1903 nie wyszedł ani jeden zeszyt *Wiadomości*, co z przykrością trzeba skonstatować, głównie skutkiem zgonu kilku najgorliwszych pracowników na tej tak mało u nas uprawianej niwie naukowej, a także wskutek braku funduszów i należytego poparcia społeczeństwa. Dopiero pod koniec ub. roku dał się zauważyć pewien gorętszy ruch w Towarystwie, bo jeden po drugim zaczęły wychodzić numery zaległe *Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych*. O ile moje prywatne informacye sięgają, redakcya dokłada wszelkich starań i pracuje gorączkowo, ażeby podnieść ruch w Tow., organ jego doskonalić. Wydatniejsza pomoc Sejmu kraj. pozwoliła na rozpoczęcie druku obszernych a kosztownych prac, ozdobionych wielu illustracyami, oraz innych, których obszerność nie pozwoliła na wcześniejsze drukowanie. Nie trzeba wątpić ani przez chwilę, że obecnie, kiedy są nowe prace i obfitsze fundusze, przy znanej energii d-ra

Kopery Tow. podniesie się na należne mu stanowisko i uzyska poparcie publiczności.

Barbarzyńskie wprost niszczenie zabytków historycznych, oraz karygodne niedbalstwo, jakiem otaczano pomniki dawnej naszej przeszłości, nie ustąpiło jeszcze dotąd całkowicie pomimo czynnej obrony z ramienia *Kół konserwatorskich*, a zatem instytucyi o daleko idącej egzekutywie, bo instytucyi rządowych. Gdyby nie energiczna działalność tych kół, złożonych z ludzi nie tylko wielkiego wykształcenia, ale też mających pełne poczucie obowiązków, nie pozostałby u nas ów biblijny »kamień na kamieniu«...

Koło dla Galicyi wschodniej rozwijało swoją czynność znakomicie pod wytrawnem kierownictwem prof. dr. Ludwika Finkla. W ciągu z. ub. badali *zabytki przedhistoryczne:* p. Wł. Przybysławski w Złotnikach pow. podhajeckiego kilka mogił, dr. Karol Hodaczek rozkopał w Niesłuchowie koło Podhorzec starożytne piece i groby płytowe dawnego cmentarzyska, gdzie znalazł wiele wyrobów ceramicznych, pochodzących z epoki rzymskiej, (obecnie znajdują się one w Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie); prof. dr. Józef Siemiradzki przedłożył grot strzały i kawałek żelaznej rączki, wykopane przez p. Kłobukowskiego w Grodzisku nad Dunajcem; a p. Przybysławski doniósł o odkryciu kamiennego grobu skrzynkowego w Czarnych Wodach, w pow. kamienieckim, gub. podolskiej. Z przedłożonych wykopalisk, prócz szczęk, kości udowych i rąk — zasługują na szczególną uwagę czaszki o niezmiernie wyrazistych łukach brwi i o czołach nader nizkich, tuż nad brwiami w tył cofniętych, co znamionuje rasy o typie bardzo pierwotnym. W grobie, o którym mowa, wykopano nadto naczynia gliniane, ręcznie lepione, z ładną ornamentyką wytłaczaną, słabo wypalone, oraz dwie gładzone siekierki krzemienne z epoki neolitycznej. Okazy te złożono w zbiorach Koła. Z pośród prac, dokonanych przez sekcyę *zabytków historycznych* wymieniamy niektóre: i tak dr. Fryderyk Papée zbadał dokładnie i opisał pomnik, wystawiony przez króla Jana III w Hodowie obok Pomorzan (druk w *Sprawozdaniach Koła* 1901 ur. 6—7). W myśl referatu, przedłożonego przez prof. Finkla Koło poparło jak najgoręcej sprawę zakupna ruin zamku w Czortkowie przez tamtejszy «Sokół«, uważając to za najlepszy środek uratowania zamku od zupełnego zniszczenia. Ze swoich nadto funduszów użyczyło zapomogi 200 kor. na restauracyę baszty wschodniej. Po zatem prace tej sekcyi obracały się przeważnie w granicach zabytków kościelnych (restauracyi świątyń, naprawy ołtarzy i t. p.).

Ma się też czem pochwalić sekcya *zabytków archiwalnych*. Postanowiono więc, przedewszystkiem zająć się sprawą uratowania od zniszczenia ważnych dla dziejów rozbiorowych Polski aktów w archiwum c. k. Namiestnictwa, mających historyczno-prawne znaczenie, i oddzielenia ich od registratury ściśle urzędowej. Dr. Wojciech Kętrzyński badał akta i zapiski, nadesłane przez p. K. Notza, które są ustawami cechowemi. Najstarszy dokument, ustawa cechowa magistratu m. Kołomyi dla szewców, pochodzi z r. 1632. Inne są późniejsze z lat 1714 dla kuśnierzy, 1743 i 1745 dla tkaczów, 1775 dla krawców żydowskich. Nadto znajdują się między tymi dokumentami podania do cesarza z r. 1782 w sprawach cechowych i opisy granic Mikuliczyna i kilkunastu wsi. Archiwalia wspomniane złożono w Archiwum aktów grodzkich i ziemskich we Lwowie. Dr. Fr. Papée zwiedził Archiwum zarządu dóbr państwowych w Delatynie, w którem znalazł rozmaite pisma procesowe z XVII i XVIII wieku, podające w streszczeniach lub kopiach dawniejsze dokumenty. Z tych cenne są wzmianki o takich nieznanych dokumentach, których data poprzedza rok zaczęcia się aktów halickich tj. r. 1435. Jednakże pożądane także być mogą niektóre streszczenia lub odpisy dokumentów późniejszych ze względu na to, że akta grodu halickiego przechowały się w stanie wielce defektownym. Należałoby sprawdzić, czy w registraturze XIX w. nie znajdują się jawne jakie akta dawniejsze i wezwać zarząd, aby to wszystko odesłał do którejkolwiek krajowej biblioteki. Z pomiędzy innych czynności wymienić należy rozsyłkę kwestyonaryusza w sprawie pomników sztuki i zabytków historycznych do: starostw, gmin, parafii, obszarów dworskich i nauczycieli. Koło rozesłało 270 egzemplarzy, a kiedy odpowiedzi na nie otrzymało zaledwo 10, zaprzestało dalszej wysyłki. Otóż mojem zdaniem, punkt widzenia Koła w tej sprawie jest mylny. Jeźli bowiem na 270 kwestyonarzy nadesłano 10 odpowiędzi, to rezultat jest, jak u nas w Galicyi doskonały. Proszę zważyć, że kiedy przed siedmiu laty lwowskie Tow. budoznawcze rozesłało kwestyonaryusz w kilku tysiącach egzemplarzy, otrzymało nań zaledwie 50 kilka odpowiedzi, a i ta szczupła ilość posłużyła d-rowi Fr. Krčekowi do napisania bardzo pięknej pracy. Sądzę zatem, że Koło powinno, nie zrażając się dotychczasowym rezultatem rozesłać kwestyonaryusz po całej Galicyi wschodniej. A chyba lepiej wiedzieć coś o kilkudziesięciu zabytkach, niż o żadnych z nich nie mieć wiadomości. Za inicyatywą Koła konserwatorów Galicyi wschodniej postanowiły oba galicyjskie Koła urządzić w czasie Zielonych Świąt r. bieżącego *Zjazd konserwatorów*. Jako miejsce zjazdu obrano

Przemyśl, ponieważ poprzednie zjazdy odbywały się we Lwowie i w Krakowie, a także ze względu na mnogość zabytków historycznych i artystycznych tego miasta, blizkość zamku w Krasiczynie, oraz Balic i Moczerad, gdzie w r. 1902 dokonano ważnych dla archeologii i prahistoryi odkryć. Podczas zjazdu będą wygłoszone referaty, które zostaną później opublikowane, jako wspólna księga obu Gron konserwatorskich. Referaty te mają się dzielić na dwie kategorye: jedną o znaczeniu ogólnem, obejmującą sprawy inwentaryzacyi, stosunku do Komisyi centralnej i t. p., druga o znaczeniu lokalnem, odnosząca się do zabytków historyczno-artystycznych Przemyśla.

(C. d. n.).

Dr. Stanisław Zdziarski.

Druk ukończono 31 lipca 1904 r.

WALKA Z SPEKULACYĄ PARCELACYJNĄ.

I.

Parcelacya, jako taka, przedstawia u nas, w Galicyi, w końcowym rachunku bilans społecznie biorąc—czynny, bo chociaż jako ciemną jej stronę uważać musimy znikanie dworów a z niemi ognisk kultury promieniejących w najbliższej okolicy, to za to jej jasną stroną jest dostarczenie możności pozostania w kraju nadmiarowi sił żywotnych naszego włościaństwa, który w przeciwnym razie znalazłby się za Oceanem i prawdopodobnie w znacznej części do Galicyi nie wrócił. Nadmiar ten emigrujący reprezentują, pamiętać należy, jednostki najbardziej żądne pracy, najenergiczniejsze. Dopóki nie znajdziemy dla nich upustu w budzącym się do życia przemyśle, racyonalna parcelacya stanowić będzie warunek zdrowego funkcyonowania organizmu społecznego w Galicyi.

Spekulacya parcelacyjna natomiast, to objaw chorobliwy i szkodliwy, choć równie, jak choroba, naturalny i w świetle statystyki normalny, — gdzie są warunki zysku, tam zjawia się obok zwykłej produkcyi — produkcya spekulacyjna, oparta na chęci zysku nadmiernej, na bezwzględnej, społecznie szkodliwej gospodarce.

Spekulacya parcelacyjna jest największym wrogiem parcelacyi racyonalnej — jeżeli dzielenie większych gospodarstw na mniejsze odpowiada w Galicyi potrzebie, społecznie i narodowo jest korzystnem, to spekulacya częścią utrudnia to dzielenie przez podnoszenie ceny ziemi do wysokości niedostępnej dla włościa-

nina, przez co utrudnia nabywanie, częścią wytwarza przez to samo niezdrowy brak stosunku między ceną ziemi a intratą, — za czem idzie łatwość upadku nowo stworzonych gospodarstw.

W zasadzie przy tym wielkim procesie ekonomicznym i społecznym, który w oczach naszych się odgrywa, pośredników być nie powinno, gdzie zaś być muszą ze względów techniczno-finansowych, pośrednictwo przedstawiać powinny wyłącznie czynniki bezinteresowne, nie szukające zysku, lecz służące pomocą.

Położenie obu stron przy parcelacyi jest w regule przymusowe; właściciela większego obszaru dlatego, że nie mogąc z jakichkolwiek względów utrzymać się przy ziemi, pragnie pozbyć się jej jak najprędzej z obawy przed ruiną; włościanina, bo ziemia to dla niego jedyny warsztat pracy, poza którym czeka go tylko wielki i kosztowny skok w ciemną przyszłość — emigracya.

Korzystanie z położenia przymusowego jest niemoralnem i społecznie szkodliwem.

Społeczeństwo nie przypatruje się z założonemi rękami korzystaniu z przymusowego położenia przy zawieraniu umów kredytowych, nie może także spoglądać spokojnie na gałąź zarobkowania, która wyzyskuje równocześnie dwie strony, dostarczając zysków i to nadmiernie wysokich spekulantowi, który nie mając innej busoli jak korzyść własną, przeprowadza parcelacyę w sposób »dziki«.

Sposoby zwalczania spekulacyi parcelacyjnej są zasadniczo dwa: pośredni i bezpośredni.

System pośredni polega na ułatwianiu parcelacyi racyonalnej [1], z ominięciem owego *terzo incommodo* spekulanta, a więc przez tworzenie specyalnych instytucyi kredytowych lub funduszów krajowych, które przychodziłyby obdłużonemu nad miarę właścicielowi ziemskiemu z pomocą, w celu oczyszczenia z części długów hipotecznych. Projekt dobry, ale wymagający pieniędzy i całego aparatu bankowo-administracyjnego, który wprowadza

[1] Por. rozprawę prof. Milewskiego (*Przegląd Polski* z r. 1904, str. 550 nast.), prof. Jaworskiego (*Przegląd prawa i administr.* z r. 1904, str. 600 n.).

do szybko pulsującego życia społecznego czynnik ociężałości. Niejeden właściciel ziemski woli sprzedać majątek choćby z pewną stratą spekulantowi, niż czekać na powolne rozwikłanie finansowe. Z tą *vis inertiae*, niecierpliwością i lekkomyślnością większych właścicieli ziemskich liczyć się należy.

Jedynym racyonalnym systemem pośrednim walki z spekulacyą parcelacyjną byłaby godziwa konkurencya banków parcelacyjnych, śpieszących z pomocą *pro publico bono*. Nawet w tym przypadku jednak spekulant z jednej strony ma wyższość praktyczną nad konkurentem, szybkość działania, bezpośrednie zetknięcie z stronami, z drugiej strony wobec wielkiej podaży majątków, mimo konkurencyi Banków, zawsze możność utrzymania się przy »interesie«. Proponowane uzyskanie ulg należytościowych u rządu centralnego dla parcelacyi uznanej przez organa krajowe za dobrą, przy obecnym stanie finansów państwa, nie wydaje mi się być prawdopodobnem.

Koniecznem jest więc uzupełnienie sposobów walki pośrednich — bezpośrednimi.

Poruszano w literaturze ich szereg: administracyjne środki nadzoru nad samą techniką parcelacyjną są bez wątpienia pożądane z punktu widzenia racyonalnego tworzenia nowych gospodarstw, są także pewnem utrudnieniem spekulacyi w jej bezwzględnem ciągnieniu zysków. Do tego celu potrzeba jednak prócz dobrej ustawy — dobrych wykonawców, potrzeba urzędników administracyjnych, którzyby dobrze rozumieli, dlaczego ich zawód nosi nazwę »administracyi«, a takich urzędników w Galicyi nie ma wielu. Sama ustawa bez wykonania jest gorsza, niż jej brak, bo uspokaja, usypia — »wszak mamy ustawę« — powiemy sobie i przestaniemy myśleć »o sprawie«.

Proponowano środki karne, mówiono o stosowaniu ustawy o lichwie i o tworzeniu nowej specyalnej ustawy. Ustawy obowiązującej o lichwie z 28 maja 1881 stosować do spekulacyi parcelacyjnej nie można, bo odnosi się wyraźnie wyłącznie do czynności kredytowych, mogłaby więc znaleść zastosowanie tylko wyjątkowo do uciążliwych warunków pozostawienia reszty ceny kupna na hipotece.

Nowa specyalna ustawa wprawdzie nie natrafiałaby na trudności techniczne kodyfikacyjne, dałoby się stworzyć przepis: »kto w celach zysku kupuje nieruchomości wiejskie celem dalszej odsprzedaży w częściach, popełnia« i t. d. — ale dwojakie nasuwają się wątpliwości — teoretyczne i praktyczne. Teoretyczny zarzut polegać musi na niestosunkowości rodzaju broni do nieprzyjaciela. Sankcyę karną stosuje się tylko do czynów społecznie szkodliwych najwyższej kategoryi, pamiętać bowiem należy, że w etycznej hierarchii między czynami społecznie użytecznymi i społecznie obojętnymi z jednej strony a karygodnymi z drugiej strony, leży sfera takich czynów społecznie szkodliwych, wobec których ograniczamy się do moralnego potępienia — czynów niemoralnych. Jeżeli weźmiemy pod uwagę natężenie społecznej szkodliwości spekulacyi parcelacyjnej — to nie zdaje mi się, by wychodziła poza sferę czynności niemoralnej a sięgała, aż do dziedziny czynności karygodnej. Jest to zresztą kwestya otwarta — argumentu przeciwnego mogłaby dostarczyć ustawa z 4 stycznia 1903 r. l. 10 Dz. u. p. o giełdzie zbożowej.

W każdym razie aktualnym jest zarzut drugi — kwestya możliwości przeprowadzenia takiej ustawy. Choćbyśmy obowiązującą moc ustawy chcieli ograniczyć do Galicyi — najbardziej nawiedzonej plagą spekulacyi parcelacyjnej — choćbyśmy zatem starali się o przeprowadzenie ustawy państwowej o doniosłości lokalnej (tak jak to uczyniono w r. 1877 z ustawą o pijaństwie i t. zw. galicyjską ustawą o lichwie), to mimo to wszystko ustawa musi być państwową i musi przejść przez parlament. Dość wyraz ten rzucić, by zrozumieć szanse prawdopodobieństwa w przeprowadzeniu zamiaru...

Cóż więc pozostaje? czyż niema środka do celu, czyż nadal ma kwitnąć w kraju *Güterschlächterei*, stanowiąca upust dla kapitałów niezajętych już w równie lukratywnych operacyach kredytowych, dziś utrudnionych sprężystem wykonywaniem ustawy o lichwie.

II.

Istotą spekulacyi parcelacyjnej, jej osią i busolą jest zysk, interes. Z chwilą gdy ugodzimy w tę piętę Achillesa, pewni być

możemy zwycięstwa; spekulant widząc, że dany interes nie idzie lub nie opłaca się, wycofuje się i przechodzi do innego. Zdarzyło mi się niedawno mówić o majątku w zachodniej Galicyi, który nabył pewien aferzysta z Krakowa, przed rokiem, obecnie ma go do pozbycia pod korzystnymi warunkami — dlaczego? bo »parcelacya pokazała się a potem znikła« — zupełnie jak nafta na terenach naftowych (z tą tylko różnicą, że wydobywanie nafty stwarza i wprowadza w obrót nową wartość, a zysk z parcelacyi idzie wyłącznie do kieszeni spekulanta).

Chodzi o to, by w majątkach spekulantów parcelacya »nie pokazywała się« lub pokazawszy się — znikała! Na to sposób prosty — wytwarzać dla spekulacyi utrudnienia w pozbyciu, nie utrudnienia prawne (bo na to trzeba ustawy państwowej i znów parlamentu), lecz f a k t y c z n e, tak jak faktycznemi ułatwieniami (ulgi stemplowe, należytościowe i t. d.) chcemy przyjść z pomocą parcelacyi racyonalnej i społecznie użytecznej.

Jakież są najpewniejsze utrudnienia w pozbyciu? wygórowana cena sprzedaży, do której przez stworzenie kosztów zmusza się spekulanta, jeżeli chce wyjść z zyskiem; wytworzyć należy jednem słowem sytuacyę taką, by spekulant albo zmuszony był wycofać się z interesu ze stratą zaraz, albo utrzymując się przy majątku przez szereg lat z powodu trudnego wydobycia zysku, sprzedał go na końcu znów ze stratą lub bez zysku.

Stwórzmy takie warunki, a spekulacya parcelacyjna zniknie równie szybko, jak szybko się rozwija.

Spekulant tworząc cenę jednostkową od morga, kalkuluje w sposób następujący: do ceny kupna majątku dolicza należytość przenośną, stratę procentu od wyłożonego kapitału (bo o wydobyciu dochodu z gospodarstwa nie myśli), stratę czasu, koszta ewentualnych pośredników i — podatek zarobkowy; w ten sposób uzyskaną sumę, do której dolicza swój zysk, dzieli przez ilość morgów — i oto przeciętna cena odprzedaży.

Należytość przenośna i podatek zarobkowy, to jedyny udział państwa względnie także kraju w tej operacyi finansowej, a zarazem jedyny sposób utrudnienia faktycznego spekulacyi. Należytość przenośna jest stałą, niezmienną (ust. z 18 czerwca 1901,

l. 74, Dz. p. p.), uwzględnienie czynnika spekulacyjnego jest tu niemożliwem, bo przy kupnie nie można go stwierdzić.

Pozostaje podatek zarobkowy. Jak wybiera się go w praktyce przy spekulacyi parcelacyjnej?

Dochód z spekulacyi parcelacyjnej nie jest zwykle objęty kontyngentem podatku zarobkowego ze względu, że zjawia się sporadycznie (a operacya nie trwa dłużej jak rok do dwu lat). Dochód ten stanowi zysk państwa na wzór podatku niekontyngentowego opłacanego przez podatnika objętego wymiarem po dniu rozpoczęcia dwuletniego okresu wymiarowego (§ 66 ust. z r. 1896, l. 220 Dz. u. p.).

Podatek wymierza władza podatkowa, bez udziału komisyi, na podstawie ogólnych zasad przy uwzględnieniu odpowiedniej średniej rentowności. Według otrzymanych informacyi podatek zarobkowy od spekulacyi parcelacyjnej wynosi przeciętnie 3% czystego zysku. Wymiar ten jest stanowczo za nizki i nie odpowiada tendencyom ustawy. Zasługą ustawy o podatkach osobistych szczególnie w części o podatku zarobkowym jest wprowadzenie czynnika władzy dyskrecyonalnej *(freie Würdigung* § 33), komisyi reprezentującej w połowie społeczeństwo jako takie względnie grupę opodatkowanych — z drugiej strony ważnego rozróżnienia zarobku płynącego głównie z pracy od zarobku płynącego przeważnie z kapitału (§ 34 ust. III). Dodatek zarobkowy dla kategoryi pierwszej (pracy) ma być zasadniczo niższy, niżby to odpowiadało ze względu na średnią rentowność.

A contrario przy wypośrodkowaniu średniej rentowności danej gałęzi zarobkowania — może komisya przyjąć stopień jej stosunkowo wyższy tam, gdzie niema pracy wcale, pracy w rozumieniu społecznej użyteczności, gdzie więc zarobek pochodzi wyłącznie ze zręcznych obrotów kapitałem. Tych zasad trzymają się też komisye przy aferzystach trudniących się zarobkowo czynnościami kredytowemi *vulgo* t. zw. »lichwiarzami«.

Jakżeż przedstawia się kwestya wymiaru przy spekulacyi parcelacyjnej? Władza podatkowa wymierzająca podatek bez udziału komisyi — stąd może dla braku oparcia o czynnik obywatelski — z obawy, traktuje dochód z tej spekulacyi jako dochód

z zwykłej gałęzi zarobkowania przy uwzględnieniu średniej rentowności a bez uwzględnienia, że dochód ten nie płynie z pracy, lecz wyłącznie z obrotu kapitałem, jak przy lichwie.

Jakto niema pracy przy parcelacyi? — powie ktoś. Tak! Niema pracy w tem znaczeniu, w którem uwzględnia ją ustawa. Dla uwzględnienia pracy jako czynnika społecznie dodatniego nie wystarcza sam fakt trudu, potrzeba czegoś więcej — społecznej użyteczności, nie chodzi tu już o starą kwestyę sporną, które rodzaje pracy są wytwórczymi, czy np. praca przewoźnika jest wytwórczą czy nie, czy wytwarza względnie przemienia dobra ekonomiczne? lecz chodzi o kwestyę bardzo prostą, czy dana praca jest dla społeczeństwa korzystną?

Jest więc spekulacya parcelacyjna społecznie dodatnim objawem?

Zola w swoim »Pieniądzu« pomieszcza uwagi filozoficzne, porównując spekulacyę do nawozu. Spekulacya niszczy egzystencye, pociąga za sobą ruinę materyalną niejednokrotnie, ale na tych ruinach wykwita postęp...

Trudno o gorszy program społeczno-ekonomiczny: przypomina człowieka, który z oszczędności pali w piecu meblami.

Bronić spekulacyi parcelacyjnej, to obracać się w kole teoryi Zoli: niech się śrubuje cena ziemi, niech kupują jednostki słabe ekonomicznie, by potem paść, niech się rozbija warsztaty pracy na drobne oderwane od siebie parcele, byle był ruch, byle była parcelacya. Wobec takiego postanowienia kwestyi, musimy zająć odpowiednie stanowisko: Spekulacya w ogólności, parcelacyjna w szczególności nie zasługuje na żadne względy ze strony społeczeństwa, nie można stosować do niej norm o uwzględnieniu czynnika pracy, przeciwnie traktować ją należy wyłącznie z punktu widzenia tego, czem jest: obrotu pieniężnego dla ogółu niepożądanego.

Zyski z parcelacyi są stosunkowo bardzo znaczne; rzecz prosta, gdyby obracały się w obrębie przeciętnych dochodów z kapitału (4—7%) nie mielibyśmy panującej u nas gorączki parcelacyjnej, zyski te są znacznie wyższe. Rentowność średnia spekulacyi parcelacyjnej jest bardzo znaczna.

Wskazanem jest przeto, by zwrócić uwagę odpowiednich czynników na konieczność przyjęcia wyższego stopnia średniej rentowności (§ 33 ust. z r. 1896 l. 220) przy spekulacyi parcelacyjnej.

Czynniki te są: 1) w pierwszej instancyi, władza podatkowa powiatowa (poza kontyngentem), 2) w drugiej, krajowa komisya.

Gdyby reprezentacya interesów krajowych, Sejm, w drodze uchwały wezwał Rząd do udzielenia odpowiednich pouczeń podległym władzom podatkowym, przyjmowania możliwie najwyższego stopnia średniej rentowności przy spekulacyi parcelacyjnej, osiągnęłoby się rezultat podwójny:

1) byłby to wyraz woli kraju wiążącej moralnie obywatelską część komisyi (10-ciu członków wybranych przez sejm i 3 przez Izby handlowe).

2) byłoby to wezwanie poważne władz skarbowych, któremu sądzę, ze względu na podniesienie wydatności podatku, chętnie zadość uczynią.

Z większej wydatności tego podatku korzystać winien kraj w znacznie wyższym stopniu, niż przy innych źródłach podatku zarobkowego, wszak dochód ten czerpany jest z spekulacyi dla kraju szkodliwej, niech więc choć częściowo dochód z podatku pokryje szkodę przez kraj poniesioną.

Dlatego dochód z zwykłego dodatku do podatku zarobkowego nie jest tu wystarczającym, lecz należy dodatek przy spekulacyi zarobkowej podnieść do 100%.

§ 22. Ordynacyi kraj. z 26 lut. 1861 l. 20. Dz. u. p, mówi ogólnie: kraj ma prawo uchwalać dodatki do podatków bezpośrednich; jeżeli dodatek przekracza 10% podatku, potrzeba sankcyi cesarskiej.

Chodzi więc tylko o formę nowej normy — ma nią być ustawa krajowa sankcyonowana przez monarchę.

Nic więc nie stoi na przeszkodzie ustawie krajowej, obejmującej wyjątkowo wyższy dodatek.

Przewiduję zarzuty natury fiskalno-technicznej, czy można uchwalać dodatek krajowy do podatku zarobkowego od specyalnej gałęzi zarobkowania. Zdaje mi się, że nie ma żadnej przeszkody ustawowej.

W każdym zaś razie otwartą jest jeszcze inna droga: formalnej zupełnie ustawy krajowej wprowadzającej nowy podatek na rzecz kraju od przedsiębiorstw trudniących się spekulacyą parcelacyjną. W organizacyę tego podatku, formę jego poboru nie wchodzę, zaznaczam tylko, że ustawa taka wziąć musi za podstawę swą dokładne określenie istoty spekulacyi, podnieść z jednej strony stan faktyczny kupna, celem dalszej odsprzedaży w częściach, z drugiej strony czynnik zarobkowości, chęci zysku.

III.

Wiadomą jest rzeczą, że Polacy nie lubią podatków, idyosynkrazya w tym kierunku jest dziedzictwem z czasów jeszcze Rzeczypospolitej.

Nie wątpię też, że myśl wyższych podatków, choćby odnośnie do spekulacyi społecznie szkodliwej, napotka na opozycyę zasadniczą. Z tą opozycyą oczywista dyskusya i porozumienie się jest niemożliwe.

Obok tej opozycyi zjawi się druga specyalna, przeciwna wszelkim ograniczaniom swobody indywidualnej, utrudnieniu wszelkiej spekulacyi, opozycya liberalna domagająca się naturalnego rozwoju stosunków: *laissez faire, laissez aller...* Odpowiedź łatwa: bądźmy konsekwentni, znieśmy ustawę karną o lichwie, która swobodę indywidualną w zakresie »interesów pieniężnych« bajecznie krępuje. Jeżeli tego nie robimy z jednej strony, a zgadzamy się, że spekulacya parcelacyjna utrudnia parcelacyę zdrową, utrudnia powolną a zdrową ewolucyę społeczną, to miejmy odwagę w zwalczaniu jej.

Nie jest wykluczonym zarzut inny: opodatkowanie spekulacyi nie uniemożliwi jej, lecz tylko pogorszy ostateczny rezultat, spekulant przerzuci cały ciężar podatku na cenę kupna, ceny ziemi będą jeszcze wyższe, możność nowonabywcy otrzymania odpowiedniego dochodu z kapitału włożonego jeszcze mniejsza. Zarzut ten nie jest trafnym: przedewszystkiem cena ziemi ma swe granice, następnie doświadczenie codzienne uczy, że parcelacya, która się »pokazała«, a potem »znikła«, dlatego jest tak

wstydliwą, ponieważ spekulant żąda za wiele, znamy przypadki ruiny finansowej spekulantów, którzy czekają na nabywców, a najbliżsi sąsiedzi czekają na niższą cenę, bo »pan« musi sprzedać.

Znamy wreszcie przypadki wędrówek chłopów z zachodniej do wschodniej Galicyi za księdzem z ich wsi, który pośredniczy w kupnie bez zysku i wyzysku, dając tem samem korzystniejsze warunki.

Rzeczą jest banków parcelacyjnych koncesyonowanych opłacających zwykły podatek zarobkowy, w tym kierunku stworzyć konkurencyę silną dla spekulacyi, a przy wyższych skutkiem podatku cenach ziemi, spekulacya się nie utrzyma.

Proponowana zwyżka podatku będzie odgrywać rolę cła ochronnego dla parcelacyi dokonywanej:

1) przez właścicieli nie mogących się utrzymać przy majątku.

2) przez specyalne banki.

Cło chronne nie uniemożliwia wprowadzania obcych wytworów, bo nie jest prohibitywnem, lecz mimo to tworzy doskonały środek opieki nad przemysłem krajowym. Wyższe opodatkowanie spekulacyi parcelacyjnej nie wykluczy jej, lecz ją znacznie utrudni.

Wspólność z cłem ochronnem, leży tu jeszcze na innem polu, na polu finansowem: zwiększenia dochodów państwowych i krajowych.

Jeżeli przyjmiemy, że rocznie parceluje się spekulacyjnie w Galicyi 10.000 morgów, przyczem zysk z morga wynosi przeciętnie 300 koron, a podatek wynosi 3% czystego zysku, to podniósłszy wydatność podatku łącznie z 100% dodatkiem do 10% zyskujemy rocznie 7% tj. 21 koron z morgi, z czego na kraj przypada 10·5 koron, przy 10.000 morgach 105.000 kor. rocznego dochodu, z proponowanej reformy.

IV.

Powstaje kwestya: kto jest spekulantem parcelacyjnym. Czy właściciel ziemski, otrzymujący ziemię w drodze dziedziczenia jest nim? Oczywiście nie, a nabywca w drodze kupna,

który po kilku latach widzi, że nie może się utrzymać, lub z innych jakichkolwiek powodów chce majątku się pozbyć, a nowonabywcy całego obszaru znaleźć nie może?

Czy nie ma tu trudności w zdefiniowaniu pojęcia spekulacyi, trudności, które uniemożliwią całą akcyę?

Nie! prawo ma niejednokrotnie do czynienia z pojęciami elastycznemi, przy których zostawia się osobnym funkcyonaryuszom sądowym, czy administracyjnym władzę dyskrecyonalną. Wszak z pojęciem n. p. »zarobkowości« mają do czynienia niejednokrotnie sądy przy sposobności oceniania lichwy (§ 4. ust. z r. 1881). Pojęcie to jest równie elastyczne i równie może dawać powód do wątpliwości. Judykatura jednak daje sobie z tem pojęciem radę.

Spekulantem parcelacyjnym jest ten, kto z chęci zysku w zamiarze odsprzedaży w mniejszych częściach kupuje majątek ziemski, nie potrzeba do tego trwałego i ciągłego zajmowania się tego rodzaju interesami, wystarcza zawarcie choćby jednej umowy w tym celu.

Jak zamiar ten stwierdzić, oto kwestya, która dla znawcy stosunków nie przedstawia wielkich trudności.

Spekulant nie długo, lub wcale nie bawi się gospodarstwem, lecz stara się najprędzej sprzedać las, jeżeli jaki jest do wycięcia, uregulować hypotekę i ewentualnie ułożyć plan parcelacyi, najczęściej szuka nabywców bez planu i programu. Zdarza się, że przez kilka lat gospodaruje, chcąc »przetrzymać« mało ofiarujących i wydobyć wyższe ceny, najczęściej już w pierwszych latach zaczyna się pozbywanie mniejszych części »dla zachęty« sąsiadom.

Gospodarstwo spekulanta ma typowy charakter dorywczości i prowizoryum, zmierza do eksploatacyi ziemi, możliwie bez wkładów, byle przetrwać pierwsze lata oczekiwania. Są to symptomata zbyt dla każdego nieuprzedzonego widoczne, by mogły przedstawiać poważniejszą trudność, wszak daleko trudniejsze zadania ma komisya podatkowa, jak np. przy podatku osobisto-dochodowym wypośrodkowanie dochodu na podstawie «okoliczności zewnętrznych», stanowiska ekonomicznego kontrybuenta, sposobu

prowadzenia domu, stosunku wzajemnego gałęzi jego dochodu i t. d. (§ 214 ust. z r. 1896 l. 220). Czyż zresztą już dziś nie opodatkowuje się spekulacyi parcelacyjnej? wszak jest to już rzeczą obojętną dla trudności ujęcia kwestyi istoty jej, a więc kwestyi zasadniczej, jak wysoki opłaca się podatek.

Pamiętajmy, że ostatecznie o tym wyższym wymiarze w drodze odwołania, rozstrzygać będzie tak, jak rozstrzyga dziś, krajowa komisya, w której reprezentanci czynnika ludowego mają większość, a reprezentanci Sejmu domagającego się sprężystego wykonywania ustawy o podatku zarobkowym odnośnie do spekulacyi parcelacyjnej przedstawiają niemal połowę członków. Miejmy nadzieję, że intencye kraju i Sejmu będą zrozumiane, a pamiętajmy, że wyższa wydatność podatku od spekulacyi społecznie szkodliwej to obniżanie lub wstrzymanie podwyższenia dodatku krajowego do podatków bezpośrednich z przedsiębiorstw pożytecznie, a ciężko pracujących, z naszego rolnictwa w studyum przesilenia handlu, zwolna się dźwigającego, przemysłu dopiero do życia się budzącego.

Pamiętajmy, że podatek, to nie krwawy pot poddanego dla pokrycia zachcianek dworu absolutnego monarchy, lecz środek pokrycia wspólnych rozchodów, nie otrząsajmy się na samo wspomnienie złowrogiego wyrazu, lecz zajmujmy się temi nas wszystkich obchodzącemi kwestyami, starajmy się o dobrą organizacyę i dobry wymiar, odpowiadający potrzebom społecznym.

Streszczając poprzednie wywody dochodzimy do wniosku, że jednym z środków walki z spekulacyjną parcelacyą jest opodatkowanie spekulacyi tego rodzaju, i że nastąpić to winno w dwojakim kierunku: raz w kierunku wybierania wyższego podatku zarobkowego w granicach norm obecnie obowiązujących, drugi raz w kierunku opodatkowania dodatkowego spekulacyi parcelacyjnej na rzecz kraju. Do pierwszego celu prowadzi droga rezolucyi sejmowej wzywającej rząd o udzielanie podległym sobie organom podatkowym wskazówki odpowiedniej, a mianowicie: władze podatkowe powinny przy sposobności wymiaru zarobkowego podatku od spekulacyi parcelacyjnej przyjmować za podstawę wyższy (niż dziś) to się dzieje, stopień średniej rentowno-

ści tego rodzaju przedsiębiorstw, a to z powodu braku czynnika społecznie korzystnej pracy. Do drugiego prowadzą dwie drogi: albo uchwały sejmowej z sankcyą cesarską nakładającej dodatek krajowy w wysokości 100% do podatku zarobkowego od spekulacyi parcelacyjnej, albo też formalnej zupełnie ustawy krajowej nakładającej nowy podatek na spekulacyę parcelacyjną.

Dr. Juliusz Makarewicz.

NAJNOWSZA POWIEŚĆ ROSYJSKA.

ANTONI CZECHOW.

I.

Literatura rosyjska świeżo poniosła dotkliwą stratę: z trzech największych belletrystów, za jakich dziś krytyka ma Tołstoja, Gorkiego i Czechowa, zmarł najmniejszy geniuszem, ale najbardziej typowy wyobraziciel ducha narodowego, w chwili, kiedy pochodowi tego ducha otwierały się nowe drogi i świtać poczynała, zda się, piękniejsza przyszłość. Jakiego prądu umysłowego dziecięciem był Czechow? Przed laty kilkudziesięciu rozgłośnem i potężnem zaklęciem narodowego ruchu brzmiały wołania: »Przed tłumem dąż ze swem skrzydlatem słowem; z nim razem żyj i razem giń«! Pobudka: »w naród«, uzyskała szeroką popularność i stała jakgdyby symbolem myśli, nieopętanej jarzmem przemocy ani zatrutej sokami niezdrowego służalstwa. Skrajny wyraz temu kierunkowi myśli dał Tołstoj, który z dziwnie prostolinijną logiką głosił zasadę: »jeśli mniemacie, że w ludzie tkwią pierwiastki cenniejsze od waszych, w takim razie żyjcie, jak lud — a przedewszystkiem sami pracujcie na zaspokojenie swych życiowych potrzeb; skoro was kultura nie zadawala, porzućcie kulturę«. Stwierdzając czynem zasadę, uczynił formami własnego życia znaczną część form życia ludu. Zrazu ten popularny hejnał, poparty potężnym przykładem starca z Jasnej Polany skupił garść intelligencyi i stworzył t. z. tołstowców, ale z czasem ujawniła się

utopijność zasady i złudzenie wyznawców. Piękno i rozum, a nędza i ciemnota — dwie różne rzeczy. Właśnie schłopienie się wielkiego powieściopisarza przyspieszyło reakcyę. Zagasła wiara, żeby z łona ludu wyszło odrodzenie się społeczeństwa, w pustkę szedł i nie budził echa dawniej rozgłośny okrzyk, ironiczne uśmiechy wywoływały próby na wzór Tołstoja. Prąd ludowy (narodniczestwo) zbankrutował. I oto lat temu piętnaście, umysłowość rosyjska poczęła rozumieć, że tyle wymowy i zapału wyładowywano napróżno, że zużyto masę słów, idei, teoryi, systemów, rozpraw i debat — bez skutku. Wydało się temu ostatniemu pokoleniu, że zamyka szereg tych, które jak się pewien publicysta wyraził — *ont eu le sort de gratter du papier au lieu d'agir*. Wskutek uświadomienia tej prawdy — owładnęło społeczeństwem intelligentnem zniechęcenie, nuda, upadek ducha i energii.

Wszelki zapał zamarł. W publicystyce i piśmiennictwie zapanowały przeciętność i miernota. Tu i ówdzie poczęły obcem światłem połyskiwać mdłe płomyki, kuszące się literaturze zaszczepić rzekomo nowe prądy kultury zachodniej. Nie znalazły uznania ani estetyczny nihilizm Mereżkowskiego, ani szatanizm poetki pani Hippius, ani szumne przekleństwa, miotane tłumowi przez poetę Mińskiego: każda z tych krótkotrwałych gwiazd ma swoich zwolenników szczupłe kółko, a żadna nie ogarnęła nawet Rosyi. W takim to właśnie czasie bankructwa wiar społecznych i estetycznych zaczął pisać Czechow. Już podobno w studyum nauki gimnazyalnej w Krymskim Taganrogu uczuwał potrzebę tworzenia; ale chłopska rodzina nie była zamożną i należało o chlebie myśleć. Ukończył więc w Moskwie wydział medyczny. Od początku wszakże studyów uniwersyteckich drukował wciąż, przeważnie humoreski, podpisane pseudonimem Czechonte. Pierwszy sukces zawdzięcza imieninom matki: w ubogim domu nie było czem uczcić rodzinnej uroczystości; wtedy Czechow posłał pierwszą powiastkę do redakcyi *Budzika* i za kilka rubli honoraryum wyprawił matce ucztę imieninową. Odtąd przez cały okres studyów medycznych od r. 1879—84 wciąż tworzył, jednając sobie mozolnie posłuch u publiczności. Widocznie powołanie określiło się jasno w chwili ukończenia nauk, skoro nie tknął lekarskiej pra-

ktyki, lecz całkowicie oddał się literaturze. Nowy okres nastąpił wtedy, gdy miesięczniki i wielkie pisma zażądały jego współudziału. Tworzenie stało się odtąd rodzajem cietrzewiej piosenki, z której — jak mówi Mickiewicz i strzelaniem nie obudzi. Tworzył wiele, szybko, obserwując życie z dziwną bystrością, dobywając ze swej duszy moc wielką pomysłów i motywów, zamykając je w ramy obrazków i obrazeczków, szkiców, powiastek, studyów psychologicznych, nowelek... Jedno z opowiadań nakreślił podobno ołówkiem w łaźni, rozciągnięty na ławie... Była to praca bez tchu, bez wypoczynku. Trigorin, jeden z bohaterów jego komedyi p. t. »Czajka«, mówi o sobie: »muszę pisać, muszę tworzyć, muszę... Zaledwie ukończyłem powieść, muszę, nie wiedzieć dlaczego, zaczynać drugą, potem trzecią, po trzeciej czwartą... Piszę wciąż... O! co za życie! Oto rozmawiam, poddaję się uczuciu, a w każdym momencie pamiętam, że czeka mnie niedokończona powieść. Patrzę na obłoki, podobne do pianina i myślę: trzeba będzie wzmiankować w powieści, że płynęły chmury do pianina podobne. Czuję woń heliotropu: staram się zapamiętać — słodkawa woń, wdowi kwiat — wzmiankować przy opisie letniego wieczoru. Kończę wreszcie pracę, biegnę do teatru: otóż wypocznę. Gdzie tam, w mózgu już się obraca ciężki, młyński kamień, nowy pomysł, który ciągnie do stołu: spieszę znów pisać i pisać. Tak wciąż — nie mam nigdy wytchnienia, czuję, że pochłaniam własne życie, że dla miodu, który ślę gdzieś w światy, zbieram pyłek że swego najlepszego kwiecia, rwę same kwiaty i gniotę korzenie«.

Oto obraz działalności twórczej Czechowa od r. 1886 do ostatnich dni jego życia.

— Przeczytałem jedną jego powiastkę w jakimś kalendarzyku — mówił Lew Tołstoj. Barwnie napisana, ale trzebaby stworzyć tysiąc takich powiastek — i nawet wtedy trudno ocenić wielkość talentu autora, Czechow zaś napisał podobno ledwo dziesiątki... Gdy powtórzono słowa te naszemu autorowi, rzekł: Tak, napisałem w samej rzeczy tysiąc opowiadań [1].

[1] W roku 1899 petersburski wydawca najpoczytniejszego tygodnika rosyjskiego *Niwy* Marks kupił u Czechowa całą jego produkcyę literacką za 75.000 rs., płatnych w trzech ratach w przeciągu dwóch lat. »To, co na-

W czternastu tomach zbiorowego wydania Marksa pomieściło się tych powiastek około dwustu. Najznaczniejsza ilość ich powstała dawniejszymi czasy, w ostatnim bowiem okresie działalności usiłował pisarz tworzyć rzeczy większe, opracowywał je tak, aby »nie zawierały zbytniego wyrazu« i marzył o wielkiem dziele. Rozpoczynał je nawet kilkakroć, opowiadał o swym bohaterze, który miał być nieco podobny do Czyczykowa z »Martwych dusz« Gogola, miał żyć wiek cały, brać udział w mnogich wypadkach XIX wieku i zamieszkiwać w różnych stronach rozległej Rosyi. Jednakże dzieło to nigdy nie ujrzało światła dnia. Największe utwory Czechowa nie dorastają objętością małego tomu, z jedynym wyjątkiem studyum publicystycznego p. t. »Ostrow

piszę w przyszłości, — donosił Czechow do Suworina — będzie się najpierw drukowało w pismach, a następnie wejdzie w zbiór za honoraryum 250 rs. od arkusza i z podwyższeniem po 200 rs. co lat pięć. Dochód teatralny stanowi moją własność, a potem spadkobierców. Ostatni punkt notaryalnej umowy wziąłem szturmem«. Układ obowiązywał powieściopisarza na całe życie i pół wieku po jego śmierci. Niepraktyczny dotąd ubogi autor dał się olśnić pozornie znacznej sumie i podpisał umowę. Tymczasem otrzymując w trzech ratach sumę wdał się w budowę willi, kupił wioskę pod Moskwą, założył parę szkół dla ludu i wciąż czuł brak pieniędzy, zwłaszcza, że suchoty zmuszały szukać ciepłego klimatu i niemal ciągle mieszkać w Krymie. Los chciał, że spółcześnie z Czechowa wydaniem zbiorowem szło w świat wydanie młodego i nieznanego Gorkiego, który rzadkim w dziejach kultury przykładem w parę lat uzyskał światowy rozgłos. Krytyka poczęła ich zestawiać i porównywać, publiczność poczęła obu czytać — i można powiedzieć, że sława Gorkiego zwiększyła poczytność Czechowa. Wydawca zrobił w ciągu roku doskonały interes, osiągnąwszy całą włożoną sumę z rozsprzedaży pierwszego wydania. Wielbiciele powieściopisarza powzięli projekt wykupienia kontraktu u Marksa. Ukazało się atoli drugie wydanie, jako dodatek do *Niwy*, potem trzecie — i projekt spełzł na niczem. O wielkości zysku wydawcy można wnosić stąd, że ogół pism Czechowa objął czternaście tomów, każdy po półtora rubla. Jeżeli już pierwsze wydanie zwróciło p. Marksowi i koszta nakładu i honoraryum autorskie, a publiczność zaledwie zdołała się niem rozłakomić, skoro pochłonęła w tak krótkim czasie jeszcze dwa wydania, to trzeba wnosić, że wydawca potroił kapitał włożony w ciągu pięciolecia. Autor zaś stosownie do umowy mógłby dopiero po latach 20 otrzymywać dobre honoraryum tj. 1000 rubli za arkusz druku. W ostatnich zaś latach swego życia trapił się niewygodami, musiał zarabiać i praca z wysiłkiem połączona przyspieszyła niewczesny zgon jego.

Sachalin[1]«. Nie będę miał sposobności, mówić w dalszym ciągu o tej książce, jest ona jednak z kilku względów zbyt ważna, aby ją milczeniem pominąć. Otóż w r. 1890 Czechow czy to skuszony przykładem autora »Zapisek z domu martego« Dostojewskiego, czy też pod wpływem poprostu szlachetnego pociągu swej duszy wybrał się na zwiedzenie i gruntowne zbadanie tego najnowszego miejsca kaźni przestępców rosyjskich. Już w czasie przejazdu przez Sybir zaczął pluć krwią, nie przerwał jednak wyprawy, zwiedził we wszystkich kierunkach i przez pół roku pobytu gruntownie rozpoznał straszną wyspę, napisał o niej wyborną książkę, ale do gruntu zniszczył swe zdrowie, dostał suchot, a od r. 1896, kiedy miał pierwszy wybuch krwi płucnej — już tylko — jak mówią — gonił resztkami życia. Książka o Sachalinie ma ponętną formę dziennika, skutkiem czego dostarcza sporo materyału do poufnego zaznajomienia się z Czechowem, jako człowiekiem. Okazya to rzadka i cenna. Pisarz ten w swej twórczej pracy bardzo skrupulatnie krył własne zasady i mniemania, zgoła własną osobę, za postaci zmyślone; o indywidualności jego wcale na podstawie opowiadań mówić nie można. Tu zaś, w tem dziele dzięki pamiętnikarskiej formie musi uwzględniać nie tylko własną rolę, ale i własne opinie. Otóż jako osobistość przedstawia się Czechow nadzwyczaj dodatnio. W technice pisarskiej realista ścisły i nader konsekwentny, prawie nigdy nie unosi się gniewem i oburzeniem na widok nędzy, upodlenia, okrucieństw, niegodziwości, znęcania się nad więźniami, łapownictwa urzędników, straszliwego stłumienia i sponiewierania godności ludzkiej, okropnego losu kobiet i dziewcząt, jeno drogą zestawień statystycznych z nieubłaganą ścisłością i gruntownością wywodów logicznych, roztacza ponury, dziki i posępny obraz Sachalinu, pozostawiając końcowe wywody nasyconemu cyframi i przerażonemu doniosłością ich umysłowi czytelnika.

Dla przykładu obrazek i wywód. Wracał z Krasnego Jaru

---

[1] Антонъ Чеховъ. Островъ Сахалинъ. Изъ путевыхъ записокъ. С.-Петербургъ. Изданіе А. Ф. Маркса. Str. 410. Wszędzie cytuję również podług wydania Marksa.

do Aleksandrowska, gdy aresztanci, pracujący na drodze, mając go za urzędnika, otoczyli ze skargami na chleb, że go jeść nie sposób. Po powrocie kazał sobie podać chleb: był wstrętny. Po złamaniu świecił się od kropelek wody, lgnął do palców i wyglądał jak brudna oślizła masa, którą niemiło wziąć do ręki. Należy podług przepisów każdemu aresztantowi trzy funty chleba dziennie. Chodzi o zwiększenie wagi. Wszystek tedy miał nieprawdopodobnej grubości zakalec. Dopóki aresztanci bawią w więzieniu, dostają cokolwiek lepszy chleb, kiedy zamieszkają poza murami gorszy, a gdy pracują opodal, najgorszy: słowem, chleb o tyle bywa lepszy, o ile istnieje obawa rewizyi naczelnika. Aby zwiększyć zakalec, dozorcy więzień używają sprytnych środeczków, udoskonalonych jeszcze praktyką syberyjską, z którym najniewinniejszym bywa obwarzanie mąki ukropem. W okręgu Tymowskim dosypują do mąki gliny przesianej. Zakalec — to istny szatan-kusiciel, dzięki któremu niejeden dozorca stracił życie i sumienie. Seliwanow padł ofiarą zakalca, bo go zabił piekarz-katorżnik gdyż zanadto dokuczał, że mały zakalec. W istocie warta skórka wyprawki. Aleksandrowska kaźnia piecze chleb dla 2870 ludzi; jeżeliby z każdych trzech funtów, przeznaczonych dla człowieka, ująć tylko 10 łutów, toby się uzyskało około 300 funtów dziennie. Dozorca sprzedawszy dla własnej kieszeni 10.000 pudów mąki, może w przeciągu dwóch trzech lat zaledwie pokryć ubytek mąką, w powyższy sposób kradnąc [1].

W taki spokojny i przedmiotowy sposób przedstawia scenę bicia rzemiennym knutem [2]. Był świadkiem wymierzenia dziewięćdziesięciu razów zbrodniarzowi, posądzonemu o zabójstwo trzech osób. Zaprowadzono go do pokoju dozorcy, gdzie ułożono na pochylej ławie i związano, obnażono mu ręce i nogi. »Kat bierze knut o trzech rzemiennych biczach i zwolna go rozplątuje.

— Trzymaj się — mówi spokojnie i bez rozmachu, jakby dla próby, zadaje pierwszy cios.

— Ra-az! liczy dozorca głosem diaczka.

---

[1] «Ostrow Sachalin« str. 310—312.

[2] »Ostrow Sachalin« str. 362—365.

W pierwszej chwili bity milczy i nawet wyrazu twarzy nie zmienia. Potem po skórze przebiega drżenie od bólu i rozlega się nie krzyk, lecz wycie.

— Dwa! liczy dozorca.

Kat stoi zubocza i bije tak, że knut układa się poprzecznie na ciele. Po każdych pięciu ciosach powoli przechodzi na drugą stronę i daje pół minuty spoczynku. U zbrodniarza włosy przylgnęły do czoła, szyja nabrzmiała; po dziesięciu uderzeniach ciało, okryte bliznami od dawnego bicia, nabiegło krwią, posiniało; skóra pęka za każdem nowem uderzeniem.

— Panie, wielmożny Panie — słychać wśród jęku i płaczu, daruj!

A po dwudziestu razach bity bełkoce jak pijany, lub jak w gorączce:

— O ja nieszczęśliwy! Za cóż mię tak karzą!...

Oto szyja w dziwny sposób się prężyy, następują wymioty...

Zbrodniarz już nic nie mówi, tylko rzęży i charczy; ma się wrażenie, że od początku kary minęła wieczność, tymczasem dozorca liczy zaledwie: »czterdzieści dwa! czterdzieści trzy«! Do dziewięćdziesięciu daleko. Wybiegam z izby. Wokoło na ulicy cisza i rozdzierający krzyk bitego rozlega się po całej wsi. Wracam do pokoju, potem znów wychodzę, a dozorca wciąż liczy. Nakoniec dziewięćdziesiąt! Zbrodniarzowi szybko rozwiązują nogi i ręce, pomagają wstać. Ciało bite opływa krwią, zęby dzwonią, twarz pożółkła, mokra, oczy błędne. Kiedy mu podają krople, kurczowo kąsa szklankę... Zlali mu głowę wodą i poprowadzili.

— To za zabójstwo, a za zbiegostwo otrzyma osobno.

Do powyższego opisu nie dodaje Czechow żadnej własnej uwagi; prawda, że sam opis określa jasno i wyraźnie, co autor mniema o karach cielesnych tego rodzaju.

Jak jest w uczuciach swoich i przekonaniach usposobiony, widać stąd, że się unosi tylko wtedy, ilekroć mu wypadnie mówić o zwierzęcem, wilczem traktowaniu duchowego życia zbrodniarzy. Nie można używać zbójców do polowań, nie godzi się pozwalać im wykonywać operacye, właściwe każdemu polowaniu, n. p. zakłuwać ranionego jelenia, podgryzać gardziel postrzelonej

kuropatwie, a zwłaszcza roztrzaskiwać pałką czerepy kotów morskich, kiedy mózg ich bryzga na wszystkie strony, a oczy wyłażą z orbit. Nie godzi się pozwalać starcom wprzęgać się w wozy z wodą (189). Wartoby już znieść zwyczaj bicia za to, że więźniowie o pięćdziesiąt kroków przed każdym wolnym nie zdjęli czapek (183). Barbarzyństwem jest pozwalać nieletnim dziewczętom na noclegi w jednej izbie z katorżnymi (112). Oburzające są urządzenia szpitalne. »Gdyby tu obłąkanych palili na stosie z rozkazu lekarzy szpitalnych, nie zdziwiłbym się, wnosząc z tego, że tutejsze szpitalne porządki przynajmniej o dwa wieki pozostały w tyle za cywilizacyą« (92). Najmocniej wszakże oburza Czechowa niedostatek opieki nad moralnością i religijnemi potrzebami skazanych, nad łączeniem z urzędu w gospodarskie i domowe pożycie par różnowyznaniowych i różnoplemiennych: prawosławnych, katolików, żydów z chrześcijankami, tatarek z chrześcijanami. Przytacza skargi katolików, że ksiądz wcale nie przyjeżdża, muszą dzieci poganieć, albo chrzcić podług wyznania prawosławnego (326—7). W całej tej ocenie duchowych potrzeb i tęsknot zatraconego i nieszczęsnego światka skazańców okazuje się Czechow człowiekiem umiejącym współczuć z niedolą ludzką. W życiu szlachetny, prosty i skromny, w uczuciach głęboki i szczery, w zasadach wysoce liberalny i tolerujący, nie miał jednak wiary i w tem był wyobrazicielem przeważnej części rosyjskiej intelligencyi. Wiara w postęp, jako j e d y n a wiara, nie mogła dać mu twardej i mocnej opoki w życiu. »Od dzieciństwa wierzyłem w postęp — mówi w liście do Suworina — i nie mogłem nie wierzyć, bo zbyt wielka była różnica pomiędzy czasem, kiedy mię bito, a czasem, gdy bić przestano. Lubiłem mądrych ludzi, lubiłem uprzejmość, dowcip i nerwowość. A jednak rozumowanie Tołstoja, silnie mię wzruszało, ogarnęło mną na lat siedm; działało zaś ono nie tyle przez zasadniczość swoją, ile przez formę, wyrażenia, logikę, i zapewne swego rodzaju suggestyę. Teraz zaś we mnie obudził się protest; rozwaga i słuszność mówią mi, że w elektryczności i parze więcej umiłowania człowieka, niż we wstrzemięźliwości i wegetaryanizmie. Wojna zło i sąd zło, ale stąd nie wynika, że powinienem chodzić w łap-

ciach i spać na piecu z robotnikiem i jego rodziną«... Z taką tylko wiarą w sercu zaprawdę trudno być szczęśliwym, zwłaszcza gdy to serce pragnie silnie, gdy głowa pełna myśli, wyobraźnia woła do życia setki obrazów i postaci, ambicya zaś tkliwa i znaczna nie znajduje dostatecznego upojenia u wstrzemięźliwego na zapały ogółu. Czechow był czułym na uznanie. W komedyi *Czajka* wprowadził on siebie w postaci Trigorina. Kiedy sztukę po raz pierwszy przedstawiono w Petersburgu, Czechow po dwóch aktach widział niepowodzenie, uciekł z teatru i całą noc w rozpaczy błąkał się po mieście, klnąc się na wszystkie świętości, że w życiu swem więcej sztuki dramatycznej nie napisze. Nazajutrz wyjechał do Moskwy i tłumaczył upadek sztuki niechęcią ogółu do swej osoby. Wydawało mu się też niekiedy, że się w swoich artystycznych zapatrywaniach postarzał, przeżył, że nie podąża z młodymi. Nie sprzyjał modernizmowi w sztuce i literaturze, jednakże tolerował go. Modernista Treplew we wspomnianej komedyi dochodzi w końcu do przekonania, że »istota rzeczy nie polega na formach starych i nowych, lecz na tem, że człowiek pisze, o żadnych formach nie myśląc, pisze — co mu swobodnie płynie z głębi duszy [1]«.

Ku końcu życia Czechow wróżył odrodzenie intelligencyi rosyjskiej, wróżył nowe widnokręgi dla myśli i dla uczucia — on, który w niezliczonych swych powiastkach malował ból, zgrzybiałość, upadek, atrofię energii i woli, marazm i zgnuśnienie, ucieczkę do upojeń i odurzeń ze świata nędzy i upodlenia. Może też nie bez racyi jeden z nader licznych komentatorów i krytyków działalności Czechowa kończy tak swój artykuł o nim. »Jeżeli teraz życie stało się bardziej zajmujące, niż było dziesięć lat wstecz, jeżeli znowu odżyły nadzieje i do lotu zadrgały skrzydła nowych sił, wdzięczność należy temu, kto stan dusz przygotował. U brzegu mogiły dostrzegł tego ocknienia się i na jego palecie zabłysły nowe, rzeźwe, radosne iskry [2]«.

---

[1] Wydanie zbiorowe Marksa, t. XIII, str. 163.

[2] Włodzimierz Z. w piśmie Ruś z 17 lipca 1904 r.

II.

Czytając ogromną ilość krótkich powiastek Czechowa, wkraczając zwolna w głąb stwarzanego przezeń życia i świata, czuję się otoczonym liczną rzeszą postaci, przedziwnych nadzwyczajną rozmaitością swoich fizyonomii, swoich usposobień, swego moralnego składu, a nawet zwyczajów i obyczajów. Setki ich. Cały ten tłum przekonywa mię o imponującej wyobraźni twórczej autora; nadto jednak dowodzi mi on niezbicie, jak bardzo rosyjskim był Czechow, jaka to była typowo i rdzennie rosyjska osobistość, wcielenie rosyjskiej, społecznej duszy. Rosya wielka: sto milijonów zaludnia jej olbrzymie przestrzenie. Niesłychana różnorodność warunków klimatu, fauny i flory, etnograficznych właściwości wytwarzają nieskończoną wprost mnogość form, w jakich pojawia się dusza ludzka. Nasz autor obdarzony bystrym umysłem spostrzegawczym szedł przez kraj jakgdyby przez ulicę rojnego miasta i jak fotograf, zaopatrzony w aparat o doskonałej soczewce, chwytał i utrwalał na kliszy ludzkie dusze — a za każdym niemal razem inną, za każdym razem, o nieco odmiennym odcieniu.

Niepodobna analizować wszystkich kolejno. Są atoli wśród nich ludzie, znamionujący ducha czasu, albo jakąś specyalną właściwość rosyjskiego społeczeństwa, albo jakąś sferę tegoż, np. szlachtę, urzędników, stan kupiecki, mieszczan, robotników, lud wiejski, — i tych warto poznać celem wyrobienia sobie syntetycznego poglądu na talent powieściopisarza.

Jest w narodowym charakterze rosyjskim popęd do żarliwych sporów i dysput na tematy ogólne lub też szczegółowe, dotyczące bytu społecznego, postępu, religii i t. p. Zejdą się dwaj kłótnicy i zaczną obrabiać kwestyę, zapalać się, bić w stół pięściami; nie pojmują się nawzajem, przerywają, przeczą sami sobie w każdem zdaniu, co moment zmieniają temat — i po dwóch godzinach śmieją się: Licho wie, o co się spieramy! Zaczęliśmy od *vivat* a skończyli na *requiescat*[1]. Temperament plemienny wynurza się w taki sposób, nie mogąc wyładować swej myślowej

[1] W opowiadaniu p. t. »Wieroczka«.

pracy w dyskusyi publicznej. Powieść ma od dawna takich namiętnych gadaczy, choćby przypomnieć arcydzieło Dostojewskiego: »Bracia Karamazowy«. Ale namiętność prywatnych, wśród czterech ścian praktykowanych dysput, szeroko w młodszem pokoleniu rozpostarta, nie pozostaje bez śladów: w niej budzą się i rosną ambicye, rozdmuchują się zarzewia rojeń, trudnych do zrealizowania, w niej gasną jedne wiary, niecą się nowe, w niej człowiekowi się wydaje, że nic łatwiejszego, jak lot na skrzydłach ikarowych. Ziemia znika, steru braknie, skrzydła gubią pióra — i nędzny marzyciel-obłąkaniec tonie, a głęboka fala zamyka się nad nim bez śladu. Język rosyjski ma nawet specyalny wyraz dla tych Ikarów: nazywa ich *nieudaczniki*. Widocznie dzisiejsza inteligencya posiada *nieudaczników* dość, skoro ich Czechow malował nieraz. Takim nieszczęśnikiem jest Łajewski w powiastce p. t. »Pojedynek«. Uwiódł cudzą żonę, odegrawszy w Petersburgu przed nią rolę szumnego bohatera i z nią przyjechał do kaukaskiej mieściny nadmorskiej w romantycznym zamiarze uprawiania roli we własnej winnicy. Ale winnicy nie ma, roli nie uprawia, w urzędzie obowiązków nie pełni, wogóle nie zajmuje się niczem, tylko w karty gra, pije, wiele rozprawia, lekkomyślnie się zadłuża, a całe jego życie zamyka się w obrębie czterech pojęć: pantofle, wino, karty i kobieta. O sobie biada: mnie nieszczęsnemu nikt nie może pomódz, ja znajduję usprawiedliwienie swego niedorzecznego życia w teoryi, w typach literackich, w tem np., że my szlachta zwyradniamy się... Przeszłej nocy pocieszałem się myślą: — Ach, ma racyę Tołstoj, ma racyę — i lżej mi było z tą myślą. Nieraz zastanawiał się nad tem, czy postępuje uczciwie czy nie. Ale rozpamiętywania jego usilnie szukały uniewinnień dla własnej bezecności. Kto wie, wszakże on rozumny, utalentowany; gdyby go ze wszech stron nie zamykały góry i morze, stałby się zapewne wybornym działaczem ziemskim, mowcą, publicystą. A jeżeli tak, to głupstwem jest zastanawiać się nad uczciwością postępków niezwykłego człowieka — bo wszystko, co czyni, uczciwe (18). Bilans działalności jego następny: nauczył mieszkańców miasteczka gry w winta — przed jego przyjazdem nikt gry tej nie znał, teraz zaś grają mężczyźni, kobiety i wy-

rostki od rana do nocy. Powtóre — nauczył pić piwo, którego też nie znano; zaznajomił z różnymi gatunkami wódek. Po trzecie z cudzemi żonami żyli przed nim skrycie na wzór złodziei, rabujących potajemnie, — on zaś stał się pionierem otwartego i bezczelnego bezwstydu. Fałsz, ohydny fałsz stanowi grunt jego istoty. To nie tylko nieszczęśliwiec, ale zarazem szkodnik, rabuś; społeczeństwo powinno go się pozbyć, jako osobnika fizycznie i moralnie nieprawidłowego (100). Tego zdania jest von Koren, zoolog darwinista, ateusz, surowy i niemiłosierny w swych sądach i wywodach, ale ścisły i logiczny. A powieściopisarz?

Łajewski uświadamia nareszcie całą swą marność moralną; co więcej — zdobywa się na tyle duchowego hartu i woli, że łączy się węzłem małżeńskim z uwiedzioną, której mąż umiera — bierze rozbrat z nałogami, zamyka się w czterech ścianach swego mieszkania i mrówczą pracą zapewnia byt swej rodzinie. Czechow zatem nie podziela wyroku zoologa, że szkodnika społeczeństwo powinno zgładzać. »Nikt nie zna prawdy — rozmyśla Łajewski na końcu. — W poszukiwaniu jej ludzie czynią dwa kroki naprzód, krok wstecz. Cierpienie, omyłki i nuda życiowa odrzucają ich wtył, lecz żądza prawdy i upór woli prą naprzód i naprzód. Kto wie? Może nareszcie dopłyną do niej...« (130)

Podobny typ człowieka wykolejonego, nieszczęsnego, ale też szkodliwego dla celów społecznych przedstawia Czechow nieraz wśród różnych sfer i odmiennych stosunków. Najwybitniejszym obok Łajewskiego jest Iwanow w czteroaktowym dramacie pod tym samym tytułem [1]. Ma lat 35, świetnie ukończył nauki, miał majątek, duszę pełną zapału, idealnych porywów, był zdrów i silny, niestrudzenie pracował na prowincyi za dziesięciu — i oto czuje się obecnie śmiertelnie strudzonym, niedołężnym i marnym. Nie robi nic, majątek idzie w niwecz, lasy trzeszczą pod toporem, żona mu umiera, doktor rzuca w oczy obelgę: jesteś nikczemnik, a on — zabija się. Iwanow też nieszczęśliwy, zbyteczny, ale też i szkodnik. Żeni się z Żydówką Sarą — chciwy posagu. Gdy teściowie posagu nie dali, lekceważy wiarę małżeńską, wpędza żonę

[1] Wydanie Marksa, t. XIII, str. 40—98.

zachowaniem się swojem w grób, a pragnie związku z miłośnicą. Przytem zgubnie nań działa sfera, otoczenie, bezecne i marne nad wszelkie pojęcie. I mężczyźni bez czci i wiary, pijacy, nędzni, obłudni, i kobiety chciwe pieniędzy i miłostek. Prowincya w mniemaniu Czechowa, zagryza, kruszy i truje wszelką zdolność, wszelki talent i wszelką indywidualność. Najwstrętniejszy gatunek szkodnika prowincyonalnego ze sfery urzędniczej wyobraża »Człowiek w futerale« [2]. Był nim Bielikow, profesor języka greckiego w mieście prowincyonalnem. Zawsze chodził w kaloszach, ciepłem palcie i z parasolem, który się krył w futerale podobnie jak zegarek i scyzoryk. Nosił ciemne okulary, chustkę na szyi, watę w uszach. Myśl swą też krył w futerał, niewolniczo pilnując się okólników i rozporządzeń. Wszelkie odstępstwo od literalnego brzmienia okólnika napawało go lękiem: ach, żeby się co złego nie stało! Na konferencyach po prostu tyranizował grono swoją lękliwością, służalstwem względem władzy i przepisów, swojemi podejrzeniami. Bali się go koledzy, bał się nawet dyrektor. Przez lat piętnaście nastrajał na swój ton nie tylko gimnazyum, ale całe miasto, rugując i tępiąc wszelką swobodną myśl. A gdy umarł, uczestnicy pogrzebu czuli ogromną ulgę, jaką czują dzieci, gdy rodzice pojadą z wizytą i można parę godzin pohulać w ogrodzie; wpływ atoli »człowieka w futerale« okazał się tak silny, że nikt nie śmiał tej ulgi ujawnić i wszyscy kłamali żałobne miny. »Widzieć i słyszeć, jak kłamią, znosić urazy i upokorzenia, nie mając odwagi jawnie wyznać, że jestem po stronie uczciwych, miłujących wolność ludzi, kłamać samemu i wciąż się łasić dla kęsa chleba, dla ciepłego kąta, dla jakiejś rangi, nie wartej szeląga — nie, tak żyć nadal niepodobna«. Kończąc tą skargą opowieść o Bielikowie, jeden z uczestników prowincyonalnego bagna rosyjskiego — potępia zarówno upadek godności ludzkiej wśród ludzi, przeznaczonych losem na działanie w tem bagnie, jak i tego rodzaju szkodników, tłumiących wszelki rozświt myśli na długie lata. Widocznie istnieją mnogie rzesze ludzi o bielikowskim pokroju, skoro powieściopisarz napiętnował ich w sferze wyższej szlachty, w sfe-

[1] To samo. t. XII, str. 130—143.

rze urzędniczej, a nawet i małomieszczańskiej, zawsze stwierdzając, że psują życie i nader zgubnie działają na otoczenie.

Im niżej w społeczne warstwy się zstąpi, tem gorszy i wstrętniejszy okaz szkodnika. W powieści »W wądole« *(W owragie)* już nie mężczyzna, lecz kobieta bierze rolę wilczą. Żyje tam w dużem siole zamożna mieszczańsko-kupiecka rodzina Cybukinów. Stary kupiec nadzwyczaj lubił rodzinę swoją, otoczył się nią, krzepko trzymał ster rządów, gromadził dostatek chciwie i nie bez ludzkiej krzywdy, ale dla swoich duszę radby oddał. Pomagała mu w tem synowa Aksinia, która rozwinęła ruchliwą czynność i sprawność w kupieckim i lichwiarskim interesie teścia, ujmując wszystko z kolei sprytem i przebiegłością w swój zarząd. Siwe, naiwne oczy, rzadko mrugające, naiwny uśmiech, mała główka na długiej szyi, wysmukłość, zielony strój z żółtym stroikiem na piersiach, czyniły ją podobną do gadziny, kiedy z młodej runi wiosennej spogląda na przechodnia i czai się do skoku. Śledziła ona czujnie, czy kto się nie wkrada w łaski starego teścia i czy nie dybie na mienie, które postanowiła w całości posiąść. Syn kupca żył w mieście i stary ściągnął go do siebie, aby ożenić z ubogą lecz dobrą dziewczyną. Aksinia spowodowała, że go skazano do katorgi za fałszowanie pieniędzy. Pozostała jednak żona i niemowlę. Stary kupiec potajemnie zapisał wnuczęciu część majątku. Dowiedziawszy się o tem Aksinia w szale wściekłości wylała garnek wrzątku na dziecko i zabiła je. Usunęła więc przeszkody, ale zarazem rozbiła rodzinę. Wypędziła nawet kupca Cybukina z domu, tak, że gryzł się rozstrojem rodzinnym on, który tak miłował swoje gniazdo. W siole mówiono o Aksinii, że to wielkiej siły kobieta. Boją się jej w domu i we wsi i we fabryce, której stała się współwłaścicielką. Biedna matka, której dziecię zabiła, nie śmie jej nawet przekląć. Czy autor postąpił słusznie, przydzielając rolę wilka kobiecie? Krytyka rosyjska odpowiedziała na to pytanie twierdząco, przytaczając szereg przykładów z życia i literatury na poparcie prawdy powieściowej [1]. Jednakże Czechow

[1] Ob. np. artykuł Andrejewicza o tej powieści w piśmie *Ziźń* tom II, r. 1901, str. 358.

nieraz bardzo ujemnie pojmował i przedstawiał rolę kobiety zwłaszcza w pożyciu domowem, jakoby jakiejś siły z natury złej i zgubnej. W licznych powiastkach Czechowa roi się tłum niewieścich postaci od księżny i bogatej właścicielki fabryki aż do chłopki. Wielka ilość postaci w utworach znakomitego fotografa obyczajowości rosyjskiej znajduje uzasadnienie w zajęciu się zwłaszcza inteligencyi kobietą. Szamochin w powieści p. t. »Aryadna« wyjaśnia to zajęcie w następny sposób: »Owe nieustanne dyskusye o kobietach wytłumaczyłby jaki filozof średniej miary w guście Maksa Nordau obłędem erotycznym albo tem, żeśmy stępieni niewolą — ja mniemam inaczej: myśmy idealiści i rzeczywistość zawodzi nas. Pragniemy, żeby istoty, które na świat wydają nas i dzieci nasze, były lepsze od nas, lepsze niż wszystko na ziemi. Gdyśmy młodzi, ubóstwiamy przedmiot miłości; miłość i szczęście — to synonimy. U nas w Rosyi małżeństwo dla interesu zasługuje na wzgardę, zmysłowość budzi wstręt, najwięcej powodzenia mają romanse, w których kobiety piękne, poetyczne i szlachetne, a gdy Rosyanin zachwyca się Madonną Rafaela lub martwi się emancypacyą kobiecą — to wcale w tem niema udawania. Tymczasem niestety w ciągu paru lat małżeństwa czujemy się już rozczarowani, doznajemy bolesnego zawodu. Dowiadujemy się, że kobiety kłamliwe, płytkie, zajęte drobiazgami, niesprawiedliwe, mało rozwinięte, okrutne, słowem nie tylko nie lepsze, lecz stokroć gorsze od nas«. Sąd Szamochina dlatego wypadł dla niewiasty rosyjskiej fatalnie, bo go nad pojęcie znękała Aryadna. Brunetka chuda, cienka i gibka, strojna, wdzięcznego układu, wytwornych rysów — a w duchu zimna i egoistyczna, zepsuta aż do cynizmu, wiecznie marząca o toaletach i salonie, o hołdach książąt i hrabiów, — Aryadna uciekła do Włoch z rodzinnego domu obywatelskiego z człowiekiem takim marnym, jak i ona sama, wezwała tam Szamochina i włóczyła go za sobą, ssąc jak cytrynę. Nie dziwię się zgorzknieniu tego nieszczęśnika i niedołęgi; ale dziwi mię, że sąd jego o rosyjskiej kobiecie sprawdza się ogromną ilością przykładów i postaci, spotykanych w szeregu powieści Czechowa, że zatem jest to sąd samego powieściopisarza. Podstawową cechą natury kobiecej, dnem jej duszy podług Czechowa — zmysłowość. Nie

żeby wszystkie kobiety bez braku żyły i oddychały wyłącznie zmysłami, owszem są wyjątki, ale nieliczne, a jeśli się zważy, że w obrazkach Czechowa kobiet dużo, mniej więcej setka, to parę wyjątków usposabia do wniosku, że do rozstroju rodziny w tem społeczeństwie przyczynia się w znacznym stopniu kobieta. Oto jedna żona w noweli p. t. »Nieszczęście« broni się czas jakiś zalotom gacha. Ona jest żoną notaryusza, matką, utrzymuje, że kocha męża, szanuje go i raczej da się zabić, niż zgodzi się na nieszczęście męża i córki, a tejże nocy jak gdyby zahypnotyzowana idzie sama do kawalerskiego mieszkania tego, który ją od dawna ściga natrętną miłością. Oto druga żona w noweli »Wrogowie« *(Wragi)* bogata i szlachetna obywatelka wiejska, gorąco kochana przez męża, w nocy przy wieczerzy omdlewa gwałtownie, udając anewryzm serca, a gdy mąż jak szalony pędzi po doktora do miasta, ona ucieka z gachem, pozostawiając ironiczne pożegnanie na pociechę mężowi. Oto trzecia żona w powieści p. t. »Pojedynek« *(duel)* opuszcza męża, urzędnika w Petersburgu i z Łajewskim żyje bez ślubu w nadmorskiej mieścinie na Kaukazie, ale i tego zdradza, schadzając się po nocach z oficerem i młodym synem kupca, któremu winna paręset rubli. Oto czwarta w noweli p. t. »Opowiadanie nieznajomego« *(Razskaz nieizwiestnago czełowieka)*, żona dygnitarza petersburskiego porzuca go i mieszka czas jakiś z bogatym urzędnikiem Orłowym, ale i od tego zbiega, aby się połączyć z nieznajomym we Włoszech. Oto piąta w noweli p. t. »Włodek« *(Wołodia)* żona budowniczego, oddaje się prawie dla żartu młokosowi, gimnazyaliście. Oto szósta w obrazku p. t. »Małżonka« *(Supruga)*, żona sławnego doktora medycyny, jeździ w pewnych odstępach czasu za granicę, aby tam używać życia z młodym zalotnikiem. Oto siódma w noweli p. t. »Sawka« biega na noc do ogrodnika, choć wie, że od męża za to czekają ją srogie cięgi. Oto ósma... Ale dosyć tego. Dzieje niewieściej zdrady wszędzie i zawsze jednakowe: te same *remedia amoris* i tenże rezultat: próchnienie rodziny, jako podstawy społecznego dobrobytu. Wszystkie wymienione pokrótce motywy powieściowe są właściwie podobne w zasadzie i na ich tle nie występują osobistości niewiast niezwykłych. Pośród tych setek opowiadań, odwzorowują-

cych życie rosyjskie, niema małżeństwa, któreby dochowywało sobie nawzajem wiary. Kobieta igrając łamie swą przysięgę, miewa chwilowo nawet po paru kochanków, szuka zmysłowej uciechy, gotowa nawet do zbrodni dla jej nasycenia, podobnie jak Wasia w powiastce p. t. »Baby« truje męża. Mężczyzna dla igraszki i zadowolenia zmysłów zdradza żonę albo z nią zrywa, czując się jak ów Szamochin pokrzywdzonym, w gruncie wskutek własnego grubego egoizmu i nicości moralnej. Jest w powieści p. t. *Tina* (sitowie wodne) postać bogatej młodej Żydówki Zuzanny. Różni się od innych kobiet tem, że bez ogródki mówi w głos nawet to, czego inne nie śmiałyby wypowiedzieć. O kobiecie wyraża się złośliwie i niekorzystnie. »Nie pojmuję, jak porządny człowiek może żyć stale z jedną kobietą. W życiu nie znałam jako tako znośnej. Wszystkie przesadne, niemoralne, kłamliwe... Co do mnie znoszę tylko pokojówki i kucharki, porządnych zaś nie przypuszczam do siebie na odległość armatniego strzału. Chwała Bogu, one same nienawidzą mnie i stronią. Gdy której trzeba pieniędzy, przysyła męża...« Zuzanna też w całej pełni korzysta i z tej ohydnej opinii, jaką jej gotują kobiety w okolicy, i z tych zapotrzebowań pieniędzy, i z tych wizyt mężów. Przetrzymuje mężów u siebie tygodniami, poi ich, przyucza do zwyrodnień, rujnuje materyalnie, słowem wybornie gra rolę sitowia, wciągającego w nurty oplątaniem tonących. Rzadki to, jak się zdaje, okaz nawet w Rosyi, przez Czechowa fotografowanej.

Odmienną co do typu postacią jest też bohaterka powieści p. t. Duszeczka *(Duszka)*.

Jest to wcielenie przywiązania i bierności kobiecej. Są natury, które muszą kogoś czule kochać, gdyż im potrzeba miłości, jak codziennego posiłku, jak snu, jak myślenia. Niejaka Olga Siemionowna dobra, tkliwa a kipiąca zdrowiem blondynka, wyszła zamąż za przedsiębiorcę teatrzyku Tivoli. Zażywali szczęścia zupełnego: ona była jego echem, jego prawą ręką, mówiła jak on, myślała jak on; gdy go nie było, z tęsknotą wyczekiwała przyjazdu, gdy nagle umarł, rozpaczała... dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach rozpaczy zaczął ją pocieszać właściciel składu drzewa, a we dwa miesiące został jej mężem. »Okazywało się oczywistem,

że nie mogła przeżyć bez przywiązania nawet roku« (297). I znów byli zupełnie szczęśliwi: ona była jego echem, cieniem, myślała i czuła jak on, dzieliła jego przekonania, powtarzała sądy — dopóki nie umarł. A gdy umarł, opłakiwała go... pół roku.

Naprzód ciebie wspomina
Co chwila, co godzina,
Potem po razu co dnia,
A potem co tygodnia.

Po upływie półrocza zawarła przyjaźń z wojskowym weterynarzem, który mieszkał w jej domu. I znów zaczęła myśleć jego myślami, czuć jak on, powtarzać jego zdania, i znów byli szczęśliwi, choć nie w małżeństwie, bo weterynarz miał żonę i syna, tylko z nimi nie mieszkał. Ale go wraz z pułkiem przenieśli, Olga zaś osamotniała. Nie było kogo kochać, nastała pustka uczuć, pustka myśli, pustka w sercu i głowie: schudła, zczerniała, stała się smutną i przygnębioną. A gdy weterynarz powrócił z rodziną, przylgnęła do jego synka całem sercem, jak matka czuła, na zawsze. Z nim uczyła się lekcyi, żegnała go codzień w łóżeczku na noc krzyżem świętym, karmiła, prowadziła do szkoły.

Pomimo swego obyczajowego rozluźnienia postać Olgi tchnie dobrocią i czułością: nie egoizm, nie nasycenie instynktów stanowią dno jej duszy, lecz właśnie bierność i poświęcenie. Niestety rzadki to okaz w galeryi typów niewieścich Czechowa. Znam jeszcze jedną taką postać nauczycielki ludowej w powiastce p. t. »Na podwodzie«, cóż kiedy nauczycielka swoje ofiarne i ubogie życie uważa za niedolę i marzy o dostatku... Można bez przesady powiedzieć, że Czechow daje o rosyjskiej kobiecie bardzo złe wyobrażenie czytelnikowi. Można także bez zbytniej przesady powiedzieć, że kobieta podług niego, to na ogół owa samica z obrazka *Wieďma*. Wraz z mężem pełni Wiedźma służbę nocną na pocztowym przestanku. Ilekroć w zawieruchę i śnieżycę zajedzie kto młody, tyle razy z nim przez noc męża zdradza, a czyni to z uwodzicielską przemocą i bezwstydną pożądliwością. Oto typ Czechowa. Zachodzi pytanie, w czem przyczyna tego obyczajowego zjawiska i jakby należało zapobiegać temu złu społecznemu,

jakie płynie ze znikczemnienia natury kobiecej? Niejaki Licharew, pełen swady »człowiek zbyteczny« w powiastce *Na puti* (W drodze) uważa kobietę za niewolnicę. »Była i zawsze będzie niewolnicą, miękkim doskonałym woskiem, z którego mężczyzna wszystko ugniecie podług swej woli. Pośród idei, dla których ludzkość ofiary ponosiła, niema ani jednej idei kobiecej. Nie mierzyłem czaszek niewieścich, ale wiem z doświadczenia, że ilekroć najdumniejszej i najbardziej samodzielnej udało mi się wmusić swoje uczucia, szła za mną nie rozumując i czyniła, co chciałem. Z zakonnicy zrobiłem nihilistkę, która podobno później strzelała do żandarma; żona moja wałęsała się ze mną po świecie i zmieniała wiarę w miarę tego, jak ja zmieniałem swe sympatye«. Czy Licharew ma racyę, o to nie chodzi; raczej o to, że jeśli takie mniemanie w istocie o kobiecie podziela inteligencya w Rosyi, to nie dziwno, że i kobietę ma ona nieosobliwą. Dawno, dawno Tołstoj w »Kreutzerowej sonacie« zwracał uwagę na złe wychowanie kobiety. Nie nazbyt odbiega od jego zapatrywań i Czechow. Trzeba kobietę, podług niego, uczyć i wychowywać podobnie jak chłopców. Niech umie jak mężczyzna uświadamiać sobie własne wady, niech nie myśli, że wiekuiście ma racyę. Należy od kolebki wmawiać jej przekonania, że mężczyzna to nie kawaler lub narzeczony, lecz jej bliźni. »Uczmy ją myśleć ściśle, uogólniać logicznie, a nie zapewniajmy, że mózg jej mniej waży od męskiego, że przeto może pozostać obojętną dla zagadnień kultury. Czeladnik, szewc lub malarz pokojowy, też mają mózg mniejszy, a jednak biorą udział w zbiorowej walce o byt, pracują i cierpią. Należałoby unikać powoływania się na fizyologię, natomiast zaś zrównać rolę w drobiazgach potocznego życia. Jeżeli mężczyzna podaje kobiecie krzesło lub podnosi uronioną chusteczkę, niech mu ona tem samem płaci. Nic nie będę miał przeciwko temu, gdy mi panienka z dobrego domu pomoże włożyć płaszcz lub poda szklankę wody« (IX, 34).

III.

Nie wyczerpuje się bynajmniej ciżba postaci Czechowa wysuniętemi na czoło niniejszego sprawozdania czy to wykolejonymi,

czy szkodnikami, czy nareszcie rzeszą niewieścią. Imię mniej ważnych, sylwetkowo zarysowanych figur — legion. Książkę trzebaby napisać, chcąc je wszystkie poznać. Jednakże oprócz grup powyższych dwa jeszcze rodzaje ludzi zasługują na naszą uwagę. W jednej z większych powieści p. t. »Opowiadanie nieznajomego« scharakteryzował Czechow towarzystwo petersburskie. Nie lubił on stolicy Rosyi: w antagonizmie pomiędzy Petersburgiem a Moskwą darzył sympatyą tę ostatnią; nie zajmował się też w swych dziełach społeczeństwem petersburskiem — i powieść powyższa jest wyjątkiem w całej produkcyi Czechowa. Petersburg wydaje mi się ogniskiem żywiołów mało uspołecznionych. Podobny on do olbrzymiej hali maszynowej, w której wielkie maszyny wytwarzają siłę, strumieniami płynącą w dal ku krańcom wielkiego mocarstwa: — siłę władzy i rządu. Dziesiątki tysięcy robotników wprawiają w ruch niezliczone tryby i koła machin: — to są urzędnicy. Otóż oprócz głównego dyrektora tej hali, oprócz dozorców i robotników są jeszcze ludzie, sprawujący gospodarstwo domowe. Ogół zatem — to dostojnicy, urzędnicy, służba... Ale gros urzędników składa się z ludzi, którzy przy wielkim ołtarzu pragną nasycić własną ambicyę: promocya, czyn, order, tłusta pensya — to cel ich petersburskiego biwakowania. Skoro się już osiągnęło cel, umyka się ze stolicy i mówi się o niej zazwyczaj źle. Życie też petersburskie ma specyalny termin na określenie starań i zabiegów; mówi się, że tam trzeba ciągle *chłopotàt'* (zabiegać). Ma też ono i inne właściwości: bywa w ogromnej swej części kawalerskiem, materyalistycznem, nieszczerem i nieobyczajnem [1]. W powieści swej Czechow szkicuje główne punkty na powierzchni petersburskiego zbiorowiska ludzi: najwyższym jest starzec Orłow, »znany państwowy dostojnik», najniższe są pokojówka Pola, akuszerka i *izwoszczyk*. Na pierwszym planie obrazu młody Orłow, naczelnik wydziału w jakiemś ministeryum, podległy mu urzędnik Gruzin, młody rzeczywisty radca stanu Kukuszkin i adwokat Pie-

[1] Drobna ale znamienna okoliczność. Wykazy statystyczne podają na 36.346 urodzeń ślubnych w r. 1903 w Petersburgu *9311* urodzeń nieślubnych, t. z. śród każdych pięciorga urodzonych tam dzieci różnych rodziców jedno znajduje się nieprawe.

karski. Orłow bywa w domu od nocy do południa t. j. wtedy, gdy śpi i śniada. Resztę życia spędza za domem. Wyjątek stanowi jeden dzień przyjęć: przychodzą trzej powyżsi i bywa wint. Najwięcej wpływu i znaczenia, a nawet rozumu i zdolności ma Piekarski. Wiedzy rozległej, ale sumienia elastycznego. Hulać, grać w karty i oddawać się rozpuście można, byle na tem interesa nie cierpiały. Wiara w Boga — niemądra, ale o religię trzeba dbać, bo tłum wymaga jakiejś podpory, gdyż przestałby pracować. Kary potrzebne tylko dla postrachu. Uczciwiej jest oszukać człowieka, niż psuć mu reputacyę i siać niepokój w jego życie. Takie i tym podobne zasady wskazują mu drogę życia. Drugi Gruzin — osobistość nieszczęśliwa, szukająca ucieczki wciąż z domu i od rodziny, zalewająca niedolę swą trunkiem. Trzeci zaś karyerzysta do szpiku, do ostatniej kropli krwi. Za order albo za to, żeby wydrukowano w pismach, że brał udział w *panichidzie* lub *molebenie* społem z osobami wysoko położonemi, gotów był schlebiać, upokorzać się, obiecywać, nawet upadlać się. Rasowcem pełnej krwi śród nich jest młody Orłow. Czyta dużo, głowa jasna i wiele pamiętająca, ale serce egoistyczne i zimne jak lód. Lubi komfort. Nie trzyma koni i nie ma kuchni własnej, bo to zanieczyszcza dom. Rodzinne ognisko — banalność; mieć dzieci i mówić o nich — zły ton. Ponieważ utracił już wszelką wiarę w Boga, w życie i w siebie, przeto uzbroił się w ironię i cyniczny sarkazm, którym szpikuje każdą myśl swoją i każdy frazes. W którejś powieści Dostojewskiego starzec depce portret ulubionej córki, dlatego że względem niej zawinił, — tak on naigrawa się z dobra i prawdy, bo stracił drogę powrotu ku nim. Kobietą gardzi, ale jak dyabeł wody święconej — lęka się skandalu. Temu młodzieńcowi spadła na kark żona dygnitarza; stosunek z nią był dawny, musiał tedy Orłow uznać *fait accomplit* do czasu. Potem pozbył się jej, a pozostałe dziecko oddał jakiejś damie na wychowanie. Do Orłowa zgodził się za lokaja właśnie ów »nieznajomy« autor opowieści. Był on niegdyś oficerem marynarki, odbył podróż naokoło świata, a oto podjął się służby lokajskiej, aby przez syna i u syna zbliżyć się do ojca, owego »znanego państwowego dostojnika«. Nieznajomy otrzymał od swoich polecenie względem starego Orłowa.

Jest to przeto człowiek niosący śmierć i na śmierć skazany, to drugie podwójnie, gdyż dogorywa w ostatniem stadyum suchot. W powieści Czechowa nieszczęsny socyalista-lokaj-suchotnik z całą swą bezbożnością, okrutnym i zbójeckim zamiarem, z całem swojem moralnem zwyrodnieniem — jeszcze wydaje się sympatyczniejszym od zgniłych, bezecnych figur Orłowa, Kukuszkina i t. d. I oto w duszy tego człowieka, skazanego na popełnienie zabójstwa, odbywa się w okresie jego lokajstwa i pod wpływem obserwowania strupieszałości otoczenia — zmiana. Miał sposobność zamordować »państwowego działacza« — a nie skorzystał z niej samochcąc. Zdradził sprawę, której służył; pod koniec życia pragnie wiary, pragnie dobra i wyraża zasadę, że celem bytu ludzkiego na ziemi — ofiarna miłość bliźniego (328).

W powieści »Moje życie« *(Moja żiźń)* zapoznajemy się z podobnym jak »nieznajomy« człowiekiem. I tu chodzi nie tyle o główną postać, co o sferę — tym razem prowincyonalnego miasta o kilkudziesięciotysięcznej ludności. Bohaterem zaś jest syn budowniczego, wyklęty przez ojca za to, że choć szlachcic został zwykłym robotnikiem. Przebywa on w swym zawodzie całą skalę nędzy, poniżenia i pogardy. Ale równocześnie los jego budzi interes w plotkarskiem mieście. Student medycyny ma go za bohatera, panienki interesują się nim, córka bogatego inżyniera oświadcza mu się i na pewien przeciąg czasu zostaje nawet jego prawowitą małżonką. W końcu atoli robotnik zostaje z czeladnika majstrem, sfera go wchłania, przeistacza i pożera w nim dawne aspiracye — a marzyciel staje się banalnym i pospolitym łapigroszem.

Skutek życia mniej więcej taki sam, jak w poprzednim utworze, człowiek też podobny.

Dość liczną grupę wśród figur Czechowa stanowią lekarze. Choć Czechow sam nie praktykował jako lekarz, to jednak rozumie się, że z wyjątkowem upodobaniem studyował dolę i niedolę lekarzy w swojej ojczyźnie. Spotyka też czytelnik mnóstwo lekarzy w jego utworach powieściowych: kilkudziesięciu; autor w tej mierze nie ma współzawodnika w całem rosyjskiem powieściopisarstwie. Są młodzi i pełni zapału, ale zdenerwowani i drażliwi, jak Owczinnikow w utworze p. t. »Nieprzyjemność« *(Niepriatnost')*,

są starzy i głębokiej wiedzy, jak profesor uniwersytetu w powieści »Nudne dzieje« *(Skucznaja istoria)*, są dobroduszne, zacne tłuściochy, jak Samojlenko w »Pojedynku«, są ponurzy i źli na ludzi, jak Kiriłow w opowiadaniu »Wrogowie« *(Wragi)*, są niedorzeczni politycy jak Tiutiujew w nowelce »Szwedzka zapałka« *(Szwedskaja spiczka)*, są dzielni robotnicy, od świtu do nocy jeżdżący po kurnych chłopskich chatach, jak Sobol w noweli »Żona« *(Żena)*, są i tacy, jak dwaj lekarze w powiastce »Sala nr. 6« *(Pałata nr. 6)* i wiele innych.

Nader zajmujące są dwie ostatnie postaci; cała powieść, jedna z najlepszych [1], służy do uwydatnienia na szarem tle stosunków zaściankowych dwu lekarskich figur. W mieście prowincyonalnem w szpitalu był oddział dla obłąkanych, oznaczony nazwą sali nr. 6. Zajmowało go pięciu chorych, a między nimi były urzędnik Gromow, człowiek z uniwersyteckiem wykształceniem, nadzwyczaj oczytany i zamknięty w tej sali z powodu manii prześladowczej do śmierci, choć choroba już zdaje się minęła. Zamknął go lekarz szpitalny Ragin w tej myśli, że ludziom nie należy przeszkadzać waryować. Ragin przybywszy do miasta przed dwudziestu laty, zastał szpital w okropnym stanie. W salach, na korytarzach i na podwórzu trudno było oddychać skutkiem smrodu. Dozorcy i dozorczynie chorych wraz z dziećmi nocowali w salach szpitalnych; mnogość robactwa, pluskiew i myszy była niesłychana. W oddziale chirurgicznym stale grasowała róża. W całym szpitalu znalazły się tylko dwa skalpele, ani jednego termometru. W wannach przechowywano ziemniaki. Rządca, główna dozorczyni i felczer grabili chorych, a o poprzednim do-

[1] Lew Tołstoj po przeczytaniu tej powieści uwierzył w wielki talent Czechowa. Nawiasem mówiąc u nas tłumaczono wiele drobnych obrazków tego pisarza, ale bez wyboru. Najlepsze jego powieści są: »Pojedynek«, »Sala Nr. 6«, »Czarny mnich«, »Nudne dzieje«, »Człowiek w futerale«, »W wądole«, »Opowiadanie nieznajomego«, »Chłopi«, »Moje życie«, «Step«, »Trzy lata«, »Wiszniowy sad«. Z tych o ile mi wiadomo tłumaczono zaledwie parę, mianowicie »Czarnego mnicha«, i »Nudne dzieje«. A jednak tłumacze powinniby wiedzieć, że wydawca Marks wcielił w swoje czternastotomowe wydanie dla interesu mnóstwo drobnych obrazków, pisanych przez powieściopisarza jeszcze za czasów młodości pod pseudonimem Czechonte.

ktorze mówiono, jakoby handlował szpitalnym spirytusem i utrzymywał z chorych i dozorczyń cały harem. Ragin zbadał rzecz i stwierdził, że instytucya ta w wysokim stopniu szkodzi zdrowiu ludności. Najkorzystniej byłoby chorych puścić na wolność, a szpital zamknąć. Przekonał się niebawem, że byłoby to bezcelowem. Miasto wiedziało oddawna o wszystkich nieporządkach i było zadowolone. Postanowił tedy zostawić wszystko, jak jest. Umieścił tylko dwie szafy z instrumentami i zabrał się do pracy. Ale rozważanie nauczyło go niebawem, że skórka nie warta wyprawki. Przyjął dziś 30 chorych, jutro przybywa znów 35, a pojutrze 40. Niepodobna od godziny 8—1 rano opatrzyć starannie 40 chorych. Jeżeli tedy podług sprawozdania w ciągu roku w ambulatoryum przyjęto 12.000 chorych, to znaczy, że 12.000 oszukano. A zresztą po co przeszkadzać ludziom umierać? Jaka stąd korzyść, że ten lub ów handlarz albo urzędniczek pożyje jeszcze pięć, dziesięć lat? Tak rozumując bywał Ragin już nie codzień w ambulatoryum, a gdy bywał zapisał kilka recept, powierzając resztę pacyentów felczerowi. Wracał sam do domu i pogrążał się w lekturę. Koło książki stała zawsze karaweczka z wódką i leżał kiszony ogórek. Co pół godziny, nie odrywając oczu od książki, nalewał sobie kusztyczek i wypijał, przegryzając ogórkiem. Ragin wiedział zatem, że podstawą całej szpitalnej instytucyi jest kradzież, są plotki, gruba szarlatanerya, wiedział, że obłąkanych tłuką bez miłosierdzia i nic nie czynił aby temu zapobiedz. A co więcej Ragin wiedział, czytając dużo i z pożytkiem, jakie liczne zmiany od 25 lat zaszły w medycynie. W istocie odbyła się w dziale tej nauki rewolucya. Dzięki antyseptyce czynią się operacye, które dawni najwięksi chirurgowie uważali za niepodobne nawet *in spe*. Zwyczajni lekarze dokonują resekcyi stawu kolanowego, na sto cięć cesarskich wypada zaledwo jedno śmiertelne, a choroby kamieni uważa się za mało znaczące pod względem operacyjnym. Teorya dziedziczności wyjaśniona, hypnotyzm, odkrycia Pasteura i Kocha, hygiena i statystyka — wszystko to zdobycze niesłychane. Pomimo tej wiedzy Ragin nie tylko nie leczył obłąkanych, ale nigdy nie zaglądał do sali nr. 6. Aż raz przypadkowo zajrzał i wdał się w rozmowę z Gromowem. Ujęty rozumem,

wiedzą, swadą Gromowa zaczął tam bywać codzień, a wówczas drugi lekarz, nieuk, prostak i zły zawistnik podsłuchał gorących dyskusyi filozoficznych Ragina i Gromowa, wezwał na pomoc instrygę, plotkę i oszczerstwo, upostaciowane w felczerze i udało mu się zająć miejsce szpitalnego lekarza, Ragina zaś zamknąć w sali nr. 6. Ragin nie był waryatem — i dopiero teraz, kiedy go brutalny stróż Nikita z całej siły pięścią wyrżnął w twarz, dopiero teraz nieszczęśliwy lekarz, kąsając z bólu, rozpaczy, żalu i wściekłości poduszkę, uświadomił sobie i odczuł to, że takież poniżenia, bóle i rozpacze czuli nieszczęśnicy, zamknięci przezeń w ciągu lat dwudziestu. Tej samej nocy zmarł, tknięty paraliżem.

W dziełach Czechowa oprócz pomienionych grup i postaci krząta się, zabiega, filozofuje cierpi, rozpiera się, walczy, kocha, ginie ogromny tłum innych, po części odmiennych ludzi; ale tak ci, których łaskawemu czytelnikowi zaprezentowałem, jak i wszyscy inni mają oblicza wykrzywione jakowąś nędzą życia, bywają smutni, znękani, bo serca ich toczy rak zgryzoty, zwątpienia, słabości i niedoli. Szczęśliwych nie spotkałem. Dla czego? Winna po części dusza ludzka, po części złe stosunki miejscowe, dla rozwoju jej skrzydeł przeznaczone.

(Dok. n.).

Antoni Mazanowski.

ZNACZENIE I WARUNKI DOBROBYTU.

Gospodarcza praca jest konieczną wprost dla utrzymania egzystencyi ludzkiej, a od umiejętności i skuteczności pracy gospodarczej zależy poprawa bytu ludzi, rozwój życia społeczeństwa na wszystkich polach. Zdrowie i życie ludzi, możność liczebnego wzrostu społeczeństwa w przyszłości, zarówno jak fakt, ilu ludzi zdoła społeczeństwo utrzymać w niegospodarczych, humanitarnych i kulturnych zawodach, ile czasu i zasobów pozostawia warstwom gospodarczo-pracującym do brania czynnego udziału w politycznem i kulturnem życiu, zależy przedewszystkiem od rezultatów gospodarczej pracy społeczeństwa, od będących do rozporządzenia społeczeństwa zasobów materyalnych; tak samo też zależy od nich byt ochronek, szpitali, przytułków dla starców i kalek, byt szkół, muzeów, laboratoriów uczonych, czy warstatów wzorowych, akademii nauk i wszystkich humanitarnych instytucyi, postawienie dostatecznej armii i jej należyte wyposażenie, poręczające skuteczną obronę przed wrogą napaścią, wreszcie i niezbędna kapitalizacya, ulepszenie warstatu narodowej pracy i lepsze wyposażenie go na przyszłość w motory, maszyny, komunikacye, skuteczniejsza ochrona przed klęską elementarną, społeczną czy polityczną. Wszystkie przeto dziedziny społecznego życia, wszystkie i najbardziej idealne cele społeczeństwa są w swej realizacyi zależne prócz od pracy w nich bezpośredniej i od dostatecznego rozwoju dziedziny gospodarczej. Stąd też dziedzinę gospodarczą nazwano

podstawą społecznego życia, warunkiem i czynnikiem jego rozwoju.

Stan gospodarczy społeczeństwa jest i może być różnym w różnych czasach, tak jak i równocześnie jest różnym w różnych krajach, a zależnie od stanu gospodarczego rozwijają się różnie siły i życie społeczeństwa we wszystkich innych dziedzinach.

Stan ten każdoczesny gospodarstwa społecznego nie jest produktem naturalnym, którego zaistnienie wynika z działania nieświadomych i bezwłasnowolnych czynników, lecz jest jak to wykazaliśmy wyżej produktem historycznym, jest wynikiem współdziałania czynników społecznych i czynników przyrodniczych. Stąd też, ponieważ mogą ludzie wpływać na gospodarcze położenie występuje idea odpowiedzialności moralnej i jednostek i społeczeństw za ich stan gospodarczy, przedstawia się rozwój ekonomiczny jako doniosłe społeczne zadanie, jako obowiązek, domagający się natężenia myśli i pracy społeczeństwa, jako jeden z doniosłych celów społecznego życia. Nie jest on ani jedynym, ani najwyższym celem, ale jest celem doniosłym, uprawnionym, koniecznym.

Poza wpływem woli ludzkiej leżące przyrodnicze stosunki kraju, jego bogactwo naturalne, położenie, konfiguracya, stosunki oro- i hydrograficzne, mają wpływ znaczny na gospodarcze położenie, są czynnikiem, ale tylko jednym z czynników stanu gospodarczego, ale i ten wpływ, dodatni zarówno, jak ujemny, jest zależny w pewnej mierze od działania ludzi; i najlepsza rola nie da plonów, gdy ją uprawią niedbale, lub zostawią odłogiem, a niszczące wylewy rzek stracą swą zgubną siłę, gdy regulacyą umiejętną ujmiemy w karby jej prąd i jej łożysko.

To też działanie ludzi występuje obok działania przyrody jako drugi czynnik gospodarczego stanu, a społeczny ten czynnik da się podzielić na dwa, mianowicie na własnowolną akcyę społeczeństwa i na działanie przymusowej publicznej organizacyi, państwa, które przez swe ustawy, swe publiczne gospodarstwo, swą administracyę wpływ wielki wywiera.

Mogąc wpływać na stan gospodarczy powinny społeczeństwa zarówno przez swą akcyę dobrowolną, prywatną, jak przymusową

akcyę publiczną wpływać w kierunku dodatnim, pracą swą i całem działaniem zdążać do należytego rozwoju gospodarstwa społecznego na obecną i na przyszłą dobę, podnosić, rozszerzać, utrwalać dobrobyt. W ślad myśli Arystolesa, który uznał, że organizacya społeczna powstała dla bytu, istnieje dla dobrobytu, i nauki, społeczne i czynne życie publiczne doszły do uznania dobrobytu ogólnego, należytego rozwoju wszystkich dziedzin życia, za zadanie polityki społecznej. Ani samo mocarstwowe stanowisko państwa, ani bezpieczeństwo prawne nie wyczerpują tego zadania, bo obok nich są jeszcze równie doniosłe zagadnienia i zadania w dziedzinie kultury i w dziedzinie gospodarczej. A wobec doniosłości gospodarstwa dla całego życia uznano i ściśle materyalny dobrobyt, dostatnie zaopatrzenie społeczeństwa w środki do pracy i do życia, za uprawniony i wybitny cel.

Materyalny dobrobyt społeczeństwa zależy przedewszystkiem od dostatku środków zaspokojenia potrzeb, bo gdzie chleba za mało, tam i najlepszy podział nie uchyli głodu; ale zależy on dalej i od tego, aby te dobra materyalne należycie rozdzielały się w społeczeństwie, zapewniając wszystkim dostateczny udział w środkach pokrycia potrzeb, przez to wytwarzając możność brania udziału i w kulturnem życiu społeczeństwa, korzystania i z dóbr imateryalnych. Wreszcie zaś zależy dobrobyt materyalny i od dobrego, odpowiedniego użycia dóbr, i dopiero gdzie zachodzą te trzy warunki, tam istotnie zapanuje dobrobyt, tam najbujniej rozwinąć się może społeczne życie. Będąc warunkami dobrobytu stają się rozwój produkcyi, dobry rozdział dochodu społecznego i dobre użycie dochodu i zadaniami uprawnionymi i koniecznymi celami działalności społecznej.

Dobrobyt społeczny nie zawsze uznawano za cel; i w ekonomii i w filozofii spotykamy odmienne stanowiska, inaczej pojmujące życiowe zadania, negujące uprawnienie społecznego dobrobytu jako celu akcyi i organizacyi. Nie mówiąc już o wyobrażeniach starożytnych, gdzie niewola liczebnie przewyższającą część ludzi uważała niemal tylko za środki do pracy, za przedmioty nie podmioty gospodarcze, a gdzie i wolni obywatele byli zabsorbowani niemal jako indywidua na rzecz państwa, spotykamy i w epoce

powstających już państw nowożytnych legalnie uznaną różnicę stanów, która już jako słuszną implikowała ideę wielkiej różnicy bytu; a gdzie zwyciężyła stanowa polityka, tam łatwo przybierała cechę klasowej, dbałej o korzyści przedewszystkiem tylko dla panującego stanu. Że ta jednostronność była krótkowidzącą polityką dojutrków,która z czasem przez brak sił gospodarczych w innych warstwach społeczeństwa zemściła się i na protegowanych, to nie zmienia faktu, że klasowa polityka była negacyą idei społecznego dobrobytu. A i gdzie państwo umiało wydobyć się z pod jednostronnego, klasowego dyktatu, gdzie potężniejąca monarchia umiała stanom przywilejowanym narzucić swe wyższe prawo, interes ogółu postawić jako naczelną dyrektywę działania, i tam wysunęła się na czoło jedynie troska o potęgę państwa, to był wyłączny cel, któremu wszystko miało służyć. Zdobyły się te państwa i na pierwszy system konsekwentnej polityki ekonomicznej, ale powodem tej polityki była chęć wzmożenia potęgi; rozwój gospodarczy nie był celem, lecz środkiem tylko, on przedewszystkiem miał zapewnić dostatek rekruta i podatków. I stąd owa jednostronność antyagrarna merkantylizmu nawet tam, gdzie go najlepiej i rozumiano i stosowano; te popierano gałęzie, które najpewniej i najrychlej podniosą bogactwo kraju, zapewnią dobre finanse, ów nerw skutecznej polityki; o poprawie bytu ludzi przez wzgląd na nich samych nie pomyślano jeszcze.

Występujący po merkantylizmie w ścisłej doń antytezie, a stopniowo miejsce jego w życiu zastępujący liberalizm ekonomiczny podniósł przedewszystkiem słusznie indywidualne prawa człowieka, który ma swoje indywidualne potrzeby i cele, nie chce być uważany jedynie za środek dla państwowej polityki, który chce być obywatelem, a nie tylko poddanym, nie tylko materyałem na żołnierza i podatnika, który ma swoją wolę, a nie chce jak małoletni ulegać zarządzeniom opiekuńczego państwa. W imię tych praw człowieka stawia liberalizm cały swój program polityki ekonomicznej, który stąd nabrał indywidualistycznej, a nie społecznej cechy. A cecha ta z biegiem lat wystąpiła coraz więcej jaskrawo. Pierwotnie żądano wolności gospodarczej w przekonaniu, że ona prócz zgodności z prawem indywiduów okaże się

najskuteczniejszym środkiem podniesienia produkcyi, przyczem optymistycznie ufano, że skoro zapewnioną będzie wielka produkcya i wolny wybór miejsca pracy i zawodu, to i każda jednostka zdoła odpowiedni udział w dochodzie społecznym dla siebie i swej rodziny zapewnić, co doprowadzi do ogólnego dobrobytu. A gdy nadzieja ta w znacznej części zawiodła, gdy rozdział mienia i dochodu począł niekorzystny przybierać zakres i kierunek, gdy jedne warstwy i zawody poczęły szybko rosnąć w bogactwo, a inne traciły dobrobyt, gdy wzrastał przedział społeczny w stopniu wprost groźnym„ to i wtedy i dotąd nie zabrakło ludzi broniących bezwzględnie wolności gospodarczej, stawiających wyżej wolność indywidualną, niż społeczne potrzeby. A obok tych zasadniczych zwolenników liberalizmu, ufnych nieraz, że wszystkie niedomagania są przejściowe, wystąpili i pessymiści, uznający za naturalne, stąd nieuniknione, że słabsi ulegają w walce życia, zadawalający się tem, że w panującej organizacyi rzekomo »najtęższe« jednostki zdołają sobie dobrobyt zapewnić. I tu więc nie społeczny, lecz indywidualny dobrobyt jest uznanym celem. A błąd to zasadniczy, bo nie można uznać za trwałą, ani dobrą, ani dostateczną organizacyi gospodarczej, która w myśl jej obrońców tylko części ludzi zapewnia dobrobyt. Ciasne to stanowisko uprawniało też krytykę i powiększało szeregi zwolenników radykalnego czy państwowego socyalizmu, stało się punktem wyjścia dla szukania przez naukę ekonomii politycznej innego rozwiązania zagadnienia organizacyi gospodarczej, niż przez samą tylko zasadę wolności.

Uznanie społecznego dobrobytu za słuszny cel pracy i troski społecznej, któremu też i działanie jednostek i organizacya gospodarcza służyć powinny, stoi w przeciwieństwie do dwóch odwiecznych kierunków filozofii, równocześnie skrajnie sobie przeciwnych; jeden z nich nie docenia znaczenia materyalnego dobrobytu, drugi go przecenia. Starożytny stoicyzm przechodzący aż do Diogenesowego cynizmu, późniejszy ascetyzm, indywidualistyczny idealizm, należą do pierwszego kierunku, a znów od starożytnego epikureizmu do materyalizmu i hedonizmu naszych czasów występuje w ich systemach idea drugiego kierunku. Pierwszy, nazwijmy go krótko ascetyczno-idealny kierunek, uważa za jedynie

słuszny cel troski osobistej: udoskonalenie się moralne, stawiając tezę: *nullum bonum nisi virtus.* Cnotę uważa i za najwyższe i jedyne dobro, i stąd potępia troskę o byt i dobrobyt materyalny, dochodzi wprost aż do pogardy dóbr materyalnych. Cnota jest dobrem najwyższem, ona i rozumem i siłą społeczeństw, czynnikiem ich szczęścia, nawet ich potęgi, ale ona nie tylko nie wyklucza pracy i troski materyalnej, lecz czyni ją nieraz wprost obowiązkiem. A człowiek może czasem zrzekać się swych praw,— i to nie zawsze!—nigdy mu jednak nie wolno zrzekać się swych obowiązków. Człowiek zaś każdy ma liczne materyalne obowiązki. Przedewszystkiem ma obowiązek zapracowania na swój byt, na swój kawałek chleba, aby nie był ciężarem dla drugich, ma obowiązek pracy w życiu, i zdziałania czegoś pracą swego życia, by nie odchodził ze świata nigdzie i w niczem dodatniego śladu swej pracy nie zostawiając, a już na to musiał pracować gospodarczo, bo sama egzystencya fizyczna już od materyalnych środków zaspokojenia potrzeb jest zależną, a egzystencya kulturna wymaga tych środków i więcej i lepszej jakości. Dalej jest obowiązkiem ojca rodziny wychować dzieci, dać im należytą fizyczną i moralną opiekę, odpowiednie wykształcenie, i na to znów dóbr materyalnych potrzeba. Prócz obowiązków wobec dzieci zachodzą w życiu liczne inne obowiązki rodzinne, i nie jest cnotą bynajmniej, nie jest moralnym heroizmem, ani środkiem doskonalenia się, uchylanie się od ich spełnienia. A poza rodziną istnieją bliźni, społeczeństwo, ojczyzna. Ani prostych uczynków miłosierdzia: łaknących nakarmić, nagich przyodziać, ani społecznych i narodowych obowiązków: dostarczenie składek dobrowolnych, czy podatków na założenie ochrony, szpitali, szkół, muzeów, obrony przed wrogiem, dla zapewnienia wolnej woli społeczeństwa i lepszej jego doli, nie zdoła spełnić należycie, kto nie przyczyni się do podniesienia twórczych sił społeczeństwa, kto swą pracą nie zapewni sobie odpowiedniego udziału w rezultatach produkcyi społecznej, sam choćby pośrednio tylko popierając jej rozwój. Indywidualna tylko troska o siebie, choćby najidealniej subjektywnie pojęta, nie sięga potrzebnej miary obywatelskiej cnoty. Diogenes nie jest wzorem ni cnoty, ni obywatela.

Troska o dobrobyt materyalny będąc środkiem spełnienia dobrych uczynków, będąc nieraz wprost obowiązkiem, koniecznością, jest przeto uprawnioną moralnie; ona nawet niejednokrotnie jest wprost szkołą moralności, bo wyrywa człowieka z apatyi i lenistwa, staje się bodźcem i szkołą pracy, wstrzemięźliwości, przezorności, kształci wolę i umysł, wyrabia energię i panowanie nad sobą; przyuczy zamiast bezmyślnego życia z dnia na dzień do myśli o przyszłości i pracy dla niej, przez co nabiera i indywidualnie i społecznie, moralnie i materyalnie dodatniego znaczenia. Pomimo tego trzeba jednak pamiętać, że najwyższe cele życia ludzkiego leżą w imaterya lnej dziedzinie, że stąd materyalna praca i troska nie powinny zupełnie absorbować myśli i czynu człowieka.

Opozycyę stoicko-ascetyczną można zrozumieć snadnie skutkiem uprawnionej antytezy do materyalizmu, który mylnie identyfikowano nieraz w ogóle z gospodarczą pracą i troską. Ekonomia społeczna uznaje swą podległość pod prawa i wymogi etyki, chce zapewnić im panowanie nawet w gospodarczej dziedzinie, w przekonaniu, że niema dziedziny czynu wyjętej z pod etyki, że dziedziny takiej konstruować sobie nie wolno. Stąd też uznając doniosłość dobrobytu indywidualnego i społecznego, uznając obowiązek czynnej troski o dobrobyt, uznaje równocześnie, że ta praca ma się dokonywać z poszanowaniem etycznych, kulturnych, ludzkich wymogów i względów. Stąd jej walka z lichwą i oszustwem w każdej formie, z krzywdą przy zapłacie robotników, stąd jej postulat święcenia niedzieli, wniesienia zasad sprawiedliwości w ogół gospodarczych stosunków, organizacyi gospodarczych stosunków zgodnie z celami ludzkiego życia. Zupełnie przeciwne stanowisko zajmuje materyalizm. Dawne hasło: *nullum bonum nisi voluptas* starczy do dziś za dostateczną charakterystykę tego kierunku. Jedynym jego celem życia to osobista przyjemność, rozkosz, używanie, a na to potrzeba środków materyalnych, stąd jego celem działania życiowego jest korzyść materyalna, jako warunek możności używania. Bezwzględna chęć własnej materyalnej korzyści musi zwyrodnieć w brudny egoizm, demoralizuje co do środków nabycia, zyskuje się *per fas et nefas*, oszustwem, wyzyskiem, krzywdą. Nie produkcya wtedy się krzewi, lecz spekulacya,

grynderstwo, mnożą się »operacye« ocierające się wciąż już wprost o paragrafy kodeksu karnego. A gdzie brudna chęć zysku zdemoralizowała człowieka, tam i użycie mienia nie będzie ani moralnem, ani nawet kulturnem, tam rozpanoszy się grube używanie cielesne. Zarówno sposoby nabycia jak sposoby użycia, prowadzące przez spekulacyę do ruiny produkcyi, przez marnotrawstwo i zbytek do niszczenia kapitału, skrzywienia kierunku produkcyi, dezorganizują gospodarcze życie, a ubożąc i rozgoryczając warstwy wyzyskiwane, drażniąc je nieraz bezwstydnem pokazywaniem zbytku i używania, dezorganizują i stosunki społeczne. Stąd też jest materyalizm objawem i prądem antyspołecznym, jak antykulturnym, jak antygospodarczym, i polityka ekonomiczna jako nauka społeczna musi najbardziej stanowczo zaznaczyć różnicę wielką między swem stanowiskiem a egoistycznym zawsze materyalizmem, musi stanowczo potępić i odrzucić materyalizm, bo on ruiną, a nie pomocą dla pracy nad społecznym dobrobytem. Gospodarstwo społeczne wytwarza wzajemną zależność gospodarstw, stąd pewną solidarność społecznego interesu, którego ogólne odczucie jest pożądanem i pomocnem; negacyą tego jest indywidualistyczny materyalizm, bo on dba tylko o swe interesa, pamięta o swoich prawach, zapomina o obowiązkach, w miejsce uznania społecznych związków wprowadza bezwzględną walkę.

Zagadnienie dobrobytu wzrasta dla każdego społeczeństwa stopniowo. Szereg na to wpływa przyczyn. Przedewszystkiem wzrasta liczba ludności na danym obszarze, a w miarę tego wzrostu winna przynajmniej równomiernie wzrastać i produkcya, gdyż inaczej cofałby się dobrobyt, pogarszał i obniżał stan zaspokojenia potrzeb.

Ale postępu produkyi jeszcze w wyższym stopniu potrzeba. Nigdzie stan zaopatrzenia ogółu nie jest zupełnie zadawalniającym, nigdzie też sama zmiana rozdziału rezultatów produkcyi, zmiana udziału poszczególnych warstw w dochodzie, społecznym nie starczyłaby dla sprowadzenia ogólnego dobrobytu. Przedewszystkiem zaś w krajach mniej rozwiniętych główną troską pozostaje zwiększenie produkcyi. Domagają się tego zresztą i w krajach najbardziej rozwiniętych wzrastające wymogi życiowe. A na ich wzrost

znów wpływają niewątpliwie i stanowczo uprawnione dążenia, bynajmniej nie tylko zachcianki; lepsze mieszkanie, lepsza odzież i pożywienie dostatnie a zdrowe, opieka lekarska, pewne wykształcenie dzieci, książka w domu, oto objawy niewątpliwie uprawnione, nawet pożądane, rozszerzającego się dziś wzrostu wymogów. Jedynie na najniższym szczeblu społecznej i indywidualnej kultury jest zakres potrzeb absolutnie ograniczony, niemal fizyczny tylko, stąd i pierwotna bezmyślność życia, martwota produkcyi, ale po przebyciu tej fazy wzrastają wymogi ilościowo i jakościowo, powiększając i utrudniając zadanie produkcyi.

Skutek ten powoduje również postępująca oświata. Kto się czytać nauczył ten zechce korzystać z nabytej nauki; książka i dziennik stają się dlań potrzebą nową, wzrostem wymogów. Kultura sprowadza pewne wydelikacenie systemu nerwowego, zmienia, a przez to podnosi wymogi co do jakości pożywienia, mieszkania, odzieży, tworzy nowe potrzeby imateryalnej natury, ale i dla ich pokrycia potrzeba materyalnych środków indywidualnych i społecznych, a ich niepokrycie wytwarza przykre poczucie braku, deficytu dobrobytu. W miarę rozszerzania oświaty trzeba przynajmniej równomiernie rozszerzać i dobrobyt, bo inaczej wytwarza się rozgoryczenie, i to tem łatwiej, o ile zabiegi nad oświatą noszą tylko intelektualny charakter, nie etyczny, rozwijają umysł, zaniedbując rozwój serca, nie dając i nie utrwalając religijnego zmysłu, owej męskiej rezygnacyi, umiejącej znosić światowe niepowodzenie z poddaniem się Bożej woli.

Ale mimo niebezpieczeństwa połączonego z przedwczesnem krzewieniem oświaty nie może być programem żadnego społeczeństwa utrzymanie ciemnoty. Byłoby to negacyą i zaporą społecznego dobrobytu. Owszem i dźwigać i szerzyć winna się oświata, ale winna ona nietylko umysł rozświecać, lecz i charakter kształcić, uzdalniać nie tylko do pracy, lecz i do życia, nie wytwarzać przez jednostronność typu szkół (same gimnazya!) proletaryatu inteligencyi, którzy nadarmo szukają kawałka chleba za swą wiedzę, stają się nieszczęściem dla siebie, ciężarem dla kraju.

Każdoczesny stan gospodarstwa społecznego, wpływa na całe życie społeczeństwa, a ponieważ celem społeczeństwa jest

pełnia jego życia, stąd też uprawnionym pośrednim celem, jako środek rozwoju życia, i bezpośrednim celem, zadaniem doniosłem, jest dobry stan gospodarczy, materyalny dobrobyt społeczny, a rzeczą nauki wskazanie, rzeczą czynu indywidualnego i zbiorowego, wytworzenie warunków i zapewnienie skutecznego wpływu czynników dobrobytu.

Przyrodzone potrzeby człowieka, zarówno jak nabyte potrzeby kulturne wymagają zaspokojenia, a na to potrzeba dóbr materyalnych, które zużywamy bezpośrednio, lub za które nabywamy pożądane nam cudze wytwory usługi. Od dostateczności materyalnych dóbr zależy przeto zarówno egzystencya fizyczna, jak i kulturne życie człowieka, jego samodzielność, bez ich dostatku szerzy się niedostatek, marnieje życie, lub występuje zależność od cudzych świadczeń darmych.

To samo zachodzi i co do społeczeństwa pojętego jako całość: każdy jego człowiek, bez względu czy pracuje na materyalnem czy na imateryalnem polu, wyrobnik czy prawodawca, odczuwa potrzeby; zaspokojenie ich jest koniecznem, i ono znów zależy od łącznej sumy dóbr zyskanych przez społeczeństwo. Stąd też dobrobyt społeczeństwa jest warunkowany przedewszystkiem przez dostateczność dóbr zdolnych do zaspakajania potrzeb.

Zyskać dobra można przez okupacyę darów przyrody lub przez produkcyę, świadomą czynność ludzką skierowaną do wytworzenia środków zaspokojenia potrzeb. Rezultat okupacyi jest zależny od przypadkowego faktu istnienia w świecie owych dóbr; przypadkowość i niedostateczność tego rezultatu doprowadziły do produkcyi, która u wszystkich wyżej rozwiniętych ludów przeważający znacznie ma udział w zaspakajaniu potrzeb. Zadaniem jej jest wytworzyć dostateczność i pewność zaspokojenia potrzeb.

Odpowiednio do charakteru potrzeb i środków zaspakajania winna produkcya obejmować dwa kierunki, jeden zwrócony do wytworzenia dóbr zdolnych trwale służyć celom ludzkim, jako to domy, maszyny, drugi do wytworzenia środków jednorazowej konsumcyi, jako to pożywienie, opał. Zasoby rezultatów pierwszego kierunku produkcyi wytwarzają majątek, który znów można dzielić

na majątek użytkowy i na produkcyjny, czyli kapitał, służący do wytwarzania dóbr nowych. Im wyższym jest majątek społeczny tem podwójnie ułatwionem jest zadanie bieżącej produkcyi, bo część potrzeb już jest odpowiednio zaspokojoną, a dalej praca wytwórcza jest zasiloną przez odpowiednie ulepszenie warsztatu, i użycie lepszych narzędzi, maszyn, sił. Stąd też przy ocenie rezultatów pracy każdego pokolenia i wskazywaniu mu zadań, należy pamiętać, jaki ono majątek i w jakim stanie, z jakim stosunkiem użytkowego do produkcyjnego odziedziczyło.

Majątek społeczny użytkowy pokrywa tylko część potrzeb społeczeństwa, a skuteczność jego funkcyi zależy od odnawiania i uzupełniania, powiększania nawet w miarę wzrostu ludności i wymogów. Majątek produkcyjny nabiera dopiero realnego znaczenia, gdy jest faktycznie zużyty dla produkcyi, stąd też nie zapewnią nigdy bytu społeczeństwa same posiadane zdawna zasoby, lecz potrzebną jest trwała, bieżąca produkcya, obok majątku potrzebnym jest coroczny dochód społeczny.

Dochód społeczny to rezultat produkcyi społeczeństwa, suma nowych dóbr zyskanych przez społeczeństwo. Te nowe dobra płyną przedewszystkiem z produkcyi społecznej, mogą jednak pochodzić i z innych źródeł, mianowicie bądź to na podstawie darmego dobrowolnego czy przymusowego nabycia — zasiłki, haracze, kontrybucye — bądź też na podstawie międzynarodowego obrotu, jakoto procent od ulokowanych za granicą kapitałów, zapłata za przewóz lądowy czy wodny zagranicznych ludzi czy towarów, lub za inne świadczenia (n. p. ubezpieczenie, pośrednictwo kredytowe). Stosunki te z zagranicą mogą również być powodem uszczuplenia dochodu społecznego, gdy część dóbr wyższą, niż się od zagranicy otrzymuje, trzeba oddawać na zapłatę procentu, frachtu, komisowego, kontrybucyi. O ile istnieją takie pasywne zagraniczne zobowiązania, o tyle też uszczupla się łączna suma dochodu społecznego, zmniejsza możność konsumcyi społecznej.

Ale i gdzie niema pasywnych zagranicznych zobowiązań i tam nie cały rezultat produkcyi może być przeznaczony na bieżącą konsumcyę. Potrzeby społeczeństwa są trwałe, stąd trwale

potrzeba środków zaspokojenia; przez użycie niszczeje i majątek użytkowy i kapitał, należy przeto część dochodu społecznego zużyć na odnowienie majątku (naprawa domów, zastąpienie zużytych maszyn) część na nową produkcyę (zasiew zboża, opał fabryk, lokomotyw), i dopiero pozostająca po dwóch tych strąceniach suma dóbr jest zasobem mogącym być użytym na bieżące potrzeby.

Mając sprostać swemu zadaniu winna produkcya krajowa być wielką i wzrastającą. Zasługą to było ekonomicznego liberalizmu, że z całym naciskiem zaznaczył pierwszorzędne, warunkujące dobrobyt znaczenie wielkiej produkcyi, i domagał się organizacyi gospodarczej, sprzyjającej najbardziej rozwojowi produkcyi, bo istotnie bez dostatecznej produkcyi i najlepszy rozdział jej rezultatów nie pomoże; gdy chleba za mało to i najlepszy rozdział nie nakarmi ludzi. Ale jednostronnością, błędem liberalizmu była nadzieja, że już sama dostateczna produkcya zapewni dobrobyt, że organizacya gospodarcza ma tylko uwzględnić produkcyę, a nie także rozdział i użycie, a przecież bez poprawy i w tych stosunkach niema dobrobytu.

Problem produkcyjny rozpada się zasadniczo na dwie grupy, zapewnienie dostatecznej, zwykle więc wyższej produkcyi, oraz uchronienie produkcyi i majątku społecznego od szkód i klęsk elementarnych. Szczegóły odnośne należą do poszczególnych działów polityki ekonomicznej, przyczem występuje konieczność indywidualizowania środków poparcia czy zapobiegawczych, zależnie od dziedziny, o którą chodzi i ogólnego rozwoju społeczeństwa. Jako wspólny rys charakterystyczny współczesnej organizacyi podnieść można przewodnią ideę, że otrzymamy najwyższą, najlepszą produkcyę, przyjmując zasadę gospodarczej odpowiedzialności człowieka. Niech każdy pracuje dla siebie i swoich, niech rezultaty pracy będą własnością, jego byt od rezultatów własnej pracy zależnym, dobrym więc gdy skuteczna praca, a złym jako skutek złej pracy, niech każda gospodarcza zasługa znajdzie nagrodę w poprawie bytu, każde niedbalstwo i wina karę w jego pogorszeniu, a otrzymamy najwyższą i najbardziej staranną wytwórczość.

Zasada odpowiedzialności pociąga za sobą dalsze konsekwencye: wolności i własności, bo gdzie występuje przymus czynu tam niema odpowiedzialności. Stopniowo rozszerza się wolność osobista, wolność pracy, migracyi, zamieszkania, zawodu, znika niewola, poddaństwo, wszelkie prawne stosunki zależności osobistej. I własność przechodzi podobną rozszerzającą treść i zakres ewolucyę; pierwotna własność prywatna tylko ruchoma, rozszerza się stopniowo na domy, ziemie, obejmuje wreszcie i dobra idealne: wynalazki, znaczki fabryczne, utwory artystyczne, literackie, naukowe, znika własność wspólna, znikają ograniczenia, przymusowe użytkowania własności (serwituty!).

W tym kierunku szedł rozwój faktyczny, a mianowicie w ciągu XIX wieku ewolucya ta wolności osobistej i własności prywatnej uczyniły postęp bardzo wielki, przynosząc niewątpliwie ogromny rozwój produkcyi, przyczyniając się do poprawy bytu ludzi.

Faktyczne współczesne stosunki gospodarcze, oparte o wolność osobistą i prywatną własność środków produkcyi, z przewagą stanowczą prywatnych gospodarstw produkcyjnych skierowanych do wytwarzania na zbyt, przedstawiają dla stopniowego wzrostu produkcyi pod jednym względem znaczną trudność, a przynajmniej znaczne ryzyko. Wytwórca każdy zdąża do możliwie najwyższego czystego dochodu z gospodarstwa, a ten zależy od ceny, nie od ilości towarów, stąd może się dlań okazać korzystniejszem ograniczyć produkcyę, nie wytwarzać tyle, ileby mógł, aby zyskać na cenie rosnącej przez zniżenie podaży. Współczesne kartele często rozpoczynają działalność od znacznego ograniczenia produkcyi, przez co gospodarstwo społeczne, któremu na ilości dóbr, a nie na ich cenie zależy, ma mniejszy zasób konsumcyjny. Fakta takie mogą wynikać z monopolistycznych tendencyi wyzysku, ale mogą być też wyrazem konieczności ekonomicznej; gdy podniesienie produkcyi dokonało się tylko w jednej gałęzi, a inne pozostały bez wzrostu, to jednostronna zwyżka podaży obniży cenę, produkcya może przez to stać się nierentowną, powodować straty dla wytwórcy, zmuszać go do zaniechania czy redukcyi; nie przyszłoby do tej zniżki, gdyby równomiernie roz-

winęły się i inne gałęzie, stąd też równomierne podnoszenie się głównych gałęzi produkcyi jest warunkiem rozwoju każdej z nich; wieśniak może korzystnie sprzedawać zboże tylko, gdy miasta korzystnie się rozwijają, znajdują pomyślne warunki zbytu swych wytworów na wsi. Wzajemną tę zależność modyfikuje nieco możność eksportu zagranicę jednostronnej nadwyżki produkcyi, nie uchyla jej jednak, i jako trwała podstawa rozwoju nigdy nie dorówna eksport znaczeniem swem targowi krajowemu. Normalny zaś rozwój zbytu na targu krajowym będący warunkiem podnoszenia się produkcyi, jest zależnym od równomiernego rozwoju różnych gałęzi produkcyjnych, stąd i polityka produkcyjna ma ogólny, a nie jednostronny tylko rozwój mieć na celu.

Dalszą trudnością i niebezpieczeństwem dla koniecznego wzrostu produkcyi jest stanowcze wyczerpywanie się pokładów kopalnianych, co np. przy węglach, tym głównym materyale pomocniczym nowożytnego przemysłu i komunikacyi już trwożliwe wywoływało obrachunki, na jak długo go jeszcze starczy, oraz fakt, na którym Ricardo oparł niegdyś swą teoryę renty, że ludzie biorą najpierw najkorzystniejsze grunta pod uprawę, stopniowo w miarę potrzeby uprawiają coraz gorsze, tak że produkcya na każdej nowej, gorszej ziemi staje się coraz mniej wydajną. A już dawniej Turgot zwracał uwagę na stopniowo obniżającą się stopę procentu i tłómaczył to zjawisko faktem, że najpierw powstają przedsiębiorstwa w najkorzystniejszych warunkach, późniejsze zastają już zajęte najlepsze miejsca i muszą zadawalać się mniejszym zyskiem, zmniejszającym się znów dalej dla jeszcze późniejszych. Z spostrzeżeń powyższych wysnuto teoryę o zmniejszającej się wogóle wydajności pracy i kapitału, i stąd doszło do pesymistycznego o teoryę Maltusa (ludność wzrasta szybciej, niż środki pożywienia) opartego twierdzenia, że postęp będzie coraz trudniejszym, zdolność pokrycia potrzeb wzrastającej ludności coraz mniejszą. Twierdzenie to jest jednak tylko pesymistyczną hipotezą. Może do tego przyjść, ale przyjść nie potrzebuje; owszem społeczeństwo może oddziałać na podniesienie wydajności produkcyi. Zdanie Ricarda byłoby prawdziwem tylko, gdyby nie było postępu w wiedzy i technice rolniczej: lepsza uprawa, lepszy dobór na-

sienia, nawozu i t. d., może na gorszym gruncie dać i absolutnie i relatywnie wyższe rezultaty, niż na pierwotnym lepszym. I tak jest pod każdym względem. Postęp wiedzy przyrodniczej może nam nowe stawić do służby siły, spotęgować wydajność czynnika przyroda; wydajność pracy może wzrosnąć prócz przez liczbę, a nieraz dostatek rąk jest warunkiem podjęcia pracy, skutecznej kooperacyi, także przez wyższą techniczną umiejętność, sumienniejsze wykonanie; wydatność kapitału wreszcie może wzrosnąć przez coraz lepsze maszyny, coraz pełniejsze wyzyskanie siły motorów, a skuteczność połączenia czynników wzrasta przez coraz lepszą organizacyę przedsiębiorstw. Sama z siebie nie podniesie się wydajność produkcyi, bez troski o nią mogłaby się cofać, mogłaby wzrastać progresywnie trudność bytu, ale trudność tę uchylić można rozumem, oddziałaniem na wzrost skuteczności czynników produkcyi. Postęp wiedzy, pracy, oszczędności tworzącej kapitały, ulepszenie ustroju produkcyi zdołają jeszcze na długi czas dorównać wzrostowi potrzeb, byle pracy rozumnej i wytrwałej woli nie zabrakło. A w tym względzie wrogiem i niebezpieczeństwem prawdziwem dla społeczeństw jest sufizantyzm, zadowolony zawsze z siebie, pełen lenistwa myśli, serca i ręki, nie skory ani nauczyć się więcej, ani lepiej żyć i pracować, niż dotąd. Pełno go u nas, a jak dawniej był zaporą reformy politycznej, tak obecnie on znów zaporą postępu produkcyi, i stąd wszędzie trzeba go zwalczać i usuwać, bez czego obawy Malthusa i Ricarda faktem stać się mogą. Bez coraz lepszej produkcyi pogarsza się byt społeczeństwa, giną warunki przyszłego dobrobytu.

Dr. Józef Milewski.

Z PODRÓŻY DO SZWAJCARYI.

(Dokończenie).

Kto w lecie przyjeżdża z Interlaken, Lucerny lub Genewy do stolicy Związku szwajcarskiego, rozgląda się zrazu z niemałem zdziwieniem po cichych ulicach miasta, szukając owej masy różnojęzycznej cudzoziemców, którą tam widział się otoczonym. Berno daleko mniej przyciąga podróżników, ponieważ nie ma gór w sąsiedztwie, ani nie posiada innych ponęt nadzwyczajnych, któreby mu umożliwiały współzawodnictwo z miejscowościami liczniej odwiedzanemi. A przecież i ono ma swoje wcale nie poślednie piękności. Leży ono na półwyspie, nad wodami Ary i stosunkowo najwięcej zachowało właściwości, odróżniających stare miasta szwajcarskie od innych europejskich. W głównych ulicach ciągną się wzdłuż kamienic sklepione podsienia; studnie na placach publicznych i zdobiące te studnie figury (szczególnie ciekawy jest kobziarz z początku XVI wieku) przypominają czasy, dawno minione; nie brak też hoteli, których urządzenie i sama nazwa przywodzi turystom na myśl mieszczaństwo średniowieczne (*Zu Schmieden, Zu Zimmerleuten* i t. d.). Wspaniały jest tum, zbudowany w wieku XV-ym i XVI-tym w stylu gotyckim i ozdobiony bogato rzeźbą kamienną. Z wnętrza zabrali protestanci wszelkie ozdoby, zostawiając tylko pięknie rzeźbione stale z popiersiami Apostołów i Świętych i witraże, z których jeden wyobraża w sposób bardzo oryginalny, ale zgodny z nauką Kościoła, tajemnicę N. Sakramentu Ołtarza: W górze widzimy Boga Ojca, zsyłającego

mannę, poniżej Mojżesz wydobywa wodę ze skały; z wody tej powstaje strumyk, w który papież wkłada śluzę, oddzielając symbolicznie Nowy Testament od Starego. Strumyk obraca koło młyńskie, mieląc mąkę na hostye. Pod naczyniem z mąką leży dziecię Jezus, przykryte tekstami z Pisma św.; z Niego sypią się hostye, które papież chwyta w kielich, a dalej rozdają je wiernym inny papież, biskup i opat. Dobrze zrobili protestanci, że przynajmniej tej pamiątki katolickiej nie zniszczyli.

Katolików jest w Bernie dzisiaj tylko około 4-ech tysięcy. Nie posiadali oni do niedawna własnego kościoła, ale przed 5-ciu laty zbudowali sobie piękny i dość obszerny, na którym jednak ciężą jeszcze długi. Księża, pracujący w Bernie, są widocznie dzielni. Uczą dzieci katechizmu w kaplicy albo w osobnej sali, zwanej *Christenlehrsaal* i założyli kilka stowarzyszeń, a mianowicie: »Związek katolicki«, Konferencyę św. Wincentego a Paulo, stowarzyszenie czeladników, (których dotąd schodzi się około 20-tu w pewnej restauracyi), nadto zbierają w niedzielę popołudniu dziewczęta katolickie na pogadankę, łączącą zabawę z pożytkiem. Z ogłoszenia, przybitego na drzwiach kościelnych, może się każdy dowiedzieć, skoro tylko przybędzie do miasta, jakie w niem są stowarzyszenia katolickie i gdzie ich ma szukać. Urządzenie to, (które znalazłem i w innych kościołach szwajcarskich), przydałoby się bardzo i u nas. We Lwowie np. istnieje od kilku lat stowarzyszenie robotników katolickich »Jedność«, ale o niem nic nie wie wielu mieszkańców, którzy uczęszczają do kościołów i powinniby stowarzyszenie to popierać moralnie i materyalnie.

Zdziwiłem się bardzo, widząc w pierwszej połowie sierpnia młodzież berneńską, spieszącą do szkoły rano i popołudniu i biegającą w czasie pauzy przed budynkiem, w którym pobiera naukę. Powiedziano mi, że wakacye przypadają tam na lipiec i trwają tylko 4 tygodnie, a gdzie indziej, jak w Neuchatel, nawet tylko 2 tygodnie. Jest to tem dziwniejsze, że Szwajcarzy dbają więcej, niż inne narody o rozwój fizyczny młodzieży (może ona np. w Arze używać codziennie zdrowej kąpieli bezpłatnie w obszernym basenie) i nie obarczają jej nadmiernie nauką. A przecież nie ulega chyba wątpliwości, że dłuższe wakacye są dzieciom potrzebne i że nauczanie

szkolne w sierpniu, a zwłaszcza popołudniu między 2-gą a 4-tą nie przyczynia się do ich zdrowia. Łatwo jednak domyślić się przyczyny, która wywołała to urządzenie: oto rodzice nie życzą sobie długich wakacyi i wolą, żeby młodzież miała jaknajwięcej czasu zajętego obowiązkami szkolnymi: wtedy mniej mają z nią kłopotu i nie potrzebują myśleć o tem, jaką zabawę lub pracę mają dla niej wyszukać. Ale to nie wychodzi ani na korzyść dzieci, ani nauczycieli, pracujących w szkołach ludowych.

Na jednym z najwyższych punktów miasta wznosi się imponujący »Pałac Związkowy«, zbudowany w stylu florenckim. Składa się on z trzech gmachów; w najpiękniejszym (środkowym) znajdują się sale posiedzeń »Rady Narodowej« i »Rady Stanów«. W klatce schodowej są witraże, w stylu bardzo realistycznym, wyobrażające rolnictwo żeglugę i przemysł. W sali »Rady Narodowej« przedstawia wielki obraz Giron'a ową chwilę wiekopomną (udramatyzowaną po mistrzowsku przez Schiller'a), kiedy nad »Jeziorem czterech kantonów«, najdzielniejsi reprezentanci ludu stwierdzili przysięgą, że wszyscy Szwajcarzy jedną mają tworzyć na wieki rzeczpospolitą, i że wszyscy członkowie *der Eidgenossenschaft* mają być gotowi mienie swoje i życie poświęcić w obronie jej wolności. W tej samej sali są także dość efektowne posągi Tella i Gertrudy Stauffacher. Wogóle jednak jest w tych salach i pokojach więcej przepychu, niż być powinno w gmachu przeznaczonym dla reprezentantów republiki demokratycznej. Niechaj budowle publiczne będą dziełami sztuki, niechaj przyczyniają się do wykształcenia smaku estetycznego warstw niższych, żaden też miłośnik piękna nie zrobi z tego zarzutu Radzie Związkowej, że taki sobie zbudowała pałac, że te sale posiedzeń są bardzo przestrone i bez porównania ładniejsze od tych, w których radzić muszą posłowie do austryackiej Rady Państwa i członkowie »Izby Panów«, ale niejeden szczegół trąci tutaj ową wytworną elegancyą, jaka znamionuje zazwyczaj salony magnatów. Przepych ten zdaje się potwierdzać prawdziwość zażaleń, odzywających się dzisiaj coraz częściej w Szwajcaryi, że dawna prostota patryarchalna jej obyczajów i urządzeń zaczyna ustępować miejsca zbytkowi i wyrafinowanej rozpuście stolic europejskich. W samej Radzie Związ-

kowej wziął w ostatnich czasach górę radykalizm, duchem pokrewny stronnictwu, które dziś panuje we Francyi, nie troszcząc się wiele o prawa moralne. Miejmy jednak nadzieję, że lud szwajcarski oprze się skutecznie wpływom, zagrażającym wolności, której dotąd używa i niebezpiecznym dla jego dalszego rozwoju!

Berneńskie »Muzeum historyczne« posiada bogate i cenne zbiory etnograficzne i archeologiczne, zbroje, sztandary, dywany niderlandzkie i burgundzkie, szaty kościelne z XIV, XV i XVI-go stulecia, kielichy i t. d. Na szczególniejszą uwagę zasługuje między innymi dyptyk, który do niedawna uchodził za ołtarzyk polny Karola Śmiałego, który jednak, jak wykazał proboszcz kościoła katolickiego w Bernie, dr. Stammler, powstał wcześniej (po r. 1290) w Wenecyi i był własnością króla węgierskiego Andrzeja. Można też oglądać tu pokoje staroszwajcarskie, ubiory i przeróżne inne rzeczy mniej lub więcej ciekawe.

W Muzeum Sztuk Pięknych jest kilkanaście dzieł niepoślednich, a mianowicie: Boecklin'a »Sielanka morska«, Vautier'a »Modlitwa przy stole«, I. Girardet'a »Nad jeziorem genewskiem« krajobraz A. Veillon'a, krowy E. Burnand'a. Jest tu i jeden obraz Sandra Botticellego (Matka Boska z aniołami), który w przewodniku Baedeker'a nie jest z niewiadomej mi przyczyny wymieniony, który jednak wydaje mi się autentycznym. Zwrócił też uwagę moją i zapewne innych, bardzo nielicznych gości obraz E. Bieler'a, zatytułowany: »Liście umarłe«: bujna wyobraźnia artysty stworzyła liściom tym dusze widzialne o kształtach eterycznych, które zasypiają albo już zasnęły snem wiecznym. Postaci te symbolizują w sposób zbyt wyszukany, ale świadczący o talencie malarskim, smętny nastrój późnej jesieni.

IV.

Fryburg. — Wojsko szwajcarskie. — Lozanna. — Genewa.

Bardzo miłego doznałem uczucia, kiedy przybyłem do duchowej stolicy Szwajcaryi katolickiej. Fryburg posiada jeszcze mniej od Berna osobliwości, które gdzie indziej ściągają liczne rzesze turystów i należy do miast mniejszych (ma tylko 15.794

mieszkańców), ale katolik wierzący cieszy się tutaj świadomością, że znalazł się znowu wśród braci, którzy go rozumieją i z którymi go łączy wspólność ideałów i dążeń. Największa część mieszkańców Fryburga i całego kantonu należy do narodowości francuskiej i różni się bardzo zwyczajami i poglądami od ludności kantonów niemieckich; są oni weselsi, ruchliwsi, grzeczniejsi i więcej okazują wrodzonej inteligencyi, lepiej też spełniają, ogólnie mówiąc, swoje obowiązki religijne. Tak n. p. opowiadał mi jeden z księży tamtejszych, że we wsi, leżącej w pobliżu Fryburga, na 1200 dusz prawie wszyscy, którzy są do spowiedzi obowiązani, przystępują do niej cztery razy co roku. W niedzielę zamknięte są we Fryburgu cały dzień wszystkie sklepy. 9-go sierpnia miasto było iluminowane, a także na okalających je wzgórzach zabłysły liczne światła i ognie sztuczne z powodu koronacyi Piusa X. Jest tu kilkanaście klasztorów, istnieją też dwa domy, przeznaczone na mieszkania dla słuchaczów teologii: *Canisianum i Albertinum.*

Uniwersytet, otworzony w r. 1889, liczył w r. 1903 już 453 uczniów, a 71 profesorów i docentów. Książę Maksymilian saski wykłada tu prawo kanoniczne i liturgikę; do grona profesorów należy trzech Polaków: pp. Stanisław Dobrzycki (języki i piśmiennictwo narodów słowiańskich), Józef Kowalski (fizyka eksperymentalna i elektrotechnika), Antoni Kostanecki (ekonomia polityczna i nauka o skarbowości). Wykłady odbywają się w jęz. francuskim i niemieckim, muszą zaś być dobre, skoro ściągają młodzież nawet z dalekich krajów, jakkolwiek studya i egzamina fryburskie nie zapewniają jej posad i chleba: wiadomo bowiem, że dzisiaj państwa europejskie wierzą tylko świadectwom, wydadawanym przez ich własne zakłady i komisye egzaminacyjne. W *Canisianum* (w którem mieszka się bardzo przyjemnie i tanio: za wikt i pokój płaci się tylko 3 franki dziennie), poznałem oprócz innych cudzoziemców jednego Japończyka, który poświęcił się elektrotechnice i słuchał wykładów w języku francuskim; był to człowiek uzdolniony i pracowity, a przytem uprzejmy i rozmowny; zapowiadał nam, że w wojnie z Rosyą Japonia z pewnością zwycięży.

Położenie Fryburga jest malownicze; miasto wznosi się na

półwyspie (podobnie jak Berno), około którego wije się zielona wstęga rzeki »Sarine« (po niemiecku: *Saane*); zachowało ono jeszcze znaczną część swoich starych wież i murów. Wysoko po nad rzeką wisi na grubych linach drucianych, przymocowanych do filarów, most długości 247 metrów. W liceum znajduje się t. zw. *Musée Marcello,* darowane miastu przez księżnę Adelę Colonna, która pochodziła z Fryburga, a jako rzeźbiarka nazywała się Marcello; dzieła jej nie odznaczają się zaletami nadzwyczajnemi, ale każą podziwiać biegłość techniczną, rzadką u kobiet, zajmujących się sztuką rzeźbiarską. Galerya obrazów kantonalna jest dość uboga; najwięcej wpadają w oko: »Stary Rybak« Berthou'a, Th. Volmar'a »Telegraf żołnierski«, Jos. Balmer'a »Pietà« i pani Hegg-Landerset »Powrót wiosny«. W pięciu salach na 1-em piętrze mieści się dość bogaty zbiór starożytności.

Wielki kościół katedralny (św. Mikołaja) zbudowany jest w stylu gotyckim i posiada sławne organy o 74 rejestrach i 7800 piszczałkach, na których w lecie codziennie daje się wieczorem koncert. Gra jednak, którą tu słyszałem, nie uczyniła na mnie takiego wrażenia, jak koncert organowy w Lucernie. W oknach chóru są witraże, wykonane według kartonów Mehoffera, a odbijające bardzo korzystnie od bezmyślności szablonowej innych malowideł, które widzi się najczęściej w oknach kościołów. Zarówno w pomysłach, jak i w doborze kolorów okazuje się tutaj Mehoffer artystą oryginalnym i niepospolicie uzdolnionym [1], (gdzieniegdzie tylko nie można należycie rozróżnić wszystkich szczegółów kompozycyi). Na jednym obrazie dziewica klęczy przed Najśw. Sakramentem; na innym widzimy św. Barbarę, której ojciec okrutnik własną ręką zadaje śmierć; tam znowu św. Jakób Apostoł strąca czarta w otchłań piekielną. Jedno (może najlepsze)

[1] Za to miałbym niejedno do zarzucenia malowidłom, któremi p. Mehoffer ozdobił sklepienie i ściany skarbca na Wawelu i sądzę, że nie udało mu się zbić zarzutów, uczynionych mu przez hr. Karola Lanckorońskiego (por. tegoż list otwarty »O nowych robotach w Katedrze na Wawelu« i Mehoffera »Uwagi o sztuce, odpowiedź na list hr. K. L.« i t. d. Kraków 1903). Nie mogę tu rozwodzić się o tych freskach, zaznaczam więc tylko, że według mego zdania aniołowie p. M. zbyt są podobni do naszych chłopaków wiejskich, że wogóle malarstwo religijne wymaga innego traktowania.

z tych malowideł wyobraża zwycięzców z pod Murten (Morat), którzy zdobyte sztandary składają u stóp Matki Boskiej. W bitwie tej, stoczonej w r. 1476, rozstrzygnęły się losy Fryburga i całej Szwajcaryi, którą chciał ujarzmić potężny zdobywca Karol Śmiały. Napróżno starali się posłowie dzielnego ludu zawrzeć z nim pokój: »Nic nie zyskasz na wojnie z nami« mówili do niego, »bo ziemia nasza jest uboga. Ostrogi twoich rycerzy i wędzidła twoich koni więcej są warte, niż wszystko złoto, które dałoby się w kraju naszym znaleźć«. Karol chciał się zemścić nad »chłopami«, którzy odważyli się niedawno przeciw niemu wystąpić i pewny zwycięstwa, wtargnął z wojskiem, liczącem 50—60 tysięcy ludzi, do Szwajcaryi. Chcąc olśnić bogactwem swego dworu posłów, których oczekiwał, zabrał ze sobą mnóstwo kosztowności i sprzętów złotych i srebrnych. Ale wzgardzeni przez niego »chłopi«, którzy starym zwyczajem swych przodków klękali do modlitwy przed bitwą, wywołując przez to szyderstwo żołnierzy burgundzkich, odnieśli nad nim dwa świetne zwycięstwa (pod Granson i Murten), które złamały jego potęgę. Ogromne łupy dostały się Szwajcarom. Jeszcze raz walczyli oni z Karolem pod Nancy (1477), zaciągnąwszy się w szeregi księcia lotaryńskiego Renata II. Tym razem dumny najezdca nietylko nową poniósł klęskę, ale sam poległ na polu bitwy.

Te wiekopomne zapasy przywołuje na pamięć barwne malowidło naszego rodaka w katedrze fryburskiej. W kilka dni później oglądałem z ciekawością dobrze jeszcze zachowane mury i bramy miasteczka Murten, do którego dojeżdża się z Fryburga za 3 kwadranse koleją elektryczną. Dzisiaj zmienił się lud, zamieszkujący tę ziemię, pod wielu względami zupełnie. Już przestał on dawno wojować z monarchami europejskimi i krew swoją przelewać poza granicami ojczyzny; dziś chce on tylko bronić swego mienia i swojej wolności. Nie uznaje on potrzeby długich i mozolnych ćwiczeń wojskowych. Dlatego służba wojskowa jest tu daleko lżejsza i trwa bez porównania krócej, niż w innych krajach: w piechocie 45 dni, w artyleryi 55, w konnicy 60, poczem powołuje się jeszcze strzelców i piechotę co 2 lata na 16 dni na ćwiczenia. Oficerów mianuje się tylko na czas ćwiczeń (z wyjąt-

kiem sztabowców, którzy mają stałe posady i służbę pełnią po największej części w Bernie), a wtenczas otrzymują oni płacę dzienną. W ostatnich jednak czasach uznała Rada Związkowa to wszystko za niedostateczne, co dotąd zrobiono dla zabezpieczenia Szwajcaryi od możliwego najazdu; kupuje więc ona nowe armaty, podwyższa wydatki na wojsko, każe ściślej przestrzegać przepisów, obowiązujących każdego obywatela, zdolnego do broni, do ćwiczenia się w strzelaniu. Nie mogę wydać żadnego sądu o tem, o ile konieczne są te środki kosztowne i wywołujące niezadowolenie w szerokich kołach. W każdym jednak razie nie da się zapewnić stanowczo, że Szwajcarya nie potrzebuje się lękać ewentualnego naruszenia swych granic, zwłaszcza w tym wypadku, gdyby przyszło do nowej wojny między Niemcami a Francyą; wtenczas bowiem mogliby Francuzi (jak już zrobili w czasach »wielkiej« rewolucyi) przekroczyć Ren pod Bazyleą i tędy wtargnąć do kraju nieprzyjacielskiego. Z drugiej zaś strony skorzystaliby Prusacy niewątpliwie z każdej nasuwającej im się sposobności, którąby im pozwoliła zabrać Bazyleę i otoczyć ją fortyfikacyami. Tak więc i spokojna Szwajcarya musi coraz nowe ofiary ponosić na rzecz przygniatającego Europę militaryzmu, na który jednak dotąd najmniej jeszcze potrzebuje się skarżyć.

Z Fryburga zrobiłem wycieczkę do Lozanny i Genewy. Wiadomo, że oba te miasta wznoszą się tuż nad zachwycającym »Lac Léman« *(Lacus Lemanus)*, którego piękność opisywało i opiewało tylu sławnych pisarzy (Wolter, Rousseau, Byron, Krasiński i t. d.). Inne jeziora szwajcarskie są niebieskawo-zielone, ale kolor zielony przeważa mniej lub więcej w ich zabarwieniu: Leman jest cudownie błękitny, tak, iż może się prawie równać z falami, oblewającemi wyspę Capri. Na wybrzeżu północnem kwitnie najbujniejsza roślinność; wschodnie zaś i południowe okolone jest długim łańcuchem gór o barwach i kształtach najrozmaitszych, po nad wszystkiemi zaś bieleją w świetle słonecznem czyste śniegi Mont-Blanc'u na planie ostatnim.

Lozanna, stolica kantonu Vaud, rozłożyła się bardzo malowniczo na stokach góry (Jorat), po których trzeba się spinać dosyć wysoko, idąc od stacyi kolejowej do zamku i katedry. Starsza

część miasta ma ulice ciasne, krzywe i nierówne, nowsza jednak zabudowana jest na sposób wielkich stolic europejskich. W »muzeum kantonalnem« znajduje się dość bogaty zbiór starożytności, w *Musée Arlaud* mała galerya obrazów (są to przeważnie dzieła malarzy francuskich i szwajcarskich). Z promenady *du Montbenon* roztacza się piękny widok na jezioro i Alpy; do ozdobienia tej promenady przyczynia się wspaniały gmach »trybunału związkowego« (w stylu renesansowym) i pomnik Tella, pełen wyrazu i życia, dzieło Mercie'go. Drugim pomnikiem także dobrym uczczono na wzgórzu zamkowym innego obrońcę wolności, majora Davel'a, którego stracono w r. 1723 za to, że chciał uwolnić swój kanton od panowania Berneńczyków. Katedra zbudowana w stylu gotyckim (w wieku trzynastym), należy do arcydzieł tego stylu i odznacza się wzniosłą prostotą. Szkoda tylko, że od owej pamiętnej dysputy, która tu miała miejsce w r. 1536, a w której uczestniczyli Kalwin, Farel i Viret, zabrali sobie i tę świątynię protestanci i pozbawili ją wszelkich ozdób, z wyjątkiem stal, rzeźb i grobowców. Za to postawiono w niej pomnik o charakterze czysto pogańskim żonie Caninga Stratforda, konsula angielskiego w Szwajcaryi: duszę zmarłej i kilka innych prowadzi nagi Hermes do podziemia.

Nad południową kończyną jeziora i nad wypływającym z niego błękitnym i wartkim Rodanem leży stara Genewa. Mało jest dziś miast na ziemi, przez liczniejsze turystów rzesze zwiedzanych. I samo bowiem miasto ma dużo w sobie uroku, ale więcej jeszcze przyciągają góry, piątrzące się w pobliżu i wszystkie owe piękności, które oglądać można na wycieczkach do Vevey, (w którem odgrywa się akcya »Nowej Heloizy« Rousseau'a), na Mont Pélerin, do Montreux, (Rochers de Naye), do zamku Chillon, (którego potężne mury i wieże sterczą z wód Lemanu) i t. d. Od niedawna prowadzi stąd kolej i do Chamonix, do stóp Mont-Blanc'u.

Stara część Genewy znajduje się na lewym brzegu Rodanu. Na najwyższym jej punkcie wznosi się katedra, zbudowana pierwotnie w stylu romańskim, później (w XII i XIII wieku) przekształcona w gotyckim; jeszcze później (w w. XVIII) »ozdobiono«

ją niepotrzebnie portalem z kolumn korynckich. W przylegającej »Kaplicy Machabeuszów« są bardzo piękne witraże. I ta katedra jest zborem od czasów Kalwina, który pozabierał katolikom wszystkie kościoły, jakie posiadali w Genewie; skoro zaś powstała sekta «staro-katolików«, oddano znów tym kościół *Notre-Dame*, zbudowany koło r. 1870 w pobliżu dworca *(De Cornavin)*. Ale dziś katolicyzm odzyskał napowrót trzecią część Genewy; już bowiem posiada ona 4 parafie, liczące około 30 tysięcy wiernych, a jakkolwiek katolicy nie zdobyli się jeszcze na nowe, okazałe kościoły, któreby im mogły zastąpić świątynie zabrane, to przecież doznają coraz większego poważania; dlatego też władze kantonalne zaczynają się z nimi liczyć. Mają oni (koło kościoła św. Józefa na *Rue du Rhône*) dom wynajęty *(cercle catholique)*, w którym przyjmuje się i cudzoziemców w gościnę, (za mieszkanie i całe utrzymanie płaci się miesięcznie tylko 90 franków).

Na prawym brzegu Rodanu zwraca uwagę wysepka Rousseau'a, na której wśród drzew postawiono »myślicielowi genewskiemu« dobry posąg spiżowy *(Pradier'a)*; siedzi on, jak żywy i zdaje się spoglądać z zajęciem i z cichą radością na rodzinne miasto, którego magistrat kazał niegdyś (w r. 1763) spalić jego »Emila« i »Kontrakt społeczny« jako książki »gorszące, bezbożne i zmierzające do zniszczenia religii chrześcijańskiej i wszystkich rządów«, a które dzisiaj szczyci się niemało tem, że »wielki» Rousseau należy do jego synów.

Na północnem wybrzeżu jeziora wzniesiono (na *Quai du Mont-Blanc*) przepyszny pomnik księciu Karolowi II z Brunszwika, który umierając (w r. 1873) zapisał miastu ładną sumkę, bo 20 milionów franków. Pomnik ten, wykonany według pomysłu Franel'a, należy do najefektowniejszych dzieł rzeźby nowożytnej, jakie widziałem: dwa lwy olbrzymie z żółtego marmuru *(Caïn'a)* leżą u wejścia na długiej i szerokiej platformie, na której stoi trzypiątrowy baldachim; na środkowem piątrze widać sarkofag, na którym leży sam książę. Na sześciu wystających krawędziach ustawiono posągi marmurowe sławnych Welfów, a ponad nimi na dachu, 12 apostołów i alegorye cnót chrześcijańskich. Koło baldachimu stoi osobno spiżowy posąg księcia na koniu. Szczę-

śliwe miasto, które takich znajduje dobrodziejów! Nie można się też dziwić, że poświęciło znaczną część spadku dla okazania wdzięczności człowiekowi, o którego zasługach i cnotach milczy wprawdzie historya, który jednak ukochał Genewę i przyczynił się skutecznie do jej rozwoju.

Innym znów miłośnikom swoim zawdzięcza Genewa dwa dość bogate muzea: *Musée Rath* i *Musée Ariana*. Pierwsze założył i darował miastu jenerał rosyjski Rath (urodzony w Genewie), drugie literat Gustaw Revilliod. W pierwszem są trzy portrety Velazquez'a (Filip IV, królowa hiszpańska Marya Anna i śpiewacy hiszpańscy), »Zwiastowanie« Fra Bartolomea i Albertinellego, dwa obrazy młodszego Teniersa, pejsaże Corot'a, (które mnie jednak wcale nie zachwyciły), Calame'go, Diday'a i t. d. Najnowsze kierunki w dziedzinie malarstwa reprezentują w sposób bardzo korzystny: Balmer (»Matka z dwojgiem nagich dzieci«) i Gaud (»Żniwo«).

Drugie muzeum, które założyciel jego Revilliod nazwał imieniem swej matki *Ariana*, znajduje się za miastem, w rozległym parku i posiada zbiór dywanów z XVII wieku, wyrobów chińskich i japońskich z porcelany, bronzu, kości słoniowej, miedziorytów i t. d., nadto galeryę obrazów. W tej są dwa portrety Velazqueza, kilka Holbein'a, piękny Chrystus, krzyż dźwigający, Sebastyana del Piombo, Herodyada Jana Memlinga, Matka Boska ze Świętymi Łukasza de Leyden. Mniej ładna jest Madonna z Dziecięciem Van Dyk'a, ale wydaje mi się autentyczną, równie jak św. Rodzina Lorenza di Credi. Natomiast dwa szkice, przypisane Murillowi i obraz, który ma być dziełem Luiniego, muszą być, jak sądzę, tylko kopiami.

V.

Neuchâtel. — Bazylea. — St. Gallen.

Do mniejszych, ale także ładnych miast szwajcarskich należy Neuchâtel, stolica dawniejszego księstwa »Neuenburg« (tak nazywa się i dzisiaj miasto po niemiecku, ale ludność jego jest przeważnie francuska), które należało dawniej do księstwa orań-

skiego, a później, aż do r. 1848, do Prus. Dopiero w tym roku udało się obywatelom kantonu zrzucić jarzmo pruskie. W 50 lat później uwieczniono tę datę na pięknym »pomniku republiki«, wykonanym przez Heer'a i Meyer'a. Miasto przypomina swojem położeniem nad szeroko rozlanem jeziorem, a poniekąd i budową swych domów Genewę i Lozannę. Na wzgórzu wznosi się stary zamek a obok niego kościół (z wieku XII) z pięknymi witrażami i wielkim grobowcem gotyckim. W »Muzeum sztuk pięknych« uderza na wstępie fresk treści religijnej Pawła Roberta, wyobrażający porządek moralny wszechświata, walkę złego z dobrem i działanie łaski na ludzkość. W górze ukazuje się Chrystus w obłokach, ponad ewangelią; z lewej strony wzlatują ku niemu dziewice — alegorye sztuk, umiejętności i cnót, z prawej stoi św. Michał na grzbiecie zwyciężonego smoka. Na jednem z malowideł bocznych wyobrażony jest dobroczynny wpływ łaski Bożej, na drugiem przemysł nowoczesny, którego złocisty posąg budzi namiętne pożądanie cisnącego się ku niemu tłumu. Całość nie czyni takiego wrażenia, jakie wywołują arcydzieła sztuki, bo jej brakuje porywającej siły i przekonywającej prawdy, ale jest to w każdym razie utwór niepospolity, który zwraca na siebie uwagę tem bardziej, że dzisiaj tak są rzadkie obrazy treści religijnej. Inny obraz tego samego artysty, podpisany »Zefiry«, znajduje się w salach Muzeum; są to nadzy młodzieńcy, bardzo wysmukli i dobrze wyobrażający lekkość powiewów wiosennych. Za to malowidła wychwalanego niegdyś Leopolda Roberta (zmarłego w r. 1835), każą się tylko dziwić, że był czas, kiedy go uważano za mistrza i że go dziś jeszcze nazywają niektórzy wraz z Baedekerem »znakomitym malarzem życia ludów południowych«. Szczególnie zachwycano się jego bandytami, którzy umieją nie tylko łupić i zabijać, ale też pieścić się czule z żonami swemi i dziatwą. Nie spostrzegano, że tym postaciom brakowało prawdy, że ich wyrazy i pozy były nienaturalne, lecz wymyślone podług reguł akademickich. Z innych obrazów galeryi wymieniam jeszcze jako jeden z najlepszych, Pury'ego dziewczęta wiosłujące i śpiewające.

Całkiem znowu odrębny charakter ma Bazylea, leżąca na obu brzegach Renu i posiadająca ludność niemiecką. Znaczna część

domów ma wygląd staroświecki i różniący się bardzo od dzisiejszego sposobu budowania. Stary ratusz zbudowany jest w stylu późno-gotyckim (w ostatnich czasach odnowiono go gruntownie). Tum, który był niegdyś (do r. 1529) katedrą biskupią, przedstawia w dzisiejszej postaci swojej ciekawą mieszaninę stylu gotyckiego z romańskim. I ten kościół i wszystkie inne starsze zabrali naturalnie protestanci; jeden (Karmelitów Bosych z wieku XIV) mieści obecnie bogate zbiory »Muzeum historycznego«: w nawie głównej są przeróżne starożytności (zbroje, szczątki dzieł sztuki, uratowane z kościołów, rzeźby i t. d.); w nawach bocznych oglądać można szereg pokojów, których urządzenie i umeblowanie pochodzi z wieków XV do XVIII. W chórze są resztki sławnego fresku, zwanego »Tańcem śmierci bazylejskim« (z początku XV wieku), piękne ołtarze rzeźbione i stale. W skarbcu zebrano dużo cennych bardzo relikwiarzy, monstrancyi, kielichów i t. d. Jest to wogóle jedno z najbogatszych muzeów szwajcarskich, ale zwiedzający je katolik nie może zapomnieć, że znajduje się w kościele sprofanowanym, że te ołtarze i naczynia, służbie Bożej poświęcone (którym zresztą nikt prawie nie przypatruje się uważnie), były dawniej gdzieindziej i większego doznawały poszanowania.

Ale większą jeszcze bez porównania sławą cieszy się drugie muzeum bazylejskie, posiadające liczne arcydzieła malarzy niemieckich, a w szczególności Holbeina młodszego i Boecklina. Tu poznaje się Holbeina z różnych stron, jako malarza religijnego, jako jednego z najznakomitszych portrecistów, jako rysownika-ilustratora. Bardzo starannie są wykończone sceny z Męki Pana Jezusa w ośmiu malowidłach na drzewie, w jedną ramę ujętych: są to kompozycye pełne prawdy i dramatycznej siły; niestety jednak uległy przemalowaniu w r. 1771 [1]. Piękna też jest Madonna z Dziecięciem, jasnowłosa, w szacie białej, z koroną na głowie; ramę renesansową zdobią aniołki z narzędziami Męki. Ostatnia Wieczerza nie może się wprawdzie mierzyć z dziełem Lionarda

[1] Por. ustęp, poświęcony Holbeinowi, w znakomitem dziele ks. Alberta Kuhn'a, Benedyktyna, p. n. *Allgemeine Kunstgeschichte*. Dzieło to wychodzi od lat kilkunastu w zeszytach, ozdobionych wybornemi ilustracyami u Benzinger'a (Einsiedeln, Waldshut, Köln).

(które przypomina), ale postaci jej mają dużo wyrazu. Jest to zresztą jedno z owych licznych malowideł, które doznały na sobie skutków nowej wiary, głoszonej przez »reformatorów« XVI w. Nigdzie protestantyzm nie przyczynił się do rozwoju sztuk pięknych, ale raczej wszędzie był im mniej lub więcej nieprzychylnym, okazując i w tym względzie swą ciasną, fanatyczną jednostronność i brak zrozumienia natury ludzkiej. Ale nie wszędzie posunięto się do zaciekłego niszczenia obrazów religijnych, nie wszędzie wywołała »wolność ewangelicka« takie objawy wandalizmu, jakich widownią była Bazylea: w r. 1529 spalono na głównym placu wszystkie obrazy i inne dzieła sztuki, które »zreformowani« znaleźli w katedrze i w innych kościołach miasta. Bardzo być może, iż temu losowi uległo niejedno malowidło Holbeina. Co się zaś tyczy jego »Ostatniej Wieczerzy«, wiemy tylko tyle z zapisków jego czciciela, prawnika Amerbacha (którego wyborny portret znajduje się także w muzeum), że ją pocięto na kawałki a potem znowu zlepiono, ale nieporządnie *(unflätig);* to nam tłumaczy, dlaczego trzech apostołów brakuje, a trzej inni są tylko częściowo widzialni. Inne miasta szwajcarskie, a szczególnie te, które opanowali zwolennicy Zwinglego (Zurych, Berno i t. d.) urządziły sobie również podobne *autos da fé,* jakie oglądała Bazylea w czasie, kiedy papieże i wogóle duchowieństwo katolickie kładło nieocenione zasługi około rozwoju sztuk pięknych w innych krajach europejskich.

Na szczęście jednak uratowano dużo dzieł Holbeina, które powstały w czasie dwukrotnego pobytu jego w Bazylei (od roku 1515—1526 i 1529—1532). Nie zachowało się tylko niestety żadne z jego wielkich malowideł ściennych, które (jak sądzą znawcy na podstawie opisów i szkiców pozostałych) stawiały go w rzędzie najznakomitszych mistrzów. Już liczne jego rysunki (których 78 numerów posiada muzeum bazylejskie) dają wyobrażenie o jego genialności i niewyczerpanem bogactwie jego fantazyi. Najsławniejsze z nich są te, które należą do cyklu, zwanego »Tańcem śmierci«. Jest to szereg scen dramatycznych, gorzką humorystyką zaprawionych: w każdej występuje kościotrup jako sowizdrzał, strojący miny ponuro-komiczne, porywający swoje ofiary w bła-

zeńskich podrygach i z uśmiechem straszliwym; tu przebija z tyłu znienacka opancerzonego rycerza własną jego włócznią, tam wkłada sobie na czaszkę infułę opata i ciągnie go za sobą, innym przygrywa na cytrze albo i na bębnie, wiodąc ich do grobu i t. d.

Z innych malarzy wybitnych dawniejszych, których dzieła posiada muzeum bazylejskie, wymieniam tylko krajobraz Ruysdael'a, kilka obrazków rodzajowych Teniers'a młodszego, Bakchusa Poussin'a. Są tu także rysunki Overbeck'a, Steinle'go i innych malarzy religijnych XIX wieku, którzy usiłowali zbliżyć się do Rafaela i stworzyć sztukę, wznoszącą się wysoko ponad bezmyślny naturalizm i biegłość rzemieślniczą. Niestety jednak dziełom ich brakuje rzeczy najważniejszych: oryginalności i prawdy; oni zdobywają się tylko na idealizm blady i zbyt ogólnikowy, na poprawność rysunku, na piękność linii, na ckliwą słodycz (jak np. Steinle w swoim św. Łukaszu albo Schnorr w »Quo vadis«), przez co stwierdzają na nowo starą prawdę, że artysta powinien uczyć się od wielkich mistrzów, ale nie powinien ich naśladować.

Inny znów, najnowszy kierunek reprezentują rysunki Klinger'a. Są to same nastroje, widzenia, pomysły poetyczne, których nie można zrozumieć bez komentarza. Niektóre są nawet zaopatrzone nutami dla zaznaczenia, że one mają wyrażać tylko uczucie tego rodzaju, jakie wylewa się w akordach muzycznych, że więc nie trzeba w nich szukać treści, dającej się określić słowami. Nie potrzebuję chyba dowodzić, że sztuki plastyczne nie mogą poprzestawać na wywoływaniu nastrojów, na mglistej uczuciowości, że każdy obraz czy rysunek powinien przedstawiać coś widzialnego, że daremne są próby stworzenia nowego rodzaju malarstwa, w któremby zatarły się jakoś granice, dzielące je dotychczas od muzyki i poezyi. Próby te tłumaczą się przeświadczeniem, że sztuka nie powinna odtwarzać tylko kształtów dotykalnych i przemawiać do samych tylko zmysłów, że powinna wyrażać stany duchowe, wnikać w głąb duszy i grać na strunach serca; ale stąd nie wynika, że malarz czyni dobrze, kiedy używa swych środków do wypowiedzenia czegoś, co linią, barwą i grą światła i cieni nie da się uzmysłowić. W każdym razie jest to zjawiskiem bardzo zajmującem, że w sztuce nam współczesnej bierze znów

górę prąd idealistyczny, odpowiadający nieodpartym duszy ludzkiej potrzebom.

Blizko trzecia część mieszkańców Bazylei (około 30 tysięcy na 109.161) wyznaje wiarę katolicką i gromadzi się licznie w 3 kościołach (N. M. Panny, św. Józefa i św. Klary). Bardzo piękny jest nowy kościół N. Panny, w którym widziałem kilkudziesięciu młodzieńców z *Jünglings-Verein'u* przystępujących z nabożnem skupieniem do wspólnej Komunii św. Jest także katolicki *Männer-Verein*, liczący 1000 członków.

Wracając do kraju drogą najprostszą (dla pośpiechu), prowadzącą z Bazylei do stacyi Rorschach, położonej nad jeziorem Bodeńskiem, zatrzymałem się jeszcze tylko w St. Gallen. Urocze to miasto, liczące przeszło 33 tysięcy mieszkańców, słynie dziś ze swego przemysłu i handlu (hafty, wyrabiane w kantonach St. Gallen i Appenzell, rozsyła się stąd do wszystkich części ziemi), ale większą sławą okryli je przed wiekami Benedyktyni, pracujący w klasztorze, założonym przez św. Galla, Irlandczyka, w VII stuleciu. Tu było jedno z głównych ognisk oświaty europejskiej i literatury staroniemieckiej w wieku VIII do XI, tu napisał Eckehard swój poemat epiczny: *Walthárius de Aquitania*, tu przełożył psalmy na język niemiecki Notker Labeo i t. d. Klasztor ten zniesiono w r. 1805, obszerny zaś gmach opactwa, który zajął miejsce dawniejszego w wieku XVIII, jest dzisiaj siedzibą biskupa katolickiego. Także i kościół stary przestał już dawno istnieć; dzisiejszy zbudowany jest w stylu barokowym i należy, równie jak podobny do niego kościół w Einsiedeln, do lepszych okazów tego stylu, który miał obok wad rażących także pewne zalety, bo stwarzał gmachy ogromnych rozmiarów, oświetlone jasno i bogato ozdobione.

W »Muzeum« miejskiem znajdują się ciekawe zbiory towarzystwa historycznego i mała galerya obrazów. Są tu dwie ładne Madonny mistrzów nieznanych (jedna ma podpis: »szkoła północno-włoska«, druga: »szkoła niderlandzka«), Amorki Feuerbacha, Chrystus idący do Emaus, Roberta Zünd'a (piękny krajobraz), Chłopi w łodzi B. Vautier'a, dobre pejsaże Achenbacha, Lovatti'ego, Steffan'a i innych. Biblioteka klasztorna posiada oprócz

30 tysięcy tomów drukowanych 1725 woluminów z cennymi rękopisami (pieśń o Nibelungach z w. XIII, psałterz Notkera z wieku X-go i t. d.)

VI.

Socyalizm w Szwajcaryi. — Urzędnicy. — Dola ubogich. — Zakończenie.

Słyszymy nieraz i czytamy w pismach socyalistycznych, że społeczeństwo europejskie zbliża się szybko do ideału »demokracyi socyalnej«, ponieważ w niem ciągły odbywa się proces »demokratyzacyi«. Z tegoby wynikało, że w kraju, gdzie niema już żadnych klas »uprzywilejowanych« i »rządzących«, gdzie największa panuje wolność słowa, zgromadzeń i stowarzyszeń, gdzie lud sam sobie nadaje prawa, że tam socyalizm powinienby największe czynić postępy. A przecież właśnie w Szwajcaryi znajduje się najmniej zwolenników tego programu. Są i tam wielcy przemysłowcy i kapitaliści (w samej Bazylei mieszka 173 milionerów, a jeszcze więcej w Genewie, bo 216), są fabrykanci i rzesze robotników, walczących o poprawę swego bytu, nie brak i szwajcarskiego *Naprzodu (Baseler Vorwärts),* broniącego interesu proletaryatu, a jednak socyaliści stanowią garstkę stosunkowo bardzo nieliczną, przynajmniej wśród rodowitych Szwajcarów. Więcej ich jest pomiędzy przybyszami, a zwłaszcza Włochami, którzy tu szukają zarobku. Właśnie w tym czasie, kiedy byłem w Genewie, strejkowali tam od trzech tygodni mularze i inni robotnicy budowlani, ale nie znać ich było na ulicach i tylko z dzienników dowiedziałem się, że policya miała z nimi trochę kłopotu, że aresztowano ich przywódców Bertacchini'ego i Bischoff'a i użyto innych środków energicznych, co wywołało oburzenie bazylejskiego *Naprzodu,* który posunął się aż do twierdzenia, że »w Genewie brak jeszcze tylko sądów doraźnych i kozaków«. Cóż na to powiedzą, pomyślałem sobie, czytając ten wykrzyknik, nasi agitatorzy, stawiający nam jako wzór wolną, demokratyczną Szwajcaryę, która przecież postępuje sobie nieraz ze swoimi »towarzyszami« podobnie, jak inne rządy europejskie? A więc i tam wysyłają policyę i żandarmeryę przeciw robotnikom i pozbawiają ich wolności za to, że zmuszają innych do solidarności ze strejkującymi,

do zaniechania pracy? A więc i tam jeszcze rządzi »burżoazya«, niechętna pracującemu ludowi«?

Trudno jest jednak znaleźć gdziekolwiek większe zamieszanie pojęć jak to, które da się stwierdzić w propagandzie socyalistycznej: rozwój urządzeń demokratycznych ma być korzystnym dla partyi dlatego, że ona nazywa się także »demokracyą« i pracuje na rzecz warstwy najuboższej, »wydziedziczonej«. A przecież to, co stanowi istotę socyalizmu, różni się bardzo od dążeń rozumnie pojętej demokracyi, która nie pragnie ograniczyć własności i inicyatywy prywatnej do rozmiarów minimalnych, nie jest zwolenniczką kollektywizmu, nie znosi pracy najemnej, nie marzy o zrównaniu wszystkich obywateli pod względem praw i możności używania dóbr ziemskich, bo wie, że to utopia, nie dająca się nigdy urzeczywistnić. Socyalizm przeciwstawia proletaryat bezdomny, wyzyskiwany i rozgoryczony, warstwom posiadającym, wzywa go do walki klasowej, do opanowania środków produkcyi; demokracya zaś podaje dłoń pomocną warstwom najniższym, zaciera różnice stanów i pochodzenia, wprowadza w życie zasadę równości, o ile to jest możliwe, a kiedy ludzie ubodzy przekonywają się naocznie, że żadna klasa społeczna nie jest uprzywilejowaną, że każdy może pracą i talentem zdobywać najwyższe nawet w państwie stanowiska, kiedy ich nikt nie krzywdzi i nie traktuje pogardliwie i t. p., nie znajdują u nich wiary i posłuchu obietnice i hasła bojowe agitatorów socyalistycznych, którzy im nie dają żadnych korzyści namacalnych. To jest właśnie powodem, że państwa, najwięcej dziś zdemokratyzowane, że Anglia, Ameryka, a zwłaszcza Szwajcarya nie okazują się dobrym terenem dla posiewu kollektywistów. I tam łączą się wprawdzie robotnicy w stowarzyszenia zawodowe i dążą do poprawy swego losu, żądają n. p., żeby każdy robotnik miał w tygodniu 36 godzin odpoczynku, żeby otrzymywał corocznie urlop 14 dniowy z całą płacą swoją, żeby społeczeństwo dostarczało uczniom zdolnym środków potrzebnych do ukończenia szkół wyższych. Ale tego wszystkiego można pragnąć, nie będąc wcale socyalistą, więc chociażby znaczna większość robotników godziła się na te żądania, nie byłoby to dowodem, że oni należą do partyi wymienionej.

I w Szwajcaryi lud pracujący nie opływa w dostatki, owszem dola jego jest twardszą od doli robotnika fabrycznego w Berlinie albo w Paryżu. Ale posiada on więcej zdrowego rozsądku i nie tak łatwo da się omamić złudnemi obietnicami; zamiast więc marzyć o wielkiej rewolucyi, któraby władzę oddała proletaryatowi, woli on dorabiać się mienia pracą i oszczędnością (chociaż niestety i pijaństwo szerzy się bardzo wśród znacznej jego części), łączyć się w stowarzyszenia wytwórcze (bardzo pomyślnie rozwijają się n. p. po wsiach w okolicy Fryburga spółki mleczarskie) i zmierzać powolnym ale pewnym krokiem do naprawy stosunków gospodarczych. A zresztą i to trzeba uwzględnić, że on ma daleko mniej powodu do niezadowolenia z ustaw i urządzeń swojej rzeczypospolitej, jak lud francuski i niemiecki: służba wojskowa daje mu się bez porównania mniej we znaki, oficerowie i urzędnicy obchodzą się z nimi po ludzku, nie potrzebuje on też znosić ani buty junkierskiej, ani samowoli policyjnej i t. d. Szkoły są bezpłatne — z wyjątkiem uniwersytetów, podczas gdy w szkołach średnich paryskich płaci się za eksternistów (tj. uczniów nie mieszkających w zakładzie) 250—350 franków rocznie. Nadto powstały dzięki ofiarności prywatnej i publicznej w Szwajcaryi liczne zakłady i urządzenia, które są wielkiem dla ludności uboższej dobrodziejstwem. I tak stworzyło towarzystwo, które przybrało sobie miano: *Schweizerische gemeinnützige Gesellschaft*, w Richtersweil-Schönenwerd zakład wychowawczy dla dziewcząt wyznania katolickiego, w Bazylei szkołę robót kobiecych i wiele innych instytutów o charakterze humanitarnym. W Winterthur zbudowano sto kilkadziesiąt domów, w których robotnicy znajdują tanie mieszkania. W tem samem mieście wprowadzili właściciele wielkiej fabryki machin, bracia Sulzer, zatrudniający około 2700 ludzi, różne zarządzenia dla robotników korzystne i t. d. To wszystko razem wyjaśnia, dlaczego socyalizm nie jest w Szwajcaryi potęgą dla rzeczypospolitej niebezpieczną.

Czy zaś i o ile także działalność urzędników stawia w Szwajcaryi silniejszą tamę socyalizmowi niż w Austryi i w innych państwach monarchicznych, o tem nie umiem nic stanowczego powiedzieć, bo nie mogłem przypatrzeć się bliżej tej działalności. Wiadomo,

że tam stanowiska urzędowe zajmują ludzie, wybrani przez swoich współobywateli na pewien okres czasu, nie mający prawa do emerytury i wracający do swego zawodu, skoro upłynie czas ich służby publicznej. Ma to oczywiście swoje strony ujemne i nie zawsze wybór padnie na człowieka, posiadającego wszystkie przymioty potrzebne do dobrego wykonywania powierzonego mu urzędu, a jeżeli wybrany je posiada, musi dopiero przez jakiś czas rozpatrywać się i wprawiać, zanim nabędzie biegłości w spełnianiu swych obowiązków; można też przypuszczać, że wielu urzędników nie postępuje całkiem bezstronnie i dość energicznie, ale ogląda się na swoich wyborców, na życzenia osobistości wpływowych, nie chcąc utracić swego stanowiska i dochodów, jakie ono przynosi i t. d. Z drugiej jednak strony, mogą Szwajcarzy się cieszyć, że niema u nich biurokratów tego rodzaju, jakich całe zastępy spinają się gdzieindziej po szczeblach hierarchii urzędniczej, załatwiając tylko mechanicznie swoje »kawałki«, a nie troszcząc się o potrzeby społeczeństwa, nie wspomagając niczem stowarzyszeń pożytecznych, ale je raczej krępując, nie myśląc o niczem innem, jak tylko o tem, co dogadza ich miłości własnej: o awansie, o powiększaniu swoich dochodów i t. p.

Mówiąc o stosunkach społecznych szwajcarskich, muszę jeszcze w kilku przynajmniej słowach wspomnieć o losie, jakiego tam doznają mieszkańcy, najbardziej potrzebujący wsparcia i opieki. W całym kraju zabronione jest surowo żebractwo; kto nie ma środków do życia, udaje się do swojej gminy z prośbą o pomoc. Nigdzie też nie widać nędzarzy, wyciągających rękę po jałmużnę. Możnaby więc sądzić, że tam ubogim dzieje się bez porównania lepiej, niż u nas. Ale jest rzeczą bardzo podobną do prawdy, że po wsiach szwajcarskich często odgrywają się sceny w rodzaju tej, którą opowiada p. Konopnicka w szkicu p. n. »Miłosierdzie gminy. Kartka z Hottingen« (gminy, należącej do Zurychu). Jest to widocznie obrazek, żywcem zdjęty w rzeczywistości. W kancelaryi odbywa się licytacya: zgromadzeni mają przed sobą biedaka, który już nie może zarobić na życie; urząd gminny chce go powierzyć temu z pomiędzy obywateli, który najmniejszej zażąda dopłaty z funduszów publicznych. Pan radca, świeży urzęd-

nik z wyborów, wypowiada na wstępie kilka pięknie brzmiących frazesów o «opiekuńczych ustawach gminy, która nie dozwala cierpieć nędzy żadnemu z członków swoich« i powoduje się »miłosierdziem chrześcijańskiem«; poczem każe wprowadzić »kandydata«, starego tragarza, trzymającego się ledwie na nogach. Zrazu nikt nie okazuje ochoty wziąć do swego domu takiego niedołęgi, który do żadnej posługi nie wydaje się zdolnym, ale potem jeden i drugi wypowiada zdanie, że stary ma dość jeszcze siły do lżejszej pracy i kilku chce go przyjąć, jeżeli gmina przyczyni się jakąś kwotą znaczniejszą do jego utrzymania. Wreszcie bierze go jeden, żądający za niego najmniej, bo tylko 125 franków. Prawda, że starzec lęka się najbardziej tego właśnie nabywcy, który jest znany jako człowiek bezwzględny i nielitościwy, ale pan radca jest bardzo zadowolony z wyniku licytacyi i sądzi, że wyświadczył nędzarzowi jako reprezentant gminy wielkie dobrodziejstwo. Opowiadanie to rzuca światło jaskrawe na ową filantropię protestancką, zimną, bezwzględną, szablonową, która i w Szwajcaryi troszczy się po swojemu o los ubogich, która jednak różni się bardzo od miłosierdzia chrześcijańskiego, jak je pojmują dobrzy katolicy.

Nie brak więc i w tym kraju obok jasnych świateł i ponurych cieni: wielka część ludności oddalona jest bardzo od ideału demokracyi chrześcijańskiej, pracującej dla dobra wszystkich, ale w pierwszym rzędzie dla warstw najniższych; protestantyzm, radykalizm, niewiara zupełna przyczyniają się w wysokim stopniu do zmateryalizowania obywateli, którzy nie chcą mieć nic wspólnego z Kościołem, a za to przyjmują chętnie zasady, dogadzające ich samolubstwu. Ale z drugiej strony mnożą się dzisiaj w całej rzeczypospolitej, a zwłaszcza w kantonach jej katolickich, i takie objawy, które uprawniają do najpiękniejszych na przyszłość nadziei.

Ks. Aleksander Pechnik.

Z powodu nowego poglądu na apostołów słowiańskich.

(Dokończenie)

Focyusz nie bez przyczyny zaniedbał odpowiedzieć Mikołajowi na jego list ostatni. Tracił zwolna, w dziesięciu latach poselstw i próśb, wszelką nadzieję pomocy ze strony Mikołaja przeciw Ignacemu. Myśl, którą podsunęli Guenther z Thietgaudem, znalazła nową podnietę. Lotaryńczyk znowu porzucił żonę, która już teraz sama poprosiła Mikołaja o rozwód. W odnowionej sprawie mógł jeszcze raz wpaść zachodni cesarz na czele zbrojnej siły do Rzymu i złożyć Mikołaja z urzędu. Focyusz tedy postanawia bronić patryarszego stanowiska wzorem dostojników niemieckiego Kościoła. Jak Guenther urządzał zjazdy, na których wzywał biskupów do sądu nad Mikołajem, jak układał synodalne uchwały, aby ich powagą podbijać sobie umysły stronników, tak Focyusz rôzesłał okólnik, jakoby uchwalony na zjeździe biskupów, odbytym w lecie 867-go roku; ale nie poprzestaje, jak Guenther w swoim okólniku, na ogólnikowym zarzucie, że Mikołaj ciemięży biskupów przez swoją pychę: Focyusz w swoim okólniku wytyka pięć szczegółowych win Mikołajowi, za które wydaje na niego wyrok, podpisany przez biskupów dwudziestu i trzech; na ostatek Focyusz wzywa zachodniego cesarza na wykonawcę wyroku i obowiązuje, żeby usunął Mikołaja z urzędu.

Wysyła tedy do zachodniego cesarza i cesarzowej opis soboru, załącza bogate dary i obiecuje wyrobić, żeby im carogrodzki dwór przyznał dostojeństwo cesarskie, bo Carogród nie uznawał

cesarstwa wschodniego i mianował następców Karola Wielkiego tylko ῥῆγες.

Śladem tedy Guenthera poszedł Focyusz do zachodniego cesarza po orężną pomoc, aby zmienić papieża: Mikołajowi wypowiedział posadę, ale przez to samo jeszcze nie zerwał Focyusz stosunków z całem ciałem Kościoła. A jak przez popleczników Guenthera nie odpadł Zachód od Kościoła, choć dostarczył biskupów przeciwnych Mikołajowi, tak przez okólnik Focyuszowy nie zerwał z łacińskim Kościołem cały Wschód, który liczył mnogie setki biskupów, a ledwo ich 23-ech położyło swoje podpisy na okólniku. Łacińscy wichrzyciele złożyli niezaprzeczenie dowody ducha krnąbrnego, kiedy wypowiedzieli posłuszeństwo osobiście Mikołajowi, nie zaszli jednak tak daleko, żeby aż przejąć Zachód duchem jakiegoś antypapizmu, choć wywołali zamieszkę na dłuższy czas, niż Focyusz: oderwali swoje dyecezye od społeczeństwa z Mikołajem na długie miesiące, a ten i ów nie ustąpił aż po latach; Focyusz wystąpił z okólnikiem w lecie, ale już w kilka tygodni po swoim występie stracił wszelką podporę na dworze, bo już 23-go września nastąpił po Michale na cesarstwo wschodnie Bazyli: temu Focyusz dał się nakoniec przekonać, ustąpił Ignacemu patryarchatu, i wysłał wymienionych rzeczników swojej sprawy wraz z poselstwem cesarza do Rzymu [1]. Jakim dowodem Bazyli przekonał Focyusza, tego nie opowiada ani Anastazy, ani żaden z wielu dziejopisów, którzy donoszą o wypadku; dają tylko odgadnąć, co tym dowodem było: mianowicie zapowiedź, że pod rządem Bazylego zabraknie Focyuszowi wszelkiej pomocy w walce przeciw Ignacemu, bo ze śmiercią Michała upadło całe stronnictwo dworaków, którzy przeciw patryarsze narodu popierali swojego wybrańca, a Bazyli sam pragnie końca niepokojów więc nie poprze nikogo przeciw woli tłumów przywiązanych do Ignacego. Czy dodał, czy nie dodał Bazyli do tego dowodu więcej

[1] Anast. bibl. w przedmowie do Soboru carogrodzkiego 4-go: »Incipit Basilius inquirere et investigare... Sedis Ap. iudicium... super Ignatio ve Photio promulgatum... et inventa... decreta... celeri consummat effectu, id est: et Photio sacro ministerio post depositionem irregulariter abutenti throno Cplitano cedere persuadet et Ignatium hunc recipere adhortatur«.

rozkazów dobitnych, w każdym razie Focyusz niebawem dał się przekonać, że cesarz wymaga od niego, żeby ustąpił patryarchatu Ignacemu: dał przekonać się przynajmniej na tak długo, ażby czegoś lepszego nie wykołatał przez rzeczników swoich w Rzymie; tymczasem dał sobie w którymś monastyrze wyznaczyć miejsce pobytu.

O tych to wypadkach uwiadomić Mikołaja miały poselstwa cesarza i obu patryarchów[1] i prosić o sobór, któryby zapobiegł wszelkim smutnym następstwom zatargu, na razie zakończonego.

Ze rzeczników Focyusza tylko jeden dojechał do Rzymu: Metody mnich stracił w drodze towarzysza, Piotra ze Sardes, który do końca wytrwał w wiernej przyjaźni dla Focyusza i Asbestasa, a zginął w rozbitym okręcie na morzu[2]. Sam więc mnich Metody w Rzymie spotkać mógł Cyryla (może już znanego dawniej,) i być dla niego żywym dowodem, że Focyusz jak przy odjeździe Cyryla na Słowiańszczyznę szukał na dostojeństwie patryarszem podpory w powadze Mikołaja, tak nawet po kilku tygodniach zerwanego społeczeństwa znowu na pomoc wzywa nanastępcę Mikołajowego. Jeżeli przy odjeździe na Słowiańszczyznę Cyrylowi nie mogło przyjść na myśl, żeby przyjacielowi psuł stosunki z Mikołajem przez jakiś antypapizm, tedy po przyjeździe do Rzymu tem mniej mógł Cyryl powziąć jakąś myśl szkodliwą Focyuszowi w jego układach z Hadryanem przez rzeczników. Ostatecznie Cyryl postąpił wręcz przeciwnie, niżby po nim mógł oczekiwać, kto, jak Dr A. B. upatruje w nim antypapistę ambitnego i fanatyka-patryotę: Cyryl rozchwytywany przez biskupów, aby im opowiadał dzieła swoje, zbywa ich najkrócej i unika chlubnej rozmowy; przed sławą ludzką ucieka za klauzurę; kiedy już chce żyć w monastyrze, może obrać którąbądź ławrę grecką: woli żyć nieznanym w murach rzymskiego klasztoru. Czy chciał pokutować za przyjaciela? Podobniejsze to do prawdy, niż antypapizm.

A choćby nie usuwała od Cyryla wszelkich porywów antydapizmu sama już szlachetna przyjaźń dla Focyusza i troska, aby

---

[1] Migne: *P. L.* CXXVIII, 1386; *P. G.* CXXXV, 37; CXXVII, 413: CXXII, 480; CXXI, 1048.

[2] Migne: *P. L.* CXXVIII, 1388.

przyjacielowi nie szkodzić, jednak zostaje zagadka, przez co i czem Focyusz nasunąłby Cyrylowi jakieś zachcianki w duchu odszczepieńczym?

Czyżby przez to, iż przyjął obiór na patryarszą stolicę w miejsce Ignacego, zarządzony przez władzę państwową?[1]

Czyżby Focyusz pociągnął Cyryla do antypapizmu przez swój okólnik, w którym pod sąd pociąga Mikołaja, aby wydać wyrok przeciw niemu i wezwać zachodniego cesarza, żeby usunął Mikołaja z obowiązku?[2]

Wypada przejść te winy, za które Focyusz wydał wyrok, żeby Ludwik cesarz złożył Mikołaja z urzędu. Winą Mikołaja według okólnika jest, że duchowieństwo łacińskie[3] między Bułgarami zachowywało swoje zdrożne zwyczaje, a mianowicie:

---

[1] Chociażby Focyusz przyjął wbrew woli i pod przymusem ze strony cesarza Michała swój obiór, przecie i obiór i przymus był gospodarką świeckiej władzy w dziedzinie kościelnej. A nie tylko, kto aż do przesady Focyusza nienawidzi i obsypuje przydomkami, ale nawet kto w nim ceni choćby tylko sam umysł niezwykle uposażony, nawet kto w nim czci obrońcę Wschodu przed »zachłannym papizmem«, ten przyzna to otwarcie, co wypowiedział na uroczystem zebraniu wobec członków prawosławnej Cerkwi, członek jej także wierny, prof. M. Suworow (Римское папство до разділенія церквей. Ярославль 1882, str. 28): »Focyusz był człowiekiem, który dla swoich przymiotów mógł tylko przynieść chlubę swojemu stuleciu, a jednak znalazł się na niezaszczytnem stanowisku wtręta, który nieprawnie zajmuje cudze miejsce«. Mógł to widzieć i wyznać i ogłosić w cenzuralnej rozprawie pisarz prawosławny: czyżby Cyryl tego nie widział i nie potępiał?

[2] Można najprzód ogólnie odpowiedzieć słowami rzeczonego pisarza, wypowiedzianemi na temże posiedzeniu uroczystem i ogłoszonemi w cenzuralnem piśmie (Tamże str. 30 i w dziele Византійскій Цезаризмъ str. 15): »Owe ‚herezye', zarzucone zachodniemu chrześcijaństwu, istniały już dawno przed utarczką w IX-m stuleciu, a nie przeszkadzały do kościelnego społeczeństwa Wschodowi i Zachodowi; także po tej utarczce przez stulecia blizko dwa trwało dalej to społeczeństwo, urwane dopiero znowu w stuleciu XI-em«. A »winy« owe nie ustawały przez cały ten czas: czyż miały pod piórem Focyusza nabrać takich rozmiarów, aby Cyryla przerobić na antypapistę?

[3] *Annal. Bertin P.* III, a. 866; Pertz I, 477: »Mittens ad Ludovicum, Germaniae Regem, Episcopum et presbyteros postulavit et ab eo missos debita veneratione suscepit«. Tamże a. 867 (str. 380): »Rex Ludovicus Bulgarum petitionibus annuens Ermenricum episcopum cum presbyteris et diaconibus ad propagandam fidem catholicam praefatae genti destinavit. Sed cum illuc pervenissent, episcopi a pontifice Romano missi totam illam terram

1) post w sobotę,

2) pokarm nabiałowy w pierwszym tygodniu W. Postu,

3) brak czci dla księży żonatych,

4) powtórne bierzmowanie przez biskupa bierzmowanych przez księży,

5) dodatek do Składu Wiary słów: i od Syna.

Cóż Focyusz upatrzył w Mikołaju za winę z powodu łacinników, którzy na Bułgaryę przyszli ze swoimi zwyczajami? [1]. Czy Mikołaj polecał im krzewić »zdrożnie« te zwyczaje wśród Bułgarów? Czy przynajmniej pobłażliwie milczał na zwyczaje »zdrożnie« zaprowadzane?

Na to odpowiada przechowane do dziś pismo Mikołaja dla Bułgarów [2]. Cóż w niem czytamy?

1) Co do postu sobotniego:

Mikołaj wcale nie nakładał na Bułgarów postu w sobotę, którego jeszcze wtedy nie zachowywała większa część Kościołów na Zachodzie [3]. Aleksandrya przeciwnie pościła w sobotę. Mikołaj zatwierdził dla Bułgarów tylko copiątkowy post, czterdziestodniowy przed Wielkanocą, następny po Zielonych Świętach, nakoniec w przededniu uroczystych świąt.

Jeżeli tedy Niemcy (albo może Włosi) nie pożywali mięsa

---

praedicando et baptizando iam tum repleverant. Quapropter isti a rege accepta licentia redierunt in sua«.

[1] Cóż to byli za łacinnicy, tak bardzo dumni ze swoich zwyczajów, że wprowadzali je do Bułgaryi? Niemieccy rocznikarze donoszą, że ich rodacy pod Ermenrykiem biskupem poszli z Niemiec między Bułgarów na ich zaprosiny, ale przyjęci przez nich z najgłębszę czcią, niedługo tam przebywali, bo koło roku 867-go papież zapełnił Bułgaryę swoimi biskupami i kaznodziejami. Zatem mniej więcej w jednym czasie Focyusz wystąpił ze zarzutami i papież miał coś przeciw Niemcom, zaproszonym do Bułgaryi i przyjętym uczciwie na wstępie. Czemże papieża sobie narazili Niemcy, którzy nierzadko do innych narodów wnoszą własne zwyczaje, jakoby lepsze? Czy nie za to przeciw nim Focyusz powstał, za co papież ich zastąpił swoimi, mniej zapalonymi krzewicielami własnych zwyczajów?

[2] Migne: *P. L.* CIX, 981—1006.

[3] Ratramn IV, 3, str. 312: »Maior numerus Occidentalium in sabbato non ieiunat, nec tamen Romanos propterea ieiunantes reprehendunt vel a Romanis ieiunantibus ipsi reprehenduntur».

w sobotę na Bułgaryi, tedy do swojego zwyczaju miejscowego obowiązaliby Bułgarów bez sankcyi Mikołaja.

2) Co do nabiału w pierwszym tygodniu postu:

Nie od pierwszego rzutu oka jasny to zarzut w naszych czasach, kiedy w łacińskim obrządku ogółem wszyscy zaczynamy na Popielec pościć zaraz ściśle bez poprzedniego mięsopustu. Ale zwyczaj nasz dopiero później wyszedł od Niemców: im szło o krągłych dni 40; a jeszcze Ratramn, (wezwany przez Mikołaja, aby odpowiedział na zarzuty w okólniku Focyusza,) świadczy [1], że Rzymianie poszczą 6 tygodni przed Wielkanocą bez przerwy, prócz w niedzielę, więc razem 36 dni dlatego, że rok liczy 365 dni, więc dziesiąta część roku: 36 dni, a kazano oddać Panu dziesięcinę. Słowem Rzymianie zaczynali pościć po pierwszej niedzieli postu, aż do czasów podobno Urbana II-go (1088—1099) [2], ale duchowieństwo zaczynało z w y c z a j n y post s w ó j wcześniej o tydzień, już od niedzieli zapustnej [3], i przechowywało ten zwyczaj jeszcze w początku XVII-go stulecia. Co do tego tygodnia pierwszego w poście księży, zarzuca także Kerularios [4], że łacińscy mnisi mięsa nie pożywali wprawdzie, ale z nabiałem jedli. Słowem, księża zachowywali tydzień mięsopustu przed sześcioma tygodniami postu ścisłego. Otóż Focyusz na grecki sposób liczy tygodnie, to jest: oznacza je liczbą porządkową niedzieli następnej: więc nazywa tydzień mięsopustny pierwszym tygodniem Postu Wielkiego, zgorszony, iż księża odcinają ten tydzień od dalszych, i pożywają w nim nabiał.

Ale potem Focyusz, lepiej powiadomiony, odstąpił od tego zarzutu i zamiast niego podstawił inny, o którym wypadnie potem mówić obszerniej.

3) Co do pogardy dla księży żonatych:

Mikołaj zapytany, jakie Bułgarzy zająć mają stanowisko względem księży żonatych, czy ich poważać jako zwierzchników

---

[1] *Liber* IV, c. 4, str. 321.

[2] *Conc. Benev.* 1091, c. 4. *Claromont.* 1095, c. 9 (23).

[3] *Lup. Schol. in Conc. can.* t. III, p. 815; Lersch: *Chronolog.* wydan. 1899, cz. II, str. 145.

[4] *Cotel.* t. II, str. 135—145, zarzut 7-y.

czy pousuwać, odpowiedział, że mają ich słuchać a nie sądzić, bo sąd nad księżmi nie do nich należy a do biskupów.

Jeżeli tedy ktoś uczył Bułgarów sądzić źle o księżach żonatych, tedy nie za sobą miał powagę Mikołaja, tylko przeciw sobie.

4) Co do odbierzmowań:

Ani Mikołaj ani żaden papież po najnowsze stulecia nie zabierał urzędowo głosu w sprawie tak jasnej, jak prawda, że bierzmowania powtarzać nie wolno zarówno jak chrztu. Nie wystąpił nikt jawnie przeciw tej nauce, więc Mikołaj nie potrzebował jej bronić. Nie mógł z niej zwolnić nikogo, ani nie był o to proszonym: więc nie uczył, że wolno biskupom czy komubądź odbierzmowywać pobierzmowanych raz już ważnie przez księdza na Wschodzie czy biskupa zachodniego. Dopiero Benedykt XIV, zagadnięty o bierzmowanie u Koptów, znalazł chwilę sposobną, aby wspomnieć[1], że w krajach greckiego obrządku powinno za ważne uchodzić bierzmowanie, którego udzielają, mocą dawnego zwyczaju, księża zaraz po chrzcie. I dopiero za Leona XIII doszła do Rzymu pogłoska, jakoby jacyś gdzieś duchowni wschodniego obrządku wynaleźli nowy sposób bierzmowania pendzlem: wtedy zagadnięta o to Kongregacya *S. Officii*[2] odpowiedziała, żeby nie odbierzmowywać nikogo bez dowodu, że istotnie w tym razie ksiądz używał pendzla, a i tego dowodu nie można dopuszczać, chyba w szczególnym wypadku: kiedy rodzice tego wymagają usilnie, zwłaszcza przed kapłańskimi święceniami syna. Niemniej stanowczo, niż w tym razie Kongregacya, wystąpiłby przeciw bierzmowaniu pendzlem duchowny Synod wschodni przy swoim silnym zmyśle zachowawczym.

Tyle tylko powiedzieli następcy Mikołaja I-go. Jeżeliby tedy za jego czasów jacyś biskupi odbierzmowywali Bułgarów, a nawet odchrzciwali ich przed soborem florenckim, tedy o nich możnaby powtórzyć sąd Benedykta XIV-go papieża w rzeczonem piśmie:

---

[1] 19 iun. 1750 »Anno vertente«, § 5: »In quibus Graecorum Regionibus... valeat vetus consuetudo, qua eorum Sacerdotes Fidelibus statim ubi Sacro Lavacro abluti sunt, Sacramentum Confirmationis conferunt«.

[2] 5 ian. 1885 i 14 iul. 1886.

dawali tylko sami sobie świadectwo smutne nieuctwa, a nie działali podług nauki żadnego papieża.

5) Co do dodatku w Składzie Wiary:

Mikołaj później, za rządów Stefana (V) VI-go, od samego Focyusza dostał dwa razy świadectwo uboczne, że sam osobiście nie przyczynił się do zmian w niczem tak świętem, jak Skład Wiary, więc dodatku w nim nie potwierdził [1]. Najprzód ogólnie świadczy Focyusz o nim, że nie śmiał wystąpić z podniesioną przyłbicą przeciw niczemu świętemu [2]; drugi raz upomina Focyusz łacinników, iż dodają do Składu Wiary słowa, których nie potwierdził papież żaden aż do ostatnich następców Mikołaja I-go: ani Jan VIII-y, ani Adryan III-ci, który rządził w latach 884-m i 885-m [3].

W czemże zawinił Mikołaj?

Nie potwierdził zwyczaju żadnego. Czy może miał jeszcze usilniej powstawać przeciw dodatkowi do Składu Wiary?

Najprzód wynalazcy tego dodatku a potem jego zwolennicy orędowali za nim, jako za ostatecznym dowodem, który rozstrzygnął spory z niedobitkami Aryan w Hiszpanii. Ci Aryanie już wyczerpali cały zapas zarzutów przeciw Bóstwu Chrystusowemu, a jeszcze nie chcieli uznać prawdy, aż wpadli na pomysł, że gdyby Chrystus był równym Ojcu Bogiem, tedy Duch święty zarówno od Chrystusa pochodziłby, jak pochodzi od Ojca; a nie czytamy w Składzie Wiary, że Duch pochodzi od Syna, tylko że od Ojca: więc Chrystus nie jest Bogiem.

Zbić ten zarzut mogli Hiszpanie prostą odpowiedzią, że Ojcowie w Nicei i Carogrodzie nie załączyli do Składu Wiary wszystkich jej prawd wyraźnie, a to dla przyczyny widocznej: głęboka prawda wyrażona zwięźle, w słowach wprost niezrozumiałych dla prostaków nie przypadnie do ich pojęć i łatwiej pomiesza w nich wiarę, niż ją wyświeci: więc takie prawdy należą do wykładów wiary szczegółowych, a nie do jej składu zwię-

---

[1] Περὶ τῆς τοῦ παναγίου Πνεύματος μυσταγωγίας. Ratisbonae 1856.

[2] 97: οὐ γὰρ ἐθάρρει γυμνῇ τῇ κεφαλῇ πρὸς τὰ κάλλιστα καὶ θεοφιλέστατα παρατάττεσθαι.

[3] Tamże rozdz. LXXXIX, str. 99—102.

złego. Tę odpowiedź mieli Hiszpanie na podorędziu, ale nie wszyscy ją dali; niektórzy na wniosek króla wprowadzili sławny dodatek do Składu Wiary i czytali, że Duch święty pochodzi od Ojca i Syna[1].

Dodatek ten niepokoił umysły i wywoływał potrzebę ciągłych wyroków w tej mierze na licznych zjazdach biskupów[2]. Nie, oczywiście, jakoby w treści swojej podejrzany, budził ten dodatek niepokoje: wszak greckich Ojców Kościoła przywodzili hiszpańscy biskupi za treścią tego dodatku, a za źródło nauki dogmatycznej uchodziła wtedy na Wschodzie i Zachodzie skarbnica pism Ojców greckich przed wszystkimi. Obawę budziła wśród Hiszpanów »narodu teologów«, sama zmiana w obrzędowym Składzie Wiary, dokonana na zjeździe biskupów krajowym a przez żaden sobór powszechny nie zatwierdzona. Ale liczba jej zwolenników rosła w Hiszpanii i krajach sąsiednich.

Wtedy z Grecyi uciekł przed monotelitami święty Maksym pod opiekę Stolicy Apostolskiej i z ustnych rozmów z łacinnikami poznał, co podług nich miał znaczyć ów dodatek, który dosłownie przełożony, po grecku mógł wyrazić myśl nieprawdziwą.

Aby tę myśl zauważyć, można podobnego zwrotu użyć w polskim języku i zaraz spostrzedz, że brzmi niewłaściwie. Np. Marya, córka świętego Włodzimierza ruskiego, pochodziła od Ruryka: więc od Ruryka po kądzieli pochodził także jej syn Bolesław Śmiały. Wyrazimy to właściwie słowami, że Bolesław pochodził **od** Ruryka **przez** matkę swoją Maryę, albo: **od** Ruryka **z** jego praprawnuczki Maryi; gdybyśmy powiedzieli, że pochodził **od** Ruryka **i** Maryi, nasunąć moglibyśmy myśl nieprawdziwą, jakoby Marya była w równym stopniu pokrewieństwa ze swoim synem Bolesławem, jak jej prapradziad Ruryk. Różnicę pokrewieństwa zatarłby zwrot mowy mniej dokładny, chociaż ostatecznie i tego zwrotu może wypadłoby użyć w jakimś wypadku.

Otóż Grecy, wrażliwi na dokładny wykład wiary w swoim języku, posiadali w VII-em stuleciu wyrazy dobitne, aby oddać

[1] Roku 589: »Concilium Toletanum tertium Rege proponente sanxit« etc.

[2] *Conc. Tolet.* IV anno 633, VIII a. 653, XI a. 675, XII a. 681, XIII a. 683, XV a. 688, XVII a. 694, Bracar. III a. 675, Emeritens. a. 666 etc.

myśl, że Duch święty nie w zupełnie jednakowym stosunku jest ze swoim początkiem pierwotnym, z niezrodzonym Ojcem, i ze swoim początkiem zrodzonym, nieodłącznym od Bóstwa Synem. Ścisłą ich myśl można wiernie wyrazić po polsku, że Duch św. »pochodzi z Ojca przez Syna«, albo może także dość wiernie: »z Ojca od Syna«. W każdym razie łacińskie słowa nie odbijały tej różnicy i mogły nasunąć myśl, jakoby Duch święty miał w Ojcu i w Synu bądź dwa równoznaczne początki, bądź pochodził jakoby wspólnie wydany z dwóch równorzędnych źródeł.

Otóż nie taką myśl usłyszał święty Maksym w ustnych rozmowach z łacinnikami i po powrocie na Wschód uspokajał Greków, że łacińscy pisarze tylko w krótkim zwrocie *Filioque* wyrażają myśl mniej dobitnie, ale przy szerszym wykładzie stanowczo zaprzeczają, jakoby uważali Syna równoznacznie z Ojcem za początek Ducha świętego, bo wierzą, że tylko Ojciec jest pierwotnie początkiem i Syna i Ducha św., a Syn równy Ojcu we wszystkiem, prócz Ojcostwa, uczestniczy w sprawie Bóstwa, którą Ojciec wydaje Ducha św.: dodał św. Maksym, że choć pojął dobrą myśl mniej udatnie wyrażoną łacińskiem *Filioque*, przecie nie radził łacinnikom używać tego zwrotu, ale prosił, żeby dobrali słów dokładniejszych, bo różnica wyrazów między Grekami a Rzymianami naraża na niebezpieczeństwa: *ex male intellectis haeresis.*

Obawa świętego biskupa nie była płonna.

Karol Wielki sprzyjał bardzo dodatkowi *Filioque* [1], aby słyszeć jednakowo śpiewany Skład Wiary w całem państwie. Frankońscy mnisi zanieśli ten dodatek do Ziemi świętej i wpadli z tego powodu w spory z czerńcami greckimi [2], którym zaczęli zarzucać: »mówimy w swoim języku, czego wy po swojemu nie mówicie. I przy ‚Chwała Ojcu...' nie mówicie: ‚jak było na początku'. I przy ‚Gloria in excelsis' nie mówicie ‚tu solus altissimus'. I ‚Ojcze nasz' inaczej mówicie. I w Składzie Wiary więcej mówimy, niż wy: ‚który z Ojca i Syna pochodzi'«. Tak prowadzona waśń ściągnęła zarzut innowierstwa na Franków, przed którym ci musieli bronić

[1] *Ep. ad Elpidium.*

[2] Migne: *P. L.* CXXIX, 1257—1262.

się uroczyście, wyrzec się wszelakich herezyi pisemnie i t. d. Uspokoili tedy Greków na razie, ale widocznie nie dosyć jeszcze zapewnieni, posłali list do Rzymu z prośbą o obronę ze strony Leona III-go papieża i Karola Wielkiego. Ten w r. 809-m wezwał biskupów do Akwizgranu na naradę o pochodzeniu Ducha świętego i posłał uchwały do Rzymu[1]. Leon III-ci jednak stanowczo nie przystał na dodatek. »Czyż do Składu Wiary, — dowodził, — trzeba wsuwać i w zawiązku dla mniej pojętnych podług zachcianek dodawać wszelakie głębokie tajemnice wiary, których jej Skład nie zawiera, a bez których nie może katolikiem być, kto zdoła je znać?... Czyż wolno dodawać co do Składu Wiary, chociaż jego twórcy i następne sobory zabroniły nowy Skład Wiary z nabożeństwa tworzyć albo w starym co opuszczać, dodawać, zmieniać?... Jak nie śmiem mówić, że nie byliby dobrze (Ojcowie) zrobili, gdyby byli dodali te cztery zgłoski *(Filioque)*, bo niewątpliwie, kiedy opuszczali inne prawdy, to działali pewno świadomie i oświeceni nie tyle ludzkiem światłem, ile boskiem, tak samo nie śmiem mówić, że niedość rozumieli, zważyli, czemu opuścili albo opuszczonych zgłosek nie dodali i sprawę zakończyli swoim zakazem zmian... kto usiłuje coś już dobrego przerabiać na lepsze, niech najprzód baczy, aby nie popsuł najprzód sam siebie zarozumiałem zuchwalstwem a potem rzeczy pożytecznej nie wypaczył na szkodliwą... O czem wiemy, że brakuje w Składzie Wiary, bo tam niepotrzebne, tego nie dodajemy zuchwale, ale pilnujemy, żeby gdzie i kiedy wypada było wykładane komu potrzeba«. Nakoniec kazał Leon III-ci przed zwłokami świętego Piotra wystawić srebrne tarcze ze Składem Wiary po grecku i po łacinie wyrytym jednakowo bez dodatku[2].

Któryż z następców Leona III-go przystał nakoniec na usilne prośby o dodatek do Składu Wiary? Stanowczej odpowiedzi nie dają dzieje Kościoła; najpodobniej do prawdy wygląda domysł,

---

[1] Einhard: *Ann.* 809: »Imp. mense Nov. concilium habuit de processione Spiritus sancti, quam quaestionem Iohannes quidam monachus Hierosolymis primo concitavit, cuius (quaestionis) definiendae causa Bernazius ep. worm. et Adelhardus... Romam missi sunt«.

[2] Migne: *P. L.* CXLV, 535.

że Henryk II-gi uprosił o to Benedykta VIII-go w półtorasta lat po Focyuszu.

Ale długo jeszcze dodatek ów uchodził za dozwolony dopiero liturgicznie, ale jeszcze nie za ogłoszony dogmatycznie. Tak do dziś dnia wiemy o Wniębowzięciu Matki Boskiej, przyznanem liturgicznie przez obchód święta, ale jeszcze nie ogłoszonem dogmatycznie. Tak samo z Niepokalanem Poczęciem trwało przez wieki aż do Piusa IX w roku 1854-m. Święty Anzelm z Canterbury na rozkaz Urbana Wtórego przy zjeździe w Bari r. 1098-m bronił dodatku, ale jeszcze nie jako nauki dogmatycznej. Jeżeli zatem ktoś wymagał tego dodatku w Bułgaryi za Mikołaja I-go, tedy działał samowolnie, jeszcze nie oparty o żaden wyrok Kościoła nawet liturgiczny, tem mniej dogmatyczny. To też zarzut Focyusza z powodu dodatku nie mógł przeciągnąć na jego stronę i natchnąć antypapizmem Braci Soluńskich: ci doznali na sobie samych, że Rzym bronił Składu Wiary bez dodatku przeciw jego zwolennikom w Bawaryi. A póki dodatek ów nie należał do dogmatu wiary, wolno było Braciom Soluńskim mniemać o tej prawdzie, co uważali za słuszne; gdyby ją odrzucali, mieliby za sobą księcia ówczesnych teologów na Zachodzie: Szkota Erigenę. W takiem pojęciu możnaby także Erigenę pomówić o »Focyanizm«, w żadnym razie o antypapizm.

Cóż potem miało natchnąć którego ze Soluńskich Braci duchem antypapizmu?

Kiedy Carogród radośnie w uroczystym pochodzie na stolicę znów prowadził Ignacego, urządzał Rzym równie uroczysty pochód ze zwłokami Cyryla. Tak tę chwilę Leon XIII-ty opisuje w księdze pacierzy kapłańskich:

»Otóż wyroki Boskie postanowiły, żeby Cyryl w Rzymie zakończył bieg żywota, sędziwy bardziej cnotą, niż wiekiem. Zatem zwłoki nieboszczyka w uroczystym pogrzebie niesione do grobowca, który Hadryan dla siebie zbudował, tu przeczekały, aż następnie przeprowadzone do Kościoła św. Klemensa, spoczęły obok jego prochów. A kiedy wieziono je przez Rzym wśród świątecznego pienia psalmów, w przepychu nie tyle pogrzebowym, ile

tryumfalnym, naród rzymski niejako składał mężowi rzadkiej świętości cześć należną niebianom«.

W tej chwili Carogród spoglądał na ową wiarę żywą, w której wychował Cyryla, wielbioną w Rzymie, a Rzym widział, jak prawa, przy których utrzymał Ignacego, odbierają od wszystkich już stanów hołd w Carogrodzie. Od tej chwili dziesiątek lat ubiegał w odnowionym stosunku dawnej przyjaźni między Kościołami i pozwalał zapomnieć o smutnym rozstroju z powodu dwóch patryarchów na jednej stolicy. W ciągu tego czasu Grecy z Rzymem razem stali przeciw wspólnemu wrogowi w Niemczech: nie Metody Grek wystawił chorągiew antypapizmu nad Cerkwią słowiańską, tylko ze smutkiem łacińskie chrześcijaństwo ujrzało znów zastęp niegodnych biskupów swoich, rzekomych krzewicieli idei Kościoła rzymskiego, w poważnej utarczce z papieżem, obrońcą Greka i Słowiańszczyzny.

Metody, z powrotem do swojej owczarni, znalazł w Pannonii nieprawnego rządcę, Richbolda, który w imieniu Adelwina, solnogrodzkiego arcybiskupa, zaprowadzał na Słowiańskiej ziemi bawarskie porządki. Metody nie potrzebował ani skinąć, a już Richbolda zabrakło: sam lud słowiański opuścił bawarskie kościoły, kiedy z ust Metodego słyszał rodzimą mowę i nabożeństwo w języku zrozumiałym. Richbold ścierpieć tego nie mógł: odszedł z powrotem do Adalwina w Solnogrodzie [1]. Adalwin zwołał zjazd prowincyonalny swoich biskupów: Ermenryka z Passawy, Annona z Frysingu, niewiadomego z Briksen i podobno innych. Na ten zjazd przybył także Metody, wciągnięty bądź zdradą, bądź przemocą, i spostrzegł, że nagle stoi wobec wrogów, którzy nad nim odbywają sąd. Metody nie uznał w nich sądowniczej władzy nad sobą i odwołał się do papieża. Bawarzy o nic nie dbali, orzekli Metodego winnym, zamknęli w ciemnicy i dopiero po wyroku oskarżyli uwięzionego przed papieżem o dwa przestępstwa: zarząd Kościołem na Słowiańszczyźnie, którą Bawarzy za swoją mieli, i słowiański język, wprowadzony do nabożeństwa. Darmo Metody przez długie miesiące, przez rok jeden i drugi

[1] O nawróceniu Bawarów i t. d. *Przegl. Pow.* LXXX, 196.

wyprawiał posłów i listy do Rzymu: ledwo w ciągu lat nie wiadomo dwóch czy trzech Jan VIII-my papież usłyszał o wypadku; wysłał zaraz Pawła z Ankony, aby w imieniu papieskiem wyśledził przebieg sprawy. Śledztwo wykryło prawdę haniebną dla Bawarów. Wiemy o tem z listów, któremi Jan VIII-y bez ogródki wypomina im postępki niegodne z Metodym. Pisze[1] do Hannona: »Twoja odwaga i zuchwalstwo twoje przechodzą obłoki i sięgają do niebios. Urościłeś sobie prawa Stolicy Apostolskiej i przywłaszczyłeś sobie władzę do sądu nad arcybiskupem, jak gdybyś był sam patryarchą; a co gorzej, z pogardą ustaw kanonicznych, postąpiłeś jak okrutnik z jednym ze swoich współbraci, z Metodym arcybiskupem, legatem Apostolskiej Stolicy[2]. Jego na ostatek nie uznałeś godnym równego miejsca z twoimi księżmi: co schodzi na obelgę tejże Stolicy. A kiedy Metody, według kościelnych ustaw, odwołał się na sąd tejże Stolicy rzymskiej, zaprzeczyłeś, że ma do tego prawo; a nadto i ty, i ci inni warci ciebie, potępiliście i wrzuconego do ciemnicy pozbawiliście możności odprawiania służby świętej. Nie dość tego. Ty, co się chełpisz, jakobyś najwierniej przywiązany do św. Piotra zawiadował jego dziedzictwem w Niemczech, nie tylko zaniedbałeś, choć byłeś powinien, zawiadomić nas, że uwięziony cierpi nasz brat i współbiskup, a jako legat jeszcze słuszniej uprawniony do opieki z naszej strony: ale nadto przyjeżdżałeś do Rzymu i zapytany, co słychać z Metodym, powiedziałeś kłamstwo, że nie wiesz o nim, kiedy właśnie ty sam byłeś podżegaczem, byłeś szczwaczem, byłeś wprost bodźcem do wszystkiego, co przecierpiał złego Metody od ludzi waszych[3]. Zatem masz bez zwłoki stanąć w Rzymie, abyś zdał sprawę ze wszystkiego, co zaszło, chyba żeście już zupełnie zadośćuczynili temu biskupowi świętemu, i on, dla miłości Boskiej, zechce zapomnieć krzywd doznanych. W przeciwnym razie po upływie września tak długo nie wolno ci należeć do

[1] Rački Starine. Zagreb 1880, XII, 215.

[2] »Legatione apostolicae sedis ad gentes fungentem«.

[3] Tamże: »Te illum nosse mentiendo negasti, cum cunctarum afflictionum sibi a vestratibus illatarum ipse incentor, ipse instigator, immo ipse fueris auctor«.

społeczeństwa, jak długo w nieposłuszeństwie względem nas okażesz swój upór« [1].

Do Ermanryka pisze Jan VIII-my [2]: »Aby zmyć twoją niegodziwość, sądzę z prorokiem Jeremim, że chyba mogłyby wystarczyć potoki łez. Gdzież jaki nie już biskup ale laik, ale tyran okrucieństwem i zwierzęcem prostactwem dorównał twojemu zuchwalstwu? Wtrąciłeś do ciemnicy naszego brata i współbiskupa Metodego: owszem przez długi czas pod gołem niebem trzymałeś wystawionego na pastwę ostrej zimy i śnieżycy; trzymałeś oddalonego od stolicy, aby nie mógł rządzić Cerkwią podwładną. I do tego stopnia szaleństwa doszedłeś z nim, że wciągniętego przed sąd biskupi byłbyś, gdyby drudzy nie bronili, wysmagał kańczugiem. I toż to, pytam cię, postępki godne biskupa? Wszak jego dostojeństwo powiększa zbrodnie, których się dopuści. O, co to za biskup śmie takie razy zadawać współbiskupowi wyświęconemu własnoręcznie przez Apostolską Stolicę i wyznaczonemu na legata *a latere?* [3] Wypada jednak przeciąć na razie sprawę; bo inaczej powinnibyśmy osądzić zawczasu, co miałoby się robić. Zatem powagą Boga wszechmocnego i błogosławionych książąt apostolskich Piotra i Pawła i naszą własną pozbawiamy ciebie uczestnictwa w sakramentach Chrystusowych i społeczeństwa kościelnego z innymi biskupami. I gdybyś nie przybył do Rzymu z obecnym Pawłem wielebnym biskupem albo z tymże iście świętym bratem naszym Metodym, aby z nim być przesłuchanym, a skądinąd przyjdą dowody niezmiernego zuchwalstwa, powyżej opisanego, pewnie nie unikniesz słusznego potępienia...«

Z listu Jana do Adalwina doszło do nas ledwo kilka słów [4], że jak za sprawą Adalwina krzywdy doznał Metody, kiedy postradał stolicę, tak niech Adalwin wyrobi powrót na stolicę dla Metodego, którego sam niech odprowadzi uroczyście z powrotem.

---

[1] »Alioquin post mensem Septembrium tamdiu communicandi nullam habeas licentiam, quamdiu non obediendo tuam erga nos ostenderis pertinaciam«.

[2] Tamże 214.

[3] Tamże: »Apostolicae Sedis manu sacrato et (a) latere destinato«.

[4] Tamże.

Nadto zapowiedział Paweł, że tak samo Adalwin, jak wszyscy spólnicy jego przestępstwa, pozostaną usunięci od obowiązków świętych tak długo, jak długo sami więzili Metodego, a po upływie tej kary mogą stanąć w Rzymie na rozprawę o swoich prawach. Wyrok ten odpowiadał[1] w całej swojej osnowie przepisom księgi praw, znanej pod nazwą »Pseudoizydora«. Była to jedna z poprzeczniczek następnego zbioru praw, znanego pod nazwą *Corpus iuris* Gracyana i t. d. Przepisy »Pseudoizydora«, o które w tem miejscu idzie, należały już dawno do zasad znanych na Wschodzie i Zachodzie; na nie właśnie Mikołaj zwracał uwagę cesarza wschodniego w sprawie Ignacego. Mocą tych przepisów biskup wyrzucony ze swojej stolicy, niema obowiązku bronić swoich praw, aż pierwej odzyszcze najzupełniej i poważnym wyrokiem oddane wszystko, co przez nieprzyjaciół stracił, aż z całą czcią wróci na pierwsze stanowisko i swobodnie zarządzi i zabezpieczy wszystko: dopiero wtedy po upływie naznaczonego czasu może zostać prawnie wezwanym na rozprawę.

Metody wrócił do owczarni oczywiście niezrażony do łacińskiego biskupa w Rzymie i całego Zachodu za to, co cierpiał od łacińskich biskupów, nim z ich pętów wyszedł wyrwany silną ręką Janową. Wiedział doświadczalnie, że Jan za obrońców swojej sprawy nie poczytuje bawarskich najezdców na chrześcijaństwo słowiańskie: odtrącił burzycieli pokoju od społeczeństwa z Kościołem św. Piotra i zdał z tego przyczynę Pawłowi Ankońskiemu słowami: »bo którzy są Piotrowi, są pokój czyniący«[2].

Ale na razie Metody na podstawie »Pseudoizydora« odzyskał dopiero swobodę ruchów do obrony, a nie osiągnął zwycięstwa właściwego nad powyklinanymi biskupami. Miał z nimi stanąć, po odbytej ich karze, na ostateczną rozprawę w Rzymie, ale Adalwin umarł 14-go maja 873-go, Ermanryk 26-go grudnia 874-go, Annon 9-go października 875-go[3]. Dopiero przy tej roz-

[1] Jak wywodzi dr. Snopek: *List papeže Hadriana*, str. 113.

[2] *Commonitorium Paulo episcopo lit. d. Starine Knjiga* XII, str. 214: »Ne suscipias occasionem excusationis... sive bella praetendant, sive inimicitias congerant. Qui enim sancti Petri sunt pacifici sunt«.

[3] *Gli Slavi ed i Papi.* Markovič vol. I, str. 123.

prawie w Rzymie musiałby Metody uzyskać stanowczy wyrok co do praw swojej stolicy i co do słowiańskiego nabożeństwa, ale śmierć powodów pozwalała uważać całą rozprawę za umorzoną, albo zostawioną do woli Jana, czy zechce przesłuchać Metodego, czy nie. Nie donosił tymczasem Jan nic, jak Metody ma zachowywać przepisy, wydane jako tymczasowe z wyraźną uwagą [1] u wstępu, że według ustaw pierwej Metody ma odzyskać biskupie stanowisko a następnie stanąć do rozprawy [2]. Otóż, wśród tymczasowych przepisów, doręczonych Pawłowi dla Metodego, Jan VIII wydał także jeden, w którym nie rozstrzygnął stanowczo sporu ani całego, ani w części, — ani nie potwierdził, ani nie zniósł ostatecznie uchwały Hadryana o języku słowiańskim, tylko zobowiązywał Metodego do ustępstwa, aby nie dać powodu do niepokoju z rozdrażnionym przeciwnikiem, nim przyjadą następnie obaj roztrząsnąć cały spór w Rzymie. Otóż czasowo Jan VIII-y zastrzegał, żeby Metody nie »celebrował solennie Mszy świętych w języku słowiańskim, tylko po łacinie albo po grecku, jak Kościół Boży śpiewa« [3]. Cóż miał w tych słowach Metody rozumieć? Czy zastrzeżoną tylko celebrę słowiańską solennych Mszy śpiewanych? czy zastrzeżone wszelkie nabożeństwo w słowiańskim języku? Rozróżniał przecie solenną celebrę Mszy śpiewanej od Mszy odprawionej cicho; wszak tę różnicę od wieków już znali Ambroży, Naziansen i inni [4]. A nadto, cobądź zastrzegł czy nie zastrzegł Jan, na jak długo miał to Metody za zastrzeżone uważać? Według dekretaliów, ów przepis miał sprawę tymczasem załatwić, nim ją ostatecznie zakończy rozprawa w Rzymie. Ale ze śmiercią biskupów powyklinanych ustawał właściwy powód, dlaczegoby Metody miał oczekiwać w Rzymie rozprawy,

---

[1] *Commonitorium* jak wyżej lit. c.

[2] »Certe secundum decretalia instituta prius enim reinvestiri convenit episcopo et postmodum ad rationem adduci«.

[3] *Ep. 195 ad Meth.* p. 133; Boáek tom I, str. 39: »Audimus etiam, quod Missas cantes in barbara, hoc est in slavica lingua. Unde iam litteris nostris per Paulum episcopum Anconitanum tibi directe prohibuimus, ne in ea lingua sacra missarum solemnia celebrares, sed vel in latina vel graeca lingua, sicut ecclesia Dei cantat«.

[4] Pr. Selvaggio 2, II. P. II, c. 3. App. I, p. 120 seq.

skoro oskarżycieli zabrakło. Dopokąd miał tedy Metody wyglądać końca przepisu, który miał tylko tymczasem obowiązywać, nim zapadnie stanowczy wyrok? Mógł powiedzieć sobie, że rozprawę rozstrzygnęła śmierć powodów, i że, jeżeliby Rzym przecie wzywał, tedy swoją sprawę podda pod wyrok stanowczy. Tak też postąpił. Wezwany w 879-ym roku odparł wszelkie zarzuty; Jan VIII-my zniósł miarę przepisaną tymczasem i ostatecznie potwierdził uchwałę Hadryana.

W biegu tych wypadków z Carogrodu nie dolatywały do Metodego żadne nowiny, przydatne na posiew antypapizmu. Pierzchła rozbita do szczętu zgraja dworaków, przeciwnych Ignacemu; stanowiska jego już nikt nie podkopywał ani nie potrzebował używać Focyusza za narzędzie, aby wzniecić rozstrój w Kościele. I Focyusz sam już doświadczalnie poznał, że patryarcha nie poparty powagą pierwszą w chrześcijaństwie, wisi tylko u klamki dworskiej, jak każdy ulubieniec chwilowy: za pierwszą zmianą wiatru, podmuchem niełaski, zatargiem z nową gwiazdą na widnokręgu mody, wybraniec chwili straci równowagę i nagle runie. Focyusz oczywiście uważał za stosowne wrócić na stolicę, zasiadywaną przez lat dziesięć, ale w tę drogę nie myślał ruszać bez listu bezpieczeństwa, podpisanego w Rzymie, nie myślał służyć za igraszkę zmiennym zachciankom mocarzy. Nic nie zdobył w Rzymie przez swojego rzecznika Metodego mnicha u Hadryana Wtórego. Zostały jednak ślady Focyuszowi jakichś nadziei, że Ignacy patryarcha nie uniknie zatargu z Janem VIII-ym o Bułgaryę, a wtedy, wtedy na miejsce strąconego już prawowicie Ignacego — Focyusz podobno coś układał z Anastazym bibliotekarzem, wpływowym u Jana. Ale i tę nadzieję zawiódł Ignacy: do końca żywota stawiał każdy krok, jak umiał najpoprawniej, i choć nie zdołał uniknąć usterek, których nie brak ludziom świętym, przecie zasłużył na cześć, którą jako święty odbiera od zgodnego chrześcijaństwa na Zachodzie dnia 23-go października, na Wschodzie o trzynaście ani później[1] i w niedzielę orthodoksyi. Zamiast tedy czyhać na jego upadek, zaczął Focyusz szukać jego przyjaźni, aby

[1] τοῦ ἐν ἁγίοις πατρὸς ἡμῶν Ἰγνατίου πατριάρχου κπ.

nią jakby polecony po jego śmierci wystąpić przed Wschodem i Zachodem jako godny spadkobierca opuszczonej po nim stolicy.

Wystarczy tu już krótkim rzutem oka objąć dalszy ciąg drogi, którą Focyusz doszedł do kresu żądz, a mianowicie do tego, żeby w społeczeństwie zatrzeć pamięć poprzedniego wyboru nieprawnego i zatem rozstroju w kościele [1], żeby ciągle okazywać za sobą Rzym i pod godłem jego powagi bezpiecznie zasiadać na patryarszej stolicy.

W samej rzeczy Focyusz w Carogrodzie po śmierci Ignacego [2] znalazł dla siebie już wogóle dość przychylny nastrój społeczeństwa z cesarzem Bazylim na czele, który przystał na wybór Focyusza i wobec przecie liczby, znacznej jeszcze, usposobionych dla niego niekorzystnie, śpiesznie wystosował do Jana VIII-go list z prośbą o wysłanników, którzyby uspokoili umysły. Aby przyśpieszyć pomyślny wynik tej prośby, Bazyli niebawem wysłał gońca z drugim listem do Jana, i dostał odpowiedź podpisaną w kwietniu 878-go [3]. Jan donosi, że na wysłanników swoich wybrał biskupów Pawła z Ankony i Eugeniego z Ostyi, że też polecił im wytężyć całą siłę, aby zabezpieczyć w Carogrodzie spokój, o którego powrót Bazyli uprasza. Przekład grecki tej odpowiedzi papieskiej zawiera zwrot dość giętki: »wysłaliśmy sekretarzy, aby spełnili wolę waszą« [4].

Tę odpowiedź papieża łatwo było wyłożyć jako dowód jego szczerych chęci, aby dogodzić Bazylemu w całej jego trosce o po-

---

[1] Hergenroet. Photius III, 310: »Er wollte mit allen Mitteln das Brandmal der früheren Usurpation von sich abwälzen. Dazu musste er seine vollkommene Anerkennung in seinem eigenen Sprengel durchsetzen, die Autorität des römischen Stuhles gewinnen« i t. d.

[2] 23 paźdz. 877.

[3] *Ep. 80 ad Basil.:* »Utraque siquidem epistola vestra pontificio nostro missa (pacis) vos flagrare desiderio patenter insinuat. — Quia vero Deo amabiles viros, quos nominatim literis expetitis, quibusdam incommodis impeditos destinare nequimus, — (mittimus) consiliarios nostros, quorum nobis et fides probata et scientia manifesta est. Quibus scripto dedimus in mandatis, ut omnibus simultatibus sopitis atque sedatis quae ad pacem sunt, sanctorum magistra regula Patrum, toto conamine construant et omni contentione sublata iustitiae tribuant Deo propitio palmam«.

[4] ἀπεστείλαμεν ἀποκρισιαρίους ἐκπληροῦντας τὸ θέλημα ὑμῶν.

kój kościelny, a troska ta zmierzała także do tego, żeby Focyusz spokojnie dzierżył władzę patryarchy za zgodą Rzymu: więc nie trudno było używać odpowiedzi papieskiej za dowód, że Jan VIII-y gotów uznać Focyusza patryarchą. Sam też Focyusz wymieniał ten list jako podstawę, na której oparty zasiadł na stolicy [1], bo papież obiecał spełnić wszystko, czego cesarz wymagał. Wysłańców też papieskich, przybyłych do Carogrodu przed zimą 878-go roku, Focyusz znowu umiał tak pozyskać dla siebie, że uroczyście uznali w nim patryarchę. Zatrzymywał ich jak najdłużej w Carogrodzie a najrychlej do Jana wyprawił w poselstwie Teodora Santabarena, aby donieść, że wybrany następcą Ignacego przez biskupów ledwie nie wszystkich jednomyślnie, oczekuje po Janie zgody na głos całego Wschodu.

Na ten list przyszła pod koniec roku 879-go odpowiedź, że Jan VIII-my przyjmuje wybranego jednogłośnie przez metropolitów i biskupów, za zgodą trzech innych patryarchów wschodnich, Focyusza za brata w prawdziwej miłości, za współbiskupa i patryarchę, tylko zastrzega, żeby Focyusz po pierwsze zadośćuczynił za wszystko prosząc o miłosierdzie zgromadzonych biskupów, powtóre, żeby usunął greckie duchowieństwo z Bułgaryi, jako z części apostolskiego wikaryatu illirskiego niezależnej od Carogrodu, i po trzecie zastrzega, żeby po śmierci Focyusza na stolicę patryarszą nie wstąpił nikt ze świeckiego stanu, tylko ksiądz a przynajmniej dyakon.

O trzech tych zastrzeżonych punktach wspomniał także Jan w piśmie wprost do Focyusza wysłanem, w którem oświadcza, że znajduje teraz Focyusza dość oczywiście oddanym Stolicy Apostolskiej [2].

Usłyszał tedy Carogród odczytany uroczyście list Jana, jako bullę prekonizacyjną Focyusza na patryarchę, która jednak w greckim przekładzie milczała o wymienionych trzech zastrzeżeniach.

Focyusz nieprędko wypuścił z Carogrodu wysłanników pa-

---

[1] *Syn. act.* II, 425: ἔτι δὲ καὶ τῶν ἐμπρωτέρων γραμμάτων, ὧν ὁ ἁγιώτατος πάπας Ἰωάννης παραπεμψάμενος πρὸς τὸν — βασιλέα ἡμῶν, ἐπὶ πᾶσιν αἰτήσεσιν αὐτοῦ κατανεύειν ὑπισχνουμένων, ἀνήλθομεν εἰς τὸν θρόνον τοῦτον.

[2] Ep. 201: »quam sis nunc erga nos devotus, satis evidenter reperimus«.

pieskich: umiał z ich pobytu wielką korzyść dla siebie wyciągnąć, bo jak najczęściej w ich towarzystwie występował wobec tłumów, aby przekonać je naocznie, że ma za sobą Rzym. Ale nakoniec musiała nadejść chwila ich odjazdu i ta ostatnia wykryła poważne niebezpieczeństwo: Wysłannicy musieli zabrać do Rzymu i Janowi przedstawić urzędowe opisy greckie wszystkich czynności odbytych przy objęciu patryarchatu przez Focyusza: greckie opisy nie zawierały bulli prekonizacyjnej w jej całej osnowie z trzema zastrzeżeniami; czy można było liczyć, że nikt nie zauważy, albo, choć zauważy, nie zaszkodzi przez to Focyuszowi?

Jako najniebezpieczniejszych przeciwników swoich w Rzymie, zdolnych na rozkaz Jana zbadać owe opisy, znał Focyusz Maryna, biskupa wówczas cerejskiego a potem rzymskiego, i Gauderyka biskupa z Velletri, owego wielbiciela Cyrylowego: widocznie ten ostatni na zjeździe biskupów za Hadryana tak samo potępiał krzywdę Ignacego, jak ją ganił najściślejszy przyjaciel Focyusza. Do obu tych groźnych przeciwników napisał teraz Focyusz listy z prośbą o przyjaźń, która może być tem silniejszą,— jak mówi sam, — obecnie, iż zapieczętuje długie zatargi dotychczasowe z powodu stosunków kościelnych [1].

Widocznie jakiś znawca rzymskich stosunków dobrze Focyuszowi wskazał, w czyje ręce Jan mógł złożyć niebezpieczne opisy: powierzył je Marynowi i od niego dowiedział się o różnicy między swoją bullą a jej przekładem greckim. Ściągnęło to ostatecznie cios długo zwlekany: Jan VIII-y w r. 881-m zerwał społeczeństwo kościelne z Focyuszem, ale ten, co rychlej uwiadomiony o wypadku przez przyjaciół, natychmiast przedsięwziął środki, aby wieść o klątwie nie doszła urzędowo do Carogrodu. Ciągle wystawiał, że silnie stoi oparty o Rzym, uznany bullą Jana, związany towarzyskimi stosunkami z jego wysłańcami. Nadto olśniewał umysły piśmienniczą pracą, godną istotnie podziwu, troską o rozwój nauk, stosunkami z tego powodu zawiązanymi z uczonymi w dalekich krajach, nakoniec pieczołowitą

[1] Wydał urywki z tych listów Beverigde (*Pand. canon.* Oxon. 1672, t. II, P. II, str. 290, 291).

opieką nad krzewicielami wiary, których gorliwie rozsyłał pomiędzy niewiernych. Słowem widokiem zalet osobistych zjednywa sobie przychylnych wśród owczarni, przekonanej, że godny jej pasterz ma zawsze za sobą Rzym.

Kto tak postępuje, ten jakkolwiekbądź nieprawnie zajmuje swoje stanowisko, przecie wcale nie szczepi ducha antypapizmu w społeczeństwie, przeciwnie: utrzymuje je usilnie w tym jego dawnym duchu, dla którego sam przybiera pozory zupełnie poprawne.

Ale mimo trudnych wówczas dróg do wymiany myśli, mimo środków przedsięwziętych starannie, aby te drogi utrudniać jeszcze bardziej między Carogrodem a Rzymem, prawda po pięciu latach wyszła na jaw. Następcy Janowi dotarli w końcu do cesarza Leona, następcy Bazylego, i Focyusz musiał ustąpić. Leon przedsięwziął zaraz odpowiednie kroki, aby stosownie obsadzić stolicę patryarszą i za zgodą Rzymu wprowadził na nią własnego syna Stefana.

Rozstrój w Kościele znikł na długo, jak świadczy papież, jeden z najuczeńszych i najlepiej uwiadomiony o tem, kiedy jego poprzednicy uważali swój stosunek do innych patryarchów za prawidłowy, kiedy za naprężony albo zerwany. Tak mianowicie Benedykt XIV treściwie pisze o całej przygodzie w liście do Syryi i Ormian [1]: »Zatarg o stolicę patryarszą w Carogrodzie zaczął rozstrajać chrześcijaństwo, kiedy święty Ignacy, ze swojej stolicy patryarszej usunięty przemocą i nagabywany, aby odstąpił swoich praw Focyuszowi, wezwał Mikołaja I-go papieża na rozjemcę sporu; choć wtedy Focyusz nie uznał Mikołaja papieżem ani jego wyroku poważnym, jednak mimo groźny zatarg, powróciła zgoda, aż dopiero Michał Kerolarias przypomniał dawne waśnie po dwóch blizko stuleciach«.

Focyusz na widowni dziejów zajmuje tylko jedną odsłonę, w sobie samej wcale nie pierwszorzędną, w ciągłem widowisku utarczek, odgrywanem przez rozstrojone żywioły w chrześcijaństwie. Niemcy takich żywiołów dostarczyli sporo jeszcze innych,

[1] Allatae 25/VII, 1755, § 5.

prócz wymienionych burzycieli Guenthera z Thietgaudem i ich soborem, prócz Bawarów z Adalwinem i Annonem, prócz zawziętego Wichinga. Hrabia saski Gottschalk, ślubem ojca przeznaczony do stanu duchownego, sprawił także zamieszkę, która następnie wywołała wiele zjazdów i narad biskupich od roku 829-go do 869-go. Biskupi Haymo z Halberstadt i Amulary rodem z Metz wszczęli rozterkę, którą miały uspokoić zjazdy biskupów w Dialenhofen 835-go roku i w Aniercy 838-go, ale sprawę podtrzymał opat Paschazy Radbert i stał na czele potężnego stronnictwa jeszcze po roku 861-m. Święcenia kapłańskie, których udzielał papież Formosus (891—896), wywołały także burzę niezwykłą; następca Formosusa Stefan VII (VI) kazał jego zwłoki wygrzebać, przed sąd stawić i pokaleczone utopić. Sergeius III z równą nienawiścią ścigał święconych przez Formoza. W takich czasach wystąpił Focyusz.

Nie tyle rzeczowa treść jego występu, ile osobisty wpływ umysłowych zasobów, a zwłaszcza ówczesne powietrze w całej Europie napięte i pełne iskier, w które Focyusz wpadł, jak zapalny proch: to wyryło jego nazwisko w pamięci potomnych.

I wystąpiło jego imię w wiekach następnych na Wschodzie, a zwłaszcza między Słowianami, jakby godło, które oznaczało różnych jego naśladowców w zatargach kościelnych. Kerularios w wieku XI-ym i jego następcy, Marek Efezki ze swoim zastępem w XV-m wieku, nawet protestanci od Melanchtona w r. 1539-m do synodu jasskiego w r. 1642 i jeszcze za naszych czasów anglikanie usiłują nawiązać swój antypapizm na Focyusza. Równie to sprzeczne ze świadectwem dziejów zabiegi, jak ostatni pomysł, jakoby przyjaźń Cyryla z Focyuszem świadczyła o antypapizmie Braci Soluńskich.

Żywot i trudy tych Braci wśród dziejów starożytnego Kościoła słowiańskiego zapisały kartę nie antypapizmu, ale tego, co możnaby (niesłusznie wprawdzie) nazwać antyteutonizmem, gdyby wolno teutońskim duchem nazywać ten popęd do zdrady, kłamstw, okrucieństw i walki podrobionemi listami, który znamionuje Geronów, Hanonów, Wichingów i innych w stosunku ze Słowianami.

Usunięty do monastyru Focyusz zostawił niewyraźną pamięć

o nastroju duszy, w jakim spędził koniec żywota; jedni za Grekami powtarzają [1], że jeszcze po upadku powtórnym odbył podróż do Rzymu, że poznał zwyczaje łacinników, że z nimi pojednany, skłonił ich, żeby wyznali swoje winy, a sam wyznał żal z powodu przeszłego rozstroju; inni na tę właśnie dobę kładą pisma Focyusza przeciw zwyczajom łacińskim. Mogą jedni i drudzy donosić prawdę; umysł równie wzburzony jak Focyusza nie zadziwiłby, gdyby w różnych chwilach na sprzeczne ścieżki zachodził.

Zadziwić nas Polaków może jednak w rzeczonych pismach przeciw łacinnikom i i c h s ą s i a d o m wzmianka imienna o Lachach i o ich poście od siedmdziesiątnicy zaczynanym.

Tu trzeba zaczerpnąć światła ze wspominanego nieraz źródła [2], gdzie czytamy, że »konkretnym faktem jest apostolstwo uczniów Metodego od 879-go do 885-go w kraju Wiślan, — między Ślązkiem, Mazowszem, Rusią nadbużańską i Słowakami; (i ‚Lechia' t. j. kraj Lachów miał się według niektórych nowszych autorów tam właśnie znajdować; wiele plemion słowiańskich nosiło po parę lub kilka nazw). Książę Wiślan był niechętny nowej wierze... Nastąpiła wyprawa Świętopełka, przymusowy chrzest księcia i wcielenie kraju Wiślan do wielkomorawskiego państwa«. Czytamy dalej o nikłych śladach najdawniejszego chrześcijaństwa w Małopolsce, nielicznych i które łatwo było usunąć. Nie znajdujemy tylko wzmianki o poście przez dziewięć tygodni, bo zaczynanym od siedmdziesiątnicy, który do Polski nie przyszedł od Niemiec, (bo tu trwał półsiodma tygodnia od Popielca), nie od Rzymu, (bo tu trwał 6 tygodni od niedzieli wstępnej,) nie z krajów zachodnich, (bo tu najdłużej trwał w Medyolanie post od sześćdziesiątnicy przez ośm tygodni po pięć dni w tygodniu,) a znany był tylko u mnichów wschodnich; tam świeccy zaczynali mięsopust od sześćdziesiątnicy, a od pięćdziesiątnicy post bez nabiału przez 40 dni do Wielkiego Czwartku; mnisi zaczynali post o tydzień wcześniej.

Że od początków chrześcijaństwa w Polsce post trwał dzie-

---

[1] Allat. de cons, II, 5, 1, str. 553—558.

[2] Prof. Potkańskiego »Rozprawy« t. XXXV, str. 103—106, 185, 199.

sięć tygodni, zaczynany od siedmdziesiątnicy, o tem wiemy oczywiście ze źródeł zgodnych [1]. Wyglądało to na ślad postu wprowadzonego do Małopolski przez uczniów Metodego, jeszcze za powtórnych rządów Focyusza w Carogrodzie, więc w lat około dziesięciu przed jego śmiercią w roku podobno 891-ym.

Otóż podobno z ostatnich lat Focyusza doszło do nas dziełko przeciw łacinnikom, którego autorstwo dotąd nie zostało stwierdzonem, choć różne wskazówki dają przypisać je Focyuszowi. Z tem zastrzeżeniem możemy mianować autorem Focyusza [2]. Czytamy tu między różnymi zarzutami także 24-y [3]: »Poszczą kraje łacinników i sąsiednie nierówno, bo Lechia przez 9 tygodni, a inne niektóre przez ośm, niektóre więcej, niektóre mniej, a Włochy przez 6«. Na zarzuty Focyusza przeciw postom łacinników już Mikołaj wezwał uczonych do odpowiedzi: między nimi najobszerniej odpowiedział Ratramnus [4], który wyjaśnia przyczynę

---

[1] Bielowski: *Monum. Pol. hist.* t. I, 311: Dytmar świadczy, że (in Bolesl. Chrobr. regno) »quicunque post septuagesimam carnem manducasse invenitur, abscissis dentis graviter punitur«. Tom II, 565: Boguchwał donosi, że do roku 1248-go trwał ten post dziewięcio-tygodniowy: »anno 1248 Iacobus archidiac. Leodiens. dom. Pap. capell. in synodo de consilio et consensu episcoporum indulsit Polonis uti carnibus libere a septuagesima usque ad quinquagesimam. Consueverunt enim Poloni dicto tempore, more primitivae ecclesiae, ab esu carnium abstinere«. Toż samo świadczą tamże str. 805 Rocznik kapit. krakowski, str. 877 Sędziwój, tom III str. 14 Rocznik Wielkopolski, str. 49 Rocznik Franciszkański, str. 168 i 169 Rocznik Małopolski. Wszystkie te mówią o początku postu przełożonym ze siedmdziesiątnicy na pięćdziesiątnicę, a Rocznik Górnośląski tamże str. 715 mówi o tymże początku od niedzieli wstępnej: może tedy legat papieski wprowadził dla świeckich post rzymski przez 6 tygodni od niedzieli wstępnej, a duchowni ówczesnym zwyczajem wyprzedzali świecki post tygodniem mięsopustu od pięćdziesiątnicy.

[2] Φοτίου τοῦ ἁγιωτάτου πατριάρχου Κώνσταντινουπόλεως. Περὶ τῶν Φράγγων καὶ τῶν λοιπῶν Λατίνων· We wstępie uwaga, że na Zachodzie pozą jońską zatoką chrześcijanie od ewangelicznych obyczajów odstąpili wraz z papieżem wszyscy, prócz Niemców, bo ci od pogan nie różnią się ani w nabożeństwach ani w obyczajach: οὐδὲν τῶν παλαιῶν Ἑλλήνων διαφέρουσι, οὔτε κατὰ τὴν εὐσέβειαν, οὔτε κατὰ τὴν ἀσέλγειαν; myśl ta dość odpowiada czasom i pojęciom Focyusza, który pogardzał świeżo nawróconymi Niemcami.

[3] Τὴν τεσσαρακοστὴν αἱ κατ' αὐτοὺς χῶραι καὶ τὰ πρόσοικα ἔθνη οὐκ ἐπίσης νηστεύουσιν· ἡ μὲν οὖν Λεχία ἑβδομάδας ἐννέα, αἱ δὲ λοιπαὶ, αἱ μὲν ὀκτὼ, αἱ δὲ πλείους αἱ δὲ ἐλάσσω, Ἰταλοὶ δὲ μόνας ἕξ.

[4] Migne: *P. L.* CXXI, 225—346.

tego różnorodnego postu od 9-ciu tygodni do 3-ch, ale unika nazwiska owej Lechii, co pościła od siedmdziesiątnicy. Również późniejsze przekłady dziełka długo nie umieją nazwać po łacinie owej Lechii i zostawiają jej nazwę grecką Λεχία. Dopiero w ostatnich wiekach wydał Cotelier, (żył od 1627 do 1686,) dziełko Focyusza z uwagą, że Λεχία znaczy Polskę: *Lechia est Polonia, Lechi Poloni.* Po nim Catifor i inni już biorą Lechię za Polskę bez żadnych uwag dalszych: nie odróżniają Lechów od Polaków, Małopolan od Wielkopolan [1]; stąd owi pisarze nowożytniejsi stoją bezradni wobec zarzutu, jak mógł Focyusz pisać o poście Polaków, kiedy Polanie przyjęli wiarę dopiero w sto lat po Focyuszu za Dąbrówki? i jak mógł pisać o poście u nich przez 9 tygodni, kiedy Polacy poszczą przez półsiodma tygodnia?

Oczywiście widzimy, że Focyusz nie mógł pisać o Polanach, ale nie widzimy oczywiście, żeby nie mógł pisać o plemionach polskich w państwie wielkomorawskiem. Wszak mógł rozmawiać z Metodym za jego pobytu w Carogrodzie, (dość prawdopodobnego,) albo z którymś z jego towarzyszy greckich po jego powrocie do ojczyzny, mógł przy rozmowie słyszeć o plemionach między Słowianami nawracanych, mógł ciekawie badać posty u nich zaprowadzone; żeby o nich nic nie słyszał, to niepodobne do prawdy.

Ale widocznie nic nie słyszał takiego, z czego mógłby korzystać dla własnej chluby. Chełpliwie sławi własną zasługę przez opisy szczegółowe, do ilu i jakich narodów pogańskich wysyłał nauczycieli, aby nawróconych przyjąć do owczarni s w o j e j; wymownie opisuje, jak szerzył wiarę na Rusi, choć wiadomo, że owe tam początki chrześcijaństwa za Askolda i Dyra nie zasługiwały jeszcze na krasomowcze opisy. Cóż zatem znaczy, że Focyusz w żadnym opisie swoich zasług nie zostawił najmniejszej

[1] Tę różnicę krótko wyraża dr. F. Koneczny w dziele »Dzieje Polski za Piastów«, Kraków 1902, str. 90 w przypisku słowami, że ziemię Polan nazywano po łacinie Starą Polską, *Polonia Maior,* a zajęte dopiero przez Piastów ziemie Wiślan i Lachów Polską Młodszą, *Polonia Minor;* łacińskie te wyrazy znaczą jednak dosłownie także »większy« i »mniejszy«, i tak dopiero przekłady z łaciny utarły nazwy: Wielkopolska i Małopolska.

nigdzie wzmianki o tylu słowiańskich plemionach nawróconych w owczarni wielkomorawskiej?

Z poprzednich w tej pracy wywodów wypływa, że Focyusz z chrześcijan wielkomorawskich chluby nie mógł szukać dla siebie, bo nie mógł pokazać w nich swojego nabytku dla owczarni carogrodzkiej; w innej owczarni widział ich bezpośrednio zależnymi od Rzymu: mógł ich użyć chyba do opisu »nieporządków« w owczarni rzymskiej, gdyby coś przydatnego do swoich zarzutów znalazł wśród owych Słowian Metodego, opartych o Rzym.

Otóż przy opisie »nieporządku« w różnorakich postach znalazł naród, który:

po pierwsze przyjął chrześcijaństwo i post nie niemiecki ani nie rzymski, zachowywany w monastyrach na Wschodzie;

po wtóre naród ten, osiedlony w którymś z krajów, gdzie mieszkali albo łacinnicy albo ich sąsiedzi, należał do rzymskiej, ale niekoniecznie łacińskiej owczarni;

po trzecie naród ów nie wiadomo pod jaką nazwą gdzie mieszkał podług ziemiopisów łacińskich w średniowieczu, ale nigdzie od nich miejsca dla siebie nie dostał pod nazwą Lechii;

po czwarte naród tedy jakiś pod tą właśnie występuje u Focyusza nazwą, która z powodów, niewyjaśnionych dotąd źródłowo, przylgnęła do mieszkańców Powiśla górnego; głównie tej nazwy a rzadko innej używają dla Polski i dla niej jedynej na Wschodzie i Południu jej sąsiedzi blizcy i dalsi; tak o niej donoszą Grecy w urzędowych pismach już od XIV-go stulecia [1], w nieurzędowem piśmie już między dwunastym a trzynastym wiekiem [2]; na Rusi Nestor i Kormczaja Kniga w rękopisie z 1280-go roku znają Lachów w sąsiedztwie Czechów i Polan; inni pisarze wraz z ludem ciągle tę nazwę dla nas mają na Rusi, na Wołoszczyznie i Multanach; tak północnych sąsiadów swoich z dolin nazywają Górale i Czesi i inni Słowianie: w ich mowie mógł tę nazwę słyszeć Focyusz, nie w polskiej, bo wtedy pisałby Λεγχία, a nie Λεχία.

Te wskazówki prowadzą na domysł, że Focyusz nie miałby co pisać o dziele Braci Soluńskich, kiedy głosił własną zasługę

[1] *Acta Patriarch.* CP. t. I, Doc. 318, 321.

[2] Jan Cynnamus pod r. 1147, L. II, 18, str. 84 (47).

we wzroście chrześcijaństwa pod carogrodzkim wpływem, ale znalazł co pisać, kiedy mógł i papieżowi zarzucić i Metodemu dać przytyk, że przez niego wprowadzeni do rzymskiej owczarni Małopolanie w niej zwiększają nieporządki co do postnych zwyczajów.

W takim razie stare nazwy niedziel przedpostnych byłyby jeszcze śladem niezatartym chrześcijaństwa naszych pradziadów, których w owczarni Metodego widział Rzym przychylnie, Focyusz mniej chętnie. Byłby to ślad jeszcze w języku żywy, choć bardzo nieznaczny, ale już bardzo znacznych śladów ani Morawiacy nie pokażą... chyba te krzyże trójramienne na kościołach wokół Welehradu... Czesi i Słowacy obstają przy nich nieugięcie, jako przy katolickich i apostolskich, a na krzyże jednoramienne nad zborami luterskimi spoglądają niemile.

Po wnioskach, które jasno płynęły z wywodów poprzednich, można było dorzucić i ten tu ostatni domysł, choć ciemny sam w sobie i mniej ważny, ale zgodny ze stanowiskiem, z jakiego spoglądał Focyusz na Braci Soluńskich; nie wspomniał, chyba raz z wyrzutem, na ich wyprawę słowiańską, której pomagać ani przeszkadzać nie mógł, nie potrzebował ani nie zaczynał.

»Zgoda więc na to, — można powiedzieć słowami prof. Potkańskiego [1], — że się w Małopolsce słowiański obrządek nie utrzymał, — ale to jeszcze nie racya, aby nie był i wpływu nie wywarł.

»Plon, który zszedł, był na razie bardzo niewielki, przecież ziemia poruszoną została. Podobnie jak przy rozważaniu następstw politycznych podboju Wiślan przez Świętopełka, tak i teraz przy rozważaniu skutków pracy nad ich nawróceniem do podobnych wniosków się dochodzi: kto inny siał, a kto inny plon zbierał. Polska i tutaj dziedziczyła i zbierała ten pierwszy posiew chrześcijaństwa. Dziedzictwo to nawet wcale tak marnem nie było. Dawniejsze nawrócenie Małopolski ułatwiło Kazimierzowi odbudowanie państwa polskiego, i dawny więc posiew nawet uczniów Metodyusza nie zginął, i wszystko, przez co Małopolska przeszła do połączenia z Polską, na jej korzyść wyszło«. *Ks. K. Czaykowski.*

[1] Rozprawy jak wyżej str. 199, 200.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Stylistyka polska wraz z nauką kompozycyi pisarskiej. *Piotr Chmielowski.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1903.

W pośród wielu dzieł opracowanych gruntownie i sumiennie, a na rozległej wiedzy opartych, jakie nam pozostawił zmarły niedawno pełen zasług krytyk i historyk nowej literatury, napisana w ostatnich latach jego życia »Stylistyka polska« niepoślednie z pewnością zajmie miejsce. Jest to książka popularna, ale nie elementarna. Zawiera wykład zasad i prawideł stylu prozaicznego bardzo jasny i przystępny, lecz obliczony na wyższy stopień rozwinięcia umysłowego. Obok poglądów teoretycznych znaleźć w niej można nader cenne wskazówki praktyczne, poparte licznymi przykładami z dzieł najwybitniejszych naszych pisarzy. Z góry można przewidywać, że taki gruntowny ich znawca, jak Chmielowski umiał tu należyty wybór uczynić, oraz uwydatnić trafnie zalety i wady stylowe przytoczonych ustępów.

Całość dzieła składa się z trzech części poprzedzonych wstępem. We wstępie mamy określenie i podział stylistyki wraz z oznaczeniem jej stosunku do pokrewnych nauk i umiejętności: do Gramatyki, Logiki i Psychologii, oraz ze zwięzłymi uwagami o istocie stylu i o znaczeniu jego w dwóch zasadniczych działach twórczości pisarskiej i w poezyi i w prozie.

W części pierwszej rozważa autor w bardzo systematycznym układzie przymioty i wady wysłowienia, od których przedewszystkiem

zależą poprawność i piękność stylu. Dzieli je na gramatyczno-logiczne, estetyczne i twórcze, uwydatniając przytem różny stopień ich znaczenia w stylistyce, jako umiejętności. Najobszerniej się rozwodzi nad przymiotami pierwszej kategoryi (jak czystość, jasność, zwięzłość i t. p.), które każdemu piszącemu są dostępne, oraz dają się nabyć przez naukę i wprawę, gdy tymczasem przymioty estetyczne z wrodzonego uzdolnienia więcej wynikają, przez odpowiednie kształcenie tylko rozwinięte być mogą, a przymioty twórcze, (do których zaliczone są: siła, wdzięk, wzniosłość i t. d.), całkowicie od indywidualnych właściwości piszącego zależą.

Część druga zatytułowana »Pierwiastki« utworów pisarskich najobszerniejsza i najważniejsza ze wszystkich, najwięcej zawiera przykładów stylu i krytycznych o nich uwag, które każdemu piszącemu bardzo przydać się mogą. Dwa pierwsze jej rozdziały zawierają wykład estetycznych i psychologicznych warunków twórczości pisarskiej, w trzecim rozpatruje autor kolejno zasadnicze jej pierwiastki, jak opowiadanie, opis, charakterystykę i wogóle wszystkie główne sposoby wypowiadania naszych myśli, uczuć i naszych spostrzeżeń w świecie zewnętrznym. Wreszcie część trzecia zawiera wyczerpujący i również sytematycznie ułożony przegląd głównych rodzajów prozy. I tutaj również nie brak przykładów, które autor czerpie z bogatych zasobów swej erudycyi literackiej; przytaczając w każdym z rozpatrywanych działów piśmiennictwa prozaicznego godniejsze uwagi prac, jakie się u nas pojawiły od najdawniejszych czasów aż do dni obecnych.

Ze względu na tę ogromną swoją erudycyę, na szczególnie dokładną i wszechstronną znajomość literatury, Chmielowski przedewszystkiem był powołany do opracowania dzieła o »Stylistyce polskiej«. Dodać trzeba, że jego umysł ścisły, jasny i systematyczny pozwolił nadać odpowiedni układ temu mnóstwu wiadomości i spostrzeżeń, dotyczących istoty stylu literackiego, jakie nabył przez naukę i doświadczenie w ciągu długoletniej swej działalności pisarskiej.

W. Gostomski.

Wybór poezyi „Młodej Polski“ ułożył *Wilhelm Feldman.* Wydanie drugie. Kraków. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. Warszawa. E. Wende i Sp. 1903.

Wysoko podnosi wydawca niniejszego zbioru w swej przedmowie znaczenie i wartość skupionych w nim przedstawicieli poetyckiej

»Młodej Polski«; twórczość ich poczytuje za prawdziwe odrodzenie naszej poezyi, taki wątły wiodącej żywot w przeminionej co tylko, lub przemijającej obecnie dobie pozytywizmu. Pan Feldman jest jak wiadomo autorem znanej i poczytnej bardzo pracy w piśmiennictwie naszem z ostatnich lat dwudziestu, w której dwóch pierwszych tomach, dotąd wydanych, wyłącznie zajmuje się poezyą, jest więc dobrym znawcą najnowszych jej płodów i mógł pomiędzy nimi należyty uczynić wybór. Jakoż istotnie zbiór jego zawiera wiele prawdziwych klejnotów poetyckich dających w ogólnej swej liczbie dość wierne wyobrażenie o bogactwie i zaletach twórczości współczesnej. Oczywiście co do szczegółów wyboru nie zawsze można się zgodzić z wydawcą, ale w tym względzie musi być zawsze różnica zdań, wykluczająca wszelką dyskusyę. Natomiast możnaby posprzeczać się z nim nieco o przyjętą przezeń zasadę jaknajwiększej zupełności zbioru. Chciał w nim pomieścić wszystkich przedstawicieli najnowszej poezyi, jak to wyraźnie w przedmowie zaznacza. Owoż celu tego dopiąć nie mógł, znalazłoby się kilka nawet wybitnych talentów młodszych i najmłodszych, które pominięte zostały, a można znaleźć natomiast w zbiorze talenty drugorzędne, które pominięte by być mogły, a nawet powinny. Oto n. p. na stronicach blizkich początku spotykamy takie usterki językowe: »Jęk mój skały w t ó r z y ł y« (str. 67), »Pomnik moich d z i e i« (zam. d z i e j ó w dla rymu, str. 70). Prawda, są one wyjątkowe, ale czyż w »wyborze poezyi« dopuszczalne są takie wyjątki?

Co do treści zgromadzonych w nim utworów zbiór pana Feldmana jest wyłącznie prawie liryczny, bo też liryka ogromnie przemaga w twórczości najmłodszych poetów.

Pod względem układu trzymał się porządku chronologicznego, poczynając od najpierwszych objawów nowego wzrostu, który widzi w utworach Miriama (Zenona Przesmyckiego) aż do ostatnich jego wyników w płodach liryków najmłodszych. Na czele mamy »Hymn do poezyi« Miriama. Z utworów wyróżniających się rozmiarami znaczniejszemi i wartością, wspomnę ustęp z poematu Langego: »Powieść o Waligórze i Wyrwidębie«, kilka bardzo pięknych liryk Kasprowicza z pierwotnego okresu jego twórczości i wspaniałe ustępy z nowszych jego poezyi, z cyklu »Miłość« i »Ginącemu światu«. Dalej idą satyryczne przeważnie poezye Andrzeja Niemojewskiego, potężne siłą temperamentu lub głębią uczucia, a zawsze tak niezrównanie artystyczne pieśni Tetmajera, wdzięczne pieśni Rydla i Or-ota, głębokomyślne

utwory Żuławskiego, pełne siły i natchnienia poezye Staffa, kilka ustępów z poetycko-retorycznej pracy Przybyszewskiego i kilka ustępów z arcydzieł Wyspiańskiego. W pośród pozostałych mniejszych i większych utworów czysto lirycznych, wyróżniają się egzotyczno-symboliczne poezye Micińskiego o zagadkowej wielce treści i silnej, zwartej a świetnej niekiedy formie. Godna jest też uwagi zewnętrzna forma wydawnicza zbioru, którą można zaliczyć do najudatniejszych wśród tak pięknych na ogół wydawnictw krakowskich.

W. Gostomski.

Pisma krytyczne. *Tyszyński Aleksander.* Staraniem rodziny ogłoszone drukiem, z portretem autora i podobizną jego podpisu; zebrał, ułożył i zarysem biograficzno-literackim poprzedził Piotr Chmielowski. Kraków-Petersburg 1904, tomów 2, 8-ka; str. LX, 478 i II kt. nlb 1, str. 833 i II.

Jedna to z ostatnich prac Chmielowskiego. Na pozór niby tylko mechaniczna, bo czysto wydawnicza. Ile zaś ona może powiedzieć o niezłomnej energii i silnej woli, jaka tkwiła w tem schorzałem i trawionem chorobą cielą, kiedy na schyłku życia podjął się Chmielowski tak żmudnego zadania, jakiem było niewątpliwie wydanie krytycznych pism zapomnianego Tyszyńskiego.

Wszakżeż wielu zawodowych historyków literatury, pracujących nad wiekiem XIX, bodaj czy znało te porozrzucane po licznych rocznikach czasopism peryodycznych drobiazgi krytyczne Tyszyńskiego? A tu w dodatku nawet skromnej monografii nie mieliśmy o tym krytyku-filozofie, który w swoim czasie — czy jako profesor literatury w szkole głównej warszawskiej, czy jako krytyk tyle zdziałał, tylu do pracy zachęcił. Bo i jakżeż tu było zabierać się do opracowania monografii, skoro nastręczała ona wiele trudności, a zwłaszcza narazićby musiała każdego na wielką stratę czasu, gdyby trzeba było wyszukać luźne drobiazgi, drukowane tu i ówdzie. To też niniejsze wydanie pism Tyszyńskiego należy uważać nie tylko jako hołd, oddany przez ucznia profesorowi, ale przedewszystkiem jako wielkie dobrodziejstwo dla historyków literatury, którzy przez to wydawnictwo pozyskali materyał, na którym mogą się oprzeć przystępując do naukowego rozpatrzenia pism Tyszyńskiego. Ponadto otrzymali krótki, ale wyczerpujący zarys biograficzny, który doskonale może zaznajomić z żywotem tego pisarza, o którym na ogół mało było wia-

domem. Życiorys to tem cenniejszy, bo oparty na listach i autentycznych rodzinnych dokumentach.

Sądzę, że wydanie pism Tyszyńskiego wypłynęło z badań Chmielowskiego nad »Dziejami krytyki literackiej w Polsce«. Chmielowski był zbyt sumienny, ażeby oprzeć swój sąd na tych rzeczach Tyszyńskiego, które ukazały się w osobnych książkach. Niewątpliwie wtedy zaznajomił się z całą spuścizną po swoim profesorze, dla którego żywił wiele sympatyi. Musiał też wówczas spostrzedz, że zaznajomienie się szerszej nawet publiczności z pracami Tyszyńskiego byłoby ze wszech miar pożądane i dla niej korzystne.

Jaką zatem normę postawił sobie Chmielowski przystępując do omawianego wydawnictwa, jakiemi kierował się zasadami? Otóż przedewszystkiem postanowił nie przedrukowywać żadnego z dzieł, wydanych dawniej oddzielnie. A zatem ani »Rysu historycznego oświecenia Słowian,« ani »Rozbiorów i krytyk«, ani »Pierwszych zasad krytyki powszechnej«. Od zasady tej odstąpił wydawca jedynie w dwu wypadkach, a mianowicie podając z »Amerykanki w Polsce« trzy listy: »O szkołach w poezyi polskiej«, »O dawnej poezyi polskiej« i »O poezyi polskiej komicznej«. Odstępstwo to od ogólnego prawidła zostało jedynie dlatego uczynione, bo książka owa należy dzisiaj do wielkich rzadkości, powtóre zaś listy te dla poznania rozwoju poglądów krytycznych Tyszyńskiego są niezbędne. Tak samo z »Wizerunków polskich« przedrukował Chmielowski rzecz o Kadłubku, jako arcydzieło literacko-krytyczne Tyszyńskiego, bez którego nie podobna się obejść, jeśli się chce dobrze ocenić działalność pisarską Tyszyńskiego. Punkt ten widzenia jest bardzo trafny i uzasadniony.

A że zadaniem zbioru było zebrać wszystkie ważniejsze artykuły i rozprawy Tyszyńskiego, których on sam nie przeniósł z czasopism do osobno wydanych książek, przeto z wyjątkiem bardzo drobnych recenzyi dziełek, dzisiaj zupełnie zapomnianych oraz notatek o takichże rzeczach, zostało w omawianem wydawnictwie zgromadzone bardzo skrzętnie wszystko, co tylko mogło się przyczynić do tem lepszego wymodelowania fizyognomii literackiej krytyka.

Oprócz rzeczy drukowanych zostały zużytkowane także rękopisy wykładów, mianych w szkole głównej, o »pisarzach literatury polskiej« i o »Kronice Galla«, które były na tyle opracowane, ażeby mogły ukazać się w druku. Natomiast reszty wykładów, z których zachował się rękopis pierwszego kursu, nie uważał za stosowne wydawca ogłosić, gdyż w myśl notatki samego Tyszyńskiego, są one

jedynie zbiorem notatek, czynionych na prelekcye. Tak samo nie została ogłoszona rękopiśmienna rozprawa Tyszyńskiego p. t. »Rysy Polski«, gdyż nie jest ona ostatecznie opracowana, a zasadniczą myśl o dziwnych, niezwykłych, oryginalnych losach kraju w jego formacyi, rozwoju, żywocie i upadku oraz istnieniu po śmierci politycznej można znaleźć w innych pismach Tyszyńskiego, poczynając od »Amerykanki«.

Co się tyczy tedy szczegółowej zawartości obydwu tych obszernych tomów, niepodobieństwem byłoby przechodzić rozprawę za rozprawą, szkic za szkicem, recenzyę za recenzyą. Zbyt wiele to zabrałoby nam miejsca. Ale może być pożytecznem krótkie przytoczenie treści omawianego dzieła. Znajdzie w niem każdy czytelnik wiele rzeczy, które przeczyta z prawdziwym pożytkiem i zainteresowaniem, zwłaszcza, jeśli Tyszyński nie mówi o rzeczach zapomnianych, jeśli traktuje każdy przedmiot z niepospolitem znawstwem i zamiłowaniem. Można stąd dowiedzieć się o wielu pisarzach, o których dotąd mało kto pisał, można nabyć dokładnych wiadomości o dziełach, wielkiej wartości, choć mało znanych. Zwłaszcza cenne są prace, żeby tylko wymienić rzecz o zapomnianym dziś, a utalentowanym poecie Antonim Sowie (Żeligowskim), czy o »Dwu ostatnich krytykach w Polsce«, czy o »Dziwadłach« Kraszewskiego, lub wreszcie o »Estetyce« Libelta. W rozprawie p. t. »Pol i Syrokomla« rozbiera Tyszyński bardzo obszernie »Senatorską zgodę« oraz »Urodzonego Jana Dęboroga«. Bardzo piękny jest też artykuł o Deotymie, o historyi literatury polskiej Juliana Bartoszewicza, lub »Dwie Świtezianki czyli rzut oka na ostatni okres poezyi polskiej«, do dziś nieprześcigniony wzór, jak się powinno pisać rozprawy literackie.

Oprócz tych najważniejszych mamy jeszcze cały szereg znakomitych ocen dzieł historycznych i literackich, niejednokrotnie bardzo ważnych, których znajomość i dzisiaj wielu potrzebną.

Jako filozof-amator więcej, niż fachowiec, jako człowiek mający tak konieczne podstawy filozoficzne, niezbędne dla każdego, kto chce badać poważnie, naukowo ducha ludzkiego i jego utwory, pisywał też Tyszyński recenzye, często bardzo obszerne i wyczerpujące, dzieł filozoficznych polskich. Te artykuły pozbawione są dziś przynajmniej większej wartości dla naszego ogółu. Niewątpliwie jednak dla badacza umysłowości Tyszyńskiego i ewolucyi jego poglądów filozoficznych stanowić one będą cenny materyał, na podstawie którego można będzie wysnuć sporo wniosków.

Jeśli jednakże pragnęlibyśmy sformułować po krótce sąd o Tyszyńskim, jakim on był, jako badacz, jakim jako krytyk literacki, jakie wreszcie były jego zdolności, jaki zakres wiedzy, to odpowiedź nie będzie ani zbyt trudna, ani długa. Przedewszystkiem razi u Tyszyńskiego pewien zasadniczy punkt widzenia. On bowiem, filozofując wiele, nie docierał nigdy do dna duszy twórczej, nie umiał odczuwać należycie jej przejawów. Na sądy jego estetyczne można się pisać z nielicznymi tylko zastrzeżeniami i wyjątkami. Bezwątpienia był to umysł bardzo głęboki, o jednej rzeczy tylko nie pamiętał, o tej mianowicie, aby być więcej krytykiem, niż filozofem, stąd bowiem w wielu jego pracach napotkać można często odstąpienie od właściwego tematu, co żadną miarą nie może wyjść na pożytek, tylko na oczywistą szkodę. Pomimo niecodziennych zdolności i niepospolitego zakresu wiedzy, pamięć o jego pracach przeszła rychło, bo nie potrafił utrzymać się w należytych karbach, w odpowiedniem oddaleniu od rzeczy, które skądinąd były dobre, ale jako nienależące do przedmiotu szpecić go raczej musiały, niźli upiększać.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Pisma Seweryna Goszczyńskiego. Wydanie kompletne, uzupełnione pismami pośmiertnemi, pod redakcyą Zygmunta Wasilewskiego. Tom I, z portretem autora. Lwów-Warszawa. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Str. XI, 317, 2 nt. Tom II, 1904. Str. 340 i nlb. 3.

Jedną z najbardziej piekących potrzeb, domagających się jaknajrychlejszego załatwienia, a odczuwanych tylekrotnie przez historyków literatury naszej, jest brak możliwie zupełnych i krytycznie sporządzonych wydań pism poetów znaczniejszych. Poza wydaniem pomnikowem pism Kochanowskiego, dzieł Mickiewicza przez Tow. literackie imienia tegoż poety we Lwowie, komedyi Fredry przez d-ra P. Chmielowskiego, Franciszka Zabłockiego przez d-ra Bol. Erzepkiego, oraz licznych przedruków dzieł z XVI i XVII wieku, dokonanych czy to w akademickiej »Bibliotece pisarzy polskich«, czy w takiemże wydawnictwie warszawskiem prof. Wierzbowskiego, poznańskiem d-ra Celichowskiego lub nakoniec petersburskiem, nie wiele już istotnie naukową posiadających wartość edycyi tego rodzaju możnaby wymienić.

Z radością tedy należy powitać nowe to wydanie pism Goszczyńskiego, Towarzystwu wydawniczemu zaś wyrazić pełną wdzięczność za

ryzyko finansowe, na jakie się naraziło, któregoby nie podjął się żaden z naszych księgarzy.

Wydawnictwo omawiane pomieści w sześciu tomach całokształt utworów prozaicznych i poetyckich autora »Sobótki«. Złożą się na nie oprócz prac, znajdujących się w dotychczasowych wydaniach zbiorowych, także rzeczy wydane osobno, a dotąd nie wcielone do pism zbiorowych, dalej utwory poetyckie i artykuły literackie, umieszczone przez Goszczyńskiego po różnych pismach peryodycznych, noworocznikach i księgach pamiątkowych, częstokroć bezimiennie, wreszcie pisma wcale nie ogłoszone jeszcze, spoczywające w papierach pośmiertnych poety w jednem z muzeów polskich za granicą. Mogłoby się zdawać, że ta reszta pism, których nie ma w wydaniu lipskiem F. A. Brockhausa, dokonanem pod okiem samego poety, nie jest zbyt obfita. Otóż tak nie jest, bo wydanie lipskie obejmuje zaledwo połowę wszystkich utworów Goszczyńskiego. To też w układ omawianego wydawnictwa wejdzie oprócz całej zawartości wydania lipskiego także przekład »Pieśni Ossyana«, znany tylko z wydania lwowskiego z r. 1838, kilka pism wydanych osobno w latach 1845—1870, a nadto 70 utworów poetyckich i prozaicznych, ogłoszonych tylko w czasopismach i 21 utworów poetyckich pośmiertnych, tak że ogółem będzie to wydanie liczebniejsze o 58 tytułów prozy i 38 poezyi, co objętością zdwaja dawniejsze wydania.

Nie włączono do tego wydawnictwa niektórych mniej ważnych artykułów, ani też przekładów, dokonywanych przez poetę czysto dla zarobku, nie zaś z potrzeby twórczej. Do tych przekładów zaliczył wydawca: powieść Walter-Scotta »Klasztor« (Warszawa 1830), dramat Ernesta Raupacha, »Robert djabeł« (Warszawa 1867), oraz niewydany dramat p. t. »Silna wola« J. Duboye'a.

Niewiadomo tylko, bo o tem wydawca wcale w przedmowie nie wspomniał, czy wejdą w skład wydania niedrukowane dotąd pisma pośmiertne prozaiczne, jak n. p. »Pamiętniki« i traktat o Mickiewiczu, przechowywane w bibliotece rapperswylskiej? Sądząc z przedmowy, w jaką zaopatrzył wydawca tom pierwszy »Pism«, widoczne jest, że rzeczy te będą także wypuszczone, bo inaczej byłyby wymienione w rubryce utworów pośmiertnych, w dziale tym zaś nie znajdujemy wcale prozy. Gdyby te rzeczy istotnie zostały pominięte, wyrządzonoby tem całemu wydawnictwu wielką szkodę i krzywdę. Czas by jeszcze, póki całość nie wyszła, lukę tę uzupełnić!

Ponieważ musiano przy tem wydaniu liczyć się grubo z wzglę-

dami, niezależnymi wcale od wydawcy, przeto musiano wyrzec się układu czy to chronologicznego, czy też systematycznego wedle rodzajów, do jakich który utwór należy. Nie jest to naturalnie połączone z korzyścią dla wydania, ale cóż? Kiedy nie było innego wyjścia.

Na tom pierwszy złożyły się powieści poetyckie: »Zamek Kaniowski«, »Sobótka«, »Anna z Nabrzeża«, »Zasłony życia«, »Gwiazda pokuty«, »Oda«. »Piotr Pszonka Jasieńczyk«, »Skarb ducha«. Ponadto pracowita dłoń p. Z. Wasilewskiego dodała cztery utwory poetyckie, pochodzące z najpierwszych lat, drukowane w *Dzienniku wileńskim,* oraz fragmenty powieści poetyckiej p. n. »Kościelisko», wydane z rękopisu.

Co się tyczy owych wierszy drobnych, trudno o nich cokolwiek więcej powiedzieć ponad to, że są, jak każde zwykle pierwociny bardzo słabe, pisane jeszcze pod wpływem klasycyzmu. Jak wiadomo »Sobótka« miała być częścią zamierzonej, a nigdy nie napisanej przez Goszczyńskiego powieści poetyckiej p. t. »Kościelisko«, o czem świadczy także niewymieniony przez p. Wasilewskiego autograf »Sobótki«, znajdujący się w zbiorach Zakładu Nar. im. Ossolińskich we Lwowie. Z zamierzonej całości napisał poeta tylko integralną część całej powieści, wydaną p. n. »Sobótka«, oraz naszkicował prozą plan całości i rzucił na papier szereg urywków z dalszych części powieści. Zarówno pierwotny plan, jak nie mniej też ocalałe urywki włączone zostały przez p. Wasilewskiego do tomu pierwszego »Pism«. Dziś tedy, sądząc z owego planu, można śmiało powiedzieć, że dobrze się stało, iż pomysł »Kościeliska« nie został zrealizowany przez poetę. Gdyby bowiem poeta był się trzymał w tworzeniu »Kościeliska« planu prozaicznego, całość byłaby chybiona, znaczenie zaś «Sobótki«, która wtedy byłaby stała się częścią składową tylko, byłoby ogromnie się obniżyło. Dołączone fragmenty zaczętych pieśni »Kościeliska«, są o wiele słabsze od »Sobótki« i zostały osnute na tych samych, co ona motywach i elementach folklorystycznych, znanych Goszczyńskiemu z ust górali podhalskich. Monolog wierszowy Mnicha trąci mocno wybujałym hyperromantyzmem. W ogólności w całym pierwotnym planie »Kościeliska» napotkać można mnóstwo tego gatunku hyperromantycznych akcesoryów, szkodliwych zawsze w wysokiej mierze utworowi.

Tom drugi nie przynosi co prawda, ani wiele rzeczy ani nowych. Ale za to zawiera utwór jeden tylko, ale dziś całkowicie zapomniany, przekład »Pieśni Ossyana«, które w swoim czasie uchodząc

za autentyk, za płód starożytny, narobiły tyle wrzawy oraz wzbudziły ogromne zajęcie nie tylko zagranicą, ale także i u nas w pierwszej dobie rozkwitującego romantyzmu. Owocem też silnego wrażenia, jakie one uczyniły na młodym Goszczyńskim, jest ich przekład prozą poetycką, dokonany z oryginału angielskiego w r. 1832 w Mikołajowicach pod Tarnowem, kiedy to Goszczyński bawił w gościnnym domu Tetmajerów. Wydał go Goszczyński, jako trzeci tom pism, edycyi lwowskiej z r. 1838, drukowanej u Pillera. Potem jednak nigdy go już nie powtórzył w żadnem wydaniu swoich utworów. Pan Wasilewski, przedrukowując »Pieśni Ossyana», uczynił pod każdym względem zadość wymaganiom nauki, bo oparł się ściśle o tekst wydania lwowskiego z r. 1838, jako o autentyczny, bo dokonany pod okiem Goszczyńskiego. Poczynił pewne modyfikacye korektowe, a nadto uzupełnił tekst pierwotny poprawkami, jakie znalazł na egzemplarzu, będącym niegdyś własnością poety, a przechowywanym dziś w bibliotece Muzeum Rapperswylskiego.

Chociaż nowe wydanie nie podniesie ani odrobiny wyżej, nie pomnoży zasług poety, nie wskaże nowych zalet jego talentu (raczej wady i niedostatki), to jednak nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wydanie zupełne pism Goszczyńskiego, tak pracowicie, sumiennie i zapobiegliwie, jak to, ułożone, było potrzebne. Da ono bowiem historykom literatury możność tem lepszego i wszechstronniejszego badania umysłu i pomysłów Goszczyńskiego, zasad jego politycznych i zapatrywań historyczno-literackich. Bezwątpienia oświetli ono jaśniej wiele kwestyi z twórczości jego, umożliwi gruntowniejsze wniknięcie w zamiary poęty i drogi, jakiemi dążył do ich urzeczywistnienia. Sąd wprawdzie nie wypadnie korzystniej dla Goszczyńskiego, ale zato znacznie się pogłębi i umocni na szerszych a trwałych podstawach. Ów materyał, nieodzownie dla historyków potrzebny, należycie przygotować i wydać, oddać na usługi edycyi mnóstwo trudów i żmudnej pracy, to na prawdziwe uznanie zasłużyło i niekłamaną wdzięczność.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Psychian. Dramat w dwóch aktach. Napisał *Wadimas*. Księg. Gebethnera i Sp. 1904.

Parodya czy aberacya? Oto wątpliwość wzrastająca w miarę przewracania kartek i utrudniająca sąd. Bo jeżeli parodya, to arcydzieło, jeżeli nie — to nowy, jeszcze od innych boleśniejszy objaw chorobliwości umysłowej. Byłby zaś mniej bolesnym, gdyby wśród

rozhukanej fali luźnych, górnolotnych zdań, nie widniały krótkie ustępy zdradzające prawdziwe uczucie i talent. Treść Psychiana opowiedzieć trudno, bo myśl autora wije się i błąka wśród piorunów, blasków, chmur, przerażeń i strachu, w niepodobną do rozwikłania matnię. Strach zwłaszcza gra wielką rolę, jest to wogóle ulubione uczucie, ulubiony instrument dzisiejszych poetów. Tu jednak jest prócz dekadentycznego lęku wielka moc byronowskiej grozy. Pierwszy akt zda się zapowiadać akcyę historyczną: królowie drżący na tronach walących się pod huraganem pomsty ludzkości, na której czele stoi duch zmartwychwstałej Polski. W drugim rzecz się zmienia: tu mamy znów Kordyana i Konrada wraz z Manfredem (mówiącym wciąż »w teleskop«), a ponad nimi Psychiana — »człowieka duszę«, potęgę nadziemską a straszną. Dawniej był »człowiek — pojęcie«, ale tylko nieszczęście przyniósł, bo świat uwierzył w moc rozumu bez duszy i serca. Kordyan i Konrad witają Psychiana, widząc w przyszłem jego zwycięstwie oswobodzenie narodu, ale Psychian nie o jednym narodzie myśli; z natury swojej duch, jest wrogiem wszystkiego co materyalne, co ziemskie, chce ludzi przemienić w aniołów, a świat w niepochwytny raj zawieszony między niebem a ziemią. Gdy ludzie uciekają od niego w strachu, a nawet kobieta odmawia roli anioła, by pozostać »świętym Zniczem, miłością, która rodzi i karmi«, Psychian wpada w szał i szerzy zniszczenie tak straszne, iż go się pessymista Manfred wyrzeka, powracając do ziemskich, powszednich prądów. Kordyan wytrzymuje do końca tak już chaotycznego, że doprawdy sztuki dokaże, kto go wytłumaczyć zdoła. Wśród kolejnych gromów, rozpaczy i przygnębienia Psychiana wracają motywa z pierwszego aktu, gromady anarchistów, lament królów, orszaki polskich chłopów i polskiej husaryi oznajmującej upadek Warszawy, potem znów Psychian oznajmia, iż na zgliszczach starego świata zbuduje świat nowy i (niewiadomo czemu) ukojony i cichy, klęka przed świtem niebiańskiej jasności z którego wyłania się »wieczysta kobiecość« w postaci Bogarodzicy.

Zda się, iż »Psychian« miał być w myśli autora dopełnieniem »Wyzwolenia«. Być może też, iż miał inny cel i absolutnie inny sens, niż ten, któryśmy usiłowali z utworu jego wydobyć. Są tam, jak mówiliśmy, niektóre ładne kawałki, ale są i kolumny, na których sterczą trumny owite w szarańczoszumne płaszcze, są tysiące językowych dziwactw i błyskotliwych absolutnie nie zrozumiałych efektów. Poeta kryjący się pod pseudonimem Wadimasa pisałby ładnie, gdyby chciał pisać dla ludzi, a nie dla masek »Wyzwolenia«. Co ma wre-

szcie znaczyć na okładce człowiek brzydki, akademicznie nieodziany, zatykający sobie uszy, czy też chwytający się za głowę, jak małe dziecko nauczone pokazywać, że »ma kłopoty«? Jedna zagadka więcej dodana do zawartych w utworze.

T. Wodzicka.

Powiat mohylowski w gubernii podolskiej. Zebrał i opracował *Władysław Pobóg Górski.* Kraków 1903. (W 8-ce w., str. 346).

Jest to opis geograficzno-historyczny wszystkich miast, miasteczek, wsi, przysiółków, futorów, — słowem wszystkich miejscowości zaludnionych w tym powiecie z dodaniem odpowiednich dokumentów,— alfabetycznie ułożonych. Dokumenty te, podane zawsze *in extenso,* stanowią najważniejszą część tej pracy. Na podstawie tych dokumentów autor stara się sięgać do najdawniejszych wieków, a potem doprowadza dzieje miejscowości tego powiatu aż do najnowszych czasów, uwzględniając zawsze w czyich są teraz rękach majątki mohylowskie, łatwo więc wyliczyć, ile tam naszej jeszcze gleby.

Jak wiadomo, obszary tego powiatu w dawnych wiekach przeważnie należały do Buczackich, a jeszcze bardziej do Jazłowieckich; na początku XVII wieku znakomita ta rodzina wygasła po mieczu, a ogromne jej posiadłości przeszły na kądziel; podolskie Jazłowieckich dobra stały się własnością przeważnie Czuryłów, a po nich odziedziczyły je trzy rodziny: Dzierżków, Kossakowskich i Dzieduszyckich; od tych zaś, zaczynając już od drugiej połowy XVIII w., prędko przechodziły w ręce innych rodów, już to przez kupno, już to jako wiano. Zamojscy, Koniecpolscy, a po nich Lubomirscy także mieli tu na własność ogromne przestrzenie; Mytkowie, Bucniowie-Berlińscy, Boguszowie i cała plejada szlachty, usadowiona na ziemiach starostwa barskiego, rozgałęziła się tu z czasem bardzo, nabywszy na własność dużo ziemi. Po upadku kraju przy końcu XVIII stulecia, a nawet na początku już XIX w., powstają nieraz nowe rody właścicieli ziemskich, przychodząc niekiedy do wielkiego dobrobytu (Sulatyccy, Mańkowscy, Sobańscy i inni), aż znowu przy końcu XIX wieku, okoliczności zmuszają tubylców wyzuwać się ojcowizny i nowi, nieznani przybysze rozpoczynają tu gospodarować...

Do historyi tych zmian posiadłości ziemskich w mohylowskim powiecie dzieło p. Górskiego dostarcza bardzo dużo materyałów skrzętnie i krytycznie uzbieranych, a cytowane przy tej sposobności akta i dokumenty niekiedy są zupełnie nawet nowe.

Przy każdej miejscowości podana zawsze ilość ziemi w posiadaniu dworu i włościan zostająca (autor oblicza zawsze na dziesięciny, przestrzenie na wiorsty, wagę na berkowce, albo też liczy jeszcze na »dusze«), zaznaczono do jakiej parafii należy, ile jest ludności katolickiej a ile panującego w Rosyi wyznania; wszelkie historyczne wspomnienia, z tą wiążące się miejscowością, zwykle są wyszczególnione i wiernie przedstawione; kościoły i cerkwie na podstawie miejscowych dokumentów opisane; zabytki starożytności uwzględnione, nawet jest tu kilka ilustracyi (kościół parafialny w Barze, ratusz w Barze, widoki z Mohylewa, cerkiew w Kotiużanach i inne) i wcale dobra mapa powiatu mohylowskiego.

Jednakże dostrzegliśmy w tem dziele niektóre usterki i na nie zamierzamy zwrócić uwagę.

Granice powiatu mohylowskiego teraźniejszego niedokładnie przedstawione; na str. 15 czytamy o tem: miejscowości, składające południową część (a inne?) dzisiejszego powiatu mohylowskiego, weszły do nowo uformowanego powiatu wierzbowieckiego, ale nie na długo (mianowicie, ile przeszło czasu?) i w 1796 r. ostatecznie urządzono powiat mohylowski w dzisiejszych granicach. Otóż nie dowiadujemy się z tego: jaką przestrzeń dawnego województwa podolskiego zajął powiat mohylowski, nie wiemy, jakie są jego granice i nie powiedziano nam, czy wierzbowiecki istniał czas jakiś obok mohylowskiego?

Mając w pamięci opis Baru w »Zameczkach podolskich« dr. Antoniego J., pracę wyczerpującą o tem Michała Rollego, wydawnictwa profesora Hruszewskiego, musimy wyznać, że Bar Górskiego blado wygląda, a chociaż on powiada, że miał rękopiśmienne do tego źródła, plik papierów o mieście Barze, plik o klasztorach w Barze i t. d., widocznie jednak nie zużytkował tego należycie, bo w »Zameczkach« np. nierównie więcej jest wiadomości o klasztorach barskich, niż u Górskiego, który z przekąsem powiada o Jezuitach barskich, że nie chcieli (p. 21) żadnych farze zrobić ustępstw, a nie wspomina o tem, że Jezuici mieli swoje dziesięciny na uposażeniu farskiem, nic więc dziwnego, że nie chcieli oddać tego, co mieli prawo za swoją uważać własność. Następnie autor twierdzi (p. 24), że klasztor Bazylianów w Barze w 1838 r. skasowano; tymczasem Siemaszko w swoich pamiętnikach (III, p. 310) wyraźnie powiada, że to nastąpiło na początku 1837 roku; a w innem znowu miejscu (p. 266) mowi p. G., że Ba-

rularyusz zajął wobec legatów Leona IX, można śmiało twierdzić, powiada p. Suworów, że nie znajduje ono żadnego usprawiedliwienia (str. 72). Czem się skończyła owa legacya, wiadomo nam z historyi.

Po ostatecznem zerwaniu z Rzymem, Cerularyusz został panem położenia w Carogrodzie, gdyż słaby i dwulicowy Konstanty IX Monomach, po odjeździe rzymskich legatów, kapitulował wobec śmiałych kroków patryarchy. Resztę życia swego poświęca ten ostatni drugiej połowie swego programu, mianowicie dąży do upokorzenia i podbicia władzy cesarskiej pod władzę pastorału. »Cerularyusz nie tylko, że wtrącał się w obcą sobie dziedzinę, nie tylko, że przywłaszczał sobie poszczególne prawa władzy cesarskiej, lecz nadto usiłował postawić władzę cesarską w stosunek zależności od patryarchy« (str. 125). Wreszcie po kilku hazardownych, a wcale dla kościelnego męża niestosownych wystąpieniach przeciwko cesarzom Michałowi Stratyotykowi i Izaakowi Komnenowi, zakończył Cerularyusz swą karyerę wygnaniem, lecz nie upadła wraz z nim myśl jego o stworzeniu dla patryarchy carogrodzkiego takiego stanowiska wobec tronu, jakiem cieszyli się papieże rzymscy wobec cesarstwa zachodniego. Myśl ta znalazła swój wyraz zwłaszcza za panowania niedołężnych cesarzy z dynastyi Duków. Niedawno temu Leon Brehiér[1] twierdził, że Cerularyusz w początkach swej karyery duchownej nakreślił plan działania i przeprowadzał go w całem życiu ze ścisłą konsekwencyą. Plan ten polegał na tem, aby prędzej czy później skasować władzę cesarską i w jednych rękach połączyć *sacerdotium* i *imperium*. Zerwanie z Rzymem miało być tylko jednym z etapów, prowadzących do tego celu. P. Suworow o tyle tylko odstępuje od Brehiéra, iż według niego Cerularyusz nie odrazu, ale powoli i stopniowo pod wpływem stosownych okoliczności »doszedł do idei wschodniego papiestwa, która bezsprzecznie przeziera z jego działalności szczególnie za Izaaka Komnena« (str. 6).

Pod koniec swej pracy autor zadaje sobie pytanie, czy cała ta działalność Cerularyusza była wynikiem czynników czysto biograficznego charakteru, czy też wyrazem jakiejś pryncypialnej strony kościelnego życia w Byzancyum. W odpowiedzi uzasadnia to drugie przypuszczenie. Stanowisko, jakie Cerularyusz zajął wobec papiestwa, przygotowały mu powoli kanony II i IV soboru i teorya, że godność stolic biskupich zależy od godności miast, lub od nadań cesarskich;

[1] *Le schisme oriental du XI siècle.* Paris 1899.

do uroszczeń zaś względem cesarza przyczyniła się nauka o wyższości kapłaństwa nad władzą świecką wogóle i przykład papieży rzymskich. Tak więc Cerularyusz skorzystał tylko z tego, co już długie wieki przed nim przygotowywały. W pracy p. Suworowa najcenniejszem może dla nas jest wyznanie, że nie różnice dogmatyczne w nauce o Duchu św. pchały Wschód do zerwania z Rzymem (str. 25). Wprawdzie już za Focyusza *filioque* figurowało na liście zażaleń przeciwko Zachodowi, lecz widocznie nie przywiązywano do tego punktu większej wagi, skoro tak łatwo zapominano o nim za każdą razą, kiedy się stosunki naprawiały. Nie wiele też nacisku kładł na ten punkt Cerularyusz. Pogląd na *filioque,* jako na istotną przyczynę rozdziału kościołów należy do czasu późniejszego (str. 19), gdy trzeba było dokonanemu faktowi dać jakiś podkład dogmatyczny.

Pomimo niewątpliwych zalet pracy, z której zdajemy sprawę, nie możemy się jednak zgodzić zupełnie z jej autorem co do oceny wystąpienia Leona IX i jego legatów. P. Suworów rozróżnia (str. 72) formalny i materyalny punkt widzenia. Według p. Suworowa, Leon IX z formalnego punktu widzenia miał racyę, gdy powoływał się na zwierzchnictwo swoje nad Wschodem, gdyż powtórzył tylko to, co oświadczali wszyscy jego poprzednicy; nie miał zaś prawa przemawiać ich językiem, z materyalnego punktu. Dlaczego? Bo papieże XI w. ledwie dając sobie radę u siebie w domu, nie roztaczali nad Wschodem owej opiekuńczej *sollicitudo*, jaką odznaczał się naprzykład pontyfikat Leona Wielkiego. Tracili oni nawet możliwość śledzenia rozwoju życia kościelnego na Wschodzie i pojmowania jego potrzeb, i zdolni byli występować z gołą tylko zasadą władzy, bez tej opieki która winna była władzy towarzyszyć (str. 74). Wyznajemy otwarcie że nie rozumiemy doniosłości tej dystynkcyi. Jak Leon W. nie dlatego miał prawo przemawiać do Wschodu językiem zwierzchnika, że zwierzchnictwo to faktycznie wykonywał, tak Leon IX, dlatego że Wschodem mało się mógł zajmować, lub niezręcznie władzę swą nad nim okazywał, nie mógł utracić tych praw, które na mocniejszej opierały się podstawie, aniżeli faktyczna *sollicitudo*, która żadnych praw nie daje, lecz sama potrzebuje uzasadnienia. Za surowo, zdaniem naszem, sądzi p. Suworów legatów papieskich (str. 58). Że w postępowaniu ich było wiele nietaktu, że w swej ekskomunikacyjnej bulli przytoczyli wiele rzeczy, wcale nie kwalifikujących się na powody wyklęcia patryarchy, o tem niema najmniejszej wątpliwości. Ale w bulli tej widzimy coś więcej, niż niemądrą napaść na kościół grecki za jego wschodnie

obrzędy. Wytknięto Cerularyuszowi ważne dogmatyczne błędy, n. p. powtórny chrzest łacinników, przechodzących na obrządek grecki, nie mówiąc już o nauce kwestyi pochodzenia Ducha świętego. Przedewszystkiem zaś zmusiła do ostateczności postawa Cerularyusza wobec stolicy rzymskiej, której zwierzchnictwa uznać nie chciał.

Grecki historyk Dimitrakopuło jest wdzięczny Cerularyuszowi za to, że on swem oderwaniem się od Rzymu ocalił grecką narodowość. Z tej okazyi zaznacza autor: »jest rzeczą bardzo możliwą, iż z rosyjskiego punktu widzenia znalazłyby się ważniejsze skutki rozdziału kościołów, aniżeli zachowanie narodowości greckiej«. Jesteśmy głęboko przekonani, że autor nie wierzy, aby ze smutnego rozdziału kościołów mogła w istocie wypaść jaka rzetelna korzyść dla Rosyi, oprócz tej korzyści, że każdy najsmutniejszy nawet fakt jest opatrznościową lekcyą daną ludzkości. Daj Boże, aby ta gorzka lekcya wydała owoce w jaknajbliższej przyszłości.

Ks. Jan Urban.

„Tractatus de paenitentia. *Ludovicus de San S. I.* Brugis. (Str. 690).

Przedkładamy naszym czytelnikom to łacińskie dzieło dlatego, że jest ono najznakomitszą pracą o sakramencie pokuty po powszechnie znanem opracowaniu tegoż przedmiotu przez O. Palmieri'ego T. J. Sam nadto przedmiot najaktualniejsze budzi zainteresowanie zarówno u teologów, jak i u świeckich osób. Wszak zajmowały się w ostatnich latach rozmaite czasopisma, a nawet dzienniki kwestyą karności pokutnej w pierwotnym kościele. Ks. Biskup dr. Hercog, starokatolik, pisywał w latach 1900, 1901, 1902 artykuły i broszury o odpuszczaniu grzechów w kościele, w których przebija się gorączkowa tendencya zaprzeczenia konieczności i Boskiego ustanowienia spowiedzi. Odpowiedziano na nie ze strony katolickiej mniej lub więcej szczęśliwie. Najobszerniej rozpisał się przeciw Hercogowi znany teolog wircburski, dr P. A. Kirsch, a już przed nim odparli zarzuty Hercoga ks. biskup Egger z St. Gallen i prof. Schanz z Tybingi. Dzieło d-ra Kirscha podało bardzo staranne zestawienie wszystkich tekstów, które można przytoczyć jako dowód Boskiego ustanowienia spowiedzi. Ale niestety, broszura ta miała również kilka słabych stron, a Hercog wykazał te braki z widocznem upodobaniem w dziełku: *Die kirchliche Sündenvergebung nach der Lehre des hl. Augustin*, 1902. Oto jeden z licznych sporów naukowych, które stoczono,

odkąd Amerykanin Lea wypowiedział wojnę kościelnej tradycyi w dziele swojem *A history of auricular confession* 1896 r.

We Francyi tendencyjna praca Lea'a dała pochop do gorliwych badań historycznych w obozie katolickim. Znakomici uczeni jak Boudinhon, Brucker, Vacandard, Harent, Batiffol brali udział w tych studyach. Do tego jednak powrócimy później, tu chodziło jedynie o zaznaczenie aktualności, jaką się cieszy kwestya o sakramencie pokuty. Już to starczy zapewne za polecenie książki O. de Sana; niechętnie widzielibyśmy, gdyby jej zabrakło w jakiejś bibliotece teologicznej. Wszelako dzieło de Sana nietylko może znakomite oddać usługi profesorowi teologii, ma ono także wielkie znaczenie dla duszpasterza.

Kto obeznany z innemi dziełami de Sana, ten wie, czego przedewszystkiem można się po nim spodziewać, mianowicie wyczerpującego i gruntownego wyjaśnienia wszystkich spekulatywnych pytań, oraz najobfitszego zbioru świadectw Ojców św. Oczekiwanie to sprawdza się także w tej pracy, choć z żalem wyznać należy, że dobry wykaz zawartych w niej imion i rzeczy, lub przynajmniej dokładny spis ułatwiłby znacznie studyum olbrzymiego tomu. W ślad za starymi klasykami scholastycznej teologii O. de San najobszerniej omawia cnotę pokuty; część ta obejmuje 116 stron. Wykazuje w niej autor spekulatywną potęgę umysłu i nadzwyczajną znajomość scholastyki. Te same zalety cechują traktaty o istocie sakramentu pokuty, o rozgrzeszeniu i żalu (str. 277—559). W rozdziale o żalu z pobudek bojaźni można zresztą jasno widzieć, że wszechstronne poznanie nauki soboru Trydenckiego jest niemożliwe, póki nie będziemy mieli dokładnej historyi tego soboru.

Nas obchodzą najwięcej te części dzieła, które się odnoszą do historyi dogmatu o pokucie i spowiedzi. O. de San podaje tu znakomicie wyposażony arsenał tekstów z Ojców św. Atoli nie możemy się całkiem zgodzić na sposób tłumaczenia niektórych miejsc. Wyjaśnienie to nie jest bowiem często historycznem, osnutem na podstawie czasu i związku. Autor przyjmuje z góry dogmat w całym swoim rozwoju i zadaje sobie pytanie, czy tekst jakiś da się jeszcze pogodzić w jakikolwiek sposób z tym rozwojem. Tak np. jest rzeczą zgoła niemożliwą, wyprowadzić ze słów »Nauki dwunastu apostołów« »po wyznaniu grzechów waszych« (14, 1) wniosek, że na podstawie tegoż tekstu należy się spowiadać ze wszystkich grzechów swoich, tajemnych i jawnych, wewnętrznych i zewnętrznych (str. 579). Jeżeli

dalej Innocenty I w swym liście do Exuperyusza (6) czyni uwagę, że w dawnych czasach pozwalano grzesznikom na łożu śmiertelnem wyłącznie na spowiedź, a odmawiano im komunii, tedy świadectwo to należy właśnie zrozumieć tak, jak leży ono przed nami. Odróżnianie komunii udzielanej za dyspenzą a przysługującej z prawa (*communio dispensatoria et legitima,* str. 222) na tem miejscu jest dowolne. Inne, oryginalne spostrzeżenie napotykamy w dyskusyi nad znanym listem Dyonizyusza Aleksandryjskiego. Dyonizyusz opowiada, że obłożnie chory kapłan, kiedy wołano go do konającego, powierzył chłopcu cząsteczkę Eucharystyi dla umierającego. Może on już dawniej — przed laty — otrzymał rozgrzeszenie za grzech swój, (chodziło o składanie ofiar bałwanom); wtedy z pewnością udzielono mu tylko komunii św. Niepodobna dojrzeć, jakiem to prawem O. de San może tu mówić o komunii i absolucyi (str. 219).

Wogóle nowsza literatura o pierwotnej karności pokutnej zbyt małe znalazła uwzględnienie, a przecież modne te kwestye o wiele donioślejsze mają znaczenie i korzyści, niż drobne scholastyczne kontrowersye. Prawda, że wiele z tych w nowszych czasach postawionych twierdzeń nie wytrzymuje wcale krytyki, a niektóre bezwątpienia są fałszywe, ale zasługują na wzmiankę. Kiedy znakomity ś. p. Hogan wyrugował z czasów pierwotnych pokutę tajemną, lub kiedy sławny kanonista Boudinhon w *Revue d'histoire et de littérature religieuse* (1897) podobnej tezy bronił, znaleźli równych sobie przeciwników w teologach jak Vacandard (*Revue du Clergé français* 1898 i 1999) i Batiffol (*Etudes d'histoire et de théologie positive*, 1902, [str. 195 i nast.]). Ale i teorye Vacandard'a i Batiffola natrafiły na opór w *Etudes* jezuitów francuskich. Może być, że Vacandard i Batiffol zbyt akcentują publiczną pokutę w przeciwieństwie do prywatnej, może ich zdanie o surowej praktyce pierwotnego Kościoła wobec powtórnie wpadających w grzechy nie da się całkowicie uwolnić od zarzutu jednostronności — prace ich o naszej kwestyi są atoli tak doniosłe, tak uczone i ze wszech stron obmyślane, że niepodobna ich zostawić na uboczu; może jeszcze niejednego, miłego nam, zapatrywania, trzeba się będzie wyrzec.

Na prawdę trzeba żałować, że O. de San zbyt się w tym względzie ograniczył. Chętnie jednak przyznajemy, że w pozytywnych wywodach jego o dawnej praktyce Kościoła i w egzegetycznych tłumaczeniach ważnych tekstów z Ojców św. kryją się znakomite wskazówki do rozwiązania trudnych zagadnień. Kto np. rozważy, że pier-

wotny Kościół z powtórnie grzeszącymi, po absolucyi prywatnej, obchodził się publicznie tak, jakby nie otrzymali żadnego przebaczenia, ten nie będzie już mógł zarzucić, że byłoby bez celu zabraniać drugiej pokuty publicznej, kiedy się mimo to pozwala na pokutę prywatną.

W każdym razie dzieło O. de Sana jest kopalnią mądrości patrystycznej i scholastycznej dla każdego, który naukowo zajmuje się sakramentem pokuty.

Ks. Stanisław Dunin Borkowski.

Der Weltfriede. Denkschrift von *Celestin Zyblikiewicz.* Czernowitz, 1903. Str. 92.

Autor mówi na wstępie, że już od ćwierć wieku przeszło pracuje na polu idei pokojowej. Że pracuje z wiarą i zapałem, nie wątpimy. Czy praca jego obfitować będzie w błogie owoce, czy projekty reform przezeń stawiane wejdą w życie, to rzecz inna. Autor w broszurce, o której mamy mówić, streszcza główne idee licznych swych pism, rekapituluje całą swą dotychczasową działalność.

Jako punkt wyjścia w swej idei pokoju stawia pogodzenie się Francyi z Niemcami, zrzeczenie się ze strony pierwszej odwetu za rok 1870. Koszta ewentualnej wojny, które autor oblicza w wysokości po 5 miliardów franków na każde z obu państw, winnyby złożyć na cele więcej humanitarne, przynoszące dobro ludności. Również Anglia i Rosya winny wszystkie kwestye sporne między sobą *friedlich ausgleichen.* By rozwiązać sporną obecnie kwestyę bałkańską, zarzewie niezgody mocarstw, radzi odkupić ziemie europejskie, będące w rękach Turków, a tych ostatnich przenieść nad Eufrat i Tyger, do starożytnej Mezopotamii.

Zgoda tedy między państwami, spokój i cisza; pięknieby to było, gdyby stosunki tak się dały ułożyć. Ale tu nasuwa się mała trudność. Nie wystarczy, naszem zdaniem, projekt choćby najidealniej pomyślany, trzeba go wykonać. Zdaniem autora nic łatwiejszego, jak taka *friedliche Ausgleichung.* Wiadomo jednak, że aby takie zrównanie doprowadzić do skutku i to w drodze pokojowej, ugodowo, trzeba zgodnej woli interesowanych. Czy autor sądzi, że to, czego nie wyrównały wieki, tylokrotne wojny itp., zdoła wyrównać jedna lub druga konferencya ambasadorów czy ministrów, kierujących polityką zewnętrzną odnośnych państw? Różnice i kolizye interesów są zbyt zakorzenione, zbyt głębokie, by środek taki mógł je zagodzić. Ale przypuściwszy:

zgoda przyszła do skutku, spisano traktaty odpowiednie, czy już cel osiągnięty? Pytamy się, gdzie siła jakaś, gdzie jakaś wyższa władza, któraby czuwała, aby ugoda taka trwała wiecznie, by sporne kwestye tym razem załatwione, nie wyrodziły się na nowo czy w tym czy w innym jakim punkcie. To samo możnaby powiedzieć o projekcie autora ogólnego procentowego zredukowania sił zbrojnych w wszystkich państwach. A wyelimitowanie Turków i Żydów z Europy, stworzenie dla nich nowej ojczyzny w innych częściach świata, czy da się wykonać? Czy autor sądzi, że doszłoby do zgody między państwami europejskiemi, by przeprowadzić wywłaszczenie ziem podległych Sułtanowi? Czy nie wyłoniłyby się ostre różnice co do rozdziału dziedzictwa, opróżnionego przez emigracyę Turków do Azyi?

Najrealniejsze może są idee autora o kolonizacyi. Ale i tu autor idzie za daleko; projekty jego są za energiczne, za apodyktyczne. Pomysł kolonizacyi nie jest nowy, znali go już Fenicyanie, Kartagińczycy, Grecy i inne ludy starożytności. Czemże jednak zaręczy nam autor, że znajdzie się 10 milionów Włochów, 30 milionów Chińczyków itd., że już nie będziemy zabawiali się szczegółami kombinacyi autora; może znajdzie się tylko 8 milionów, a może 12, 15 i t. d. milionów chętnych do osiedlenia się w obcych krajach. Żyjemy w wieku wolności, państwo nie może przymusowo nakładać na obywateli obowiązku opuszczenia ojczyzny, może jedynie zastosować ten przymus jako środek represyi na przestępców. Złożenie zaś państw nowych, powstających przez kolonizacyę samych przestępców, czy to niezbyt niebezpieczne dla zachowania ładu społecznego nowych związków?

Problematyczne wydają nam się również projekty autora finansowej i ekonomicznej natury, owo nakładanie dobrowolne na państwa obowiązku złożenia na cele natury społecznej sum, przeznaczonych na wojny itp. cele, których wedle autora mają państwa zaniechać. Wiemy, że państwa w dobie obecnej niechętnie puszczają się na przedsięwzięcia wojenne, wolą nieraz ustąpić, niż spory załatwiać z bronią w ręku. Jeśli uda się któremu uniknąć wojny, zapisuje to jako uniknięcie pewnego minus w budżecie, minus, którego pokrycie przyszłoby im bardzo ciężko. Kto tedy skłoni je, by z trudem, a nie zmuszone koniecznością, ponosiło ofiary, wydobywało czy drogą nadzwyczajnych podatków, czy niedogodnej pożyczki miliardy i składało je na ołtarzu publicznego dobra, którego korzyści może nie uznaje? A wreszcie użycie tych ewentualnie złożonych miliardów!

Bez wątpienia uznają to wszyscy, że państwa obowiązane są do popierania celów społecznych, ulżenia nędzy w razie klęsk nadzwyczajnych. Nie wiemy jednak, czy państwo mogłoby rozwinąć tak skuteczną działalność, byśmy mogli zawołać z autorem: *Keine Hungerkatastrophen, kein Hungertyphus, keine Hungerpest, kein Massenhungertod auf dem Erdball mehr:* autor idzie dalej, sądzi, że doprowadzić można do tego, że wogóle niedostatek zniknie z powierzchni ziemi.

Trudno nam rozbierać poszczególne idee autora; zamieścił on bowiem na 92 stronicach swej pracy tyle projektów, tyle pomysłów, że omawianie ich zajęłoby tom, przewyższający może dwu lub trzykrotnie objętość pracy autora. Wybraliśmy tylko ważniejsze, ogólniejszej natury plany, które mogą dać miarę innych pomniejszych. Nie chcemy dotykać autora, ale pomimo woli nasuwa się nam porównanie z owymi *Bierpolitiker*, dzielącymi państwa, tworzącymi nowe, stawiającymi horoskopy polityczne na daleką metę. A polityka, umiejętności społeczne nie mogą latać pod niebiosa, opierać się na kombinacyach, snutych przy biurku; tu trzeba zejść z wyżyn abstrakcyjnych, idealnych pomysłów na szary grunt rzeczywistości, z niej czerpać podstawę do projektów zmian na lepsze.

Dr A. Bielecki.

Waldwinter. Roman. *Paul Keller.* Vierte Auflage. München. Allgemeine Verlags-Gesellschaft m. b. H. Str. 453.

W przeciągu jednego roku doczekała się ta powieść katolickiego, a do ostatnich prawie czasów mniej znanego autora, czterech wydań, a to już wiele znaczy, szczególniej w Niemczech, gdzie średnie nieraz utwory przez protestantów pisane, zręczną reklamą nabywają głośnego rozgłosu, a wartościowe prawdziwie dzieła, dlatego, że katolik ich autorem, bywają pominięte milczeniem. Każdy też, przeczytawszy tę »Zimę w lesie« powie, że ma przed sobą dzieło, świadczące o oryginalności pomysłu i o wielkiej sile talentu. Znamieniem powieści charakterystycznem jest niespodziewany zwrot do romantyzmu. Nie jest ten romantyzm tym, który znamy z utworów Eichendorffa, z jego np. *Aus dem Leben eines Taugenichts,* a jeszcze więcej z *Dichter und ihre Gesellen,* choć niektóre sceny i sposób przedstawienia rzeczy potrosze je przypominają, co jest zresztą dość naturalną; jest on więcej zacieśnionym i umiarkowanym, możnaby powiedzieć modnym, otaczającym spółczesnych ludzi i spółczesne czyny chwytającym za serce urokiem dawnego romantyzmu. Romantyczną jest ta leśna pustynia,

gdzie młody, zmęczony pracą i światem literat chce zdala od ludzi spędzić chwil kilka i wypocząć; ten samotny zamek z przywiązanymi do jego baszt i murów podaniami i powieściami, ten poważny, milczący, zamknięty w sobie burgrabia z córką Jngeborgą i jej przyjaciółką, Maryą v. Soden, romantycznym jest sam pomysł powieści, jednem słowem, romantycznem jest całe otoczenie i sposób życia w tym odległym zakątku u stóp Gór olbrzymich położonym. Jeżeli ten romantyzm ma może swoje błędy, to w każdym razie nie przewyższają one błędów i przesadności, jakie aż za często spotykamy u naszych tak zwanych realistycznych autorów; czytająca publiczność tak osądziła, a i wykształcony czytelnik do tego samego dojdzie wniosku.

Tym umiarkowanie romantycznym osobom przeciwstawia autor, a czyni to naprawdę szczęśliwie, tak że nie wywołuje to żadnego zgrzytu, żadnej dysharmonii, na wskróś nowoczesne i z życia wzięte postacie; modnym jest więc i sam bohater powieści, modnym portyer zamkowy i nadkelner Baumann i najbardziej do siebie pociągający nadleśniczy Gerstenberger, którego każde pojawienie się do szczerego śmiechu pobudza czytelnika: człowiek to na oko nieociosany, trochę grubianin, trochę gwałtowny, ale serce nawskróś złote, choć tego objawiać nie chce; sprzeczność, jaka zachodzi między jego wcale nie uprzejmemi słowami a postępowaniem, nałogi i przyzwyczajenia nieszkodliwe dla drugich, a wprowadzające go czasem w różne, niekoniecznie miłe sytuacye, zniewalają mu czytelników.

Nie brak jednak w tej romantycznej powieści i scen wysoko tragicznych. Oto młody Hartwig, syn dawnego mordercy, wieczne utrapienie nadleśniczego, gdyż wybija mu najlepszą zwierzynę — wszyscy o tem są przekonani, a niczego mu udowodnić nie można. Kocha on Jngeborgę, choć ta miłości jego nie dzieli, zdaje mu się natomiast, że młodego berlińskiego literata do Jngeborgi ciągnie; jesienną nocą strzela w lesie do szczęśliwego w jego mniemaniu rywala, rani go ciężko, ale potem sam ratuje, bierze w ramiona i w nieskończonej rozpaczy niesie do domu. Sprawę załagodzono, Hartwig ożenił się z skromną, kochającą go wiejską dziewczyną i udał się do Afryki, aby tam w szeregach boerskich walką za dobrą sprawę zmazać swoją winę.

Albo znowu Marya v. Soden. To dziewczę szlachetne kocha obcego berlińskiego gościa, lecz o zamążpójściu i słyszeć nie chce, owszem, aby tego uniknąć, ucieka dwa razy, a drugą razą prawie ginie w śnieżnych Górach olbrzymich. Tu wyjawiła tajemnicę

swego serca, w tem jednak przekonaniu, że zabłądziwszy nocną, zimową porą w górach, razem zginą, że więc jej tajemnica z nią do grobu zstąpi.

Gdy ją wbrew jej woli uratowano, przybiera na nowo zimną maskę obojętności i niedostępności. A jaka tego przyczyna? Autor użył tu motywu zupełnie nieprzewidzianego i dotąd, zdaje się, w powieści nie bardzo stosowanego. Matka jej, z początku szczęśliwa w miłości i małżeństwie, doznała później dużo zawodów ze strony zdradzającego ją męża, spisała swoje pamiętniki i wszczepiając w córkę wstręt i nienawiść małżeństwa, odebrała od niej przyrzeczenie, że codziennie w tym pamiętniku czytać będzie. To i fakt, że rodzeństwo jej nie znalazło w małżeństwie szczęścia, że wreszcie jak jakaś zmora ciążyło nad całą rodziną widmo chorób umysłowych, nie pozwoliło jej na zawarcie związku małżeńskiego. Ucieka wreszcie, choć ją znajdują wkrótce u łoża umierającego ojca, którego dotąd tak nienawidziła; uciekając pozostawiła ukochanemu pamiętnik. Z łatwością wykazano jej, że matka ją zwodziła, gdyż ten ojciec nie był tak złym a raczej nieszczęśliwym, kilka razy błagał o przebaczenie i chciał wracać — matka o tem w pamiętniku nie wspomniała, przeciwnie inaczej wprost pisała. W miarę, jak słabło i zamierało zaufanie do matki, malały uprzedzenia, aż poszła wreszcie za głosem serca. Cała ta walka obmyślana głęboko i przedstawiona psychologicznie.

W opisach przyrody, w malowaniu scen z życia domowego w samotnym zamku jest autor niezrównany. Jedyny zarzut, jaki powieści możemy stawić, to ten: słabe ilustracye szpecą taką powieść.

»Zimę w lesie« możemy polecić naprawdę tym czytelnikom, którzy literaturą zagraniczną się zajmują; sprawi im ona dużo zadowolenia, da im dużo rozkoszy, a żadna scena nie wniesie choćby najmniejszego rozdźwięku do serca.

Ks. Wiktor Wiecki.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Wydawnictwo Akademii Umiej. w Krakowie. Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce. Tom X. Kraków 1904.

Mamy tu naprzód »Życiorys Andrzeja Zbylitowskiego« przez d-ra Rudolfa Abichta. Autor wyzyskuje wszystkie znane źródła, z którychby można powziąć jakąś wiadomość o życiu autora »Żywota szlachcica na wsi«. Szczegóły swoją drogą, jakie podaje, są dość skromne, wiele miejsc życia poety pozostaje niewyjaśnionych, ale to już nie wina autora.

Rozprawa dr. Z. Celichowskiego »Polskie indeksy książek zakazanych«, podaje nam wiadomość o 3 polskich indeksach *Librorum prohibitorum*. Pierwszy wydał ks. Bernard Maciejowski, biskup krakowski, drugiego wydawcą jest biskup chełmski, Jerzy Zamojski. Trzeci pochodzi z r. 1617, wydany przez Marcina Szpakowskiego, również biskupa krakowskiego. Przytem podaje autor wykaz dzieł polskich na tych indeksach pomieszczonych.

Znane są w ogólnych zarysach z kronik Orzechowskiego wypadki napadu na szkołę parafialną WW. ŚŚ. w Krakowie i procesu ks. Andrzejowi Czarnkowskiemu z tego powodu wytoczonego. Szczegóły wszelkie, wyjaśniające akta procesu tego, wydane obecnie przez d-ra Antoniego Karbowiaka.

Spotykamy w tym tomie protokóły wizytacyi szkół gimnazyalnych Księstwa Warszawskiego, odbytej przez Michała Dymidowicza, a wydane przez Antoniego Karbowiaka i szkół w gubernii Mińskiej, przedsięwziętej r. 1819 przez Józefa Twardowskiego, późniejszego rektora uniwersytetu wileńskiego. Ten ostatni wizytacyę tę przeprowadził dokładniej, więcej wyczerpująco, niż Dymidowicz, stąd też i materyał dla badań historyi oświaty obfitszy. Z obu jednak protokółów można powziąć wiadomość, jaki był skład i kwalifikacya grona nauczycielskiego w wizytowanych zakładach, jaki rozmiar udzielanej nauki, jakie postępy uczniów. Dowiadujemy się też z nich o stronie administracyjnej, materyalnej: jak szkoły były uposażone, jak pomieszczone i t. p. Obraz co prawda niezbyt różowy.

Dr. Antoni Maryan Kurpiel drukuje pięć listów Łukasza Górnickiego do Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, znalezionych w papierach Karola Sienkiewicza, bibliotekarza polskiego w Paryżu. Dorzucają one kilka szczegółów do żywota znakomitego pisarza doby zygmuntowskiej.

Dokumenty, użyte do życiorysu Jana Kochanowskiego pomieszczonego w IV tomie zbiorowego wydania jego dzieł, drukuje obecnie w całości Roman Plenkiewicz. Skoro krytyka podała w wątpliwość fakty, na podstawie tych dokumentów podane w życiorysie, uznał p. Plenkiewicz za stosowne poprzeć te fakty ogłoszeniem oryginalnych dokumentów. Są to akta sądowe XVI w., rzucające światło na stosunki familijne, spadkowe i t. p. rodziny Kochanowskich.

A. B.

Szarą drogą. Nowele. *Łuniński Ernest.* Lwów. Gubrynowicz i Szmidt 1903. 8-ka, str. 310.

Przeważna część nowel, zawartych w omawianym zbiorku, jest bardzo

słaba, grzesząc błahością treści lub brakiem pogłębienia przedmiotu. Do najlepszych zaliczam: »Semena Bajczuka«, typ poety wioskowego, dalej »Suflera« prowincyonalnego oraz obrazek (nie będący wszelako nowelą), pn. »Między Huculami«. Szkoda jednak, że co krok napotyka się w nim grube błędy językowe w odniesieniu do gwary huculskiej. Reszta z wyjątkiem jedynego szkicu p. t. »W jarzmie« jest już bardzo nieudatna.

K. D.

Paralele narodnim pripovijetkama u Strohalovu zborniku II, napisao *Polivka Džuro*. Odbizka z »Zbornika za narodni život a obićaje Zagreb. 1904.

W pracy tej podał znany badacz powieści ludowych słowiańskich cały szereg pararel bajek, zawartych w drugim tomie zbioru Strohala. Prac tego rodzaju ma wogóle słowiański folklor bardzo mało, choć właściwie powinniśmy znać przynajmniej przegląd motywów baśniowych polskich, ażeby nie drukować po raz setny takich podań, które są tylko waryantami dawniej drukowanych. W pracy prof. Polivki został szeroko uwzględniony materyał polski, ze znawstwem, jakiegoby się nie powstydził żaden nasz folklorysta. Te też ze względu na tę zaletę mają prace prof. Polivki także specyalnie dla naszej nauki wielkie znaczenie.

Dr. Z.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział filologiczny. Serya II. Tom XXII. Kraków 1903.

Tom ten obejmuje dwie prace. Naprzód część drugą i trzecią pracy Kornelego Hecka o Szymonie Szymonowiczu. Ocena całej tej monografii pracy innego pióra pojawi się wkrótce na łamach *Przeglądu Powsz.*, na tem miejscu zaznaczamy tylko fakt, że dokończenie jej ukazało się w druku.

Druga praca, to krótka rozprawa łacińska prof. Kazimierza Morawskiego p. n. *Catulliana et Ciceroniana.*

Zestawia tu uczony krakowski analogiczne miejsca z Cycerona i Katullusa, a nadto zaznacza przykładowo, jak z jednego i drugiego czerpali myśli i wyrażenia późniejsi.

A. B.

Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Rocznik dziesiąty. Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Societas literaria Toruniensis. Fontes VIII. 1903.

Tak rocznik najpierw wymieniony, jak i tom VII źródeł obejmują dalszy ciąg wydawnictw i prac, rozpoczętych roku poprzedniego, o którycheśmy w swoim czasie uczynili w dziale sprawozdawczym odpowiednią wzmiankę. Źródła odnoszące się do dziejów Kościoła w Prusiech nie kończą się na tym tomie: dotychczas wydany rocznik obejmuje zaledwie ich część. Natomiast monograficzna praca ks. Kujota o kościołach w dyecezyi chełmińskiej w roczniku X została już w całości ukończona, zaopatrzona rejestrem i mapką. Nadto rocznik ten pomieszcza rozprawki d-ra Kętrzyńskiego: »Co znaczy nazwa Gdańsk«, »Przydomki szlachty pomorskiej« i »Pisarz miejski Kościerski poetą«, oraz przegląd prac tyczących się Prus i Pomorza za ubiegłe trzechlecie i bibliografię z ubiegłego roku.

A. B.

Die Verehrung der Heiligen. Betrachtungspunkte von *Stephan Beissel S. I.* Herder.

Niezmordowany O. Beissel obdarza ascetyczną literaturę nową pracą, niemniej cenną i praktyczną, jak po-

przedzające. Jest to ósmy z rzędu tomik rozmyślań; za przedmiot wybrał tym razem O. Beissel żywoty niektórych Świętych. Szczególnie bogato opracowane jest życie św. Józefa, Piotra i Pawła.

Ks. A. M.

Pages choisies des grands écrivains. *Buffon.* Avec une introduction par *Paul Bonnefon.* Paris 1903.

Wydawcy pomieścili w tym tomie historyę naturalną Buffona w wyjątkach, jego rozprawę *Les époques de la nature* i *Discours et lettres.* Dzieła Buffona nie mają w obecnym stanie nauk przyrodniczych aktualnej wartości, dalekośmy już odeszli od pojęć i rezultatów wiedzy epoki, w której pracował Buffon, należy się jednak wdzięczność wydawcom, że przypomnieli światu zasłużonego badacza przyrody, który choć się przeżył, w niejednem położył podwaliny pod obecny rozwój historyi naturalnej.

A. B.

Studya dyplomatyczne. Sprawa polska. Sprawa duńska. *Julian Klaczko.* (1863—1864). Tłumaczył za zezwoleniem autora Karol Scipio. Część druga. Kraków 1904.

W swoim czasie zdawaliśmy już sprawę z pierwszej części powyżej przytoczonego dzieła, traktującej o stanowisku mocarstw i ich akcyi dyplomatycznej wobec powstania styczniowego. Teraz ukazała się tej książki część druga, i w której mowa o rozbiorze starej i pełnej chwały monarchii, Danii, dokonanym punktami przedugodnymi podpisanymi w Wiedniu 27 lipca 1864 roku. Z rzadką objektywnością, *sine ira et studio* kreśli autor całą akcyę Prus, ich zabiegi dyplomatyczne skierowane do zawładnięcia Szlezwigiem i Holsztynem. Na tle tem wypukla się *spiritus movens* całej tej akcyi, potężna demonicznie postać Bismarka, tego, który w r. 1849 jako poseł ubolewał, że »królewskie wojska pruskie bronią w Szlezwigu rewolucyi przeciw uprawnionemu monarsze, królowi Danii«.

A. B.

Australien und Tasmanien. Nach eigener Auschauung und Forschung wissenschaftlich geschildert von *dr. Joseph Lauterer.* Herder. Freiburg im Breisgau.

Autor znający Australię z własnych badań i podróży, kreśli nam barwny i wyczerpujący obraz, monografię tej części świata. Zaczyna od opisu przyrodniczego i topograficznego drogi prowadzącej z Europy do Australii. Potem przechodzi do przedstawienia historyi odkrycia i rozwoju politycznego i społecznego Australii. Skreśliwszy część historyczną opisuje Australię dzisiejszą. A więc naprzód strukturę, formacyę i układ geologiczny, florę, faunę, ludność ją zamieszkującą, tubylców i kolonistów, wreszcie topografię ziemi australskiej.

Po przeczytaniu tego dzieła uzyskujemy pełny obraz tej części świata, najmniej może ze wszystkich opisywanej i znanej szerszej publiczności. Ale dzieło to, choć pisane przystępnie i stąd dla tej ostatniej kategoryi czytających pożyteczne, z równą korzyścią służyć może i ludziom nauki, zawiera bowiem wiele szczegółów nauce nieznanych, może dać pobudkę do dalszych badań i wniosków umiejętnych.

A. B.

Cudowne obrazy Najśw. Panny Maryi Pustyńskiej i w Kaźmierzowie. *Krystyn Mazowiecki.*

Mała to, o 10 str. broszurka, wydana nakładem »Sodalisa« i w majo-

wym jego zeszycie już drukowana. Autor dopełnia w niej braku wiadomości o dwóch łaskami słynących obrazach, jaki zauważył w cennem i pracowitem dziele ks. Wacława. Obrazy te przechowują się w klasztorach XX. Bazylianów na Rusi i Litwie. Spora garstka szczegółów historycznych i opis przełożonych Bazyliańskich w Kaźmierzowie, aż do kasaty, zalecają bardzo tę broszurkę miłośnikom przeszłości.

A. R

Najpospolitsze błędy językowe, zdarzające się w mowie i piśmie polskiem. *Antoni Krasnowolski.* Warszawa 1903. Str. 167. (W wydawnictwie: »Książki dla wszystkich«.

Zebrany materyał, t. j. najpospolitsze błędy językowe, omawia autor w specyalnych rozdziałach, odpowiadających poszczególnym częściom gramatyki ogólnej, więc mamy tu: I. Błędy w głosowni. II. Błędy w słowotworzie. III. Błędy w odmianach. IV. Błędy w składni i V. Błędy w znaczeniu (semazyologii). W tym zaś ostatnim tylko rozdziale »wyrazy, używane w znaczeniu błędnem«, ułożone są w alfabetycznym porządku; w innych bez żadnego porządku, co utrudnia naturalnie korzystanie z owej książeczki.

Objaśnień daje p. Krasnowolski sporo. Niestety jednak objaśnienia owe nie zawsze są wystarczające; spotykają się również i zupełnie błędne, i to nierzadko. Oto naprzykład »prawidło«, kiedy *e* pierwotne występuje jako *o* w polskim (str. 14) podane zupełnie błędnie: *wlokę* niczego nie dowodzi, wszak mamy i *wlekę* i zawsze tylko *zwlekam,* nigdy *zwlokam,* następnie *piekę, rzekę, ciekę...* dalej *siekę, człowiek, rzeka, wiek...* Myli się autor, sądząc, że *tłumáczus* (= pol. »tłumacz«) to »po litewsku«. To tak »po litewsku«, jak »burmistrz« po polsku (str. 9). Zresztą nie będziemy tu wyliczali owych błędów przez autora popełnionych, zajęłoby to zbyt wiele miejsca. Nadmienić wszakże należy, że i pod względem metodycznym książeczka p. Krasnowolskiego bardzo szwankuje. Niektóre »dowody« autora są wprost śmieszne, np. trzeba mówić *»gonić... za kim,* albo *za czem,* bo osoba goniąca rzeczywiście znajduje się za kim, z tyłu» (str. 105), ale nie można powiedzieć *śledzić za czem* zapewne dlatego, że osoba śledząca *rzeczywiście* znajduje się *przed* przedmiotem śledzonym!!

W przeważnej ilości wypadków autor, kierując się czuciem językowem, ma racyę, wskazując na pewne formy jako na »dobre», na inne jako na »złe«, których unikać należy, ale motywy, dla których potępia jedne i proponuje i pochwala inne, nie tylko że nie posiadają żadnej »wartości«, ale wprost dla czytelników, niewprawionych w samodzielne myślenie w zakresie zjawisk językowych, są szkodliwe; z drugiej znów strony, ośmieszają badania językowe, bo czytelnik doprawdy może jeszcze pomyśleć, że »językoznawcy« kierują się w swoich badaniach tą metodą, co i p. Krasnowolski.

»Mimo, iż autor w przedmowie mówi »w ocenie błędów kierowałem się oględnością i umiarkowaniem«, obiecuje, że będzie »zwracał głównie uwagę na błędy ‚najpospolitsze', t. j. takie, które najbardziej zagrażają czystości języka« (str. 4), mimo to co krok w książeczce jego spotykamy się z purystycznymi zapędami. Autor wypowiada bez potrzeby wojnę wyrazom będącym w powszechnym użyciu już od dłuższego czasu, tak np. przymiotniki *łąkowy, brzegowy, śniego-*

wy nazywa »dziwolągami i zupełnie niepotrzebnemi« (str. 20). »Niech — pisze — kwiaty *łączne* nikogo nie rażą, nie wymyślajmy kwiatów *łąkowych*. Niepotrzebna nam też linia *brzegowa* i *śniegowa*, gdy posiadamy przymiotniki *brzeżny, śnieżny*«. Ależ *śniegowy* i *brzegowy* powszechnie używany od XVII stulecia, a *łąkowy* od XVIII Autor nie tylko niesłusznie potępia te inne wyrazy i wyrażenia, lecz nawet sam »kuje«, tak np. zamiast *spacerowicz* radzi mówić *spacerownik* (str. 43), zamiast *w dwu, obu rękach — w dwu, obu ręku* (str. 57) i t. p.

Słowem, aby książeczka p. Krasnowolskiego mogła być pożyteczną, musiałaby uledz zupełnemu przerobieniu.

H. U.

Andrzej Towiański. Dwa odczyty. Napisał *Andrzej Baumfeld*. Lwów 1904. Nakładem »Odrodzenia». Skł. gł. w księgarni D. E. Friedleina w Krakowie. (8-ka, str. 35).

Z pracy tej okazuje się, że autor jest zwolennikiem nauki Towiańskiego, która liczy u nas szczupłe grono wyznawców. Dobrzeby było, gdyby wobec niezwykłej tajemniczości, jaką jest otoczona cała ta nauka, przed ciekawem okiem nieprzychylający się do niej, wobec niedostępności oryginalnych dzieł samego Towiańskiego, wydanych w Turynie, — ktoś obznajomiony dobrze z jej zasadami pouczył w obszernym wykładzie interesujących się tą sprawą o właściwej istocie tego, co wykładał mistrz Andrzej. Praca omawiana zbyt jest szczupła, ażeby mogła spełnić wyrażone dopiero zadanie. Nie taki też cel miał na oku autor podczas pisania swej pracy, jemu chodziło wyłącznie o wyłożenie zasadniczego tonu nauki Towiańskiego, który rozbiera autor w »Obrazie duszy« oraz w rozpatrywaniu stosunku »Sprawy Bożej« do Kościoła i narodu.

L. B.

Polskija periodiczeskija izdanija po etnografii za posliednie dwa goda (1900—1901). *Genrich Ułaszyn*. (Odbitka z »Izwiestij Otdielenija russkawo jazyka i słowiesnosti Akademii nauk). St. Pietierburg. 1904.

Wobec ogromnego braku ludzi, którzyby sobie wzięli za zadanie informować prasę obcą o naszych pracach na polu naukowem, ma niezaprzeczoną zasługę p. Ułaszyn, który od czasu do czasu ogłasza przeglądy naszych badań lingwistycznych, etnograficznych i innych w wydawnictwie petersburskiej Akademii. A że »Izwiestija« są bardzo szeroko rozpowszechnione, przeto z nich dowiedzą się nie tylko w Rosyi, ale też w całej Słowiańszczyźnie o tem, co się u nas dzieje w poszczególnych gałęziach wiedzy.

W niniejszym przeglądzie omówił p. Ułaszyn »Materyały antropologiczno-archeologiczne« Akademii Um., »Wisłę« oraz »Lud», poprzedzając rzecz całą krótkim rzutem oka na rozwój naszej etnografii w ogólności, w którym ciepłą wzmiankę poświęcił ś. p. Karłowiczowi.

Należałoby życzyć sobie, ażeby tego rodzaju informacyjne artykuły pojawiały się częściej w zagranicznych czasopismach.

E. Y.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego

Sprawy Kościoła.

Pod przyszły Kongres Maryański we Lwowie.

W ostatnich dniach września odbędzie się z okazyi roku jubileuszowego kongres maryański we Lwowie, kongres jak już sama nazwa wskazuje, poświęcony czci Niepokalanej Dziewicy. I rzeczywiście! jeżeli gdzie, to u nas w kraju kongres taki ma swe osobne znaczenie i uzasadnienie.

Od pierwszego zarania naszych dziejów kwitła w Polsce szczególna cześć Matki Bożej. Przy dźwiękach pieśni »Boga Rodzico« szło polskie rycerstwo w krwawy bój, który mu często nic nie przynosił krom tego przekonania, że krew swą lało dla Chrystusa i Jego Matki; Jej pomocy szukali, przed Jej obrazami korzyli się polscy królowie, gdy wyruszali w wojenne zapasy z nieprzyjaciółmi wiary i ojczyzny i nigdy nie doznali zawodu; nabożeństwo do Niej przyjęło się w polskim ludzie, jak nigdzie na ziemi. Świadczą o tem te świątynie, ku czci Niepokalanej wzniesione, te pielgrzymki, które rok rocznie na całym obszarze dawnej Polski tysiące wiernych skupiają, te święta Matki Bożej, które tłumy po kościołach i przy konfesyonałach zawsze gromadzą, te nabożeństwa majowe, które u nas tak jak nigdzie kwitną i świątynie wypełniają, te pieśni maryańskie, które po naszych cichych wioskach rozbrzmiewają, te liczne kongregacye, które do odrodzenia ducha religijnego nie mało się przyczyniają. I tak przeszło to nabożeństwo w życie narodu, że przeniknęło wszyst-

kie jego warstwy i objawy, że nawet pieśń polska chlubny stawiła Jej pomnik w utworach ludu i w natchnieniu pełnych dziełach wielkich Polski synów.

I Marya niemniej dziś ten o dawnej swej wielkości marzący, za dawną świetnością tęskniący kraj szczególnie umiłowała. Gdziekolwiek rozbrzmiewa mowa polska, tam znane te tak liczne, cudowne miejsca, gdzie Matka Najświętsza króluje i szczególniejsze łaski na sługi swe zlewa. Nie nadarmo przecież przypadł Jej w udziele najpiękniejszy tytuł, jaki Jej Polska dać mogła, bo tytuł Królowej Polski. A choć dzisiaj dużo z pomiędzy nas odbiegło od dawnej pobożności ojców, choć gorsza od wszystkich nieszczęść niewiara w zasadach i w życiu szerzyć się poczyna, choć brak tej czystości uczuć, jakie naszych przodków cechowały, to jednak nabożeństwo do Maryi nie wygasło; owszem wbrew wszelkim powątpiewaniom stwierdzić możemy, rozszerza się, rośnie. Bo więcej tam słabości, jak złej woli, więcej nieporozumienia, jak zepsucia i jeszcze dziś na skalnym gruncie serc wyrasta wonny kwiat cnoty, pobożności i miłości dla Matki Najświętszej.

To też z ufnością oczekujemy przyszłego kongresu; nie zachęcamy do brania w nim udziału, bo jesteśmy przekonani, że i bez tego udział w nim liczny będzie, jesteśmy przekonani, że na tym kongresie Polska chlubny pomnik swej wierze, swej wdzięczności i swej miłości ku Maryi wystawi. *Polonia semper fidelis* [1].

Z chrześcijańskiego ruchu we Włoszech.

Pod koniec lipca pisały liberalne gazety włoskie ze złe tajoną radością o wielkiej klęsce katolicyzmu we Włoszech, i o dziwnem postąpieniu Piusa X, który pod naciskiem »nieprzejednanych« odważył się na krok bardzo »nierozumny«. O cóż chodziło?

Pismem okólnem, wystosowanem 29 lipca do wszystkich biskupów włoskich, zniósł Ojciec św. organizacyę katolicką demokracyi chrześcijańskiej zatrzymując jedynie drugą jej sekcyę. O nieporozumieniach, jakie w łonie tej organizacyi panowały, o nieudałym,

[1] Wiadomości informujące o przyszłym Kongresie znajdą czytelnicy w końcowym artykule *Przeglądu*.

jak się obecnie pokazało, sposobie pojednania powaśnionych żywiołów na kongresie odbytym w listopadzie zeszłego roku w Bolonii i ogłoszonym z tego powodu *Motu proprio* Piusa X, pisał *Przegląd* w swoim czasie [1]. *Motu proprio* miało na celu zjednoczyć i pogodzić różne pierwiastki w łonie organizacyi się znajdujące; tego zadania papież nie osiągnął. Energiczne wystąpienie jego nie bardzo się podobało; wpływowe sfery organizacyi nie zrozumiały głębszych myśli Stolicy św. i nie poddały się im.

Hr. Grosoli, który objął kierownictwo katolickiego ruchu społecznego we Włoszech po hr. Paganuzzi, a który zdawał się jakby być stworzonym na to, by organizacyi pod każdym względem do zwycięstwa dopomódz, nie potrafił sobie jednak pozyskać większości w generalnym zarządzie i stałym generalnym komitecie *Opera dei Congressi,* podał się więc do dymisyi, której jednak Pius X nie przyjął; potwierdził go przeciwnie na stanowisku prezydenta.

Położenie Grosoliego było nie do pozazdroszczenia. Większość na razie była mu przeciwną; papież żądał, aby przeciwnicy hrabiego podzielali jego zapatrywania, albo zgłosili swe wystąpienie z generalnego zarządu i generalnego komitetu; w osobnym nadto liście przez kardynała sekretarza stanu zredagowanym, nałożył członkom organizacyi zupełne posłuszeństwo i zakazał publicznych waśni. Mimo wszystko rosło zniechęcenie do *Opera dei Congressi;* utrzymywano powszechnie, że niemożliwem jest połączyć surowy konserwatyzm minionych dni z nowemi ideami dzisiejszego czasu w jednej organizacyi. Wielka część chrześcijańskich demokratów dążyła do tego, by za każdą cenę rozłączyć się z *Opera dei Congressi.*

Tymczasem nastąpiła rzecz niespodziewana i nieoczekiwana. *Osservatore Romano* ogłosił, że nowego okólnika hr. Grosoliego, który ten w ostatnich czasach na prowincyi wydrukował, drukować nie będzie, ponieważ nie uzyskał on aprobaty w Watykanie. Ten dowód nieufności zastał Grosoliego nieprzygotowanym, podał się drugi raz do dymisyi, która też bezzwłocznie przyjętą została. Co Ojca św. skłoniło do tego dziwnego kroku, na razie nie wia-

[1] *Przegląd Powszechny* luty 1904, str. 238 nast.

domo; prawdopodobnie widząc, że żadne łagodne środki do celu nie prowadzą, postawił kwestyę na ostrzu noża, zniósł dawną organizacyę, aby na jej miejscu założyć nową; niebawem też pojawił się znany list z 29 lipca.

Papież uznaje w nim zasługi i dobrą wolę pojedynczych członków stałego komitetu generalnego, a przedewszystkiem hr. Grosoliego, rozwiązuje jednak równocześnie sam ten komitet. Z pięciu grup demokracyi chrześcijańskiej zostają zniesione cztery, pozostaje jedynie w całej swej rozciągłości druga pod kierownictwem hr. Medolago-Albani, któremu przyznano różne daleko sięgające przywileje. Hr. Medolago-Albani wybierze sam osoby, którym zostaną powierzone inne urzędy drugiej grupy; księży nie wolno przyjmować bez zezwolenia odpowiedniego biskupa. Wszystkie żywioły niezadowolone, i ci świeccy lub duchowni, którzy niedosyć obeznani z ruchem, szerzą sprzeczne poglądy, zostają wydaleni. Na zwołanie kongresu generalnego potrzeba przyzwolenia Stolicy św.; kongresy dyecezyalne mogą być zwołane jedynie za uprzedniem pozwoleniem odpowiednich biskupów. Księżom i klerykom nie wolno brać udziału w tych kongresach bez pozwolenia własnego biskupa i tego, w którego dyecezyi kongres się odbywa; formy parlamentarne mają być pominięte, natomiast zachowane formy właściwe więcej braterskim zebraniom katolickim; kobietom na kongresach przemawiać nie wolno; słów papieża, na prywatnych audyencyach wypowiedzianych, na kongresie i jego obradach przytaczać się niema. Biskupom przysługuje prawo rozwiązywania dla ważnych przyczyn komitetów, grup i sekcyi w ich własnych dyecezyach; rezolucye i postanowienia wydziałów, należących do *Opera dei Congressi*, mogą biskupi w swych dyecezyach odrzucić, jeżeli je uważają za szkodliwe dla dyecezyan. Raczej jakiegoś dzieła nie dokonać, aniżeli zrobić je wbrew lub bez woli biskupa. Dlatego też wszyscy ściśle trzymać się mają programu chrześcijańskiego ruchu ludowego *(azione popolare cristiana)*, przepisów kongregacyi dla nadzwyczajnych spraw kościelnych z 27 stycznia 1902 r. i ostatniego *Motu proprio*. Te postanowienia, tak brzmią końcowe słowa listu, nie oznaczają bynajmniej zastoju i cofania się katolickiego ruchu ludowego we Włoszech, ani zmniej-

szenia się ufności papieża względem tych, którzy sprawie się poświęcali i poświęcają, przeciwnie dążą one do tego, by w akcyę wlać nowe, silne, pulsujące życie.

Wspomnieliśmy powyżej, że przyczyny takiego niespodziewanego postąpienia papieża nie są znane; Ojciec św. wspomina tylko w liście o »smutnych doświadczeniach«. Czemu jednak nie rozwiązano drugiej sekcyi? przecież ułatwiłoby to niepomału odbudowanie całości. Przyczyna leży, zdaje się, w tem, że ta właśnie sekcya prawdziwie dużo pracowała na polu ekonomicznem tu niepomierne osiągnęła rezultaty. W każdym razie leży dzisiaj w rękach biskupów stworzyć nowy katolicki ruch. Ten nowy ruch napotka na swej drodze na wielkie zewnętrzne i wewnętrzne trudności; dalszego rozwoju tego ruchu, postępu i silniejszej praktycznej organizacyi, tak prędko w nim też znać nie będzie — leży to w naturze samej rzeczy; kierunek za to, jaki mu list papieski nadał, rokuje mu na przyszłość pewne nadzieje [1].

Biskupi francuscy o zerwaniu stosunków dyplomatycznych.

Po niegodnem wystąpieniu biskupa z Laval, który nietylko nie poddał się rozporządzeniom Rzymu, ale by je udaremnić szukał poparcia władzy świeckiej a w rozmaitych interwiewach wystawiał siebie jako ofiarę intryg i niezasłużonych prześladowań [2], tem piękniej odbija wystąpienie większej liczby biskupów francuskich, którzy z okazyi nieszczęsnego zatargu wydali listy pasterskie, pełne uległości i poddania się dla Stolicy Apostolskiej. Nieprzyjemne z pewnością dla rządu francuskiego słowa rozbrzmewają w tych listach; każde prawie zawarte w nich zdanie jest stanowczem potępieniem dzisiejszej polityki francuskiej.

»Wiemy i uczymy — pisze arcybiskup z Cambrai — że Kościół rzymski przez swe Boskie ustanowienie ma najwyższą władzę nad wszystkimi innymi Kościołami i że ta władza jurysdykcyi jest ze strony papieża bezpośrednią; że pasterze i wierni, każdy pojedynczo i wszyscy razem, jakikolwiek byłby ich obrzą-

[1] *Historisch-politische Blätter* r. 1904, zeszyt IV, str. 301 sqq.

[2] W ostatniej chwili donoszą pisma, że biskup z Laval wyjechał do Rzymu.

dek, jakiekolwiek stanowisko, są mu podlegli na mocy subordynacyi hierarchicznej nie tylko w rzeczach odnoszących się do wiary i obyczajów, lecz także i w tych, które odnoszą się do dyscypliny i rządów Kościoła. Wola papieża — wola Boga. Oto! nasza wiara!«

Bardziej jeszcze stanowczo wyraził się biskup z Saint-Dié: »Dzisiaj zaczepiają niestety! samą wolność głowy Kościoła w rzeczach najbardziej istotnych i nie ulegających żadnej kontrowersyi. Powołując się na konkordat, odważają się utrzymywać, że władza świecka może ukarać biskupa w rzeczach doczesnych bez zezwolenia papieża, papież zaś nie może ukarać biskupa w rzeczach duchownych bez zezwolenia rządu. Taką tezę postawić, znaczy ją potępić. My też potępiamy ją, Ojcze święty, całą energią naszej wiary i naszej miłości; potępiamy ją z biskupami i katolikami, nie tylko Francyi, ale i świata całego«.

Niemniej odważnie występuje ze swemi przekonaniami biskup z Coutances: »Biskupem z łaski Stolicy Apostolskiej, od której — wyznajemy to — otrzymujemy naszą władzę i naszą jurysdykcyę, wierzymy w to wszystko, czego ona nas uczy, potępiamy bez zastrzeżeń to, co ona potępia i głośno twierdzimy, że w rządach Kościoła jej władza jest najwyższą«.

Trudno przytaczać tu więcej wyjątków z tych wszystkich listów, z których każdy zapewnia o swem synowskiem poddaniu się i przywiązaniu, trzeba jednak jeszcze wspomnieć o charakterystycznych głosach dwu biskupów; takich głosów dawnośmy stamtąd nie słyszeli. Biskup z Nancy, mgr. Turinaz, który z rzadką przenikliwością od dawna poznał cele obecnej walki, pisze Ojcu św., że wiernie stać będzie przy Stolicy Apostolskiej, choćby się miał narazić przez to nawet na prześladowanie. Biskup znowu z Marsylii, mgr. Andrieux, nazywa rzecz bez ogródki po imieniu, pisze o rządach terorystycznych i wzywa do urządzeń nabożeństw ekspiacyjnych, inaczej ta »zbrodnia... pogrąży Francyę w gruzach i hańbie«.

Te wyrazy rozbolałych serc wywołują uznanie u prawdziwych katolików, innym za to, którzy pasyami lubią dawać dobre rady Kościołowi rzekomo dla jego dobra, choć sami niewiele się o Ko-

ściół i życie religijne starają, nie bardzo się podobają. Faktem jest, że o szczerości tych głosów biskupich wątpić nie można a bez wrażenia z pewnością też nie przeminą.

Głos francuski o obowiązkach katolików francuskich.

Że postępowanie katolików francuskich wywołało w wielkiej części obecne prześladowanie, że więc oni za to prześladowanie przed Bogiem i światem odpowiedzialność wielką, choć częściową, na siebie biorą, wspominaliśmy na szpaltach *Przeglądu* już kilka razy. Dzisiaj podobno znajdują się jeszcze Francuzi którzy spodziewają się polepszenia stosunków od nowej dziewicy orleańskiej, a inni jeszcze — nie chce się temu nawet wierzyć — od cesarza Wilhelma. Tem znamienniejszym jest głos francuskiego publicysty Henryka Berchois, który w obszernym artykule *Les catholiques français. Leurs droits, leurs devoirs,* zwraca sprawę na więcej praktyczne tory a nie szczędząc katolikom przykrych słów prawdy, wskazuje im ich obowiązki.

Autor roztacza czarny, ponury obraz wszystkich prześladowań, przez jakie przechodzili w ostatnim wieku katolicy we Francyi. »Ministerya, które po sobie następowały, dążyły wszystkie do tego nowego celu: zniszczyć religię katolicką we Francyi, a nawet, o ileby to było możliwem, i poza Francyą«. Utrzymują często, że Kościół łamał konkordat; na każdym kroku wykazuje autor, że rząd wobec katolików nie zachowywał najistotniejszych zasad ustaw, owszem wszędzie wbrew im postępował. A katolicy? Ich zachowanie się było takiem, że mniej niebezpiecznemi byłyby prześladowania krwawe i męczeństwo od tej walki podstępnej, upozorowanej prawem; katolicy za mało cenili sobie prawo Boże, za wysoko stawiali prawo państwowe i w imię tego prawa, ze źle zrozumianego dla niego uszanowania, pozwalali na wszystko.

Cóż więc robić? Pierwszym obowiązkiem jest walczyć o zachowanie wiary własnej i swych dzieci. Ta walka jest tem konieczniejszą, że dotychczas katolicy podlegali dwom złudzeniom: sądzili najpierw, że cierpliwość i rezygnacya rozbroją przeciwników, a dalej, że nadmiar złego zrodzi dobro, że więc trzeba czekać, niema się co spieszyć. (Jest to owo dziś słynne francuskie *l'excès du mal naîtra le bien*). Ta naiwność do tego dochodziła stopnia,

że przed kilku jeszcze miesiącami jeden z katolickich deputowanych wyraził się na zgromadzeniu w Lyonie, że w bloku znajduje się przynajmniej dwieście ludzi zacnych, niezdolnych do wyrządzenia komukolwiek jakiejś przykrości. Następne miesiące okazały, co o tem sądzić.

Walka polegać ma na dwóch rzeczach: na wprowadzeniu katolicyzmu w życie prywatne i publiczne a więc na jego zreformowaniu i na akcyi, która wymaga jednak koniecznie jedności, bez której katolicy nic nie zrobią. Tu nasuwa się autorowi do omówienia kwestya bardzo drażliwa, z której jednak wywiązuje się dość szczęśliwie. Przyczyną nieporozumień, niezgód i waśni są różnice w zapatrywaniach politycznych, choć będąc dobrym katolikiem, można być równocześnie monarchistą, republikaninem i t. d. Tymczasem stronnictwa zwalczały się wzajemnie z zaciętością i uporem godnym lepszej sprawy, gazety katolickie różnych obozów pomawiały siebie i swoich o zdradę, agitowano nawet za ludźmi bez wiary, byle nie przeszła kandydatura katolika, różniącego się od innych zapatrywaniami politycznemi; a przecież wszystko jedno, czy na czele narodu stanie król, cesarz lub prezydent, jeżeli tylko obywatelom da państwo to, czego od niego słusznie domagać się mogą. Wszak w parlamencie i w łonie masoneryi też niema jedności zasad politycznych, jest jednak jedność ilekroć idzie o zwalczanie religii i Kościoła. To połączenie się zaś katolików jest tem potrzebniejsze, że żadne inne stronnictwo katolickie nie jest w stanie przeciwstawić obozowi antychrześcijańskiemu siły równoważnej. Łącząc się, trzeba równocześnie nie ukrywać się z swym charakterem katolickim, ale zamanifestować go otwarcie; wstydzić się go niema żadnej przyczyny. Tego żąda i Ojciec św. w liście do hr. Medolago-Albani i w swej encyklice o św. Grzegorzu Wielkim.

Akcyę trzeba rozwinąć przedewszystkiem na polu wyborów; usiłowania w tej sprawie powinny być stałe, powszechne i dobrze zorganizowane. Trudno będzie od razu dojść do tego stopnia doskonałości, jak np. w Belgii, ale coś da się zawsze zrobić. Można urządzić pierwszo- i drugorzędne komitety elekcyjne, można się łączyć, odbywać zgromadzenia, przypilnować listy wyborców,

żeby w niej nie było nadużyć, zwrócić uwagę na urnę wyborczą i kartki głosowe, a przedewszystkiem zmniejszyć liczbę uchylających się od głosowania. Nie uchylają się od wyborów wolnomularze, radykali, socyaliści lecz konserwatyści i katolicy, i to uchylanie się »jest zawsze jedną z przyczyn naszej słabości«. Ważnym w tej akcyi krokiem jest również postawienie kandydatów; tych często brakło, tak że lud nie wiedział nawet często na kogo głosować; zdolni do tej pracy ulękli się trudów i przykrości i ustąpili. Pierwszorzędnego również znaczenia jest postawić wszędzie kandydatów katolickich, choćby nawet nie było żadnej nadziei ich zwycięstwa; to wzmocni niepomału samowiedzę katolicką.

Wielkie zadanie leży w sprawie wyborów na prasie katolickiej; obowiązkiem więc jest każdego trzymać z nią, wspomagać i zajmować się przedewszystkiem prasą ludową, od której dziś bardzo wiele zależy. Żeby jednak prasę postawić na wysokości czasu, trzebaby stworzyć agencyę centralną, któraby udzielała wiadomości różnym dziennikom; trzebaby również wyrzec się prenumerowania dzienników antyreligijnych, wszak wrogowie Kościoła dzienników katolickich bynajmniej nie trzymają. Po zwróceniu krótkiej uwagi na działalność ekonomiczną, kończy autor swe wezwanie: »Odwagi i ufności, a przedewszystkiem energii i wytrwania! A wtenczas, jak mówiła Joanna d'Arc: żołnierze walczyć będą, Bóg da zwycięztwo«.

Pominęliśmy w tem streszczeniu różne drobniejsze rzeczy i bliższe uzasadnienia postulatów autora. Przebija w nich ton spokojny i umiarkowany, lecz energiczny i rozumny, kierujący się trzeźwem patrzeniem na świat, nie uczuciem i wyobraźnią. Nie wszystkie ewentualności on uwydatnił, nie na wszystko, co sprawie katolickiej do zwycięstwa dopomódz może, zwrócił uwagę, za mało uwzględnił to, co np. przy odrodzeniu ducha katolickiego w Belgii tak wielką odgrywa rolę, pracę ekonomiczną i socyalną, ale też wszystkiego od razu żądać nie można, żeby nie przestraszyć ogromem przyszłych ciężarów i obowiązków. W każdym razie trzeźwością i praktycznością swoją niesłychanie odbija głos ten od dotychczasowych francuskich iluzyi i złudzeń.

Ks. Wiktor Wiecki.

Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1903.

(Ciąg dalszy)

Tow. dla popierania nauki polskiej. — Kasa im. Mianowskiego. — Akademia Umiejętności. — Tow. Przyjaciół Nauk. — Tow. naukowe w Toruniu. — Tow. filozoficzne. — Tow. przyrodników im. Kopernika. — Tow. ludoznawcze. — Polskie Tow. ludoznawcze w Cieszynie. — Polska Sztuka Stosowana. — Tow. historyczne. — Tow. miłośników historyi i zabytków Krakowa. — Tow. numizmatyczno-archeologiczne. — Koło konserwatorów dla Galicyi wschodniej i zachodniej. — Tow. ochrony zabytków polskich. — Klub Słowiański. — Tow. filologiczne. — Tow. literackie im. Mickiewicza. — Tow. nauczycieli szkół wyższych. — Tow. pedagogiczne. — Tow. pedagogiczne w Cieszynie. — Związek rodzicielski. — Tow. prawnicze. — Tow. prawniczo-ekonomiczne. — Tow. pielęgnowania nauk społecznych. — Tow. lekarskie i hygieniczne lwowskie, krakowskie i warszawskie. — Tow. weterynarskie. — Tow. politechniczne lwowskie i krakowskie. — Związek naukowo-literacki. — Koła literacko-artystyczne we Lwowie i w Krakowie. — Czytelnia katolicka. — Muzeum XX Czartoryskich. — Biblioteka Jagiellońska. — Lwowska Biblioteka Uniwersytecka. — Zakład im. Ossolińskich. — Muzeum im. Dzieduszyckich. — Muzeum Narodowe.

Z pomiędzy zeszłorocznych prac krakowskiego *Koła konserwatorów dla Galicyi Zachodniej* należy wyszczególnić przedewszystkiem przedstawienie przez prof. d-ra St. Estreichera programu teki archiwalnej, ułożonego w porozumieniu z prof. Krzyżanowskim i dr. Kutrzebą, która ma ukazać się w r. 1905. Koło postanowiło także poświęcić osobną tekę krakowskiemu Archivum kapitulnemu, której opracowanie powierzono dr. A. Chmielowi. Wreszcie starania Koła doprowadzą, zdaje się do pomyślnego rezultatu zamierzone uporządkowanie aktów w archiwum domen i lasów w Niepołomicach. Poza tem zajmowało się Koło, nie mniej czynnie od omówionego już, restauracyą licznych zabytków, powierzonych jego opiece. Cała praca obydwu Kół byłaby znacznie owocniejszą i skuteczniej prowadzącą do celu, gdyby przyznano Kołom większą egzekutywę, której im teraz braknie, stąd też nieraz giną bezpowrotnie pierwszorzędnego znaczenia pomniki przeszłości pod ręką lub toporem domorosłych Wandalów. Często wydarza się, że zanim ingerencya Koła odniesie pożądany skutek, zabytek, o który chodzi, nie istnieje.

Krakowskie *Towarzystwo opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury*, zaledwo dwa lata istniejące, zajmowało się wyszukiwaniem i inwentaryzowaniem zabytków, oraz ich opieką przez chronienie od zniszczenia, i możliwe nabywanie. Członków miało niewiele stosun-

kowo, bo tylko 200, dochodu zaś około 3.500 kor. Stąd też działalność jego musiała być ograniczona. Opracowano regulamin do badania i inwentaryzowania dzieł sztuki i przemysłu artystycznego, a nadto rozpoczęto kroki celem ratowania i odnowienia niektórych zabytków. Tow. wydało także dwie prace prof. Jerzego hr. Mycielskiego o portretach rodziny Oświęcimów z Krosna.

Wiele hałasu narobiło przed dwoma laty założenie *Klubu słowiańskiego* w Krakowie, z powodu nierozsądnej obawy, aby przypadkiem Tow. to nie stało się rozsadnikiem panslawizmu(!) Obawy te były płonne i takiemi też okazały się w całej pełni, a założenie *Klubu* powinno być policzone prof. M. Zdziechowskiemu do wielkich zasług. Mieli tam ludzie chętni doskonałą sposobność zapoznać się z historyą, literaturą, i współczesnymi prądami umysłowymi, społecznymi i politycznymi, jakie nurtują w całej Słowiańszczyźnie.

W ciągu roku 1903 wygłoszono w *Klubie* siedmnaście odczytów, a mianowicie: o Czechach trzy: d-ra F. Konecznego» O polityce Palackiego«, p. Paciorkiewicza »O Svatopluku Czechu«, i o »Jarosławie Vrchlickym«; o południowej Słowiańszczyźnie sześć: p. Stefańskiego »O stosunkach agrarnych w Bośni«, d-ra Zdziechowskiego »O słowianofilskiej teoryi Radića« i »O stosunkach turecko-słowiańskich«, d-ra Augusta Sokołowskiego »Madyaryzm i Chorwaci«, dra Glücka »O księciu Mikołaju Czarnogórskim, jako poecie« i p. Rzewelskiego o Macedonii; o Rosyi jeden: p. Józefa Herbaczewskiego »Lermid Andrejew«; o Rusi jeden: p. Bohdana Łepkiego »Wasyl Stefanyk«; o wschodnich kresach Polski jeden: d-ra Ant. Beaupré. Treści ogólno słowiańskiej były trzy odczyty: ks. K. Czaykowskiego T. J. »Cyryl i Metody«, prof. d-ra J. Baudouina de Courtenay »Przyszły zjazd filologów słowiańskich w Petersburgu« i d-ra A. Beaupré »Zjazd dziennikarzy w Pilznie«. Wreszcie dwa posiedzenia poświęcono tak zapomnianym, a niegdyś wyłącznie tylko przez nas uprawianym, rzeczom z zakresu Litewszczyzny, o których mówili prof. dr. Jan Łoś na temat »Kwestya litewska» i p. J. Herbaczewski, »Współczesna literatura litewska«. Wszystkie odczyty budziły ogromne zainteresowanie nie tylko w samym Krakowie, gdzie po każdem posiedzeniu odbywała się długa dyskusya, ale też w całej Słowiańszczyźnie, a zwłaszcza u Rosyan i u Chorwatów.

Członków liczy *Klub* około 50. Jest to niewątpliwie bardzo szczupła liczba. Pomimo skąpych finansowych sił, jakiemi z tego powodu *Klub* rozporządzał, potrafił nadspodziewanie wiele zdziałać

dla innych Słowian w kierunku obznajomienia ich z rzeczami polskiemi. Przedewszystkiem dał cały dział polski do seminaryum filologii słowiańskiej w Gracu, a nadto wypłacał Słoweńcowi Piotrowi Miklawecowi honorarya za jego prace i przekłady z języka polskiego na słoweński.

Ze wszystkich polskich stowarzyszeń najsłabiej rozwija się lwowskie *Towarzystwo filologiczne*. Pomimo wszelkich możliwych wysiłków wydziału z prof. d-rem Kruczkiewiczem na czele, całoroczna praca nie wykazała wydatniejszego rezultatu. W ciągu swego urzędowania zastanawiano się przedewszystkiem nad sprawą ułożenia ćwiczeń gramatyczno-stylistycznych łacińskich dla wyższego gimnazyum, oraz nad sprawą wydania słowników szkolnych języków klasycznych, z których łacińskiego, przygotowanego przez kilku lwowskich filologów, można spodziewać się w najbliższej przyszłości. Organu Tow. *Eosu* wyszły w r. ub. dwa zeszyty pod redakcyą prof. d-ra St. Witkowskiego. Posiedzeń naukowych odbyło się siedm, na których wygłoszono między innymi następujące odczyty: d-ra St. Witkowskiego »Nowsze badania nad początkami tragedyi greckiej« (druk. *Eos* VIII, str. 163—167), d-ra G. Blatta »W sprawie języka międzynarodowego«, d-ra M. Jezienickiego »Najnowsze wykopaliska archeologiczne na Krecie«, a na Walnem Zgromadzeniu d-ra A. Danysza »Poglądy pedagogiczne Arystotelesa« i d-ra K. Hadaczka »Spór Apollina z Marsyasem«. W oddziale krakowskim odbyła się taka sama ilość posiedzeń. Z odczytów wymieniam: p. W. Błotnickiego »Wspomnienia z podróży po Grecyi« (opis ruin Koryntu, Tirynsu, Myken, Phigalii, Epidaurus, Olimpii), ks. dr. Pawlickiego »Poglądy estetyczne Platona na poetów«, oraz prof. d-ra A. Miodońskiego »Minucyusza Feliksa Octavius i Quo vadis Sienkiewicza«. Członków liczyło Tow. zaledwo 146. Stąd też musiało walczyć z ogromnemi trudnościami finansowemi, skoro cały dochód Tow. wynosił tylko 1.600 kor., w czem było już 600 kor. subwencyi ministeryalnej. Wobec takiego rezultatu materyalnego należałoby zaprowadzić pewne możliwe oszczędności. Przedewszystkiem, skoro się nie ma pieniędzy, nie trzeba się sadzić na drukowanie *Eosu* na welinie, kiedy inne poczytniejsze pisma drukują się doskonale na papierze gorszym. Po co ta zewnętrzna parada wobec nędzy materyalnej? Powtóre, skoro się nie ma pieniędzy, należy unikać niepotrzebnych wydatków n. p. za korektę niemal 100 koron. W jaki sposób można tę rubrykę znieść, mówiłem już przy ocenie działalności Tow. historycznego. Przy tak wielkim niedostatku wskazana jest, sądzę najda-

lej idąca oszczędność, która bezwarunkowo przyczyni się do sanacyi finansów, tak bardzo potrzebnej w każdem prawie naszem naukowem stowarzyszeniu. Usuwać wszystkie niepotrzebne lub mniej potrzebne pozycye w rozchodach jest nie tylko obowiązkiem, ale też niemałą zasługą. Powinny to sobie zapamiętać dobrze te instytucye zwłaszcza, które nie cieszą się dostatkiem.

Działalność *Towarzystwa literackiego im. A. Mickiewicza* we Lwowie ograniczała się wyłącznie wydawaniem kwartalnego pisma, poświęconego historyi literatury oraz krytyce literackiej. Pismo to, wydawane bardzo starannie, odznaczające się bardzo wielkim doborem prac i artykułów z różnych dziedzin literatury, zyskało sobie powszechne uznanie i niemałą wziętość u szerokich kół publiczności, zajmującej się poważniejszą lekturą. Ponadto drukował się w r. ub. dalszy tom »Pism« Mickiewicza, zawierający »Dziady« w wydaniu krytycznem, ze wstępem i objaśnieniami znanego zarówno z pięknej monografii o Mickiewiczu, jak nie mniej z rozległych badań nad »Dziadami« prof. J. Kallenbacha. Ruch odczytowy natomiast zamarł najzupełniej. Tylko w oddziale tarnowskim odbywały się często pogadanki i wykłady, ściągające pokaźną ilość uczestników. Wartoby raz jeszcze ponowić we Lwowie próbę z odczytami. Nuż — może się uda?...

Lwowskie *Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych* miało przed sobą wielkie zadanie, jako jedyne w Austryi stowarzyszenie zajmujące się szkołami średniemi, to też musiało rozwinąć działalność w tych wszystkich kierunkach, które zmierzają czy to do poprawy materyalnego bytu nauczycielstwa, czy też do pewnych reform w szkolnictwie. Wobec tego, że niemieckich tego rodzaju towarzystw mamy w Austryi kilka, łatwo stanie się zrozumiałem, jakie obowiązki leżały na naszem stowarzyszeniu, skoro ono było jedynem polskiem, w którem koncentrował się cały stan nauczycielski wszystkich szkół średnich, nie zaś, jak w tamtych, pewnych tylko zakładów. Przyznać należy, iż prace Tow. były owocne i wydatne.

Przedewszystkiem więc z uznaniem trzeba podnieść doprowadzenie do skutku Muzeum szkolnego, które raz założone niewątpliwie będzie stale wzrastało, o czem świadczy najlepiej doraźna ofiarność ogółu, z jaką pospieszono w początkach samych tej instytucyi. Założenie Muzeum stanowi fakt bardzo ważny i niewątpliwie poważną zasługę wydziału Tow., zwłaszcza zaś p. radcy Germana, który był duszą samego projektu, a nie mniej energicznym wykonawcą.

W sprawie egzaminów dojrzałości wniesiono petycyę do Ministeryum wyz. i ośw., która doczekała się już częściowego pomyślnego załatwienia. Mianowicie egzamina poprawcze maturalne będą uczniowie składali w tych zakładach, w których zostali reprobowani. Dalej wniesiono petycye do Rady szkolnej krajowej w sprawie egzaminów promocyjnych, w sprawie wypłaty kwartałów pośmiertnych wdowom po nauczycielach szkół średnich oraz w sprawie deputacyi gimnazyalnych.

Zastanawiano się też nad założeniem sanatoryum dla członków Tow. Wobec tego jednakże, iż założenie sanatoryum pociągnęłoby za sobą koszta kilkuset tysięcy koron, co przechodzi siły finansowe Tow., zaniechano tej myśli, natomiast zaś przystąpiono w charakterze członka-założyciela do «Domu zdrowia« w Zakopanem, oraz postanowiono rozwinąć szerszą akcyę, zmierzającą do powiększenia funduszów »Domu«. Jeśli grona nauczycielskie zechcą zająć się zbieraniem od uczniów drobnych, choćby kilkucentowych składek miesięcznych, to przy 20.000 uczniów szkół średnich pozyskane w ten sposób fundusze wcale pokaźną przedstawiałyby sumę.

Myśl szerzenia wiedzy pedagogicznej wśród społeczeństwa przybrała w roku minionym we Lwowie realne kształty. Za staraniem wydziału urządził zarząd powszechnych wykładów uniwersyteckich szereg wykładów z dziedziny pedagogiki, które cieszyły się bardzo wielkiem powodzeniem. Przemawiali: prof. dr. K. Twardowski na temat »Co to jest wychowanie?«, dr. T. Stachiewicz n. t. »Ochrona zdrowia młodzieży w wychowaniu domowem«, E. Dworski n. t. »Współdziałanie domu ze szkołą w wychowaniu młodzieży«, dr. Fr. Majchrowicz n. t. «Wyrabianie samodzielności u młodzieży«, dr. B. Mańkowski »Wpływ wychowawczy pracy« i B. Błażek »O karności młodzieży«. Jest to pierwszy krok na drodze popularyzowania wiedzy pedagogicznej, za którym powinnyby pójść dalsze. Wykłady takie bowiem mogłyby bez trudności przyjść do skutku w miastach prowincyonalnych, z widoczną naprzód korzyścią. Jeśli chodzi o prelegentów, radziłbym uprosić tych samych, którzy wykładali we Lwowie.

Natomiast konkurs, rozpisany przez Tow. na popularne pedagogiczne dziełko, przyniósł tylko jedną pracę. Wobec tego, że sąd konkursowy nie mógł jej przyznać nagrody, przedłużono konkurs do końca b. r.

Nadto pracowało Tow. wspólnie z komitetem utworzonym przez

Czytelnię katolicką, nad sposobami pogłębienia wychowawczego wpływu na młodzież.

Zajmowano się też sprawą zabezpieczenia bytu suplentów nieegzaminowanych i w tej mierze przedstawiano Walnemu Zgrom. kilka wniosków.

Fundacya im. A. Mickiewicza wzrastała stale, tak że wynosi obecnie 24,601 kor. Z odsetek od tego kapitału udzielono w r. ub. 11 stypendyów.

Administracya wydawnictw rozwijała energiczną działalność. W r. ub. wydano drugą edycyę »Historyi i statystyki monarchii austro-węgierskiej« prof. Finkla i Głąbińskiego, d-ra E. Romera »Geografię dla I klasy szkół średnich« i A. Sucheniego »Zasady chemii w połączeniu z mineralogią«. Wyszedł też IV tom książki dr. L. Germana »Przegląd dziejów literatury powszechnej«, która bywa w wielu szkołach żeńskich i pensyonatach używana jako podręcznik szkolny. Wydano ponownie kilka innych podręczników, niektóre zaś z wyczerpanych już postanowiono przerobić.

Natomiast *Biblioteka nauczycieli szkół wyższych,* przeznaczona głównie na lekturę dla młodzieży, nie przybrała dotąd konkretnych kształtów. Wydawnictwo to jest wprawdzie obmyślone dokładnie co do strony finansowej, różni autorowie opracowują już poszczególne tomiki, ale pod prasą jest zaledwie jeden tomik, a mianowicie «Wybór pism Mieczysława Romanowskiego» z przedmową i objaśnieniami T. Piniego.

Ponadto przystąpiono do wydawnictwa klasyków niemieckich z objaśnieniami, zastosowanemi do potrzeb naszej młodzieży, gdyż istniejące podobne wydawnictwa obce nie liczą się z temi potrzebami i są dla polskich uczniów za trudne. Pierwszy tomik tej biblioteczki, zawierający Grillparzera *Die Ahnfrau,* będzie już gotów we wrześniu.

Jako środek pomocniczy przy nauce klasyków starożytnych wyszły nakładem Tow. w nowem wydaniu preparacye do »Iliady« oraz do I. księgi Liwiusza.

Organ Tow. *Muzeum* rozwija się widocznie pod redakcyą d-ra B. Mańkowskiego. Okazuje się konieczna potrzeba powiększenia jego objętości, jeśli ma pismo to odpowiedzieć wszystkim zadaniom, jakie na niem ciążą. Zresztą obszerną ocenę tego miesięcznika podaliśmy w lutowym zeszycie *Przeglądu.*

Tow. liczyło członków 770 w 16 kołach prowincyonalnych, pomiędzy którymi było 80 osób z poza stanu nauczycielskiego. Objaw

to bardzo korzystny, świadczący, że zainteresowanie się sprawami Tow. wzrasta statecznie.

Fundusz żelazny wynosił 34.000 kor., dochód 6.835, rozchód doszedł do tej samej wysokości. Dochody administracyi wydawnictw dosięgły sumy 38.612 kor., a rozchody około 34.000 kor. Wydawnictwo samego *Muzeum* kosztowało 9.556 kor., na co otrzymało Tow. subwencye: ministeryalną w wysokości 1.600 kor. i sejmową 2.000 kor. Obie te subwencye stoją w stosunku odwrotnym do wymogów rzeczywistych. Wobec koniecznego rozszerzenia łamów pisma powinno się Tow. postarać o większe na ten cel fundusze, gdyż i honorarya autorskie domagają się gwałtownie podwyżki. Przy pewnych staraniach niewątpliwie zamiary powyższe udadzą się pomyślnie.

Drugie stowarzyszenie, mające wszelako na oku wyłącznie sprawy, złączone z zadaniami nauczania w szkołach pospolitych, jest *Towarzystwo pedagogiczne* we Lwowie, które dzięki wytężonej pracy zarządu centralnego rozwijało się nadzwyczaj pomyślnie. Zwłaszcza do tem intenzywniejszego postępu i rozwoju prac przyczyniły się w niemałej mierze specyalne komisye, a więc: wydawnicza, budowy domu, Komisya dla stałej oceny *Szkoły,* redakcyjna i dla spraw kolonii wakacyjnej. Ruch właściwie naukowy nie był wielki, bo ograniczał się niezbyt licznymi fachowymi odczytami, wygłaszanymi w oddziałach Tow., których jest razem w rozmaitych miejscowościach Galicyi 72, z ogólną liczbą zwyż 1300 członków. Przeważnie jednakowoż odnosili członkowie z Tow. korzyści materyalne w postaci zapomóg koleżeńskich i wsparć z rozmaitych funduszów, będących w zawiadywaniu Tow. Ponadto dzieci członków Tow. mogły korzystać z kolonii wakacyjnej, utrzymywanej staraniem Tow. od szeregu lat w Hucie obok Korostowa. Organ Tow., tygodnik *Szkoła,* pismo najstarsze z pomiędzy pism pedagogicznych polskich, rozwijał się pod nową redakcyą p. L. Pierzchały prawidłowo i odznaczał się zarówno doborem fachowych artykułów. Dodatkiem do tego pisma była »Praktyka szkolna«, w której zamieszczano artykuły treści pedagogicznej, metodycznej, dydaktycznej, recenzye i t. p. Celem tego dodatku jest podtrzymanie racyonalnej metodyki w naszych szkołach, tudzież pomnożenie nad wyraz skromnej dotąd biblioteki nauczycielskiej. Smutne to tylko, że jakkolwiek obydwa te pisma służyły rzetelnie nie prywacie, lecz wyłącznie i jedynie celom ogólno nauczycielskim i pedagogicznym, nie doznawały ze strony nauczycielstwa należytego poparcia, i zakończyły rok miniony poważnym deficytem, pokrytym dochodami administracyi

wydawnictw. Zupełnie więc powtarza się tu przy wydawnictwie *Szkoły* ta sama historya, jaką widzieliśmy w poprzednio omówionem Tow. Dom własny Tow. daje wiele kłopotów i czynności, ale też zarazem niemało korzyści. Ogólny majątek Tow. dorósł teraz poważnej sumy 150 tysięcy koron. To też nie powinno ulegać wątpliwości najmniejszej, że skoro tylko Tow. pozbędzie się z czasem rozmaitych zobowiązań skarbowych i prywatnych, będzie mogło pomyśleć o budowie wspaniałego gmachu na miejscu dzisiejszej rudery. Myśl o tem, kiełkująca już obecnie w Tow., jest ze wszech miar praktyczną, podniesie bowiem wybudowanie nowego domu znacznie dochody Tow., których nigdy nie może być za wiele. Jeśli wnet myśl ta zostanie urzeczywistniona, niewątpliwie wzmocni wielce byt i siłę finansową Tow. Szkoda tylko, że nauczycielstwo nasze jest jeszcze niezbyt dobrze przekonane o ważności Tow., które powinno, u nas przynajmniej, skupić w sobie ogół nauczycieli i mieć przynajmniej dwukrotnie większą liczbę oddziałów, niż ich ma dotychczas. Pożytek stąd byłby stokrotnie większy dla ogółu, a także i dla samej sprawy.

W równoległym kierunku postępowały prace *Polskiego Towarzystwa pedagogicznego* w Cieszynie, tylko z nieporównanie słabszym skutkiem, z łatwo zrozumiałych przyczyn. Wśród morza germańsko-czeskiego stanowiło ono jedyną ostoję dla śląskiego nauczycielstwa ludowego. Przyrost członków był stateczny, gdyż w r. ub. pozyskało Tow. 25 członków, tak że ogólna ich liczba dosięgła już poważnej cyfry 195. Główną troskę stanowiło wydawnictwo *Miesięcznika pedagogicznego,* naturalnie nieopłacające się i walczące z brakiem przydatnych do druku prac. Ażeby ruch na polu literatury ożywić, postanowiono płacić honorarya. Ruchoma biblioteka, jaką Tow. otrzymało na przeciąg lat pięciu od krakowskiego Tow. Oświaty ludowej, była jednym z najskuteczniejszych środków kształcenia się. Pozyskawszy sobie od razu znaczniejszą liczbę czytelników, może ona wywrzeć pośrednio dodatni wpływ na wychowanie młodzieży szkolnej, dając nauczycielstwu pokarm zdrowy. Ażeby zaś także i dziatwę przyzwyczaić do chętnego czytania, trzeba będzie dążyć do tego, ażeby przy każdej szkole znajdowała się odpowiednia biblioteka. Sprawy tej nie powinno Tow. w przyszłości spuszczać z oka i zająć się energiczniej wprowadzeniem jej w stadyum bliższe urzeczywistnienia. Wychodząc z słusznego założenia, iż niemiecko-polska mapa Księstwa Cieszyńskiego, jaką komitet ogółu nauczycielstwa śląskiego postanowił wydać, nie odpowiada w zupełności celowi wychowawczemu, gdyż dziecko zaraz od pierw-

szych dni nauki widzi swój kraj rodzinny w szacie obcej, co niekorzystnie wpływa na dalszy normalny rozwój umysłu, postanowiono zająć się wydaniem ściennej mapy polskiej Ks. Cieszyńskiego, do czego większą część prac przygotowawczych już ukończono. Również wydano własnym nakładem zbiór okolicznościowych chórów męskich p. Hławiczki, które powinny doznać jak najlepszego poparcia ze strony nauczycielstwa ludowego. Z pomiędzy innych prac zarządu głównego należy jeszcze wymienić trzykrotne wystawienie sztuki Ernsta p. t. »Kierownik szkoły«. Obraz ten działalności nie byłby zupełnym, gdybyśmy nie powiedzieli słówka o kółkach, zorganizowanych na wzór oddziałów Tow. pedagogicznego galicyjskiego. Praca w nich postępowała raźnie; odbyto 18 posiedzeń, na których wygłoszono 26 odczytów oraz przerobiono 16 lekcyi praktycznych. Z biblioteki korzystało 95 członków, na których użytek wydano 522 tomów. Rezultat powyższy przy tak skromnych środkach, jakimi rozporządzają Ślązacy, można nazwać bez przesady korzystnym, dodatnim, jeśli się w dodatku zważy nikłą ilość sił zdolnych do pracy. Oby tylko tak dalej szło, a z pewnością ślady usiłowań garstki ludzi energicznych zostaną na długo widoczne.

Inny cel, niż te dwa Tow., zastosowanie pedagogii w praktyce ma lwowski *Związek rodzicielski,* założony w r. 1897. Wiadomo, że wychowanie jest obowiązkiem rodziny, bo szkoła, choćby najlepsza, nie może w całej pełni przyjąć odpowiedzialności za przyszłe losy wychowanka. Ona daje mu tylko zapas wiedzy i przygotowuje go do pracy społecznej. Ale praca szkoły narażona jest na tysiączne przeszkody i trudności, zależnie od warunków, wśród jakich wychowanek żyje i wzrasta poza murami szkoły. A że z powodu rozlicznych okoliczności wielka liczba rodziców nie może otoczyć swoich dzieci należytą opieką, przeto Tow. postawiło sobie za zadanie: współdziałać z rodzicami a w razie koniecznej potrzeby zastępywać ich w pracy wychowawczej, a zatem opiekować się młodzieżą szkolną w czasie wolnym od nauki, wdrażać ją do posłuszeństwa, porządku, schludności i pracowitości, a to zatrudniając ją w tym czasie pożytecznie pod nadzorem wychowawców, aby młodzież strzedz od zepsucia i złego towarzystwa, dalej wpływać w sposób właściwy na uszlachetnianie jej serca, a zarazem starać się o prawidłowe jej wychowanie fizyczne. Zmierzając do tego celu chce *Związek rodzicielski* ułatwić lepsze porozumienie się i współdziałanie szkoły i rodziny, gdyż dotąd te dwa czynniki u nas często niedostatecznie wspierały się, a nieraz nawet pracę swą paraliżowały. To też na wzór Niemców, którzy już przed

20-tu laty potworzyli takie stowarzyszenia, mające na celu zaopiekowanie się w godzinach pozaszkolnych ubogą młodzieżą, pozbawioną opieki domowej, potworzyło Tow. przy kilku lwowskich szkołach ludowych męskich i żeńskich, t. zw. domy opieki, do których uczęszczało przeszło 1000 dzieci. W lecie urządzano liczne wycieczki w okolicę Lwowa, używano kąpieli, w teatrze zaś »Urania« za pomocą obrazów świetlnych, objaśnianych stosownym wykładem, kształcono młodzież poglądem na dzieje nasze, nasze zabytki, geografię i na życie sławnych mężów. Szkoda, że środki materyalne, jak dotąd, bardzo skromne, nie pozwoliły *Związkowi* rozszerzyć działalności na zaopiekowanie się całą ubogą młodzieżą, której jest około 14.000. To też liczba członków, wynosząca dziś około 350, jest zupełnie nieproporcyonalną do szczytnych zasad i celów, jakie to stowarzyszenie sobie wytknęło. Dawniej wydawał *Związek* dwutygodnik, poświęcony sprawie wychowania domowego i szkolnego p. n. *Rodzina i szkoła.* Z braku jednak odpowiednich funduszów odstąpił go obecnie na własność osobie prywatnej, p. M. Haraszkiewiczowi, który, trzeba przyznać, doskonale go prowadzi nadal.

(C. d. n.).

Dr. Stanisław Zdziarski.

Uroczystości Roku Maryańskiego.

Uroczystości. — Pielgrzymki. — Koronacye. — Zjazdy.

Dzięki swemu tradycyjnemu nabożeństwu ku Najśw. Bogarodzicy i pod wpływem licznych listów pasterskich pierwsze miejsce wśród obchodzących uroczyście rok jubileuszowy narodów zajęła katolicka Hiszpania. W szczególności miasto Sewilla słusznie szczyci się nazwą *La Ciutad de la Immaculada*, nadaną w r. 1617, kiedy to wobec swego arcybiskupa Don Pedro de Castro oświadczyła się uroczyście z wiarą i czcią dla Tajemnicy Niepokal. Poczęcia Maryi. Ta kolebka nieśmiertelnego Murilla, będzie widownią całego szeregu pobożnych manifestacyj; i tak arcybiskup miejscowy Ks. Spinola y Maestre poświęci nowy kościół pod wezwaniem Niep. Poczęcia, a we wspaniałej swej katedrze pomnikiem uwieczni pamięć roku jubileuszowego i ukoronuje obraz Matki Bożej w królewskim kościele Boskiego Zbawiciela, otworzy muzeum sztuki chrześcijańskiej, kasę oszczędności dla robotników

i bank pożyczkowy. Z Sewilli obiegają całą Hiszpanię kartki z tym czterowierszem Miguela del Cid:

Toto el mondo en general
A voces, Regina escogida,
Dice que sois Concebida
Sin peccato original.

Cały świat — Jednogłośnie, o Królowo uprzywilejowana, — Głosi, żeś jest Poczęta — Bez grzechu pierworodnego. Katolicki władca Hiszpanii, syn chrzestny Leona XIII przybył 10 kwietnia b. r. do opactwa Benedyktynów w Monserrat, słynnej od wieków miejscem pielgrzymek i w otoczeniu wielu dygnitarzy położył kamień węgielny pod pomnik Niepokalanej wznoszony staraniem Dzieci Maryi z Katalonii. Z udziałem też rodziny panującej odbył się obchód ponownego oddania Wiednia i Austryi pod opiekę Najśw. Dziewicy. Wśród niebezpieczeństw zagrażających Wiedniowi ze strony Szwedów, gdy już wódz nieprzyjacielski, Torstenson zdobył przedmostowe szańce, cesarz Ferdynand III złożył ślub Najśw. Bogarodzicy wzniesienia ku Jej czci pomnika na jednym z głównych placów naddunajskiej stolicy. Marya oswobodziła Wiedeń, a cesarz spełnił swe śluby 18 maja 1657 r. Do tej to kolumny, wzniesionej na placu »Am Hof« udał się d. 22 lutego 1855 r. ces. Franciszek Józef w uroczystej procesyi, aby złożyć Maryi publiczny hołd i dać wyraz radości z powodu ogłoszenia dogmatu Niep. Poczęcia. Obecnie, staraniem komitetu zorganizowanego na zeszłorocznym wiecu katol. dolnoaustryackim, na tymże samym placu przygotowano manifestacyę, mającą odnowić dawne świetne tradycye chrześcijańskiego Wiednia. Sam pomnik przyozdobiła rada miejska, a domy otaczające ich właściciele. Pałac Nuncyatury — *comme de raison* — odznaczał się wspaniałem przybraniem. W dniu 19 czerwca b. r. o godz. 3 popołudniu zebrały się najpierw z dwudziestu okręgów miasta liczne stowarzyszenia katolickie ze swymi sztandarami, duchowieństwo parafialne i zakonne i liczne rzesze, wśród których znajdowali się członkowie domu panującego bawiący we Wiedniu, a niektórzy umyślnie w ten dzień przybyli, wreszcie i sam cesarz wśród dygnitarzy państwa i dworu. Muzyka zagrała hymn: *Glorwürdige Königin, himmlische Frau,* a dźwiękom orkiestry zawtórował chór trzydziestu z górą tysięcy wiernych. Po odmówieniu litanii loretańskiej i odśpiewaniu *Salve Regina* wszyscy uklękli, odnowili uroczyste poświęcenie się Maryi. Po odśpiewaniu *Confiteor* arcybiskup

kard. Gruscha udzielił błogosławieństwa papieskiego z odpustem zupełnym. Hymnem *Te Deum* zakończono uroczystość.

Kongregacye dzieci Maryi w Wiedniu urządziły wspaniałą pielgrzymkę do cudownego »Maria-Zell« w Styryi. W dniu 3 lipca podążyła pielgrzymka bawarska do Bogenbergu, gdzie święcono ośmiowiekową rocznicę istnienia tego miejsca cudownego. 15 pociągów nadzwyczajnych zawiozło tam tysiące wiernych, a wśród nich ks. Ludwika Ferdynanda z małżonką. Z pielgrzymek przybyłych do Rzymu w tym roku, trzy były najwybitniejsze: pierwsza w kwietniu z Sycylii, której piękna stolica Palermo chlubi się statuą Dziewicy Niepokalanej wzniesioną na 130 lat przed podobnym pomnikiem na placu Hiszpańskim w Rzymie [1]. W pielgrzymce tej wzięło udział przeszło 1000 osób pod wodzą arcybiskupa katańskiego, kard. Franciszka Nava de Bontifé, druga wyruszyła z naszych stron [2], w trzeciej z Medyolanu brali udział członkowie Apostolstwa Modlitwy.

Z pielgrzymek naszych dyecezyalnych wspominamy tu tylko jednę: pielgrzymkę do Kochawiny (26 czerwca), prowadzoną przez J. E. ks. arcybiskupa Bilczewskiego. Miejscowość ta jeszcze przed ćwierćwiekiem niezbyt znana, dziś gromadzi coraz liczniejszych pielgrzymów.

Z wielką radością dowiedzieliśmy się, że obecny rok jubileuszowy będzie upamiętniony 34-ą w Polsce [3] koronacyą obrazu Matki Bożej w kościele OO. Dominikanów w Dzikowie (dyec. przemyskiej) d. 8 września. Uroczystość tę poprzedzą misye pod kierunkiem Ojców Zakonu Kaznodziejskiego, a uwieńczenia obrazu dokona przemyski biskup ks. Józef Pelczar.

W miasteczku Corneto Tarquinia, nieopodal Civita Vecchia d. 8 maja kard. Wincenty Vanutelli w asyście biskupów, kleru i stowarzyszeń katolickich ukoronował obraz Matki Bożej *de Valverde*„ który wieczorem dnia tego obnoszono po mieście w uroczystej pro-

[1] Na pamiątkę ogłoszenia dogmatu Niepokal. Poczęcia wzniósł Pius IX na placu Hiszpańskim w Rzymie pomnik ku czci Bogarodzicy i poświęcił go d. 8 września 1857 r.

[2] Opis tej pielgrzymki i jej wspomnienie znajduje się w listach pasterskich JE. ks. arcybiskupa Bilczewskiego (wydany osobno), J. ks. biskupa Pelczara (w *Kronice dyec. przemyskiej*), w *Przeglądzie powszechnym* z czerwca (przez J. E. ks. arcybiskupa Teodorowicza), w *Przeglądzie polskim* z czerwca (przez J. E. prof. Stanisława Tarnowskiego).

[3] Od 8 września 1717 r. (koronacya obrazu częstochowskiego) było w XVIII w. koronacyj 29, w XIX (i to w ostatniej jego ćwierci) cztery.

cesyi. Nazajutrz w kościele św. Marka urządzono akademię literacko-muzyczną i ucztę braterską dla komitetów parafialnych, dla członków Stowarzyszeń katolickich i dla 80 ubogich miasta. Tenże sam kardynał uwieńczył 18 czerwca b. r. wizerunek N. Panny *della Consolata* w Turynie. Otaczało go czterech innych purpuratów (Richelmy z Turynu, Svampa z Bolonii, Ferrari z Medyolanu i Boschi z Pawii), 21 biskupów i — czego podobno od 44 lat nie było — członkowie domu sabaudzkiego, między nimi ks. Aosty. Trzeciej koronacyi w tym roku dokonał kard. Fischer, arcybiskup koloński w d. 3 lipca statuy Matki Bolesnej w Telgte w Westfalii. Pięciu biskupów otaczało koronatora a do miasta wspaniale przystrojonego napłynęło z górą 40.000 pielgrzymów.

W nowym świecie Brazylia, która przed 4 laty wystawiła ogromny pomnik Najśw. Dziewicy, dziś uroczystemi nabożeństwami odprawianemi w niedzielę po dniu 8 każdego miesiąca, obchodzi rok jubileuszowy. W dniu Nowego Roku o godz. 5 zrana, dały się słyszeć salwy armat ustawionych nad piękną zatoką Guanalara dzielącą obie stolice: Rio Janeiro i Nictheroy. O godz. 11 przed południem odprawił w kaplicy pomnikowej Mszę św. polową biskup miejscowy w obecności prezydenta państwa oraz władz rządowych i wojskowych. Na Malcie tameczny komitet jubileuszowy postanowił na środku frontonu jednego z kościołów umieścić statuę bronzową podobną do tej, jaka się wznosi na kolumnie na pl. Hiszpańskim w Rzymie. Tamże powstała myśl z uznaniem przyjęta, by na wystawę maryańską do Rzymu nadsyłano reprodukcye artystyczne, lub nawet fotografie wszystkich pomników wzniesionych na świecie ku czci Bogarodzicy.

Dochodzą nas wieści o kilku Kongresach Maryańskich partykularnych i zebraniach uroczystych miejscowych, których celem już to przygotowanie się do kongresu wszechświatowego w Rzymie [1], już to zastanowienia się nad sposobem rozwinięcia czci Maryi i zastosowaniem jej do obecnych potrzeb dotyczących krajów. Katolicy Dolnej Austryi zebrani d. 29 i 30 maja w St. Pölten omawiali ważność i doniosłość czci Maryi w sprawie wychowania młodzieży. Z praktycznością niemiecką podniesiono tam wiele kwestyj odnoszących się do urządzania pielgrzymek, by udział w nich nie był połączonym z mnóstwem niekoniecznych utrudnień dla braku spowiedni-

[1] Rozpocznie się on we środę d. 30 listopada, a zakończy w niedzielę d. 4 grudnia.

ków, braku odpowiednio urządzonych gospód, lub zbyt drogiej żywności, lub wyzysku i zgorszeń przy sprzedaży dewocyonaliów (n. p. z powodu udziału w tem Żydów). Jeżeli zważymy, że u nas prócz Kochawiny niewiele jest miejsc pielgrzymkowych, do którychby się niektóre z powyższych zarzutów nie mogły stosować, pragnęlibyśmy bardzo, by ten referat i dyskusya nad nim rozwinięte mogły być i u nas jak najszerzej znane i omawiane.

Z uchwał zapadłych na kongresie w Namur (w Belgii) przytaczamy jednę: zaniesienie prośby do Stolicy św. o rozpoczęcie procesu beatyfikacyi Piusa IX. Czyż nasz kongres we Lwowie nie powinienby analogicznej wydać rezolucyi?

Dnia 1 czerwca w Dunkerce, w półn. Francyi, był mały kongres maryański tylko z terytoryum tamecznego archiprezbiteryatu, na którym odczytano sprawozdanie o stanie czci Maryi w poszczególnych parafiach. Były to odpowiedzi na kwestyonaryusz poprzednio rozesłany, a ułożony nader systematycznie i dokładnie.

Wreszcie wspomnijmy uroczyste zebrania, jak w Abenheim pod Wormacyą (na Wniebowstąpienie Pańskie), w Poznaniu w 1 niedzielę maja, w Krakowie w ostatnią niedzielę maja[1]. Celem wspólnym ich było złożyć hołd Królowej Wszechświata, zachęcić wiernych do udziału w uroczystościach tegorocznych; nadto osobnym celem zebrania krakowskiego było zwrócić uwagę szerszej publiczności na kongres lwowski, który jak wiadomo, zbierze się d. 28 i 29 września z następującym programem:

Dnia 28 września, o godz. 9 rano uroczyste nabożeństwo w archikatedrze łac. z kazaniem ks. biskupa Pelczara; o godz. 11 uroczyste plenarne posiedzenie w sali Filharmonii; o godz. 3 popołudniu posiedzenia trzech sekcyj kongresu; o g. 7 lub $7^1/_2$ przedstawienie w teatrze obrazów z dziejów czci Bogarodzicy w Polsce (układu Lucyana Rydla), w połączeniu z koncertem pod kierunkiem J. ks. Józefa Sierzyńskiego. Dnia 29 września o godz. 8 Msza św. w Archikatedrze łac., o godz. 9 obrady w sekcyach; od 4—6 procesya na Rynku; o godz. 7 uroczyste plenarne posiedzenie w Filharmonii i Zakończenie.

Nazajutrz, d. 30 września nastapi wiec Sodalisów.

O bilety na kongres w cenie 5 kor. należy się zgłosić do komi-

[1] P. *Sodalis Marianus*, zeszyt czerwcowy.

tetu we Lwowie (Jagiellońska 3), lub do redakcyi *Sodalisa* w Krakowie (ul. św. Tomasza 28).[1]

Sądząc z nazwisk mowców i referentów wnosimy, że księga pamiątkowa, która prócz opisu kongresu, pomieści wszystkie mowy i prace na nim wygłoszone, będzie pięknym i budującym obrazem ruchu umysłowego, jaki u nas w tym roku zapanował ku czci Bogarodzicy Niepokalanej[2]. Wieść o zamiarze zwołania kongresu i o przygotowaniach do niego wywarła nader przychylne wrażenie za granicą, której prasa Maryańska do tego przedmiotu z całą życzliwością nieraz powracała. Trzeba się więc spodziewać, że jeszcze większe zainteresowanie się wzbudzi ten kongres wśród nas samych, że licznie ze wszech stron nań podążymy, aby i przez modły wspólne i obrady przyczynić się do pomnożenia czci naszej Królowej.

Maryan Bartynowski.

Z powodu recenzyi o „Trylogii Dubrownickiej".

Z powodu zamieszczonej w numerze majowym i czerwcowym *Przeglądu* recenzyi »Dubrownickiej Trylogii« otrzymaliśmy list Vojnovića, wystosowany do autora oceny; list ten ze względu na ciekawe i piękne myśli, jakie zawiera, ogłaszamy niniejszem w całości[3].

Supetar na Braču 17/VII r. 1904.

Szanowna Pani!

List Pani ucieszył mię bardzo i z serca zań dziękuję; jestem też bardzo wdzięcznym, że Pani o mojej trylogii tak pięknie w *Przeglądzie Powszechnym* napisała.

---

[1] Zwrócono nam uwagę ze strony poważnej, czyby cena biletów na Kongres nie mogła być niższą dla tych, którzy nie mogąc brać udziału w obradach sekcyjnych, pragnęliby tylko się znajdować na zebraniach plenarnych. Podobne zniżenia istnieją w Niemczech i tem się do pewnego stopnia tłumaczy ogromna ilość ich uczestników.

[2] Wydaną będzie w 2 tomach; a przedpłatę na nią do końca września wynoszącą 10 kor., należy przesłać pod adresem: Komitet Kongresowy. Lwów, ul. Jagiellońska 3, p. II.

[3] Supetar na Braču 17/VII 1904.

Visokocijenjena Gospodjo!

Vaše me pismo u velike obradovalo pa Vam od srca zafaljujem, a na

Zainteresowanie braci Polaków tem mojem dziełem tak uradowało mię, jakbym w niem słyszał odpowiedź dawnym i głębokim sympatyom mej młodości dla sławnej a nieszczęśliwej ojczyzny Mickiewicza i Krasińskiego.

Wolność, którą i Polska i Dubrownik utraciły, — pierwsza sposobem barbarzyńskim, drugi prawie że naturalnym, — i ten jęk wybranych pokoleń za utraconym rajem, jest właśnie tem, co Panią i wiele jej ziomków doprowadziło do tak głębokiego pojęcia Trylogii Dubrownickiej. Nie mówię tu, bo i miejsca i czasu brak, o tych, którzyby radzi wyprowadzić jakieś fantastyczne podobieństwo między historyą starego Dubrownika i Polski. Jeżeli istnieje coś, czegoby w żaden sposób porównać nie można, tak w szczęściu, jak i w nieszczęściu, to są te dwie tak urocze nazwy, te dwa równie wielkie a różne pojęcia: Likurgowa Sparta i Versailles Ludwika XIV, albo Florencya Savonaroli i Persya Szach Abbaza XVI wieku, i jeszcze kilka równie paradoksalnych antytez *à la* Wiktor Hugo, jeszczeby raczej znalazły odpowiadające sobie punkta, aniżeli Dubrownik, ten najrealistyczniejszy i najrozważniejszy państwowy organizm, jaki kiedykolwiek Słowianie zbudowali, z Polską, tem szekspirowskiem cesar-

---

po se osobito sam Vam haran što ste u *Przeglądu Powszechnyem* tako lijepo pisali o mojoj Trilogiji.

Zanimanje braće Poljaka za to moje djelo razveselilo me kao da slušam ljubazan odziv davnim i dubokim simpatijama moje mladosti za slavnu i nesretnu domovinu Mickiewicza i Krasińskoga.

Sloboda — koju su i Poljska i Dubrownik, a to prva na varvarski, a drugi na skoro naravan način izgubili, pak ono jadikovanje izabranijeh pokoljenja za tim izgubljenim rajem, — jest uprav ono, što je Vas i mnoge Vaše zemljake dovelo do tako dubokoga shvaćanja Dubrovačke Trilogije. A da ne govorim jer nemam ni vremena, ni prostora — o drugim koji hoće da izvagjaju nekih fantastičnih prispodoba izmegju staroga Dubrovnika i stare Poljske. Jer ako imade nečesa što se ne da nikako sravniti—pa ni u sréci a ni u nesréci! — to su ta dva zamamna imena — ta dva isto velika a prerazličita pojma! — Lykurgova Sparta i Versailles Louis XIV, ili Firenza Savonarole i Persija Shah Abbasa XVI vijeka, pa još nekoliko sličnih, paradoksnih antiteza à la Victor Hugo još bi našle izmegju sebe saglasnijeh tačaka nego li ih ima Dubrovnik, taj najrealističniji i najrazboritiji državni organizam što ga igda Slaveni ustrojiše — sa Poljskom — tim šekspirskim carstvom žilave ustrajnosti i konsekventne anarchije, vojne slave i državnićke slaboće!

Pa i još u jednoj harakternoj duboko psyhološkoj tački, gdje se duša svijeh naroda obično sva na jedan put razgaljuje — ne slaže se ni moderni Dubrovnik sa današnjom Poljskom; — jer dokle u Vas svako srce kuca,

stwem muskularnej wytwałości i konsekwentnej anarchii — wojennej sławy i państwowej słabości.

Ale jeszcze i w jednym charakterystycznym i głęboko psychologicznym punkcie, w którym się zwykle wyświetla od razu cała dusza narodu, nie zgadza się nowoczesny Dubrownik z dzisiejszą Polską: bo gdy u was każde serce bije, a każde oko łza zalewa za straconą wolnością, w Dubrowniku przeciwnie, wszyscy co wolności pożądali, śpią teraz spokojnie pod cyprysami Mihajła, a ci drudzy, jak Konavljanin Vuko i towarzysze jego, już ani chcą wiedzieć, że kiedyś »swoi« byli.

I oto w krótkich słowach synteza i klucz Trylogii, którejby właściwy tytuł winien być: »Śmierć jednej państwowo-narodowej indywidualności«. *Voilà tout.*

Ale wracając do Jej wybornej oceny, pozwoli mi Pani zauważyć, że niezupełnie dobrze została pojęta waga ostatniej sceny między Orsatem i Deszą. Jeśli się uważnie śledzi owo rosnące i podnoszące się *crescendo* w *Allons enfants* od pierwszych słów starej Łucyi, aż do zjawienia się Deszy na progu przeznaczenia, przekonywuje się, że t r a g e d y a dopiero t u doszła do katastrofy, a to do najstraszniejszej i do najważniejszej, gdy mianowicie miłość sama zabija dzieci, których nie chce w niewoli rodzić. A wreszcie czy Pani i tego nie

---

a iz svačijega se oka suza lijeva sa izgubljenom Slobodom — u Dubrovniku na suproć svi oni koji su sa njome hlepili, sada spavaju mirno ispod Mihaljskijeh čempresa — a oni drugi, biva Konavljanin Vuko i družina mu, niti neće više da znadu da su igda svoji bili.

I eto Vam u malo riječi sinteze i ključa Trilogiji, kojoj bi pravi naslov morao biti: »S m r t j e d n e d r ž a v n e i n d i v i d u a l n o s t i«. *Voilà tout!*

Pa, da se još osvrnem na Vašu izvrsnu ocjenu, dopustićete mi da opazim kako nijeste sasvim shvatili znamenitost prizora izmegju Orsata i Deše. Jer ako pomnjivije slijedite onaj *crescendo* što se diže i raste u *Allons enfants* od prvijeh rječi stare Lučije pa sve do Dešine pojave na pragu sudbine, uvjerićete se da je T r a g e d i j a došla tekar t u do katastrofe — a to do najgroznije i najznačajnije, kada na ime sama Ljubav ubija djecu koju ona neće da u ropstvu ragja. — A megju ostalijem, nijeste još i to opazili, Gospogjo, da je pak glavna arhitektonska crta cijele Trilogije: *decrescendo?* Jer je *Allons enfants:* t r a g e d i j a, »Sutom«: d r a m a (neka vrsta Whistlerove simfonije: *blanc, noir et mauve!*); a »Na taraci« zadnje utvare prošlosti ginu kao magla u bezdušnome smjehu profanatorne o p e r e t e. — I doista nema drugoga naziva do operete za današniju gotovu moralnu i intelektualnu propast modernoga Dubrovnika! — U ostalom ako mi dostane vremena i zdravlja čitaćete do malo i nastavak »Trilogije« pa ćete onda saznati sve kulise one

zauważyła, że właśnie główny rys architektoniczny całej Trylogii to *decrescendo?* Bo *Allons enfants* to t r a g e d y a — »Zmrok« d r a m a t (rodzaj Whistlerowskiej symfonii: *blanc, noir et mauve*), ostatnie postaci przeszłości giną jako mgła w bezdusznym śmiechu profanującej *operety?* I prawdziwie niema innej nazwy jak opereta na tę moralną i intelektualną z a t r a t ę nowożytnego Dubrownika. Zresztą, jeśli mi czasu i zdrowia starczy, niezadługo czytać będziecie dalszy ciąg Trylogii i wtedy poznacie wszystkie kulisy tej fatalnej ewolucyi, dzięki której Dubrownik Orsata, Mary i Lukszy przetworzył się w jakąś bezimienną kosmopolityczną agencyę emigrantów i spekulantów.

A jednak czy Pani nie widziała, jak jest pięknym i rozkosznym ten mój nieczuły, niewdzięczny Dnbrownik? — Czyż się nie zdaje, że rozumie on swą smutną dolę i biedny trudzi się, jakby to wydobyć z muru, ze skały, z ziemi wszystko, co nosi w sobie echo i ślad minionych błogosławionych dni i przetwarza je w bory i kwiaty i palmy — we wszystkie uśmiechy i czary — by tylko miłosiernym płaszczem piękności zakryć przed podróżnym jakąś ukrytą wielką ranę, co mu piersi toczy? I wierzcie, że nawet w dniach panowania nie był Dubrownik tak pięknym, tak rozkwieconym, tak odurzająco rozkosznym! A może

---

fatalne evolucije za rad koje se Dubrovnik Orsata, Mara i Lukša, pretvorio u neku bezimenu, nisku kosmopolicku agenciju za emigrante i spekulante.

A ipak vigjesteli kako je lijep i raskošan taj besćutni, neharni moj Dubrovnik? Ne činili Vam se kao da razumije svoju zlu kob, pa da se jadan trudi kako da izvadi iz mira, iz hridi i iz zemlje sve što ima još jeka i tragova minulijeh blagoslovljenijih dana, pa da ih svijeh pretvara u bore, u cvijeće, u pome — u sve posmjehe, — u sve čare, ne bili kako milosrdnim plaštom ljepote prikrio putnicima neku skrivenu grdnu rak-ranu što mu grudi glogje? — I jest, vjerujte mi Gospodjo, niti u dnevima slave i gospostva nije Dubrovnik bio tako lijep, tako procavćen, tako razbludno zamamljiv! a da nije možda za to, što mu nad grobovima i čempresi gušci, i ruže rumenije?

Pa često mislim, (i tako tješim bonu dušu!) — da ne bi ta preporogjena ljepota Dubrovnika bila možda neka tajanstvena sprava na doček pokoljenja »punijeh krvi i punijeh milosrgja« koja će jednom da niknu iz gnojnoga humusa što ga je malo po malo stvorilo ispadano suho lišće iz današnjih dneva gnjileža i iskušanja!

Prostite, Gospodjo, da Vam sve ovo govorim onako kako da samim sobom zborim! ali koce me bolje razumjeti nego li Poljska duša, koja istim vapajem zove »kraljestvo božije?!«

Zafaljujući Vam opetovano na rijetkoj prijaznosti

ostajem Vaš najpokorniji sluga

Ivo Vojnović.

to właśnie dlatego, że nad grobami cyprysy bujniejsze i róże czerwieńsze?

I często myślę (i tem w bolu cieszę swą duszę!), że ta odradzająca się piękność Dubrownika, to może tajemnicze przygotowanie na przyjęcie pokolenia »pełnego krwi i miłosierdzia«, co kiedyś wstanie z humusu, który powoli utworzyło opadające suche liście dzisiejszych dni zgnilizny i pokuszenia.

Niech Pani wybaczy, że Jej to wszystko mówię, jakbym sam z sobą rozmawiał, ale kto mię lepiej zrozumie, jak polska dusza, która tym samym jękiem przyzywa »królestwo Boże?«

Dziękując raz jeszcze i t. d.

Ivo Vojnović.

Druk ukończono 30 sierpnia 1904 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
W PRZEDSIONKU FILOZOFII RELIGII. Przez *ks. Eugeniusza Hełczyńskiego T. J.*	1 238
Z CYKLU »WRAŻENIA« I Z CYKLU »KRÓLEWNY.«. Przez *Saryusza-Nagodę*	22
W SPRAWIE JUBILEUSZU SIELANKOPISARZY LWOWSKICH. Spór o dwu Zimorowiczów. Przez *d-ra Kornelego Hecka*	27
MELODYE GREGORYAŃSKIE W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ. Przez *Adolfa Chybińskiego*	43
DOKTRYNA LWA TOŁSTOJA. (Dok.) Przez *ks. Jana Urbana T. J.*	62
Z NAUKI O DOBROBYCIE SPOŁECZEŃSTW. I. Rozwój gospodarczy. Przez *d-ra Józefa Milewskiego*	149
DZISIEJSZE TEORYE W PRAWIE KARNEM. Przez *d-ra Adama Bieleckiego*	166
Z PODRÓŻY DO SZWAJCARYI. Przez *ks. Aleksandra Pechnika*	192 374
Z POWODU NOWEGO POGLĄDU NA APOSTOŁÓW SŁOWIAŃSKICH. (Dok.) Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	213 395
WALKA Z SPEKULACYĄ PARCELACYJNĄ. Przez *d-ra Juliusza Makarewicza*	321
NAJNOWSZA POWIEŚĆ ROSYJSKA. Antoni Czechow. Przez *prof. Antoniego Mazanowskiego*	334
ZNACZENIE I WARUNKI DOBROBYTU. Przez *d-ra Józefa Milewskiego*	359

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

JULIUSZ SŁOWACKI. Historya ducha poety i jej odbicie w poezyi. Część I i II, 1809—1840. Józef Tretiak. *(Dr. St. Dobrzycki)* . 80

O ŹRÓDŁACH NIEWIARY. Ks. dr. Jan Żukowski. *(Ks. Bogusł. Mączka T. J.)* 92

MISTYCZNE CIAŁO CHRYSTUSA A CHARAKTERY SAKRAMENTALNE. Ks. Włodzimierz Piątkiewicz T. J. *(Ks. Stan. Dunin Borkowski T. J.)* 95

CZTERY DNI. Powieść. Przez Antoniego Miecznika. *(T. Wodzicka)* . . 97

Z DZIEDZINY FILOZOFII: Dr. W. Natanson: »Pogląd na rodzaje zjawisk w materyalnym świecie«. — Tenże: »Inercya i koercya. Dwa pojęcia ogólne w teoryi zjawisk psychicznych«. — W. M. Kozłowski: »Zasady przyrodoznawstwa w świetle teoryi poznania«. — J. Zagrzejewski: »Jedność sił w przyrodzie«. — Wł. Biegański: »Neowitalizm współczesnej biologii«. — L. Birecki: »Ontologia« (Metafizyka). — W. Schreiber: »Twórcy Bogów«. — J. Karłowicz: »O człowieku pierwotnym. Siedem odczytów«. *(Dr. Maurycy Straszewski)* 254

STYLISTYKA POLSKA WRAZ Z NAUKĄ KOMPOZYCYI PISARSKIEJ. Piotr Chmielowski. *(W. Gostomski)* 422

WYBÓR POEZYI »MŁODEJ POLSKI«. Ułożył Wilhelm Feldman. *(W. Gostomski)* 424

PISMA KRYTYCZNE. Tyszyński Aleksander. *(Dr. Stanisław Zdziarski)* . 426

PISMA SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO. Tom I i II. *(Dr. Stan. Zdziarski)* . 429

PSYCHIAN. Dramat w 5 akt. Napisał Wadimas. *(T. Wodzicka)* 432

POWIAT MOHYLOWSKI W GUBERNII PODOLSKIEJ. Zebrał i opracował Władysław Pobóg Górski. *(Wołyniak)* 434

Z piśmiennictw obcych.

LA FRANCE AU DEHORS. Les Missions catholiques françaises au XIX s. publieés sous la direction du Père J. B. Piolet S. I. T. IV: Océanie-Madagascar. *(T. Wodzicka)* 99

DIE BEWEISE FÜR DIE UNSTERBLICHKEIT DER SEELE aus allgemeinen psychologischen Tatsachen, neu geprüft von Dr Philipp Kneib, Dozent am Priesterseminar in Mainz. *(J. R. T. J.)* 106

GOTTESTHAL. Preisgekrönter Roman von Anton Schott. *(J. Overmans T. J.)* 108

LETTRES A FRANÇOISE. Marcel Prévost. *(M. Harsdorf)* 110

LA CRISE SCOLAIRE ET RELIGIEUSE EN FRANCE. J. Fontaine. *(A. Rejowicz)* 275

LA PHILOSOPHIE RELIGIEUSE DE PASCAL et la pensée contemporaine par Victor Giraud. *(M. P.)* 280

PIERIEWODNAJA LITIERATURA MOSKOWSKOJ RUSI XIV—XVII WIEKOW. Bibliograficzeskije matieriały akademika A. I. Sobolewskawo. *(Dr. Stanisław Zdziarski)* 282

DER STERN VON HALALAT. Roman. Martin Hellinden. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* 285

VERBRECHER-TYPEN IN SHAKESPEARES DRAMEN. Joseph Kohler. *(Dr. J. Flach)* 286

KRÓTKI ZARYS DZIEJÓW ASTRONOMII. Ernest Lebon. Przekład St. Boufała. *(Ks. Władysław Szczepański T. J.)* 287

Византійскій папа. Изъ исторіи церковно-государственныхъ отношеній въ Византіи Н. Суворова, профессора церковнаго права въ Московскомъ университетѣ. *(Ks. Jan Urban T. J.)* 436

Str.

Tractatus de paenitentia. Ludovicus de San S. I. *(Ks. Stanisław Dunin Borkowski T. J.)* 440
Der Weltfriede. Denkschrift von Celestin Zyblikiewicz. *(Dr. A. Bielecki)* 443
Waldwinter. Roman. Paul Keller. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* 445

Zapiski bibliograficzne.

Obok wulkanu. Fantazya w III aktach. Napisał Stanisław Adfeldt. *(Dr. B.)* 113
Głupiec i śmierć. H. Hofmannsthal. Przełożył A. Pauli. *(M. B. T. J.)* 114
O rozumnej gorliwości kapłańskiej. Ks. I. Ch. *(M B. T. J)* . . 115
Miscellanea historyczne. I. Projekt utworzenia za czasów pruskich w mieście Warszawie Tow. historycznego i czasopisma peryodycznego p. t. »Zbiór materyałów do historyi polskiej«. Aleksander Kraushar. *(A. B.)* 116
Tum Ryski i jego ciekawsze zabytki. G. Manteuffel. *(L. T.)* . . . 116
Materyały nr. 3. Wyd. Tow. Polska Sztuka Stosowana. *(S. J.)* . . 117
Styl zakopiański, z tekstem Stanisława Witkiewicza. Zesz. I. *(S. K.)* 117
Une vie d'ambassadrice au siècle dernier. La princesse de Lieven par Ernest Daudet. *(Ks. A. M. T. J.)* 118
Natalia Naryszkin. Siostra Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, przez A. Graven. Przekład Jacka Nałęcza. *(H. H. T. J.)* 289
Chronologia listów Mickiewicza. Napisał M. Reiter. *(B.)* 289
Teatry chłopskie w Galicyi. Dr. Z. Gargas. *(A. B.)* 289
Pamiętniki starającego się. Komysznik. Przez T. T. Jeża. Z ilustr. J. Kossaka. *(H. H. T. J.)* 290
Preludya, poezye prozą. Fogl Henryk. *(R. B.)* 291
Pod obcem niebem. Szkice i obrazki. Dr. J. Siemiradzki. *(A. D.)* . . 291
Starożytna Litwa: ludy i bogi. Szkice historyczno-mitologiczne. A. Brückner. *(N. O.)* 292
Zwyczaje towarzyskie, według dzieł francuskich spisane. *(B. M. T. J.)* 292
Illustrierte Geschichte der deutschen Literatur von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart. Von Prof. Dr. Anselm Salzer. *(Dr. J. F.)* 293
Takie sobie historyjki. R. Kipling. Przekład M. Krzeczowskiej. *(A. R.)* 293
Wydawnictwo Akademii Umiej. w Krakowie. Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce. Tom X. *(A. B.)* 448
Szarą drogą. Nowele. Łuniński Ernest. *(K. D.)* 448
Paralele narodnim pripovijetkama u Strohalovu zborniku II, napisao Polivka Džuro. *(Dr. Z.)* 449
Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział filologiczny. Serya II, tom XXII. *(A. B.)* 449
Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Rocznik dziesiąty. *(A. B.)* 449
Die Verehrung der Heiligen. Betrachtungspunkte von Stephan Beissel S. I. *(Ks. A. M.)* 449
Pages choisies des grands écrivains. Buffon. *(A. B.)* 450
Studya dyplomatyczne. Sprawa polska. Sprawa duńska. (1803—1864) Julian Klaczko. *(A. B.)* 450
Australien und Tasmanien. Von Joseph Lauterer. *(A. B)* 450
Cudowne obrazy Najśw. Panny Maryi pustyńskiej i w Kaźmierzowie. *(A. B.)* 450
Najpospolitsze błędy językowe, zdarzające się w mowie i piśmie polskiem. Antoni Krasnowolski. *(H. U.)* 451

Str.
Andrzej Towiański. Dwa odczyty. Napisał Andrzej Baumfeld. *(L. B)* 452
Polskija periodiczeskija izdanija po etnografii za posliednie dwa goda (1900—1901). Genrich Ułaszyn *(E. Y.)* 452

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Sprawy Kościoła: Z powodu ostatnich wyborów w Belgii. — Z Kościoła protestanckiego w Norwegii.—Z katolickiego ruchu w Ameryce. — Zmiana polityki w Rzymie? Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 119
Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1903. Przez *d-ra St. Zdziarskiego* 130
Ze świata techniki: Kolej syberyjska. Przez *Alfreda Konopkę* . . . 143

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Epilog walki przeciw Kongregacyom. — Rozdźwięk między Francyą a Rzymem. — Projekty rozwiązania Sprawy włoskiej. — Zmiany w konkordacie hiszpańskim. — Przyczynek do »historyi naturalnej« Jezuitów. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 294
Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1903. (C. d.) Przez *d-ra St. Zdziarskiego* 304

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła. Pod przyszły Kongres Maryański we Lwowie. — Z chrześcijańskiego ruchu we Włoszech. — Biskupi francuscy o zerwaniu stosunków dyplomatycznych. — Głos francuski o obowiązkach katolików francuskich. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 453
Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1903. (C. d.) 462
Uroczystość Roku Maryańskiego. Przez *Maryana Bartynowskiego*. 471
Z powodu recenzyi »Trylogii Dubrownickiej« 476

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.